

Michael PEINKOFER

OTCHŁAN



ORKI

ODWET ORKÓW



WARTO BYŁO CZEKAĆ
- największa przygoda orków nareszcie się rozpoczyna!

Bracia Balbok i Rammar są w swoim kraju wielbieni jako bohaterowie. Objadając się brum-millem popijanym mnóstwem posokowego piwa, zazywają wesolego, leniwego życia. Jednak niespodziewanie w Stechłej Marchii pojawia się człowiek. Twierdzi on w dodatku, że nie jest żywym daniem mięsnym, lecz posłancem – oto pierwszy raz od zarania dziejów ludzie proszą o pomoc wrogie plemię orków!

Na rubieżach przyjaznych królestw jakas mroczna istota szykuje się do wojny. Balbok i Rammar wyruszają w niebezpieczną misję. Wraz z szemtaną zgrają współplemieńców, gnomów, krasnoludów i barbarzyńców muszą stawić czoła przeciwnikowi palającemu nienawiścią do wszystkiego, co żyje na świecie...

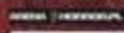
NIEZŁOMNI I ZAWSZE
GOTOWI DO BOJU BOHATEROWIE
fantasy ponownie WKRA CZAJĄ
DO AKCJI.



OTCHŁAN

Patroni Mediasp

SCIENCE FICTION



www.horse.pl

ISBN 978-83-60504-60-4



z 34,90 zł

Michael PEINKOFER

Tłumaczenie
JOANNA FILIPEK



ORK

ODWET ORKÓW



Tytuł oryginału Der Schwur der Orks

Opracowanie graficzne i projekt okładki Magdalena Zawadzka

Grafika na okładce Grzegorz Krysiński

Redakcja Marcin Wroński

Korekta

Katarzyna Arbaczevska-Matys

Małgorzata Zwolińska

Skład

„Grafficon”

Konrad Kućmiński

ISBN 978-83-60504-60-4

Wydawca Red Horse sp. z o.o. tel. (81) 524 03 14 www.redhorse.pl e-mail:
biuro@redhorse.pl

Sprzedaż internetowa

www.amazonka.pl

Książka dostępna w salonach Empik

Zamówienia hurtowe Firma Księgarska Jacek Olesiejuk sp. z o.o. ul. Poznańska 91, 05-850
Ożarów Mazowiecki tel./fax: (22) 721-30-00 www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl

Druk i oprawa

ppolgrgf

www.opolgraf.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wielka przygoda orków trwa dalej - znów chciałbym w tym miejscu wymienić osoby, które w ten czy inny sposób przyczyniły się do wysłania braci Rammara i Balboka na kolejny etap ich awanturniczej wyprawy.

Moje podziękowania kieruję do wspaniałego działu fantazy wydawnictwa Piper w osobach Carstena Polzina i Friedel Wahren oraz do ilustratora Daniela Ernie za to, że tak trafnie poszerzył Łąd na wschód; do redaktora Petera Thannischa za to, że współpraca z nim była nieustającą przyjemnością, a on sam jest wielkim fanem Rammara i Balboka. Na koniec dziękuję mojemu agentowi, Peterowi Modenowi, który - zaprawiony w bojach - trwał przy mnie ramię w ramię w pisarskiej przygodzie. Nie chciałbym też pominąć Wolfganga, mego przyjaciela i dentysty, oraz Harrego, naszego orka *in spe*. Pragnę również podziękować mojej rodzinie dającej mi oparcie i inspirację.

Szczególnie mocno dziękuję oczywiście wiernym Czytelnikom, w minionych miesiącach często pytających mnie, kiedy kolejna przygoda poprowadzi Balboka i Rammara.

Oto odpowiedź:

Właśnie teraz...



SPIS TREŚCI

PROLOG	11
KSIĘGA 1	
KUNNART ANNOUR (ZAGROŻENIE ZE WSCHODU)	
1. DAKOUN-KINISH'HAI	21
2. SGOL'HAI UR'KURSOSH	31
3. OLK OIGNASH....	43
4. TULL ANN TIRGAS-LAN	57
5. AN-DA FEUSACHG'HAI-SHROUK	81
6. KULACH-KNUM	99
? ARTUM-TUDOK!	115
8. KRUTOR'HAI UR'DORASH	129
9. TRURK	151
10. OINSOCHG ANN IODASHU	157
11. GOSGOSH'HAI UR'ORUUN	167
12. SOCHGOUD'HAI ANN DORASH	175
13. ANKLUAS	183
14. KOMHORRAURSUL'HAI-COUL	193
15. OR KUL UR'OUASH	209
KSIĘGA 2	
MORORUR'KALANAR (WŁADCA KALANAR)	
1. SAMASHOR UR'OUASH'HAI	225
2. KUNNART'HAI UR'KOLL	243
3. TULL UR'BUNAIŚ	255
4. AN MUNTIR, AN GURK	285
5. DURKASH UR'ARTUM'HAI SHUB	295

6.	OINSOCHG U'DOUK-KROK'HAI	305
?	KAL ANAR	313
8.	ANN KOMHARRASH UR'SNAGOR	331
9.	SNAGOR-TUR	353
10.	SLICHGE'HAI ORDASHOUUSH	365
11.	ANN HUAM'HAI UR'NAMHAL	379
12.	NAMHALNOKD	389
13.	SUL UR'SNAGOR	399
14.	TORMA UR'OLK	407
15.	BLAR TOSASH'DOK	415
16.	SABAL GOU BAS	427
1?	BUUNN UR'LIOG	433
18.	RABHASH UR'ALANNAH	443
	EPILOG	451
	ZAŁĄCZNIK A - MOWA ORKÓW	455
	ZAŁĄCZNIK B - POSOKOWE PIWO	469

PROLOG

Dalej.

Wciąż dalej.

Bez spoczynku i celu.

Stopa za stopą - nie wiedział już, od jak dawna.

Jedno jednak wiedział dobrze: owe czasy, kiedy jako księżę wysokiego rodu zaznawał szacunku i dostatku, minęły bezpowrotnie.

Jedno spojrzenie na kruchą postać wystarczało, by się o tym przekonać. Strój, niegdyś wyśmienity, wisiał w strzępach, wysokie buty z najdelikatniejszej skóry były znoszone i zdarte, cerę, dawniej tak dystyngowanie bladą, teraz znaczyły zadrapania i rany. Gdy Loreto, księżę Tirgas Dun, ponownie rozpamiętywał swą niedolę, wracał wspomnieniem do tamtej chwili, która zdecydowała o jego losie.

- Loreto - oznajmił Ulian, przewodniczący i mówca Wysokiej Rady Elfów, odkąd Mądry Aylonwyr wyruszył do Dalekiego Brzegu - przyniosłeś hańbę sobie i swoje mu ludowi. Zdradziłeś nie

tylko nas, lecz również swoich przodków i wszystkie elfy, które kiedykolwiek chodziły po ziemi. Dlatego poniesiesz ciężką karę: będziesz wygnany z Tirgas Dun na zawsze. Od tej chwili ogień życia i woda nieśmiertelności są ci zabronione, nigdy nie ujrzysz Dalekiego Brzegu...

Te słowa rozbrzmiewały echem w głowie Loreta niczym refren knajpianego szlagieru, który wpadł w ucho i nie potrafił znaleźć wyjścia. We wspomnieniu widział prastare, a mimo to wciąż emanujące młodością rysy mówiącego te słowa Uliana. Również jego spojrzenie, zdaniem księcia, mówiło samo za siebie - przewodniczący Rady Elfów, ogłaszając wyrok, tryumfował. Więcej nawet - odczuwał przewrotne zadowolenie, skazując jednego z największych i najbardziej udanych synów elfiego rodu na banicję niczym pospolitego przestępcę.

- Kto kogo zdradził? - spytał Loreto po raz niezliczony pierwszy i wzdrygnął się na dźwięk własnego ochryplego głosu, w którym nie zostało już nic z dawnej miękkości.

I akurat wtedy jedna z jego stóp, zmęczona długim marszem, zahaczyła o korzeń i księżę elfów runął jak długi, uderzając skronią o kamień wystający z leśnej ściółki. Dotknął czoła dłonią, spojrzał na czubki palców i stwierdził, że krwawi. Krew uzmysłowiła mu jego utraconą nieśmiertelność oraz przypomniała o Dalekim Brzegu. Nigdy go nie ujrzy ani nie będzie pędzić tam życia w nieustannej harmonii i radości - a przecież tego właśnie pragnął najbardziej.

Tak bardzo, że był gotów poświęcić wszystko inne. Nawet miłość do Alannah, arcykapłanki Shakary. Los jednak zrzucił inaczej...

- Krótko przed twoim wyruszeniem do Dalekiego Brzegu - we wspomnieniach słyszał dalsze słowa Uliana - Wysoka Rada Elfów przydzieliła ci zadanie. Zadanie, które wypełnić uroczycie przyrzekłeś, Loreto. Miałeś ustrzec przed intruzami ukryte miasto Tirgas Lan, wówczas gdy Alannah, kapłankę Shakary i strażniczkę

tajemnicy Tirgas Lan, wprowadziły dwa okrutne stwory, zaś my, Wysoka Rada, mieliśmy wszelkie powody podejrzewać, że Alanah zawarła z nimi przymierze. Jak się jednak okazało, było jeszcze gorzej: powrócił Ciemny Elf i w starym mieście elfów, Tirgas Lan, nastąpiły rządy zła. Ty jednak, zamiast dzielnie stawić czoła wrogowi i odbić ukryte miasto, rozkazałeś swojej armii odwrót i tchórzliwie uciekłeś.

- To nieprawda! - zdecydowanie zaprzeczył książę. - Na mą cześć, przysięgam, że rozkazałem wojownikom przystąpić do walki z orkami i innymi siłami mroku.

- Ale dopiero gdy bitwa była już rozstrzygnięta, a ty zapragnąłeś zagarnąć koronę elfów. Bezprawnie próbowałeś ją sobie przywłaszczyć, choć proroctwo Farawyna już się wypełniło.

- Tak, ale wypełniło się na człowieku! - krzyknął głośno Loreto, nie zważając na fakt, że Ulian nie może już go słyszeć, a za świadków swojej mowy obrończej ma tylko drzewa. - Nie mogłem uwierzyć, że proroctwo Farawyna dotyczy... dotyczy człowieka, do tego jeszcze niegodnego łowcy głów zarabiającego na życie skalpowaniem innych stworzeń, podczas gdy ja, Loreto, ozdoba elfiego rodu, miałem odejść z pustymi rękami! To nie mogła być prawda! To wciąż nie może być prawda! Ja jestem królem, nie on! Czemu nie możecie tego zrozumieć?! Nie widzicie, co się tu dzieje? Naprawdę mnie nie rozumiecie...?

Głos Loreta załamał się, oczy napełniły łzami gniewu i zwątpienia jak już tak wiele razy. Nikt jednak nie słyszał jego lamentów - wokół był tylko gęsty las obojętnie przełykający krzyki księcia. Wygnany z miasta elfów Loreto wcale nie życzył sobie bowiem, by miał go kto słuchać - po prostu wciąż szedł przed siebie. Kierunek był mu obojętny, a za każdym razem, gdy natrafiał na jakąś osadę, z powrotem zagrzebywał się w samotność lasów i

gór. Nie potrzebował towarzystwa, tym bardziej towarzystwa ludzi. Zaś najmniej potrzebne mu było towarzystwo orków ponoszących w niemalej mierze winę za jego los.

Błąkał się wciąż dalej i dalej gnany bezmierną złością, w równej mierze co on nie znającą swego celu ani przeznaczenia. I gnała go zraniona duma.

Początkowo Loreto pragnął, by pojawił się jakiś troll i zakończył jego nędzny książęcy byt jednym ciosem potężnej maczugi - ale potem, gdy w leśnym poszyciu rzeczywiście coś trzasnęło i chrupnęło, szybko uciekł w przeciwnym kierunku. Przegrał - nie dało się zaprzeczyć. Zabrano mu wszystko, co kiedykolwiek coś dla niego znaczyło - to fakt. Lecz kto powiedział, że kiedyś nie powróci? Powróci odebrać, co mu się należy, i zemścić się na tych, co mu to wszystko zrobili: na człowieku Corwynie, który bezprawnie zawłaszczył koronę, na Delfini Alannah, która będąc kiedyś jego ukochaną, sromotnie go zdradziła, i na dwóch obrzydliwych orkach, które podstępnie pokrzyżowały jego plany.

Ich imion Loreto już nie pamiętał, lecz wygląd tych kreatur na trwałe wrył się w jego pamięci - rozpoznałby owego chudzielca i grubasa wśród tysięcy innych poczwar. Wizja, że kiedyś ich odnajdzie i wyrze srogą zemstę, napędzała wygnańca prawdziwie książęcą siłą, zdającą się jeszcze rosnać z dnia na dzień. Do początkowego gniewu dołączyła wkrótce bezgraniczna nienawiść - coś bardzo nielfiego - i dawniej Loreto sądził, że nic nie poniżyłoby go do takich uczuć. Teraz znał już lepiej samego siebie i z każdym krokiem stawianym na wilgotnym, spróchniałym leśnym poszyciu, z każdym upadkiem, kiedy ranił się krwawo, z każdym oddechem, kiedy smakował gorycz wygnania, jego nienawiść rosła.

Gdy tak się błąkał, odmalowywał sobie w krwawych kolorach, co zrobi z orkami, gdy tylko ich dopadnie. Upokorzy, będzie torturował i dręczył - każdy ból i każde poniżenie, które z ich powodu

musi wycierpieć, odda im z nawiązką.
I nie tylko im.

W szczupłej piersi Loreta płonęła również nienawiść do Corwyna. Także do Alannah, zbiegłej ukochanej, która przedłożyła spoufalenie się z - tfu! - człowiekiem nad wierność jemu, księciu. Oraz oczywiście do wszystkich elfów, które go wyгнаły i odmówiły mu prawa do korony. Niech sobie wyruszają do Dalekiego Brzegu - przynajmniej nie będzie musiał na nie patrzeć.

- Jestem królem, żebyście wiedzieli! - krzyknął w górę ku ciemnym koronom drzew. - Ja i nikt inny! Ja jestem prawowitym dziedzicem Tirgas Lan!

Na czoło wystąpił mu zimny pot, oczy przybrały gorączkowy blask. Wyczerpujący marsz i ciągnąca się od miesiący banicja zostawiły ślady - rany głębsze niż owe powierzchowne zadrapania szpecące bladą skórę elfa. Również rozum Loreta doznał szwanku i z każdym atakiem nieopanowanej nienawiści, z każdym wybuchem gniewu, z każdym jazgotliwym wraskiem coraz cieńsza była granica oddzielająca świadomość księcia od upadku w mroczne głębie.

W takim stanie był Loreto, gdy raptem z lewej strony dobiegł go jakiś szmer.

Rozum strąconego księcia może i cierpiał, jednak jego zmysły podczas banicji nawet się wyostrzyły. Przystanął gwałtownie i nadstawił uszu.

Szmer powtórzył się - donośny trzask, a po nim szuranie. Co tam szuranie, szurgot wprost niesamowity!

Leśny troll?!

Mimo swego stanu Loreto był pewien, że spotkanie z trollem będzie oznaczać kres jego mściwych planów. Jak wiele razy przedtem spróbował cichutkiego odwrotu, jednak trzaski i chrzęst rozlegały się tuż za nim.

Na brednie Farawyna, zastanawiał się gorączkowo elf, co to jest? Co prześladowuje mnie w tym lesie?...

Gorączkowo się rozglądając, próbował przeniknąć wzrokiem gęstwinę - daremnie, nie pomagał nawet ostry wzrok elfa. Loreto przyspieszył, torował sobie drogę wśród paproci i krzewów rozdrapujących mu dłonie i twarz. Jednak prześladowca - ktokolwiek to był czy też cokolwiek to było - najwyraźniej wciąż deptał mu po piętach. Zdyszany książę obejrzał się przez ramię, lecz znów nie zdołał nic dojrzeć. Potem hałas ucichł równie niespodziewanie, jak się zaczął.

- Kimkolwiek albo czymkolwiek jesteś - wysyczał przez zęby Loreto - masz szczęście, że twoja droga nie skrzyżowała się z drogą króla elfów. Jednym jedynym uderzeniem, jednym jedynym spojrzeniem mógłbym cię zniszczyć. Masz nieopisane szczęście...

Przeciwnik zapewne przeraził się nie na żarty i zastygł skulony w zaroślach, bo już żaden szmer nie dotarł do uszu Loreta. Odczekał więc jeszcze chwilę i ruszył dalej. Wkrótce zaczęło zmierzchać i przez gęsty dach liści przenikało niewiele światła. Nad czubkami drzew można było zobaczyć krwistoczerwone niebo, co z dawien dawna oznaczało zły omen.

- Tej nocy popłynie krew - nie wątpił książę i zachichotał głupekowato. Potem zaczął rozglądać się za miejscem na nocny postój.

Podczas długich miesięcy nieustannego wędrowania docenił biwakowe zalety koron drzew, nie gorsze były również puste pnie albo skalne nawisy dające ochronę przed wiatrem i deszczem. Tym razem elf banita znalazł w końcu miejsce na nocleg między kilkoma grubymi, obumarłymi korzeniami - do tego jeszcze trafił na nieco półzgniłych, zarobaczonych grzybów, które w swoim szaleństwie uznał za królewską wieczerzę i zjadł, nie przejmując się mdłościami. Ziewając, chciał umościć sobie na mchu legowisko

znów usłyszał te same alarmujące trzaski, które prześladowały go wcześniej.

- Co się dzieje? - wyszczał Loreto i odwrócił się. - Kto pozwala sobie zakłócić spokój kró...?

Urwał w pół słowa, gdyż zarośla rozchyliły się i coś z nich wyszło - coś tak groteskowego i niepojętego, że nawet on mimo obłądu zrozumiał, że coś takiego nie ma prawa istnieć.

Wygnany księżę elfów zamarł w bezruchu jak skamieniały, gdyż przeciwny naturze stwór napawał go wprost śmiertelnym strachem. I w dodatku wpatrywał się swymi nabiegłymi krwią ślepiami prosto w Loreta, ale w ich spojrzeniu była osobliwa obojętność - ocieęzały spokój istoty nieopisanie starej, która wszystko widziała i nic jej nie dziwi. Możliwe, że przemierzała te lasy już od początku świata, trzymając się z dala od bezsensownych dążeń śmiertelników - czyli tak jak Loreto. Ta myśl trafiła wyganego księcia elfów jak cios krasnoludzkiego topora: choć on i to stworzenie wyglądem tak się różnili - w pewien sposób byli do siebie niezwykle podobni. Loreto miał uczucie, że rozumie tę istotę, której niesamowite cielsko wytoczyło się z gęstwiny. Czuł, że coś ich łączy i że to nie przypadek skrzyżował ich drogi tu i teraz.

Wyciągnął rękę, dotknął stwora, którego liczne oczy spoglądały w dół na księcia...

I w tym momencie poczuł nienawiść!

Spadła na niego jak burza - nienawiść w tak czystej postaci, jakiej nie czuł nigdy wcześniej. Jego własny gniew i żądza zemsty tonęły w niej niczym pojedyncze płomienie w szalejącej pożodze. Loreto wyczuł, że roztopia się i sta je jednym z obrzydliwą kreaturą, i jakoś nie gorszyło go to, choć przez całe życie myślał tylko o sobie i swojej własnej korzyści. Oto znalazł spełnienie, dokładnie tak, jakby po długiej podróży dotarł do Dalekiego Brzegu... W tym

momencie poniżej nieruchomych oczu otwarła się gardziel uzbrojona w zabójcze zęby, która mogłaby pochłonąć elfa jednym jedynym kłapinięciem.

W tej samej chwili, gdy Loreto spojrział w szeroko otwarty pysk stwora, zerwała się cienka nić przytrzymująca rozum elfa i chroniąca go przed runięciem w przepaść oblędu. Książę elfów krzyczał jak oszalały, kiedy ciemna gardziel opadła, zamknęła się i połknęła go całego...

W innym miejscu, daleko, Alannah, królowa Tirgas Lan, przestraszona poderwała się ze snu.

Potrzebowała kilku chwil, by w półmroku swej sypialnej alkowy ocknąć się i przyjść do siebie. Oddychała pośpiesznie, jej wysokie czoło zrosiło się kroplami potu. Dopiero gdy dostrzegła obok znajomą postać swego małżonka Corwyna śpiącego mocno i głęboko, jego pierś unoszącą się w regularnym oddechu, uspokoiła własne serce. Znów miała ten sen, który prześladował ją już od jakiegoś czasu i nawiedzał noc w noc, gdy tylko zamknęła oczy.

Loreto...

Wspomnienie dawnego ukochanego, zdradliwego księcia elfów, martwiło Alannah i zastanawiała się, co ten sen może znaczyć. Zbyt długo była strażniczką tajemnicy swego ludu, zbyt mocno naznaczyły ją własne doświadczenia, zbyt wielka była jej wiedza o przeszłości, by mogła tak po prostu uznać swoje sny za zwykłe marzy.

Refleksy światła w mroku dziejów - tak nazwał je kiedyś prorok Farawyn. Jeśli jego słowa są prawdziwe - tak jak prawdziwe okazało się wszystko, co spisał w swojej księdze - Łąd czekały ciężkie czasy. Alannah spojrzała na leżącego przy niej Corwyna i ogarnęła króla Tirgas Lan serdecznym, niemal współczującym spojrzeniem.

Uznała, że pora działać...

KSIĘGA 1

KUNNART ANN OUR
(ZAGROŻENIE ZE WSCHODU)

1. DA KOUN-KINISH'HAI

Nuda.

To było słowo najtrafniej opisujące ich stan.

Zamknięci w czterech ścianach jaskini, dni wlokły im się bez końca wypełnione obżarstwem i opilstwem już od dłuższego czasu.

Czasu...

W tym miejscu świata czas nic nie znaczył, jakby nie płynął, ale pluskał sobie niczym krew z rozciętej szyi gнома.

Czasem, gdy się budzili, nie byli pewni, czy wciąż słyszą bicie własnych serc, bo od mnóstwa posokowego piwa dudniło im we łbach tak gromko, jakby tysiąc oszalałych krasnoludów waliło tysiącem młotów w tysiąc kowadeł. Wyobrażali sobie wtedy, że mroczna otchłań Kurula już dawno ich pochłonięła i że ich czyny przeszły do legendy.

Jest tylko jeden problem - nie wpadną do otchłani Kurula, w każdym razie póki co nie. Choćby dlatego, że nie muszą już

ryzykować własnym życiem. Ich wielka przygoda znalazła szczęśliwe zakończenie przed ponad tuzinem księżyców i jeśli w ogóle umrą, to z przeżarcia. Albo od posokowego piwa, które tak mroczy ich zmysły, że kiedyś nie odnajdą drogi powrotnej do *sochgal*. [W trosce o Czytelników, którzy wciąż mają kłopoty z orczą mową, polecamy Załącznik A na końcu książki, a zwłaszcza Słownik orczo-polski] Albo na którejś z wystawnych uczt tak się przeżrą, że nawet najdłuższy pas nie wystarczy, by uchronić ich napchane brzuchy od pęknięcia. Rozlegnie się wtedy grzmiący huk i z Balboka i Rammara, wodzów *bolbogu*, nie zostanie nic prócz pomarszczonej, żylastej, usianej wrzodami skóry, popękanych żeber i błotnistej kałuży flaków.

Niezbyt budująca perspektywa.

W początkach swego panowania Rammar rozkoszował się siedzeniem na obciążonym futrem wargu tronie w największej i najciemniejszej jaskini w wiosce, w otoczeniu gór złota i szlacheckich kamieni, które jego brat i on zdobyli. W ludzkim języku było na to inne słowo, nawet nie tyle słowo, co idiotyczny idiom: ukradli. Jednak Balbok i Rammar wiedzieli jedno - tak czy owak podstępem i wyrefinowaniem sobie na ów skarb zasłużyli!

Życie wodza orków polegało głównie na wysyłaniu hord wojowników i czekaniu na ich powrót. W tym czasie do obyczaju należało uleganie kaprysom i napychanie brzucha smakołykami wszelkiego rodzaju - poczynając od świeżo faszzerowanych pijawek, przez duszone gnomie mięso i zrazy z trolla, aż po *bru-mill*, tradycyjną potrawę orków. Do tego popijano beczkami posokowe piwo podawane w wielkich kuflach z czaszek. Brzuch Rammara, i tak już tłusty, w następstwie tego trybu życia jeszcze się powiększył. Kolczuga dawno już była za ciasna, ale skórzany napierśnik wciąż pasował, a wylewające się spod niego cielsko tylko dodawało

wodzowi dostojęstwa. Podobnie jak utrata szyi - teraz wielki łeb orka zdawał się wyrastać wprost z tułowia.

Niestety małe świńskie oczka utraciły swój podstępny błysk. Ich spojrzenie stało się zmęczone, nie podniecał ich już widok zdobytego/skradzionego/zasłużonego złota, a jelita i żołądek były obojętne na specjały kuchni orków. Gruby wódz tęsknił za odmianą - choć nigdy w życiu nie powiedziałby tego głośno.

- Co mówisz, głupku? - zwrócił się do brata.

Ten leżał niedbale na drugim tronie, również wyścielonym futrem warga, ale nieco mniejszym niż tron Rammara. Nie był to również oryginał, na którym jeszcze przed rokiem spoczywał śmierdzący *asar* wodza Graishaka. Jednak okoliczność, że Balbok przerastał swego brata o głowę, rekompensowała różnicę wysokości ich dostojnych siedzisk. Poza tym był nie tylko wyższy, ale mimo obfitości minionych miesięcy nadal nieporównanie chudszy od Rammara.

- Co mam powiedzieć, Rammar? - odpowiedział pytaniem Balbok, na którego głowie chwiała się pogięta, zdobiona szlachetnymi kamieniami złota korona. Jego wąska twarz była jakby dłuższa niż dawniej i również w jego oczach odbijała się nieskrywana nuda.

- Czy to nie wspaniałe życie? - rzucił Rammar na przekór własnym wątpliwościom. - Siedzimy cały dzień na naszych *asar'hai* i wydajemy rozkazy. Kiedy chce nam się pić albo jeść, wystarczy zawołać o posokowe piwo albo *bru-mill*. A kiedy mamy wzdęcia, pierdzimy i bekamy ile wlezie. Co piękniejszego może istnieć dla orka z prawdziwej śmierci i rogu?

- Nie wiem, Rammar - odpowiedział zamyślony Balbok. - Ostatnio muszę wypić dość dużo posokowego piwa, żeby być na porządnym rauszu, a i *bru-mill* kiedyś mocniej palił mnie w gardle. Tak, i jeśli mam być całkiem szczery, pierdzenie i bekanie też sprawiało mi dawniej więcej radości.

- Co ty wygadujesz? - Tłusty brat spojrział na chudego brata z niedowierzaniem. - Straciłeś rozum, ty nędzny *umbalu*? Zatopiłeś w piwie tę marną odrobinę mózgu, jaką miałeś?

- *Douk* - odparł Balbok i spuścił wzrok z pewnym poczuciem winy. - Ale jeśli mam być szczerzy, Rammar...

- Nie, nie masz! - warknął ten. - Orkowie nigdy nie są szczerzy, kłamią i oszukują. Prawda interesuje mnie tyle, co mokre *shnorsh*, tym bardziej kiedy pochodzi z twojego szkaradnego pyska!

Balbok po każdym słowie tego lajania był coraz mniejszy i mniejszy, aż głowa zdawała mu się wyrastać wprost z ramion jak Rammarowi. Ponieważ do cech Balboka zawsze należał upór, mimo wszystko dopowiedział zdanie do końca:

- ...ja się trochę nudzę - wyznał cicho, niemal szeptem.

- Ty co robisz?!

- Nudzę się - powtórzył Balbok głośniej i wyraźniej. - Dawno już nie wyprawialiśmy się polować na trolle albo masakrować gnomy.

- Bo mamy po temu dobre powody - potrząsnął głową Rammar. - Zapomniałeś, jakie to niebezpieczne? Trolle nie mają zwyczaju certolić się z orkami i rozwalają im łby maczugami. A gnomy strzelają zatrutymi strzałami i uważają za śmieszne, kiedy zjedzą kogoś z naszych.

- Tak jak my ich. - Balbok szeroko się uśmiechnął. - To właśnie jest w tym takie fajne.

- Fajne? - Rammar skrzywił się szpetnie. - Co w tym takiego fajnego?

- No cóż... - Chudzielec przesunął koronę do przodu i w zamyśleniu podrapał się w rzadko owłosioną potylicę. - Raz my ich pożeramy, innym razem oni nas. Zawsze tak było.

- Ale teraz już nie. - Grubas uniósł pouczająco paluch z długim pazurem. - To już za nami. Bieganie po lesie i polowanie na

zielonokrwistych zostawiamy teraz innym. Po wszystkich dzielnych czynach, jakich dokonaliśmy, nie musimy już się więcej tym trudzić.

- Wiem - westchnął Balbok.

- Rozejrzyj się tylko. Popatrz tylko na to całe złoto i szlachetne kamienie. Nie przyszło do nas samo, walczyliśmy o nie. Z gnomami, trollami, elfami, lodowymi barbarzyńcami i sam już nie wiem z kim. A na koniec nawet pomogliśmy temu przekłętemu łowcy głów i jego elfiej przyjaciółce w zdobyciu całego cholernego królestwa.

- Wiem - jeszcze raz powiedział Balbok. Nie dało się nie dosłyszeć melancholii w jego głosie.

- Do krocset, co się z tobą dzieje?! - wrzasnął więc Rammar. - Nie musimy już nikomu nic udowadniać. Wróciliśmy do *bolbogu* jako zwycięzcy obładowani górą skarbów. Pokonaliśmy zdrajcę Graishaka i należał nam się tron wodza, a ponieważ ja z natury jestem wspaniałomyślny, zgodziłem się, żebyś jako mój brat mógł rządzić razem ze mną.

- To niezupełnie tak było - sprzeciwił się Balbok. - To ja zabiłem Graishaka, dobrze o tym wiesz.

- Ach tak?! - Rammar wbił w brata ponure spojrzenie i wyszczerzył groźnie kły. - To czemu ja tutaj siedzę, jeśli tak było, ty nędzny *umbalu*?

- Bo po powrocie do *bolbogu* powiedziałem, że zrobiliśmy to obaj - wyjaśnił naiwnie Balbok. - Zrezygnowaliśmy z przyjęcia imienia naszego poprzednika, bo ten śmierdzący zdrajca knuł z gnomami, i od tego czasu wspólnie rządząmy *bolbogiem*, przecież wiesz.

Szerokie czoło Rammara zmarszczyło się. Czy naprawdę zapomniał o tej małej, ale decydującej różnicy, czy specjalnie ją pominął, nie można było poznać po jego minie.

- A co mi tam! - parsknął. - Najważniejsze, że zwyciężyliśmy i nie byłoby tutaj tego wszystkiego, gdybyśmy obaj nie dowiedli wybitnej odwagi i dzielności. - Wskazał na złote, wypełnione po

brzegi diamentami i innymi kosztownościami wazy i misy ze szlachetnych metali, dość pocięte, gdyż bracia lubili obrzucać się swoim bogactwem w najdosłowniejszym sensie tego słowa.

- *Korr* - przyznał *Balbok*.

- Po co mielibyśmy znów jak kiedyś łązić po krzakach i ryzykować nasze *asar'hai* w bezsensownym polowaniu na gnomy? To poniżej naszej wodzowskiej godności.

- Niestety - westchnął chudy ork tak cicho, że brat nie mógł go zrozumieć.

- Naszym zadaniem jest siedzieć tu i czekać, aż wróćą hordy wojowników. Bierzymy sobie z łupu, co nam się podoba, a kiedy któryś z dowódców ma pecha, to ścinamy mu łeb ku chwale *Kuru-la*. To wszystko.

- Wiem... - *Balbok* znów westchnął.

- Zapomniałeś? Kiedyś mogliśmy tylko marzyć o tym, że będziemy siedzieć w tej jaskini i od rana do nocy tylko się opijać i obżerać. A teraz, gdy to wszystko się stało, nie będę tego niszczył, ty nędzny *umbalu!* - zdenerwował się *Rammar*... nie, był po prostu wściekły, że jego brat odważył się powiedzieć głośno to, o czym on sam zabronił sobie nawet myśleć. Rozejrzał się po jaskini i dodał tonem skargi: - Do kroćset, czemu tu tak cicho? Gdzie jest bard? Dawać tu śpiewaka, ale już, bo zaraz wpadnę w *saobh!*

Nie wiadomo, czy sprawił to autorytet *Rammara*, czy obawa, że naprawdę może wpaść w ów sławny stan amoku, z którego ork zwykle może wyjść, dopiero gdy sam straci życie albo kogoś zabije. W każdym razie jeden z *falhok'hai*, najlepszych i najsilniejszych wojowników plemienia tworzących przyboczną gwardię wodzów, usłyszawszy życzenie władcy, skłonił się gorliwie i zniknął, by po krótkiej chwili rzeczywiście wrócić do jaskini z obdartym orkiem, którego łysa czaszka usiana była licznymi pryszczami, a dłoń ścisnęła złotą lutnię

- No, jesteś wreszcie! - warknął rozdrażniony Rammar. - Dalej, zagraj coś, żeby mnie zabawić. Zaśpiewaj pieśń sławiącą czyny Rammara Gniewnego, natychmiast!

- *K...korr* - wyjąkał onieśmielony bard i już w następnej chwili zaczął brzdąkać na instrumencie. Brzdąkać w jak najgorszym tego słowa znaczeniu, gdyż lutnia była stworzona dla filigranowych dłoni elfa, nie łap orka. A ponieważ „bard” nie znał się również zbyt na muzyce - Rammar wyznaczył go po prostu z braku prawdziwego minstrela - stosownie do tego brzmiały tony, jakie wydobywał z instrumentu. Niezliczony już raz zaintonował skrzekliwie pieśń sławiącą wielkie czyny Rammara, napisaną zresztą przez samego wodza - na zaawansowanym rauszu po posokowym piwie...

*Daleko w Stęchłej Marchii, tam mieszka dzielny
i wielki ork,
Rammar jego imię, Gniewnym go zwą.
Trwożą się przed nim gnomy i każdy troll wielki,
Boją sięgo ludzie, krasnoludy i elfy.
Dzida jego od krwi wrogów czerwona,
a jak popadnie - czarna lub zielona.
Dzielnie sprawił się z gnomami,
Kiedy skradły łeb Girgasa.
Rammar i jego brat, Balbok Brutal, rządzą nami,
Bo tropili zielonokrwistych aż do ich twierdzy
po lasach.
Spotkali tam Ruraka Maga, spienionego z wściekłości,
A on...*

Bard przerwał raptownie, gdy przez jaskinię przeleciała złota waza i trafiła go w łeb. Szlachetne kamienie, którymi była napelniona, rozsypały się na wszystkie strony, ork opuścił lirę, zatoczył się do tyłu i ledwie ustał na nogach.

- Ile razy muszę ci jeszcze powtarzać, że zmieniłem ten wers?! - ryknął Rammar, bo to on rzucił wagę. - Ma być „spienionego z wściekłości, śmierdzącego, chytrego”. Wszystko inne brzmi o wiele za dobrze dla tego podającego się za czarownika śmierdziela. Dotrze to do ciebie w końcu?

- T...tak, wielki Rammarze - odpowiedział bard, z trudem odzyskując równowagę. Uniósł lirę i kontynuował:

*...Spotkali tam Ruraka Maga, spienionego
z wściekłości, śmierdzącego, chytrego,
A on tak rzekł do Rammara, wodza naszego:
„Zamienię mapy Shakary na łeb Girgasa.
Jak łba nie dostaniesz, nie masz po co wracać”.
Rammar wyruszył jak zawsze nieustraszony,
Walczył zwycięsko zghulami i barbarzyńcami
jak szalony
I przebył Flaki Torgasa, a dalej wśród wiecznych
lodów elfi ród siedział.
Tam się dowiedział,
Że Rurak spieniony, śmierdzący, chytry mag
Wrobił ich i mapa Shakary wcale nie istnieje, wszak...*

Ponownie przerwano występ śpiewakowi - tym razem jednak nie z powodu Rammara, ale wrzawy, która nagle rozległa się przed jaskinią wodzów.

Dobiegły ich podniecone krzyki, przekleństwa i gniewne wyzwiska, do tego zagrzewające do ataku ryki *faihok'hai*. Coś musiało się stać...

- Co tam?! - krzyknął gniewnie Rammar i chciał poderwać się rozwścieczony, jednak ogromna masa ciała przytrzymała jego *asar* na tronie jakby tam przyrósł. - Kto się odważa przerywać pieśń mojego barda? Czy ci przekłeci *umbal'hai* w ogóle nie znają się na sztuce?

Odpowiedział mu jeden z gwardii przybocznej, który wbiegł do jaskini.

- Wielcy wodzowie - zaczął z ukłonem - są nowiny.
- Jakiego rodzaju? - warknął Rammar.
- Wrócił Kursa ze swoją bojową hordą. Przyprawdzili jeńca.
- Jeńca? - zainteresował się Balbok, rad z odmiany. - Gno-

ma? Trolła?

- Człowieka - odpowiedział wartownik.

Ta wieść zaskoczyła obu braci. Ostatnimi czasy bardzo rzadko zdarzało się, by do Stęchłej Marchii zabłąkał się *achgosh-bonn*, mlecznogęby. Zbyt rzadko, jak na gust Balboka, który uważał ludzkie mięso za prawdziwy przysmak.

Rammar nie podzielał tego upodobania. Inaczej niż większość orków nie przepadał za ludzkim mięsem - wprost się nim brzydził. To była jednak tajemnica braci, która nikogo innego nie powinna obchodzić. Rammar Gniewny nie chciał przecież, by szydono z niego za plecami i nazywano *lus-irk*, pożeraczem warzyw...

- Dawajcie tu tego człowieka! - rozkazał i *faihok* zniknął w mgnieniu oka.

- Czy to nie podniecające? - spytał Balbok i wyczekująco przesunął się na swoim tronie tam i z powrotem jakby go *asar* swędział. - Nareszcie w *bolbougu* znów coś się dzieje.

Rammar pokręcił głową zatroskany.

- Pojawienie się w Stęchłej Marchii człowieka jeszcze nigdy nie wróżyło nic dobrego.

Naiwne rysy twarzy Balboka rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

- Właśnie o to mi chodzi...

2. SGOL'HAI UR'KURSOSH

Człowiek, którego ujął Kursa ze swą bojową hordą, wyglądał dość marnie. Ubranie wisiało na nim w strzępach, łącznie z peleryną, którą narzucił na ramiona. Związano mu na plecach ręce, usta zakneblowano. Twarz miał obrzmiałą, brodę zlepioną krwią, a ponieważ również knebel był cały we krwi, można było założyć, że wybito mu też ten czy ów ząb. Znać było po nim tęgie lanie, ale wodzowie orków nie dziwili się temu - wszakże ludzka gęba w stanie nieuszkodzonym jest jeszcze paskudniejsza niż elfia. Rammar zupełnie zapomniał, jak obrzydliwie wyglądają ci mlecznogębi, i wzdrygnął się, spoglądając w błękitne oczy.

- Skądś go wytrzasnął, Kursa? - zapytał przywódcę bojowej hordy, który osobiście przywłókł (a raczej przykopał) jeńca do jaskini i stał teraz w towarzystwie kilku *faihok'hai* czekających w gotowości nieco z tyłu.

- Złapany na zachodnich stokach Gór Czarnych - odpowiedział Kursa, silny ork z zielonoszarą skórą i mocno wystającymi kłami.

- Sądząc po wyglądzie tego *achgosh-bonn*, nie kosztował was wiele wysiłku - stwierdził Rammar ze znudzoną miną lustrujący człowieka. - Skóra i kości, mizerak.

- Widać od dłuższego czasu błąkał się po górach. - Kursa zaśmiał się szorstko. - Najwyraźniej postradał rozum.

- Czemu tak myślisz?

- Cóż, wyglądało, jakby się ucieszył na nasz widok. Bredził coś o tym, że nas szukał.

- Tak? I co wtedy zrobiłeś?

- Co za pytanie, wodzu! Dałem mu w mordę. - Kursa znów zarechotał, a Balbok przyłączył się do jego śmiechu.

Rammar nie podzielał ich wesołości, opadło go ponure przecucie.

- Co takiego ten człowiek powiedział?

- Nic więcej - odparł dowódca hordy. - Nie zdołał, bo wsadziliśmy mu do gęby knebel. Potem przyszedliśmy z nim prosto do *bolboug*.

- Prosto?

- No tak po prawdzie, to miał konia i trochę czasu zeszło, zanim go zjarliśmy. W końcu jest zabronione napadać na ludzi i ich...

- Zabronione?! - W głosie Balboka brzmiało niedowierzanie i przerażenie. - Od kiedy?

- Odkąd ja tak rozkazałem - szorstko odpowiedział Rammar.

- Ci mlecznogębi okropnie śmierdzą, kiedy się ich gotuje. Poza tym smak ludzkiego mięsa jest znacznie przereklamowany.

- To niesprawiedliwe! - rozzłościł się chudy wódz. - Tylko dlatego, że ty nie jesz ludzkiego...

- *Kriok!* - Przerwał mu brat. - Nie chcę więcej o tym słyszeć. Przeprowadźcie kata, przywiążemy tego mlecznogębego do koła

i trochę go przepytamy. Chcemy się przecież przekonać, czy nam zdradzi, co tu...

Przerwał, gdy więzień nagle zaczął wydawać gwałtowne dźwięki, jednak z powodu knebla całkowicie niezrozumiałe.

- Co z nim? - zapytał Rammar.

- Myślę, że chce dobrowolnie mówić - odpowiedział Kursa.

- Szkoda. - Kąciki ust chudego wodza opadły rozczarowane. -

No dobra, pozwól mu mówić, Kursa. Ale szybko, do kroćset! Czy mam kazać torturować ciebie zamiast niego?

Ta propozycja ani trochę nie spodobała się Kursie i więzień został w mgnieniu oka oswobodzony z gałgana, który jego oprawcy wetknęli mu do gardła. Ledwie wyjęto knebel, Rammar i Balbok stwierdzili zdziwieni, że człowiek mówi płynnie po orczemu, choć z wyraźnym rozpoznawalnym ludzkim akcentem.

- *Achgosh douk!* - Pozdrowił ich zwyczajem orków.

- *Achgosh douk kudashd* - odpowiedział Rammar i kontynuował w mowie ludzi: - Choć, jakem ork, nie podoba mi się twoja morda, mlecznogęby.

- Czy to wy jesteście Rammar Gniewny? - spytał człowiek ku ponownemu zaskoczeniu grubego wodza.

- To ja - przytaknęła niższy z braci.

- Zatem wy musicie być Balbok - wywnioskował człowiek, spoglądając na chudzielca. - Balbok Brutal, Wielki i Dzielny Balbok, twoje imię budzi respekt i szacunek również wśród ludzi...

- Balbok zupełnie wystarczy - warknął zirytowany Rammar. - Co to za komedia? Kim jesteś, człowieku? Czemu mówisz naszym językiem? I skąd znasz nasze imiona?

- Wasze imiona zna każdy człowiek w królestwie, wielki Rammarze.

- W jakim królestwie?

- W królestwie Tirgas Lan, oczywiście, wielki Rammarze - odpowiedział poseł, jakby to było najoczywistsze pod słońcem. Co gorsza, zdawał się nie bać orków. - W królestwie króla Corwyna, które pomogliście oswobodzić ze szponów zła.

Corwyn!

Na dźwięk tego imienia Rammar zakrztusił się własną śliną. Rozkaszłał się tak, jakby *bru-mill* pochłonięty przez niego na śniadanie szukał właśnie drogi powrotnej. Balbok zareagował mniej gwałtownie, lecz i w nim wspomnienie Corwyna wywołało przeróżne uczucia. Wspomnienia czasów zdających się tonąć w zamierzchłej przeszłości - i wspomnienie wielkiej przygody.

Nie dość, że Corwyn był człowiekiem, był również łowcą głów, typem spod ciemnej gwiazdy włączającym się po Górach Ostrych i polującym na orków. W jego oczach tylko martwy ork był dobrym orkiem - aż do dnia, kiedy spotkał Rammara i Balboka, zastawił na nich pułapkę i pozbawił branki: elfiej arcykapłanki, Alannah. Tego bracia mu nie wybaczyli.

Nikt się wtedy jeszcze nie spodziewał, że korona elfów upatrzy sobie akurat Corwyna i opadnie na jego skroń. By pokonać wspólnego, jeszcze groźniejszego wroga, orkowie sprzymierzyli się z Corwynem - jednak to przymierze wygasło w tym samym momencie, kiedy Balbok i Rammar splądrowali królewski skarbiec i wymknęli się z Tirgas Lan.

W każdym razie do dziś myśleli, że przymierze już nie istnieje.

W przeciwieństwie do Corwyna, jak się zdaje...

- Mój król wysłał mnie do was - mówił dalej człowiek. - Długo błądziłem po wąwozach Gór Czarnych w poszukiwaniu waszego *bolboug*. Nie było łatwo go znaleźć.

- To mnie nie dziwi - rzekł sucho Rammar. Wszyscy orkowie nazywali swoje rodzinne wioski *bolboug*iem, więc pytanie o drogę

było pozbawione sensu. Nie wspominając o tym, że pytający podróżni zazwyczaj łądowali w kotłach orków...

- Tym bardziej jestem szczęśliwy, że was w końcu znalazłem - oznajmił posłaniec.

Tego i dla Balboka było za wiele, z ust człowieka nie mogło już paść gorsze oszczerstwo. Rozzłoszczony zapytał:

- Jesteś szczęśliwy, że nas znalazłeś?!

- To prawda, bo teraz mogę wreszcie wykonać rozkaz i przekazać wiadomość, którą powierzył mi dla was mój pan i król. - Posłaniec mimo zmaltretowanej twarzy zdołał się uśmiechnąć i widać było teraz, że brakuje mu dwóch przednich zębów.

- Ale ja nie mam zamiaru tego słuchać! - krzyknął Rammar tak głośno i wściekle, że wzdrygnęli się nawet przywykli do tego *faihok'hai*. Obojętne, łowca głów czy król - człowiek imieniem Corwyn oznaczał kłopoty. Rammar nie miał ochoty z jego powodu znów pakować się w kabałę, miał za to nieznośne przecucie, że kiedy posłaniec wygłosi wiadomość, spokojne życie skończy się raptownie.

- Zatkajcie mu gębę, najlepiej cebulą! - nakazał gwardzistom. - Na koniec wrzucie go do kotła i każcie przygotować z niego ucztę ku czci Kurula.

- Ale Rammar! - Balbok był najwyraźniej skołowany. - Przecież sam mówiłeś, że nie wolno nam już gotować ludzkiego mięsa.

- A teraz mówię co innego! - wrzasnął na niego Rammar. - I co w tym wielkiego? Wódz może czasem zmienić zdanie, nie? Rozpalcie więc łaskawie pod kotłem i wsadźcie do niego tego głupiego człowieka!

- Mmh... zgoda. - Balbok zatarł łapy na myśl o czekającej ich uczcie. - Nim wszystko będzie gotowe, może nam powiedzieć, czego chce od nas Corwyn.

- Nie! - jęknął przerażony brat. Było już jednak za późno, gdyż na skinienie Balboka posłaniec znów zaczął mówić.

- Mój pan i moja pani, król Corwyn i królowa Alannah z Tirgas Lan, przesyłają wam pozdrowienie. Mają nadzieję, że w minionym roku powodziło wam się dobrze i że mogliście cieszyć się skarbami, które wam podarowano...

- Podarowano?! - Rammar myślał, że się przesłyszał. Albo jego ludzki nie jest tak dobry, jak sądził. - My te skarby zrabowaliśmy, żeby było jasne! Zrabowaliśmy, bo tak nam się podobało. Jak przystało prawdziwym orkom!

- Tak jest, jak przystało orkom... - Posłaniec uklonił się z szacunkiem, po czym mówił dalej: - W każdym razie król i królowa mają nadzieję, że transport skarbu na złotym wozie bojowym nie był zbyt uciążliwy. Chętnie udostępniliby wam bardziej odpowiednie środki transportu, ale swego czasu opuściliście Tirgas Lan bardzo pośpiesznie...

- Wiedzą o wozie bojowym? - Balbok spojrzał zmieszany na brata, potem obaj zerknęli w odległy kąt jaskini, gdzie stał skradziony wóz, na którym niegdyś przywlekli do *bolbougu* skarb. Jako że od czasu do czasu Rammar kazał swoim *faihok'hai* ciągać się w nim po wiosce, osie i koła były nieco sfatygowane.

- Wszakże - ciągnął posłaniec - czasy w Tirgas Lan nie są tak szczęśliwe, jak powinny. Wprawdzie król Corwyn przyjął dziedzictwo elfich królów, jednak niektórzy władcy uparcie wzbraniają się uznać jego prawa do panowania.

- Czego ty nie powiesz - burknął Rammar.

- Rada Elfów z Tirgas Dun potwierdziła prawomocność jego regencji, skutkiem czego nie tylko książęta krasnoludów, ale również zamieszkane przez ludzi miasta Sundaril i Andaril uznały zwierzchność nowego króla. Jednak na wschodzie, gdzie leżą królestwa ludzi, są tacy, co nie chcą uznać króla Corwyna za swego pana i wręcz zbroją się przeciw Tirgas Lan.

- To ciekawe - stwierdził znudzonym głosem Rammar i ziewnął przeraźliwie - ale czemu nam to wszystko opowiadasz? Co nas to obchodzi?

- Król Corwyn i królowa Alannah wysłali mnie do was, by prosić was o pomoc w walce z wrogami Tirgas Lan.

- Co? - Zaskoczony Rammar zagapił się królewskiego posła. - Chyba źle słyszę. - Gwałtownie pokręcił głową. - Co sobie ten jednooki bękart wyobraża?

- Król Corwyn wie, że nie macie o nim wysokiego mniemania - przyznał poseł. - Pragnie wam jednak przypomnieć o tym, że darował wam życie i...

- I co?! - wrzasnęła wściekły Rammar. - My też uratowaliśmy mu głowę. Jesteśmy kwita.

- ...i że wy i on byliście sprzymierzeńcami w walce przeciw mrocznemu Margokowi - mówił dalej posłaniec. - Powołując się na to dawne przymierze, król Tirgas Lan prosi was o wsparcie. To dla was wielki zaszczyt.

- Zaraz się rozplaczę - warknął Rammar.

Za to Balbok był chyba naprawdę wzruszony.

- Na flaki Kurula - powiedział - czy to nie miłe ze strony Corwyna? Zamiast samemu walczyć z wrogami i wziąć sobie całą sławę i łupy, myśli o swoich starych *karal'hai*.

- Co z tobą? Straciłeś rozum?! - krzyknął Rammar. - Ludzie i orkowie nie są przyjaciółmi, nigdy nie byli. A ten nędzny Corwyn woła nas do pomocy nie dlatego, że chce zrobić nam przyjemność, ale dlatego, że bez nas nie da sobie rady!

- To przecież wszystko jedno. - Balbok szeroko się uśmiechnął. - Przynajmniej będziemy mieli okazję znów zanurzyć nasze *saparak'hai* we krwi. A że to wojna z ludźmi, będzie do żarcia więcej niż...

- Ty i twój brzuch! - przerwał mu Rammar. - Nie mógłbyś dla odmiany pomyśleć raz o innej części ciała? O mózgu na przykład? Podaj mi jeden powód, czemu mielibyśmy posłuchać wezwania

tego nędznego niedorajdy. Zapomniałeś, ile mieliśmy przez niego kłopotów?

- *Korr*, mnóstwo kłopotów - zgodził się *Balbok* - ale też mnóstwo łupów i kupę zabawy. Pamiętasz, jak walczyliśmy z *Dragnadhem*?

- Jeszcze jak - zapewnił ponuro *Rammar*.

W jego wspomnieniach jednak konfrontacja z *Dragnadhem* nie była w żadnym razie zabawna - niewiele brakowało, a zginęliby obaj. Z drugiej strony, trudno odmówić *Balbokowi* racji: siedzieć stale w *bolbogu* i od rana do nocy tylko zreć i pić było na dłuższą metę trochę monotonne. Jednak *Rammar* nie należał do orków, które dałyby się do czegoś zmusić - ani jakiemuś człowiekowi, ani swojemu głupekowatemu bratu!

- Chodźmy do *Tirgas Lan*! - krzyknął zachwycony *Balbok*. - Będzie świetnie! Wstąpimy jako żołdacy na służbę *Corwyna*, przetrzepiemy skórę jego wrogom i szybko wrócimy z mnóstwem łupów i takim zapasem ludzkiego mięsa, że napełnimy wszystkie spiżarnie!

- A co *JA* będę z tego miał? - spytał *Rammar*.

- Może - ostrożnie wtrącił się posłaniec - powinienem najpierw przekazać wiadomość do końca...

- To jeszcze nie wszystko? - Gruby ork uniósł krzaczaste brwi.

- Niezupełnie. W rewanżu za waszą pomoc król *Corwyn* gwarantuje, że uzna granice *Stęchłej Marchii* i ustali je na zawsze.

- Co to znaczy? - zaciekawiał się *Balbok*.

- To znaczy, że *Tirgas Lan* uzna rzekę i *Góry Czarne* za swoją zachodnią granicę - wyjaśnił poseł. - Orkowie nie muszą się już nigdy obawiać, że król *Corwyn* wypowie im wojnę, dopóki pozostaną w *Stęchłej Marchii*.

- Więc to nam gwarantuje *Corwyn*? - parsknął *Rammar*. - Czy to nie wspaniałomyślnie ze strony Jego Majestatu *Balbok*?

W zamian za to, że będziemy dla niego ryzykować naszą *asar*, ten rzezymieszek daruje nam to, co i tak już do nas należy!

- Na otchłań Kurula! - wykrzyknął Balbok. - Wiesz co, pośle? Możesz wrócić do swego króla i powiedzić mu, żeby sobie wsadził swoje gwarancje gdzie tylko zechce. Ale wcześniej ulżymy ci jeszcze, pozbawiając cię niektórych członków. Do gadania na pewno nie potrzeba ci rąk ani nóg.

- Królowa Alannah przewidziała, że tak zareagujecie - odpowiedział nieporuszony posłaniec. - Kazała wam na to odpowiedzieć tak: nigdy wcześniej ludziom nikt nie wyrządził większej przysługi niż wy, którzy pomogliście uwolnić Targas Lan od zła. Nawet taki makabryczny, krwawy uczynek nie zmniejszy sławy, jaką zyskaliście u ludzi.

- To właśnie kazała ci powiedzieć królowa? - burknął wściekły Rammar.

- Słowo w słowo.

- Niech to wszystko diabli! Na płomień Kurula! Na cuchnące flaki Torgasa i zgubiony łeb Girgasa! Tego już za wiele! Taka bezczelność!

- Jak to? - nie zrozumiał Balbok.

- Durny *umbalu*, nie rozumiesz, co to nędzne babsko daje nam w ten sposób do zrozumienia?

- Hę... - Chudy ork poskrobał się po czaszce. - Nie - przyznał wreszcie.

- Pomagając jej i Corwynowi, straciliśmy naszą złą sławę. Ci nędzni ludzie myślą teraz, że mają do czynienia z gromadką miłych orkusiów. Czyżby nie wiedzieli, że jesteśmy najdziksza, najstraszliwsza i najbardziej żądną krwi rasą na całym Łądzie? - Na podkreślenie swoich słów wyszczerzył zęby i ryknął straszliwie.

- Właśnie - przyznał mu rację Balbok i zawtórował bratu.

- Nie możemy na to pozwolić. Pójdziemy do Tirgas Lan i powiemy temu chłystkowi na tronie, co o nim myślimy! - Oznajmił gniewnie Rammar, tracąc panowanie nad sobą. - Niby że będziemy mu pomagać, a kiedy będzie się tego najmniej spodziewał, pokażemy mu, do czego są zdolni orkowie z prawdziwej śmierci i rogu. W ten sposób odzyskamy naszą złą sławę i nawet bez wspa-
niałomyślnych gwarancji króla żadnemu człowiekowi nie przyjdzie do głowy wystawiać ciekawskiego nosa za grań Gór Czar-
nych. Kapujesz, co mam na myśli?

- Pewnie - skinął głową Balbok. - Będzie mnóstwo mordobi-
cia i ludzkiego mięsa.

- Mniej więcej - potwierdził Rammar, po czym znów zwrócił się do posła. - Więc, *achgosh-bonn*, słyszałeś, co mówimy. Pójdziemy za wezwaniem króla.

- Tego oczekiwałem - odparł człowiek ze swobodą, która jeszcze bardziej rozsierdziła Rammara.

- Ale przedtem - oznajmił więc - mój brat i ja wydamy jesz-
cze wielką ucztę, by świętować nasze pożegnanie z wioską. Z tej okazji zmasakrujemy cię według wszelkich prawideł sztuki, nafa-
szerujemy ci brzuch cebulą i czosnkiem i każemy podać cię jako
główne danie na naszą cześć.

- Chcecie mnie... zeżreć? - zdziwił się poseł.

- *Korr*.

- Za pozwoleniem, drodzy orkowie, nie powinniście tego ro-
bić.

- Ach tak? A czemu nie?

- Bo królowa Alannah przewidziała również to i zabez-
pieczyła mnie.

- Jak to?

- Jestem waszą przepustką - oznajmił poseł.

- Jesteś czym?

- W drodze do Tirgas Lan musicie minąć wiele posterunków.
Chyba nie sądzicie, że ktoś pozwoli dwóm orkom tak po prostu

wejść do stolicy. Chyba że będzie z nimi ktoś, kto za nich poręczy i zna hasła.

- Hasła? Jakie hasła?

- Przy każdym posterunku trzeba podać określone hasło, by go minąć - wyjaśnił królewski posłaniec i postukał się palcem w czoło. - Tu je mam. Jeśli mi coś zrobicie, nigdy nie dojdziecie do Tirgas Lan.

- Możemy cię torturować, aż zdradzisz nam hasła - zaproponował Rammar.

- Ale tych haseł jest mnóstwo - oznajmił człowiek - i na każdym posterunku trzeba podać to właściwe. Jeśli się poda złe hasło, to koniec. Myślicie, że zapamiętacie właściwą kolejność, zakładając nawet, że zdradziłbym wam na torturach właściwe hasła i ani razu nie skłamał?

- Do kroćset! - warknął wytrącony z równowagi Rammar. - Skąd to wstrętne babsko ma takie pomysły?

- Obawiam się, że nie macie innego wyboru, jak pozostawić mnie przy życiu i zabrać do Tirgas Lan - uznał królewski posłaniec.

- Co to ma znaczyć? - Balbok wytrzeszczył oczy na Rammara i było w nich widać rozczarowanie. - Nie możemy go zmasakrować? Nie napchamy mu brzucha cebulą i czosnkiem i nie każemy go podać na naszą cześć?

- Nie - zgrzytnął zębami Rammar, widząc, że wszystkie jego obawy się sprawdziły: łowca głów i jego elfia przyjaciółka naprawdę oznaczają same kłopoty.

- *Shnorsh?* - mruknął cicho Balbok.

3. OLK OIGNASH

Pożegnalna uczta wypadła mniej okazała, niż życzyłby sobie Balbok - skoro poseł pozostał żywy, jako główne danie podano wielki kocioł *bru-millu*, faszerowane flaki gnomów i oczy trolli. Do tego posokowe piwo lało się takimi strumieniami, że niejeden ork nie wstał ani nazajutrz, ani nigdy więcej. Rammarowi i Balbokowi również dudniło w skroniach, kiedy następnego dnia otworzyli oczy, jednak nie runęli w mroczną otchłań Kurula, choć chwiali się niebezpiecznie blisko jej krawędzi.

Potem poszli jeszcze raz do swojej jaskini, by pożegnać się ze złotem, następnie do zbrojowni i pierwszy raz od ostatniego Posokowego Księżyca chwycili znów za topory i dzidy.

Chcąc zrobić w Targas Lan jak największe wrażenie, Rammar postanowił do swojej skórzanej zbroi założyć złoty hełm z osłoną na nos i policzki, Balbok natomiast zdecydował się na prostszy model z żelaza. Jako broń przydźwigał potężny orczy topór,

podczas gdy wybór Rammara padł na *saparak*, tradycyjną bojową dzidę z hakiem. Będąc zaś znakomitym łucznikiem, wziął jeszcze łuk i kołczan pełen strzał, zaś Rammar wsunął za pas pochodzący z Tirgas Lan elfi sztylet ze złotą rękojeścią. Niezbyt sobie radził z tą bronią, ale robiła wrażenie. Zresztą gdyby znaleźli się w kłopotach, w drodze do Tirgas Lan mieli im towarzyszyć *faihok'hai*.

Okolo południa, gdy mdłe światło słońca przebiło się przez chmury nad Stęchłą Marchią i wpadło do wąwozu, gdzie usadowił się *bolboug*, Balbok i Rammar wyruszyli. Nastąpiło tryumfalne pożegnanie, różniące się diametralnie od tego, jakiego dane było braciom doświadczyć przed rokiem. Wtedy wypędzono ich z wioski wśród szyderstw i hańby, a orcze dzieci sikały im na głowy z drewnianych kładek łączących jaskinie po dwu stronach wąwozu.

Tym razem kładki pełne były pobratymców sapaniem i pochrzakiwaniem wyrażających podziw dla Rammara i Balboka opuszczających *bolboug*, by na obczyźnie zyskać wojenną sławę i łupy. *Faihok'hai* dumnie dzierżyli godło - wielki, pomalowany kolorowo łeb trolla zatknięty na długą tykę. Do oddziału Rammar i Balbok wybrali dwunastu swych najlepszych wojowników i teraz kroczyli pośrodku nich, a z nimi królewski poseł. Słyszac wrzaski swoich podwładnych niosące się echem, również Rammar był przekonany, że podjęli właściwą decyzję.

Lecz gdy jaskinie zostały w tyle, powoli cichły wiwaty i znajomy smród *bolbougu* rozwiął się w oddali, nie był już tego taki pewien.

- Teraz już nie da się zaprzeczyć - westchnął - opuściliśmy ojczyznę. Przed nami niepewność i tysiące niebezpieczeństw.

- *Korr* - przyznał Balbok, a oczy zaiskrzyły mu się przeczcuciem awanturnicznych przygód.

Królewski poseł wysłany przez Corwyna i Alannah kroczył tuż za nimi. Ponieważ horda Kursy pożarła jego konia, musiał jak orkowie wędrować piechotą i szybko okazało się, że nie jest w stanie dotrzymać tempa marszu *faihok'hai*. Rammar drwił sobie z niego, ale był zadowolony - dodatkowe funty, jakie przybyły mu, odkąd został wodzem, mściły się przy forsownym marszu.

Drużyna posuwała się więc do przodu powoli. Cały dzień orkowie wędrowali przez gęstwinę Mrocznego Lasu, a nie zobaczyli jeszcze szczytów Gór Czarnych. Dopiero pod wieczór, gdy daleko na zachodzie słońce znikало za Stęchłym Morzem, ukazały się odległe kontury szczytów na tle poczerwieniałego nieba.

Pomyślawszy o prowiancie niesionym przez *faihok'hai* - prócz beczki posokowego piwa mieli również peklowaną szynkę trolla i podroby z gnomów - Rammar postanowił rozpocząć odchudzanie od jutra. Głodować, powiedział sobie, jeszcze zdążę.

Wodzowie rozsiedli się więc przy ognisku rozpalonym przez gwardzistów i kazali obficie podawać sobie mięso i piwo. Posłaniec z Tirgas Lan, wciśnięty między nich i wyglądający jak karzeł wśród olbrzymów, nie oddawał się rozkoszom orczej kuchni, co spowodowało na niego kolejne szyderstwa Rammara.

Wreszcie, gdy księżyc wzeszedł i trupio bladym światłem połykiwał zza chmur, bracia poczuli się jako tako nasyceni. Z postanowieniem zjedzenia reszty posiłku na śniadanie ułożyli się do snu - Balbok na gołej ziemi, podczas gdy Rammar rozścielił sobie miękkie futro wargę niesione dla niego przez gwardzistów. Ledwie zamknął oczy, zachrapał jak orszak pijanych krasnoludów. Balbok też przymknął oczy, ale w odróżnieniu od brata nie spał.

To właśnie uratowało mu życie...

Było już dobrze po północy, ogień prawie wygasł i zamilkły nawet ciche pomruki, którymi porozumiewali się ze *sobafaihok'hai*. Słyszać było tylko odległe wycie wargów i niesamowite krzyki innych nocnych stworzeń - oraz donośne chrapanie Rammara.

Poza tym panowała cisza i to właśnie wzbudziło nieufność Balboka.

Chudy ork nie ruszał się, miał oczy zamknięte, za to nadstawił uszu. Rzeczywiście nie dało się słyszeć żadnego szmeru dobiegającego od strony *faihok'hai*. Gdzie, na flaki Torgasa, nagle zniknęli?

Balbok nie ważył się otwierać oczu, wyostrzył jednak wszystkie zmysły - i zareagował!

Nagle przetoczył się na bok - ani o sekundę za wcześniej! Choć jego refleks przez ostatnie księżycy nieco się zastał, wciąż go jeszcze miał i to dostatecznie szybki. W miejscu, gdzie przed chwilą leżał, z miękkiej ziemi sterczał *saparak*, a właściciel owej dzidy - jeden z ogromnych wojowników *faihok'hai* - stał tuż przy legowisku wodza. Natychmiast wyrwał *saparak* z ziemi i uderzył po raz drugi.

Balbok jeszcze raz się przetoczył i znów dzida chybiła go o włos.

- Rammar! - krzyknął ze wszystkich sił, ale jedyną odpowiedzią, jaką otrzymał, było głośnie chrapanie.

Otumaniony mnóstwem posokowego piwa tłusty ork po prostu spał dalej. Tylko okoliczność, że wiercił się, zapewne śniąc o śniadaniu, uchroniła go przed śmiercią, gdyż kolejny *saparak* przewiercił futro wargu tuż obok niego.

- *Shnorsh!* - wrzasnął Balbok i ponownie się przetaczając, chwycił drzewce swego topora, po czym zatopił ostrze w ciele podstępnego gwardzisty. - Cholera, Rammar! - znów krzyknął Balbok, gdy zamachowiec, jęcząc z bólu, upadł na kolana, a wnętrzności wylewały się z jego rozplatanego brzucha, nie chcąc

mieć nic wspólnego ze zdrajcą. - Obudź się wreszcie, bracie!

- Hm...? - Gruby ork wymamrotał coś przez sen, nie otworzył jednak oczu. Młasnął tylko jęzorem i chrapał dalej.

Miotając przekleństwami, Balbok chwycił za opróżniony do połowy kufel posokowego piwa i rzucił go w ogień. Żar podpalił ognisty trunek i płomienie buchnęły wysoko, oświetlając całe obozowisko i dobywając orczych wojowników z osłony ciemności.

Jeden stał przy chrapiącym Rammarze z uniesionym *saparakiem* i zamierzał znów dźgnąć. Inni *faihok'hai* stali na skraju obozowiska z bronią w łapach, nie robili jednak nic, by powstrzymać skrytobójcę.

Balbok ani myślał czekać dłużej. Jednym skokiem poderwał się, zamachnął toporem i choć ciężka broń właściwie nie była przeznaczona do rzucania, cisnął nią z całej siły. Jego celem był podły drań czyhający na życie Rammara i kara dosięgła zdrajcę momentalnie. Wyszczerbione żeleźce rozłupało mu czaszkę na pół. Ork upuścił *saparak*, po czym runął na ziemię jak ścięte drzewo.

Wódz rzucił się ku niemu po swój topór. Jednak nim go dosięgnął, drogę zastąpił mu kolejny *faihok*, wysoki ork w łuskowej zbroi o twarzy pooranej niezliczonymi bliznami - do tej pory najbardziej lojalny z gwardzistów. Zamierzył się *saparakiem* na Balboka.

Ten w ostatniej chwili zdołał uskoczyć przed śmiertelnym ciosem.

- Rammar! - wrzasnął ponownie.

Brat wreszcie się poruszył - na szczęście, bo czterech dalszych *faihok'hai* z obnażoną bronią już ruszało na swego tłustego wodza.

A serce chudego wodza zadyndało zawieszona dokładnie pomiędzy odwagą a rozpaczą. Kiedy *saparak* przeciwnika ponownie

próbował go dosięgnąć, udał, że uskakuje na bok. *Faihok* w ostatnim momencie zmienił kierunek ciosu i Balbokowi udało się chwycić drzewce jego dzidy tuż poniżej opatrzonego hakiem czubka.

W nagłym przyplýwie siły wyrwał zaskoczonemu przeciwnikowi broń i nim tamten pojął, co się dzieje, Balbok odwrócił dzidę i z rozmachem wbił ją w pierś niewiernego gwardzisty.

W następnej chwili był już przy bracie. Zdołał chwycić drzewce swego topora wciąż tkwiącego w czaszce powalonego zdrajcy, uwolnił żeleźce z mlaskającym chrzęstem.

- Stójcie, wy *umbal'hail* - krzyknął do zdrajców tak głośno, że głos mu się załamał, i poprowadził topór szerokim łukiem.

Odrąbana łapa poleciała w bok, wciąż ściskając rękojeść miecza. Gapiąc się na swój krwawiący kikut, skrytobójca zawył głośno, co wreszcie wyrwało Rammara ze snu.

- Na flaki Torgasa! - ryknął Rammar, gniewnie wstając. - Nie możecie siedzieć cicho, wy nędzne...

Zamilkł i wytrzeszczył oczy, widząc przed sobą jednego z wojowników zamierzającego się na niego mieczem. Napastnik jednak nie poprowadził ciosu, a to z takiej przyczyny, że jego łeb nagle usamodzielniał się i odleciał. Bezgłowy tułów padł wprost w ramiona zaskoczonego Rammara i o mało co nie przewrócili się razem. Ledwie odepchnął trupa, zobaczył coś, co napełniło go w równej mierze zdziwieniem i gniewem - orkowie miotali się wokół płonącego ogniska i walczyli z sobą.

Dokładniej mówiąc, to Balbok rzucał się na trzech *faihok'hai*, waląc, dżgając i zadając śmiertelne ciosy!

- Co ty wyrabiasz, ty nędzny *umbalu*?. - wrzasnął na brata Rammar. - Opieś się posokowym piwem? To nasi *faihok'hai*!

- Ach tak?! - odkrzyknął Balbok, unikając wściekłego ataku jednego z wojowników. - To czemu próbują nas zabić?

Rammar nie zdążył odpowiedzieć. Dwóch kolejnych napastników zwróciło się z obnażoną bronią ku niemu.

- Pisok! Drusa! Gdzie byliście, nędzne gnidy? - Ryknął na wojowników, rozpoznawszy ich gęby. - Może byście przyszli i nam pomogli! Wasi wodzowie są w potrzebie!

- I to w jeszcze jakiej potrzebie, tłuściochu! - odpowiedział Pisok. - Oczywiście, że ci pomożemy! Pomożemy ci wskoczyć w ciemną jamę Kurula!

Obaj *faihok'hai* wybuchnęli szyderczym śmiechem i Rammar pojął, że tym razem niesprawiedliwie nazwał brata *umbalem*.

- J...jak to? - wyjąkał. - C...co wam zrobiliśmy? Nie byliśmy dobrymi wodzami?

- Bardzo dobrymi - uśmiechnął się Drusa - ale znalazł się ktoś, kto nam płaci jeszcze lepiej.

- Kto? - zainteresował się Rammar. - Może Kursa? Wiem, że on już od dawna ma chrapkę na tron i...

Pisok i Drusa tylko się zaśmiali.

- Zapłacę wam podwójnie! - zaskamlał grubas. - Albo potrójnie, jak będzie trzeba!

Dwaj orkowie znów się zaśmiali, spojrzeli po sobie i ruszyli do ataku.

- *Trurkor'hai!* - wrzasnął Rammar. - Przekłęci zdrajcy!

Chciał uskoczyć, ale potknął się o zwłoki gwardzisty, któremu Balbok rozplątał toporem łeb. I martwy *faihok* wypełnił swój obowiązek, choć niechcący - uratował wodzowi życie.

Zataczając się i padając na tyłek, grubas uniknął mieczy napastników. W następnej chwili trzymał w łapach *saparak* martwego wojownika i poczuł się, jakby chwycił w łapy własną przeszłość.

Wspomnienie niezliczonych przygód i niebezpieczeństw opadło go gwałtownie, dodało mu otuchy i sprawiło, że z całej siły dźgnął dzidą.

Pisok, obdarzony przez naturę wielkim pyskiem, dostał wprost w szeroko otwarte usta. Rammar uderzył tak gwałtownie, że ostrze przebiło się przez kość czaszki. Pisok upadł na kolana, gulgocząc krwią i mózgiem, po czym przewrócił się na bok.

Jego kompan Drusa, widząc to, wrzasnął wściekle i skoczył na Rammara z mieczem w dłoni. Ten tymczasem wyprostował się i rzucił całą masą ciała na zdradliwego *faihoka*, powstrzymując jego atak i wytrącając go z równowagi. Drusa poleciał do tyłu, wprost w płonące posokowe piwo.

Szybko stracił zainteresowanie swoim wodzem, tylko biegał, płonąc jak żywa pochodnia. A Rammar znów upadł na ziemię i znów zaczął się z niej gramolić, gdy ktoś wyciągnął ku niemu pomocną dłoń.

Był to nikt inny jak Balbok!

- Wszystko w porządku? - upewnił się chudy ork, którego naiwna twarz cała spryskana była krwią.

- Takie pytanie może zadać tylko taki przerośnięty głupek jak ty! - burknął Rammar, wstając ociężale. - Nic nie jest w porządku, zupełnie nic! Nasi gwardziści nas zdradzili, bo jakiś śmierdziel ich przekupił, nie dociera do twojego głupiego łba?

- Tak, chyba tak - odparł z namysłem Balbok. - Zastanawiam się tylko...

- Nad czym?

- Zastanawiam się, gdzie jest reszta *faihok'hai*. Towarzyszył nam tuzin wojowników, to wychodzi dwanaście. Dziesięciu zabiliśmy...

- Znów zaczynasz swoje głupie wyliczanki? - zirytował się Rammar, który nie miał głowy do rachunków.

- Dwóch jeszcze zostało - oznajmił chudzielec, pomagając sobie przy liczeniu paluchami. - Ciekawe tylko, gdzie się schowali.

- *Korr* - przyznał Rammar i zerknął podejrzliwie na boki. - A wiesz, kto też zniknął?

- Kto?

- Człowiek. Ten przeklęty posłaniec, którego przysłał nam Corwyn i bez którego siedzielibyśmy sobie w naszej przytulnej jaskini. Te wszystkie kłopoty to najpewniej jego sprawka i...

Uwagę orków zwróciło ciche pokaszływanie. Obaj odwrócili się, unosząc broń, ale to tylko królewski posłaniec wychodził zza skał. Jego wcześniej mlecznobiała twarz teraz była czerwona ze wstydu.

- Jestem tutaj - powiedział cicho.

- Co robisz za skałą? - zapytał Rammar.

Człowiek chwilę milczał, potem przyznał strapiiony:

- Kiedy zobaczyłem, że robi się niebezpiecznie, wołałem się schować.

- Schowałeś się?! - Rammar wybuchnął grzmiącym śmiechem. - To do ciebie podobne, ludzki pomociu! Żadnemu orkowi nigdy nie przyszłoby do głowy uciekać przed walką i chować się za skałą. Nigdy, słyszysz?

- Nie chciałem przeszkadzać wam w potyczce, wielcy wodzowie - wyjaśnił usłużnym tonem posłaniec. - Poza tym całkiem dobrze poradziście sobie bez mojej pomocy, czyż nie?

- Nie wątpię, ale... - Rammar niespodziewanie przyłożył ostrze *saparaka* do gardła posłańca, zezując na niego nieufnie. - Zastanawiam się, dlaczego *faihok'hai* nie poderżnęła ci gardła. Takich jak ty zwykle pożerają na śniadanie.

- Udawałem, że śpię - wyjaśnił poseł, nerwowo przelękając ślinę. - Otwarcie mówiąc, wasz gryzący odór nie dawał mi zmrzyć oka.

- Odór? - Balbok uniósł ramię i obwąchiwał się pod pachą. - Co jest nie tak z naszym zapachem?

- Nieważne, dalej! - zażądał Rammar. - Co było dalej?

- Zauważyłem, że wasi gwardziści coś knują i ukradkiem na was zerkają. Kiedy chwycili za broń, uznałem, że lepiej będzie zniknąć. I dokładnie to powinniśmy teraz zrobić wszyscy trzej, jak mi się zdaje.

- *Korr* - skinął głową Balbok. - Powinniśmy wrócić do *bol-bougu* i zobaczyć, jak się sprawy mają. Myślę, że ktoś nabrał chętki na nasz tron i złoto. Musimy zawrócić i...

- Za pozwoleniem, dzielny Balboku, nie radziłbym - przerwał mu pośpiesznie posłaniec.

- Nie? - Zdziwiony Rammar mocniej docisnął ostrze dzidy do jego krtani. - A niby czemu?

- Mówiliście właśnie, że brakuje wam dwóch gwardzistów. - Człowiek i tym razem miał gotową odpowiedź. - Na pewno wrócili do wioski, by zanieść tam wieść o waszej śmierci.

- Trochę się pośpieszyli - mruknął ponuro Rammar. - Mogli przynajmniej poczekać, aż rzeczywiście wpadniemy w ciemną jamę Kurula.

- Rzeczywiście - skwapliwie zgodził się Balbok.

- Tak czy owak - ciągnął królewski posłaniec - bardzo prawdopodobne, że na tronie siedzi już inny ork i kiedy tylko się pokażecie, podjudzi przeciw wam całą wioskę.

- To prawda - stwierdził przybity Rammar, opuszczając wreszcie dzidę.

- Wracajmy, co tam! - upierał się Balbok. - Musimy odzyskać tron. Nie chcesz chyba pozwolić, żeby siedział na nim jakiś *ma-lash*?

- Jasne, że nie - wymamrotał gruby ork i nagle znów przytknął dzidę do gardła ludzkiego posła. Nie żeby miał coś przeciwko niemu, był to taki niewinny orczy odruch. - Ale nic nie zyskamy, pozwalając się zmasakrować. Przecież znasz zasady: kiedy

na tronie zasiądzie nowy wódz, plemię jest mu winne wierność...

- ...dopóki inny nie przyjdzie i nie straci mu łba - dokończył Balbok gniewnie i pomacał żeleźce swego topora. - Właśnie na to mam wielką ochotę.

- Myślisz, że ja nie? - parsknął Rammar, choć wizja kolejnej walki z *faihok'hai* ani trochę go nie kusiała.

- To brzmi bohatersko - rzekł posłaniec i ostrożnie dwoma palcami odsunął czubek dzidy Rammara od swojej krtani - ale równocześnie dość... głupio.

- Hmm - prychnął ork. - Głupio?

Królewski poseł przestraszony cofnął się o krok.

- Cóż... ja... to znaczy...

- Co z tobą, człowieku?! - ryknął Rammar, wbijając w niego spojrzenie nabiegłych krwią oczu. - Co proponujesz, hę?

- Najpierw powinniście w spokoju się zastanowić: wasi ludzie zwrócili się przeciwko wam, straciliście wszystko, co mieliście, i jesteście zdani tylko na siebie. W takim położeniu nie byłoby mądrze ryzykować konfrontację. Mądrzej byłoby poszukać kogoś, kto jest wam winien przyjaźń i wierność i może wam pomóc.

Rammar i Balbok nie zastanawiali się długo.

- Ktoś taki nie istnieje - stwierdzili zgodnie.

- Zapominacie o królu Corwynie i królowej Alannah - przypomniał posłaniec. - Prosili was o pomoc. Pomóżcie im pokonać ich wrogów, wtedy oni na pewno pomogą wam.

- Tak myślisz? - spytał Balbok.

- Jestem pewien.

- No cóż... - Chudzielec w zamyśleniu podrapał się po skroni. - Może ten człowiek nie jest głupi, Rammar. Może powinniśmy po prostu pójść dalej do Tirgas Lan...

- ...i mieć nadzieję, że dawny łowca głów i jakieś przekłete elfie babsko pomogą nam odzyskać tron? - podchwycił kpiąco grubas.

Dopiero co miał nadzieję, że pod pozorem pomocy obłąpią Corwyna do reszty, a wychodziło na to, że przyjdzie im klęść u jego stóp i skamleć żałośnie. - Co za przekłete *shnorsh!* To wszystko przez ciebie! - wrzasnął na brata. - Gdybyś stale nie lamentował, jak to się nudzisz i jak to ci tęskno za przygodą, nigdy byśmy nie opuścili naszego *bolbougu!*

- Przykro mi...

- Ile jeszcze razy muszę ci powtarzać, że prawdziwy ork nie przeprasza?! - Rammar darł się jeszcze głośnie. - Co najwyżej przyjmuje sprawiedliwe łajanie.

- Tak, Rammar. Wybacz. - Balbok skinął głową przybity. - Ale co teraz zrobimy?

Rammar zmarszczył chmurne czoło i udał głęboki namysł - w rzeczywistości dawno podjął decyzję. Potyczkę z *faihok'hai* przeżyli, jednak nie bez trudu i przy sporej dozie szczęścia. Pomaszerować z powrotem do *bolbougu* i wyzwać do walki resztę wojowników byłoby samobójstwem. Znacznie większe widoki na przeżycie mieli, kierując się do Tirgas Lan. Nawet jeśli do orka bardziej podobne byłoby zawrócić i wkroczyć na ścieżkę zemsty, grubas widział już tej nocy wystarczająco dużo wypruwanych flaków i uznał, że jego własnym wnętrzościom byłoby wyjątkowo przykro opuszczać pana. Pozostawała więc droga na wschód...

- Idziemy do Tirgas Lan - zdecydował za nich obu. - Możemy ostatecznie posłuchać, czego chce od nas Corwyn, potem się zobaczy.

- A kiedy będzie po wszystkim, wrócimy do *bolbougu* - nalegał Balbok - i damy kopa w *asar* tym, co z nami tak nieczysto zagrali, dobrze?

- Za to mogę ręczyć, bracie - zapewnił gniewnie Rammar i przez krótką chwilę obaj byli zgodni jak rzadko. - Człowieku - zwrócił się do królewskiego posłańca, podczas gdy na wschodzie majaczył już nowy dzień, rozjaśniając strzępiaste szczyty Gór

Czarnych - prowadź nas zatem do swojego króla.

- Wasze życzenie jest dla mnie rozkazem - rzekł królewski posłaniec, kłaniając się gorliwie.

Orkowie zgarnęli więc swój niewielki dobytek, zjedli skąpe śniadanie i ruszyli w drogę. Nie mieli pojęcia, że ktoś ich obserwuje - ktoś bardzo, ale to bardzo rozczarowany tym, że podstępny zamach gwardzistów zakończył się porażką...

4. TULL ANN TIRGAS-LAN

Dalsza droga do Tirgas Lan minęła bez przygód i niebezpieczeństw, Balbok uznał za godne pożałowania. Podczas walki z *faihok'hai* chudy ork po raz pierwszy od dawna znów posmakował krwi i uzmysłowił sobie, jak bardzo mu tego brakowało. Dawno się tak dobrze nie bawił, a gdyby jego brat nie zgrywał takiego ponuraka, też by przyznał, że bijatyka w lesie była czystą przyjemnością. W każdym razie lepszą niż siedzenie na tronie w *bolbogu* i rzucanie wkoło złotymi wazami.

Od wielu księżyców Balbok nie czuł się tak żywotny i to pomimo że już stał nad krawędzią mrocznej jamy Kurula.

Po trwającym wiele dni marszu, podczas którego Rammar stracił swoje nadliczbowe funty, orkowie i ich ludzki przewodnik dotarli do wschodnich krańców Gór Czarnych. Podążali wzdłuż Rzeki Granicznej i przekroczyli ją przy Wielkim Brodzie, gdzie w Pierwszej Wojnie połączyły się armie orków i ludzi.

Tam spotkali pierwsze straże graniczne.

Posłaniec Corwyna podał patrolowi - ciężkozbrojnym, wielkim wojownikom ze wschodniej wyżyny - odpowiednie hasło, na brzmienie którego przepuszczono orków, choć taksując ich nieufnymi spojrzeniami. Potem wędrowcy ruszyli dalej na południe wzdłuż krańców Równiny Scarii, którą orkowie zapamiętali jako jałową, nieurodzajną krainę. Jednak od ostatniej przygody Rammara i Balboka zmieniło się tam co nieco.

Po tym jak wygasła klątwa Targas Lan i Las Trowna przestał być ostoją mrocznej siły, do Scarii powróciło życie. Krzewy i żółtozielona trawa porastały równinę, nad głowami przelatywały chmary ptaków. Widać już było pojedyncze osady - koloniści ze wschodnich granicznych miast przybyli na zachód w poszukiwaniu szczęścia i osiedlili się tu jako chłopci, rzemieślnicy albo karczmarze.

- To jeszcze dzika, niecywilizowana kraina - wyjaśnił posłaniec - ale kiedyś, gdy cały Łąd zjednoczy się pod władzą jednego króla, drogi połączą miasta i większe osady. Wtedy nastanie pokój i dostatek. Rozkwitnie handel i będzie prawie jak za czasów elfich królów.

- Oj - na Balboku nie zrobiło to wrażenia - ale nuda...

Reszta podróży minęła bez wartych wzmianki wydarzeń, pomijając może zawziętą bijatykę w gospodzie na zachodnim skraju Trowny. Zamożny podróżny z Andaril omyłkowo wziął Rammara za jaskiniowego trolla i chciał go wynająć do dźwigania swojego bagażu. Skutkiem były połamane ręce podróżnego, który zresztą powinien uważać się za szczęściarza, bo gdyby nie posłaniec Corwyna, niewiele by z niego zostało.

Przemierzyli Las Trowna w niczym nie przypominający już owej mrocznej, groźnej puszczy, przez którą orkowie przedzierali się zaledwie przed rokiem. Wędrowali drogami dawnego

królestwa elfów znów wydobytych na światło dzienne spod bluszczów i mchu. Wreszcie wśród zieleniejących gajów i barwnych kwiatów roztańczających oszałamiającą wonie - przynajmniej dla ludzkiego nosa - dotarli do Tirgas Lan.

Dawne miasto elfów też się zmieniło. Mury i wieże wyrastające wprost z obfitej zieleni drzew strzelały w górę w jasnym świetle słońca. Marmur i alabaster promieniały dawnym blaskiem, nic już nie przypominało wszechobecnej czerni pokrywającej niegdyś to miejsce.

Na zewnątrz murów wyrosły szałas i chaty. Kiedy z szybkością ognia po Łądzie rozeszła się wieść, że w Tirgas Lan zasiadł nowy władca, przybyło wielu ludzi, przeważnie uchodźców ze wschodu mających dość ciągłych wojen między tamtejszymi możnowładcami i tęskniących za pokojem. Stare królewskie miasto emanowało tak wielką siłą przyciągania, że przybywało ich tu coraz więcej i mury Tirgas Lan nie były już w stanie wszystkich pomieścić. Lecz gdziekolwiek Rammar i Balbok by nie spojrzeli, widzieli pełnych nadziei ludzi.

Tego właśnie nie mogli ścierpieć.

- Słowo daję, Rammar - szepnął do brata Balbok, gdy przechodzili przez Wielką Bramę - dawniej bardziej mi się tu podobało. Mury były czarne i kruszyły się, i we wszystkich kątach cuchnęło zgnilizną i wilgocią. A teraz...

- Masz rację - ponuro skinął głową Rammar. - Odkąd panoszą się tu ci nędzni ludzie, to miasto straciło swój charakter. Ależ nudne są te mleczne gęby!

Jak wiele razy wcześniej, gdy mijali wartowników, posłaniec podał odpowiednie hasło. Tym razem, ku przerażeniu Rammara i Balboka, strażnicy spojrzeli na orków nie z nieufnością, ale z nieskrywanym podziwem.

- To oni? - usłyszał Rammar, jak jeden ze zbrojnych pyta starszego towarzysza.

- Na pewno - odparł tamten. - Jeden wysoki i chudy, drugi mały i krępy. To Balbok i Rammar, Wybawiciele Korony...

Wybawiciele Korony!

Rammar splunął i zmierzył wartownika nienawistnym spojrzeniem. Mierzyłby go pewnie dłużej i jeszcze bardziej nienawistnie, ale posłaniec pociągnął ich główną ulicą Tirgas Lan ku wielkiej cytadeli, jeszcze nie tak dawno będącej sceną dramatycznej walki światła i mroku. Orkowie pluli sobie w brodę, że stali wtedy po złej stronie, mianowicie po stronie światła.

Powrót do Tirgas Lan obudził wspomnienia i obu braciom wydało się, jakby dopiero co opuścili miasto elfów. A zarazem jakby widzieli je pierwszy raz. Wszędzie tłoczyli się ludzie najrozmaitszego pochodzenia i w najrozmaitszych strojach. Tu handlarze zachwalali na cały głos swoje towary, tam przed tawerną siedzieli goście; tu odbywał się targ, tam garncarze i stolarze oferowali swoje usługi.

- Powiedz, Rammar - mruknął Balbok - wiedziałeś, że mlecznogębi mogą mieć różny kolor?

- Nie - odpowiedział markotnie grubas.

- Nie tylko ich skalpy i sierść na twarzach bywają ciemne albo jasne...

- Niektórzy wcale nie mają na twarzy sierści - uzupełnił Rammar - a kilku najwyraźniej straciło już skalp, ale wciąż są na chodzie i to całkiem żywotni.

- ...ale różnią się też kolorem skóry - kontynuował Balbok. - Czasem mają bezkrwistą i bladą, czasem brudną, innym razem całkiem zwęgloną albo chorobliwie żółtą.

Rammar westchnął.

- Nie możemy nawet wyzywać ich już od mlecznogębych... Ech, nawet żeby kogoś zwyzywać, trzeba ruszyć głową...

Zbliżali się do cytadeli z wielką kopułą górującą wysoko nad morzem domów i widoczną z daleka. Tirgas Lan było w równej mierze miastem, co twierdzą - w dawnych czasach zbudowano je jako centrum ogromnego imperium władającego całym *sochgal*. Jednak z biegiem wieków i w następstwie dwóch wojen państwo to stopniowo się rozpadło - nie chwaląc się - w dużej mierze dzięki orkom. Rammar wolałby, żeby ludzie pamiętali o tym, zamiast wspominać niesławną rolę, jaką jego brat i on odegrali w wyzwoleniu Tirgas Lan.

Na twarzach wartowników przy bramie cytadeli także malował się ów nieskrywany podziw, za który Rammar najchętniej by ich poćwiartował. Bo czy dla orka można wyobrazić sobie większą zniewagę niż podziw w oczach ludzi? Oczywiście, nie podobałoby mu się również, gdyby strażnicy patrzyli na niego i Balboka z pogardą. Ale strach, drżenie kolan, zimny pot, nawet lekkie popuszczenie w spodnie - o tak, to byłoby stosowne.

- Co jest?! - ryknął Rammar na wartowników. - Nie chcecie przynajmniej spróbować odebrać nam broni?

- To niepotrzebne - uspokoił go królewski posłaniec. - Tirgas Lan jego król w pełni ufają swoim najlepszym przyjaciółom.

- Najlepszym przyjaciółom?! - parsknął Rammar. - Kto, na cuchnące trzewia Torgasa, ośmiela się twierdzić, że jesteśmy przyjaciółmi?! Zaraz nafaszeruję cię twoją przyjaźnią, ty wredny mlecznogęby...

W wielkim wejściowym holu nie było śladu dawnej grozy, zdobyły go teraz proporce wszystkich miast, które przyłączyły się do nowego królestwa - kolorowe aż mdliło! Tę torturę tłusty ork jeszcze by zniósł, ale gdy przyszło mu przejść między szeregami żołnierzy w zielonych mundurach i srebrnych kolczugach, którzy na

widok bohaterów sprezentowali broń... Nie, Rammar nie czułby się podlej, gdyby owi wojacy dzierżyli batogi i smagali nimi przybyszów do krwi.

To, że posłaniec Corwyna rozkoszuje się tym ceremoniałem, ork mógł jeszcze zrozumieć; ludzie - podobnie jak elfy i krasnoludy - kochają takie idiotyzmy. Ale tego, że Balbok szczerzy zęby jak świeżo wykastrowany łąkowy troll, tego po prostu nie mógł znieść.

- Przestań krzywić głupkowato gębę, *umbalu!* - syknął na brata. - Te ludzkie gnidy szydą z nas, a ty się jeszcze cieszysz?

- *Douk* - zdecydowanie zaprzeczył Balbok.

- To czego się uśmiechasz?

- Bo właśnie przypomniła mi się nasza ostatnia wizyta tutaj. Pamiętasz? O, tu świecznikiem wielkości orka rozwaliłem łeb Graishakowi...

Tak, Balbok miał rację. Rammar nie rozpoznałby sceny ich decydującej walki, gdyby Balbok mu nie przypomniiał. Korytarza nie spowijały już ciemności, przez wysokie okna po jednej jego stronie wpadało jasne słoneczne światło. Jednak bez wątpienia był to ten sam korytarz, w którym spotkali zdrajcę i skrzyżowali z nim miecze - i nie tylko.

Korytarz prowadził do wielkiej sali pod kopułą. Tu jak przed tysiącem lat rezydowali król i królowa.

Rammar wzdrygnął się i rzucił soczystym przekleństwem, gdy rozbrzmiały fanfary.

- *Shnorsh!* - narzekał, słysząc ich metaliczny, chrzęszczący dźwięk. - Ci mlecznogębi nie mają więcej pojęcia o muzyce niż nasz przeklęty bard!

Trójka przybyszów wkroczyła przez szeroko otwartą bramę do sali tronowej. Posłaniec głośno obwieścił ich zjawienie się:

- Królewskie wysokości, wysłaliście mnie na poszukiwanie tych, którzy pomogli wam w potrzebie w godzinie najtrudniejszej

próby, gdy decydowały się losy tego miasta i całego świata. Wspi-
nałem się na góry, przemierzałem doliny, przekroczyłem rzeki i
jeziora, by wypełnić wasze rozkazy. Dotarłem do serca Stęchłej
Marchii i tam ich odnalazłem. Wasze Wysokości, oto oni: dwaj
mężni, bohaterscy wojownicy, orkowie Balbok i Rammar!

Gromkie wiwaty i oklaski niczym chmara komarów opadły
nieszczęsnych orków. Instynktownie chwycili broń i wydali gło-
śne bojowe wrzaski. Aplauz momentalnie zamilkł i nastąpiło coś,
co bynajmniej nie należało do ich marzeń, ale co przynajmniej
ogarniali umysłem - otoczył ich pierścień strażników z groźnie
pochylnymi halabardami.

Orkowie wymienili markotne spojrzenia i opuścili broń. Na to
strażnicy również otwarli kordon i między szpalerem zbrojnych
Balbok i Rammar dotarli na środek sali, gdzie w marmurowej
podłodze ziała okrągła dziura. Jak obaj przybysze wiedzieli, otwór
ten prowadził do skarbcza Tirgas Lan, z którego wtedy zabrali wóz
załadowany kosztownościami.

Po przeciwnej stronie otworu na kamiennym podejściu stały
dwa bogato rzeźbione i zdobione godłem Tirgas Lan trony, a na
tronach siedziało dwoje starych znajomych.

- No, no - szepnął Rammar do brata. - Oto i gospodarze...

Na oczach całego dworu orkowie przemierzili salę długimi
krokami. Rammar starał się przy tym ze wszystkich sił robić jak
najstraszliwsze wrażenie - ostatecznie nie jest pierwszym lepszym
przybłędą, ale wodzem Stęchłej Marchii. W złotym hełmie dum-
nie kroczył wzdłuż wytwornie odzianych książąt i dam w długich
sukniach - marszczących blade noski, gdy orkowie przechodzili
tuż obok. Dziwaczki!

W końcu bracia stanęli przed królewską parą. Poprzedzający
ich posłaniec skłonił się głęboko, lecz Rammar nie widział powo-
du, by go naśladować. Kiedy Balbok chciał zgiąć kark, dał mu

takiego kuksańca, że chudzielec zdławionym głosem wrzasnął z bólu.

Cóż, gdyby Rammar był ze sobą szczerzy, musiałby przyznać, że w jego ponurym wnętrzu jakaś mała cząsteczka cieszyła się ze spotkania. Jednak prędzej dałby sobie wyrwać język, niżby to przyznał. Aż nadto dobrze poznał tych dwoje siedzących przed nim, i choć mocno się zmienili, on nadal widział w nich podupałego łowcę głów i zadzierające nosa elfie babsko...

- Witaj, Balboku. - Alannah pozdrowiła chudszezo z braci i jej dystyngowane blade oblicze ozdobił uśmiech. - Dziękuję tobie i twemu bratu, że posłuchaliście naszego wezwania. Miło jest was znowu widzieć.

- I ja ci, królowo, dziękuję - odpowiedział Balbok w języku ludzi, gdyż w mowie orków brakowało tego słowa. Po czym, ku niezmiernej irytacji Rammara, jeszcze się uklonił.

- Głupi kretynie! Przeklęty *umbalu!* - szepnął do niego brat. - Nie musisz się przed nią garbić. Jesteś wodzem, nie zapominaj.

- Już nie... - szeptem przypomniał posłaniec.

- Zamknij się! - warknął na niego Rammar.

- Wiadomo mi, że przybyliście tu obaj z własnej woli - rzekł Corwyn. W pamięci Rammara jego głos nie brzmiał tak srogo i nie budził takiego respektu. - Jestem waszym dłużnikiem.

- Właśnie, łowco g...hę... hę, królu - szybko poprawił się Rammar. - Nie zapomnij o tym od razu, *korr?*

- *Korr?* - uśmiechnął się Corwyn. Gdyby nie aksamitny, obszuty złotem płaszcz i korona elfów na jego skroni, gruby ork mógłby przysiąc, że ma przed sobą tego samego cwanego łajdaka, który omal nie oskalpował Balboka i jego samego. Rzeźbione wiatrem rysy twarzy, zuchwały uśmiech, klapka na prawym oku, to wszystko pasowało bardziej do tamtego awanturnika niż do władcy imperium.

Całkiem inaczej sprawa się miała z Alannah. W jej wyglądzie było coś arystokratycznego na długo zanim Corwyn uczynił ją swoją małżonką. Jako arcykapłanka strzegła w Lodowej Świątyni Shakary tajemnicy elfów. Gracja i dostojeństwo zdawały się cechować ją od kołyski, podobnie jak wielu innych przedstawicieli jej rasy. Właśnie tego nie mogli znieść orkowie, chociaż obie rasy - jak przyszło przekonać się Rammarowi i Balbokowi - miały wspólne korzenie i pochodziły jedna od drugiej, gorzej nawet: orkowie byli potomkami tych wywyższających się zarozumiałców. Krucha postać Alannah, jej twarz o wystających kościach policzkowych, spiczaste uszy i łagodne rysy zwodziły - w rzeczywistości była twarda, wytrwała, a do tego przebiegła jak wąż, o czym Rammar i Balbok mieli okazję się przekonać.

- Czy dziś wieczorem zaszczyćcie nas swoją obecnością na bankiecie? - zapytał naraz Corwyn.

- *Korr* - odpowiedział Balbok, nim Rammar zdążył zaprotestować - jeśli będzie coś porządnego do żarcia! Żołądek mam pod kolanami.

- Ty *umbalu!* - zrugął go brat i wyszczerzył zęby. - Już nie pamiętasz, jakie wstrętne rzeczy żrą ludzie? - I zupełnie zapominając, że on sam nie lubi ludzkiego mięsa, dodał: - Nie posądzam Corwyna o taką gościnność, że każe swojego człowieka nafaszerować czosnkiem i cebulą, żeby nas stosownie ugościć. - Zaśmiał się grzmiąco, na co niektórzy z dworzan trwożliwie zadrżeli albo nawet cofnęli o krok.

- To prawda - odparła Alannah - ale poinstruowaliśmy naszego nadwornego kucharza, jak przygotować *bru-mill*. Tak nazywacie swoje słynne danie, prawda?

- Będzie *bru-mill*? - Balbok zadarł głowę i głośno węszył, czy poczuje już swoją ulubioną potrawę.

- Już się cieszę - burknął sarkastycznie Rammar, choć myśl o *bru-mill* sprawiła, że i jemu, wygłodniałemu po długiej wędrówce, ślinka napłynęła do ust.

- Gościć was będzie dla nas przyjemnością - zapewniła Alanah z uśmiechem, który na pierwszy rzut oka wyglądał tak przyjaźnie, że wedle doświadczenia Rammara, nie obiecywał nic dobrego. - Posiedzimy sobie i pogadamy o starych czasach.

- *Korr* - zgodził się Rammar. - A potem powiecie nam wreszcie, czego od nas chcecie...

Nie był to *bru-mill*, jaki przyrządzają orkowie. Nadworny kucharz dodał świeżego trollego sadła zamiast zjełczałego, ale jak na *achgosh-bonna* sprawił się nieźle i Balbok z Rammarem nie spluwali nawet przy jedzeniu. Choć po prawdzie, gdyby to kucharz orków przyrządził coś takiego, wódz własnoręcznie wyprułby mu flaki i dorzucił do kotła.

Szerokim kręgiem wokół otworu skarbcza ustawiono długie stoły, za którymi zajęli miejsca król i królowa z całym dworem oraz oczywiście honorowi goście: orkowie Balbok i Rammar. Podczas uczty obaj raz po raz pożądliwie zerkali w dół, gdzie nadal piętrzyły się ogromne ilości srebra, złota i szlachetnych kamieni.

Występowały tancerki i śpiewali bardowie, Balbok nie zwracał jednak na to uwagi zajęty opróżnianiem swojego talerza z *bru-mill* i domaganiem się od służby jednej dokładki po drugiej. Za to Rammar, choć z początku zaciekawiony występami, szybko uznał, że minstrele są beznadziejni. Zastanawiał się, czy nie wykonać jednej ze skomponowanych przez siebie pieśni, ale porzucił ten zamiar. Ludzie na pewno nie będą potrafili docenić sztuki orka; śpiewać dla nich epos o Rammarze Gniewnym to jak rzucać złoto przed trolle.[Przysłowie ludowe orków]

Gdy bankiet się skończył i zamilkły okropne wrzaski bardów, dworzanie zaczęli opuszczać salę, życząc innym dobrej nocy.

- A cóż to znowu? - Balbok mlasnął i zapytał Rammara. - Czemu oni wszyscy już idą? Przecież żarcie się jeszcze nawet na dobre nie zaczęło!

- Nie każdy jest takim obżartuchem jak ty - odparował jego gruby brat.

- Zupełnie nie rozumiem tych mlecznogębych - narzekał chudzielec. - Najpierw gadają o wielkiej uczcie, a potem idą zaraz po przystawce.

- Normalnie zgodziłbym się z tobą - rzekł Rammar, rozglądając się bacznie - ale tym razem chyba znam powód, czemu mlecznogębi już wychodzą.

- Tak? A co to za powód?

- Popatrz na Corwyna. Coraz to na nas spogląda tym swoim jednym okiem. Nie może się doczekać, żeby z nami porozmawiać.

- Tak myślisz?

- Pewnie! Corwyn tkwi w *shnorsh* po uszy. Inaczej człowiek nie prosi o pomoc orka, możesz mi wierzyć.

- Hm - mruknął Balbok i zajął się na powrót *bru-millem*, a jako że zwyczaj używania łyżki był mu zupełnie obcy, siorbał gęstą zupę wprost z talerza. Za każdym razem, kiedy któryś z dworzan zerkał na nich z niesmakiem, Rammar nie mógł powstrzymać szerokiego uśmiechu.

Nie trwało długo, a sala tronowa opustoszała niemal całkowicie. Zostali już tylko Balbok i Rammar po jednej, a Corwyn i Alannah po przeciwległej stronie okrągłego stołu.

- Szmata czasu, co? - Corwyn przerwał ciszę, zakłócaną jedynie siorbaniem Balboka.

- Nie tak znowu wiele - odpowiedział gruby ork. - Ja w każdym razie jeszcze wszystko dobrze pamiętam.

- To tak jak ja - Alannah skinęła głową. - A we wspomnieniach widzę nas, jak ramię w ramię walczyliśmy ze złem trzymającym w kleszczach Tirgas Lan.

- *Douk*. - Rammar zdecydowanie pokręcił głową. - Wy może walczyliście ze złem, niech będzie, ale Balbok i ja zrobiliśmy tylko to, co zrobiliby na naszym miejscu każdy ork: zabiliśmy każdego, kto był na tyle głupi, żeby wchodzić nam w drogę, zmasakrowaliśmy kilku zdrajców, którzy chcieli zabrać nam skarb i sprzymierzyli się z nędznymi gnomami, no i staraliśmy się jak najlepiej zarobić na tym wszystkim.

- A przy okazji niechcący zostaliście bohaterami - dokończyła królowa.

Thusty ork wzdygnął się jak od smagnięcia biczem.

- O co wam, spiczastouchym i mlecznogębym, stale chodzi z tym bohaterstwem?! - warknął. - Co, proszę ciebie, jest takiego wspaniałego w tym, żeby wstawiać się za innymi albo może jeszcze za nich gryźć trawę?

- Wszystko - odpowiedziała Alannah.

- Nic - sprzeciwił się Rammar. - My, orkowie, też mamy bohaterów, których podziwiamy, ale oni nie robili z siebie takich głupków jak wasi. Gulz Rzeźnik na przykład zasłynął tym, że kazał rozplatać całą wrogą armię i nafaszerować cebulą i czosnkiem. A Hirul Bezgłowy też nie dostał swego imienia przypadkiem. Walczył nadal, choć troll wyrwał mu głowę z ramion. A Koruk Szczający Trucizną nazywał się tak, bo...

- Wystarczy! - Alannah podniosła ręce w obronnym geście. - Domyślam się, co uczynił Koruk Szczający Trucizną. Nasze obrażenia bohaterstwa i wielkich czynów nie są może identyczne, ale nie możecie zaprzeczyć, że przyczyniliście do oswobodzenia Tirgas Lan, nieważne, czy było to waszym zamiarem, czy nie. Dzielnie walczyliście i okazaliście się dobrymi sprzymierzeńcami, i z tego powodu wezwaliśmy was teraz.

- Aha - parsknął Rammar - teraz powoli przechodzimy do rzeczy. Co się dzieje? Po co potrzebujecie naszej pomocy?

Corwyn zmarszczył czoło. Odpowiedź, co Rammar zauważył z niemalą satysfakcją, kosztowała go sporo i przełamał się, dopiero gdy Alannah ponagliła go wzrokiem.

- Jak zgasilibyście ogień? - zapytał wreszcie.

- Ogień? Jasne, że wodą! Czy wy, ludzie, już kompletnie zgłupielście, że musicie wołać orka, żeby odpowiedział wam na takie pytanie? Toż gnom by się uśmieł!

- Woda to jedna możliwość, ale są jeszcze inne - odparł Corwyn, puszczając obelgę mimo uszu. - Ludy wschodu na przykład walczą z pożarami stepu, zapalając przeciwny ogień i zabierając w ten sposób płomieniom pożywkę. Oba pożary suną ku sobie na przeciw i w końcu pożerają się wzajemnie.

- Co ty nie powiesz! - warknął Rammar, który nigdy o tym nie słyszał. Orkowie zresztą nie byli zbyt zainteresowani zwalczaniem pożarów, o wiele bardziej zajmowało ich wzniecanie takich. Kiedy w Stęchłej Marchii wybuchał ogień, wszyscy skakali z uciechy. Tylko kompletnemu *umbalowi* przyszyłoby do głowy psuć zabawę. - A czemu nam to wszystko opowiadasz?

- Co wam już powiedział mój posłaniec? - spytał Corwyn.

- Dość, żebym wiedział, że wpakowałeś się w kłopoty - odparł mu bez ogródek Rammar i zerknął na brata. Balbok odrzucił już talerz, lecz kazał przynieść sobie kocioł, który przyłożył do ust niczym wielki puchar, i mlaskał, i siorbał na całego.

- Kłopoty, faktycznie - skinął głową Corwyn. Potem podniósł się i statecznym krokiem przemierzając salę, zaczął opowieść: - Na początku było łatwo. Wieść, że korona elfów królem Tirgas Lan uczyniła człowieka, który wziął za żonę elfinię, rozeszła się szybko i wielu przybywało złożyć nam hołd, a niejeden z nich tu

pozostał. W ciągu kilku miesięcy Tirgas Lan, tak długo będące miastem-upiorem, stało się centrum świata i znakiem nowej nadziei. Książęta krasnoludów i wiele hrabstw z północnych wyżynnych krain uznali mnie za władcę i przyłączyli się do nowego państwa dla dobra Łądu i wszystkich jego mieszkańców.

- Ale nie wszyscy - domyślił się Rammar.

Corwyn przystanął i pokręcił głową.

- Początkowo niewielu było takich, co nie chcieli zaakceptować mojego panowania. Nie zwracałbym na nich uwagi, gdyby nie napadli na swoich sąsiadów, którzy oddali się pod ochronę Tirgas Lan. Doszło więc do wojny...

- A co w tym nowego? We wschodnich krainach ludzie odrańbują sobie nawzajem łby od niepamiętnych czasów. Krasnoludy dostarczają broni, orkowie zaciągają się do ich armii jako najemnicy. Zawsze tak było i zawsze tak będzie. Wszyscy są zadowoleni, czemu to zmieniać?

- Dawno już nie wszyscy są zadowoleni - sprzeciwił się Corwyn. - Zapominasz o żniwie, jakie zbiera wojna. Kobiety stają się wdowami, a dzieci sierotami. Zaś mężczyźni, którzy wyruszali na bitwę jako dzielni wojowie, jeśli w ogóle wracają, to zmienieni w kalekie pokraki.

- I co z tego? - Rammar wzruszył barczystymi ramionami.

- Trzeba temu położyć kres - zdecydowanym głosem stwierdził Corwyn.

- Cooo?! - Ork wybałuszył ślepie. - A niby czemu?

- Masz rację we wszystkim, co powiedziałaś - kontynuował Corwyn - wojna należy do wschodnich krain jak słońce do dnia. Od dziesięcioleci ludzie zabijają się tam w walce o władzę, ale to musi się skończyć. Do Tirgas Lan wrócił król, tak jak przepowiedział Farawyn, a z nim wróciły prawo i porządek. Tak, tylko że jest taka jedna siła, która sprzeciwia się proctwu i Tirgas Lan.

- Jedna siła? - złapał go za słowo Rammar. - Myślałem, że sporo jest takich sił, którym czemuś nie w smak twoje rządy...

- Z wodzami klanów na północy poradzimy sobie - wyjaśniła Alannah. - Działają na własną rękę i często niezbyt rozumnie. Ktoś inny, albo coś innego, przysparza nam znacznie większej troski.

- A kto to?

- Wydaje się, że na dalekim południowym wschodzie, w mieście Kal Anar, jest nowy władca. Nie wiemy dokładnie, co tam się dzieje, ale wygląda na to, że trwają tam zbrojenia na wojnę z Tirgas Lan.

- Skąd wiecie?

- Wnioskujemy to z nielicznych wieści, jakie do nas docierają. To nawet mniej wieści, a bardziej plotki. Godnych zaufania raportów nie dostajemy już od dawna, gdyż wysyłani przez nas szpiegowie wrócili tylko częściowo.

- Częściowo? - Balbok oderwał się od kotła. Nie dlatego, że był już najedzony, ale po prostu ujrzał dno. No i wizja szpiega w kawałkach przedstawiała się całkiem apetycznie. - A co to znaczy, że częściowo?

- To znaczy, że odesłano tylko ich głowy, reszta została w Kal Anar - odpowiedział Corwyn twardym głosem. - Wróg nie zna łaski.

- Eee, taki drobiazg! - Rammar machnął ręką rozczarowany. - Spodziewasz się zatem, że wesprzemy cię w walce z panem Kal Asar?

- Kal Anar - poprawił Corwyn - a wy macie pomóc nie mnie, ale Tirgas Lan.

- A co to za różnica?

- Nie chodzi o mnie - wyjaśnił król. - Liczy się tylko korona. W pierwszych miesiącach panowania nie przespałem prawie żadnej nocy, tylko wciąż przewalałem się na łóżku i zastanawiałem, czemu opadła właśnie na moją głowę.

- Też chciałbym wiedzieć! - westchnął Balbok.
- Nie mogłem pojąć - mówił dalej Corwyn - dlaczego akurat mnie przypadł ten zaszczyt i ta wielka odpowiedzialność, ale Alannah wyjaśniła mi, że nie liczy się, na czyjej głowie spoczywa królewska korona, ale to, by jej właściciel postępował właściwie. Ta korona zdobiła niegdyś skronie elfich królów rządzących całym Łędem w pokoju i zgodzie. Tego samego pragnę i ja. Macie rację, że we wschodnich krainach wojna jest na porządku dziennym. Ale teraz nadarza się sposobność położyć kres temu bezsensownemu przelewowi krwi. Jedność królestwa jest możliwa. Jednak jeśli nie uda się nam ugasić płomieni wojny, ten niszczycielski ogień rozprzestrzeni się i zniszczy naszą wizję, nim zdążymy ją zrealizować.
- Rozumiem. - Rammar skinął głową, uśmiechając się szeroko. - Po to ta cała paplanina o ogniu i takie tam. Chcesz, żebyśmy zostali twoim przeciwnikiem.
- Brutalna przemoc celem zwalczenia brutalnej przemocy - potwierdziła Alannah. - Prawo równowagi sił.
- Nie znam się na prawach - odpowiedział Balbok i zaraz dodał nie bez dumy: - ale umiem liczyć. I nie rozumiem, jak dwóch orków ma starczyć przeciw całemu miastu. Jeśli na dodatek tam zbiera się cała armia.
- Widzisz? - Rammar wyszczerzył zęby do dawnego łowcy głów. - Nawet mój głupkowaty brat zrozumiał, że twój plan jest idiotyczny. My, orkowie, nazywamy coś takiego *kro-truuark*. Wyprawa, z której nikt nie wróci żywy.
- Nie bylibyście sami - sprzeciwił się Corwyn. - Na swoje rozkazy mielibyście całą drużynę.
- Rozkazy? Drużyna? - Świńskie oczka Rammara zabłysły chciwie. Rozkazywać, mówić innym, co mają robić, to było to, co zawsze lubił najbardziej. Jednak w tej całej sprawie był jeden hak. Przedsięwzięcie wydawało się nadzwyczaj ryzykowne, a Rammar

był pewien, że najgorszego Corwyn jeszcze im nie powiedział.

- Brzmi nieźle - zaczął ostrożnie - ale coś się tu nie zgadza. Może i nosisz teraz koronę, ale pod spodem dalej jesteś takim samym cwaniakiem jak dawniej, Corwyn.

- Masz rację - przyznała otwarcie Alannah - mój małżonek zataił przed tobą ważną informację.

Gruby ork skrzywił się paskudnie.

- Ciekawe, czemu mnie to nie dziwi...

- A jaka to informacja? - zapytał Balbok.

Corwyn posłał królowej ostrzegawcze spojrzenie, ale elfini najwyraźniej była zdecydowana wyjawić orkom całą prawdę.

- Kal Anar - rzekła - to nie jest jakieś tam miasto. Dziś to siedziba ludzi, ale dawniej mieszkały tam elfy. Jeden z nich zyskał potem smutną sławę. Kal Anar to rodzinne miasto Margoka!

- Margoka? - spytał Balbok.

- Mówimy o tym Margoku? - upewnił się Rammar. Alannah skinęła głową.

- Tak, o tym Margoku.

- O Ciemnym Elfie? - W głosie Balboka dało się nagle słyszeć trwoję. - O tym, który stworzył orki? Który wszedł w ciało Ruraka i chciał w ten sposób powrócić do *sochgal*?

- Właśnie - potwierdził Corwyn.

- Ale... ale Margok został zniszczony! - krzyknął chudy ork. - Pożarł go Dragnadh. Sam widziałem, jak...

- Nie martwcie się, Margok nie żyje - zapewniła Alannah. - Nie można jednak wykluczyć, że ta mroczna siła, która rządzi w Kal Anar... - przerwała na chwilę, szukając właściwych słów - pozostaje z nim w pewnym związku.

- Pozostaje w pewnym związku?! Przekłęte elfie gadanie! - zirytował się Rammar. - Co to ma znaczyć?

- Właśnie tego musicie się dowiedzieć - oznajmił Corwyn.
- Do dziś nie wiemy, co sprawiło, że Margok zmienił się w Ciemnego Elfa wtedy, dawno temu - dodała Alannah. - Być może korzenie zła tkwią w Kal Anar, a nikomu nie przyszło do głowy tam ich szukać. Bojownicy światła byli tak bardzo zajęci zwalczaniem Margoka, że nawet o tym nie pomyśleli. Ale teraz w Kal Anar coś się poruszyło, coś bardzo starego i złego... Czuję to, ale nie potrafię tego nazwać. To, czego nam trzeba, to informacje, a tylko wy możecie je dla nas zdobyć, moi przyjaciele.
- Może - wzdrygnął się Rammar - ale ja nie chcę mieć znów do czynienia z mroczną mocą Margoka. A ty, Balbok?
- No cóż, ja...
- Balbok też ma już wyżej uszu nadstawiania za was karku - bezpardonowo przerwał mu brat. - Możesz sobie gadać, co chcesz, elfia babo. I tak samo ty, łowco głów. Nasza odpowiedź brzmi: nie.
- To wasze ostatnie słowo? - spytała Alannah.
- Rammar przytaknął, szczerząc zęby.
- Możesz być pewna.
- A co z waszym *bolbougim*?
- A co ma być?
- Nasz posłaniec powiedział nam, że nie za dobrze się sprawy mają z waszym wodzostwem - powiedział Corwyn tonem tak niefrasobliwym, jakby chodziło o jakieś wonne ziele, które zasmrodziło orczą jaskinię i nijak nie można go wyplenić. - Podobno doszło do buntu wśród *faihok'hai* i odebrano wam przywództwo *bolbogu*.
- *Korr* - przyznał Balbok, nim Rammar zdążył odpowiedzieć rozsądniej.
- I wy się na to godzicie? - spytał dawny łowca głów. - Pozwolicie, żeby zdrajcy tryumfowali?

- Co to, to nie - warknął Rammar. - Możesz być pewien!
- Chcecie zatem się na nich zemścić?

Rammar wyszczerzył żółte zęby.

- A jak!
- Hm, dwóch orków przeciw całej wiosce... To wydaje mi się dość trudne.

- Nic ci do tego! - wrzasnął na niego grubas. - Ja się do twego królowania nie wtrącam!

- A co, gdybym wam pomógł? Z wdzięczności za to, że pójdziecie do Kal Anar?

- Na pewno byś nam pomógł! - prychnął sarkastycznie Rammar. - Posłałbyś armię ludzi na drugą stronę Gór Czarnych, uwolniłbyś *bolboug*, a tak przy okazji włączyłbyś Stęchłą Marchię do swego królestwa. Myślisz, że nie wiem, jak to się robi? Jestem może gruby i głupi, ale nie jestem grubym głupkiem. Dokładnie widzę, do czego zmierzasz.

- Źle zrozumiałeś moje zamiary - zapewnił Corwyn. - Propozycja, jaką złożyłem ci przez mojego posłańca, mianowicie gwarancje granic Stęchłej Marchii, nadal obowiązuje. Mógłbym jednak wam pomóc, dając złoto ze skarbu Tirgas Lan. Dość bogactwa, żeby zebrać całą armię orków, z którą moglibyście sami odzyskać *bolboug*.

- Złoto ze skarbu Tirgas Lan? - Rozgorączkowane oczy Balboka zabłysły nieskrywaną chciwością. Wspomnienie tych wszystkich pięknie połyskujących i błyszczących przedmiotów, których nie zdolali zabrać podczas swej ostatniej wizyty, sprawiło, że serce orka zabiło szybciej.

Również Rammar zrobił wielkie oczy, a z dolnej, wydatnej wargi zaczęła mu kapać ślina.

- Zrobiłbyś to dla nas? - zapytał.

- To byłaby uczciwa zapłata za waszą pomoc - stwierdziła Alannah.

- A na czym dokładnie ta pomoc miałyby polegać?

- To proste: pójdziecie do Kal Anar i rozgładnicie się tam. Spróbujecie zebrać jak najwięcej informacji i ocenić siłę wroga. I jeśli to będzie możliwe, dowiedziecie się, jaka to ciemna moc knuje swoje złe sprawy w Kal Anar.

- To wszystko? - spytał podejrzliwie Balbok.

- Wszystko - potwierdziła Alannah.

- A gdybyśmy, tak przypadkiem, dostali pod *saparak* sprawcę tego całego zamieszania?

- Wasze zadanie to przede wszystkim wywiedzieć się, co i jak - oznajmił Corwyn - ale gdybyście mieli możliwość zdusić problem w zarodku, nie powinniście się hamować.

- Chwileczkę - wtrącił Rammar i skarcił nadgorliwego brata ostrym spojrzeniem - jeśli mamy zlikwidować problem całkowicie, to będzie cię to kosztowało troszkę więcej niż kilka garnców złota i szlachetnych kamieni.

- Czego za to żądacie?

- Całego skarbu elfów! - bez ogródek wypalił grubas.

- Wykluczone! - Corwyn podniósł głos.

- W takim razie, obawiam się, że oboje możecie zapomnieć o sprawie - zachichotał Rammar. - Wyślijcie kogo innego do Kal Asar, czy jak się tam ta dziura nazywa, a kiedy wróci, przygotujcie się na długą i bezsensowną wojnę, która będzie kosztowała życie wielu mlecznogębych. - Podniósł się. - Chodź, Balbok, idziemy.

- Ale Rammar, może mają w kuchni jeszcze trochę *bru-millu* i...

- Idziemy! - Powtórzył tłusty ork tak stanowczo, że jego brat nie ważył się już sprzeciwić. Ze spuszczoną głową wstał i poczłapał za Rammarem, który dumnie kroczył ku głównej bramie.

Jednak grubas nie spieszył się zbytnio. Miał nadzieję, że Corwyn i Alannah wymieniają teraz za jego plecami pośpieszne spojrzenia i kombinują, co robić. Postawił wszystko na jedną kartę,

jak mieli zwyczaj mawiać mlecznogębi, i był przekonany, że wygra.

Mocno przekonany.

Raczej mocno przekonany.

Prawie przekonany...

Im bliżej bramy byli orkowie, tym wolniejsze stawały się ich kroki.

A jeśli Rammar przeciągnął strunę? Może lepiej było brać, co dają, i zawrzeć gębę? Już układał sobie w głowie listę argumentów, które by usprawiedliwiły raptowną zmianę zdania bez robienia z siebie żalosego *goultora*. Już był przy drzwiach, już unosił łapy, żeby otworzyć...

- Chwileczkę! - zawołał Corwyn.

Rammarowi spadł kamień z serca.

- Co jest? - spytał i odwrócił się, żeby zaraz dodać mrukliwie: - Późno, a mnie się chce spać!

- Zgadzamy się - oznajmiła Alannah. - Na zlecenie Tirgas Lan pójdziecie do Kal Anar. Jeśli wrócić z przydatnymi informacjami, dostaniecie dość złota, żeby stworzyć za nie armię i odzyskać *bolboug*. Jeśli dodatkowo uda wam się usunąć zagrożenie, będzie do was należał cały skarb elfów.

- I nie ma żadnych dalszych warunków? - upewnił się Rammar.

- Tylko jeden - odparł Corwyn. - Musicie zobowiązać się uroczyście, że nie użyjecie tego złota przeciw Tirgas Lan i pozostawicie granice królestwa nienaruszone.

Ork ociągał się chwilę.

- Jasne, że się zobowiązemy - zapewnił w końcu. - Może być nawet uroczyście, jeśli trzeba, co, Balbok?

- *Korr!* - Chudzielec wyszczerzył zęby. - Oni nawet nie mają pojęcia, jak uroczyści potrafią być orkowie.

- Tym bardziej gdy idzie o położenie łapy na całym skarbie. - Rammar szeroko się uśmiechnął. - Ale właściwie skarb elfów i tak

należy do nas. W końcu to my jesteśmy ostatnimi potomkami elfiego rodu, którzy jeszcze zostali w *sochgal*, może nie?

Alannah mocno zacisnęła usta i nic na to nie odpowiedziała. Choć ostatnie słowa orczego wodza kipiały od drwiny i szyderstwa, trudno było odmówić im pewnej logiki. Alannah, ściśle rzecz biorąc, przestała być elfinią, gdy zrzekła się nieśmiertelności i wzięła za męża człowieka. Natomiast orkowie - choć przemienieni czarami złoczyńcy Margoka - w pewnym sensie wciąż byli elfami.

Oczywiście tłusty ork nie zamierzał dotrzymać obietnicy danej Corwynowi, obojętne jak uroczyście by ją złożył. W pojęciu orków obietnice istnieją tylko w jednym celu - by je łamać. Honorom jest dla nich podstępnie pokonać wroga, oszustwem i ułudą ukołysać go w poczuciu bezpieczeństwa, by potem zejść od tyłu - to właśnie dowodzi u nich szlachetności, sprytu i wyrafinowania. Rammar zaś uważał się za wybitnie szlachetnego, sprytnego i wyrafinowanego orka. W mgnieniu oka ułożył plan, zgodnie z którym miał nie tylko wejść w posiadanie skarbu elfów i odzyskać władzę w *bolbogu*, ale przy okazji zostać jeszcze królem Tirgas Lan.

Najpierw on i Balbok pójdą do obcego miasta i rozejrzą się, niech będzie. Potem Rammar pošle brata, by zniszczył straszliwego wroga, kim by on nie był. Na koniec wróci tryumfalnie do Tirgas Lan, skasuje zapłatę i pozwoli się czcić przez ludzi jako ich oswobodziciel - aż używając złota, stworzy armię najemników i przy jej pomocy przejmie królewskie miasto. Kiedy już niebo zapłonie żywym ogniem i jego żołnierze-orkowie pozabijają ludzi, nikt nie będzie mógł wątpić w jego złą wolę i w ten sposób odzyska złą sławę i honor...

Podstępny uśmieszek przemknął po twarzy Rammara. Przez chwilę czuł taką euforię, że - był tego pewien - już nic ani nikt nie

zdoła mu popsuć nastroju. Jednak ta chwila nie trwała zbyt długo...

- No, tośmy się dogadali - podsumował Corwyn. - Na moje zlecenie wyruszycie do Kal Anar. W podróży jako przewodnik będzie wam towarzyszył stary znajomy.

- Stary znajomy? - Rammar nadstawił uszu. - Kto?

- Ktoś, kogo z pewnością dobrze pamiętacie. Tajne przejścia we wschodnich krainach zna jak nikt inny, bo długi czas korzystał z nich, przemycając zabronione towary. Teraz jednak poprawił się, pracuje dla korony i porzucił życie przemytnika.

- Przemytnika? - Rammara ogarnęło niemile przeczucie. To przecież niemożliwe, żeby...

Balbok odchylił głowę i zaczął węszyć, a Rammar dobrze wiedział, co próbuje wyniuchać jego brat - obrzydliwy smród krasnoluda.

- Wasze podejrzenia są słuszne - oznajmiła rozbawiona Alannah. - Dziarski wojownik, który poprowadzi was do Kal Anar, to Ortmar z Rumowiska...

5. AN-DA FEUSACHG'HAI-SHROUK

Nastrój Rammara w jednej chwili runął w głęboką przepaść. Toczył się w dół i toczył, ork myślał już, że osiągnął dno - lecz następnego dnia niedawny wódz poznał szczegółowo warunki, na jakich on i Balbok mają ruszyć na niebezpieczną wyprawę.

Fakt, że towarzyszyć im ma strzepobrody, sam w sobie był już wystarczająco przygnębiający. Ale to, że Corwyn i Alannah wzięli się na przewodnika orków wyznaczyć właśnie Ortmara z Rumowiska, najbardziej podstępного i zdraдлиwego z wszystkich *feusachg'hai-shrouk*, to po prostu policzek!

Ortmar był przywódcą owych krasnoludów, które niegdyś też szukały Targas Lan, by położyć łapę na skarbie elfów. Gdyby w bitwie o zaginione miasto nie sprawił się tak dzielnie, skrócono by go pewnie o głowę, a bez głowy byłby za krótki nawet jak na krasnoluda. Rammar później miał wielokroć żałować tego zaniedbania, patrząc na pomarszczoną, pełną kłaków twarz krasnoluda,

spośród których spoglądały malutkie oczy.

Ani ork, ani krasnolud, stanąwszy naprzeciw siebie, nie zamienili nawet słowa pozdrowienia. Po każdym z nich było widać, że najchętniej by się pozabijali.

- Nie mogę uwierzyć, że ich wezwaleś, wasza wysokość - burknął Ortmar, nieubrany jak dawniej w wyświechtaną skórzaną zbroję i kolczugę, ale w jedwabną kurtkę i obszerną pelerynę dworzanina. - Nie potrzeba nam tych maszkar do pokonania wrogów.

- A ja nie mogę uwierzyć, że ty jesteś tutaj - odpalił ponuro Balbok. - Ostatnim razem gdy cię widziałem, wypędzono cię z Tirgas Lan.

- Wiele się od tamtej pory zmieniło - wyjaśniła Alannah. - Książęta krasnoludów uznali zwierzchność Corwyna, a Ortmar jest ich ambasadorem. To, że na ochotnika zgłosił się do tej misji, wykracza daleko poza jego zwykle obowiązki i jesteśmy mu za to bardzo wdzięczni.

- Zgłosił się na ochotnika? - podchwycił Rammar. - Jak to?

- To proste, maszkaro - burknął Ortmar. - Ta misja jest przedsięwzięciem wielkiej wagi, a bez mojej pomocy nie miałyby szans powodzenia.

- Co ty nie powiesz! - Rammar wyszczerzył gniewnie zęby. - A kto nagał ci takiego *shnorsh*?

- Beze mnie nie mielibyście szansy wejść niezauważeni do kraju wroga - rzekł krasnolud. - Nie zapominajcie, że przez wiele lat trudniłem się przemytem. Znam we wschodnich krainach każdy kąt, poznałem co do jednego każdy tajny tunel i korytarz moich przodków. Raz ich już używaliście, pamiętacie jeszcze?

- Oczywiście, że pamiętam - syknął gruby ork. - Nie jestem przecież *umbalem*. Ale kto zareczy, że nie sprowadzisz nas na

manowce? Że nie zostawisz nas gdzieś w tunelu, może jeszcze z dzidą we łbie albo zasypanych skałami, których sam narąbiesz?

- Zapomnijmy o tym, co było - łagodziła Alannah. - Ortmar przysiągł Corwynowi wierność, podobnie jak jego książęta. Jest oddanym poddanym korony i zasługuje na nasze zaufanie.

- On i wiernie oddany?! - krzyknął Balbok. - Gnom by się uśmieiał!

- Trzymaj język za zębami, ty góro ścierwa! - warknął Ortmar, który musiał odchylić głowę daleko do tyłu, by spojrzeć na orka. - Bo cię przytnę do znośnej wysokości.

- Ty też powinieneś się miarkować, Ortmarze! - Corwyn przywołał krasnoluda do porządku. - Nieznany wróg, który na wschodzie zbroi się do wojny, zagraża wszystkim nam jednakowo. Musimy trzymać się razem i puścić w niepamięć nasze dawne waśnie, bo inaczej on wygra, jeszcze nim zacznie się pierwsza bitwa.

- No pięknie! - burknął krasnolud, wciąż mierząc orków ponurym spojrzeniem. - Nikt nie będzie mógł powiedzieć, że zawinił Ortmar z Rumowiska. Ja jestem gotów zapomnieć, jeśli maskary też zapomną.

- Więc? - Corwyn zwrócił się do Balboka i Rammara.

- Co mam powiedzieć? - Gruby ork spojrział ponuro na króla. - Nie podoba mi się, że naszym przewodnikiem zrobiłeś akurat naszego starego wroga. Ale jeśli może okazać się przydatny w naszej misji, to niech idzie.

- Możecie w pełni na nim polegać - zapewniła Alannah. - Prawda, Ortmarze?

- Oczywiście, królowo - gorliwie zapewnił krasnolud i uklonił się elfini - i choć nie przepadam za orkami, ufam waszej decyzji i temu, że ci dwaj dotrzymają słowa.

Rammar roześmiał się donośnie.

- I ty wierzysz takim bredniom, królu łowco głów? - spytał Corwyna.

- Czemu miałbym nie wierzyć?

- Na trzewia Torgasa, kiedy zobaczyłem cię wczoraj, poczułem się tak, jakby nic się nie zmieniło. Jakbyś dalej był taki jak wtedy, choć teraz nosisz koronę. Ale dziś widzę, że się pomyliłem. Nie ma już Corwyna łowcy głów! On nigdy nie zaufałby krasnoludowi, który nie tak dawno chciał go zaszlachtować.

- Masz rację, Rammarze - przyznał skwapliwie władca. - Łowca głów już nie istnieje, jest tylko król. A on stara się zawsze w każdej istocie zobaczyć dobro. Czasy się zmieniły, przyjacielu.

- Nie, ani trochę - potrząsnął głową ork. - Wy, ludzie, zawsze myślicie, że czasy się zmieniają. Dlatego wciąż na nowo popełniacie te same błędy.

- Tak czy siak, Rammarze, to już zdecydowane. - Corwyn postawił sprawę jasno, jakby nie chcąc przyznać, że i jego trapią wątpliwości co do lojalności Ortmara.

- Jednego nie wyjaśniliśmy - rzekł krasnolud.

- Mianowicie?

- Kto rozkazuje w tej misji. Skoro ja prowadzę oddział, nasuwa się, że ja też...

- Wybij to sobie ze swojego owłosionego łba, strzępobrody! - ryknął na niego Balbok. - Corwyn przekazał dowództwo Rammarowi i mnie!

- Rammarowi i tobie?! - roześmiał się Ortmar. - Chyba raczej samemu Rammarowi, bo tobie wystarczy przytakiwanie wszystkiemu, co powie twój tłusty brat. Ale ja nie potrafię sobie wyobrazić, bym miał służyć pod jego rozkazami.

- Cóż, krasnoludzie, więc będziesz musiał zostać w domu - odparł Rammar, nie kryjąc radości - gdyż król łowca głów już tak zdecydował.

- Wasza wysokość - krasnolud zwrócił się błagalnym głosem do Corwyna - na pewno nie mówiliście tego poważnie.

- Całkowicie poważnie - rzekł król. - Nie pozostaje ci nic innego, jak zaakceptować moją decyzję, jeśli chcesz mi służyć i uczestniczyć w tej misji. Możemy odnieść sukces tylko pod warunkiem, że zapomnimy o dawnych niesnaskach i będziemy gotowi wspólnie walczyć z wrogiem.

Ortmar z Rumowiska nie odpuszczał jednak.

- To mianujcie mnie przynajmniej zastępcą tych dwóch! Gdyby coś im się stało albo zdradzili, w końcu są i pozostaną orkami, panie, wtedy ja przejąłbym dowodzenie i w waszym imieniu zrobiłbym, co trzeba. W ten sposób dowiodę wam i wszystkim pozostałym, że jestem wiernym poddanym Tirgas Lan.

Alannah i Corwyn wymienili spojrzenia.

- Więc dobrze, Ortmarze, niech tak będzie - zgodził się król. - Rammar i Balbok dowodzą, ale ty jesteś ich zastępcą.

- A cóż to znowu znaczy? - Oczy Rammara płonęły wrogością, ilekroć spojrzał na krasnoluda. - Nie będziesz miał okazji odgrywać dowódcy, możesz być pewien.

- Poczekamy, zobaczymy - syknął Ortmar.

- Skoro już to wyjaśniliśmy - wtrąciła Alannah - przedstawimy was pozostałym członkom drużyny. Chodźcie.

- Dokąd? - zainteresował się Balbok.

- Głupie pytanie, oczywiście do koszar - burknął jego brat. - Przydzielą nam teraz swoich największych i najsilniejszych wojowników, to zrozumiałe.

- Obawiam się, że się mylisz, przyjacielu. - Corwyn przygasił zachwyty orka.

- Co... co to ma znaczyć, że się mylę? - Rammar poczłapał za nim. - I do cholery, nie nazywaj mnie swoim przyjacielem!

- Cóż, myślałem, że skoro jesteście u mnie na służbie...
- Dobiliśmy targu, to wszystko! - Grubas zacisnął pięści. - Orkowie nie mają przyjaciół, a już na pewno nie wśród ludzi, nie zapominaj.

- Oczywiście, jak sobie życzysz.

- Więc dokąd idziemy?

- Do lochów - odpowiedziała krótko Alannah.

- Do lochu? - Spojrzenie Rammara zdradziło pewną panikę. - A...ale czemu? Po...popelniliśmy jakiś błąd? Zrobiliśmy coś zakazanego? My...myślałem, że wszyscy jesteśmy sprzymierzeńcami i...

- Nie denerwuj się - uspokoił go Corwyn. - Nie zamierzam wtrącić was do lochu. Spotkamy tam tych, którzy będą towarzyszyć wam w waszej misji.

- Katów? - spytał z nadzieją Balbok.

Może nadarzy się okazja do wymiany doświadczeń.

- Nie, skazańców.

- Skazańców? - Nie tylko orkowie, ale również Ortmar z Rumowiska wybałuszyl oczy.

- Wyjęci spod prawa więźniowie Tirgas Lan - wyjaśniła Alannah. - Pójdą z wami w zamian za darowanie kary.

- Rozumiem! - warknął Rammar. - Zlecenie jest tak niebezpieczne, że nie chcecie ryzykować własnymi ludźmi, ale bierzecie kilku ochotników do samobójstwa.

- Ależ skąd! - Alannah uśmiechnęła się domyślnie. - Doświadczenie minionego roku pokazało, że nikt nie walczy tak zaciekłe jak ktoś, komu idzie o własną wolność.

Przez liczne korytarze obstawione ubranymi w zielone mundury wartownikami dotarli w końcu do schodów schodzących stromo w dół. Dwóch nosicieli pochodni ruszyło przodem w ciemność. Im głębiej schodzili, tym robiło się chłodniej i tym mocniejszy stawał się buchający z lochów stęchły odór. Wreszcie dotarli do końca schodów i stanęli w niskim korytarzu. Blask

poходni odbijał się w kałużach wody na kamiennej posadzce.

- Nieźle - z uznaniem stwierdził Balbok. - Jednak nawet wy, mlecznogębi, umiecie urządzić przytulne mieszkanie...

Minęli korytarz i dotarli do oświetlonej pochodniami sieni. Grubo ciosany stół i stołek stanowiły całe jej wyposażenie. Na ścianach w uchwytych tkwiły płonące pochodnie. Wartownik, jeszcze przed chwilą drzemający na stołku, poderwał się na widok wchodzących. U jego boku na szerokim pasie wisiał ogromny pęk kluczy, które zagrzechotały o siebie.

- Królu - ukłonił się uniesieniem - oczekiwałem was.

- Czy więźniowie są gotowi? - zapytał Corwyn.

- Oczywiście, królu - odpowiedział wartownik, człowieczek, którego Rammar zdmuchnąłby jednym chuchem, gdyby zamknięto go w którymś z tych lochów i gdyby nadarzyła się okazja ucieczki. Powinien chyba porozmawiać z królem łowcą głów o zasadach dobierania więziennych straży. Najpewniej, tak jak podczas wojen z gnomami, odrąbać im obie stopy; to znacznie utrudnia ucieczkę.

- To ich przyprowadź - rozkazał Corwyn.

- Natychmiast, królu!

Wartownik skłonił się jeszcze raz, po czym zniknął w wąskim korytarzu, wzdłuż którego umieszczone były drzwi do poszczególnych cel. Zabrzęczały klucze i zaraz żołnierz wrócił z grupą postaci, które nawet w oczach Balboka i Rammara nie budziły zaufania.

Było to dwóch ludzi, krasnolud i, ku wielkiemu niezadowoleniu orków, gnom - wszyscy w żelaznych obręczach na kostkach, skuci łańcuchem.

- To oni? - zapytał Corwyn.

- Tak, królu. - Strażnik skinął głową. - Ten tutaj - wskazał na pierwszego człowieka, brodatego olbrzyma o ognistym spojrzeniu,

ubranego w brudne futra - to Gurn, barbarzyńca z dalekiej północy. Lodowy barbarzyńca wplątany w napady na terenach nadgranicznych. Gołymi pięściami zabił ośmiu naszych ludzi, nim zdłano go spętać.

Corwyn, którego nikt nie nazwałby niedorostkiem, musiał zadrzeć głowę, żeby spojrzeć w oczy Gumowi.

- Powiedziano ci, o co chodzi?

Barbarzyńca przytaknął.

- Jeśli będziesz dobrze walczył i słuchał rozkazów, zostaniesz wolnym człowiekiem i będziesz mógł odejść, dokąd zechcesz. Zgadzasz się?

Gurn rzucił mu nieodgadnione spojrzenie i głośno chrząknął, co Corwyn uznał za zgodę.

Drugi człowiek w tej grupie był jaskrawym przeciwieństwem barbarzyńcy, niski i drobny, z łysą czaszką i przebiegłym spojrzeniem.

- Jak się nazywasz?

- Nestor z Taik, do usług. - Ukłonił się jak dworzanin albo lokaj.

Rammara po prostu brzydziła ta unizoność u ludzi.

- To wielokrotny płatny zabójca - wyjaśnił strażnik. - Jego miecz był na usługi tego, kto płacił najlepiej, póki nie został ujęty.

- Chwila nieuwagi - zapewnił Nestor z niewinnym spojrzeniem, uśmiechając się do Alannah. - Zaślepiła mnie uroda kobiety...

- Zadźgał jej męża i zaraz potem zastąpił go w łóżu - wyjaśnił wartownik. - Tam znalazły go strażę, kiedy chwilę potem weszły.

- I ty dobrowolnie zgłosiłeś się na tę misję? - z powątpiewaniem spytał Corwyn.

- Tak, królu.

- Dlaczego?

- Cóż... - Nestor uśmiechnął się szeroko - bo nadzieja, choćby i tak marna, zawsze lepsza niż pewny stryczek, prawda?

Rammar zauważył, jak rysy króla drgnęły. Najwyraźniej nie był zachwycony ułaskawianiem złodziei i morderców, jednak nie widział innej możliwości. Desperacja Corwyna niepokoiła go coraz bardziej...

Następny w kolejności był krasnolud z ramionami grubymi jak nogi i twarzą przypominającą potrząskaną skałę. Wydawało się, że już długo siedzi w karcerze, gdyż jego rude włosy i broda były całkiem zmierzwione, a kurtka brudna i wystrzępiona.

- Krasnolud Kibli - przestawił go strażnik. - Przemysłownik i handlarz ludźmi nielegalnie przerzucający do Sundaril uchodźców ze wschodu, przeważnie kobiety, którym potem kazał pracować w swoich domach uciech. Gdy chciał w Tirgas Lan otworzyć kolejny burdel, został ujęty.

- Niestety - skomentował krasnolud bez mrugnięcia okiem.

- Żałujesz swoich występków? - spytała Alannah.

- Jakich występków? To okropne nieporozumienie! Te biedne kobiety nie miały w swojej ojczyźnie żadnej przyszłości, a ja dałem im dach nad głową, nakarmiłem je i napoiłem...

- Wykorzystujesz słabych i bezbronnych, zamiast skrzyżować miecz z równymi sobie i uczciwie rabować i pładrować! - uniósł się Balbok. - Jesteś zwykły *muk!*

- Co jestem? - spytał Kibli. - Co to znaczy?

- To znaczy świnia - przetłumaczył Rammar.

- Przeklęty orku! - wybuchnął więzień. - Chcesz mnie obrazić?

- On ma rację. - Ortmar z Rumowiska, ku wielkiemu zaskoczeniu obu orków, poparł Balboka. - Kto wykorzystuje bezbronne

kobiety, ten naprawdę jest świnią, choćby na pozór wyglądał na krasnoluda albo co innego. Dobrze robisz, przyłączając się do misji, Kibli, bo w ten sposób masz sposobność odzyskać honor.

- Już ja ci pokażę, jaki jest mój honor, bracie - burknął tamten. - Możesz być pewien.

- A tu kogo mamy? - spytał Corwyn, zwracając się do ostatniego więźnia, o skórze zielonej jak u żaby. Czarne, pozbawione brwi oczy gapiły się z kościstego pyska z dwiema dziurkami zamiast nosa i spiczastymi odrostkami, które tylko ktoś nader uprzejmy nazwałby uszami.

- Gnom - niepotrzebnie wyjaśnił strażnik. - Należał do hordy, która włóczyła się po Równinie Scarii. Nie znamy jego imienia, bo nikt nie rozumie tych bzdur, które pape. On za to nas chyba dobrze rozumie i zgłosił się do udziału w misji.

- Jak to możliwe, skoro nie mówi naszym językiem? - zdziwiła się Alannah.

- Więźniowi, który wcześniej był przewidziany na wyprawę, po prostu przegryzł krtań.

Rammar nie mógł już dłużej wytrzymać.

- Do krocset, co to ma znaczyć?! - wybuchnął. - Nie wystarczy, że musimy ruszać na niebezpieczną misję w towarzystwie mlecznogębych i krasnoludów? Musi iść z nami jeszcze gnom? Zielonogębi to odwieczni wrogowie wszystkich orków!

- Jesteśmy tego świadomi - odparła Alannah. - Nie zapominajcie jednak, co Corwyn powiedział w sali tronowej. Tylko wówczas, gdy odłożymy do lamusa stare niesnaski i uprzedzenia i stanimy ramię w ramię, zdołamy pokonać tego, który daleko na wschodzie powstaje przeciwko nam.

- Kto tak twierdzi? - warknął gruby ork.

Elfini wytrzymała jego przenikliwe spojrzenie, jednak zwlekała z odpowiedzią.

- Liczy się tylko - Corwyn przyszedł jej z pomocą – powodzenie misji. Musimy się dowiedzieć, co zamierza ten tajemniczy wróg. Jakie ma plany? Jak jest silny? Jak wielka jest jego armia, którą może poprowadzić przeciw nam? Tylko godne zaufania informacje pozwolą nam odeprzeć zagrożenie i zwyciężyć.

- Albo godny zaufania topór - stwierdził sucho Balbok.

- Doceniam, że chcecie spróbować rozwiązać problem po swojemu - odpowiedział władca - lecz jako król odpowiedzialny za bezpieczeństwo poddanych muszę poczynić przygotowania również na wypadek, gdyby wasze zamiary się nie powiodły. Z tego powodu przydzielam wam tych towarzyszy.

- Towarzyszy? - Rammar przesunął pogardliwym spojrzeniem po więźniach. - To żadni towarzysze, to nędzne wieprze. Wolałbym już horde pijanych orków.

- Wątpię - rzekł Corwyn. - Każdy z tych, których widzisz przed sobą, przegrał swoje życie, popełniał przestępstwa, za które podług starego prawa należy się śmierć. Jednak prawo przewiduje również, że temu, kto w szczególny sposób zasłuży się królestwu i jego poddanym, kara śmierci zostanie cofnięta i może być ulaskawiony. - I zwrócił się do więźniów: - Idźcie z orkami na ich misję. Słuchajcie ich rozkazów i służcie im wiernie. Walczcie dzielnie i pomóżcie wypełnić zadanie, a ja każdemu z was podaruję wolność. Przystajecie na to?

Skazańcy zareagowali każdy na swój sposób. Lodowy barbarzyńca tylko warknął, Nestor złożył służalczy pokłon, krasnolud uderzył się pięścią w pierś, zaś gnom wyszczerzył żółte zęby, jakby wprost chciał pokazać, co wbije w ciało wroga.

Rammar nie wiedział, co pcha tych więźniów: żądza przygód, pragnienie krwi czy też dążenie do wolności. Czuł jednak to okropne ssanie w okolicy żołądka, które pojawiało się zawsze

wówczas, gdy dopadał go głód albo kłopoty. Głodny zaś nie był teraz z całą pewnością - na śniadanie pożarł pół świni, na surowo, ze skórą i sierścią...

- Zatem postanowione - orzekła Alannah i skinęła głową do Corwyna, dodając mu otuchy. W jego koronowanej głowie zdawało się kryć nie mniej trosk niż w wielkim łbie Rammara.

- Pozostaje wyjaśnić już tylko jedno - zaproponował ork. - Czy moglibyście mi zdradzić, jak barwna gromadka orków, krasnoludów i ludzi z przeklętym gnomem na przyczepkę ma niezauważenie dotrzeć do celu? Będziemy się rzucać w oczy jak *dark malash-hai*.

- Nie, jeśli się przebierzecie - odparła elfini.

- Mamy się... przebrać? - Oburzony Rammar rozdziawił gębę. - Nie ma mowy! Orkowie nie bawią się w maskaradę!

- *Korr* - potwierdził Balbok, który wprawdzie nie wiedział, o czym mowa, ale zrobił równie gniewną minę co brat.

- Nie pozostaje wam nic innego, jeśli chcecie dotrzeć do kraju wroga niezauważeni - rzekł Ortmar z Rumowiska, lecz bez satysfakcji. - Przynajmniej jeśli chcemy użyć tajnych korytarzy i tuneli mojego ludu.

- Ach tak? - burknął niechętnie Rammar. - Za kogo mamy się więc przebrać, zgłupiały mięczaku? Może za krasnoludy?

- Dokładnie - odpowiedział Corwyn za Ortmara.

- C...C...CO? - wyjąkał gruby ork i nic nie rozumiejąc, spojrział najpierw na byłego łowcę, potem na Alannah, a w końcu na krasnoludzkiego przewodnika.

- Nie przesłyszałeś się - potwierdził ten. - Jeśli chcemy wykorzystać ścieżki przemytników, musicie udawać, że jesteście chwackimi synami naszego rodu.

- To... to niesłychane! - wykrztusił Rammar, łapczywie chwytając powietrze jakby miał zostać pierwszym orkiem tkniętym apopleksją. Ścierpiał już mnóstwo rozmaitych obelg, odkąd trafili do Tirgas Lan, ale to naprawdę przekraczało orcze pojęcie! Żądać, by udawał krasnoluda, to jak zmuszać dziarskiego wojownika, żeby wskoczył w damskie łaszki.

Hańba!

Ogromna, potworna, bezwstydna, niepodobna do niczego, odsuwająca wszystko w cień i nie dająca się zmyć nawet rzeką krwi hańba, która...

- Czy ktoś może mi zdradzić, jak miałbym udawać krasnoluda? - zapytał Balbok, nim Rammar zdążył dać upust swemu bezgranicznemu oburzeniu.

Oczy wszystkich skierowały się na chudego orka, który jak zwykle stał nieco przygarbiony, a mimo to przewyższał wszystkich wzrostem. Tak, to było pytanie! Niełatwo będzie zrobić krasnoluda z takiej tyki...

- Zobaczymy - stwierdził Ortmar, a spod jego brody błysnął złośliwy uśmiezek. - Najlepiej będzie, jeśli twoje beznadziejnie długie nogi skrócimy toporem do rozsądnych wymiarów. Wtedy będziesz wyglądał choć trochę znośniej.

- Świetny pomysł, krasnoludzie - odparował Rammar. - A co jemu utniemy, to tobie przyprawimy na dole, żebyś w bitwie nie potrzebował już drabiny.

- Przestańcie! - Alannah przywołała ich do porządku. - Jeśli wreszcie nie odłożycie na bok swoich niesnasek, misja poniesie klęskę, jeszcze nim się rozpocznie.

- Ale to przecież prawda, królowo - sprzeciwił się Balbok. - Jak taki *fambor* jak ja ma udawać strzępobrodego? To się nie może udać.

- Może - uspokoiła ich elfini. - Ubierzemy was w kolczugi, kurtki i czapki krasnoludów. O resztę zadbam ja, pomoże mi zakęcie oślepiające.

- Elfie czary, tego jeszcze brakowało! - sarknął Rammar. - Wiedziałem, że z tego całego zlecenia będą tylko kłopoty. Od pierwszej chwili wiedziałem!

- Kłopoty - przyznał Corwyn - i więcej złota i szlachetnych kamieni, niż kiedykolwiek mogłeś marzyć. Ale proszę, skoro nie chcesz, przekażę dowodzenie Ortmarowi. Jestem pewien, że będzie umiał to docenić i zrobi co w jego mocy, żeby...

- Już dobrze, dobrze! - Rammar uniósł łapy. - Zrozumiałem.

- Więc się przebierzecie?

Orkowie wymienili przygnębione spojrzenia.

- Jeśli koniecznie trzeba... - jęknął gruby.

- Ale żadnych szlafmyc! - przypomniał sobie Balbok.

- Niech będzie. Każemy dla was uszyć szerokie peleryny z kapturami.

Ortmar z Rumowiska skrzywił pomarszczoną twarz w szyderczym uśmiechu.

- Przebywanie na takim szkaradnym łbie i tak byłoby upokorzeniem dla szanującej się krasnoludzkiej czapy.

- Za to wybicie ci zębów będzie zachwycające dla mojej szanującej się pięści - odpalił Balbok i groźnie zamachał zaciśniętą prawicą.

- Widzę, że macie już wspólny język - stwierdził Corwyn, a w jego głosie dało się słyszeć mieszaninę nadziei i rezygnacji. - Chodźcie teraz, mamy dużo roboty. Czas nagli. Im szybciej wyruszyście, tym lepiej...

Corwyn stał w oknie królewskiej sypialni. Ciepły nocny wiatr smagał mury i dachy i wiał królowi w twarz, światło księżyca rozjaśniało czubki drzew srebrną poświatą. Las Trowna zdawał się ciągnąć bez końca we wszystkie strony świata. Corwyn w zamyśleniu uniósł wzrok ku gwiazdom, których blask odbijał się jak w

lustrze w jedynym pozostałym mu oku.

Często przyglądał im się już dawniej, gdy nocował samotnie pod gołym niebem. Studiował wzory, jakie tworzyły gwiazdy, zbierając się w grupy, i rozmyślał, czy istotnie mogą mieć wpływ na życie śmiertelników. Ostatnimi czasy jednak ledwie znajdował na to czas. Gdy z rzadka przystawał, by spojrzeć w niebo, za każdym razem stwierdzał, że nad Tirgas Lan gwiazdozbiory widać mniej wyraźnie niż nad zboczami Północnego Wału albo nad szczytami Gór Ostrych. Niezliczone światła miasta - pochodnie i lampki olejne oświetlające ulice i zaułki, ale również ogniska straży na wieżach - sprawiały, że gwiazdy zdawały się mniej jasne i mniej osiągalne niż tam, gdzie niegdyś wędrował jako łowca głów.

Wydawały się blade i pozbawione blasku jak wiele innych rzeczy w jego życiu, odkąd wstąpił na tron w mieście elfów. Bowiem korona przyniosła swemu nosicielowi nie tylko przywileje, ale przede wszystkim ciężar odpowiedzialności. Czasem odczuwał ją nawet jak ciężkie brzemie. Został władcą królestwa, które rozpadło się na małe księstwa skłócone aż po ostatniego ich mieszkańca. Zjednoczenie Łądu było ogromnym zadaniem, może za wielkim dla niego. Niezliczone razy zadawał sobie pytanie, dlaczego wtedy korona opadła akurat na jego skroń - przecież nawet nie należy do ludu elfów!

Corwyn nagle wyczuł, że nie jest już sam. Nie, nie usłyszał nic, po prostu poczuł uspokajającą obecność Alannah.

- Wiesz, że im zazdrościsz? - rzekł, nie odrywając wzroku od gwiazd.

- Komu? - odpowiedziała pytaniem.

- Balbokowi i Rammarowi. Pozbyli się obowiązku wodzów. Teraz są wolni i mogą robić, co im przyjdzie do głowy.

- I co? - Elfini podeszła i objęła go od tyłu, otulając swoimi szczupłymi ramionami szeroki tors Corwyna. - Chciałbyś też zostać wygnany, strącony z tronu?

- Czasem - przyznał. - Wtedy mógłbym sam wyruszyć do Kal Anar i nie musiałbym kryć się tchórzliwie ani kazać najemnym żołnierzom i skazańcom, żeby za mnie nadstawiali głowy.

- To cię męczy, prawda? - Delikatnie przytuliła policzek do jego szerokich pleców.

- Sam powinienem iść, Alannah. To niesprawiedliwe, że inni narażają dla mnie życie.

- Nie robią tego dla ciebie, ale by odzyskać wolność - cichym głosem przypomniała mu elfini - i nie chodzi tu o twoje dobro, ale o królestwo. Nie możesz iść do Kal Anar, Corwynie. Jesteś królem. Jesteś wybrańcem, którego przepowiedziało proroctwo. Ty i nikt inny możesz zjednoczyć Łąd i przywrócić ludom pokój.

- Naprawdę tak myślisz? - Spojrzał na nią.

- Jestem pewna. - Uśmiechnęła się.

- A jeśli źle zdecydowałem? Czy to słuszne złożyć losy królestwa w ręce orków i złoczyńców?

- Ogień musimy zwalczyć ogniem, jak napisano w proroctwie. To znaczy, że tylko przymierze wrogów może uratować królestwo. Do niedawna sądziłam, że słowa Farawyna dotyczą nas i oswobodzenia Tirgas Lan. Dwaj orkowie, Loreto, Ortmar z Rumowiska, nawet ty i ja, wszyscy byliśmy wtedy przeciwnikami, lecz ostatecznie stanęliśmy ramię w ramię przeciw wspólnemu wrogowi... Z biegiem czasu doszłam jednak do przekonania, że proroctwo dotyczy czasów nowego królestwa i zagrożenia, jakie powstało daleko na wschodzie.

- Ale nie wiem, czy mogę im zaufać...

- Bo nie musisz ufać im - powiedziała Alannah, uśmiechając się łagodnie. - Zaufaj proroctwu. Już raz okazało się prawdziwe i będzie tak ponownie. Jeśli ktoś ma szansę na powodzenie, to Balbok

i Rammar. Z jakiegoś powodu los powołał ich do spraw wyższych niż resztę tej dziwacznej rasy. Nie martw się.

- Znasz mnie dobrze. - Corwyn przywołał na twarzy wymuszony uśmiech. - Tak dobrze, że czasem aż się tego boję. Ale orkowie nie są jedynym powodem mojego niepokoju.

- Co jeszcze?

- Nie wiem. - Pokręcił głową, a jego jedyne oko patrzyło ponuro. - Coś się nie zgadza. Jakbym coś przeoczył. Coś ważnego, od czego może zależeć przetrwanie nas wszystkich...

- Tak ci się tylko zdaje, bo nie nawykłeś do wydawania rozkazów i pozwalania, by inni działali w twoim imieniu - rzekła Alannah. - Jeszcze nie tak dawno sam byłeś człowiekiem miecza i trapi cię myśl, że jesteś skazany na bezczynność, gdy inni walczą.

- Pewnie masz rację...

- Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. Nie dręcz się, kochany. - Stając na palcach, musnęła delikatnym pocałunkiem jego usta, słodka jak świeży miód. - Nie masz nic lepszego do roboty w gwiezdną noc, niż stać w oknie i mędrkować? - spytała uwodzicielsko.

- Czy mędrkowanie nie jest właściwością elfów? - odpowiedział pytaniem. - Czemu nie mędrkujesz ze mną?

- Bo jest coś, co wolałabym robić nieskończenie bardziej... - Pocałowała go jeszcze raz, przytulając się do niego całym ciałem.

- Alannah - wyszeptał ochryple, czując już, jak troska i napięcie opadają z niego - co bym bez ciebie zrobił?

Elfini zaśmiała się równie czarująco, co zagadkowo.

- Polowałbyś na orków - powiedziała cicho i odciągnęła go od okna.

Nie wiedzieli, że wysoko nad miastem łopocą ciemne skrzydła i pełne nienawiści oczy patrzą na nich z góry...

6. KULACH-KNUM

Wymarsz z Tirgas Lan odbył się z zachowaniem jak największej tajemnicy. Siedem postaci w pelerynach, których kaptury zasłaniały im twarze, nocą opuściło cytadelę. Ich plecaki sprawiały, że wędrowcy z daleka rzeczywiście wyglądali jak przysadziści synowie krasnoludzkiego rodu przygarbieni pod ciężarem mozolnej pracy. Jednak ich wygląd i elfie zakłęcie rzucone przez królową Alannah wprowadzały w błąd, a dwaj uczestnicy tej maskarady czuli się bardziej niż niezręcznie - byli to Rammar i Balbok krzywiący się z obrzydzeniem i nieustannie mamroczący coś pod swoimi fałszywymi brodami.

- Do kroćset - warknął Rammar nie wiedząc który raz - jak ten nędzny łowca głów może skazywać nas na taką hańbę?!
- Może myśli, że to śmieszne - burknął Balbok.

- Powiniennem wyrwać mu z ramion głowę i pograć nią w rzucanego - odpowiedział ponuro Rammar. - Takie coś to dopiero ubaw...

Pożegnanie z królewską parą było krótkie. Corwyn i Alannah przy bramie osobiście życzyli im szczęścia. Elfini oczywiście znów nie omieszkała dać im kilku mądrych rad o międzyrasowej współpracy „dla wyższego dobra” - tak się wyraziła. Ale jaki cel mógłby być dla orka wyższy niż zanurzyć ostrze miecza we krwi, napchać sobie do pełna kieszenie i nazreć się i opić do woli?

Corwyn również jeszcze raz przypomniał im o doniosłym znaczeniu misji i powiedział, że los całego Łądu spoczywa w ich rękach, czy może raczej łapach.

- Mógłbyś dla odmiany powiedzieć coś nowego - skwitował krótko Rammar, po czym wyruszyli.

Szli starym duktem elfów łączącym Tirgas Lan z północą królestwa, mijającym południowo-wschodnie przedgórze Gór Ostrych i wiodącym wprost do dawnych miast granicznych Sundaril i Andaril.

- Właściwie dlaczego musimy całą drogę iść piechotą? - marudził ocieężały Rammar, stawiając bez ochoty stopę za stopą. - To poniżej godności wodza.

- Doszło do moich uszu, że nie jesteście już wodzami - odpowiedział uszczypliwie Ortmar z Rumowiska. - Poza tym nie wiem, jak inaczej mielibyśmy się przemieszczać. Mam cię może nieść?

- To nie byłby pierwszy raz - wyszczerzył zęby Balbok, nawiązując do ich pierwszego spotkania. Wtedy bracia ukryli się w skrzyniach, które Ortmar i jego przemytnicza banda transportowali sekretnym tunelem na drugą stronę Północnego Wału.

- Czemu nie wzięliśmy statku? - burknął gruby ork. - To miasto, Kal Asar, leży przecież na wybrzeżu, prawda?

- Tak - odparł krasnolud - ale nazywa się Kal Anar, a nie Asar.

- Co za różnica?! Ja w każdym razie chciałbym wiedzieć, czemu zdieramy tu sobie nasze *kas'hai*, zamiast przeklętym statkiem przepłynąć się przez Wschodnie Morze.

- Z trzech powodów - wyjaśnił Ortmar. - Po pierwsze, na otwartym morzu łatwo byłoby nas odkryć i zaatakować. Po drugie, z wyjątkiem portu w Kal Anar, silnie umocnionego i dobrze strzeżonego, nigdzie wzdłuż wybrzeża nie da się przybić do brzegu; ciągną się wzdłuż niego przybrzeżne rafy nazywane przez żeglarzy „filary śmierci”. Kto się w nich dobrze nie orientuje, jest zgubiony.

- *Korr* - warknął Rammar ponuro, gdyż to wystarczająco go przekonało.

- A tak z czystej ciekawości, jaki jest trzeci powód? - spytał Balbok.

- Cóż, nasz plan przewiduje użycie sekretnych tuneli braci krasnoludów, by nimi dotrzeć na terytorium wroga.

- Więc?

- Pod Wschodnim Morzem nie ma tuneli - wzruszył ramionami Ortmar i ten argument przemówił nawet do Balboka.

Pomaszerowali dalej i już nawet orkowie milczeli niczym Gurn Lodowy Barbarzyńca. Zamykał pochód i tylko gapił się ponuro. Cóż, Rammar też nie czułby radości, gdyby mu przyszło dźwigać ciężki dwuręczny miecz, choć co siedziało tamtemu w głowie, któż by wiedział...

Idący przed orkami uzbrojony w topór Kibli krasnolud marmotał nieustannie w swoją (w jego przypadku prawdziwą) brodę. Wyraźnie nie cieszyła go ta wyprawa, ale nie miał wyboru, jeśli chciał stać się na powrót wolnym krasnoludem i wrócić do ojczyzny, której księżęta ślubowali wierność królowi Corwynowi.

Za to Nestor z Taik od wymarszu z Tirgas Lan krzywił twarz w fałszywym uśmiechu. Pod peleryną za szeroki pas zatknął liczne noże - w rzucaniu którymi ów płatny morderca był ponoć mistrzem.

Rammar kroczył wpatrzony w chude plecy brata. Nalegał, by iść na czele orszaku - nie dlatego, że był przywódcą albo przepęłniała go odwaga, bardziej po to, by dyktować tempo marszu i nie musieć dotrzymywać kroku innym, jak często zdarzało się wcześniej, gdy był jednym z wielu orków w hordzie Girgasa.

Ortmar z Rumowiska cały czas nieco wyprzedzał grupę. Czasem znikał i badał teren, by po chwili powrócić. Przeważnie jego twarz zdobił wtedy przemądrzały uśmiech; Rammar najchętniej powybijałby mu za to zęby.

Pierwszą noc spędzili w ziemiance na skraju drogi, zwykle dającej schronienie przed wiatrem i deszczem konnym kurierom i wędrownym kupcom. Nie cuchnęło tu wprawdzie rozkładem ani stęchlizną, nie było też futra wargów, na którym można by złożyć zmęczoną głowę, ale przecież niechlujnie zbity dach zapewniał ochronę przed deszczem, który zaczął siąpić krótko po zachodzie słońca.

Siedmiu kompanów przycupnęło w milczeniu. Ciasno otulili się pelerynami, bo chłód był dokuczliwy, i nieufnie zerkali na siebie. Nestor i orkowie zajęli się swoim prowiantem, podczas gdy Gurn z obojętną miną ostrzył dwuręczny miecz, a krasnolud Kibli usiłował rozpalić ogień.

- Bez sensu - mlaskając, stwierdził Rammar. - Równie dobrze mógłbyś próbować podpalić ogon wargę.

- Nie martw się, dam radę - odparł z przekonaniem Kibli, nadal manipulując krzesiwem.

- *Douk*, nie dasz - sprzeciwił się Rammar. - Drewno mokre, a przy tym wietrze nigdy nie wzniesiesz płomienia...

Połknął ostatnie słowa, gdyż w kupce liści i suchej trawy nagle rozległy się ciche trzaski. Zobaczyli dym, a w następnej chwili pierwsze języki ognia. Z tryumfującym uśmiechem Kibli sięgnął po zebrane przez siebie drewno - jednak zgodnie z przepowiednią Rammara patyki były zbyt wilgotne.

- A nie mówiłem! - krzyknął ork, a siedzący na uboczu gnom wybuchnął rżącym śmiechem.

- Szybko! - syknął Kibli. - Potrzebne nam coś, co się będzie palić.

- Wrzucmy do ognia nasze czapki - zaproponował Nestor. - I tak nie mogę znieść tej idiotycznej mycki.

- *Korr* - zgodził się Rammar - i na dokładkę spalmy jeszcze te przeklęte brody.

- Nie radziłbym - upomniał Ortmar. - Bez przebrania zostaniecie szybko rozpoznani, a wtedy wasze łby niedługo utrzymają się na karku.

Rammar i Nestor lubili swoje głowy, więc zawarli pyski. A Kibli z rosnącym zwątpieniem wpatrywał się w niewielkie ognisko, które właśnie zaczęło przygasać.

Nagle coś zaszeleściło w powietrzu, coś, co miało postać wielkiego placka. Przeleciało nad głowami kompanów i wylądowało pośrodku paleniska. Iskry trysnęły na wszystkie strony i wzniosła się chmura gęstego dymu.

- C...co to było? - spytał przestraszony Kibli. - Kto ośmiela się gasić mój ogienek...?

Przerwał, widząc, że placek w żadnym razie nie zdławił jego „ogienka”, ale przeciwnie, posłużył mu za strawę. Płomienie już pełzały wokół i po chwili żalosne małe płomyczki zmieniły się w porządne ognisko.

Podróżni zdziwieni spojrzeli w kierunku, z którego nadleciał osobliwy obiekt. Stał tam Balbok z plecakiem w łapach i szerokim uśmiechem na gębie.

- Suszone orcze łąjno - oznajmił dumnie. - Nic nie pali się lepiej.

Gdy gnom ponownie się rozrechotał, pozostali członkowie drużyny spontanicznie zaczęli klaskać - ku wielkiemu poirytowaniu Rammara. Gruby ork przez cały dzień próbował odgrywać przywódcę, odnosząc przy tym raczej mierny sukces, a tu ten cymbał, jego brat, zyskuje respekt i uznanie, rzucając w ogień własne *sh-norsh!* Kolejny raz Rammar musiał przyznać, że ludzie i krasnoludy to nadzwyczaj dziwaczne stworzenia - choć orkowie czasem bywają jeszcze dziwniejsi...

Grubas obserwował ze zdziwieniem, jak Balbok, który przysiadł przy ogniu, grzebie w swojej fałszywej brodzie. Raz po raz coś tam znajdował i jego naiwne rysy wykrzywiały się z zadowoleniem.

- Do kroćset - wrzasnął na niego Rammar - nie mógłbyś ściągać tej idiotycznej brody przynajmniej na noc?!

- *Douk* - odpowiedział Balbok, ale nawet nie podniósł wzroku.

- Co, na mroczną jamę Kurula, tam robisz? - dopytywał się brat.

- Szukam i znajduję - odpowiedział mu zagadkowo chudzielec.

- Czego szukasz i co znajdujesz?

- Kleszcze, pchły, muchy, po prostu wszystko, co przez cały dzień złapało się w moją brodę. - Balbok podniósł wzrok i garść drobnej zdobyczy znikła w jego ustach.

- Żresz kleszcze, pchły i muchy? - spytał Rammar.

- Jasne! - Chudy ork chrupnął z upodobaniem. - Nieźle smakują, wiesz.

Jego brat wywrócił oczami i tylko westchnął, po czym położył się i odwrócił, by już nic więcej nie słyszeć ani nie widzieć.

Na zmianę trzymali straż. To znaczy wszyscy prócz Rammara, gdyż on wolał leżeć przy ogniu i przespać całą noc.

Wypoczęty dowódca, mówił sobie, jest przecież niezbędny dla powodzenia misji...

Następnego ranka po skromnym śniadaniu, które Balbok znów uzupełnił połowem ze swojej w pewnym sensie żywej krasnoludzkiej brody, pomaszzerowali dalej. Wędrowali drogą elfów coraz dalej na północ i zawsze, gdy natykali się na kupców lub podróżnych, opuszczali głowy i naciągali czapki i kaptury głębiej na twarz. Jednak - może dzięki zaklęciu, które rzuciła na nich Alanah - nikt z tych, których spotkali, nie powziął nawet cienia podejrzenia. Brano ich za krasnoludów - co normalnie brzydziłoby Rammara, ale teraz coraz bardziej cieszyło, gdyż już niedługo od przebrania będzie zależało ich życie.

Wieczorem drugiego dnia przeredziła się zieleń drzew i druzyna dotarła na skraj Lasu Trowna. W świetle zmierzchu dostrzegli jeszcze na zachodzie Równinę Scarii, a na północnym wschodzie pierwsze wzgórza. Między nimi odległym zygzakiem rysowały się kontury Gór Ostrych, rodzinne strony krasnoludów.

- Nie gap się tak tęsknie na północ - z rozkoszą wypalił Rammar na widok miny Ortmara. - Nasza droga prowadzi na wschód, jasne?

- Zgadza się - odpowiedział dawny przemytnik. - Mimo to najpierw skierujemy kroki ku Górom Oстрыm. Tam jest wejście do tajnego tunelu, którego użyjemy.

- I po to mamy nadkładać tyle drogi? - Ork pokręcił głową. - Czy ty zamiast mózgu masz pierd trolla?

- Ja jestem przewodnikiem - postawił sprawę jasno krasnolud.

- I co z tego? A ja jestem dowódcą - odparował Rammar - i mówię, że nie chce mi się wlec najpierw tyle mil na północ tylko po to, żeby potem znów tę samą drogę przebyć waszym zawsze-tunelem.

- Ale Rammar, tunel da nam ochronę - przekonywał go Balbok.

- Ochronę? Przed czym? - Brat posłał mu gniewne spojrzenie. - Wysił trochę swoją mózgownicę, głupku! Przed czym mamy się chronić? Jesteśmy jeszcze w królestwie Corwyna, a zakęcie elfini chroni nas przed rozpoznaniem. Nie wiem, jak to zrobiła, ale nawet ciebie, długasie, wszyscy biorą za krasnoluda.

- Mimo wszystko - upierał się Ortmar - twój brat ma rację. Powinniśmy być ostrożni. Powiadają, że władca Kal Anar rozesał szpiegów, pełno ich w całym kraju.

- Szpiegów? - Rammar nadstawił ucha.

- Naturalnie. Gdybyście słuchali, co mówił król Corwyn, zamiast opychać się *brunhildem*...

- *Bru-millem* - poprawił Balbok.

- ...to wiedzielibyście, o czym mówię - ciągnął Ortmar. - Szpicle zła są wszędzie i tym podstępnych agentom i skrytobójcom zawdzięczamy, że do tej pory każda próba rozpoznania siły wroga kończyła się żalonym niepowodzeniem.

- E tam! - Rammar niechętnie pokręcił głową. - Gdyby nawet ci szpiegzy nas zobaczyli, wezmą nas za krasnoludów. Nie ma chyba nic nadzwyczajnego w tym, że takie mikrusy pętają się tu na południu, co?

- No nie, ale...

- Zatem postanowione - warknął Rammar i potoczył groźnym spojrzeniem po zebranych. - Pójdziemy krótszą drogą na wschód. Czy ktoś uważa inaczej?

Nikt się nie sprzeciwił: Balbok wyglądał na przygnębionego, jak zawsze kiedy brat mu nawymyślał, Gurn patrzył tylko tępo

przed siebie i nie odzywał się ani słowem. Błada twarz Nestora jakby drgnęła, lecz i on milczał. Kibli niezmiennie mamrotał w brodę, a gnom tylko chichotał, najwyraźniej świetnie się bawiąc.

- W takim razie rozbijemy się obozem przy drodze i ruszymy dalej o wschodzie słońca - warknął zadowolony Rammar.

- To nierozsądne - znów sprzeciwił się Ortmar.

- Znowu zaczynasz?! - krzyknął ork. - Wy, brodate maluchy, najedłście się mądrości całymi łyżkami, co?

- Nie o to chodzi, ale biorąc pod uwagę szpiegów, powinniśmy maszerować nocą, skoro nie używamy tunelu.

- Chcesz przez to powiedzieć, że mamy dziś wlec się jeszcze dalej? Teraz?! Po tym jak cały dzień zdzieraliśmy sobie do krwi *kas'hai*?

- To byłoby wskazane - stwierdził z przekonaniem krasnolud. - Szpiegdy wroga są wszędzie, podobno nawet w powietrzu...

- Do kroćset, nie chcę już słuchać o szpiegach! - wrzasnęła Rammar i groźnie potrząsnęła *saparakiem*. - Jeszcze słowo i przebiję cię na wylot, rozumiesz? Popatrz, wychodzę teraz z zarośli i idę na otwartą przestrzeń! Bez żadnej ochrony, widzisz? I gdzie ci twoi szpiegdy, ha? Pokaż mi ich, ty brodaty mały ważniaku...

Grubas przeskakiwał z jednej nogi na drugą jak ochwacony ogier. Jego kompani przyglądali mu się, a w ich spojrzeniach widać było mieszanię podziwu i zmieszania, które zmieniły się w przerażenie, gdy coś mrocznego i groźnego opadło z pomarańczowoczerwonego nieba. Ciężki spadł na Rammara, rozległo się potworne skrzeczenie, tak głośne i przenikliwe, że nawet potworowi krew zamarzlaby od niego w żyłach.

- Co to było? - spytał zbity z tropu ork, patrząc zdziwiony na Balboka i pozostałych.

Wpatrywali się w coś, co musiało wisieć w powietrzu nad

Rammarem i okrywało go mrokiem. Stali przy tym znieruchomieli jak posągi. - Do kroćset - szepnął - czemu się nie ruszacie?

Nie dostał odpowiedzi, więc zebrał się na odwagę, by również spojrzeć w górę.

To, co zobaczył, pozbawiło go smrodliwego tchu.

To był *snagor*, choć niezupełnie.

Tylko dolna połowa stwora, groźnie wiszącego nad nim na rozżarzonego niebie i bijącego skrzydłami, przypominała węża - reszta ptaka, którego czarne upierzenie przechodziło w łuskowatą skórę węża. Głowa z żarzącymi się oczami wyposażona była w ostry, zagięty dziób, a ciało węża ozdobił niepokojący zygzakowaty wzór. Skrzydła stwora wyglądały jak pożyczone od nietoperza, ale czy ktoś widział gacka o wielkości trzech albo czterech orków?

Potwór, którego wężowy ogon nieustannie zwijał się w pierścień, szybował nad Rammarem. Ptasi dziób otwierał się, skrzecząc przenikliwie, a kiedy grubas spojrział w płonące czerwono oczy, ogarnęły go trwoga i panika i ork miał wrażenie, że cały sztywnieje. Jednak nie tylko strach go paraliżował, ork naprawdę nie mógł się ruszać. Przejęty patrzył, jak jego łapy tracą kolor i szarzeją i w następnym momencie zrozumiał.

Balbok i pozostali nie ruszali się, gdyż wzrok *uchl-bhuurza* sprawił, że skamienieli!

Stwór znów rozdziawił dziób i ukazał się rozdwojony język. Rammar stał i patrzył w górę na potwora, nie mogąc oderwać od niego wzroku.

Nagle wężowy ogon przestał się splatać i rozplatać, tylko wystrzelił w dół i zacisnął pętlę wokół szyi orka.

- Pomohhhhhrrr...!

Krzyk grubasa przeszedł w ochryple skrzeczenie. Twarz Rammara, i tak już ciemnoszara, jeszcze pociemniała potwór mocniej uderzył skrzydłami, chcąc wzbic się ze swoim łupem w powietrze

- to, że nie zdołał tego dokonać, ork zawdzięczał tylko skłonności do obżarstwa. Skrzydła stwora ciągnęły go w górę, a brzuszysko w dół.

- Rammar! Do kroćset!

Balbok wreszcie się poruszył - widać paraliż ustępował - i jednym rzutem oka ocenił sytuację. Unosząc oburącz topór, ruszył z impetem na stwora, nadal daremnie próbującego wzbić się z Rammarem.

Dopadłszy ich, z przenikliwym orczym okrzykiem bojowym machnął toporem. Żeleźce dosięgło jednego ze skrzydeł potwora i twarda skóra rozerwała się jak papier. Bestia wydała ochrypły wrzask.

Balbok zamierzył się po raz drugi - tym razem celując w węzowe cielsko. Ostrze topora przecięło łuski i wgryzło się z apetytem w mięso.

Ranna maskara puściła swój łup. Rammar spadł jak kamień na ziemię i leżał tam, łapczywie łykając powietrze, podczas gdy stwór zwrócił się ku Balbokowi oszalały z wściekłości.

Chudy ork spojrział w zabójczą gardziel rozdziawioną tuż nad nim. Ponownie zamachnął się toporem, tym razem trochę z boku, żeby odrąbać stworowi zakrzywiony dziób. Całego nie zdołał, ale potężna broń orków zgruchotała dolną połowę.

Bestia cofnęła się i rozradowany Balbok wydał okrzyk tryumfu. Ta chwila dekoncentracji zemściła się natychmiast - orka trafił ogon, którym potwór smagnął z całej siły jak batogiem.

Balbok zatoczył się, natychmiast jednak znów stanął prosto. Ohydny węzowy ogon ponownie świsnął w powietrzu, waląc orka w plecy, aż ten wrzasnął z bólu. Niemal równocześnie potwór kłapnął tym, co zostało z jego dzioba, i ork uniknął morderczego ataku tylko dzięki temu, że poleciał w bok odrzucony impetem poprzedniego ciosu. Padł na ziemię z toporem w łapach.

Ogon stwora trafił go po raz trzeci.

Balbok leżał oszołomiony, nie mogąc stanąć na nogi ani unieść topora w swojej obronie. Upierzony łeb znieruchomiał nad orkiem, żarzące się wściekłością oczy patrzyły z nienawiścią.

- R...Ranmar! - krzyknął Balbok, ale jego brata nie było widać ani słysać.

Łeb bestii kiwał się groźnie i chudy żegnał się ze swoim chudym życiem. Spokojnie czekał na koniec, gdy nagle trysnęły na niego krew i galaretowaty płyn!

Oko stwora zgasło, gdy utkwił w nim nóż.

Łeb monstrum odskoczył do tyłu, odsłaniając gardło, które natchmiast z niszczącą siłą cięło połyskujące, długie na co najmniej pięć *knum'hai* ostrze. Mógł to być tylko dwuręczny miecz Guma Lodowego Barbarzyńcy.

Cios zadano z taką siłą, że łeb węzoptaka odpadł odrąbany. Poleciał z szeroko rozdziawionym, na pół zmiażdżonym dziobem. Fontanna krwi trysnęła z okaleczonego tułowia, wciąż bijącego skrzydłami z dziką paniką i słabnącą mocą.

Wreszcie uderzenia skrzydeł zamarły. Bestia padła na ziemię, długi ogon drgnął jeszcze raz, w końcu stwór legł nieruchomo.

Balbok wstał ciężko i zobaczył towarzyszy wędrowki wpatrujących się w truchło potwora - Guma z gorączkowo błyszczącymi oczami i zakrwawionym mieczem w dłoni oraz szczerzącego w szerokim uśmiechu zęby Nestora, w którego pasie brakowało jednego noża.

- Do kroćset! - usłyszeli nagle czyjeś biadolenie. – Czy ktoś z was, nędznych *umbal'hai*, wreszcie mi pomoże?

Był to bez wątpienia głos Rammara.

Balbok odczuł ulgę, że jego brat najwyraźniej nie poniósł większej szkody, i rozejrzał się za nim. Zobaczył go leżącego na ziemi

w wysokiej trawie kilka kroków dalej. Wprawdzie u Rammara paraliż również ustąpił, jednak z powodu tuszy miał problemy z dźwignięciem się na nogi. Leżał na plecach niczym chrząszcz, wymachując rękami i nogami. Gnom wybuchnął gdaczącym śmiechem, widząc Balboka śpieszącego bratu z pomocą. Ledwie podciągnął go na nogi, Rammar znów był sobą.

- Ha! - krzyknął, chwycił łeb potwora leżący nieopodal na ziemi i podniósł go tryumfująco. - Widzieliście? Rammar Gniewny w walce ze straszliwym potworem! Odważnie spojrziałem potworowi prosto w oczy i pokonałem go!

- No cóż - cicho wtrącił Balbok - właściwie to...

Poirytowany Rammar niedbale upuścił łeb stwora, a jego oczy zwężyły się w wąskie szparki.

- Nazywasz mnie kłamcą? Zaprzeczasz, że to mnie zaatakował potwór?

- Nie, ale...

- To się zamknij! - odpalił gruby ork i szybko zmienił temat: - A teraz, na cuchnące flaki Torgasa, chcę wiedzieć, skąd wziął się tu ten nędzny *uchl-bhuurz*?

- Ten co? - nie zrozumiał Nestor.

- Potwór - przetłumaczył Balbok.

- Nie mam pojęcia skąd. - Zamachowiec z dalekiego miasta Taik pokręcił głową. - W moim fachu bywałem już tu i ówdzie, do tego nierzadko musiałem na łeb na szyję wiać z niejednego miasta, ale latającego węża nie spotkałem jeszcze nigdy. Dobrze, że udało się go zabić.

Gurn mruknął, przyznając mu rację.

- Ja też nigdy dotąd nie widziałem takiego stwora - oznajmił Kibli. - Pół ptak, pół wąż, a jego wzrok paraliżuje i zmienia w kamień.

- Nikt z nas nie widział jeszcze nic takiego - powiedział Ortmar. - To bazyli szek.

- *Shnorsh!* - burknął Rammar. - Bazyliżków nie ma już od dawna. Kurul je pożarł na długo przedtem, nim zaczęła się era śmiertelników.

- Bzdura! - Kibli zdecydowanie pokręcił głową. - To prastary młot krasnoludów zmiażdżył węzowe plemię, kiedy nadawał kształt światu.

- Każdy lud ma własną wizję powstania Łądu - wtrącił Ortmar. - Tak czy inaczej niewątpliwie mamy tu do czynienia z kreaturą, która właściwie nie ma prawa istnieć. I myślę, że jest raczej jasne, skąd się wzięła: z Kal Anar.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - parsknął Rammar.

- To, co przedtem już powiedziałem i w co ty, głupi, zakuty łbie, nie chciałeś uwierzyć: że wróg jest wszędzie i że ma szpiegów w całym rajcu. Ten stwór z mroków przeszłości - kopnął zwłoki, a wtedy ogon skręcił się jeszcze raz, wywołując przerażony pisk gnoma - był na jego służbie.

Rammar spojrzał gniewnie na krasnoluda.

- A ty skąd to wiesz?

- Najwyraźniej nie wiesz za wiele o Kal Anar, co? - Małe oczka Ortmara błysnęły chytrze. - W takim razie coś ci opowiem, orku: cywilizacja i kultura Kal Anar różnią się zasadniczo od Tirgas Lan. Ludzie tam są mizernej postury, ich cera jest żółtawa, mają małe nosy i wąskie oczy. A bazyliżek - wskazał na zwłoki - jest ich godłem.

- Poważnie? - spytał Balbok.

- Skądże, żartuję - odpowiedział zgryźliwie krasnolud, na co gnom znów wybuchnął rżącym śmiechem.

- Twierdzisz zatem, że władca Kal Asar wysłał na nas tego stwora - stwierdził Rammar.

- Anar - poprawił Ortmar. - Wszystko inne się zgadza. Wiele historii pochodzących jeszcze z czasów przed pierwszą wojną opowiada o bazyliżkach. W niektórych twierdzi się, że kilka tych stworów przeżyło dzięki czarnej magii i przetrwało wieki.

- Czarna magia - warknął Balbok, robiąc pogardliwą minę. Orkowie nienawidzili magii wszelkiego rodzaju.

- Nonsens! - sprzeciwił się Gurn grzmiącym głosem. - To tylko bajki. - Pierwszy raz w ogóle coś powiedział.

- Może - przyznał Ortmar - a może nie.

- Jest jeszcze więcej tych wężopodobnych? - spytał z niepokojem Rammar.

- Można tak sądzić - odparł krasnolud.

- W takim razie musimy założyć, że nasz wróg może obserwować nas z powietrza - wywnioskował gruby ork i spojrzał nieufnie na niebo. Czerwona poświata zmierzchu zmieniła się tymczasem w ponury, ciemniejszy z każdą chwilą mrok. - Widzi nas i zawsze wie, gdzie jesteśmy.

- Właśnie tak - potwierdził Ortmar.

- W takim razie musimy niezwłocznie udać się na północ - zdecydował Rammar. - Pod osłoną ciemności dotrzemy do najbliższego tunelu krasnoludów. Jeśli użyjemy tajnych tuneli i podziemnych korytarzy, wtedy te latające bestie nie będą mogły nas wypatrzyć.

- Jak rozkażesz, dostojny przywódco. - Grymasu na twarzy Ortmara z Rumowiska nie można było przeoczyć mimo gęstej brody. - Wspaniały pomysł, naprawdę.

- Ale Rammar - sprzeciwił się Balbok - nie mówiłeś przedtem, że jesteś zbyt zmęczony, żeby iść dalej?

- I co z tego?! - wrzasnął na niego brat. - Teraz odpocząłem i mówię co innego. Ktoś ma z tym problem? Ktoś jest zbyt zmęczony, żeby powlec dalej swoją *asar*? Jeśli tak, to niech powie, już ja postawię go na nogi!

Potoczył po swej drużynie napastliwym wzrokiem, ale nikt się nie sprzeciwił - nie dlatego, że gruby ork budził taki respekt, ale dlatego, że stracili już dość cennego czasu, a droga do Gór Ostrych była jeszcze daleka.

- To ruszcie się łaskawie! - Rammar niepotrzebnie popędzał towarzyszy, trwożliwie zerkając na ciemne niebo. - Ruchy, mięczaki,

ruchy, nim stracę cierpliwość! Nie rób takiej miny, barbarzyńco! Nie krzyw się tak głupio, gnomie! A wy, krasnoludy, macie dotrzymać nam kroku! Nie będziemy iść wolniej tylko z powodu waszych krótkich nóg.

- Oczywiście że nie - zauważył półgłosem Balbok, na co Rammar uniósł się jeszcze bardziej.

- Coś ty powiedział?!

- Nic - odparł chudzielec. - Tylko że wszyscy podziwiamy twoją mądrość.

- Nie podlizuj się, dobrze wiesz, że na mnie to nie działa! A teraz dalej, półgłówku, czy mam cię kopnąć w *asar*? Ja tu dowodzę, żeby mi nikt o tym nie zapomniał!

- Tak - szepnął ktoś - pytanie tylko, jak długo jeszcze...

Powiedział to Ortmar z Rumowiska, ale jedynym, który usłyszał te słowa, był gnom, który znów zarżał końskim śmiechem niosącym się echem w zapadającej ciemności.

7. ARTUM-TUDOK!

Maszerowali całą noc, tak jak rozkazał Rammar, a wcześniej radził Ortmar z Rumowiska. Teraz ów krasnolud maszerujący na czele drużyny czuł na karku oddech idącego tuż za nim grubego orka i miał uszy pełne jego stękania, trudno się więc dziwić, że był w kiepskim nastroju.

Ortmar nie pozwalał sobie na myślenie o tym, że był kiedyś dumnym synem krasnoludzkiego rodu, potomkiem Ortwina, i terminował u najlepszych kowali Gór Ostrych. W innym świecie, w innych czasach mógłby zostać zamożnym i potężnym krasnoludem, ozdobą swej rasy, przez wszystkich podziwianym i uwielbianym.

A co się z nim stało?

Edukacja w legendarnej szkole Anuil, w której kształcono najlepszych i największych kowali w królestwie krasnoludów, na orka się zdała,[Powiedzenie krasnoludów] gdyż odkąd rynek zalały tanie imitacje ze wschodnich krain, nikt już nie chciał kupować

toporów ani mieczy z krasnoludzkich kuźni. Ekonomia zmusiła Ortmara do porzucenia rzemiosła ojców i zajęcia się przemysłem. Odnosił wprawdzie w tej dziedzinie niejaki sukcesy, jednak pewnego razu zadał się z niewłaściwymi kompanami: mianowicie z dwoma orkami imieniem Balbok i Rammar.

A teraz właśnie ci dwaj po raz drugi niespodziewanie wkroczyli w jego życie i ponownie grożą zniszczeniem wszystkich z takim trudem ukutych planów.

Jakby nie było wystarczająco trudno wkraść się w łaski Alanah i Corwyna po tym, co zaszło podczas walki o Targas Lan i po niej! Jakby nie wycierpiał już dość obelg i zniewag! Znienacka orkowie pojawili się znowu i znów byli obecni - niczym zepsuta potrawa, co to niby wyrzygana, i tak odbija się bez końca. Jednak Ortmar tak łatwo się nie podda; już on pozbędzie się tych dwóch orków!

- Hej, krasnoludzie! - ryknął mu nagle za uchem Rammar. - Daleko jeszcze?

- Kawalek - odpowiedział Ortmar, zmuszając się do spokoju.

- Mówiłeś tak, gdy księżyc stał jeszcze wysoko na cztery łapy. Gdzie wreszcie jest ten twój przeklęty tunel?

- Bez obaw - zapewnił krasnolud - dojdziemy do niego na czas, przed świtem.

- Mam nadzieję, w twoim własnym interesie. Bo inaczej wepchnę ci do gardła swoją własną brodę, żebyś się udusił, zrozumiałeś?

- Oczywiście - odpowiedział Ortmar, choć w jego wnętrzu aż wrzało. Jakże złościł go ten opasły, tłusty ork!

Nienawidził w nim po prostu wszystkiego: jego gestów, jego popisywania się, straszliwego smrodu, który otaczał obu braci niczym obłok smrodliwych oparów nad trzęsawiskiem. Krasnoludki zwykle pachniały metalem i ziemią, niekiedy również tytoniem do żucia i piwem - czyli dla Ortmara bardzo ładnie. Ale odór orków

nie dawał się porównać z niczym, co znał kluchowaty nos przewodnika.

Co takiego widzieli w nich król i królowa?

Choć Ortmar użył wszelkich sposobów, by im to wyperswadować, Corwyn i Alannah nie dali się odwieść od wezwania orków na pomoc w walce z Kal Anar. Próbował wszystkiego: argumentów, zaklania i błagania, a na koniec nawet dyplomatycznych nacisków przez krasnoludzkich księżąt, daremnie. Królewska para była przekonana, że iść do Kal Anar i wykonać zlecenie mogą tylko bracia orkowie - jakby im ktoś tak doradził.

Ale kto?

Ortmar nie wiedział, co się działo w Tirgas Lan. Elfini zawsze była dla niego zagadką, lecz łowca głów, nawet ile wlezie wystrojony w aksamity i jedwabie, i tak zawsze zostanie tylko człowiekiem. Cokolwiek nasunęło im myśl, by prosić o wsparcie orków, był to błąd. Błąd, który Ortmar będzie musiał naprawić najszybciej, jak to tylko możliwe.

Nie mógł się już doczekać, kiedy pozbędzie się dwóch maszkar. Mało, że ich głupia gadanina działała mu na nerwy, to na dodatek stali na drodze jego planom. A Ortmar z Rumowiska nie znosił, kiedy ktoś niszczył jego zamiary. Próbowali tego już inni przeciwnicy, znacznie potężniejsi od dwóch orków, i zapłacili za to życiem.

Do Kal Anar czekała ich jeszcze długa droga i syn Ortwina miał niejasne przeczucie, że Rammar i Balbok nie dotrą do celu nigdy. Taaak, podróż daleka i pełna niebezpieczeństw czyhających na orków, a wtedy nawet król Tirgas Lan nie pomoże... Maszkary już raz zniweczyły plany Ortmara i pozbawiły go owoców jego trudu. Drugi raz im się to nie uda.

O to krasnolud już się zatroszczył...

To był prawdziwy marsz na wytrzymałość, który owi tak różnorodni kompani, a w szczególności Rammar, przetrwali do świtu

tylko dzięki temu, że nadal żywe było w ich pamięci wspomnienie bazyliuszka.

Kiedy na wschodzie zaświtał nowy dzień, rzucając długie cienie na Równinę Scarii, dotarli do brodu na Północnej Rzece. Na drugim brzegu zaczynały się pierwsze wzniesienia Gór Ostrych. Ledwie grupa przekroczyła rzekę, napotkali stromą skałę, po której wspinała się zakolami wąska ścieżka, a im wyżej się wznosiła, tym bardziej strome były kamienne ściany. Wkrótce podróżnicy byli w stanie dostrzec nad głowami tylko zygzakowatą kreskę nieba, lecz Ortmar prowadził ich dalej i dalej.

Zdawało się, że krasnolud doskonale zna drogę. Wąskimi jarami i ścieżkami, które mogło odszukać tylko wprawne oko, prowadził drużynę przez południowe przedgórze królestwa krasnoludów. Na wschód od nich piętrzyły się wzniesienia wyżyny; leżały tam miasta Andaril i Sundaril, niegdyś stanowiące granicę między krainami krasnoludów i ludzi.

Balbok nigdy specjalnie nie interesował się tymi sprawami. Orkowie nie darzyli szczególną atencją historii, podobnie jak polityki czy dyplomacji. Dużo gadać, nie mówiąc wiele, nie leżało w charakterze orka. Orkowie mają zwyczaj swobodnego wyrażania swoich opinii. Jeśli to się komuś nie podoba, łamią mu kości i tyle.

Ludzie, gdy wiodą ze sobą wojny, chętnie rozprawiają o abstrakcyjnych sprawach, takich jak wolność czy sprawiedliwość, co zapewne ma przyczynę w tym, że podrzynanie sobie nawzajem gardeł w imię wzniosłej idei jest dla nich znacznie przyjemniejsze. Orkowie w tej kwestii są daleko uczciwsi, przynajmniej zdaniem Balboka. W Stęchłej Marchii zły humor jest wystarczającym powodem, by unurzać nóż we krwi.

Balbok stwierdził również, że ludzie często zaczynają dyskusję o pokoju wówczas, gdy zamierzają wywołać wojnę. A gdy już wybuchnie, nie różnią się wiele od orków.

Mlecznogębi to dziwna rasa, Balbok nigdy ich nie zrozumie. Rozważał, czy nie zabić toporem Nestora z Taik maszerującego przed nim, ot tak sobie, by zobaczyć, co z tego wyniknie. Może Gurn będzie chciał pomścić swojego współplemieńca i rzuci się na Balboka. Cóż, po jednostajnym człapaniu mała jatka byłaby miłą odmianą. Aha, no niby ci dwaj uratowali mu życie... Hm, niby tak, ale to było poprzedniego dnia, więc się nie liczy.

Rammar mógłby jednak nie zrozumieć dowcipu, zastanowił się Balbok. On czasem ma dziwne poczucie humoru. Może by zrzędził, może nawet wpadłby we wściekłość. Dlatego Balbok zdecydował nie rozplatać toporem głowy idącemu przed nim człowiekowi, ale tylko zmiażdżyć ją płazem. Jeśli Rammar nie uzna tego za śmieszne i się rozzłości, brat zawsze będzie mógł powiedzieć, że topór mu się wyśliznął i przypadkowo strzaskał Nestorowi głowę.

Tak, to świetny pomysł!

Ociągał się jeszcze chwilę, potem uległ pokusie. Uniósł niesiony na ramieniu topór i opuszczył go płasko w dół. Ponieważ Nestor nie ma hełmu, a tylko filcową czapkę, żelźce topora zmiażdży mu głowę i...

- Au! Czyś ty kompletnie stracił rozum, ty niezdatny do niczego *umbalu*?

Szczekliwy narząd mowy, w żadnym razie nie należący do Nestora, ale do Rammara, przywołał Balboka do porządku. Przestraszony łapczywie łykał powietrze i wytrzeszczał oczy - pojął, że niczym koń przysnął podczas marszu. W rzeczywistości to nie Nestor szedł przed nim, ale Rammar. Reszta się jednak zgadzała, zwłaszcza ten cios płazem topora...

- Ty bezmózgi pożeraczu wszy! Ty zapchlony niezguło! - wściekał się Rammar, którego kaptur był całkowicie splaszczony od ciosu. - Co ci przychodzi do głowy?

- Wybacz, Rammar, zasnąłem.

- Ile razy mam ci powtarzać, że ork nigdy nie przeprasza? Czemu Kurul musiał pokarać mnie takim bratem ja ty?! Zasnąłeś? - Grubas przerwał, kiedy dotarło do niego, co właśnie powiedział brat.

Balbok skruszony skinął głową.

- Ty potrafisz spać w marszu? - spytał zbity z tropu Rammar. Chudzielec ponownie przytaknął.

- Od jak dawna to robisz?

- Nie wiem. - Balbok wzruszył ramionami. - Byłem zmęczony, więc zasnąłem.

- Byłem zmęczony, więc zasnąłem! - Rammar przedrzeźniał głos brata. Powodem jego furii była czysta zazdrość, gdyż on sam przez całą noc nie zmrużył oka. - Co ci przychodzi do głowy? Czy pozwoliłem ci chrapać podczas marszu?

- *D...dook.*

- Możesz mówić o szczęściu, że czaszka orka wytrzymała to i owo, w przeciwnym razie leżałbym teraz na ziemi z roztrzaskanym łbem!

Po twarzach niektórych przemknął cień rozczarowania, czego Rammar zresztą nie zauważył. Był całkowicie skoncentrowany na łajaniu brata, który rzeczywiście wyglądał na przybitego.

- Miej przynajmniej oczy otwarte, ty przekłety *umbalu* - przykazał mu tak głośno, że odbiło się to echem od niemal pionowych ścian jaru - inaczej już ja ci...

- Cicho! - zawołał ktoś nagle.

Tym kimś był Gurn Lodowy Barbarzyńca.

Spojrzenia wszystkich skierowały się na niego, kiedy odchylił głowę do tyłu i zwęził oczy w wąskie szparki. Wydawał się usilnie nasłuchiwać.

- Słyszałeś coś? - zapytał Rammar.

Barbarzyńca skinął głową i cicho warknął.

- Słyszałem... i widziałem...
- Co? Gdzie?
- Cięż, tam w górze. - Gurn wskazał górną krawędź wąskiego jaru, którym właśnie maszerowali. Tworzyła ona zygzakowatą linię, jakby w kamień wgrzyzły się szczęki ogromnego potwora. Skalne ściany po lewej i prawej były tak gładkie i pionowe, że nikt nie zdołałby się po nich wspiąć. Wąską kreskę nieba nad drużyną pokrywały gęste, ponure chmury.

Nagle powiew lodowatego wiatru przeleciał wąskim wąwozem i wszyscy zadrżeli. Niemal trwożliwie spoglądali w górę, nie dostrzegli jednak żadnego niebezpieczeństwa.

- Nic tam nie ma - stwierdził z przekonaniem Ortmar. - Musiałeś się pomylić, barbarzyńco.
- Nie ma pomyłki, krasnoludzie. - Gurn pokręcił głową.
- Może widziałeś kilka wron. Albo orła, albo sokoła, albo...
- Dostyc tego! - przerwał dyskusję Rammar. - Nie chcę nic słyszeć o żadnym cieniu. Lepiej postarajmy się dotrzeć do tego przeklętego tunelu krasnoludów. Jakbyśmy nie mieli już dość kłopotów na karku!

Gnom znów zarżał śmiechem, zaś twarz Gurna, i tak nietryskająca radością, zachmurzyła się jeszcze bardziej.

- Cięż - powtórzył, ale ruszył do dalszego marszu.

Pozostali członkowie drużyny poszli za jego przykładem, nie chcąc prowokować gniewu Rammara - nie dlatego, że się go bali, ale jego gadanie działało im na nerwy. Lecz ten, również podenerwowany, tylko szukał pretekstu. I znalazł - tym razem było nim mamrotanie Kibliego.

- Nie możesz się zamknąć jak inni? - warknął. - Co tam przez cały czas burczysz w swoją brodę?

Krasnolud przestraszony podniósł wzrok.

- Imiona - odparł trochę onieśmielony.
- Imiona? Co za imiona?

- A cóżby za imiona? - zadrwił Nestor, idący za krasnoludem i szczerzący zęby znad jego czapki. - Oczywiście że imiona jego dziewczyn.

- Przynoszą mi szczęście - oznajmił uspokojony Kibli. - Wszystkie mnie kochały.

- Chwileczkę - zdziwił się Rammar - czy ty nie porywałeś całymi stadami kobiet z wyżyn i nie sprzedawałeś ich w miastach mlecznogębym?

- Skądże - sprzeciwił się krasnolud, a spod jego wiszącej w strąkach brody zajaśniał uśmiech - wszystkie szły ze mną dobrowolnie.

- Ale potem zmuszałeś je, żeby sprzedawały swoje cała - powiedział Rammar.

- To też robiły z własnej chęci - zapewnił krasnolud. - Z miłości do mnie.

- Wiesz - wtrącił się Balbok - my, orkowie, nie znamy się na tej rzeczy, którą wy i mlecznogębi nazywacie miłością. Ale gdybyś to zrobił z orkinią, wyrwałyby ci serce z twojej parszywej małej piersi i pożarła, zanimby przestało bić.

- I to z czystej miłości - uzupełnił sucho Rammar, po czym wyszczerzył do brata zęby w szerokim uśmiechu. I tak cios w głowę i kłótnia poszły w zapomnienie.

Twarz Kibliego zbladła o kilka tonów, pod jego brodą znikł też uśmiech, jakby zaciągnięto kotarę.

Gruby ork chciał jeszcze coś dodać, ale nie zdążył, gdyż nagle do ich uszu dobiegły głucho łomoty zdające się dobiegać znikąd i zewsząd równocześnie. W następnej chwili na kompanów poleciały odłamki skał!

- Kamienna lawina! - krzyknął ktoś.

- Naprzód! - rozkazał głośno Rammar.

- Odwrót! - wrzasnął z całej siły Balbok.

Z łomotem i hukiem kamienne okruchy uderzały w dno wąwozu. Na ucieczkę było już za późno. Rammar instynktownie podniósł

krótkie ręce, osłaniając głowę, choć to oczywiście niewiele by go ochroniło przed ogromnymi ciężkimi głazami. Jar wypełnił się łomotem i gęstym szarym pyłem, tak że nie widzieli własnych dłoni.

Thusty ork słyszał przerażone krzyki towarzyszy i głośnie przekleństwa Balboka. Wzdrygnął się, kiedy tuż obok niego o ziemię gruchnął wielki kamienny blok.

Potem... wszystko minęło. Tu czy tam stuknęło jeszcze kilka kamyczków i pył powoli zaczął się przersedzać.

Rammar, kaszłąc i przeklinając, gramolił się spod skalnego nawisu, pod którym przykucnął. Nieporadnie otrzepał pył z pełeryny i fałszywej brody, potem rozejrzał się. Widział towarzyszy wędrowni i słyszał ich ciche jęki.

- Balbok?! - krzyknął zatroskany. - Jesteś ranny?

- Jestem tutaj! - zabrzmiała odpowiedź, ale Rammar nie mógł dociec, z którego kierunku nadeszła.

- Gdzie? Cały i zdrowy?! - zawołał.

- T...tak mi się zdaje...

- Bezmózgi *umbal!* - wrzasnął wściekły Rammar. - Na co jeszcze czekasz? Chodź tu zaraz i mi pomóż. Musimy...

Zamilkł, bo zobaczył, że spod skalnego bloku, który spadł tuż obok niego, coś wystaje. Był to czubek czapy krasnoluda, której posiadacz leżał zmiażdżony pod wielkim kamieniem. Rammar poznał po kolorze, że to czapka Kibliego. Bezpośrednio przed kamienną lawiną krasnolud stał obok niego...

- No to zostało nas pięciu - stwierdził sucho Balbok, pojawiając się nagle przy Rammarze.

- Sześciu - poprawił Nestor, który również przyłączył się do Rammara.

- Skończcie z tym głupim liczeniem! - napadł na obu gruby ork. - Niewiele brakowało, a skała trafiłaby mnie zamiast głupiego krasnoluda. Jakbyście sobie poradzili beze mnie, możecie mi powiedzieć?

Zarówno Balbok, jak i Nestor woleli nie odpowiadać na to pytanie. Rozglądali się za resztą drużyny. Gnom dzięki swej mizernej posturze przetrwał lawinę bez najmniejszego draśnięcia wciśnięty w wąską szczelinę skalną. Ortmar z Rumowiska szedł na przedzie w pewnej odległości, dlatego nie znalazł się w bezpośrednim zagrożeniu. Gurna Barbarzyńcę kanciasty kamień trafił w skroń. Krwawił obficie, a po tym, jak wywracał oczami, można było poznać, że jest dość osłabiony.

Kiedy pozbierali się jakoś i otrzepali ubrania z kurzu, nadszedł czas na sprawdzenie stanu osobowego i Rammar zrozumiał, że mieli więcej szczęścia niż rozumu. Wprawdzie wąski wąwóz był usiany skalnymi odłamkami, ale serio oberwał tylko Kibli, a tę stratę można było przeboleć. A nawet myśleć o niej pozytywnie - zawsze to miło, gdy szlag trafia krasnoluda, a że wstrętnego sute nera, to już prawdziwy prezent od losu.

Mimo to Rammar czuł, jak brzuch ściska mu wściekły gniew, gdyż skała chybiła go tylko o włos, i w jego głowie zakiełkowało niedobre podejrzenie...

- Ej, ty, z Rumowiska! - krzyknął na przewodnika. - Co to było, na cuchnące trzewia Torgasa?

- A co miałyby być? - Krasnolud wzruszył szerokimi ramionami. - Skalna lawina. W górach takie rzeczy się zdarzają.

- Tak, zdarzają się! - parsknął Rammar. - Więc dlaczego wcale się tego nie spodziewaliśmy?

- Bo nie znacie Gór Ostrych i jesteście tu obcy - wyjaśnił chłodno Ortmar.

- Za przeproszeniem, Kibli nie był obcy - sprzeciwił się Nestor - ale kamienna lawina też go raczej zaskoczyła. Ten dobry krasnolud jest, jakby to powiedzieć, zupełnie płaski.

- Jak na człowieka jesteś dość cyniczny - pochwalił go Rammar, szczerząc w uśmiechu zęby.

- Płatny morderca odwzajemnił uśmiech i odpowiedział:
- To przez mój zawód.
 - Stary, dobry Kibli stał po prostu w złym momencie w złym miejscu - stwierdził niezręcznie Ortmar. - To był... wypadek.
 - Co ty nie powiesz! - Rammar groźnie wysunął szczękę. - Zastanawiam się tylko, czemu akurat ty w złym momencie stałeś w dobrym miejscu.
 - Po prostu miałem szczęście - oznajmił krasnolud, ponownie wzruszając ramionami.
 - Szczęście - mruknął ork. - Można to i tak nazwać.
 - Co chcesz przez to powiedzieć?
 - Chętnie ci wyjaśnię, krasnoludzie - syknął grubas. - Chcę przez to powiedzieć, że ta skała tutaj - wskazał potężny, ważący kilka ton skalny blok, który przyniósł zgubę Kibliemu - tak naprawdę miała zabić mnie.
 - Nie bądź głupi - odpowiedział Ortmar. - Kto miałby na ciebie czyhać?
 - Na przykład ty. Nie podoba ci się, że Balbok i ja dowodzimy drużyną, prawda?
 - Prawda - przyznał krasnolud bez ogródek - ale z dołu nie mogłem chyba wywołać kamiennej lawiny, co?
 - Ty nie - warknął Rammar - ale barbarzyńca twierdził, że widzi u góry cień, a ty temu gwałtownie zaprzeczyłeś!
 - Ja? To ty mu przecież też nie uwierzyłeś!
 - Wtedy nie - przyznał grubas. - Ale teraz mu wierzę. Wiesz co, strzępobrody? Myślę, że tam u góry czyhają twoi kumple. Zamachowcy, którzy mieli za zadanie zrzucić mi to coś na *koum*.
 - Co za bzdura! - Ta odrobina twarzy Ortmara, którą było widać spod imponującej brody, zmarszczyła się w niewinnym uśmiechu. - Przyznaję, złości mnie, że król Corwyn wam, a nie mnie przydzielił dowodzenie tą misją, ale nigdy bym nikogo

z tego powodu nie kazał podstępnie zamordować. Nawet orka.

- Ciekawe, czemu ci nie wierzę? - spytał Rammar, mierząc krasnoluda zwięzonymi w wąskie szparki oczyma.

Balbok stał u jego boku z toporem w łapach, spoglądając nie mniej ponuro niż jego gruby brat.

- Nie wiem, czemu mi nie wierzysz - bronił się krasnolud. - Może dlatego, że widzisz tylko to, co chcesz zobaczyć.

- A może dlatego, że znam cię na tyle dobrze, żeby wiedzieć, jaki z ciebie zdradliwy i podły *bruchgor!* Nie zapomniałem, co chciałeś kiedyś zrobić mnie i mojemu bratu.

- Stare dzieje - machnął ręką Ortmar.

- Nie takie znów stare. A jak powiada stare orcze przysłowie, *anur murruchg, kombal murruchg*: kto raz był gnidą, zawsze będzie gnidą.

- Nazywasz mnie gnidą?! - oburzył się przewodnik. Rammar wyszczerzył zęby.

- A jak miałbym cię nazywać?

- Pożałujesz tego! - Krasnolud chwycił za topór, którego krótki trzonek tkwił za jego pasem. - Wygląda na to, że muszę cię nauczyć dobrych manier!

- Proszę, spróbuj! - zachęcił Balbok. - Jeśli mojemu bratu spadnie z głowy choćby włos, pożrę cię ze skórą i kośćmi. Już dawno nie próbowałem krasnoludzkiego mięsa! - Pogroził mu palcem. - Lubię krwiste porcje!

- Jasne, powinienem był wiedzieć, bracia nierozłączki! - zadrwił Ortmar, widząc, że nie poradzi przeciw dwóm orkom. - Przez cały czas klóćcie się jak ostatni żebracy, ale kiedy przyjdzie co do czego, trzymacie się razem.

- A co myślałeś? - odpowiedział Rammar z szerokim uśmiechem. - Czarna krew jest gęściejsza od czerwonej.

- Zobaczymy, czy też tak świetnie pryska - odpalił krasnolud i zwrócił się do Gurna, Nestora i gнома, którzy słuchali ich kłótni

bez słowa. - Co z wami? Też uważacie, że chciałem zabić grubego orka?

- Szczerze mówiąc, obchodzi mnie to tyle, co zeszłoroczny śnieg - rzekł zduszony Nestor. - Ale będę wdzięczny, jeśli zakończycie waszą dyskusję i będziemy mogli iść dalej.

- Bez obaw - uspokoił go Rammar. - To zajmie tylko chwilę.

- A potem? - spytał Nestor.

- Będzie o jednego zrzędę mniej.

- Ale też mniej o jednego wojownika - zauważył skrytobójca.

- Ten typ próbował strącić mnie do jamy Kurula! - wybuchnął przywódca drużyny.

- Nie ma na to dowodu. A tylko krasnolud zna tajne tunele - przypomniał Nestor. - Bez niego jesteśmy zdani na łaskę bazyliiszków, nie zapominaj o tym.

Bazyliiszki!

Rammar w złości prawie zapomniał o skrzydlatych wężach. Myśl o nich znacznie przytłumiła gniew na krasnoluda.

- No dobrze - warknął i niechętnie opuścił *saparak*. - Daruję ci życie, krasnoludzie. Ale będę ci się bacznie przyglądał i jeśli tylko krzywo na mnie spojrzysz, nawinę twoje flaki na tę dzidę, zrozumiałeś?

- Tak, flaki na dzidę, będę pamiętał - zapewnił Ortmar.

- Od tej chwili idę dokładnie krok za tobą, jak cień. Gdyby kamienna lawina miała się powtórzyć i gdyby zabił mnie skalny blok, ty umrzesz ze mną.

- Czarująca perspektywa. - Krasnolud skrzywił się pod brodą. Potem zatknął topór z powrotem za pas.

- I co? - spytał niezbyt zadowolony Balbok. - Nie będzie krwistej krasnoludziny?

- Dziś nie, ale nie traćmy nadziei - pocieszył go brat.

8. KRUTOR'HAI UR'DORASH

Jeszcze przez jakiś czas szli skalną ścieżką, po czym natknęli się na wejście do tunelu.

Dokładniej - wskazał je Ortmar z Rumowiska, bo ktoś, kto by nie wiedział, że pod gęstym bluszczem porastającym skałę kryje się sekretne wejście, nie znalazłby go na pewno. Pod przewodnictwem krasnoluda orkowie i ich towarzysze weszli do ciemnego korytarza. Wydobyli z plecaków nasączone łojem pochodnie, zapalili je i migotliwe światło rozproszyło ciemność, jednak zaledwie w promieniu kilku kroków. Dalej panował głęboki mrok, w którym mogło się czaić dosłownie wszystko. Mimo to gdy Ortmar wspaniałomyślnie zaproponował, że pójdzie pierwszy, Rammar zareagował nieufnie.

- Czemu akurat ty? - spytał.
- Bo znam drogę.
- Tunel jest szeroki raptem na dwa metry. Nie ma dużo miejsca, żeby zbłądzić.

- Mimo to chętnie poszedłbym na czele, jeśli pozwolisz.
 - Po co? Żeby nas zwabić w pułapkę? - warknął ork. - Żeby tunel za tobą zapadł się i pogrzebał nas wszystkich?
 - Ty wciąż mi nie ufasz - stwierdził ponuro Ortmar - choć dotrzymałem słowa i bez szwanku doprowadziłem was tutaj.
 - Ork, racja - warknął Gurn. - Ty iść za nami, żeby my bezpiecznie.
 - A może właśnie tego chce krasnolud - sprzeciwił się Nestor.
- Możliwe, że chce, żebyśmy kazali mu iść na końcu pochodu, bo w tunelu się czai coś, co pożre nas ze skórą i kośćmi, gdy tylko do niego wejdziemy.

- Bzdura! - Ortmar pokręcił głową. - Czemu miałbym robić coś takiego?

Balbok warknął gniewnie. Nie rozumiał, co ma na myśli Nestor. Krasnolud nalegał, żeby iść na początku pochodu, bo w rzeczywistości chce iść na jego końcu? Dla Balboka było to zbyt zagmatwane...

- Wiem - oznajmił, doznawszy nagłego olśnienia. - Możemy przecież po prostu podzielić krasnoluda na pół. Wtedy jedna część będzie maszerowała na przędzie, a druga z tyłu. A poza tym po marszu zostanie dla każdego porządny kawał krasnoludziny i będziemy...

Im bardziej marszczyły się brwi Rammara, tym ciszej i wolniej mówił Balbok. W końcu, gdy oczy brata zmieniły się w wąskie tryskające płomieniami szparki, zamilkł całkiem.

- Ciebie - burknął gruby ork - powinno się zabić razem z krasnoludem. Zrobimy inaczej: krasnolud będzie maszerował przede mną, a jak zrobi coś głupiego, nabiję go na dzidę!

Ortmar westchnął.

- No dobrze...

- To na co jeszcze czekamy? Rusz się łaskawie, ty podstępne, małe *snorsh!*

Rammar dźgnął krasnoluda w plecy tępym końcem *saparaka* i Ortmar wszedł do tunelu. Ork deptał mu po piętach, za nim szli Gurn, Nestor i gnom. Kolumnę zamykał Balbok, który z pyskiem wysuniętym do przodu nieustannie węszył, jednak pomijając kwaśną woń głębin ziemi, czuł jedynie ziemisty pot tych, którzy dawno temu wykopali ten korytarz.

Grubas miał nos daleko mniej wrażliwy niż brat, mimo to i on po kilku krokach natknął się na wskazówki, kto był budowniczym tego tunelu. Zarejestrował je jednak innymi zmysłami niż węch.

Jako że sam nie niósł pochodni (tego rodzaju zajęcia wołał pozostawiać innym), ork nie mógł dostrzec, co go czeka. Mrużąc oczy, próbował przeniknąć wzrokiem czerń głęboką i - jak się za chwilę okazało - twardą. Oto bowiem Rammar zrobił jeszcze krok i uderzył pyskiem w masywną skałę.

Gruby ork miotał przekleństwa, macając się po nochalu i sprawdzając, czy go nie połamał. W świetle pochodni jego towarzysze zobaczyli, co się stało, i gnom zarechotał swoim zwyczajem na widok cudzego nieszczęścia.

Komnata, przez którą przeszli, nie była jeszcze częścią tunelu, ale czymś w rodzaju przedsionka. Strop miała na tyle wysoko, że przeciętny krasnolud mógł w niej stać wyprostowany, zaś Rammar już nie i walnął łbem dokładnie w to miejsce, gdzie zręczne dłonie dawno temu wykuły brodate oblicze krasnoluda.

Gdy ktoś przyświecił pochodnią, ork odniósł wrażenie, że kamienny strzępobrody drwi z niego. Zwinął prawą łapę w pięść i bez namysłu przyłożył w płaskorzeźbę. Jednak zyskał tylko tyle, że teraz oprócz pyska bolała go łapa, i znów wybuchnął przekleństwami.

- Co znowu? - Z tunelu dobiegło niecierpliwe pytanie Ortmar z Rumowiska. - Możemy wreszcie ruszyć?

- Poczekaj tylko - mruknął Rammar - jeszcze mi za to odpłacisz...

Gdyby porządnie przyświecił pochodnią, grubas nie uderzyłby w skałę. Krasnolud prawdopodobnie zrobił to specjalnie i przywódca drużyny najchętniej zabiłby go za tę bezczelność, ale się opanował. Nestor miał rację, Ortmar był im potrzebny.

Jeszcze.

Kiedy stękając, Rammar opuścił się na czworaka i wpełzł do tunelu, zaczął obmyślać rozmaite rodzaje śmierci dla Ortmara, jeden okrutniejszy od drugiego...

Marsz przez tunel był koszmarem dla orków. Dla ludzi zresztą też.

Tylko Ortmar i gnom mogli iść wyprostowani. Gurn Lodowy Barbarzyńca i Balbok musieli w niektórych miejscach wręcz się czołgać. Rammar kilka razy utknął w ciasnym korytarzu niczym korek we flaszce i inni musieli przepychać go do przodu, przy czym ktoś (do dziś nie wiadomo kto) przypalił mu *asar* pochodnią.

Ludzie i orkowie tylko raz mogli rozprostować kości, gdy tunel rozszerzył się w jaskinię częściowo naturalnego pochodzenia, częściowo ukształtowaną dłońmi krasnoludów. Pośrodku spostrzegli studnię z żurawiem.

Orkowie i ich towarzysze zaczerpnęli wody i odświeżyli się nieco.

- Rozbijemy tu obóz - oznajmił niespodziewanie Rammar. - Na dziś mam wyżej nosa pełzania w ciemności jak jakiś robak.

- Stawać tu obozem nie byłoby mądrze - sprzeciwił się Ortmar z Rumowiska.

- A kto cię pyta?

- Nikt - przyznał krasnolud - ale ktoś powinien. Inaczej potem znów będziecie narzekać, że was nie ostrzegłem.

- Ostrzegłeś? O czym?

- O niebezpieczeństwach głębin ziemi - wyjaśnił krasnolud. - Wszędzie tu czają się naciekowe robaki i jaskiniowe pijawki. Żywią się solą, którą zwykle zlizują ze skał, ale kiedy poczują krew, zrobią wszystko, by się jej napić.

- Co ty nie powiesz! - Rammar głośno parsknął. - Myślisz, że przestraszę się paru pijawek? - Wyciągnął łapę i demonstracyjnie zacisnął ją w pięść. - Takie paskudztwo mam zwyczaj rozgniatać, zapamiętaj to sobie!

- Jak chcesz. - Ortmar wzruszył ramionami. - W takim razie zostanmy tu... dowódco.

Rozwinęli derki na gołej skale i zjedli kolejną porcję prowiantu. Zdołali nawet rozpalić małe ognisko, gdyż Balbokowe zapasy suszonego orczego łajna jeszcze się nie zużyły, a nieustanny przeciąg w tunelu odciągał dym. Mogli więc zaoszczędzić pochodni.

Usiedli wokół ognia rzucającego na ich twarze migotliwe cienie - dwóch orków, dwóch ludzi, krasnolud i gnom. Gurn znów ostrzył dwuręczny miecz, tak przeszkadzający mu w pełzaniu przez tunel, inni zamyśleni wpatrywali się w ogień. Wreszcie Nestor z Taik przerwał milczenie.

- Jak to właściwie jest? - zapytał z podstępny błyskiem w oku i wydobyl spod peleryny skórzany kubek. - Czy orkowie lubią się bawić?

- Oczywiście, bardzo wesoło. - Rammar wyszczerzył zęby. - Ale zabaw z nami ludzie przeważnie nie przeżywają.

- Zgadza się - potwierdził Balbok i zaczął wyliczać: - Znamy zabawę w łamanie kości, skręcanie karku, napychanie brzucha i...

- A to? - Nestor i odwrócił kubek. Wypadły z niego kości i stuknęły o skałę. - To też znacie?

- Jasne - zapewnił chudy ork. - Tylko że u nas te zabawki wyglądają inaczej i wycina się je z kości.

- Miałbyś ochotę zagrać?

- Czemu nie? - Skinął głową Balbok.

- Bądź ostrożny - upomniął go brat. - Kiedy człowiek chwyta za kości, chce cię oszukać.

- Skądże! - Nestor pokręcił głową. - Źle rozumiecie moje zamiary. Tylko mała gierka wśród przyjaciół. Kto wyrzuci większą liczbę, wygrywa.

- To wszystko? - zdziwił się chudy ork.

- Wszystko. - Nestor wrzucił kości do kubka i podał go Balbokowi. - Ty zaczynasz.

Chudzielec, zasłaniając łapą otwór, potrząsnął kubkiem tak, jakby chciał rozbić kostki na proszek. Potem przycisnął go dnem do góry do ziemi i żądny podziwu powiódł wzrokiem po zebranych, nim wreszcie podniósł kubek.

Na każdej z kostek widać było dokładnie jedno oczko.

- Pięć - policzył Nestor. - Marnie.

Balbok zrobił głupią minę i zajązował do kubka, jakby nie mógł uwierzyć, że to już wszystko.

Płatny zabójca uzyskał dwadzieścia trzy punkty.

- Też mi niespodzianka - skomentował zgryźliwie Rammar.

Nestor nie zareagował na zaczepkę.

- Cóż, drogi orku, wygląda na to, że wygrałem - oznajmił. - Będziesz musiał spłacić swój dług.

- Dług? - Balbok wytrzeszczył oczy. - A co to takiego?

- Cena, jaką musisz zapłacić za to, że z tobą wygrałem - wyjaśnił Nestor. - Daj mi coś, co do ciebie należy. Ale to musi być coś wartościowego. Dług w grze w kości to honorowa sprawa, mój drogi.

- A... ale ja nic nie mam - odpowiedział zupełnie zmieszany ork. Nie kłamał, po buncie *faihok'hai* i po ucieczce ze Stęchłej

Marchii obu braciom naprawdę zostało tylko to, co mieli na sobie.

- Mógłbyś dać mi swój topór - zaproponował człowiek.

- Wtedy nie miałbym żadnej broni - sprzeciwił się ork. - Poza tym jest dla ciebie o wiele za ciężki.

- To prawda. - Nestor udał, że usilnie się zastanawia, tymczasem cel gry miał od początku zaplanowany. - A gdybyśmy tak zamiast tego umówili się na dług krwi? - spytał znienacka.

- Dług krwi?

- My, ludzie, mamy niepisane prawo, że ktoś, kogo życie uratowano, ma dług wobec swego wybawiciela tak długo, dopóki również nie uratuje mu życia.

- Idiotyczne prawo - stwierdził Rammar, nim Balbok zdążył coś odpowiedzieć. - Żaden ork nigdy by nic takiego nie zrobił. Uratować życie innego orka? A kto zaręczy, że on ci potem nie rozpląta łba?

- Może - przyznał Nestor - ale między ludźmi to prawo obowiązuje, a ponieważ grałeś z człowiekiem, Balbok, obowiązuje również ciebie.

- Naprawdę? - Ork aż się zakrztusił.

- Od początku ci mówiłem, żebyś nie zadawał się z ludźmi - warknął brat. - Ten podstępny mlecznogęby śmierdzi oszustwem na pięćdziesiąt *knum'hai* pod wiatr! Ale ty koniecznie musiałeś...

- Karciane długi są honorowe - upierał się płatny zabójca. - Od tej chwili jest tak, jakbym uratował ci życie, Balbok. Jeśli znajdę się w niebezpieczeństwie, musisz w rewanżu uratować mi życie.

- Idiotyzm! - syknął Rammar i odwrócił się zdegustowany.

Balbok jednak traktował swój dług poważnie. Nestor podrażnił jego ambicję i chudzielec chciał dowieść, że i jego rasa zachowuje

pryzwoitość, nawet jeśli orkowie rozumieją pod tym pojęciem coś zupełnie innego niż ludzie...

- Dość gadania - zdecydował grubas. - Chcę teraz spać, więc się łaskawie zamknijcie! Balbok, ty pierwszy trzymasz wartę!

- Ja? Czemu właśnie ja? - Chudy ork niechętnie pokręcił głową. - Jestem zmęczony. Niech krasnolud stanie na warcie. - Wskazał na Ortmara w milczeniu siedzącego przy ogniu.

- Chcesz złożyć moje życie w ręce jakiegoś strzępobrodego, który już raz prawie mnie zamordował? - Rammar spojrział na brata ostro. - Ciesz się, że Kurul nie może cię znaleźć tak głęboko pod ziemią, inaczej z miejsca zabiłby cię piorunem za takie głupoty.

- Ale ja...

- Jeśli w tej chwili nie przestaniesz, to ja cię zabiję - dodał Rammar. Z tymi słowami położył się i odwrócił, by po chwili zachrapać głośno.

Pozostali wędrowcy poszli za jego przykładem i również się położyli. Zmęczeni długim marszem i innymi trudami dnia natychmiast posnęli. Przy ogniu zostali tylko krasnolud i chudy ork.

Balbok siedział naprzeciw Ortmara plecami do studni i z toporem ułożonym na kolanach. Orkowi nie przeszkadzało, że patrzają na siebie, nie odzywając się przy tym ani słowem. I tak nie był wielkim mówcą, a prowadzenie konwersacji w mowie ludzi kosztowało go sporo wysiłku. Zaczął już mieszać słowa obu języków. Prawdopodobnie, mówił sobie w duchu, pewnego dnia przestaną go rozumieć i orkowie, i ludzie...

- Zmęczony? - spytał nagle krasnolud.

Chudzielec wzruszył ramionami.

- Ujdzie.

- Jeśli chcesz, możesz się położyć i przespać. Ja postoję na straży.

- *Douk.* - Balbok pokręcił głową. - Rammar odgryzłby mi *asar*, gdybym to zrobił.

- Nie musi o niczym wiedzieć. Zbudzę cię w porę.

Oczy orka zwęziły się w wąskie szparki.

- Powiedz no - zaczął - za jakiego głupka ty mnie właściwie uważasz? Myślicie pewnie wy wszyscy, że z Balbokiem możecie sobie poczynać, jak chcecie. Najpierw ten człowiek i jego głupie gierki, teraz ty z twoją paplaniną. Ale Balbok Brutal nie da się na to złapać. Będę tu siedział i trzymał wartę, a jeśli ci to nie odpowiada, możesz sobie...

Przerwał, gdyż wyraz twarzy Ortmara - coraz bardziej przerażony, i słusznie, bo bać się orka należy - przekroczył wszelkie granice lęku, jakie Balbok dotąd widział. Oczy krasnoluda były już jak złote monety, a usta otwarły się do bezgłośnego krzyku.

- Mnie nie nabierzesz - postawił sprawę jasno Balbok. - Myślisz, że dam się nabrać na każdą bzdurę? Nie daj się zwieść mojemu imieniu, krasnoludzie, nawet głupi ork jest tysiąc razy mądrzejszy niż którykolwiek z was.

Ortmar nic na to nie odpowiedział. Zamiast tego wytrzeszczył oczy na Balboka, którego to okropnie zirytowało.

- Co się tak gapisz, *umbalu?* - naskoczył na krasnoluda. Nie tylko użył słownictwa Rammara, ale spróbował również naśladować ton jego głosu, gdyż jedno i drugie zawsze robiło na nim wielkie wrażenie. - Jeśli natychmiast nie przestaniesz się na mnie gapić, zapoznam cię z moim toporem i...

Lecz Ortmar znów nie reagował. Ani nie zamknął ust, ani nie przestał wytrzeszczać gał, zatem Balbok uznał, że pora wprowadzić słowa w czyn. Już miał wstać, gdy poczuł, że coś z tyłu położyło mu się na ramieniu.

Coś zimnego i wilgotnego. I ruchliwego...

Balbok zeszywniał.

Powoli odwrócił głowę i ku swemu przerażeniu zobaczył, że dwa białawe czułki raz po raz dotykają jego ramienia wyraźnie zafascynowane. Jakby tego było mało, za czułkami pełzła duża na pięć głowa obleśnego stworzenia pozbawionego oczu i uszu, posiadającego za to wyposażoną w wielkie zęby okrągłą paszczę.

Chudzielec zareagował instynktem orka. Walnął pięścią, nim jeszcze był w stanie coś sensownego pomyśleć. Trafił stwora z całej siły i zmiażdżył go.

Rozległ się wstrętny mlaskający dźwięk, a Balbok poczuł, że to coś ześlizguje się z jego pleców. Z obrzydzeniem odwrócił się i pojął, że znieruchomiałe spojrzenie Ortmara z Rumowiska w żadnym razie nie było przeznaczone dla niego...

Nie wierzył własnym oczom.

Z otwartej studni wypełzało coraz więcej białawych, tłustych robaków poruszających mackami. A najgorsze było to, że stwór uśmiercony przez Balboka należał do wyjątkowych mikrusów - pozostałe dorównywały dorosłemu orkowi i wielkością, i wagą. Wszystkie pełzły ku śpiącym towarzyszom orka.

- *Shnorsh*, co to?! - krzyknął przerażony Balbok.

- Nie pytaj głupio! - wychrypiał Ortmar z Rumowiska. - To jaskiniowe pijawki, mają ochotę na naszą krew!...

Rammar spał snem niesprawiedliwego.

W ciągu minionego dnia znieważał, obrażał i szykanował całą drużynę, czyli robił wszystko, co zdaniem orka charakteryzuje dobrego przywódcę. Zasnął więc w poczuciu spełnienia, a sen miał tak mocny, że nie obudził się nawet wtedy, kiedy ciszę komnaty przerwał głośny krzyk. Rammar bowiem śnił.

Oczyrna duszy gruby ork widział siebie - wielkiego wodza, który w dalekiej Stęchłej Marchii panuje nie tylko nad swoim *bolbougim*, ale nad wszystkimi orkami w *sochgal*. Równie wielkie było względy, jakimi się cieszył u płci przeciwnej.

Orczyca obfitych kształtów, zrzuciwszy zbroję, została tylko w kilku przeżartych przez mole łaszkiach i właśnie się do niego zbliżała. Powoli pełzała po nim w górę, mlaskając przy tym cicho i patrząc na niego namiętnie.

Grubas przewrócił oczami i zaczął ochryple stękać, kiedy przewróciła się na niego i zaczęła lizać jego szyję swoim *tounga*.

- Chodź, chodź...

Czuł jej niemały ciężar i niepohamowane pożądanie. Dotykała jego twarzy i ku swemu zaskoczeniu Rammar stwierdził, że jej łapa nie była twarda i pokryta twardymi szramami jak należy, ale zimna i śluzowata.

Zdziwił się, ale orczyca zaraz zaczęła go obśliniać, więc grubas pograżył się w rozkoszy. Dopóki głupie babsko nie ugryzło go w szyję i Rammar się nie ocknął!

Pierwszym, co do niego dotarło, był przeraźliwy smród.

Potem usłyszał wrzaski.

A kiedy otwarł oczy, zobaczył, że to, co na nim leży, w żadnym razie nie jest skórą do figli orczyca, ale pulsującą, białawą masą z czulkami i uzębionym pyskiem ociekającym czarną krwią.

Jego krwią...

Przenikliwy wrzask wydobyl się z gardła Rammara i już chciał się poderwać, ale przygniatał go ciężar obrzydliwego stwora. Ork zacisnął pięści i uderzył w to coś, ale jego ciosy nie odnosiły żadnego skutku.

Za to pysk znów się zbliżał i wydłużał na kształt trąby.

Rozpacz przydała mu sił i Rammar, głośno krzycząc, zdołał przewrócić się na bok, tak że teraz to on leżał na stworze, którego miękkie kształty poddały się ciężarowi orka. Macając rozpaczliwie

wokół, grubas chwycił drzewce swojego *saparaka* i nie namyślając się długo, dźgnął.

Skóra maskary pękła, a jej galaretowate wnętrzości rozprysły się na wszystkie strony.

Miotając gniewne przekleństwa, Rammar skoczył na równe nogi, ale to, co zobaczył w migotliwym świetle ogniska, bardzo mu się nie spodobało. Jego towarzysze, zamiast biec na pomoc przywódcy, sami walczyli o życie z ogromnymi, śliskimi pijawkami.

Dwie przyssały się do nóg Gurna, który wrzeszczał wściekle i tłukł je gołymi pięściami, gdyż okazało się, że dwuręczny miecz z długą klingą tylko przeszkadza mu w walce. Nestor z Taik leżał na ziemi i nie szło mu lepiej niż Rammarowi przed chwilą - ogromna pijawka przelewała się po nim, próbując go wysać. Człowiek nie tracił jednak wiary i raz po raz dźgał robala nożem. Gnom pozbył się napastnika, najpierw rozcinając go szablą, a potem obficie racząc się jego wnętrzościami - był to widok, który nawet orka mógłby przyprawić o wymioty.

Z drugiej strony studni, gdzie cień był gęściejszy, gdyż blask ogniska ledwie tam sięgał, Ortmar z Rumowiska zamachnął się toporem i załatwił dwie pijawki jednym ciosem swej ciężkiej broni. Robale odrzucone siłą uderzenia poleciały szerokim łukiem i plasnęły rozplatanymi cielskami o ścianę jaskini.

Największe wrażenie robił jednak widok Balboka.

Wysoki ork z gniewnym błyskiem w oku stał pośrodku całej chmary łapczywych krwiopijców napierających na niego ze wszystkich stron. Nieustannie machając toporem, zmieniał otaczające go stwory w kleiste strzępy śluzu.

- Ten nędzny *umbal!* - prychnął Rammar. - Czemu to on zawsze musi być tam, gdzie jest najniebezpieczniej?

Choć Balbok poczynał sobie iście bohatersko, nie sposób było nie zauważyć, że przegrywa. Nim ubił jednego stwora, ze studni

wypełzały dwa inne. Rozłaziły się na wszystkie strony i nie było przed nimi ucieczki...

Dwa mniejsze okazy równocześnie dopadły Rammara - jeden przyssał się do prawego buta orka, drugi zdołał jakoś wyprostować śliskie ciało. Grubas, unosząc łapy w obronnym odruchu, zapobiegł temu, by robał wgryzł mu się w twarz. Bestia rozerwała orkowi przegub łapy, na co Rammar podniósł jeszcze większy wrzask.

Jak na rauszu po posokowym piwie skakał wokół, potrząsał nogą i ramieniem, by pozbyć się natrętnych stworów, lecz daremnie. W końcu dźgnął *saparakiem* i przebił pijawkę wiszącą na jego bucie. Kleista, podobna do ropy masa chlupnęła z przypominającego larwę cielska. Gdy zdychająca pijawka wiła się wokół przewiercającego ją drzewca dzidy, Rammar puścił *saparaka* i odważnie chwycił łapą drugiego stwora. Ignorując gryzący ból, oderwał go od siebie, rzucił zwierzakiem o skalną ścianę, po czym podeptał, aż śluz tryskał na wszystkie strony.

Zdyszany ork odwrócił się i w migotliwym blasku ognia zobaczył, że przynajmniej jeśli chodzi o pijawki - studnia w tej skalnej komnacie nie ma dna, tyle ich wylaziło. Cztery przyczepiły się do Guma, który już ledwie stał, a Nestora i gnoma wcale nie było widać spod białawych cielsk. Ortmar i Balbok bronili się przyciśnięci do tylnej ściany jaskini.

Rammar poczuł się zaszczuty. Nowe pijawki już ku niemu pełzły. Co robić?

Spojrzenie orka padło na sklepienie jaskini. Zobaczył ogromne stalaktyty rzucające długie cienie w blasku ogniska - to nasunęło mu pomysł. Nie był to subtelnie uknuty plan, nawet jak na orka, ale dawał szansę powodzenia. Zwłaszcza że cały pęk okazałych stalaktytów zwisał dokładnie nad otworem studni, z której wylewały się obrzydliwe stworzenia. Gdyby Rammar zdołał je odrąbać i sprawić, by spadły...

Nie myśląc wiele, podniósł z ziemi kamień wielkości głowy i rzucił. Głaz rzeczywiście trafił w stalaktyty, jednak bez żadnego efektu.

Ork głośno zaklął. Potrzebował czegoś cięższego, co by...

Rozległ się przeraźliwy wrzask Balboka, który wywijając ciężkim toporem, wysłał kilka kolejnych obrzydliwych bestii do ciemnej jamy Kurula.

Topór! - przemknęło przez głowę grubemu orkowi. To naprawdę ciężka broń, a jeśli rzucić nią z impetem, można by osiągnąć to, na co kamień był za mały.

Tylko jak Rammar ma swego głupkowatego brata wprowadzić w wyrefinowany plan? Balbok był oddalony od niego co najmniej dwadzieścia kroków i do tego ogarnięty dzikim szałem. Tłumaczenie mu czegokolwiek wydawało się bezcelowe, jednak grubas chciał przynajmniej spróbować.

- Balbok! - krzyknął. - Tam u góry! Stalaktyty...!

Głos brata sprawił, że chudzielec, choć całkowicie pogrążony w dzikim *saobh*, obejrzał się i zobaczył Rammara wskazującego sklepienie. Prosty rozum Balboka natychmiast pojął. Chwycił broń za sam koniec drzewca, zamachnął się i wziął dwa kroki rozbiegu.

W następnej chwili topór opuścił łapy Balboka, po czym, obracając się w locie, z gwizdem przeciął powietrze i trafił stalaktyty dokładnie u nasady. Usłyszeli straszliwy trzask, stuk, a chwilę później ostrza stalaktytów poleciały w dół, wprost do studni.

Dwa pierwsze przebiły dwie szczególnie tłuste pijawki i zepchnęły je z powrotem w głąbię. Za nimi poleciały większe kamienne strzały, które nie tylko przyniosły zgubę obrzydliwym stworom, ale ze stukiem i łomotem zasypały studzienny otwór.

Jaskinia napełniła się straszliwym hukiem, gęsty kurz zdławił płomień ogniska, Rammar ledwie widział własne łapy, a co

dopiero pijawki, które pewnie atakowały ze wszystkich stron. Walił więc na oślep, póki pył nie osiadł.

Gdy odłamane stalaktyty zatkały wylot studni, trzeba było już tylko zrobić porządek z pozostałymi przy życiu bestiami.

Zrozumieli to nie tylko Rammar i Balbok, ale również ich towarzysze. Ortmarr z Rumowiska wydał przenikliwy krasnoludzki wrzask bojowy i rozplątał toporem pijawkę, podczas gdy Balbok podbiegł do Gurna Lodowego Barbarzyńcy, którego ciężar krwiopijców przygniół do ziemi. Rammar w tym czasie odzyskał dzidę i pośpieszył z pomocą Nestorowi z Taik, dosłownie pogrzebanemu pod białawymi robalami.

Płatny zabójca, i tak zawsze blady, teraz stał się jeszcze bledszy, gdyż pijawki w niektórych miejscach przegryzły ubranie i dobrały mu się do żył. Krzycząc, bronił się ze wszystkich sił przyściśnięty do ziemi. Nie przestał nawet wtedy, gdy Rammar dawno uwolnił go od krwiopijców.

Warcząc gniewnie, gruby ork chwycił człowieka i postawił na nogi. Choć osłabiony utratą krwi, Nestor zdołał utrzymać się w pionie. Wyszarpnął nawet zza pasa dwa noże i rzucił je w kierunku pozostałych przy życiu pijawek.

Teraz podłogę jaskini pokrywały już tylko cuchnące, wijące się odwłoki obrzydliwie połyskujące w migotliwym świetle ogniska. Ciężko dysząc, towarzysze patrzyli na swoje śmiertelne dzieło.

- To by było na tyle - skrzywił się Balbok.

- *Korr* - przyznał Rammar.

- Dobry pomysł z tymi stalaktytami - stwierdził Nestor, patrząc na zasypaną studnię. - Z całym szacunkiem dobry, Balboku.

- Balboku? Jaki Balboku?! - wrzasnął Rammar. - To był MÓJ pomysł, żeby zatkać tym wstrętnym obrzydliwcom drogę. Tylko

i wyłącznie MÓJ! Twoim zdaniem ten *umbal* potrafiłby sklecić taki genialny plan?!

Nestor pokręcił głową i usiadł, żeby opatrzyć swoje liczne krwawiące rany. Ślina pijawek sprawiała, że krew nie krzepła, zatem skrytobójca musiał pilnie pomyśleć o opatrunku. Rammar, Balbok i Gurn również mieli pogryzienia, jednak daleko mniej.

- Gdzie jest gnóm? - spytał nagle gruby ork.

- Nie wiem - odpowiedział Ortmar z Rumowiska. - Przed chwilą go jeszcze widziałem...

Rozejrzeli się, ale gdzie nie spojrzeć, wszędzie leżały tylko ośli-gzłe zwłoki. Nie żeby Rammar się przejmował, jeśli bestie całkiem wysysały gнома, ale irytowało go, że jest dowódcą, a nie wie, gdzie się podział zielonoskóry.

- Tam! - krzyknął nagle Balbok i wskazał odległy kąt jaskini.

W gęstym cieniu przykucał nie kto inny, jak zaginiony gnóm. I nic go nie wysysało, wręcz przeciwnie.

Z niewinnym spojrzaniem (tak niewinnym, na jakie stać gнома) przycupnął na ziemi i pochłaniał wnętrzości rozciętej wzdłuż pijawki. Na widok kompanów przerwał swój nieapetyczny posiłek, wesoło zachichotał i przyłączył się do pozostałych.

- Świetnie - mruknął Rammar - zatem jesteśmy jeszcze w komplecie.

- To nie twoja zasługa - wtrącił Ortmar. - Nie mówiłem, że to niebezpieczne stawać tu obozem? Niewiele brakowało, a jaskiniowe pijawki by nas załatwiły.

- Phi! - pogardliwie prychnął ork. - Moje słowa sprawdziły się co do joty, pijawki zazwyczaj rozgniatam.

- No cóż - wtrącił Balbok - rzecz tylko w tym, jak duże są te bestie.

- Powinniśmy wyruszyć - zaproponował Nestor. Rany miał już opatrzone, co pozwalało wnioskować, że nabył pewnej wprawy

w posługiwaniu się i nożami, i bandażem. -Może prócz studni jest jeszcze inna droga, którą te bestie mogą dostać się do tunelu.

Gurn poparł go parsaniem, Ortmar i Balbok też skinęli głowami i nawet Rammar nie protestował. Ciągłe jeszcze wzdrygając się na myśl, że wziął ważącą cztery cetnary jaskiniową pijawkę za orczycę, rozkazał wymarsz. W pośpiechu zgarnęli bagaże i drużyna znów zaczęła przeciskać się przez tunel.

Jeśli chodzi o Ortmara z Rumowiska, nieufność Rammara nieco osłabła. Krasnolud na pewno nie był winny napadowi krwio pijców, gdyż mógł zginąć tak samo jak cała reszta. Grubas wprawdzie nadal trzymał się tuż za nim, ale już nie obserwował tak uważnie każdego kroku krasnoluda.

Zaniedbanie, które miało się zemścić...

Im dalej szli, tym bardziej zagłębiali się pod ziemię i wielokrotnie mieli wrażenie, że w tunelu brakuje powietrza do oddychania. Rammar raz po raz zaczynał głośno dyszeć, a jego towarzysze byli bliscy paniki, że gruby ork znowu utknie i zablokuje im drogę - tym razem na dobre.

Ale on też za nic w świecie nie chciałby umrzeć w krasnoludzkim tunelu - trudno o większą hańbę dla orka. Na bolących kolanach i startych łapach, pozostawiając na skale krwawe ślady, Rammar i jego towarzysze posuwali się do przodu, krok za krokiem, mila za milą.

Nikt z nich nie potrafiłby potem powiedzieć, ile to trwało, ale gdy wreszcie dostrzegli przed sobą mdłe światło, ulga była ogromna.

- Koniec tunelu - wychrypiał grubas. - Widzę...

- Hm... hm... - mruknął Balbok, jak inni trzymając w zębach pochodnię. Dawno zdjęli fałszywe brody, które im tylko przeszkadzały, a w tunelu i tak nie były potrzebne.

W przypląwie radości chciał podskoczyć i uderzył się w łeb. Poczł się jak walnięty pięścią trolla, potem jednak poczołgał się dalej za kompanami kolejno docierającymi do wyjścia. Nie mógł się już doczekać na swoją kolej, każda chwila spędzona w tym ciasnym tunelu była coraz dotkliwszą torturą.

W końcu chudy ork przepchnął się na zewnątrz przez wąski otwór. W pierwszej chwili, oślepiiony dziennym światłem, nie widział nic. Potem poczuł świeże, przeniknięte wonią kwiatów południa powietrze - uznał je za dość obrzydliwe. Z zadowoleniem rozprostował jednak kości, które zatrzęszczały przy tym donośnie.

- Nareszcie na zewnątrz - powiedział z ulgą i kiedy jego oczy powoli przywykły do światła, rozejrzał się.

Stali na rozległej, otoczonej skałami leśnej polanie. Był wieczór, od wschodu nadciągała noc, a na zachodzie pomarańczowoczerwony poblask. Ork pomyślał o Stęchłej Marchii, o tym, jak słońce zachodzi tam krwście, sprawiając, że Stęchłe Morze staje w płomieniach - i Balbokowi zrobiło się tęskno na sercu. Był taki samotny i opuszczony...

I wtedy uświadomił sobie, że nie tylko tak się czuje, ale rzeczywiście jest sam!

- Rammar?

Balbok rozejrzał się pośpiesznie. Po jego bracie i pozostałych nie było ani śladu.

- Rammar! Gurn! Nestor!

Ochryple wołał imiona towarzyszy, jednak jedyną odpowiedzią, jaką otrzymał, był krzyk jakiegoś puszczyka gdzieś wśród drzew.

Co to ma znaczyć?

Wąska twarz Balboka zmarszczyła się i zamyślony ork poskrobał podbródek. No tak, Rammar i pozostali zażartowali sobie z niego! Na pewno siedzą za skałą i bawią się jego kosztem,

to do nich podobne. Ale Balbok im na to nie pozwoli. Zepsuje im zabawę do cna.

Podstępny grymas przemknął po jego twarzy. Po prostu odwróci role i będzie udawał, że ani trochę nie brakuje mu towarzyszy. Tym razem to oni na koniec zrobią głupie miny.

Zdecydowanym krokiem Balbok ruszył naprzód. Czekał, aż ci dowcipnisie zaczną za nim wołać, jednak po chwili zobaczył w trawie coś, co zachwiało jego pewnością, że to tylko żart.

Jego uwagę zwrócił błyszczący przedmiot odbijający blask zachodzącego słońca. Ork schylił się i podniósł znalezisko - elfi sztylet ze złotą rękojeścią, bez wątplenia należący do Rammara.

Czemu tu leży? Żeby go zmylić?!

Nie. Balbok zdecydowanie pokręcił głową. Rammar chętnie i często robił z niego głupka, ale nigdy w tym celu nie rozstałby się ze swoim ulubionym złotem. Musi być inne wyjaśnienie...

W tym momencie wrażliwy nos orka zwiertzył charakterystyczny, choć w tej dziczy zupełnie niespodziewany zapach.

- Ludzkie mięso! - krzyknął Balbok i odwrócił się gwałtownie, by stanąć naprzeciw dwóch tuzinów opancerzonych wojowników. To oni kryli się za otaczającymi polaną skałami - uzbrojeni głównie w maczugi i miecze, lecz mieli też kilku kuszników celujących wprost w Balboka. Ich twarze były ukryte pod zamkniętymi przyłbicami.

- Nie ruszaj się, potworze! - usłyszał. - Poddaj się albo zginiessz!

Odpowiedzią Balboka było gniewne warczenie. Jedno już wiedział na pewno: to nie żart wymyślony przez brata. Ci podstępni mlecznogębi zaczęli się na Rammara i pozostałych...

Ork chwycił obiema łapami drzewce topora i dzielnie postąpił ku obcym wojownikom. Nie interesowało go, kim są ani czego chcą. Popelnili błąd, wyzywając go, i tyle.

Przywódca ludzi zaśmiał się szyderczo, kiedy Balbok przyjął bojowa postawę. Jednak gdy błyskawicznie zamachnął się toporem i jednym ciosem odrąbał głowę pierwszemu z brzegu człowiekowi, już nie było mu tak wesoło. Lecz także chudy ork niedługo się cieszył chwilą tryumfu.

- Teraz! - krzyknął przywódca ludzi i kusznicy wystrzelili swoje bełty.

Świsnęły ku Balbokowi, wycelowane jednak o wiele za wysoko. Ork chciał już wybuchnąć szyderczym śmiechem, gdy zobaczył, że do bełtów przymocowano sznury, które splotły się nad nim w sieć. W następnej chwili opadła na niego i omotała nieszczęśnika.

- Co?... Jak?...

Nim ork do końca zrozumiał, co się z nim dzieje, schwytany był w splecioną z końskiego włosia pułapkę. Daremnie się szarpał i miotał - sieć krępowwała go wtedy jeszcze bardziej. Bezradnie patrzył, jak ludzie podchodzą bliżej i okrążają go. Rzucili na niego związane w pętle sznury i po chwili mocne szarpnięcie boleśnie przewróciło Balboka na ziemię. Ludzie już byli przy nim i choć bronił się zawzięcie, zdołali go związać kolejną liną. Zaciągnęli ją tak mocno, że ledwie mógł się poruszać.

- Czekajcie no! - krzyknął we własnym języku, gdyż w złości nie mógł sobie przypomnieć odpowiednich ludzkich słów. - Zapłacicie za to! Krwawo zapłacicie, słyszycie?

Ale ludzie zdawali się nie przejmować jego pogróżkami, a ponieważ mieli zamknięte przyłbice, nie mógł nawet zobaczyć, czy jego słowa wywarły jakiegokolwiek wrażenie.

- Rammar! - wrzasnął zrozpaczony, ale oczywiście przeczuwał, że brata spotkał podobny los. Najwyraźniej zaczajono się na nich, a to znaczyło, że ludzie dokładnie wiedzieli, gdzie i kiedy drużyna wyjdzie z tunelu.

Świadomość, że Ortmar z Rumowiska rzeczywiście jest zdrajcą, boleśnie dotarła do Balboka. Akurat w chwili, gdy przywódca ludzi stanął nad nim, uniósł przyłbicę i ork zobaczył brodatą, bladą twarz, w jego oczach niesamowicie szkaradną.

W następnej chwili maczuga z impetem trafiła go w skroń.

Ork skurczył się.

Potem ogarnęła go ciemność.

9. TRURK

budź się wreszcie! Balbok słyszał głos docierający do jego uszu jak przez gęstą mgłę, ale nie mógł rozpoznać, do kogo należy.

- Do kroćset, wy nędzne orcze mordy! Macie zamiar w końcu łaskawie oprzytomnić?!

Mocne kopnięcie i nagły ból otrzeźwiły Balboka. Zaskoczony zobaczył przed sobą Ortmara z Rumowiska.

- Wreszcie! - warknął zrzędliwie krasnolud. - Myślałem już, że macie zamiar zmarnować mi cały dzień!

Obok Balboka, stękając, poruszył się drugi ork, którego Ortmara oczywiście również potraktował kopniakiem. Był to Rammar, na oko dość zmaltretowany.

- Do kroćset, gdzie ja jestem? - spytał w oszołomieniu.

- Gdzie jesteś? Powiem ci, gdzie jesteś, tłusciochu! - wrzasnął na niego krasnolud. - Jesteś w niewoli. Mówiąc dokładniej, w mojej władzy!

I wybuchnął grzmiącym śmiechem, a dwaj orkowie spojrzeli po sobie. Równie zdziwieni, co wstrząśnięci stwierdzili, że przeguby dłoni i stóp mają zakute w żelazne obręcze i połączone łańcuchami. Rozerwać ich nie zdoła nawet orcza furia.

- *Trurkor* - wyszczał, szczerząc kły, Rammar. – Nędzny zdrajco! Wiedziałem, że nie można ci ufać!

Ortmar zatrząsał się ze śmiechu.

- To czemu pozwoliłeś, żebym z wami poszedł?

- Bo upierał się przy tym ten przeklęty naiwny półgłówek Corwyn, dlatego!

- Nie - krasnolud raptownie przestał się śmiać i pokręcił głową - to nie był powód, tłuściochu. Chciałeś korzystać z mojej wiedzy o tajnych przejściach krasnoludów, żeby bez szkody dotrzeć do Kal Anar, ale nic z tego nie będzie.

- Co zamierzasz z nami zrobić? - Zapytał Balbok.

- Zadbam o to, żebyście wy dwaj nie wyrządzili już więcej szkód - zabrzmiała odpowiedź. - Niech sobie nasz naiwny król myśli, że w tej misji są potrzebne dwie maski, ja uważam inaczej. Dlatego zatroszczę się o to, żebyście obaj na zawsze zniknęli, i sam przejmę dowodzenie drużyną.

- Ty? - Rammar wytrzeszczył oczy, aż pojawiły się w nich ciemne żyłki. - Zaplanowałeś to od początku, dlatego kazałeś się mianować naszym zastępcą! Wszystko po to, żeby przy pierwszej okazji pozbyć się nas i zająć nasze miejsce!

- Co? - nie rozumiał Balbok. - O co chodzi? - Zmarszczył wysokie czoło; jak dla niego sprawy toczyły się zbyt szybko...

- Słusznie - potwierdził Ortmar, szczerząc zęby - a ta okazja właśnie się nadarzyła. Czy mogę wam przedstawić mojego starego przyjaciela?

Wskazał człowieka, który stał za nim i teraz zrobił krok do przodu. Od pierwszego spojrzenia wydał się orkom niesympatyczny. Był średniego wzrostu, ubrany w zieloną pelerynę, mającą

zapewnić mu w lesie kamuflaż. Ukryte pod nią ubranie z najdelikatniejszego włókna zdradzało, że to nie jakiś pierwszy lepszy. Do tego dobrze odżywiona gęba, z której rysów można było odczytać nieskrywaną chciwość, i pewny siebie, wyzywający uśmiech.

Jeszcze mniej sympatyczni od człowieka wydali się orkom jego towarzysze - ci sami ciężkozbrojni, którzy powitali Balboka - a wcześniej również Rammara - u wylotu tunelu.

- Miło mi przedstawić - Ortmara wskazał mężczyznę w pelerynie - Muril Ganzwar, zamożny kupiec, prowadzi interesy w nadgranicznych miastach. Mistrz Ganzwar i ja znamy się z dawnych czasów.

- Co to znaczy, znacie się z dawnych czasów? - wszedł mu w słowo Rammar. - Przemycieście dla niego towary, co?

- Królowa mówi, że mamy nie wracać do przeszłości - odpowiedział szyderczo krasnolud. - Teraz odkryłem interes bardziej dochodowy od przemytu. Mistrzu Ganzwarze, czy bylibyście tak uprzejmi...

- Oczywiście - burknął dziwnym głosem kupiec. Sięgnął pod pelerynę i podał krasnoludowi brzęczącą skórzaną sakiewkę.

- Co to jest? - spytał Balbok, choć nawet on domyślał się odpowiedzi.

- To, moi szkaradni przyjaciele, jest cena, jaką płaci mi za was mistrz Ganzwar.

- Za nas? - Rammar przełknął ślinę. - Sprzedałeś nas, ty nędzny szczurze?

- Za osiem srebrników - potwierdził Ganzwar - prawdziwa okazja. Ludzie w Sundaril będą ustawiać się w kolejkach, żeby zobaczyć, jak walczyacie o życie na arenie.

- Jak co robimy? - Ork miał nadzieję, że się przesłyszał.

- Jak walczyacie na arenie w Sundaril - powtórzył kupiec, krzywiąc się wyniośle. - To proste: walczyacie dzielnie i zapewnacie ludziom niezłą rozrywkę, wtedy dostajecie dość jedzenia i życie

naprawdę nieźle. Przynajmniej tak długo, aż nie traficie na lepszego od was.

- *Korr* - przyznał *Balbok*.

- *Korr?* - *Rammar* spojrział na niego z niedowierzaniem. -

C....co to ma znaczyć?

- Cóż, to brzmi całkiem rozsądnie.

- To miałyby brzmieć rozsądnie?! - piskliwie zachrypiął *grubas*. - Czyś ty postradał resztki rozumu, ty pierdzie z przyszczatego tyłka trolla? Co z ciebie za ork?

- Ale to przecież całkiem dobrze brzmi - odparł z przekonaniem *brat*. - Walczymy codziennie i dostajemy za to jeść i pić...

- Walczyć, żreć i chlać, rozumiem. - *Rammar* ponuro skinął głową. - To wszystko, o czym umiesz myśleć. A to, że ten nędzny łajdak krasnolud nas zdradził i przehandlował, to cię nie obchodzi?

- Niby tak, ale...

- To, że teraz zamiast nas on poprowadzi drużynę do *Kal Anar* i zbierze całą chwałę i pewnie też całą nagrodę, choć my praktycznie już prawie wykonaliśmy całą robotę, to ci też obojętne?

- Nie, ale...

- Że tchórzliwie zwabił nas w pułapkę i knuje z człowiekiem, tym pewnie też się nie przejmujesz?

- Ależ tak - sprzeciwił się *Balbok* - ale wygląda na to, że nic na to nie poradzimy.

- Słusznie. - *Ortmarr* z *Rumowiska* zatarł ręce. - Ludzie mistrza *Ganzwara* odprowadzą was do *Sundaril*, gdzie dokonacie swoich dni na arenie. I nie martwcie się, na pewno nie będzie ich znów tak wiele! - Zaśmiał się grzmiąco spod brody.

- Co z resztą? - zapytał *Balbok*.

Ortmarr znów zarechotał.

- Gdy mistrz Ganzwar i jego ludzie wyskoczyli z zasadzki, krzyknąłem głośno, że napastnicy to łowcy głów, na co ci bohaterscy, dzielni wojownicy salwowali się ucieczką przed przeważającymi siłami wroga. Rammar był już ogłuszony ciosem maczugi, a ja zostałem i udawałem, że chcę się poświęcić za orka. Odszukam obu ludzi i gnoma i opowiem im, że robiłem wszystko co w krasnoludzkiej mocy, by was uwolnić, ale i Ortmar dupa, kiedy wrogów kupa, i że z ciężkim sercem przejmę dowodzenie drużyną.

- Przeklęty *shnorsharz!* - Rammar szarpnął się na łańcuchach. - Nędzny niedorostek! Wetknę ci do gardła twoją brodę i wypoleruję flaki od środka, ty obrzydliwy, wstrętny, podstępny...

- Miło było was powtórnie spotkać. - Ortmar uklonił się kpiąco, lekceważąc pogróżki. - Bardzo dziękuję, szacowny Ganzwarze - dodał, zwracając się do przywódcy ludzi, i po chwili zniknął w zaroślach.

- Czekaj tylko! - zawołał za nim Rammar w bezsilnej złości. - Znajdę cię, a wtedy własnoręcznie rozerwę twoją małą *asar*, słyszysz?

Krasnolud nie odpowiedział, za to Rammar i Balbok widzieli wyraźnie, że tkwią po uszy w *shnorsh...*

Ponurą pieczarę oświetlało tylko wpadające przez okrągły otwór światło pochodni. Na jej dnie leżała wijąca się postać.

Była stara, tak stara, że jej część pamiętała początki czasu, dni, kiedy moce kosmosu poróżniły się i walczyły o panowanie nad światem. Jednak w obliczu ostatnich wydarzeń wszelka przeszłość, o której opowiadają mity i legendy, straciła znaczenie.

Istota spała długo, skurczona na ziemi, skazana na drzemkę trwającą tysiąclecia. Lecz nie była naprawdę uwięziona, a jej sen nigdy nie był mocny ani głęboki. Przeciwnie, poruszała się raz

po raz, wykorzystując ostatnią iskrę życia, jaka się jeszcze w niej tliła, by opuścić ciemność i wyjść do świata śmiertelników w poszukiwaniu nowego pożywienia. Jednak tylko raz coś znalazła - stworzenie jeszcze bardziej złe od niej samej, którego cała wola skierowana była na pomnażanie władzy.

Jemu istota powierzyła swoją moc i gorzko się rozczarowała. Sługa, choć silny, poniósł klęskę w walce ze światłem. Dwa razy w dwu krwawych wojnach dźwignął się i dwakroć został pokonany. Tak istota została zmuszona do wycofania się z powrotem w ciemność, poraniona i niemal martwa...

Znów minęły stulecia.

Stulecia, podczas których nad światem panowały elfy i ciemność została wyparta przez światło.

Ale gdzie jest światło, tam jest i cień...

Pogrążona w półśnie, bliższa niebytu niż istnienia istota wyczuła wstrząs w strukturze kosmosu - świadczący o rosnącej mocy ciemności. Coś od dawna pogrążone w drzemce poruszyło się, zatem i istota ocknęła się z letargu, by znów - po raz ostatni - wyjść na świat.

Tam, w mrocznym zakamarku, gdzie najmniej się spodziewała, napotkała ducha, którego myśli i dążenia skierowane były ku jednemu - by panować i podporządkować sobie wszystko, by się mścić i niszczyć.

Tą ciemną siłą istota posiliła się i wzmocniła. Potem zaczęła snuć plany, jak sprawić, by ostateczne zwycięstwo należało do ciemności.

Zbliżał się konflikt, w którym na nowo rozstrzygną się losy świata. Istota była już na to przygotowana. Jej dzieci były wszędzie i informowały ją - wszystko rozwijało się dokładnie tak, jak zaplanowała.

Ciszę jaskini ożywił cichy śmiech.

Drużyna z Tirgas Lan była w drodze. Walka się rozpoczęła...

10. OINSOCHG ANN IODASHU

Minęły cztery dni, odkąd drużyna pod wodzą Balboka i Rammara opuściła Tirgas Lan. Cztery dni, podczas których król Corwyn wiele razy stawał na balkonie, by patrzeć na wschód, gdzie jego wysłannicy mieli dokonać tego, co nie udało się dotąd nikomu - zebrać informacje o owej ciemnej mocy rosnącej tam w siłę. Może zdołają ją nawet unieszkodliwić.

Wciąż jeszcze nie mógł pogodzić się z myślą, że losy królestwa złożył w łapy dwóch orków. Choć był już przekonany, że prorocтва Farawyna to coś więcej niż tylko paplanina starca, jego zaufanie nie sięgało tak daleko, by pokonać podejrzliwość wobec orków. Najchętniej wyruszyłby sam, ale nie mógł pozostawić Tirgas Lan i tronu. Gdyby poszedł, mógłby zaprzepaścić wszystko, co przez ostatnie miesiące zbudował i okupił krwią swych żołnierzy.

Niewiele spał w owe dni, a kiedy zdołał przymknąć oko, przeważnie dręczyły go koszmary. Widział w nich, jak nad kraj

nadciągają ponure cienie - przybierające postać ludzi, przedzierające się przez mury miasta i niczym zjawy snujące się po ulicach. Skądkolwiek przybywały, siały trwogę i przerażenie, a za nimi szedł cuchnący odór zarazy.

Nieustannie skradały się, chwiejnie szły i pełzały, bardziej martwe niż żywe, mimo to zbliżały się do cytadeli pośrodku miasta, człapały ku wielkiej bramie, dźwigając w kościstych dłoniach wyszczerbione szable i miecze.

Corwyn widział to we śnie i zerwał się, rozglądając niespokojnie. Był w królewskiej sypialni, przez wysokie okna o kolorowych szybach wpadało mdłe światło księżyca, ale instynkt dawnego łowcy głów podpowiadał mu, że coś jest nie w porządku.

Alannah obok niego również się obudziła, ona także musiała coś odczuć. Mrużąc oczy w wąskie szparki, przycupnęła na łóżku i nasłuchiwała, nadstawiając spiczaste uszy.

- K...krzyk - wyjąkał Corwyn. - Słyszałaś?...

Machnęła dłonią, nakazując mu milczenie.

- W cytadeli są intruzi - szepnęła po chwili, a spojrzenie, jakim obdarzyła małżonka, zapowiadało grożące im nieszczęście.

- Intruzi? Jacy intruzi?

- Widziałeś ich - stwierdziła Alannah z przekonaniem. - We śnie.

- W...we śnie? Ale... ja nie... - Corwyn przerwał, przypominawszy sobie, że rzeczywiście śnił, i natychmiast powróciły straszne obrazy nienaturalnych, mrocznych postaci snujących się po ulicach i zaułkach miasta, siejących strach i trwogę.

- Ja też o nich śniłam - powiedziała elfini. - To nie są senne mary, Corwynie, oni istnieją naprawdę. I są tutaj. Teraz, w tej chwili...-

W korytarzach cytadeli zabrzmiał następny krzyk, tak straszliwy, że nie mógłby wyjść z gardła człowieka. Corwyn wyskoczył z łóżka okryty jedynie przepaską na biodra, rzucił się do swego kufra, poderwał wieko i wy dostał pochwę z mieczem. Obnażył klingę.

Właściwie to miał nadzieję, że nie będzie już musiał dobywać broni, jednak wyglądało na to, że era pokoju zapowiedziana przez prorocstwo Farawyna jeszcze nie nastąpiła.

- Bądź ostrożny - poprosiła Alannah, której śnieżnobiała nocna koszula zdawała się świecić w świetle księżyca. - Ten wróg jest inny niż wszyscy, z którymi miałeś do czynienia do tej pory.

- To znaczy?

- Jest już martwy - odparła ochryplym głosem. - Jest tylko jeden sposób, by go pokonać. Musisz oddzielić mu głowę od tułowia.

- To nie będzie trudne! - Zuchwały grymas przemknął przez twarz króla, ukazując jeszcze raz oblicze awanturnika i łowcy głów. Potem zebrał się do odejścia. - Zostań tu i zarygluj drzwi! - przykazał.

- Zapomniałeś chyba, że potrafię bronić swojej skóry, Corwynie. - Uśmiechnęła się, a on jeszcze raz uświadomił sobie, jak jest piękna. Ogarnęła go pokusa, by wziąć królową w ramiona, lecz kolejny krzyk przeniknął mury i uzmysłowił mu, że nie ma czasu do stracenia. Odpowiedział na uśmiech elfini lekkim skinieniem głowy i natychmiast wybiegł na korytarz.

Dwaj strażnicy trzymający wartę przed królewską sypialnią mieli twarze blade jak popiół. Strwożeni patrzyli w głąb korytarza, skąd dobiegały potworne dźwięki.

- Co się dzieje? - spytał gniewnie Corwyn.

- Nie wiemy, panie.

- Czy dzwoniło na alarm?

- Jeszcze nie, panie.

- W takim razie zaraz to nadrobimy, w cytadeli są intruzi!
- Intruzi, panie? Ale jak...?
- Po prostu mi uwierzcie - nakazał król głosem niecierpiącym sprzeciwu. - Craig!
- Tak, panie?
- Zaalarmuj straż miejską! Potrzebujemy każdego. Natychmiast!
- Według rozkazu, panie! - Wartownik skinął głową i oddalił się biegiem.
- Bryon, ty ze mną! - polecił Corwyn drugiemu wartownikowi i razem poszli w przeciwnym kierunku, w stronę źródła niesamowitych odgłosów, które w tym momencie ponownie rozbrzmiały.

Jeśli się dokładniej przysłuchać, to były nie tyle krzyki, co ludzkie stękania i jęki. Brzmiały tak, jakby dobiegały z przepastnych głębi. Prerażony Corwyn przypomniawszy sobie sen, mroczne postaci pełzające po uliczkach miasta i ciągnące za nimi morowe powietrze...

Dotarli do wielkich schodów i zeszli nimi do sieni. To, co ujrzeli tam w świetle pochodni, sprawiło, że na kilka sekund zamarli z przerażenia!

W sieni leżeli członkowie królewskiej gwardii, wszyscy martwi. Ktoś - albo coś - zmasakrował ich bezlitośnie. Z poderżniętymi gardłami, przebitymi piersiami i rozplatanymi brzuchami ludzie i krasnoludy leżeli we własnej krwi, a wszyscy na białych twarzach mieli wypisany strach.

- K...kto to z...zrobił? - wyjąkał wstrząśnięty Bryon, który wśród zabitych dostrzegł wielu przyjaciół.

Corwyn nie umiał mu odpowiedzieć.

Z jednego z korytarzy dochodzących do sieni nagle dobiegł głośny wrzask. Tym razem król i jego towarzysz wyraźnie rozpoznali ludzkie głosy.

- Na bóstwa przodków!

- Co to jest?
- Kto do... Arrrgh!!!

Głosy zginęły wśród przeraźliwego wrzasku i szczęku broni.

Corwyn i strażnik nie ociągali się ani chwili i pobiegli korytarzem z mieczami w dłoniach.

W końcu zobaczyli gwardzistów walących wokół mieczami i pochodniami i broniących się zaciekle przed upiornymi postaciami, które napierały ze wszystkich stron.

Król wstrzymał oddech, jego towarzysz krzyknął przerażony - intruzami byli wojownicy, którzy swoją ostatnią bitwę przegrali dawno, dawno temu. Zostało z nich niewiele więcej niż kościste szkielety, na których tu i ówdzie wisiały jeszcze kawałki zepsutego mięsa. Kościotrupy w zardzewiałych napierśnikach, nagolennikach i hełmach trzymały wyszczerbione miecze, topory i młoty bojowe. Choć powinni leżeć bez ruchu w ciemnych kryptach, napierali na królewskich gwardzistów, zadając gwałtowne ciosy - i Corwyn zrozumiał, co miała na myśli Alannah, mówiąc, że wróg jest już martwy...

Kiedy wraz ze strażnikiem biegli na pomoc, zobaczyli, jak pod ciosami napastników pada kolejnych dwóch żołnierzy. Doświadczeni wojownicy dawali z siebie wszystko, lecz gdzie by nie trafiły ich miecze i włócznie, nie odnosiło to żadnego skutku. Przebijali piersi, odrąbywali kościste członki, jednak nie powstrzymywało to upiorów. Nie można było poznać, skąd przybywali ani w jakiej bitwie padli, jedno tylko pewne: musiało to być bardzo, bardzo dawno...

- Głowy! - krzyknął Corwyn do swoich ludzi. - Musicie odrąbać im głowy...

W następnej chwili wraz z Bryonem dotarli do walczących i na potwierdzenie swoich słów król potoczył zamasyżycie mieczem. Czaszka stuknęła o ścianę i kościsty tułów w mgnieniu oka rozsypał się.

Król natychmiast rzucił się na następnego przeciwnika, a jego ludzie widząc, jak można pokonać wroga, poszli za jego przykładem.

Głowy toczyły się i jeden intruz po drugim padał i nieruchomiał.

Sir Lugh, kapitan królewskiej gwardii, natarł na jednego z upiorów, którego bogato zdobiona zbroja i hełm przystrojony końskim włosiem zdradzały, że rycerz ten był kiedyś bogaty i potężny. Najwyraźniej za życia był przywódcą tego oddziału, nim wraz ze swoimi ludźmi stał się niewolnikiem ciemnej mocy, każąc im iść do ostatniej bitwy.

Kapitan oburącz wyprowadził cios miecza na głowę przeciwnika. Ten jednak sparował uderzenie potężnym młotem bojowym, spryskanym krwią i mózgiem tych, których już dziś zabił.

Sir Lugh, włożywszy w zamach cały swój impet, zachwiał się. Zdjął jedną dłoń z rękojeści i wyciągnął lewe ramię, by odzyskać równowagę. Nagle poczuł piekący ból!

Chwilę później patrzył na krwawy kikut sterczący w miejscu lewej ręki. Inny upiorny wojownik pojawił się za plecami kapitana i jednym ciosem wyszczerbionego miecza odrąbał mu całe przedramię.

- Sir Lugh!

Bryon ujrzawszy, co przytrafiło się dowódcy, pobiegł z pomocą. Młody żołnierz jednym ciosem pozbawił głowy podstępного przeciwnika, który odrąbał kapitanowi dłoń, lecz nie zdołał zapobiec trafieniu Sir Lugh zabójczym młotem.

Kapitan gwardii upadł ze zmiażdżoną czaszką.

W przypiływie wściekłego gniewu Bryon skoczył i zanurzył miecz w piersi wroga. Ostra stal bez trudu przebiła zardzewiały napierśnik, poza tym jednak klinga nie wyrządziła krzywdy przeciwnikowi. Żołnierz za późno zrozumiał, że w gniewie zapomniał o radzie króla. Zrozpaczony próbował uwolnić miecz, jednak ten

utkwił w zbroi i między żebrami kościotrupa, którego zuchwa nagle się poruszyła.

Choć struny głosowe upiora dawno zmurszały, krzyknął coś w języku niezrozumiałym już dziś dla nikogo, potem zamachnął się, by również Bryona posłać jednym ciosem tam, gdzie dawno powinni być on sam i jego kompani.

Tym razem jednak cios jego broni został sparowany.

Nie kto inny, jak Corwyn włączył się do walki z ochrypłym okrzykiem i uratował życie swojemu gwardziście. Wśród wszystkich tych zbroi i pancerzy król, odziany tylko w przepaskę na biodrach, wydawał się osobliwie nie na miejscu. Rozpuszczone włosy owiewały mu kanciąstą twarz, wyszczerzył zęby jak wilk, a jego jedyne oko ziało płomiennym gniewem, gdy stanął naprzeciw dowódcy upiorów.

- A co - wydyszał - może spróbujesz się ze mną?

Z pozbawionej ciała krtani kościstego rycerza w niepojęty sposób wydobyło się wściekłe warczenie. Nie zważając na miecz wciąż tkwiący w jego piersi, skoczył w tył i chwycił oburącz młot, by już w następnej chwili zaatakować nim Corwyna.

Tym razem poprowadził usmarowane krwią i mózgiem narzędzie mordu inaczej - nie pionowo z góry na dół, ale poziomo tuż nad posadzkę. Przeliczył się - zaprawiony w walce król podskoczył, unikając ciosu, który miał połamać mu nogi. Jeszcze w powietrzu zamachnął się i nim wylądował na bosych stopach, jednym ciosem miecza pozbawił hełm kościotrupa ozdoby z końskiego włosia.

Upiór zawarczał i odwrócił się. Choć na jego kościach nie było już żadnych mięśni, bez trudu zdołał ponownie unieść młot i złożył się do ciosu. Corwyn uniknął potężnego cięcia, odskakując w bok. W mgnieniu oka przetoczył się przez ramię i znów stał na nogach.

Ostatnie miesiące może uspiły w nim instynkt wojownika, ale z całą pewnością nie utracił go zupełnie błyskawicznie pochylił się,

czując na karku śmiertelny powiew, gdy młot upiora przeleciał ponad nim.

Corwyn skoczył wprost na kościstą postać. Całą masą swego ciała uderzył w upiora, ten zatoczył się do tyłu i z klekotem uderzył o kamienną podłogę. Jego zardzewiały napierśnik pękł na pół, dało się słyszeć również łamanie zmurszałych kości. Niezłamana została jednak złość wojownika. Wydając straszliwe dźwięki, otrząsnął się i odwrócił, by wstać - przez co na chwilę pozbawił się ochrony.

Bezwstydne wykorzystanie chwilowej słabości wroga może i było poniżej godności szlachetnego króla, jednak dawny łowca głów Corwyn nie miał z tym żadnego problemu. Z dzikim okrzykiem uderzył mieczem. Głowa dowódcy upiorów potoczyła się po nagich kamieniach.

Ciężko dysząc, Corwyn odwrócił się, wypatrując następnego przeciwnika. Z ulgą stwierdził jednak, że walka jest prawie skończona.

Akurat nadbiegli strażnicy miejscy zaalarmowani przez Craiga, drugiego wartownika, i pomogli królewskiej gwardii pozbawić głów ostatnie upiory. Po wojownikach mroku pozostała tylko kupa zmurszałych kości i zardzewiałych zbroi. Corwyn chciał odechnąć, gdy dostrzegł przerażenie na twarzy Craiga, gdy ten podniecony zbliżał się do niego.

- Panie! Panie!
- Co jest? - spytał Corwyn.
- Królowa...!
- Co z nią?! - Corwyn przeczuwał najgorsze.
- Ona... ona zniknęła!
- Co?
- Wybaczcie, panie - powiedział przybity gwardzista. - Nie wiedziałem, co robić. Daliście mi rozkaz, bym zawiadomił straż miejską. Kiedy wróciłem na posterunek, znalazłem drzwi sypialni otwarte, a królowej nie...

Corwyn dłużej nie słuchał. Na łeb, na szyję pobiegł korytarzem do sieni i dalej po stopniach wielkich schodów. Myśli w jego głowie kłębiły się chaotycznie i choć biegł najszybciej jak potrafił, miał wrażenie, że stoi w miejscu.

Wreszcie dotarł do drzwi królewskiej sypialni. Tak jak powiedział wartownik, stały otworem. Ze środka powiało na Corwyna lodowate powietrze.

- Alannah! Alannaaah!

Dosłownie rzucił się do komnaty. Łóżko było puste, podobnie jak dwa fotele, ale drzwi na balkon stały otworem. Do środka wpadało zimne nocne powietrze, trzepocząc zasłonami niczym całunami.

- Nie! - jęknął Corwyn.

Wybiegł na balkon, przechylił się przez balustradę i spojrzał w dół, ale jak okiem sięgnąć nie było śladu po elfini.

Z rwącym się oddechem i walącym sercem król odwrócił się. Wciąż miał nadzieję, że jego małżonka jest może jeszcze w murach cytadeli, mimo że nie znajdował odpowiedzi na pytanie, dlaczego opuściła sypialnię. Nie potrafił też wyjaśnić otwartych drzwi balkonu.

Do sypialni wpadli dwaj wartownicy Craig i Bryon oraz kilku żołnierzy królewskiej gwardii. Wyglądali na równie przybitych, co przerażonych.

- Królowej nigdzie nie ma, panie - wydyszał Craig.

Corwyn nic nie odpowiedział. Najchętniej głośno wykrzyczałby swój smutek, swój gniew i ból, jednak przed poddanymi zmusił się do spokoju.

- C...co to może znaczyć, panie? - Ciszę przerwało trwożliwe pytanie Bryona.

- To znaczy - zaczął z ociąganiem król i kontynuował ochrypłym głosem: - że królowa została uprowadzona. Wygląda na to, że atak na królewską gwardię miał tylko odwrócić naszą uwagę, a my daliśmy się na to nabrać.

- Nie wy, panie. - Przybity Craig opuścił wzrok, potem upadł na kolana. - Jeśli ktoś jest winny temu, co się stało, to jestem nim ja. Nie dość szybko wróciłem na swój posterunek. Gdybym był tutaj, może mógłbym zapobiec uprowadzeniu królowej. Proszę, wybaczyć mi...

- Mój dobry Craig... - Mimo głębokiego bólu szalejącego w piersi i rozdzierającego mu serce, Corwyn był poruszony wiernością swego gwardzisty. - Nie ma tu nic do wybaczenia. To ja ciebie wysłałem. Ja jeden ponoszę winę. Ja i ci, co uprowadzili moją małżonkę i w których władzy ona się teraz znajduje.

- Kto, panie? - spytał szeptem Bryon. - Kto to zrobił? Kto ma taką władzę, by wezwać z grobów martwych rycerzy i podporządkować ich swojej woli?

Corwyn nabrał głęboko powietrza, wiedząc, że na to pytanie jest tylko jedna odpowiedź. Miarowym krokiem podszedł do drzwi balkonu i wyjrzał na zewnątrz, na pogrążone w nocy domy i dachy miasta i na nowy dzień zwiastowany daleko na wschodzie krwistoczerwoną poświatą.

- Nieznany wróg - rzekł drżącym głosem, a jego dłonie zaciśnięły się w pięści, aż zbieleły mu kostki. - Kal Anar...

11. GOSGOSH'HAI UR'ORUUN

Gong!

Wypukła metalowa tarcza, pod którą Rammar się wczułgał, dudniła od wściekłych uderzeń wymierzonych w grubego orka. Za każdym razem, gdy maczuga przeciwnika spadała, miał wrażenie, jakby wstrząśnięto nim do szpiku kości. Tarcza, którą zrozpaczony trzymał oburącz nad głową, grzmiała wtedy jak dzwon, i ork bał się już, że ogłuchnie.

Gong!

Wrzaski tłumu docierały do spiczastych uszu Rammara jakby z oddali. Gapie na obrzeżach areny krzyczeli, śmiali się, pili piwo, żarli orzechy i inne smakołyki, podczas gdy Rammar oraz jego brat walczyli o życie.

Gong!

Następny cios spadł z tak zabójczym impetem, że Rammar zatonął się i wyładował twarzą w piachu areny, co wywołało grzmiący śmiech na trybunach.

Innego dnia Rammara nie tylko strasznie by to zezłościło, ale wściekłby się i może nawet wpadłby w *saobh*. Dziś jednak był

zadowolony, że nie zmiażdżył go kolejny cios maczugi. Dźwignął pysk z piachu, odwrócił się i szybko odpełził na kolanach, myśląc tylko o tym, by nie zgubić tarczy. Znad tej pogiętej osłony dobiegł orka okropny ryk i Rammar zerknął na potężne, masywne nogi zakończone straszliwie dużymi stopami. Z zatrważającą szybkością przykucnęły i maczuga znów uderzyła, lecz cios nadszedł nie z góry, ale z boku.

Tarcza poleciała w jedną stronę, Rammar w drugą. Ork przeokołkował i uderzył w murowaną bandę placu walki. Oszołomiony legł u stóp muru. Z nosa ciekła mu czarna orcza krew. Przeciwnika widział już tylko przez mglisty welon - był to górski troll niemal tak szeroki, jak wysoki, a jego skóra przypominała zwietrzałą skałę. Pierś trolla owinięta była żelaznym łańcuchem o okach rozmiaru pięści Rammara. Końce łańcucha przymocowano do bandy, by troll nie przeskoczył muru i nie rzucił się na widzów. Natomiast na Rammara mógł się rzucać do woli.

Ork dawno stracił swój *saparak*. Zresztą dzida była w stanie ledwie drasnąć skórę trolla. Grubas schronił się więc pod tarczę, jednak i ta taktyka najwyraźniej nie gwarantowała sukcesu.

- Szanowna publiczności! - Drwiący i donośny głos komentatora przebił się przez gwar. - Czy to ma być koniec dramatycznej walki? Czy nasza tłusta maskara nie ma już siły opierać się prymitywnej, pierwotnej sile trolla?

- Oooh! - z widowni dobiegły odgłosy szyderczego współczucia.

- Żeby nikt nie twierdził, że na arenie w Sundaril odbywają się nierówne walki - kontynuował sprawozdawca - na pomoc maskarze idzie odsiecz. Przywitajcie wschodzącą gwiazdę areny! Przybył do nas zaledwie kilka dni temu całkiem nieznaną, jednak już w tak krótkim czasie zdobył nasze serca odwagą i dzielnością.

Szanowni panowie i szlachetne panie, powitajmy go na placu walki. Oto on: Balbooooook Brutaaaaaal!

Grzmiący aplauz wybuchł w całym cyrku. Otworzono jedną z zakratowanych bram wiodących na arenę i brat Rammara wyszedł na plac miarowym krokiem i z dumnie wypiętą pierśią.

- Balbok! Balbok! - Widownia dudniła od okrzyków zachwytu ku wielkiej ucieście chudzielca i ogromnemu niezadowoleniu jego brata.

Już od ośmiu dni przez tego przekłętego zdrajcę Ortmara byli gladiatorami w Sundaril. Od ośmiu dni, podczas których Balbok nie zaniedbał niczego, by wyżebrać przychylność tych mlecznogębych. Rammar zupełnie nie rozumiał, co oni widzą w tym głupku. No tak, niby posiekał na kawałki ogra, rozerwał kilku gladiatorów i ku ucieście publiczności, rozrzucił ich jeszcze drgające członki po arenie. Aha, załatwił również ghula (choć ten zmienił postać, udając Rammara) i gołymi rękami zadusił wielkiego węża. Wielkie rzeczy, Rammar Gniewny dokonał stokroć wspanialszych czynów, tylko ludzie są za głupi, aby je docenić!

- Phi! - prychnął więc pogardliwie, choć równocześnie był rad. Dotąd mu nie szło, ale dzięki niewielkiej pomocy brata za chwilę pokona trolla. - Na co czekasz, *umbalu?* - krzyknął przez arenę. - Zabij tę śmierdzącą górę mięsa, żebyśmy mieli dziś wieczorem wolne!

Troll, zbity z tropu zapowiedzią sprawozdawcy i szalonym aplauzem na widowni, zatrzymał się pośrodku pola walki. Nieufnie zerknął na boki małymi oczkami, kręcąc małą główką. Okrzyk Rammara zwrócił jego uwagę na Balboka, który dalej rozkoszował się aplauzem, nie patrząc na przeciwnika. W tym momencie troll zaatakował.

- Uważaj, *umbalu!*

Dopiero po ponownym okrzyku brata Balbok przestał szeroko uśmiechać się do widowni i spojrzął na szarżującego trolla, który

przerastał go prawie dwukrotnie. Górski troll zamachnął się maczugą, aż zagwizdało, nie zwracając uwagi na pętające go łańcuchy. Ork zareagował błyskawicznie. Uśmiech znikł z jego twarzy, naiwność pozostała - lecz gdy maczuga trolla opadła, nie zastała już orka tam, gdzie stał jeszcze przed chwilą.

Balbok zwinnie odskoczył w bok, unikając morderczego ciosu, który wybił w piasku areny głęboki krater. Troll zaryczał wściekle, aplauz widowni jeszcze się wzmógł.

- Balbok! Balbok! Balbok!...

Ork zamachnął się toporem i rzucił nim w przeciwnika - bardziej po to, by sprawdzić odległość, niż by rzeczywiście zaatakować. Przeciwnik odpowiedział rykiem wstrząsającym do szpiku kości i kolejny cios trafił... znów nie Balboka, lecz mur areny. Odłamki cegieł poleciały na wszystkie strony.

Ulubieniec publiczności tego ataku uniknął już nie tak zwinnie jak poprzednio. Zatoczył się w tył i stracił równowagę, wylądował na plecach w piachu areny, a troll stanął nad nim niczym wielka, groźna góra. Chciał tupnąć i zgnieść orka stopą, ale Balbok machnął toporem i odrąbał mu paluch.

Olbrzym, wyjąc z wściekłości i bólu, przeskoczył orka. Jego sus zakończyłyby się dużo dalej, gdyby nie zatrzymały go zakotwiczone w murze łańcuchy. Odwrócił się i wyszczerzył zęby, szukając wroga płonącymi ze złości oczyma. Jednak go nie znalazł.

Balbok wykorzystał chwilę nieuwagi przeciwnika i skrył się za plecami trolla. Wziął szeroki zamach, chcąc wbić żeleźce topora między łopatki ogromnej góry mięsa.

Jednak do tego nie doszło.

Posłuszny instynktowi troll upadł w tył, wprost na mur.

Ork był tym tak zaskoczony, że ani nie wyprowadził ciosu, ani nie zrobił uniku. Masywne cielsko przygniotło go do ściany, gdzie utknął przyduszony między twardymi kamieniami a nie mniej twardymi plecami przeciwnika.

Usłyszał trzeszczenie własnych kości i usłyszał szum w uszach, a to nie zapowiadało nic dobrego. Z gardła orka wydobył się jęk, zaraz po nim z ust trysnęła krew.

- Balbok...?

Okrzyki widzów nagle umilkły na widok ich faworyta znikającego pod masą trolla. Ten, dziko rycząc, kilkakrotnie rzucił się na ścianę. Gdy się od niej odrywał, publiczność widziała przez chwilę a to rękę, a to nogę Balboka i wiele wskazywało na to, że jest to ostatnia walka orka.

Tak więc sympatia sympatią, lecz sportowe widowisko ma swoje prawa.

- Troll! Troll! Troll! - Zabrzmiały pierwsze okrzyki, do których przyłączało się coraz więcej głosów.

Górskiemu trollowi, który i tak nie rozumiał mowy ludzi, było obojętne, co wołają. Chodziło mu tylko o to, żeby pozbyć się przeciwnika, który zranił go tak bezwstydnie.

Dlatego czochrał się plecami o mur jak niedźwiedź dręczony przez pchły. Balbok jednak był twardszy, niż sądził, a nawet niż sądzili widzowie, choć trzeszczały mu kości i miał uczucie, że kruszą się kawałek po kawałku. Złość, jaką to w nim budziło, rosła, aż zmieniła się w wielki *saobh*, który obdarzył go na chwilę ponadczymy siłami.

Zapierając się plecami o mur, a nogami o trolla, Balbok zdołał odepchnąć troszkę napastnika. Po chwili oszołomiony, lecz uwolniony z matni wylądował w piasku.

Zdziwiony szmer przeszedł po widowni, zaś z drugiej strony areny, gdzie w bezpiecznej odległości czekał Rammar, dobiegły poirytowane krzyki:

- No wreszcie, ty rozlazły ślimaku! Już myślałem, że masz zamiar pozwolić się rozgnieść jak wesz!

Rozwścieczony troll odwrócił się i uderzył maczugą Balboka. Ork, którego bolały wszystkie co do jednej kości i kosteczki i z trudem łapał oddech, ledwie znalazł siłę, by się uchylić. Maczuga

wprawdzie go musnęła, jednak nie na tyle mocno, by poważnie zranić.

Ociężała i chwiejnie dźwignął się na nogi. Dawno zgubił hełm, z kącików ust ciekła mu krew. Jak przez mgłę widział ponownie nacierającego trolla i wiedział, że musi szybko zakończyć walkę, inaczej będzie po nim.

Co się zaś tyczy widowni, to miała już nowego faworyta.

- Troll! Troll! Troll! - wołano, choć ten na pewno nie potrzebował dodatkowego dopingu. Wyjąc i rycząc, zamachnęła się, by kolejnym uderzeniem ostatecznie wgnieść Balboka w piach areny. Jednak ork nagle zniknął.

W ciągu kilku sekund jego nieskomplikowany rozum ukuł równie prosty plan i Balbok od razu obrócił go w czyn. Włokąc za sobą ciężki topór, który teraz ledwie był w stanie unieść, okrążył biegiem trolla i dopadł muru w miejscu, gdzie zakotwiczone jeden z łańcuchów.

- *Bog-uchg!* - krzyknął do brata oburzony Rammar. - Nędzny mięczaku! Chcesz teraz tchórzliwie uciec?

Balbok był zbyt zajęty, by odpowiadać na zarzuty. Skupił się na metalowym oku łańcucha i uderzył w nie, jak mógł najmocniej.

- Co ty wyprawiasz, przekłety *umbalu*? Czy troll wycisnął ci resztki rozumu?! - wrzasnął w rozpacz Rammar. - Masz walić nie w ścianę, ale w niego!

Chudy ork nie dał się zbić z tropu. Gdy troll nadal zastanawiał się, gdzie zniknął jego przeciwnik, on uderzał raz za razem. Każde uderzenie topora odłupywało coraz więcej muru, aż w końcu mocowanie łańcucha się poluzowało.

Wtedy Balbok ruszył biegiem i potykając się, popędził na przeciwną stronę areny.

- Ty nędzny nieudaczniku! Mlecznogębi już się z siebie śmieją! - poskarżył się Rammar. - Znowu muszę przyjść i pokazać ci, jak poradzić sobie z takim żalosnym górskim trollem?

Rzeczywiście wśród publiczności powstało wrażenie, że ork w walce z trollem trochę za mocno oberwał w głowę. Wywoływało to stosownie głośnie śmiechy i złośliwe komentarze. Balbok się tym nie przejmował, w końcu do czego jak do czego, ale do szyderstw zdążył przywyknąć. Tak, od dawna nazywano go głupkiem, lecz naprawdę głupi jest tylko ten, kto na koniec przegrywa...

Troll, dostrzegłszy orka, wrzasnął wściekle. Długimi susami skoczył do niego, wymachując przy tym maczugą. Pod jego ciężarem łańcuchy napięły się i naprężyły. Z głuchym brzękiem oczko, które przerąbał Balbok, wyrwało się z muru.

Luźny koniec łańcucha poleciał szerokim łukiem przez arenę. Troll, uwolniony od uciążliwych pęt, użył swej nowo odzyskanej wolności i jak oszalały walił wokół siebie maczugą. Zagrzewające okrzyki na widowni zamilkły raptownie, gdy publiczność pojęła, że rację miał prorok, mówiąc: „Szczęśliwi ci, dla których zabrakło biletów”. Tu i ówdzie rozległy się okrzyki strachu.

- Bez obaw, szanowna publiczności! - wołał komentator. - To wszystko należy do przedstawienia, które przygotowaliśmy dla waszej rozrywki i...

Złośliwy grymas przemknął przez twarz Balboka, potem ruszył wprowadzić w czyn drugą część swego planu. Jak drapieżnik tropiący ofiarę rzucił się za luźnym końcem łańcucha i złapał go. Z toporem w jednej i łańcuchem w drugiej łapie ork użył całej siły, jaka mu pozostała, i okrążył trolla miotającego się jak berserk.

Okrążył go raz, potem drugi i wreszcie zaciągnął pętlę!

Ściągnięta i mięśnie Balboka napięły się, jakby miały pęknąć. Łańcuch zabrzączał głośnie, naprężył się i w następnej chwili nogi trolla były już spętane.

Gigant chciał właśnie gniewnie podskoczyć i wtedy zauważył, co zaszło. Daremnie wiosłował jeszcze długimi ramionami, potem runął na plecy, wzbijając pył na arenie.

Pełne ulgi westchnienie przeszło wokół trybun, tu i ówdzie znów rozległy się okrzyki na cześć orka, najpierw ciche i nieśmiałe, potem coraz głośniejsze:

- Balbok! Balbok! Balbok!

Troll rzucał się na ziemi, waląc dziko wokół siebie. Jeśli zamierzał zacisnąć więzy jeszcze mocniej, dokonał swego. Balbok podbiegł do niego ostrożnie, by nie zostać trafionym maczugą.

Nienawistny, gniewny ryk trolla zamilkł raptownie, gdy topór orka rozplątał mu głowę. Wylał się z niej mózg, a dokładniej ta nędzna namiastka mózgu, jaką mają te bestie, i chlusnął na piach areny.

Troll jeszcze raz wyprężył się, jeszcze raz walnął maczugą w piach, potem wyrócił oczami, upadł i leżał na plecach bez ruchu.

- Balbok!!! Balbok!!! Balbok!!!... - Aplauz, jaki się rozległ, przekraczał wszelkie granice.

Zwykle ork lubił po zwycięstwie rozkoszować się wiwatami tłumu i pławić w nich niczym maciora w błocie. Teraz jednak był na to zbyt osłabiony. Przez krótką chwilę zdołał jeszcze ustać prosto, opierając się na zakrwawionym toporze, potem upadł, lecz z szerokim uśmiechem na twarzy i zadowolony, że wciąż żyje.

Owacje tłumu nie poszły jednak na marne, gdyż znalazł się ktoś gotów z ochotą je przyjąć.

Rammar, kiedy był już pewny, że troll naprawdę nie żyje, skoczył z podziwu godną zwinnością na nieżywą górę mięsa i tryumfalnym gestem uniósł w górę ramiona.

- Patrzcie, mlecznogębi! - krzyczał gniewnie do widzów. - Tak będzie z każdym, kto zadrze z orkiem! Zapamiętajcie to sobie i opowiedzcie wszędzie: Rammar Gniewny to bohater areny i ma brata, który mu czasem pomaga!

12. SOCHGOUD'HAI ANN DORASH

W ciągu ośmiu dni, które minęły od ujęcia Rammara i Balboka, drużyna z Tirgas Lan niestrudzenie kontynuowała wędrówkę na wschód - pod rozkazami Ortmara z Rumowiska. Mała to już była drużyna, lecz własna, jak mówił sobie krasnolud, prowadząc ją sekretnymi korytarzami do Młotowych Bagien i bujnych lasów południowego wschodu.

Krasnolud był dumny ze sposobu, w jaki pozbył się orków, a przecież na początku wcale nie wyglądało na to, że jego plan się powiedzie. Kiedy Gurn Lodowy Barbarzyńca podczas marszu przez Góry Ostre zauważył podejrzane cienie, Ortmar już się bał, że wszystko skończone. To oczywiście jego krasnoludy wywołały skalną lawinę. Fakt, że zginął przy tym nie żaden z orków, ale swojak, uznał za drobną przykrość, do jakich przywykł jeszcze w przemytniczych czasach i z powodu których już dawno przestał pluć sobie w brodę.

Niewzruszony wszedł wraz z orkami i resztą do tunelu. To, że zostali w im napadnięci przez jaskiniowe pijawki, nie było oczywiście zaplanowane. Za to okoliczność, że u wylotu tunelu czekały na nich zbiry Murila Ganzwara - wręcz przeciwnie.

Rammar, który upierał się opuścić tunel jako pierwszy, został przywitany przez ludzi, jeszcze nim do końca zrozumiał, co się z nim dzieje. Ortmar zdołał przekonać pozostałych członków drużyny, że wpadli w pułapkę łowców głów. Jedynie Balbok, który wyskoczył z tunelu ostatni, również został złapany, ku wielkiej radości krasnoluda.

Z każdym dniem Ortmar coraz bardziej czuł się przywódcą. Wprost rozkoszował się rozkazywaniem, którego smak poznał już jako herszt krasnoludzkiej bandy przemytników. Aż wreszcie kiedyś nadszedł moment, kiedy Nestor z Taik zapytał:

- Ejże, krasnoludzie, gdzie ty nas właściwie prowadzisz?

Ortmar, używający właśnie swego topora do wyrąbywania ścieżki wśród gęstej płataniny pnączy i mchów zarastającej przejścia między sękatymi drzewami a ogromnymi paprociami, prze-rwał to odpowiedzialne zajęcie. Powoli odwrócił się i posłał człowiekowi pogardliwe spojrzenie.

- Jesteś już tak stary, że nie pamiętasz naszego zadania? Naszym celem jest Kal Anar.

- To w porządku - oznajmił Nestor. - Chciałem się tylko upewnić, bo ta ścieżka robi wrażenie, jakby prowadziła donikąd.

- Zaufajcie mi - powiedział z uśmiechem Ortmar. - Dawno temu, między wojnami, członkowie mego ludu byli tu i badali tę okolicę. Sporządzili przy tym dokładne mapy, nadal w posiadaniu krasnoludzkich władców. Na te mapy wolno mi było spojrzeć przed początkiem naszej podróży. Wiem więc dokładnie, gdzie was prowadzę.

- Dobra nowina - skinął głową płatny zabójca. - Te krasnoludy, które tu kiedyś były...

- Tak?

- Szukały tu skarbów ziemi, prawda? Złota, srebra i szlachetnych kamieni.

Ortmar wzruszył ramionami.

- A czegoż by innego?

- I co? Znaleźli coś?

- Nie. - Krasnolud, którego broda od wilgotnego powietrza i potu wisiała posklejana w strąki, pokręcił głową. - Ta przeklęta ziemia jest bezwartościowa. Jest tu tylko to, co spadnie z drzew albo co upuszczą na nią zwierzęta, kiedy się zażrą.

- Zgnilizna i gówno - Gurn Lodowy Barbarzyńca wyraził to znacznie dobitniej.

- Dokładnie tak. Tamta wyprawa poniosła fiasko i zrujnowała kilka zamożnych krasnoludzkich rodzin. Nie znaleźli złota, srebra ani szlachetnych kamieni, o czym przypomina inna nazwa, jaką nadano tym lasom.

- Szmaragdowe Lasy. - Nestor zmarszczył nos i rozejrzał się po gęstwinie. - A ja sądziłem, że to od zieleni roślin.

- Wielu tak myśli, bo nie znają prawdy. - Ortmar jednym ciosem topora przeciął lianę grubości ramienia.

- A jaka jest prawda? - zapytał Nestor.

- Mówiłem. Że nie ma tu nic prócz drzew, grzybów i znów drzew. Do tego niezliczone węże i inne robactwo, nie wspominając o roślinach żywiących się mięsem.

- Rośliny żywiące się mięsem? - Niski człowieczek znów się rozejrzał, tym razem wyraźnie zaniepokojony.

- A jakże! Najbardziej jednak musicie strzec się jaszczurek. Te bestie są okropnie wielkie i żarłoczne. Odgryzają głowę, nim się je zauważy. Miejcie więc oczy otwarte, zrozumiano?

- A co z orkami?

- Jakimi orkami?
- Rammarem i Balbokiem!
- Co ma z nimi być?
- Powinniśmy byli uwolnić ich z rąk łowców głów - stwierdził z przekonaniem Nestor. Mniej z troski o Balboka i Rammara, o wiele bardziej dlatego, że byli dobrymi wojownikami, a Balbok zdawał się w dodatku urodzonym szczęściarzem, który z każdej opresji wyjdzie cało. Zaś ten, kto będzie się go trzymał, wraz z nim.

- Czyś ty oszalał? - Ortmar pokręcił głową. - Na tych potworach nie można polegać. Ja tam jestem zadowolony, żeśmy się ich pozbyli. A ty się lepiej ciesz, że łowcy głów nie schwytali jeszcze i ciebie. Na pewno nie przejęliby się tym, że jesteście tu z misją od króla. Pewnie zarobiliłbyście się prawie na śmierć w jakimś kamieniołomie.

To rzeczywiście nie była pocieszająca myśl, więc Nestor nie sprzeciwiał się więcej, tylko wymienił dwuznaczne spojrzenie z Gurnem, nadal niosącym swój ciężki miecz w pochwie przesuniętej na plecy, tak że rękojeść wystawała mu nad ramieniem. Dawno już odrzucili ciężkie czapy i krasnoludzkie peleryny. W parnym, wilgotnym upale - coraz gorszym w miarę posuwania się na południowy wschód - mogłyby służyć za narzędzia tortur.

Na początku Ortmar rozważał, czy nie zbudować tratwy i nie kontynuować podróży rzeką przecinającą kraj od północy i wpadającą do Szmaragdowego Morza. Ze względu na niebezpieczne prądy i czyhające tam jaszczury zdecydował jednak inaczej. Podróż piechotą trwała może dłużej, była za to nieporównanie bardziej bezpieczna.

Na nocleg stawali obozem na polanach. Stare dzienniki podróży wyraźnie ostrzegały przed nocowaniem na drzewach. Ortmar i jego towarzysze nie rozpalali ognisk - nie tylko z obawy przed odkryciem, lecz również dlatego, że jak okiem sięgnąć, nie było tu suchego drewna. Balboka, który zaopatrywał ich w ten

szczególony opał, jakiego używają tylko orkowie, niestety zabrakło...

Jakoś sobie jednak radzili. Ortmar wyznaczał zawsze dwóch do trzymania warty, podczas gdy dwaj pozostali odpoczywali.

Zdarzyło się, że stróżowali Gurn i gnom, zaś Nestor i Ortmar spali ciężkim, głębokim snem. Wbiwszy obok siebie w ziemię długi miecz, barbarzyńca z północy przykucnął i przyglądał się, jak dżungla zmienia kolor, jak jasna zieleń dnia przechodzi w matowy błękit otoczony fioletowo-czarnym cieniem. Nagle zrobiło się chłodniej, a z ciemnością nadciągającą nad Szmaragdowe Lasy przybyły również odgłosy nocy.

Gurn ze wszystkich sił starał się stłumić dręczący go niepokój. Przyzwyczajonemu do samotności i ciszy Lodowej Pustyni barbarzyńcy obfitość i różnorodność życia w dżungli wydawały się w równej mierze niezrozumiałe, co groźne. Pod zmurszałymi liśćmi i na sękatej korze drzew bez przerwy coś się poruszało, pełzało, czołgało i wiło. Do tego z zarośli nieustannie dochodziły trzaski i szelesty, raz po raz świecące czerwono oczy patrzyły na polanę, by po chwili zniknąć. Słychać było krzyki i okropne piski; nocni myśliwi polowali na swe ofiary, a Gurn mógł tylko mieć nadzieję, że on i jego towarzysze do tych ofiar nie dołączą.

Gnom znosił to z daleko większą obojętnością. Może dlatego, że był znacznie bardziej podobny do żyjących w dżungli bestii niż ludzie i krasnoludy. Jego zielona skóra zapewniała mu w tym otoczeniu naturalny kamuflaż, poza tym zdawał się nie przejmować ani upałem dnia, ani chłodem nocy. Również wszechobecna wilgoć nie przeszkadzała mu, przeciwnie - osobniki jego rasy czuły się na bagnach i w podmokłych lasach jak w domu.

Gurn nie lubił towarzystwa zielonoskórego. Jako mieszkaniec północy niezbyt cenił gnomy, orków i inne tałajstwo; podejrzeni

wydawali mu się nawet ludzie ze wschodnich krain. Tylko Balbok przypadł mu do gustu, może dlatego, że charakterystyki lodowego barbarzyńcy i chudego orka były całkiem podobne. Dlatego Gurn żałował, że akurat jego nie ma już w drużynie. Ten drugi ork - gruby i nieustannie paplający - zasłużył sobie na niewolę, jednak chudzielec umiał po mistrzowsku operować toporem i był odważny, czym zyskał szacunek barbarzyńcy.

Zaś co się tyczy gнома, nigdy nie można być pewnym, co siedzi w jego zielonym łbie.

Choć wokół panowały głębokie ciemności, Gurn całkiem dobrze widział gнома, gdyż słaba poświata gwiazd wystarczała bystrym oczom barbarzyńcy.

Ten najwyraźniej zorientował się, że jest obserwowany, bo nagle cicho zachichotał i posłał Gumowi wyzywające spojrzenie, zaś jego pysk skrzywił się w szyderym uśmiechu.

- Tylko czekać - mruknął cicho barbarzyńca - śmianie ci się odechcieć. Jedno złe słowo albo ty popatrzeć na mnie, okiem mi się nie podobać, a ja ci ukłębć szyję. Ty rozumieć, paskudna kreatura?

Trudno powiedzieć, czy zrozumiał czy nie. W każdym razie rozdziawił zębaty pysk i kolejny wybuch śmiechu wmieszał się w odgłosy nocnej dżungli - całkiem zresztą do nich pasował. Do tego gnom wywracał pozbawionymi powiek oczami i z uciechy plaskał łapami po udach. Zielony, pomyślał Gurn, najwyraźniej świetnie się bawi na tej wyprawie. Mimo najszczerzych chęci lodowy barbarzyńca nie mógł pojąć, co w tym wszystkim jest takie śmieszne.

Nagle zdało się, że i gnom zmienił zdanie. Jego śmiech raptownie ucichł. Z szeroko rozdziawionym pyskiem i oczami niemal wypadającymi z oczodołów zaczął pilnie nasłuchiwać.

W następnej chwili wyczuł niebezpieczeństwo również barbarzyńca.

Nie żeby rzeczywiście coś zobaczył albo usłyszał. Ostrzegł go instynkt. Ten instynkt, który nieraz uratował mu życie w mroźnej dziczy Lodowej Pustyni.

Coś się zmieniło.

Gurn nie umiałby tego wyjaśnić, ale czuł, że nie są już sami. Coś - lub ktoś - było blisko i obserwowało obozowisko...

Barbarzyńca starał się nie dać nic po sobie poznać. Pośpiesznie myślał, co robić. Musi zbudzić pozostałych, ale tak by nie wzbudzić podejrzeń napastnika. Ponownie spojrzął na gнома wciąż nieruchomo tkwiącego na ziemi. Z szeroko otwartego pyska zwiślał mu język, oczy błyszczały szklście.

Gurn chciał się podnieść, chrząkając głośno, i niby mimochodem sięgnąć po miecz, gdy po przeciwnej stronie polany dostrzegł ruch. Przez chwilę barbarzyńcy zdawało się, że w skąpym świetle księżycy widzi jakąś mroczną postać. Zdecydowanym ruchem wyrwał miecz z ziemi i odwrócił się, by ostrzec gнома.

W tej samej chwili dostrzegł krew płynącą z jego rozdziawionej paszczy, lecz zielonoskóry nie poruszył się nawet, siedział, wciąż patrząc nieruchomo.

- Do kroćset, co...?

Nagle gnom poderwał się. Jak oszalały zaczął krzyczeć, machać rękami i nogami - w każdym razie tak to w pierwszej chwili wyglądało w panującym na polanie mroku. Gurn potrzebował chwili, by zrozumieć, że jego towarzysz w żadnym razie nie podskoczył, ale został poderwany w górę niczym żaba nadziana na patyk - najlepszym dowodem była dzida stercząca z jego pleców.

Piski gнома zbudziły pozostałych. Nestor poderwał się i chwycił za swe noże, obudził się też Ortmar z Rumowiska. Kiedy gnom ze świstem wydał ostatnie tchnienie, Gurn chciał rzucić się w gęstwinę, by stawić czoła niewidzialnemu wrogowi.

Jednak nie zdążył.

Do jego uszu dobiegł ostry świst i niemal w tej samej chwili poczuł ukłucie w prawym udzie. Warcząc gniewnie, ujrzał sterzącą mu z nogi cienką, barwnie upierzoną strzałę.

Chwycił lotkę i bez drgnienia powieki wyciągnął grot z uda - ale już trafiły go dwie kolejne strzały.

Jedna wwierciła mu się w jego prawe ramię, tak że musiał opuścić broń, kolejna trafiła w lewą łopatkę. Z przekleństwem na ustach barbarzyńca próbował usunąć i te pociski, równocześnie usłyszał jednak szelest i wyczuł pośpieszny ruch.

Odwrócił się, ale wszystkim, co zobaczył, znów był tylko cień - który zwinnie go ominął. W następnej chwili zrobiło mu się czarno przed oczami.

Strzały były zatrute!

Ta świadomość dotarła do Guma niby uderzenie młota, lecz za późno. Truciznę, która teraz płynęła już w jego żyłach, czuł całym ciałem i czuł także, że rozum mu się miesza. Nie był już w stanie skłecić żadnej rozsądnej myśli, nie mówiąc o obronie przed niewidzialnym napastnikiem.

Zachwiał się i upadł.

Zbierając resztki sił, jeszcze raz spróbował pokonać moc trucizny i wstać. Daremnie.

Leżał na wilgotnym leśnym poszyciu. Przerażliwe krzyki szalejące niczym nocny wicher nad polaną były ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszał.

13. ANKLUAS

Rammar nienawidził dnia po walce

Dudniło mu wtedy w głowie i ork nadawał się tylko do lizania własnych ran.

Nie żeby tym razem w jego czaszce szczególnie dudniło albo żeby miał specjalnie wiele ran do lizania, ale Balbok nieźle obe-rwał. W walce z trollem brat dorobił się kilku paskudnych sińców i otarć, miał też pęknięte dwa żebra. Do tego w *saobh* wielokrotnie ugryzł się w język, który teraz, mocno spuchnięty, nie pozwalał mu mówić.

- Pokahałem temu phekłëtemu tlołowi, *douk*?

- *Korr* - markotnie przyznał Rammar - pokazałeś. Ale dopiero po tym, jak ja się z nim rozprawilem. Co ty sobie w ogóle myślisz? Uważasz, że to w porządku wylegiwać się cały dzień, żebym ja musiał odwalać całą robotę? Trzeba naostrzyć i naoliwić miecze, nie wspominając o tym paskudztwie na twojej zbroi...

- Pheplaham - dobiegło od słomianego barłogu, na którym leżał Balbok.

Cela, w której zamknięto orków, znajdowała się w podziemnych katakumbach areny. Ot ciemna nora, wilgotna i stęchła, wysoka akurat na tyle, że Rammar mógł w niej stać. Innymi słowy: zaskakująco przytulna jak na pomieszczenie dla niewolników.

Rammar westchnął i zrezygnowany pokręcił głową.

- Ile razy mam ci powtarzać, że ork nigdy nie przeprasza?

- No tak, ja tylko myślałem, że skolo ulatowałem ci *asal*...

- Twierdzisz, że uratowałeś mi *asar*?. - krzyknął rozgniewany Rammar i łypnął gniewnie oczami. - Chyba pęknę ze śmiechu! Bez ciebie też poradziłbym sobie z tym trollem, możesz być pe-wien.

- Naplawde? - Balbok spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Naplawde - potwierdził Rammar, przedrzeźniając brata. - Miałem sprytny plan i właśnie chciałem go zrealizować, kiedyś się wtrącił.

- A jaki to plan? Chciałeś dać się lohnieść na papkę? - Mimo bólu i obitej gęby chudy ork wybuchnął gulgoczącym śmiechem.

- Bardzo śmieszne. Czemu nie zatrudnisz się jako błazen? Może wśród mlecznogębych znalazłby się jeden czy drugi, którego bawiłaby twoja głupia gadanina. Ja wiem tylko, że bez ciebie też bym sobie poradził, a jeśli mi nie wierzysz, chętnie wbiję ci *saparak* w...

- To wy jesteście Rammar i Balbok?

Rammar przerwał i odwrócił się. Ani on, ani jego brat nie zauważyli, że ktoś podszedł do zakratowanych drzwi ich celi. Odrygłował je i otworzył, jednak orkowie mogli dostrzec tylko sylwetkę

gościa rysującą się na tle oświetlonego blaskiem pochodni korytara.

- Kto pyta? - parsknął niezbyt uprzejmie grubas.

Nieszczęśliwie sobie ceniał niespodziewane wizyty i nie mógł ścierpieć, gdy ktoś go podsłuchiwał.

- *Karał* - zabrzmiała odpowiedź w języku orków, ku zmieszaniu Balboka i Rammara.

- Nie wierzę! - krzyknął ten ostatni w ojczystym języku, zręcznie kryjąc zaskoczenie. - Orkowie nie mają w tych stronach przyjaciół, a już na pewno nie w miejscu takim jak to.

- Wśród mlecznogębnych na pewno nie - przyznał obcy i wszedł. Rammar i Balbok poznali zaskoczeni, że mają do czynienia ze współplemieńcem.

Był to ork, choć dość potargany i sfatygowany. Zielonobrazową twarz miał poznaczoną bliznami, z lewego ucha została niekształtna resztką. Żółtawe białka oczu błyszczały mu podejrzliwie, lecz smrodek, który roztaczał, był pewniejszy niż królewski glej. Obrazu nieznanego dopełniał wystrzępiony płaszcz z zatłuszczonej skóry trzymający się w całości jedynie dzięki licznym nitom.

- Nie podoba mi się twoja gęba - Rammar powitał ziomka tradycyjnym pozdrowieniem.

- I mnie brzydzą wasze pyski - odpowiedział z uśmiechem obcy ork.

- Z jakiego jesteś plemienia?

- Z jakiego plemienia? Na flaki Torgasa, czy to nie obojętne? Czy w tym miejscu wszyscy synowie Stęchlej Marchii nie powinni się wspierać?

- Hynowie Stęchlej Marchii? - wyrzekł Balbok mimo bólu. Obcy jak na orka był wręcz po człowieczemu nadęty. - Dluho się ślajaś u mlecnogębnych?

- Można tak powiedzieć - skinął głową tamten. - Na imię mam Ankluas.

- Ja jestem Rammar zwany Gniewnym - przedstawił się ostentacyjnie grubas. - A to Balbok, mój trochę głupkowaty brat...

- ...który jednak potrafi dzielnie walczyć - dodał Ankluas z pełnym uznania uśmiechem rozciągającym szeroko jego pełne szram rysy. - Widziałem twoją walkę z trollem, Balboku, i podziwiam twoją odwagę. Ta walka na długo pozostanie w pamięci mlecznogębnych. Jeszcze przez wiele lat będą ją wspominać.

Chudzielec skrzywił się tylko i parsknął, jak to jest w zwyczaju orków. Słowo „dziękuję”, jak wiadomo, w dialekcie Stęchłej Marchii nie istnieje.

- Czego tu chcesz? - spytał Rammar, by zmienić temat. Nie podobało mu się takie wychwalanie brata w jego obecności, nieorczy to i niepedagogiczne. - Jeśli przyszedłeś wciskać nam słodkie słówka, spokojnie możesz od razu się wynosić.

- Chciałem tylko was poznać - odpowiedział Ankluas, podnosząc łapy w obronnym geście. Było w tym coś, co bardzo nie spodobało się Rammarowi.

- Teh jehteś gladiatohem? - zapytał Balbok.

- Kiedyś byłem - odpowiedział tamten i wskazał niezgrabnie swój żaloszny strzęp ucha - aż jeden przekłety troll odrąbał mi pół głowy, nim zdołałem go zabić. Od tamtej pory mam problemy z utrzymaniem równowagi.

- I co?

- Ganzwar, ten stary oprawca, uznał, że za dużo za mnie zapłacił, by gnomy zabiły mnie na arenie. Ułaskawił mnie i mianował giermkim.

- Ty... jesteś giermkim? - spytał z niedowierzaniem Rammar, nadal trzymając na kolanach topór Balboka, który apatycznie polerował.

- W rzeczy samej.

- To właż - zaprosił go Rammar. Wszelka nieufność popadła w zapomnienie. - Trzeba oczyścić topór mojego brata z mózgu trolla, i to dokładnie. Na koniec trzeba go wypolerować i naoliwić, jak przystoi broni mistrza areny, zrozumiałeś?

- Tak, ale...

- Potem zajmiesz się naszymi dzidami i zadbasz o to, żebym dostał nową tarczę, moja stara nie przetrwała walki na arenie. I bardzo potrzebujemy nowych hełmów i zbroi. Zapamiętasz wszystko?

- Naturalnie - zapewnił Ankluas i pokornie skinął głową, biorąc broń od Rammara. - Uczynię wszystko, by was zadowolić, przyjaciele. Jeśli to wszystko, co mogę dla was zrobić, teraz was opuszczę.

Z toporem w łapach ruszył do wyjścia i miał już przekroczyć próg, gdy Balbok zawołał:

- Jeht jehce coś, co mógłbyś dla nas shobić?

Ponieważ Ankluas odwrócił się do braci plecami, nie widzieli, jak przez jego pooraną bliznami twarz przemknął uśmiech.

- Cóż, mógłbym wam na przykład pokazać, jak się stąd wydostać.

- Jak się...? - Małe oczka Rammara zabłyśły. Podejrzliwie zerknął na boki, jakby się bał, że ktoś może ich podsłuchiwać w ciasnej celi. Potem zrobił krok w przód, złapał Ankluasa za kłapy płaszcza i wciągnął z powrotem do środka. - Powtórz to - zażądał szeptem.

- Mógłbym wam pokazać, jak się stąd wydostać - równie cicho odpowiedział tamten.

- Bajdy! - warknął Rammar. - Stąd się tak łatwo nie ucieknie. Wszystkie wyjścia są okratowane, nie wspominając o strażach. Poznałem już siepaczy Ganzwara i mogę cię zapewnić, że nie ma z nimi żartów.

- Wiem - rzekł nieporuszony Ankluas.
 - I mimo to twierdzisz, że znasz drogę na zewnątrz?
 - Ja mam to! - Jednouchy sięgnął do prawej kieszeni płaszcza. Kiedy wyjął łapę, trzymał w niej wielki zardzewiały klucz.
 - Co to, na zły humor Kurula, ma być?
 - To klucz - stwierdził Balbok.
 - Głupku, też widzę, że to klucz! - ofuknął go brat. - Ale do jakiego zamka?
 - Do zamka w bocznych drzwiach, gdzie jest wyjście z katakumb - wyjaśnił Ankluas z niemal uroczystą miną. - Odkryłem je przypadkiem w drodze do zbrojowni.
 - A ten klucz po prostu tam leżał? - spytał nieufnie Rammar.
 - Co to, to nie. Musiałem przekonać właściciela, żeby mi go dał.
 - Przekonać?
 - No cóż, sam z siebie nie chciał...
 - Zabijeś wartownika?
- Odpowiedzią Anklusa były szeroko wyszczerzone zęby.
- Na gniew Kurula! Na cuchnące flaki Torgasa! Na dudniącą kłodę Ludara! - Rysy twarzy Rammara pociemniały jak zawsze, gdy się denerwował. - Nie wystarczy, że muszę znosić towarzystwo jednego idioty?! Czy musi do niego dołączać jeszcze drugi?
 - Jak to? O co ci chodzi?
 - O co mi chodzi?! Powiem ci, o co mi chodzi! Ty *umbalu*, wtrąciłeś do jamy Kurula wartownika. Jak myślisz, jak długo nikt tego nie zauważy? A kogo, jak myślisz, będą podejrzewać? Oczywiście nas, orków, to jasne jak na łapie!
 - Bez obaw - wydał wargi Ankluas.
 - Łatwo ci mówić. Nie rozumiesz, że my tu siedzimy po szyję w *shnorsh*?

- Nic się nie wyda - rzekł z przekonaniem jednouchy.
- Czemu nie?
- To proste: bo do tej pory nic się nie wydało.
- A co to ma znaczyć?
- To proste. Mam klucz już od jakiegoś czasu.
- Jak długo? - spytał Balbok.
- Niech się zastanowię... - Pełna blizn gęba Anklusa zmarszczyła się w zamyśleniu. - Będzie już z pięćdziesiąt, sześćdziesiąt miesięcy. Szczerze mówiąc, nigdy nie byłem za dobry w liczeniu...
- Pięćdziesiąt, sześćdziesiąt księżyców? - Rammar nieźle się zdziwił. - Tak długo już tu jesteś?

Obcy ork przytaknął.

- I przez cały czas nosisz ze sobą klucz? Czemu już dawno nie uciekłeś?

- Czekałem cały czas na dobrą okazję, ale się nie nadarzyła. Teraz jednak wy jesteście tutaj, współplemieńcy ze Stęchłej Marchii, i pierwszy raz mam uczucie, że moja ucieczka naprawdę może się udać, jeśli spróbuję razem z wami.

- No cóż... - Zakłopotany grubas drapał się po tłustym karku. No tak, to jasne... Mieć klucz, jedna sprawa, a wodza takiego jak Rammar, który powie, co robić, jedną ręką pokona trolla albo chmarę strażników, zupełnie inna. Rozumiał Anklusa jak nikt inny, a poza tym spodobała mu się perspektywa uniknięcia losu gladiatora oferująca raczej ograniczone widoki na przyszłość. Wcześniej czy później znajdzie się ktoś, kto na arenie tak przetrzepie mu *asar*, że straci wzrok i słuch, a gruby ork nie zamierzał na to czekać.

Balbok za to wydawał się mniej zachwycony propozycją obcego orka.

- Cemu? - zainteresował się podejrzliwie.
- Co czemu? - spytał Anklus.
- Cemu chcesz nam pomóc? Wcale nah nie znah.

- Jesteście orkami czy nie? - Obcy zaśmiał się słabo. - To już coś znaczy wśród tego tłumu mlecznogębych. I nie robię tego z czystej przyjaźni, możecie mi wierzyć. Bardzo długo czekam na okazję taką jak ta, bo jak wy nie mogę się doczekać, żeby uciec z tej śmierdzącej gnomiej dziury.

- Gnomia dziura? - Balbok niuchnął. - Phecieh tu miło. No i jehtem mihthem aleny...

- Nie słuchaj go - szybko powiedział Rammar. - Zawsze był z niego głupek, a dopiero co za mocno oberwał w łeb.

- Więc się przyłączycie? - Ankluas popatrzył na nich z taką nadzieją, do jakiej tylko były zdolne żółte oczy orka.

- Możesz na nas liczyć - zapewnił grubas, zacierając łapy. - Tam na zewnątrz jest jeszcze jeden rachunek, który musimy wyrównać.

- Rachunek?

- A jakże. Krasnolud, który nas zdradził i sprzedał temu oprawcy Ganzwarowi. Przez niego tu jesteśmy i zapłaci za to, choćbym miał gonić tego parszywca na koniec świata.

- Ach, strzępobrody! - Ankluas zrobił nieprzeniknioną minę. - Jak się nazywa?

- Z Rumowiska. - Rammar zrobił taką minę, jakby miał zwymiotować. - Ortmar z Rumowiska.

Jednouchy pokiwał głową zamyślony.

- Patrzcie, patrzcie... Grubas wytrzeszczył oczy.

- Znasz tego typa?

- Przelotnie. Miałem już z nim do czynienia i nie wspominam tego zbyt dobrze. Wiecie co? Jeśli pozwolicie, będę wam towarzyszył w waszej wyprawie. Jak to się mówi? Im więcej mieczy, tym więcej krwi.

- Nigdy nie słyszałem tego przysłowia - przyznał, szczerząc zęby, Rammar - ale jest takie mądre, jakbym sam je wymyślił. Zatem umowa stoi! Ty pomożesz nam się stąd wydostać, a my

za to pozwolimy ci uczestniczyć w polowaniu na strzępobrodego.

- *Korr!* - potwierdził Ankluas gardłowym warczeniem, do którego przyłączył się Balbok, choć to znaczyło, że jego rola uwielbianego championa areny dobiegnie końca. Perspektywa, utarcia małego nosa Ortmarowi z Rumowiska była po prostu zbyt kusząca.

Zwyczaj orków wymagał, by śluby zemsty przypieczętować krwią, ale Rammar postanowił przesunąć to na później. Grubas nie miał nic przeciw rozlewowi krwi, o ile nie chodziło o jego własną...

- Kiedy wyruszamy? - spytał Ankluasa, żeby nie zaświtała mu w głowie myśl o nacięciu żył przez całą trójkę.

- Dzisiejszej nocy - odparł jednouchy. - Mam jeszcze kilka zadań, które muszę do tego czasu wykonać, ale wszystko przygotowuję. Poza tym zadbam o to, żeby wasza broń była naostrzona i w ogóle w doskonałym stanie.

- *Koll* - zgodził się Balbok.

- Dobry pomysł! - Rammar był tego samego zdania.

- Krótco po północy przyjdę do was. Do tego czasu nie dajcie nic po sobie poznać, rozumiano?

- Nie ma hplawy. - Balbok uśmiechnął się prostodusznie. - Ja tu bede hobie siedział i udawał, he jehtem jehce hamlocony.

- Z tym nie powinieneś mieć problemu - zauważył złośliwie Rammar.

- Więc zgoda? - spytał dla pewności Ankluas.

- Zgoda. Spotkamy się po północy.

- *Achgosh douk, karal'hai.*

- *Achgosh douk.*

Jednouchy zostawił ich samych, nie zapominając oczywiście zamknąć celi na klucz, by nie budzić podejrzeń straży. Balbok, pólsiedząc na swoim legowisku, zamyślony patrzył jego śladem.

- I co? - spytał Rammar. - Co o nim myślisz?
- Nie wiem. - Balbok pocierał szeroką brodę. - Coś h nim jeht nie tak.
- Nonsens! - Grubas pokręcił głową. - Dobrze znam orków pokroju Ankluasa. To dzielny wojownik, dla którego pojęcia takie jak honor i przyzwoitość jeszcze coś znaczą.
- Ale Lammal! - Balbok spojrział na brata zaskoczony. - Te hecy phecieh nigdy nic nie hnacyły w Štechlej Malchii.
- Dureń! - burknął tamten. - Dobrze wiesz, co mam na myśli. Ankluas nas nie oszuka, możesz mi wierzyć. Jeśli się mylę, możesz mi jeszcze raz dać do mycia twój topór, *korr*?
- *Koll*. - Skinął głową mistrz areny.

14. KOMHORRA UR'SUL'HAI-COUL

Corwyn niezbyt lubił to miejsce.

Tirgas Dun było portowym miastem elfów zbudowanym w dawnych czasach, jeszcze przed dniami Pierwszej Wojny. Jego mury dumnie wznosiły się na południowych kresach Łądu, wysokie wieże zbudowano na północnym murze, by rozciągał się z nich widok na rozległy kraj. Od strony morza postawiono błyszczące kopuły.

Choć miasto zaplanowane zostało przez tych samych budowniczych co Tirgas Lan, miasta różniły się, bo inaczej potraktowała je historia. Inaczej niż królewska twierdza w sercu Lasu Trowna, Tirgas Dun podczas dwóch wielkich wojen nie było nigdy oblegane, nigdy też nie dostało się w ręce wroga. Przez wszystkie tysiąclecia, jakie elfy spędziły w Łądzie, Tirgas Dun było ich stolicą, centrum elfiej myśli i kultury. W Tirgas Dun spotykali się ich poeci i śpiewacy, by wspólnie stawać w szranki szlachetnego współzawodnictwa, zjeżdżali tu uczeni dla wymiany wiedzy i doświadczeń,

wodzowie kierowali do ludu płomienne mowy i tu też obradowała Wysoka Rada, z powodu której Corwyn podjął tę podróż na południe.

Wcześniej już raz złożył wizytę w Tirgas Dun. Dokładnie przed rokiem, po tym jak korona elfów wybrała właśnie jego, by został nowym królem i służył Ładowi.

Wysoka Rada Elfów na uroczystej ceremonii potwierdziła wybór, mianując Corwyna następcą wielkich elfich królów. Dawny łowca głów nie mógł się jednak oprzeć wrażeniu, że ceremonia była dla elfów tylko nudnym obowiązkiem.

To żadna tajemnica, że elfów nie interesuje już to, co się dzieje w Ładzie. Po wielopokoleniowych zabiegach o pokój i jedność, po dwu długich i krwawych wojnach stoczonych w obronie tych idei teraz wracają tam, skąd niegdyś przybyły. Większość statków, które rzuciły kotwicę w Tirgas Dun, odbiła już od brzegu. Tak ich smukłe żaglowce, jak i opasłe galery zdążyły ku Dalekiemu Brzegowi.

Już przy poprzedniej wizycie Corwyna w Tirgas Dun nie można było przeczytać, że miasto elfów wkrótce opustoszeje. Od dawna na wieżach nie powiewały flagi, wiele bram było zamkniętych i nie wystawiono przy nich wart; sale kolumnowe, w których niegdyś toczono ożywione dysputy, teraz ziały pustką, a na placach, gdzie kiedyś poeci i pieśniarze prezentowali swoje dzieła, teraz jedyną melodią był gwizd wiatru.

Wiele domów już opuszczono, choć wciąż sprawiały wrażenie, jakby ich mieszkańcy wyszli tylko na chwilę. Kunsztownie wykonane i szklone witrażami z barwnego szkła okna stały otworem, widać było przez nie zdobione płaskorzeźbami meble oraz szklane karafki i gliniane dzbany na filigranowych stolikach. Elfowie zobojętnieli na sprawy świata; gdy tylko dotarło do nich wezwanie do powrotu na Daleki Brzeg, rzucili wszystko i ruszyli ku owej

dalekiej wyspie obiecującej im spełnienie i wieczne szczęście, na której nie potrzebowali już żadnych materialnych dóbr.

Corwyn niemal im tego zazdrościł i z owej zazdrości brała się jego niechęć do tego miejsca. Może jednak powodem było to, że Tirgas Dun zmieniło się w miejsce upadku i zniszczenia. Elfy wyrzekały się tego świata i odchodziły.

Niech sobie odchodzą, myślał król, jadąc wraz z orszakiem szeroką główną ulicą. Ale jeszcze nie wszyscy wyjechali, a on tu był, żeby przypomnieć im o ich obowiązku...

W portowym mieście elfów - tak jak w Tirgas Lan - wokół centralnej budowli, do której prowadziła główna ulica, kolidujące rozmieszczone były domy i budynki kryte kopułami. Jednak nad centrum Tirgas Dun nie górowała cytadela, lecz olbrzymi gmach z białego marmuru, którego ogromna jasna kopuła wznosiła się ku błękitnemu niebu, a portal wspierały wspaniałe kolumny. W mowie elfów nazywano tę budowlę *tellumagûr*, gmach Wysokiej Rady.

W czasach elfich królów senat pełnił tylko funkcję doradczą, później również rządził. Pod tą ogromną kopułą rozstrzygano sprawy wojny i pokoju i przez długi czas to stąd kierowano losami Łądu, choć oczywiście większość ludzi ze wschodnich krain wcale o tym nie wiedziała. Przez wieki była to jedna z właściwości ludzi - odgradzać się od tego, co na zewnątrz, i skupiać się tylko na sobie. To z tego powodu podczas Drugiej Wojny tak łatwo padli ofiarą mocy złego.

Od tego czasu wiele się zmieniło. Królewska korona spoczywała na skroni człowieka i teraz to nie śmiertelnicy uchylali się od odpowiedzialności za losy świata, ale elfy. Corwyn był jednak pewien, że wieści, które przynosi, wszystko zmienią.

Umyślnie nie posłał poselstwa, ale przybył sam, by powiadomić Wysoką Radę o ostatnich wydarzeniach. Zabrał tylko dwóch osobistych strażników i garść wojowników z królewskiej gwardii, pozostawiając swych doradców i powierników w Tirgas

Lan, by w jego zastępstwie prowadzili sprawy królestwa.

Nie napotkali eskorty, która zaprowadziłaby króla i jego orszak do siedziby Rady. Ulice były jeszcze bardziej puste niż przed rokiem, nad miastem panowało przytłaczające milczenie. Osobliwym zrządzeniem losu ukryte miasto Tirgas Lan stało się nową ostoją życia i nadziei, podczas gdy Tirgas Dun coraz bardziej przypominało widmo.

Ta myśl przygnębiała Corwyna, odsunął ją od siebie. Nie przybył tu filozofować o przeszłości, ale prosić senat o pomoc. To właśnie chciał zrobić i był pewien, że elfy nie pozostaną głuche na jego prośby.

Na schodach prowadzących do wejściowego portalu przybysze nareszcie spotkali pierwszego potomka starego rodu - z wyglądu młodzieńca, choć zapewne przeżył już wiele zim. Ubrany był w obszerną togę spiętą na piersi, w dłoni trzymał kunsztownie zdobioną drewnianą pałkę, którą wymierzył w ludzi niczym broń. Corwyn nie wątpił, że ten przedmiot jest bardziej niebezpieczny, niż się wydaje na pierwszy rzut oka.

- Stójcie! - krzyknął elf, aż odbiło się to echem od stojących wokół murów. - Kim jesteście i czego chcecie?

- Jestem Corwyn, król Tirgas Lan - przedstawił się dawny łowca głów. Teraz te słowa przechodziły mu już przez usta całkiem gładko, nie sprawiając, że czuł się jak oszust. - Pragnę mówić z Wysoką Radą.

- Wysoka Rada nie przyjmuje - odpowiedział elf, na którym tytuł wymieniony przez Corwyna nie zrobił żadnego wrażenia.

- Nawet króla?

- Nikogo - zabrzmiała zwięzła odpowiedź.

Ale Corwyn nie zamierzał się tym zadowolić.

- Do krośset! - krzyknął i nie zważając na protokół, jaki zapewne obowiązywał w takich okolicznościach, gładko zsunął się

z konia i ruszył w górę schodów. - Czy to ma znaczyć, że moi ludzie i ja odbyliśmy całą tę drogę na darmo? Czy na nic się zdało, że opuściłem tron, narażając na niebezpieczeństwo swoje królestwo?

- Nie wzywaliśmy cię, Corwynie, królu Tirgas Lan - odpowiedział elf, którego rozmarzony wyraz twarzy pozwalał się domyślać, że i on od dawna całe swoje zainteresowanie poświęca Dalekiemu Brzegowi.

Jakże Corwyn tego nienawidził...

- Nie, nie wzywaliście - przyznał - ale Ulian, przewodniczący Wysokiej Rady, kiedyś zapewnił mnie o wsparciu, gdyby korona Tirgas Lan znalazła się w niebezpieczeństwie.

- I to nastąpiło? - Elf wziął głęboki oddech i ziewnął, za co król najchętniej chwyciłby go za kołnierz i mocno potrząsnął.

- Zaiste - potwierdził jednak, z trudem się opanowując. Wiedział, że nie byłoby mądrze stracić panowanie nad sobą na oczach elfa.

- Dobrze - oznajmił ten wspaniałomyślnie po dłuższej chwili namysłu. - Nie żeby to jeszcze miało jakieś znaczenie, ale otrzymujesz zezwolenie na rozmowę z Wysoką Radą. Wejdz, królu Tirgas Lan, a zostaniesz wysłuchany.

Elfy uwielbiały górnołotne i kwieciste sformułowania oraz teatralne gesty. Zastukał więc drewnianą laską o stopień, po czym obrócił się i ruszył w stronę kolumnowego portalu.

Corwyn dał znak swoim przybocznym strażnikom Craigowi i Bryonowi oraz dwóm kapitanom królewskiej gwardii, by mu towarzyszyli. Pozostali żołnierze mieli zostać przy koniach i czekać na jego powrót. Nie żeby nie ufał elfom, którym bądź co bądź zawdzięczał koronę na swojej skroni, ale obojętność, z jaką spadkobiercy Farawyna traktowali ludzkie sprawy, irytowała go bardzo.

Wchodząc po szerokich schodach, mijając potężne kolumny podpierające wypukły dach budynku Rady, zastanawiał się, czy słusznie zrobił, przyjeżdżając do Tirgas Dun. Czy elfy w ogóle są jeszcze w stanie mu pomóc? Oczywiście, kiedyś byli wpływowi i potężni, ale to się dawno skończyło. Synowie Farawyna byli ludem skazanym na klęskę.

Lecz Corwyn nie miał innego wyboru. Musiał tu przyjść, jeśli chciał wypełnić obietnicę daną niegdyś Alannah.

- Gdyby kiedyś wróg zadał mi ból - szepnęła mu do ucha głosem, któremu nie mógłby się oprzeć żaden śmiertelnik - zwróć się o pomoc do mojego ludu.

- Nie bądź śmieszna - zbył ją. - Jesteś małżonką króla Tirgas Lan. Jaki wróg ośmieliłby się zadać ci ból?

- Obiecay - domagała się i Corwyn, bardziej po to, żeby zrobić jej przyjemność, niż z prawdziwego przekonania, dał słowo.

Teraz ponownie zadał sobie pytanie, czy elfini już wtedy coś przeczuwała. Istoty jej rasy czasem wykazywały zadziwiające zdolności. Może naprawdę o czymś wiedziała, ale dlaczego nie ostrzegła go wtedy?!

Takie i podobne pytania zajmowały króla, gdy wraz z czterema wojownikami minął portal i siedł za elfem przez wysokie korytarze ozdobione ogromnymi posągami. Jakże mógł pozwolić tak wyprowadzić się w pole? Jak król ma bronić swego królestwa, jeśli nie jest nawet w stanie ochronić własnej żony?

Pełen pretensji do samego siebie Corwyn wszedł do obszernej sali Rady, a za nim jego ludzie. Elf raz po raz stukał łaską w marmurową posadzkę, zaś echo odbijało się od kopuły.

- Wysocy panowie, mędrcy elfiego ludu! Oto Corwyn, nosiciel Korony i król Tirgas Lan!

Znów stukanie, potem elf uklonił się i odstał, dając przejść Corwynowi. Ten dziarsko postąpił naprzód, by wreszcie stanąć

przed Radą, gorzko się jednak rozczarował. Za długim półokrągłym stołem w głębi sali siedział tylko jeden jedyny elf w tozde senatora.

- Mów, Corwynie, królu Tirgas Lan - zażądał, zaś jego młodzięcze, a równocześnie stare rysy złagodniały w uśmiechu. - Wysoka Rada jest gotowa wysłuchać twojej sprawy.

- Wysoka Rada?! - Corwyn poznał elfa siedzącego za stołem, był nim Ulian Mędrzec, który przed rokiem potwierdził jego koronację. - Za pozwoleniem, dostojny Ulianie, ale widzę tylko jednego członka Rady...

- Twoje oczy nie zwodzą cię - spokojnie przyznał elf. - W istocie jestem ostatnim, który pozostał. Ostatnim, z którym możesz mówić. Ostatnim, który jeszcze jest tutaj, by podejmować decyzje.

- Zatem to prawda. Większość elfów odwróciła się już do Ładu plecami.

- Z portu w Tirgas Dun wyszło wiele statków, a nie wrócił ani jeden - odparł Ulian wymijającym zwyczajem swego ludu. - Daleki Brzeg wabi nieśmiertelnością i doskonałym spełnieniem. Nic, co może zaoferować świat ludzi, nie może się z tym równać.

- To możliwe - przyznał Corwyn - ale lud Farawyna jest tu jeszcze potrzebny.

- Potrzebny? - Spojrzenie, które posłał mu Ulian, było zmęczone i pełne zwątpienia. - Po co? Przez pokolenia my, elfy, pomagaliśmy zwalczać zło, stworzyliśmy królestwo pokoju i sprawiedliwości. Z jakim skutkiem? Śmiertelnicy nadal są samolubni i pełni nienawiści. Wszystkie próby, by ich zmienić i nawrócić, okazały się daremne.

- Niezupełnie - pokręcił głową Corwyn. - Tirgas Lan wkrótce będzie promieniować nowym blaskiem, a na tronie elfów zasiada nowy król.

Ulian uśmiechnął się pobłaźliwie.

- To, co nazywasz blaskiem, królu, jest tylko bladym odbiciem tego, czym niegdyś było Tirgas Lan. A czy śmiertelnik będzie dość silny, by zjednoczyć królestwo, pozwolę sobie wątpić.

- Farawyn był o tym przekonany - odpowiedział Corwyn.

- Farawyn, jeden z tych, co poległ w walce o lepszy świat...

Gdyby wiedział, że Ciemny Elf kiedyś powróci...

- On wiedział - odparł władca. - Przepowiedział to w swoim prorocztwie. Ale wierzył też w to, że moce zła mogą być pokonane na zawsze.

- W takim razie był błaznem - rzekł Ulian cicho, ale dobitnie.

- Lecz z pewnością nie poniosłeś trudów tej długiej podróży, żeby z nami filozofować o Farawynie, prawda?

- Nie - przyznał Corwyn.

- Zatem co cię do nas sprowadza, królu Tirgas Lan? - spytał Ulian. Corwynowi zdawało się, że w tym podniosłym „nas” słyzy spora porcję drwiny. - Przedstaw swoją sprawę, póki jest tu jeszcze ktoś, kto cię wysłucha.

- Tirgas Lan jest w niebezpieczeństwie! - niemal wykrzyknął król.

- Kto mu zagraża? - Elf nie wydawał się zaskoczony ani zaniepokojony. - Ludzie, którzy nie chcą uznać twego prawa do władzy? Krasnoludy chciwe skarbów? Ponure stwory ze Stęchłej Marchii?

- Żadne z nich. - Corwyn pokręcił głową. - Daleko na wschodzie, w mieście Kal Anar, rośnie zagrożenie, które nie pochodzi z Łądu. Dlatego tutaj jestem.

- Na wschodzie? W Kal Anar, powiadasz? - Po raz pierwszy na bladej twarzy Uliana pojawił się cień zainteresowania. Oczywiście wiedział, jaką rolę to miasto odegrało w przeszłości; znał też historię Ciemnego Elfa Margoka, który powstał przeciw swemu

własnemu ludowi i wyhodował rasę orków, by siać w Lądzie zniszczenie i wojnę. W Kal Anar ta historia wzięła początek, a dopiero przed rokiem w Tirgas Lan znalazła koniec. - Jesteś pewien?

- Całkowicie pewien - zabrzmiała odpowiedź. - Choć do niedawna nie było nic prócz plotek i niejasnych znaków. Żaden ze szpiegów, których wysłałem dla zebrania informacji o wrogu, nie wrócił.

- To ogromnie przykre. Czego zatem żądasz od nas, królu Tirgas Lan?

- Jestem tu, by prosić was o wsparcie przeciw temu wrogowi - oznajmił bez ogródek Corwyn. - Boję się, że królestwo tak jeszcze młode i niestabilne jak moje nie będzie w stanie powstrzymać naporu ciemnej mocy.

- Skąd myślisz, że w Kal Anar działają ciemne moce? Oczywiście i my wiemy, czyją ojczyzną było niegdyś to miasto na wschodzie, ale to nie powód, by wszystko, co się tam dzieje, pochodziło od ciemnej mocy.

- Może to i racja. Jednak niedawno zaszło coś, co bezsprzecznie potwierdziło, że wróg, który w ukryciu zbroidł się na wojnę z nami, czerpie siłę ze złowieszczych źródeł.

- Naprawdę?

- Kilka dni temu - zaczął władca z goryczą w głosie - cytadela w Tirgas Lan stała się celem tchórzliwego napadu. Bez uprzedzenia i pod osłoną nocy wrodoży wojownicy wdarli się w nasze mury i zabili wielu krasnoludów i ludzi z królewskiej gwardii. Ci, co tak niegodziwie i podstępnie napadli moich żołnierzy, nie byli żywi. To upiory, rycerze wyrwani z grobów siłą czarnej magii!

- Upiory, powiadasz? - Corwynowi zdawało się, że Ulian zbłądził jeszcze bardziej, gdyż kolor jego twarzy upodobnił się już do bieli ścian.

- To były szkielety trzymane przy życiu nie krwią i boskim tchnieniem, ale samym złem. Alannah, moja małżonka, znała

przeciwników tego rodzaju, gdyż poradziła mi, by pozbawiać ich głów i w ten sposób unicestwić. Udało nam się odeprzeć atak, jednak za wysoką cenę.

- Co się stało? - zapytał elf. Z jego głosu zniknęła wszelka drwina, a nawet obojętność.

- Alannah... - wyjąkał władca. - Oni... uprowadzili królową.

Pod wysoką kopułę wróciła cisza, tak doskonała, że dałoby się usłyszeć opadającą igłę świerku. Ani Ulian, ani Corwyn nie odzywali się ani słowem, kiedy ostatni z Rady Elfów rozważał ostatnią informację.

- A więc to prawda - wykrztusił wreszcie szeptem.

- Co?

- To, co od dawna podejrzewano, ale nigdy nie dowiedziono. To, czego obawiali się już nasi przodkowie...

- Że za wzrostem mocy Margoka kryło się coś więcej niż złośliwość pojedynczego odszczepieńca? - Corwyn sformułował to, czego nie odważył się wypowiedzieć elf. - Że użyła go jakaś zła moc i to ona go wzmocniła?

Ulian tylko skinął głową.

- Tak, na to wygląda - potwierdził król. - Teraz na pewno i wy rozumiecie, dlaczego przybyłem do Tirgas Dun. Proszę dumny lud elfów o pomoc w walce z przeciwnikiem starszym niż wszystko, co znamy. Starszym niż ludzki ród, starszym nawet niż synowie i córki waszego plemienia. Może starszym niż sam Łąd.

- R...rozumiem - wyjąkał Ulian, tak bardzo przeraziły go słowa Corwyna. Jego oczy nie patrzyły już spokojnie i wyniosłe, ale bezustannie rozglądały się, jakby coś zgubił.

- By zdobyć pewność, co dzieje się w Kal Anar, wysłałem kolejną ekspedycję - oznajmił Corwyn. - Ekspedycję, o której sądzę, że dokona tego, co nie udało się innym. Ale po ostatnich wydarzeniach nie mogę i nie chcę dłużej czekać. Trzeba uzbroić armię i

ruszyć do Kal Anar, i to natychmiast! Zjednoczoną armię ludzi, krasnoludów i elfów, która pójdzie na wschód i wytrzebi tam zło raz na zawsze!

- Zjednoczona armia elfów i ludzi... - wymamrotał zatopiony w myślach senator.

- Cywilizowane ludy Łądu powinny trzymać się razem - powiedział zdecydowanym głosem król. - Tylko wtedy, gdy pokonamy stare uprzedzenia, będziemy w stanie zwyciężyć wroga.

Na chwilę opanowała go tęsknota, gdyż te słowa nie pochodziły od niego, ale od Alannah. Znowu przypomniała mu się ukochana. Mógł tylko mieć nadzieję, że nadal żyje.

- To nie jest walka, którą mogliby poprowadzić sami ludzie - dodał zdecydowanie. - Ta walka zaczęła się, nim plemię ludzi postawiło stopę na tym świecie. Wojna, którą lud elfów prowadził przed wieloma wiekami, teraz będzie miała ciąg dalszy i powinniśmy wspólnie ją dokończyć.

- Ja... My rozumiemy - poprawił się Ulian bezdźwięcznym głosem. - Lecz choć zgadzamy się z tobą, nie możemy zapewnić ci wsparcia ani...

- Alannah - wszedł mu w słowo Corwyn - była przekonana, że jej bracia będą z nami w tej czarnej godzinie. Dlatego zmusiła mnie do obietnicy, że gdy królestwo znajdzie się w niebezpieczeństwie, przyjdę tu i będę prosił o pomoc. Jeśli chcecie, żebym padł na kolana i was błagał, zrobię to!

Rzeczywiście upadł na kolana ku przerażeniu swych towarzyszy.

- Panie! - krzyknął wzburzony Bryon. - Nie...

- Już dobrze, mój chłopcze - burknął król. - Tu nie chodzi o dumę jednego człowieka ani jednego ludu, ale o dobro całego świata. Nikt nie może powiedzieć, że byłem zbyt pyszny i dlatego odmówiono mi wsparcia dawnych władców Łądu. - Powiedziawszy to, pochylił głowę niczym wasal przed swym panem.

Jednak blada jak płótno twarz Uliana pozostała kamienną maską.

- Cokolwiek uczynisz, królu Tirgas Lan - powiedział cicho - o cokolwiek poprosisz i jakkolwiek się unizysz, ta Rada nie może przychylić się do twoich próśb.

- Co? - Corwyn podniósł wzrok. - Dlaczego nie?

- Czy nie rozejrzałeś się w drodze tutaj? Nie zauważyłeś, jak się mają sprawy w tym mieście? Większość domów stoi pusta, ulice i zaułki są jak wymarłe. W najbliższych dniach port opuszczą ostatnie statki do Dalekiego Brzegu, potem Tirgas Dun będzie już tylko miastem zjawą. Jedynie zimne kamienie będą przypominać chwałę ludu elfów i nie będzie tu już nikogo, kto mógłby dać wsparcie tobie czy twoim ludziom.

- Więc ich powstrzymaj! - zażądał król, wciąż na kolanach.

- Przed wyruszeniem do Dalekiego Brzegu? - Ulian roześmiał się ochryple i bez radości. - Mamy wrażenie, że przeceniasz uroki waszego świata śmiertelników...

- Wszystko mi jedno, skąd przybędą wasi rycerze! - postawił sprawę jasno król. - Potrzebujemy ich tu i teraz, a nie w jakichś odległych miejscach.

- Mój przyjacielu - elf pokręcił głową - nikt, kto ujrzał Daleki Brzeg, nigdy tu nie wróci.

- Nawet po to, żeby ratować zasłużoną córę elfiego rodu? - spytał Corwyn. - Alannah była arcykapłanką Shakary. Przez stulecia strzegła waszych tajemnic.

- I dobrze wykonała swoje zadanie - przyznał mędrzec - ale kiedy zdecydowała się na życie u boku śmiertelnika, przestała być jedną z nas. To była jej suwerenna decyzja i teraz Rada nie może nic dla niej zrobić. - Pokręcił głową. - Nasz lud wyrzekł się śmiertelnego świata. Nie ma wpływu na jego dalszy los.

- Ale ludzie nie mają mocy elfów - sprzeciwił się król. - Jeśli wszystkie elfy opuszczą Łąd, nie będzie już magii, która chroni ludzi. Czarodzieje dawnych czasów nie żyją. Mocy zła nie będziemy mogli przeciwstawić nic prócz dzielnych serc i nagiej stali.

- Możliwe, że tak będzie - przytaknął Ulian.

Nie można było poznać, co dzieje się za jego nieporuszoną miną. Jeśli współczuł człowiekowi, to potrafił to zręcznie ukryć.

Corwyn podniósł się, a jego rysy były nie mniej kamienne niż twarz elfa.

- Rozumiem. - Gniewna bruzda przecięła mu czoło. - Więc Łąd ulegnie zagładzie przez to, że elfy były wtedy niedbałe i nie przeniknęły prawdziwych przyczyn powstania Margoka!

- Mówisz jak dziecko - odpowiedział nieporuszony senator. - To, czego nie możesz osiągnąć prośbami, chcesz teraz wymusić przekorą. Nasz lud poświęcił wiele, by ustrzec świat przed złem. Padło wielu dzielnych bohaterów jeszcze dziś opiewanych w pieśniach. Nie masz prawa obwiniać nas ani oskarżać o bezczynność. Ród elfów nie jest nic winien temu światu.

- Wybaczcie - rzekł Corwyn, uświadomiwszy sobie, że posunął się za daleko - chciałem tylko...

- Audiencja skończona - oznajmił Ulian lakonicznie.

- Skończona? - spytał osłupiały król. - I nie ma nadziei, że zmienicie zdanie?

- Nie ma. - Elf zdecydowanie pokręcił głową. - Odejdź, królu Corwynie. Opuść Tirgas Dun i wróć do swego własnego królestwa. Czyn to, co musisz czynić, ale nie licz na pomoc mego ludu, gdyż nie możesz jej otrzymać.

- Wiedziałem! - krzyknął władca. Gniewnie zacisnął dłonie w pięści i przez moment przemawiał przez niego nie król, ale łowca głów. - Przeczuwałem, że wy, elfy, zostawicie nas w biedzie, już

gdy przekroczyłem bramę tego miasta. Gdybym nie obiecał Alanah, nie traciłbym czasu na tę rozmowę. Ale co pomyśli królowa, gdy dowie się, że jej własny lud nie kiwnął palcem, kiedy była w potrzebie?

- Jak rzekliśmy, ona nie należy już do rodu elfów. Arcykapłanka Shakary wybrała życie wśród śmiertelników.

- Tak - odpalił Corwyn - i coraz lepiej rozumiem, dlaczego to zrobiła.

- Odejdź! - polecił mu Ulian, tym razem bardziej nerwowo.

- Ale...

Król zamilkł, kiedy stanął przed nim ten sam elf, który ogłosił ich przybycie, i groźnie uniósł laskę. Drzemiący w Corwynie awanturnik, nieheblowany prostak, który sprzedawał swoje usługi tym, co płacili najwięcej, miał ochotę wyrwać elfowi jego magiczną broń i użyć jej po ludzku, jak pałki. Jednak przywołał się do porządku i znów górę wzięła w nim król. Z lekkim skinieniem głowy, które musiało starczyć za pożegnanie, odwrócił się i wściekły począł do wyjścia, a za nim jego ludzie.

Ich peleryny powiewały, gdy wypadli na zewnątrz i zbiegli do stóp schodów, gdzie czekali żołnierze z końmi. Corwyn dostrzegł ich pełne nadziei spojrzenia.

- I co, panie? - zapytał Rhian, zasłużony wojownik, który od śmierci sir Lugha dowodził królewską gwardią. - Elfy pójda z nami?

- Nie, nie pójda. - Król wskoczył na konia.

Czuł się jak błazen. Przez cały czas, odkąd dowiedział się o nowej władzy w Kal Anar, siedział w Tirgas Lan i marnował cenny czas. Na co czeka? Aż dwie maskary ze Stęchłej Marchii odwalą za niego robotę, za którą dawno powinien się zabrać sam? Aż obca władza uzbroi armię, by przynieść Ładowi wojnę i zniszczenie?

Nie!

Słowa Uliana jasno uświadomiły Corwynowi, że jest tylko jedna osoba, która mu pomoże i której wsparcia może być pewien: on sam. Jeśli elfy nie chcą go wspierać, musi sam uwolnić Alanah i wziąć w swoje ręce obronę królestwa. W końcu jest władcą. Może czasy elfów rzeczywiście się skończyły, za to jego dopiero się zaczynają...

- I co teraz, panie? - spytał zatroskany Bryon. - Co teraz będzie?

- Wrócimy do Tirgas Lan i rozpoczniemy przegląd wojska - zabrzmiała zdecydowana odpowiedź.

- Przegląd wojska, panie?

- Właśnie tak. Powołam pod broń wszystkich moich wasali, poślę wici do wszystkich części mojego królestwa i poproszę o wsparcie naszych sprzymierzeńców: książęta, klanowych lordów, nawet krasnoludy. Z ich pomocą utworzę wojsko pod flagą Tirgas Lan. Armie, jakiej Ład nie widział od czasów Drugiej Wojny. I z tym wojskiem pójdę na wschód i wyzwę do walki wroga, który się do tej pory tchórzliwie ukrywa.

- A... a królowa?

- Nie martw się, mój dobry Bryonie - powiedział Corwyn pewnym głosem. - Nasz wróg czuje się bezpieczny, bo ma w swojej władzy zakładniczkę szlchetnego rodu. Ale się myli. Zwycięzimy go nawet bez elfów. Własnymi siłami wystawimy wojsko i wymusimy uwolnienie królowej. A gdyby wróg nie uległ naszym prośbom, rozniesiemy go w proch.

- Wróg jest potężny, królu - zauważył zbrojny. - Nie zapominajcie, że w jego mocy jest wywołać z grobu poległych...

- A jeśli nawet?! - Jedyne oko Corwyna zabłysło ponurym zdecydowaniem. - Wiemy, jak pokonać upiory. Czymkolwiek dysponuje ów nieznany wróg, zwalczymy to zimną stalą i dzielnym sercem. I pokonamy.

Na te słowa dobył miecza i skierował klingę ku niebu.

- Tirgas Lan albo śmierć! - zakrzyknął głośno, a wtedy również żołnierze wyjęli miecze, unieśli je i powtórzyli okrzyk:

- Tirgas Lan albo śmierć!

Potem pognali konie i skierowali je ku bramie miasta, nie oglądając się za siebie. Era elfów dobiegła końca. Zaczęła się era ludzi.

15. OR KUL UR'OUASH

Krótko po północy Ankluas przyszedł po orków, jak obiecał. Rammar czekał niecierpliwie przy drzwiach celi, podczas gdy Balbok jeszcze na chwilę się położył.

Gdy jednouchy odrygłował drzwi celi i uwolnił orków, najpierw przemknęli do zbrojowni, skąd zabrali świeżo naostrzony topór Balboka i *saparak* Rammara. Złoty sztylet elfów, ku wielkiemu strapieniu grubasa, zniknął bez śladu. Również Ankluas się uzbroił - wziął długą szablę, właściwie o wiele za wąską i zbyt elegancką jak na łapę orka, jednak po kilku próbnym machnięciach było widać, że włada nią zaskakująco dobrze.

Cicho, w każdym razie najciszej, jak to możliwe dla ciężkich stóp orka, trzech uciekinierzy przeszli po schodach i dotarli do korytarza, który miał poprowadzić ich ku wolności. Nie odważyli się zapalić pochodni, musieli więc po omacku znajdować drogę w

mroku. Balbok, ze względu na swój wzrost, nieraz pomacał przy tym głową sufit, i to mocno.

- Daleko jeszcze? - syknął Rammar w ciemność. - Jeśli mój głupkowaty brat jeszcze kilka razy walnie się w łeb, to wypadnie mu resztką rozumu.

- Cierpliwości - szepnął Ankluas. - Prawie nam się udało...

Gdy przygarbieni przemykali przez podobny do tunelu ciemny korytarz, Rammara opadły nieprzyjemne skojarzenia, wziął się jednak w garść. Ostatecznie, powiedział sobie, tym razem nie prowadzi ich zdradliwy krasnolud, ale porządny ork. Jednak czy to naprawdę robi różnicę, miało się dopiero okazać.

- Tam! - dobiegł szept jednouchego. - Tam jest wyjście.

- Gdzie? - spytał jeszcze Rammar, by w następnej chwili władować się na masywne drewniane drzwi. Rozległo się głucho łupnięcie i znów gruby ork trzymał się za czoło. Gniewne przekleństwo powstrzymał tylko z obawy przed odkryciem.

Ankluas sięgnął po klucz, ale trwało chwilę, nim namacał dziurkę. Potem usłyszeli metaliczne trzaski i stuki i wrota ku wolności otwarły się z cichym skrzypieniem.

- Widzicie - powiedział jednouchy - nie obiecywałem na próżno.

- *Korr* - przyznał Balbok i przecisnął się przed pozostałych. Po złych doświadczeniach z krasnoludzkiego tunelu teraz chciał pierwszy wyskoczyć na wolność. Rammar, który nie mógł tego ścierpieć, chwycił go za ramię i pociągnął z powrotem. Nastąpiła krótka, acz gwałtowna szarpanina. Wreszcie Ankluas miał jej dość i przerwał ją pięścią.

- Co to ma znaczyć? - poskarżył się Rammar. - Zwariowałeś, żeby walić mnie w pysk?

- Jeśli ktoś tu zwariował, to wy! Zachowujecie się jak idioci! Nie rozumiecie, że w każdej chwili możemy być odkryci? Jeszcze nie jesteśmy bezpieczni.

Dwaj zapalczycy spojrzeli po sobie, każdy z podbitym okiem. W końcu to Ankluas pierwszy wyrzał na zewnątrz, by sprawdzić teren. Kiedy się upewnił, że jest czysto, dał braciom znak, by szli za nim. Pierwszy ruszył Rammar, Balbok znów ostatni. Ukryli się za stosem skrzyń.

Podwórce z trzech stron otaczały niskie zabudowania z pruskiego muru. Sądząc po zapachu, trzymano tam zwierzęta przeznaczone do walk na arenie - takie jak ten rozjuszony byk, którego Balbok ku ucieście pomrukującego tłumu przewrócił na grzbiet i przegryzł mu krtań.

- To się nazywa szczęście - szepnął Ankluas.

- *Korr* - przytaknął Rammar. - Jak okiem sięgnąć, żadnych straży.

- Nie tylko to. Jesteśmy tuż obok stajni.

- I co?

- A cóżby? Weźmiemy sobie wierzchowce.

- Czy cię pokreśli?! - warknął grubas głośniejszym głosem, niż nakazywał rozsądek. - Orkowie nie jeżdżą wierzchem, orkowie chodzą na piechotę. Dla zasady. Od zawsze.

- *Korr* - potwierdził chudzielec.

Na Ankluasie nie zrobiło to wrażenia.

- Sądziłem, że macie jeszcze do wyrównania rachunek z Ortmarem - przypomniał.

- *Korr*.

- Świetnie, to proszę, zdradźcie mi, jak chcecie go dogonić bez koni. Prawdopodobnie już dawno jest za górami.

- Raczej pod górą, ten nędzny krasnolud - burknął marnotnie Rammar. - Ale przypadkiem dokładnie wiemy, dokąd zmierza. Musimy tylko iść prosto na wschód, a wpadnie w nasze łapy.

- Ale Rammar - sprzeciwił się Balbok, któremu zesła już opuchlizna z języka i znów mógł normalnie mówić - a co, jeśli strzępobrody już dotarł do celu? Jeśli przed nami dopadnie tego typu, o którego chodzi, łowca głów jemu da skarb. Pomyślałeś o tym?

- Do kroćset - syknął grubas - masz rację!

- To bierzemy konie? - spytał jednouchy.

- No dobrze - burknął Rammar. - Zakładając, że znajdziesz szkapę dość silną, by unieść moją okazałą osobę.

- Zobaczymy - powiedział spokojnie Ankluas. - Zaczekajcie.

Mówiąc to, odpełził ciszej i zwinniej, niż można by się spodziewać, sądząc po jego obszarpanym wyglądzie i grubo ciosanej posturze. Bezgłośnie przemknął do muru stajni i wtopił się w mrok nocy.

- Trzeba mu przyznać - stwierdził z uznaniem Balbok - jest naprawdę niezły.

- Jest naprawdę niezły - przedrzeźniał go złośliwie Rammar.

- Niewdzięczny dureń! Weź go sobie za brata zamiast mnie, jeśli jest taki wspaniały.

- A tak się da? - spytał szczerze zdziwiony chudzielec i dostał za to twardego kuksańca w żebra, wciąż obolałe po walce z trollem. Balbok wydał żalospny jęk, na który gdzieś od strony budynków odpowiedziało wycie wałęsającego się psa. Rammar pozwolił sobie na grymas zadowolenia i razem czekali na powrót Ankluasa.

Nie trwało to zbyt długo.

Wkrótce brama stajni otwarła się od wewnątrz i zobaczyli barczystą postać prowadzącą na wodzy trzy konie. Albo dwa konie i jedno dziwadło, ponieważ trzecie zwierzę miało krótkie, grube nogi i walcowaty tułów, przez co bardziej wyglądało na przerosniętego psa. Jednak też miało na grzbiecie siodło, przy nim bukłak i worki z prowiantem.

- Szybko poszło - stwierdził Balbok. - Jak on osiodłał konie tak szybko?

- Po prostu zrobiłem to przed południem - wzruszył ramionami Ankluas.

- Nawet nas wcześniej nie pytając? - oburzył się Rammar.

- Byłem pewny, że się zgodzicie - oświadczył tamten z uśmiechem od ucha do... do tego ogryzka, który udawał drugie. Klepnął wierzchowca i zgrabnie wskoczył na siodło.

Orkowie nie byli urodzonymi jeźdźcami. Nie tylko dlatego, że bezdroża Stęchłej Marchii, jej gęste lasy i urwiste skały nie nadały się do jazdy wierzchem. Jazda konna jako taka przejmowała orków wstrętem. Wprawdzie podczas Drugiej Wojny, kiedy sprzymierzili się z ludźmi, były próby utworzenia orczej kawalerii, lecz eksperyment skończył się tym, że większość orków pozabijała swoje konie i je po prostu zżarła. Jeśli w ogóle na czymś jeździli, to na wargach albo innych stworach z przepaści Gór Zachodnich, ale i w tej dziedzinie gnomy wykazały się nieporównanie większą zręcznością niż współplemieńcy Rammara i Balboka.

Nic dziwnego, że zbliżając się do wierzchowca, grubas miał mieszane uczucia.

- Co to w ogóle jest? - sarknął. - Ta głupia chabeta jest szersza niż dłuższa.

- Pasuje do twojej okazałej postury - odpowiedział, szczerząc zęby, chudy ork i bez trudu usadowił się w siodle ku niezmiernej irytacji brata.

On miał nieporównanie więcej problemów z wdrapaniem się na grzbiet wierzchowca. Już samo wetknięcie wielkiej stopy w strzemię było prawdziwym wyzwaniem. Potem musiał jeszcze, stękając, dysząc i miotając niezliczone przekleństwa, unieść *asar* do góry i opuścić na siodło, co biedne zwierzę skwitowało ochrypłym stęknieniem.

Konie przyprowadzone przez Ankluasa były silnymi, wytrzymałymi stworzeniami, jakich ludzie używają w wyżynnych okolicach. Parskały niespokojnie, jednak najwyraźniej zaakceptowały obcych jeźdźców, mimo że na ogół te zwierzęta nie znoszą zapachu orków.

Jednouchy rzucił Balbokowi i Rammarowi wełniane derki.

- Niby mi to po co? - parsknął grubas trafiony w twarz.

- Narzućcie je jak kaptury - polecił Ankluas. - Inaczej od razu was rozpoznają.

- A ciebie nie?

- Mnie tak samo - zapewnił jednouchy i okrył się derką. Potem wszyscy trzej skierowali swoje wierzchowce na nocne ulice Sundaril.

Przybywając tu, mieli narzucone na głowę worki i siedzieli zamknięci w ustawionej na wozie klatce, dlatego do tej pory właściwie nie widzieli miasta. Teraz w ciemności też niewiele mogli zobaczyć. Rammar miał jednak wrażenie, że miasta ludzi z ich kamiennymi murami, budowlami z pruskiego muru i sterczącymi wieżami i tak wszystkie wyglądają tak samo. Do tego kojarzyły mu się coraz gorzej.

Ankluas najwyraźniej dobrze znał drogę i bracia podążali za nim. Dokładniej nie tyle nawet bracia, co ich konie - bo jeśli chodzi o obu orków, to nie mieli pojęcia, jak nimi kierować.

Na ulicach Sundaril o tej późnej godzinie niewiele się działo. Przemierzali wąskie, wyludnione zaułki, tylko raz po raz z tawern dobiegały przytłumione głosy: tu bełkot pijaka, ówdzie dźwięczny śmiech młodej karczmarki. Poza tym ulice pogrążone były w ciszy.

Rammar wiedział, że nie zawsze tak było.

Kibli i Nestor opowiadali mu, że dawniej miasta graniczne słynęły z występków i rozpusty, awanturnicy, żołnierze, przemytnicy, mordercy i złodzieje przybywali tu ze wszystkich stron, by

trwonić pieniądze w tawernach i burdelach. Odkąd jednak magistraty Sundaril i Andaril podporządkowały się nowemu królowi Tirgas Lan, miasta oczyszczono z podejrzanych typów. Właśnie z tej przyczyny Nestor i Kibli trafili do królewskich lochów.

- Gdzie ten przeklęty Corwyn by nie przyszedł - mruknął gruby ork - wszystko stawia na głowie.

Ankluas odwrócił się w siodle i szepnął:

- Jak to rozumiesz?

- Przedtem panowały tu zbrodnia i występki i komu to przeszkadzało?! - mruknął zde gustowany Rammar.

- A teraz ci się nie podoba? - dociekał jednouchy.

Grubas splunął.

- Ale to nie jego wina - dodał, jak na siebie, nader wielkodusznie. - O to wstrętne psucie zabawy podejrzewam raczej Alanah.

- Znasz ją?

Rammar znów przytaknął i warknął:

- To elfie babsko nieraz dowiodło, że nie ma krzty humoru.

Ankluas obrzucił go wieloznacznym spojrzeniem i odwrócił się bez słowa.

Trzej uciekinierzy musieli unikać nocnych straży. Nie w tym rzecz, że nie poradziliby sobie z jednym czy dwoma uzbrojonymi halabardnikami, ale gdyby choć jeden podniósł alarm, zaryglowano by bramy miasta i droga na wolność zostałaby zamknięta. Korzystne było to, że strażnicy w swoich jasnych pelerynach i połyskujących hełmach z daleka rzucali się w oczy i na ich widok Ankluas skręcał w inną stronę.

- Stać! Wy tam, opowiedzcie się! - usłyszeli naraz zza rogu ulicy. - Kim jesteście i co tu robicie?

Rammar z derką na głowie zaklął półgłosem. Z ciemnej wnęki wyszedł strażnik trzymający oburącz halabardę.

- Opowiedzcie się! - powtórzył. - I to już, nim każę was związać i wtrącić do lochu! Kim jesteście i czego chcecie? I zdejmijcie kaptury, żebym mógł zobaczyć wasze twarze!

To było coś, czego orkowie nie chcieli zrobić w żadnym wypadku. Bez ruchu siedzieli na koniach i czekali, co będzie.

- Do kroćset, co za smród! - rozżościł się nocny strażnik, podchodząc bliżej. - Te szkapy są już martwe i gniją?

Dla Rammara było jasne, że to zapach orków tak przeszkadza człowiekowi, i zastanawiał się, czy za tę bezczelność nie rozwalić mu łba. Uznał jednak, że w tym momencie to nie najlepszy pomysł. Również Balbok wiercił się niespokojnie. Obelgi mlecznogębego wystawiały opanowanie mistrza areny na ciężką próbę. Patrzyli tylko, co uczyni Ankluas.

Ten zaś skierował konia wprost na strażnika.

- Macie zdjąć kaptury, powiedziałem! - powtórzył energicznie człowiek. - I złaźcie, do cholery, z tych szkap, nim się zapomnę i...

Dalej nie doszedł. Z szybkością, o którą nie podejrzewaliby jednouchego Balbok ani Rammar, zeskoczył z siodła i rzucił się na zbrojnego jak zgłodniały drapieżnik. Nim człowiek się obejrzał, zaciśnięta w pięść prawica orka wylądowała na jego twarzy. Nos wartownika plasnął jak przejrzały owoc. Trysnęła krew, a zbrojny upadł jak mokry worek. Tylko halabarda nadal stała, gdyż Ankluas wyrwał mu ją z dłoni, żeby nie narobiła hałasu, uderzając o bruk.

Ostrożnie oparł nieporęczną broń o mur, chwycił nieprzytomnego wartownika i odciągnął go z powrotem do wnęki, z której wyszedł. Potem wrócił do swoich zdziwionych towarzyszy.

- Dobra robota - powiedział z uznaniem Rammar. - Będzie miał nauczkę. Sam bym go nauczył dobrych manier, ale...

- Rozumiem - odparł Ankluas, wskakując na siodło.

- Czemu go nie zabiłeś? - spytał zdziwiony Balbok. - Skalp mlecznogębego należy do ciebie. Możesz się nim chełpić.

- *Korr* - przyznał mur rację grubas.

- Mam się chełpić zabiciem jakiegoś *bog-uchg*? - Jednouchy pokręcił głową. - Jakim nędznym i małym *shnorsharzem* bym był, gdybym to robił?

Z tymi słowami pognął konia. Dwaj bracia wymienili pod kapturami zawstydzone spojrzenia - jeszcze nigdy nie pomyśleli o skalpach i chełpieniu w ten sposób. Ankluas zdawał się rzeczywiście szczególnym orkiem. Popędzili swoje chabety i ruszyli za nim.

Minęli zgrają pijaków ze śpiewem ciągnącą z gospody. Byli tak pijani, że nie poświęcili orkom nawet spojrzenia. W końcu dotarli do wschodniej bramy miasta, gdzie przy wyniosłym, opatrzonym dwiema wysokimi wieżami budynku stało ośmiu strażników, po czterech z każdej strony.

- Co teraz? - szepnął Rammar do jednouchego przewodnika.

- Zamierzasz ich wszystkich powybić?

- Raczej nie - odpowiedział Ankluas.

- Razem damy radę tym mięczakom - rzekł Balbok z przekonaniem. - Wy weźcie tych dwóch po lewej, ja zajmę się resztą.

- Nie udawaj, że rozróżniasz lewą i prawą - przywołał go do porządku brat. - A przyjrzałeś się dobrze tym typom? Są uzbrojeni po zęby i nie wyglądają na takich, co dadzą sobie wyżyć oczy*. [Powiedzonko orków] A jak przybiegną inni, to koniec naszej ucieczki.

- Masz rację - zgodził się Ankluas, lecz mimo to popędził konia na plac przed bramą.

- Pokręciło cię? - syknął za nim grubas. - Co ty wyrabiasz?!

- Na grzmiącego Kurula, ten jest naprawdę odważny! - stwierdził z podziwem chudy ork. Już trzymał w łapie topór gotów ruszyć za jednouchym. - Dalej, musimy mu pomóc!

- *Shnorsh* musimy! - sprzeciwił się Rammar. - Jeśli ten *umbal* koniecznie chce dać się zabić, to proszę bardzo. My tu zostaniemy i poczekamy.

- Ale, na grzmiącego Kurula...

- Swojego grzmiącego Kurula możesz sobie wsadzić, gdzie chcesz! - przerwał mu szorstko brat. - Zostaniemy tu i zaczekamy, i koniec!

Balbok nie miał ochoty tego słuchać, ale złości Rammara bał się niepomiaralnie bardziej niż tego, że wypadnie w oczach Anklusa na *goultora*. Bracia czekali więc i patrzyli jak urzeczony na jednouchego, który był coraz bliżej strażników. Oczywiście mlecznogębi zauważyli go i oczywiście nadstawili halabardy, a kapitan straży dobył nawet miecza.

- Stać! Kim jesteś i czego chcesz? Opowiedz się...

Rammar i Balbok wstrzymali oddech w oczekiwaniu krwawej jatki, ale zamiast tego ujrzeli coś, na co zupełnie nie byli przygotowani. Anklus pochylił się do kapitana i zamienił z nim kilka słów, po czym, ku ogromnemu zaskoczeniu Rammara i Balboka, człowiek wybuchnął gromkim śmiechem.

Bracia orkowie wymienili bezradne spojrzenia - czy ten człowiek postradał rozum? Kiedy do śmiechu przyłączyli się pozostali strażnicy, Rammar i Balbok byli już całkiem pewni, że mlecznogębi powariowali.

Nie robiąc żadnych trudności, pozwolili Anklusowi wrócić do towarzyszy, więcej - kapitan polecił podnieść kratę i otworzyć bramę, żeby jednouchy wraz z kompanami mógł opuścić miasto. Z szerokim uśmiechem na ustach ork dał znak braciom, by jechali za nim, na co Rammar i Balbok popędzili swoje szkapy i pokłusowali ku otwartej bramie.

Gdyby przyjrzeliby się lepiej strażnikom, nie mogliby nie zauważyć, że ci z trudem powstrzymują śmiech. Lecz Balbok myślał tylko o toporze, który ścisnął pod derką, a Rammar o *saparaku*. Tak wyjechali przez Wschodnią Bramę Sundaril. Po drugiej stronie oczekiwała ich rozległa wyżyna, na której w wietrze miękko kołysała się trawa oświetlona srebrną księżycową poświatą.

Nocną ciszę przerwał donośny rechot strażników, którzy nie mogli już dłużej wytrzymać.

- Do krośset! - syknął Rammar. - Czemu tym *umbal'hai* tak wesoło?

- Kto wie - Ankluas wzruszył szerokimi ramionami.

- Jak to zrobiłeś? Coś im powiedział? Czemu cię tak łatwo przepuścili?

- To moja tajemnica! - odparł jednouchy, jednak nie użył słowa *dowbor*, które w mowie orków oznacza tajemnice ogólnej natury, ale *sochgor*, które daje pytającemu do zrozumienia, że nic mu do tego.

Grubas popędził konia, domy i wieże Sundaril powoli niknęły za nimi, a dwaj orkowie pierwszy raz po haniebnej zdradzie Ortmara z Rumowiska i uwięzieniu przez Murilla Ganzwara znów poczuli się wolni.

Jechali dłuższy czas, wreszcie wstrzymali konie w kotlinie.

Ankluas i Balbok zdawali się nie mieć żadnych problemów z jazdą wierzchem, ale Rammar już po pierwszych kilku milach czuł się niczym łamany na kole. Podczas jazdy gruby ork myślał tylko o dwóch rzeczach - żeby nie spaść ze szkapy i żeby jak najszybciej z niej zsiąść, tak bolała go *asar* przy każdym stąpieniu konia klapiąca o siodło.

- Że też dałem się zwieść! - wybuchnął. - Nigdy nie powinienem był włączyć na żadne przeklęte bydlę!

- Przestań narzekać - powstrzymał go z uśmiechem Ankluas.
- Daliśmy radę! Uciekliśmy z Sundaril! Wyłącznie dzięki wam.

- Nam? Jak to? - Balbok wytrzeszczył oczy.

Zdawało mu się, że gdyby orkowie mieli zwyczaj komukolwiek za cokolwiek dziękować, to raczej oni powinni być wdzięczni jemu, a nie on im.

- Zamknij pysk, *umbalu!* - syknął Rammar. - Jeśli mówi, że zawdzięcza nam powodzenie ucieczki, to na pewno tak jest. W końcu nie bez powodu jesteśmy niepokonanymi mistrzami areny w Sundaril, co?

- *Korr* - zgodził się jednouchy, nim chudzielec zdążył odpowiedzieć. - A skoro wy wypełniliście swoją część umowy, teraz ja chcę wypełnić swoją i pomóc wam w zemście.

- Ortmar! - warknął grubas z nienawiścią i obrzydzeniem. - Dostanę tego małego zdrajcę za wszelką cenę. Rozpłatom go na kawałki, zادهpczę i sam nie wiem co. Ten nikkzemny *shnorsharz* zapłaci za to, co nam zrobił!

- *Korr* - poparł go gorzko Balbok.

- A ja zamierzam pomóc wam przy tym z całych sił - obiecał Ankluas. - Gdzie znajdziemy tego Ortmara?

- Poszedł na wschód - odparł Rammar - do Kal Asar.

- Anar - poprawił brata chudzielec.

- Wszystko jedno! - warknął Rammar. - Ale my go tam znajdziemy.

- Zatem naszym celem jest Kal Anar - rzekł uroczyście jednouchy. - Znacie drogę?

- Niezupełnie. Krasnolud miał nam ją pokazać.

- W takim razie ja was poprowadzę - oznajmił niespodziewanie Ankluas. - Byłem już kiedyś w Kal Anar.

- Naprawdę? - bracia wytrzeszczyli oczy.

- Dawno temu. - Lekceważąco machnął łapą ich samozwańczy przewodnik. - Miałem wtedy jeszcze dwoje uszu.

- I co? - zainteresował się Balbok. - Daleko do tego Kal Anar?
- Daleko - potwierdził Ankluas - i dość niebezpiecznie. Droga najpierw prowadzi przez wyżyny zamieszkałe przez ludzi, potem przez zdradliwe Młotowe Bagna, a na koniec przez Szmaragdowe Lasy, gdzie aż się roi od dziwacznych stworów.

- Myślisz, że się ich boję? - parsknął Rammar, którego odwaga była w tym momencie większa niż brzuch. - Jak się uporamy z Ortmarem, będzie mu brakowało więcej niż tylko jednego ucha, to wam obiecuję.

- *Korr* - potwierdził nie mniej zdecydowanie Balbok. - To właściwy moment.

- Właściwy moment? - zdziwił się Rammar. - Na co?

- Na ślubowanie zemsty - przypomniał z uśmiechem chudzielec. - Żeby było ważne, musi być przypieczętowane krwią, przecież wiesz. Teraz wreszcie możemy ślubować, tak jak przystoi prawdziwym orkom ze śmierci i rogu.

Grubas zeszywniał. Że też on zawsze musi z czymś takim?... A już było miło!

- Jeśli o mnie chodzi, nie muszę już pieczętować mojego ślubowania - powiedział szybko jednouchy. - Powiedziałem, że wam pomogę, i to zrobię. A może śmiesz wątpić w moje słowa?!

- *Douk* - pośpiesznie zapewnił Balbok zdziwiony gwałtowną reakcją orka. - A co z tobą, Rammar? Przynajmniej my dwaj moglibyśmy przecieżyć...

- *Umbal!* - wrzasnął brat znacznie bardziej piskliwie, niż zamierzał. - My dwaj nie musimy składać ślubów krwi, bo w naszych żyłach i tak płyną te same soki. Poza tym Ankluas ma zupełną rację. A może śmiesz wątpić w moje słowo?!

- *Douk* - zaprzeczył półgłosem zawstydzony chudzielec.

- A więc nasze ślubowanie obowiązuje - stwierdził z przekonaniem Rammar. - Ten z Rumowiska dostanie, na co zasłużył. Dośrognie go odwet orków, a wtedy ten podstępny mały strzępobrody będzie żałował, że kiedykolwiek został wypluty na ten świat.

- *Korr* - potwierdzili jednogłośnie pozostali, po czym znów dosiedli koni i popędzili na wschód, coraz dalej w głąb królestwa ludzi i ku odległemu Kal Anar.

Rammar i Balbok nie myśleli ani o zadaniu, jakie dał im Corwyn, ani o niebezpieczeństwach, jakie mogą napotkać w drodze. Ich myśli krążyły tylko wokół zemsty na Ortmarze i w swej ślepej złości nie podejrzewali nawet, że dali się zwieść.

KSIĘGA 2

MOROR UR'KAL ANAR (WŁADCA KAL ANAR)

1. SAMASHOR UR'OUASH'HAI

Cztery dni, czy raczej noce, trwała podróż orków. Noce, podczas których poganiali konie przez ciągnącą się w nieskończoność wyżynę, na której z rzadka widzieli ślady cywilizacji. Wschodni kraj znajdował się wprawdzie we władzy ludzi, liczni przywódcy klanów i szlachta chętnie nazywali swoje posiadłości „królestwami”, lecz te składały się często tylko z zamku i kilku zagród wokół niego, a reszta kraju była prawie niezasiedlona. Większość mlecznogębych mieszkała w granicznych miastach Sundaril i Andaril oraz w osadach na północy, z których najznacześniejszymi były Takik, Girnag i Suln.

Orkowie nie zamierzali jednak podróżować tak daleko. Zbyt żywo mieli w pamięci Białą Pustynię z jej lodowatym chłodem i niebezpieczeństwami, a poza tym Ortmar z Rumowiska kierował się na wschód, a tylko on ich interesował.

Wędrowcy z rzadka musieli się kryć - tylko gdy widzieli w od dali wioskę albo zamek.

Nie żeby się bali walki z mlecznogębymi, po prostu nie mieli czasu na rozrywki. Unikali więc drogi, a pamiętając o spotkaniu z bazyliiszkiem, które Rammar i Balbok opisali swemu nowemu towarzyszkowi podróży w najczarniejszych barwach, jechali poważnie nocą. W ciągu dnia odpoczywali ukryci pod nawisami skalnymi albo drzewami, o ile natknęli się na jakieś, zwykle wysmagane wiatrem i zmarniałe.

Kiedy *asar* Rammara zmienił się już, jak twierdził, w zrogowaciałą skorupę, dodarli do przeprawy przez Młotowe Bagna. Wzgórza na północnym wschodzie, wyraźnie już niższe, ledwie się odznaczały od jałowej, porosłej twardą trawą równiny.

- Więc jesteś pewien, że musimy tędy przejść? - Rammar markotnie machnął *saparakiem*, by odpędzić kilka natrętnych much.

- Tak - potwierdził Anklus. - Po drugiej stronie Młotowych Bagien leżą Szmaragdowe Lasy sięgające na południowym wschodzie granic Kal Anar.

Grubas niechętnie skinął głową.

- Tak, tam poszedł Ortmar. A więc to i nasz kierunek.

- Młotowe Bagna - mruknął Balbok. - Śmieszna nazwa.

- Pochodzi od krasnoludów - wyjaśnił jednouchy. - Oni uważają, że u zarania dziejów Wielki Młot wyrąbał tu w ziemi dziury i w ten sposób uczynił ją niemożliwą do przebycia.

- Co za bajdy! - Rammar zagulgotał rozbawiony. - Czy ci strzępobrodzi naprawdę są tacy głupi, żeby wierzyć w coś takiego?

- Hm... Rammar? - nieśmiało odezwał się brat.

- Czego? - burknął grubas.

- Czy my, orkowie, nie wierzymy, że wąwozy na północ od Gór Czarnych powstały, gdy Kurul zabił demona Torgasa? Że rozrzucił jego flaki, a one wżarły się w skały? Czy nie dlatego nazywamy te wąwozy Flakami Torgasa?

- Co za kretyn, ty się Kurula nie boisz?! - wykrzyknął Rammar. - Ja tu o krasnoludzkich przesądach, a ten bluźni! Kurul naprawdę zabił Torgę i rozrzucił jego wnętrzności po kamieniach! To są fakty! Ale kto by uwierzył, że jakiś głupi młot mógłby wyryć w ziemi ogromne dziury?

- *Douk* - szybko zapewnił Balbok.

- Elfy mają jeszcze inną nazwę dla tej okolicy - powiedział Ankluas, jakby żał mu się zrobiło chudzielca. - Nazywają ją *talach arceif*, ziemia bez dna. I mają rację, możecie mi wierzyć.

- Jak to? - zainteresował się grubas.

- Młotowe Bagna są perfidne. Widzicie niby twardą ziemię, ale w rzeczywistości to miękkie trzęsawisko, które bezlitośnie pochłonie rumaka i rycerza, gdy na nie zblądzą. Niejeden, który wszedł na Młotowe Bagna, już z nich nie wrócił.

- *Shnorsh!* - warknął Rammar. - Nie ma jakiejś drogi dookoła tego przeklętego błota?

Jednouchy pokręcił głową.

- Na południu trzęsawisko graniczy z morzem, na północy z górami. Żeby je obejść, musielibyśmy poświęcić wiele tygodni.

- Nie mamy tyle czasu - mruknął grubas. Od ucieczki z niewoli nie czuł się równie nieszczęśliwy: asar wciąż boli, a tu na dodatek z jednej strony bagno, z drugiej wysokie skały... Ale cóż począć? - Ortmar i tak za bardzo nas wyprzedza. Jeśli damy mu więcej czasu, gotów wyjść z tego bez szwanku.

- *Korr* - zgodził się Balbok. - Poszukajmy sobie kryjówek i zaczekajmy do zmroku, potem pojedziemy dalej.

- Wjeżdżanie nocą na bagna byłoby bezdenną głupotą - pokręcił głową Ankluas. - Nawet za dnia ledwie widać, gdzie twardy grunt, a gdzie błocko.

- A bazyliuszki? - spytał chudzielec.

- Będziemy musieli uważać. - Jednouchy wzruszył ramionami i nim któryś z braci zdążył coś odpowiedzieć, popędził swego konia.

Rammar i Balbok wymienili bezradne spojrzenia. Chudzielec chciał już puścić się klusem, ale tłuscioch go powstrzymał.

- Czy ty zawsze myślisz tylko o sobie? Nie rozumiesz, że ja jestem z nas najcięższy?

- Hm... tak, ale...

- To, że ziemia utrzyma ciebie i Anklusa, nie znaczy jeszcze, że uniesie i mnie - stwierdził Rammar. - A jeśli utonę w tyle za wami, to wy, *umbal'hai*, nawet tego nie zauważycie. A więc jedziesz za mną, rozumiano?

Parskając gniewnie, szturchnął konia, na co przysadziste zwierzę pokłusowało za jednouchym. A Rammar pilnie obserwował poprzedzającego go orka, by natychmiast wstrzymać wierzchowca, gdyby przewodnik zaczął tonąć w bagnie.

Czas włókł się w nieskończoność. Ankluas jechał na czele, Rammar pośrodku, zaś Balbok zamykał mały orszak. Bagna zasnuły się welonami mgieł i orkowie nie widzieli wokół nic prócz beznadziejnej szarej dali, z której tu i ówdzie sterczały pojedyncze kępy traw. Lecz choć promienie słońca nie były w stanie przebić gęstej pokrywy chmur, Rammar miał wrażenie, że z każdą chwilą robi się coraz goręcej i wilgotniej. Zaczął się pocić, a im bardziej się pocił, tym większa chmara komarów otaczała go ze wszystkich stron. Nieustannie bzycały, a on gniewnie się opędzał, kilkakrotnie sam sobie przyłożył nawet pięścią w twarz. Ale było warto, komar też oberwał! Niestety Balboka i Anklusa bestie najwyraźniej oszczędzały, co grubas uważał za złe, nieorcze i niesprawiedliwe.

Okolo południa zatrzymali się na odpoczynek. Prowiantu już prawie nie mieli, nie zostało też zbyt wiele z samotnej krowy, którą

upolowali kilka dni temu, gdy włóczyła się bez dozoru po łące. Zatem orkom burczało w brzuchach na potęgę. Tyle dobrego, że znaleźli mętną kałużę, z której Balbok z Rammarem siorbali hałaśliwie, rozkoszując się smakowitą zgnilizną.

- Co z tobą? - spytał grubas Ankluasa. - Nie chcesz popić?
- Tej gnojówki? - skrzywił się jednouchy.
- Utrzyma nas przy życiu - odpowiedział z uśmiechem Rammara. - Poza tym sam zobacz! Dawno nie żarłeś takiej tłustej larwy, co?

- Smacznego. - Ankluas uśmiechnął się słabo najwyraźniej zupełnie niespragniony i Balbok przyjrzał mu się uważnie.

- Co z tobą? - burknął jednouchy.
- Nic. - Chudzielec powoli sięgnął po swój topór. - Zastanawiam się tylko, czy jesteś tym, za kogo się podajesz.

- Co masz na myśli? - spytał szybko Ankluas.
- Nie słuchaj go - uspokoił go Rammara. - Balbok ma kilka złych doświadczeń, to wszystko.

- Doświadczeń? Z czym?
- Kiedy jakiś czas temu wędrowaliśmy po trzęsawiskach, spotkaliśmy zmiennokształtne ghule - wyjaśnił grubas. - Jeden z nich przybrał postać Balboka, a drugi wykazał się bezgraniczną bezczelnością, naśladując mnie. Oczywiście wykryliśmy to i zrobiliśmy z nich sieczkę, ale mój głupkowaty brat teraz chyba uważa, że i ty jesteś ghulem. Sam widzisz, jaki z niego przygłup.

Twarz Ankluasa miała wyraz, którego chudy ork nie potrafił ocenić. Zaraz jednouchy wybuchnął gromkim śmiechem, a Rammara przyłączył się do niego, szyderczo wskazując paluchem na brata. Ten przez chwilę stał niezdecydowany z toporem w łapie.

- Tylko żartowałem - oznajmił wreszcie trochę bezradnie i włączył się do powszechnej wesołości. O tym, że ich śmiech sły-chać z daleka, orkowie nie pomyśleli. Kiedy jednak mgnienie oka później nad bagnem rozległ się przenikliwy pisk, zamilkli błyskawicznie.

- Co to było? - spytał przestraszony Ankluas.

Rammar i Balbok wymienili przerażone spojrzenia.

Dobrze pamiętali ten krzyk, przenikający do szpiku kości i nawet w spiczastych uszach orka brzmiący strasznie.

- *Uchl-bhuurz* - odpowiedział bezdźwięcznie grubas. - Przeklęty bazyli szek...

Przygotowani na najgorsze spojrzeli w szare niebo. W pierwszej chwili nic tam nie mogli dojrzeć, ale po chwili dobiegł ich kolejny krzyk, jeszcze głośniejszy i bliższy, a z chmur wynurzyła się dobrze im znana, złowieszczą sylwetka.

- Do kroćset! - wrzasnął Rammar. - Zaraz nas zobaczy! Co teraz?

- Walczymy! - oznajmił zdecydowany Balbok i uniósł topór.

Nagle rozległ się powtórny krzyk i ku przerażeniu orków, drugi skrzydlaty wąż wystrzelił z szarej powłoki chmur, by z szeroko rozłożonymi skrzydłami poszybować tuż nad ziemią. Jakby tego nie było dość, w następnej chwili niebo wypuło trzeciego bazyli szka. Stwory porozumiały się okropnymi krzykami i ruszyły razem wprost na trójkę orków.

- Są trzy! - wydyszał przerażony Rammar. - Odkryły nas!

- Nie sądzę - sprzeciwił się Ankluas. - Wtedy leciałyby szerszym szykiem, żeby nie pozwolić nam uciec!

- Niech no tylko się zbliżą - warknął Balbok. Przymrużył jedno oko, drugim gniewnie taksował nadlatujące stwory.

- Oszalałeś? - syknął grubas. - Zapomniałeś, że wtedy był tylko jeden, a my ledwie daliśmy radę?

- Masz rację - z przekonaniem stwierdził jednouchy. - Musimy zniknąć.

- Zniknąć? - krzyknął Rammar. - Gdzie zniknąć?

- Podzielimy się, rozbiegniemy w różnych kierunkach. W ten sposób przynajmniej nie zginiemy wszyscy, jeśli bestie nas odkryją.

- Też mi pocieszenie! - burknął grubas.

- Wysmarujcie się błotem i zagrzebcie, to nie zobaczą! - pouczył ich Ankluas. Chcąc dać dobry przykład, plasnął sobie w twarz pełną garścią torfu, potem odwrócił się i pędem odbiegł.

Rammar, któremu ani trochę nie spodobała się perspektywa samotnego leżenia w błocie i czekania, aż zostanie rozerwany przez latające węże, chciał się sprzeciwić. Właśnie układał w głowie dobrze brzmiącą wymówkę, ale nim zdążył ją sklecić do końca, jednouchego nie było. Odwrócił się więc do brata.

- Balbok?...

On też zniknął i jedyną odpowiedzią na ciche wołanie Rammara był kolejny pisk, od którego zadrżało powietrze nad bagnem. Bazyliszki były tuż, tuż...

Nie namyślając się dłużej, grubas odbiegł kilka kroków, z zaskakującą zręcznością przeskoczył parę kęp trawy i plasnął bruchem w bagno. Tarzał się jak świnia, aż uznał, że w niczym już nie przypomina odważnego, choć potępiającego zbędne ryzyko orka, a tylko pokąźną kupę błota. Tylko para jego błyszczących żółtych oczu z obawą spoglądała ku niebu i rosła z przerażenia, gdy bazyliszki nadleciały, nawołując się skrzekliwie.

W pierwszej chwili Rammar myślał, że został odkryty. Przeniknęła go gwałtowna chęć ucieczki, ale zmusił się do bezruchu.

Zamknął ślepią, żeby nie zostać sparaliżowanym, jeśli przypadkiem spojrzy na bazylistkę.

Stwory, wciąż krzycząc, zawisły nad nim i omal sam nie wrzasnął, choć bardziej piskliwie niż straszliwie. Bazylistki przeleciały zaledwie kilka *knum'hai* nad nim.

Ork sądził, że wybiła jego ostatnia godzina, i oczyma duszy jeszcze raz przebiegł zawstydzająco niepokojącą kolekcję wielkich i dzielnych czynów, jakich dokonał. To było takie niesprawiedliwe! Tyle jeszcze mógłby zrobić, a tu tylko patrzeć, a zakrzywiony dziób bestii przebija mu *asar* albo jeden z węzowych ogonów za ciśnie pętlę na szyi.

Nie stało się ani jedno, ani drugie, za to dały się słyszeć inne nieprzyjemne odgłosy. Najpierw donośne rżenie, potem trzask kości, na koniec klaszczące uderzenia.

Konie, przemknęło przez wielki łeb Rammara. Bazylistki nie ich odkryły, ale konie! Odważył się nawet ostrożnie otworzyć jedno oko.

Każdy z węzoptaków dopadł jednego z wierzchowców i choć nie jest wcale łatwo obrzydzić czymś orka, żołądek prawie fiknął mu koziołka na widok tego, co spotkało zwierzęta. Ogier Balboka został porwany w powietrze i z całej siły rzucony o ziemię, gdzie głośno rżąc, walił kopytami, gdy bazylistek wydziobywał mu z brzucha wnętrzności. Drugi potwór najpierw odgryzł łeb koniowi Anklusa, ale po namyśle rzucił się na postawną szkapę Rammara, tyle że tę upatrzyła sobie trzecia bestia i właśnie wbiła pazury w pierś konia. Drugi bazylistek uczeplił się więc zadu. Oba, dziko waląc skrzydłami i szarpiąc zwierzęciem w przeciwne strony, rozzerwały go w końcu na dwie części. Wnętrzności chlupnęły na trzęsawisko, dało się słyszeć ostatnie ochryple rżenie, potem wróciła śmiertelna cisza. Cisza, która grubemu orkowi wydała się jeszcze gorsza i groźniejsza niż przedtem.

Leżał nieruchomo w bagnie i bał się oddychać. Kątem oka widział bazylistki. Dwa siedziały przy parujących zwłokach,

trzeci znów krążył w powietrzu. Z dreszczem przerażenia Rammar stwierdził, że żaden nie raczy się mięsem ofiar. Nie rozerwały koni, by je pożreć - zrobiły to, można by rzec, dla rozrywki. A może ze złości, że nie znalazły tego, czego właściwie szukały. Grubas wolał nie myśleć, co te bestie zrobiłyby z orkami.

Zamknął oczy i próbował myśleć pozytywnie. Jeśli nawet bazyliuszki odkryją któregoś z orko w, kto powiedział, że akurat jego. Ankluasa będzie jeszcze potrzebował, żeby wydostać się z Młotowych Bagien. Pozostawał więc Balbok... Tak, niech rozerwą Balboka! Na pewno zrozumie, dlaczego w tych okolicznościach brat nie mógł przyjść mu z pomocą.

Drząc jak osika, Rammar leżał w bagnie i nasłuchiwał, jednak nic nie mąciło zupełnej ciszy. Nie było słyhać nie tylko koni, ale również bazyliuszków, i kiedy gruby ork po ciągnącej się w nieskończoność chwili znów zaryzykował spojrzenie, stwierdził, że bestie znikły, porzucając martwe wierzchowce.

Ork powoli uniósł głowę, by się rozejrzeć. Potem pozwolił sobie na pełne ulgi westchnienie, gratulując sobie dzielności i rozsądku w działaniu. No bo jakby nie patrzeć, tylko opanowanie i przytomność umysłu Rammara uratowały jego i towarzyszy...

Chciał wstać, ale w tym momencie dotarło do niego, że coś jest nie tak. Jego brzuch jakoś tak... ugrzązł i ork, choć się natężał, nie mógł się wydostać z bagna.

- Na grzmoty Kurula! - ryknął. - Co się dzieje? Przecież ostatnio nie jadłem znów aż tyle...

Podjął jeszcze jedną próbę, która też nic nie dała, a nawet pogorszyła sytuację - miał wrażenie, że teraz z ziemią są złączone również jego ręce i nogi. W końcu zrozumiał: uciekając przed bazyliuszkami, wpakował się w sam środek bagna.

Zaklął, gwałtownie poruszył rękami i nogami i z miejsca tego pożałował. Dopóki leżał bez ruchu, pływał, można powiedzieć, po wierzchu. Teraz jednak zimne i lepkie błocko jakby pełzło po nim w górę. Rammar najchętniej głośno zawołałby o pomoc, ale nie ważył się z obawy, że mogłyby usłyszeć go bazyliuszki. Tonąc w bagnie nieprzyjemnie, ale być rozerwanym na strzępy - chyba bardziej boli.

- *Shnorsh!* - warknął cicho.

Jak mówią, głupi ma zawsze szczęście, i Balbok poradził sobie lepiej.

Kierując się orczym instynktem, uciekał spory kawałek przez mgliste opary, wreszcie padł na ziemię za kępą wysokich traw. Potem poszedł za rada Ankluasa i zamaskował się błotem. Ledwie skończył, wężowe ptaki spadły z wysoka na konie.

Leżąc na brzuchu w swojej kryjówce, Balbok zerkał między źdźbłami traw i wszystko dokładnie obserwował. Bazyliuszki, gdy już rozszarpały konie i narobiły strasznego bałaganu, poderwały się w powietrze i zniknęły w szarej mgle. Ork odetchnął. Miał wprawdzie przy sobie topór i w razie potrzeby drogo sprzedałby swoją skórę, ale walczył już raz z bazyliuszkiem i nie miał wątpliwości, jak skończyłaby się potyczka z trójką takich bestii.

Począł jeszcze kilka chwil, chcąc być zupełnie pewnym, że stwory naprawdę odleciały, potem wrócił tam, gdzie zostawił towarzyszy i gdzie leżały rozrzucone ciała koni. Ankluas nadszedł z naprzeciwka.

- Uff - odetchnął chudzielec - niewiele brakowało.

- Można powiedzieć - potwierdził skinieniem głowy jedno-
uchy. - Gdzie jest twój brat?

- Nie wiem. - Balbok zmarszczył czoło. Pamiętał, że widział, jak bazyliuszki rozrywają konia Rammara, lecz o ile mógł sobie

przypomnieć, jego tłusty brat wtedy na nim nie siedział. A zatem, skoro nie zginął, żyje. Tylko gdzie jest?

Chudzielec nabrał głęboko powietrza, by zawołać, ale łapa Ankluasa pośpiesznie zatkała mu usta.

- Nie - powstrzymał go przewodnik. - Mogłyby cię usłyszeć i wrócić. Musimy go sami poszukać. Idź w tę stronę, ja pójdę w drugą.

- *Korr* - zgodził się Balbok i obaj poczłapali, rozglądając się za Rammarem.

Chudy ork nie widział nic prócz brązowej ziemi i żółtych kęp trawy. Jak okiem sięgnąć, ani śladu brata. Ostrożnie szedł więc dalej.

- *Umbal!* - jakże znajomo wrzasnął nagle ktoś o krok przed nim. I jakby... pod nim. - Jeszcze krok, a utoniesz w brudzie po swój zawieszony skalp.

Balbok przystanął gwałtownie i rozejrzał się zdziwiony. Był pewien, że usłyszał głos Rammara, ale skąd dobiegał?

Chudzielec poczuł, że stroszy mu się sierść na karku. Orki nie lubią magii ani nienaturalnych zjawisk, a pozbawiony ciała głos z pewnością do takich należał.

- R...Rammar - szepnął trwożliwie Balbok. - T...to ty, bracie?

- A kim miałbym być, durniu? Siostrą?!

- A...ale gdzie jesteś? Pożarły cię bazyliuszki? Porwały cię ghule? Jesteś duchem i...?

- *Darr malash!* To przez to, że jesteś tak rozpaczliwie długi! Spójrz łaskawie w dół! Tu jestem, ty przeklęty półgłówku!

Ponaglany wyzwiskami brata Balbok przyjrzał się ziemi pod swoimi stopami. W pierwszej chwili nie dostrzegł nic rzucającego się w oczy, potem jednak zauważył, że z błyszczącego od wilgoci blocka patrzy na niego para żółtych i bardzo złych oczu. Przylepione

były do nieforemnego pagórka ziemi, w którym - ze sporą dozą dobrej woli - można było rozpoznać głowę Rammara.

- Bracie! - wykrzyknął chudzielec z przerażeniem. - Kto cię tak urządził? Jak dorwę tego, kto podstępnie odrąbał ci głowę...

- Głupi osłe! Moja głowa tkwi na moich ramionach - zrzedliwie mamrotał Rammar.

- Naprawdę? - Wzrok Balboka zdradzał wątpliwości. - Ale w takim razie jak to możliwe, że na ziemi?

- Wpadłem w bagno i tonę, ty niedorajdo, robakożerco, ty krzywonogi jolopie! Bądź łaskaw wreszcie coś zrobić i wyciągnij mnie stąd, nim całkiem zniknę, a ty, ponieważ nie będzie miał cię kto bronić, zginiesz marnie, popłakując!

- Czemu popłakując? - Wzruszył ramionami chudzielec.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- No, ja...

- Ty obrzydliwcu w skórze brata! Pewnie beczynnie byś się przyglądał, jak tonę, i jeszcze przy tym tańczył *knombkur**, [Dosłownie „łamacz kości”; ulubiony taniec orków, dość dziki] co?! Wyciągnij mnie z tego *shnorsh*, nim stracę cierpliwość i... i... - Rammar zamilkł, gdy dotarło do niego, że w jego sytuacji groźby nie brzmią zbyt przekonująco.

Balbok przez chwilę wyglądał, jakby musiał sobie to wszystko przemyśleć, potem jednak odwrócił topór. Chwycił żeleźce, a koniec drzewca wyciągnął w stronę Rammara.

- Trzymaj! - krzyknął do brata, a ten z trudem zdołał wydobyc rękę z lepkiego bagna.

Niedawny mistrz areny pociągnął topór z całej siły, a kiedy to nie odniosło żadnego skutku, zaparł się o ziemię.

Na nic, tego dnia Rammar najwyraźniej był jeszcze grubszy i cięższy niż zwykle.

- Co jest, ty leniwy psie?! - wrzasnął na brata tłuszczoch.

Balbok zagryzł zęby i spróbował ponownie, ale jedyny skutek był taki, że Rammar zapadł się jeszcze nieco głębiej i zagulgotał, połknąwszy porcję błotnistej ziemi.

- Oj - wyrwało się chudzielcowi.

- Co to ma znaczyć?! - wybuchnął Rammar, gdy opróżnił usta. - Po co żarłeś ten cały *bru-mill*, jeśli teraz brakuje ci sił, żeby wyciągnąć mnie, twego rodzona?

- Dawno żarłem - bronił się Balbok - i od tego czasu nie miałem nic porządnego w gębie.

- Myślisz, że ja miałem lepiej? Jestem kompletnie wychudzony!

- Nie zauważyłem - burknął półgłosem brat, ale jeszcze raz spróbował wyciągnąć z bagna tłuszczocha.

Wtedy przyszedł do nich Ankluas.

Kiedy zobaczył, co spotkało Rammara, z miejsca wybuchnął donośnym śmiechem. Czy on nie rozumiał, że ma do czynienia z orczym wodzem?!

- Jak skończysz, pomóż mojemu nieudolnemu bratu! - warknął głośno, żeby nawet Ankluas, który wszak miał tylko jedno ucho, nie mógł go nie usłyszeć.

- Własnymi siłami nic tu nie zdziałamy - stwierdził przewodnik. - Im mocniej będziemy cię ciągnąć i im bardziej ty będziesz się ruszał, tym szybciej utoniesz.

- Wspaniała perspektywa - skrzywił się Rammar. - Co zatem proponujesz?

- Poczekamy, aż zatoniesz, żeby cię potem wyciągnąć.

- Co? Czyś ty oszalał?!

- Zaufaj mi - powiedział Ankluas.

Czy ten idiota nie pamiętał, że żaden ork nie ufa drugiemu? I w odróżnieniu od ludzi tyle ma honoru, by nie wygłaszać podobnych

deklaracji? Rammar skarżył się głośno, ale jego lamentsy przeszły w bulgotanie, gdy zatonął głębiej. Jego dolna szczeka znikła w brązowej masie, potem pysk, a potem poszło już błyskawicznie. Małe żółte oczka ostatni raz trwożnie zabłyśły z bagna i po chwili już tylko bulgocące pęcherzyki wskazywały, że przed chwilą w Młotowych Bagnach zatonął gruby ork.

- A...a teraz? - spytał zmartwiony Balbok. - Przecież go chyba nie...?

- Poczekaj - uspokoił go Ankluas. Położył się na brzuchu, wektnął w błoto prawą łapę, pogrzebał chwilę i chwycił czuprynę Rammara. Nie szarpał, jak robił to Balbok, ale ciągnął spokojnie i równomiernie. Rzeczywiście chwilę później pojawiła się usmarowana błotem gęba orka.

- Najwyższa pora! - wrzeszczała rozżłoszczona. - Wy skrytobójcy perfidni!...

Balbok też się położył i chwycił brata. Wspólnie udało im się kawałek po kawałku wyciągnąć Rammara z bagna - z głośnym mlaśnięciem oderwała się od błota najpierw głowa, potem kulisty brzuch, na koniec nogi.

Trzej orkowie leżeli chwilę, ciężko dysząc, jeden w drugiego tak brudni, że nie różnili się ani od siebie nawzajem, ani od błotnistej ziemi. Jedno wszakże Rammar winien docenić - teraz dokuczliwe komary wreszcie dały mu spokój.

Uważając, by znów nie wpaść w bagno, wszyscy trzej wrócili tam, gdzie leżały rozrzucone resztki ich koni.

- Patrzcie tylko, kompletne szłowieczenie! - oburzył się grubas. - Co to za okropne bestie! W całej Stęchłej Marchii nigdy czegoś takiego nie widziałem!

Ankluas pokręcił głową.

- Takich stworów nikt nie widział od tysięcy lat. Mówiono, że bazyliuszki dawno wymarły w czasach, kiedy do Łądu przybyły pierwsze elfy, ale wygląda na to, że kilka przeżyło.

- Na to wygląda - markotnie przytaknął Rammar. - Ciekawe tylko, co tu robią i czego szukają.

- Jak to rozumiesz? - Ankluas nadstawił uszu. Właściwie zaś ucha.

- No cóż... - Rammar trochę bezradnie wzruszył szerokimi ramionami. - M...mogło być tak, że...

- Że co?

- Że to nas szukają te wężowe bydlaki - dokończył za brata Balbok, za co Rammar zmierzył go gniewnym spojrzeniem. Nie zamierzał wtajemniczać przewodnika we wszystko, w końcu dla orka to żaden powód do dumy być na usługach człowieka, choćby nawet nosił on koronę i był królem Tirgas Lan. A o skarbie już na pewno Ankluas nie powinien się dowiedzieć...

- W tym wszystkim jest coś jeszcze, prawda? - drażył dalej jednouchy. - Nie chodzi tylko o krasnoluda, co?

Spojrzenia, jakie wymienili Rammar i Balbok, były raczej skonsternowane. Obaj tak się uwzięli, aby schwytać Ortmara z Rumowiska, że prawie zapomnieli o właściwym celu podróży...

- Powinniśmy mu powiedzieć, Rammar - stwierdził z przekonaniem chudzielec.

- Hm - mruknął grubas, niechętnie kręcąc głową.

- Mógłby być wartościowym współnikiem - dodał Balbok, a ten argument padł na żyzny grunt. Rzeczywiście mogło im się przydać wszelkie wsparcie, wszak nie wiedzieli nawet, jakie niebezpieczeństwa prócz bazyliiszków czekają na nich u kresu podróży...

- No dobrze - zgodził się Rammar i spojrzał groźnie na Ankluasa - ale tego, co powiem, nie wolno ci nikomu powtórzyć, rozumiesz? Bo inaczej wyrwę ci język i wytrę nim podłogę w mojej jaskini, kapujesz?

- Oczywiście - zapewnił jednouchy.

Grubas w zwięzłych słowach opisał ich przygody. Pomiął tylko fragment o skarbie elfów, który obiecano im jako zapłatę. Rammar nie potrafił rachować, ale jedno wie każdy ork - skarb podzielony na trzy zawsze jest mniejszy niż ten dzielony na dwa.

Ankluas wysłuchał wszystkiego spokojnie. Zdawał się nie być nawet zbyt zaskoczony tym, że Rammar i Balbok są na tajnej misji zleconej przez mlecznogębego.

- *Korr* - rzekł na koniec. - A te bazyliuszki są na usługach władcy Kal Anar?

- Tak sądzimy - odpowiedział grubas. - Jedną z bestii zmasakrowaliśmy, jak ci już opowiadaliśmy, i to była okropnie ciężka robota. Jak taki na ciebie spojrz, mówię ci...

- To jakbyś w środku zmienił się w kamień. - Jednouchy ze zrozumieniem skinął głową. - Nikt nie jest w stanie się poruszyć, nie mówiąc o obronie.

- *Korr*, dokładnie tak było - potwierdził Rammar. - Ale... skąd ty to wiesz? Też już kiedyś spotkałeś taką bestię?

- Nie - odpowiedział szybko Ankluas, a jego pokryta bliznami twarz dziwnie drgnęła - jeszcze nie.

- To skąd wiesz?

- Wy mi opowiedzieliście, jak razem z innymi walczyliście z bazyliuszkiem - przypomniał jednouchy i zmienił temat: - Zatem macie naprawdę o wiele większy problem niż jeden zdradliwy krasnolud.

- Nasza misja może poczekać - sprzeciwił się tłuścioch. - Ortmar jest tym, czego mi trzeba. Potem zobaczymy.

- A skarb?

Oczy Rammara zwęziły się w wąskie szparki.

- Nie pamiętam, żebym wspominał o jakimś skarbie - powiedział powoli.

Na krótką, króciusięnką chwilę na twarzy Ankluasa zarysowała się niepewność, potem jednak odpowiedział pewnym głosem:

- Każdy wie o skarbie, który skrywa miasto Kal Anar.
- Miasto Kal Anar? - Oczywiście Rammara znów zabłysły, tym razem nieskrywaną chciwością. - Mówisz poważnie?
- A jakże!

Można było niemal usłyszeć, jak w głowie grubasa myśli z chrzęstem przesuwaną się i ustawianą na nowe tory, i nagle zrozumiał, dlaczego Corwyn z tak lekkim sercem gotów był oddać orkom skarb elfów z Targas Lan. Po prostu dlatego, że wiedział o znacznie większym, chciwiec przekłety! Nieźle to sobie wymyślił król łowca głów, ale orkowie też nie w ciemną bici... Umiejętności rachowania Rammara wystarczyły, by zrozumieć, że dwa skarby to więcej niż jeden.

- *Korr* - warknął i spojrzał na jednouchego z chytrym uśmiechem. - Zrobimy tak: ty nam pomożesz dorwać Ortmara, a za to będziesz mógł wspierać nas w naszej misji. Jak załatwimy władcę Kal Anar, a to powinno być dziecinnie łatwe, zabierzemy skarb, a ty dostaniesz swoją część. Zgoda?

- Zgoda - oświadczył Ankluas i ku zachwytowi Rammara, zrobił to, nie pytając o wielkość swojej doli.

- Został już tylko jeden problem - wtrącił Balbok.
- Mianowicie? - parsknął grubas. Jego brat chyba nie jest tak głupi, żeby przypominać jednouchemu o jego zaniedbaniu?
- Jak bez naszych koni pojedziemy dalej?...

Rammar odetchnął z ulgą.

- Na początek piechotą - odpowiedział przewodnik. - Jeden dzień marszu na północ płynie rzeka, która dalej na południowym wschodzie przecina Lasy Szmaragdowe. Jeśli zbudujemy tratwę, możemy szybko nadrobić stracony czas.

- Jestem za tym - zgodził się Balbok, a potem łakomie spoj-
rzał na konie. - Ale do budowania tratwy trzeba mieć siłę, nie?
- Chcesz jeść konie?! - z niedowierzaniem krzyknął Ankluas.
- *Korr* - przyznał Rammar - a cóżby? Masz coś przeciw te-
mu?
- *Douk*. - Jednouchy pokręcił głową. - Oczywiście że nie...

2. KUNNART'HAI UR'KOLL

Jak zapowiedział Ankluas, po dwóch dniach wytężonego marszu orkowie *j* rzeczywiście dotarli do rzeki płynącej ód Gór Wschodnich na południe, przecinającej bagna i znikającej w gęstwinie lasów. W jej pobliżu było też więcej roślin, a wątle brzozy rosły szpalerem wzdłuż brzegów, orkowie znaleźli więc dość materiału na zbudowanie tratwy.

Ścinanie drzew należało do Balboka, któremu do przerąbania pnia wystarczył jeden cios ciężkim orczym toporem. Grubasowi przypadło zadanie przeciągania zwalonych pni na brzeg, gdzie Ankluas związywał je liną zabraną z sakw przy siodłach martwych koni. W ten sposób powstała niezgrabna, lecz z wyglądu solidna jednostka pływająca. Ledwie jednak na pokład wszedł Rammar, przez pnie zaraz przelała się woda.

Balbok stał na rufie, Ankluas na dziobie i długimi drągami odpychali tratwę od dna i sterowali. Rammar wziął na siebie najważniejsze zadanie, a przynajmniej tak to sobie tłumaczył - jako

żywy balast umieścił swój *asar* na środku i zapewniał jednostce stabilność.

Płynąc z prądem, orkowie przecięli wschodnie krańce Młotowych Bagien nie niepokojeni przez nikogo z wyjątkiem chmary komarów. Od ciągłych ataków tych żądnych krwi bestii najbardziej cierpiał Rammar, który niczym tłusty pędrak przycupnął na tratwie i nie mógł się wcale ruszać. Im dalej na wschód, tym komary zdawały się większe i bardziej agresywne. Oblicze nieszczęśnika wkrótce pokryły krosty i bardziej przypominał teraz trolla niż orka, dlatego za każdym razem, gdy Balbok z Anklussem kierowali tratwę ku brzegowi, Rammar korzystał z okazji, by schłodzić bolesne ukłucia bagnistą ziemią.

Początkowo orkowie nieufnie obserwowali szare niebo nad głowami w obawie, że bazyliczki mogłyby pojawić się raz jeszcze. Na szczęście im dalej posuwali się na południowy wschód, teren stawał się coraz gęściej porośnięty drzewami i nie można było ich już tak łatwo odkryć z powietrza.

Choć i te drzewa nie budziły zaufania - podobnych nie widzieli ani w ojczystym Mrocznym Lesie, ani w Puszczy Trowna, którą niegdyś przemierzali w poszukiwaniu Tírgas Lan. Były to ogromne, pierwotne rośliny, jakby zrosło się razem kilka drzew, tak wielkie, że osłaniały rzekę, tworząc nad wodą zielony dach liści. Ich korzenie tylko częściowo tkwiły w ziemi, niemała ich część wyrastała na wierzch, jakby drzewa stały na suchych, sękatych nogach. Między nimi rozrastały się ogromne paprocie, i skrzypy, i grzyby wielkości dorosłego orka.

- Na płomień Kurula! - Pokręcił głową Rammar. - Co to za dziwaczne miejsce?

- To Szmaragdowe Lasy - wyjaśnił Anklus. Nie mógł wiedzieć, bo i skąd, że podobną rozmowę odbyła ścigana przez nich drużyna pod wodzą tego samozwańca Ortmara z Rumowiska. - Nazwały je tak krasnoludy, które kiedyś przybyły tu w nadziei

znalezienia skarbów, ale napotkały tylko trwogę i śmierć.

- W jakim sensie? - spytał Rammar, którego w jego ledwie widocznej szyi zaczęła uwierać wielka klucha.

- Nie chciałbyś tego wiedzieć - odpowiedział ponuro jednouchy.

Las zgęstniał i znikły ostatnie plamy mchu. W końcu dach liści nad rzeką zamknął się całkiem i był tak gęsty, że wcale już nie można było dojrzeć nieba. Zapanował zielony mrok, nawet woda i twarze orków migotały mdlą zielenią.

Nagle na lewym brzegu rozległ się przeciągły krzyk i szelesty. Rammar odwrócił łeb i zobaczył coś, co zdawało się mieć niezliczone nogi, ale było pozbawione głowy. Stworzenie przemknęło przez przybrzeżne zarośla i prześliznęło pod ogromnymi liśćmi paproci. Po chwili z zielonej wody wynurzył się zygzakowaty, szeroki grzbiet, by za moment zniknąć.

- Co to było, na smrodliwe dziedzictwo Ludara?! - krzyknął Rammar.

- Kto wie - Ankluas wzruszył ramionami. - W tych gęstwinach żyją stworzenia stare jak świat. Niemało z nich nastaje na życie nieświadomych wędrowców.

- Czemu ich już dawno nie wytrzebiono? - narzekał grubas.

- Przed Pierwszą Wojną były plany skolonizowania terytoriów na wschód od wyżyn - wyjaśnił jednouchy. - Przodem poszły krasnoludy, by zbadać teren, szukać złota i szlachetnych kamieni, ale niemal żaden z nich nie wrócił. Potem zbuntował się Margok i elfy miały inne smartwienia niż nowe kolonie. Dopiero później kraj na wschodzie zasiedlili ludzie.

- Powiedz - odezwał się z rufy tratwy Balbok - jak to właściwie jest, że wiesz tak dużo o strzępobrodych, wąskookich i mlecznogębnych? Obojętne, o co cię zapytać, zawsze masz gotową odpowiedź...

Nie zdołał dokończyć pytania, gdyż nagle tratwa o coś uderzyła i chudzielec tylko dzięki temu, że podparł się długim drągiem, nie wyleciał za burtę.

- Co, na trzewia Torga...?

Ankluas tym razem nie musiał niczego wyjaśniać - tuż przed nimi pojawił się szeroki, pokryty kolczastym pancerzem grzbiet prawie tak długi jak tratwa. Długa na dwadzieścia *knum'hai* jaszczurka, poruszająca się w wodzie dzięki mocnymi uderzeniom ogona, najwyraźniej uznała podróżnych za łatwy łup...

W następnej chwili z wody wynurzył się łeb bestii. Długi, spiczasty pysk ukazał rzędy straszliwych zębów. Woda trysnęła wysoko, opryskując orków.

- Uwaga! - krzyknął Ankluas.

Niepotrzebnie, Rammar i Balbok sami się zorientowali, że muszą bardzo, ale to bardzo uważać.

Pysk ogromnej jaszczurki kłapnęła przy burcie. Głośno chrupnęło, gdy zęby wbiły się w drewno. Tratwa zaczęła się rozpadać.

- Precz, zgiń, przepadnij, przeklęty gadzie! – rozzłościł się grubas i sięgnął po *saparak*. Czyniąc to, zaburzył jednak równowagę i tak rozkołysanej tratwy!

W miejscu, gdzie jaszczurka wgryzła się w drewno i ciągnęła je w dół całym ciężarem swego masywnego ciała, tratwa poszła pod wodę, a tym samym przeciwna strona uniosła się do góry. Balbok krzyknął przestraszony, tym razem drąg niewiele mu pomógł. Ork z głośnym wrzaskiem wpadł do wody.

Rammar i Ankluas nie mieli czasu troszczyć się o niego, byli zbyt zajęci własnymi kłopotami. Podczas gdy jednouchemu udało się przytrzymać pni, grubas stracił podparcie i zaczął zjeżdżać po śliskim drewnie prosto w stronę jaszczura.

Bestia popatrzyła na niego lodowato i z sykiem rozdziawiła gębę jeszcze szerzej, żeby stosownie przyjąć Rammara.

Jaszczur kłapał zębami tuż przy jego nogach i tylko dzięki temu, że grubas tak gwałtownie nimi wymachiwał, jego stopy uszły zabójczym szczękom.

- Znikaj! - krzyknął ork w rozpacz. Użył przy tym mowy ludzi; czyżby miał nadzieję, że jaszczur zjadł ich wystarczająco wiele, by rozumieć ich język? - Spadaj łaskawie, słyszysz?

Potwór się tym nie przejął, ale wtedy Rammar przypomniał sobie o trzymanym w dłoni *saparaku* i dźgnął nim bestię. To zrobiło na niej większe wrażenie. Jaszczur na moment odstąpił od swego łupu, co grubas wykorzystał, przetaczając się dalej... i ze zduszonym krzykiem chlupnął do wody.

Na tratwie został już tylko Ankluas z całej siły trzymający się pnia.

Stwór zaatakował ponownie. Wyskoczył z wody i wylądował przednią częścią walcowatego tułowia na tratwie, która aż zadygotała. I tym razem jednouchy jakoś uniknął upadku do wody. Jaszczur łąpczywie kłapał zębami, ork błyskawicznie się uchylił i dobył miecza. Kłując ja oślep, zdołał nawet zranić jaszczura, czym go jeszcze bardziej rozjuszył.

Gad ryknął wściekle i wałąc podłużnym łbem, do końca rozbił tratwę. Zarówno Ankluas, jak i szalejący ze złości jaszczur, znaleźli się nagle w rzece wśród dryfujących pni.

Balbok i Rammar byli całkiem blisko. Gruby ork kurczowo trzymał się kilku luźnych brzozowych pni, gdyż jak większość swej rasy nie umiał pływać. Za to jego chudy brat mocnymi pociągnięciami długich ramion sunął wśród fal, mimo że prąd wyraźnie przybrał na sile. Atak jaszczura odwrócił uwagę orków i nawet nie zauważyli, kiedy wcześniej tak łagodna rzeka zmieniła się w rwący nurt. Z daleka słychać było grzmiący szum.

Nim jednak orkowie zdołali wyciągnąć właściwe wnioski, potwór znów zaatakował. Na chwilę zniknął pod wodą, by potem wynurzyć się raptownie i gniewnie rozdziawić pysk na Rammara.

- Tylko mnie nie tykaj, *uchl-bhuurz!* - Rammar mocno objął pień i próbował odpędzić jaszczura, z całych sił machając nogami. Ponieważ z uwagi na obfitość ciała był najcenniejszym łupem, zwierzę upatrzyło go sobie i straciło zainteresowanie pozostałymi.

Zabójcze szczęki gada dosięgły grubasa i prawie odgryzły mu nogę.

Balbok, widząc, w jakim niebezpieczeństwie znalazł się jego brat, wpadł w *saobh* - nie tylko dlatego, że chciał ratować Rammara, ale też jako byłego mistrza areny podniecała go myśl o zmasakrowaniu ogromnego jaszczura. Walczył już z ludźmi, trollami, gnomami i elfami, ale jeszcze nigdy z pancernym gadem... Podpłynął więc do niego mimo rwącego nurtu i ignorując coraz bliższe grzmoty. Kątem oka widział, jak Ankluas dryfuje obok i porusza ustami, coś wołając, ale Balbok go nie rozumiał.

Nabrał powietrza i zanurkował. Nagle ogarnęła go cisza. Widział krótkie nogi Rammara panicznie kopiące wodę i dojrzał jaszczura jako ciemny, groźny cień tuż obok brata. Balbok wypuścił pęcherzyki powietrza między wyszczerzonymi zębami i gdy ogon jaszczura znalazł się obok niego, złapał go z całej siły.

Bestia wprost oszalała, tak mocno zaczęła miotać ogonem, ale ork trzymał go nieustępliwie. Przypominało to jazdę na rozwścieczonym wargu.

W końcu Balbokowi zabrakło powietrza, zamiast jednak puścić jaszczura, podciągnął się po jego grubym cielsku i w ten sposób zdołał wystawić głowę z wody. Pośpiesznie zerknął na Rammara, który wrzeszczał coś brzmiącego jak *usganash*, ale chudzielec nie miał czasu na rozmowy.

Wisiał na gadzie, trzymał się kolczastego grzbietu, obejmując rękami i nogami tułów jaszczura. Chcąc go zrzucić, bestia ponownie zanurkowała i wkręciła się świdrem w wodę.

O toporze zatkniętym za szeroki pas ork ani myślał. Ciężka broń byłaby w wodzie całkowicie nieprzydatna, musiały mu wystarczyć gołe ręce. Ogon zwierzaka nieustannie walił dookoła, pysk otwierał się i zamykał, zaś Balbok coraz ciaśniej zaciskał ramiona wokół szyi gada.

Wyglądało na to, że jaszczur poznał zamiary swego niezwykłego przeciwnika, i zaczął obracać się jeszcze szybciej. Balbok, który chcąc nie chcąc, musiał obracać się wraz z nim, czuł wzbierające mdłości. Przed jego oczami tańczyły już ciemne plamy, ale nie puszczał, cisnął coraz mocniej i mocniej, i rzeczywiście, potwór powoli tracił siły.

Znów się wzniosł i wynurzył, co chudzielec wykorzystał, by łapczywie nabrać powietrza. Usłyszał przy tym grzmot i huk, ale w *saobh* nie było to nic niezwykłego. Rwący prąd niósł orka i jaszczura, którego Balbok zamierzał puścić dopiero wtedy, gdy wyciśnie z niego ostatnią resztkę życia.

Ale sprawy potoczyły się inaczej.

Przybrzeżne zarośla i drzewa przemykały obok walczących i wtedy Balbokowi zaświtało, że szum nie powstaje w jego uszach. Był równie rzeczywisty jak las, rzeka i jaszczur. Lecz nim ork zdążył się zastanowić, co to może znaczyć, rzeka wypluła go wraz z potworem!

W każdym razie tak się zdawało Balbokowi, gdyż obaj wylecieli w powietrze i runęli w ziejącą otchłań pustki. W tym momencie chudzielcowi przypomniało się, co znaczy słowo, które wołał do niego brat.

Wodospad...

Rzeka raptownie kończyła się i spadała pionowo w dół. Jaszczur fiknął kozła z Balbokiem na grzbiecie i mimo bitewnego szalu przestraszony ork puścił zwierzaka. Rozdzielili się, by chwilę później wpaść do kotłującej się wody.

Chudzielec rąbnął głową o skaliste dno i na moment stracił przytomność. Uniesiony przez prąd dryfował chwilę, jednak już po kilku sekundach się ocknął. Oszołomiony zamrugnął i otworzył

oczy - ujrzał wtedy szczerzącą zęby paszczę mknącą ku niemu przez zielonobłękitną wodę.

Tylko swojemu *saobh* Balbok zawdzięczał, że bez szwanku przetrwał ten atak. Podczas gdy każda obdarzona rozsądkiem istota rzuciłaby się instynktownie do ucieczki i skończyłaby z odgryzionymi nogami, ork chwycił obie szczęki gada. Jaszczur chciał ugryźć, ale Balbok powstrzymał bestię i nie pozwolił jej zamknąć paszczy. Walczyli zawzięcie pod wodą, orkowi rozpalone płuca dokuczały nie mniej niż bestia, która znów waliła wokół siebie ogonem i próbowała oswobodzić się z jego uchwytu.

Balbok znów poczuł, że ubywa mu sił, ale rozginał szczęki jaszczura coraz szerzej. Było jasne, że tylko jeden z nich wyjdzie z tego żywy. Płuca orka zaczęły już parzyć, jakby stały w płomieniach. dzielnie zacisnął zęby i natężył się, wreszcie zdołał złamać szczęki bestii. Wtedy jeszcze mocniej odgiął luźną dolną część paszczy - i urwał!

Wodę zmąciła plama krwi i bestia wyrwała się wreszcie z uścisku Balboka. Śmiertelnie ranna, wciąż wirując, opadła na dno, zaś ork resztkami sił powiosłował w górę.

Widział nad sobą zielonkawę migotanie obiecujące powietrze i życie, ale zanurkował tak głęboko, że powierzchnia zdawała się dla niego nieosiągalna... Znów przed oczami tańczyły mu ciemne plamy, a w uszach dźwięczały słowa brata, który beształ go za głupotę. Potem siły opuściły chudzielca i przestał się ruszać. Opadłby na dno jak jaszczur, gdyby nagle nie chwyciła go i nie porwała w górę czyjaś łapa!

Mgnienie oka później głowa Balboka przebiła powierzchnię i łapczywie dysząc, wciągnął powietrze w umęczone płuca. Dopiero gdy na czworakach wdrapał się na brzeg, zauważył, że tym, kto go uratował, był nie kto inny jak Ankluas.

Balbok padł na ziemię i wypluwał połkniętą wodę. Jego *saobh* tymczasem ustąpił i powoli wracał do siebie, choć wciąż słyszał

ten dziwny hałas, te osobliwe gwizdy i szelesty... Potrzebował chwili, by zrozumieć, że to nie jego płuca wydają takie dźwięki. Przetoczył się i zobaczył leżącego obok Rammara - jęczącą i parskającą górę mięsa.

- Już drugi raz was uratowałem - stwierdził Ankluas prze-moczony jak oni, ale w nieporównywalnie lepszej kondycji. - Nie zapomnijcie o tym, dobrze?

- *Korr* - odpowiedział chudzielec i podparł się na łokciu. Zobaczył, że leżą na brzegu małego jeziora, do którego wlewają się masy wody. Gdy spostrzegł, że ze dwudziestu Balboków musiało-by stanąć sobie na ramionach, by dosięgnąć krawędzi wodospadu, zrobiło mu się niedobrze. Całe szczęście, że wcześniej tego nie zauważył.

Zauważył za to minę Rammara. Brat wciąż oddychał z trudem, poświstując, ale bardziej niż wyczerpany był zły.

- Wszystko w porządku? - spytał go szybko Balbok.

- *Korr* - wydusił grubas, wciąż chrypiąc i parskając - choć nie tobie to zawdzięczam. Ankluas wyciągnął mnie z wody, kiedy ty zabawiałeś się z tą przekłętą kreaturą. To mógł być mój koniec, wiesz?

Chudzielec kiwnął głową.

- Przy okazji powiedz mi, skąd ty właściwie umiesz pływać? Kiedy poprzednio wpadliśmy do wody, utonąłbyś tak samo żałośnie jak ja.

- Ćwiczyłem w domu - odparł Balbok nie bez dumy.

- Ćwiczyłeś?! Gdzie?

- W Stęchłym Morzu.

- Wskoczyłeś do Stęchłego Morza i w tajemnicy przede mną nauczyłeś się pływać?

- *Korr*.

- Czy ty się Kurula nie boisz?! - Rammar zniesmaczony kręcił głową. Ork, który z własnej woli wchodzi do wody, przynosi hańbę sobie i rodzinie.

Chciał już rozpocząć gniewną tyradę i zbesztać Balboka, gdy wszedł mu w słowo Ankluas:

- Mamy teraz inne zmartwienia. Wkrótce zapadnie noc. Jeśli nie znajdziemy dla siebie kryjówki, jutro pewnie nie będziemy już żyli.

Jakby na potwierdzenie tych słów puszcza wstrząsnął rozdzielający do szpiku kości ryk, a po nim seria przerażonych krzyków.

Ustalili, że spędzą noc w koronie porośniętego mchem i porostami drzewa-olbrzyma, których tak wiele rosło w Szmaragdowych Lasach.

Balbok wyszukał drzewo, na które łatwo było się wspiąć, ale Rammar i tak narzekał, że wybrał mu na złość najbardziej stromy pień w całym lesie. Towarzysze musieli podepchnąć grubasa, by wywindować do góry jego wielką *asar*. Olbrzymia gałąź oferowała dość miejsca i Rammar położył się, ciężko dysząc, choć nadal był wzburzony wydarzeniami dnia. O włos by utonął, został pożarty przez pancernego jaszczura i roztrzaskał się na śmierć, a to nawet jak na orka trochę za wiele.

Gdyby nie złożył ślubu, że odpłaci Ortmarowi z Rumowiska pięknym za nadobne i wystawi mu rachunek za zdradę, pewnie zapomniałby o całej sprawie i wrócił do Stęchłej Marchii. Ale przecież - do kroćset! - do *bolbougu* też nie mogą wrócić, haniebnie ich tam zdradzono!

Nie mieli odwrotu. Musieli iść dalej. Najpierw wywrą srogą zemstę na krasnoludzie, potem zatroszczą się o władcę Kal Anar i wezmą w posiadanie skarb. Gorzej niż teraz na szczęście już być nie może, co do tego Rammar był przekonany.

Mylnie, jak się miało okazać.

Gruby ork zdecydował, że jego brat pierwszy obejmie straż. Sam był zbyt zmęczony, nie czuł nawet głodu, a walcząc o życie w rzece, nałykał się tyle wody, że o picciu też nie było mowy. Zasnął

z myślą o skarbie czekającym na niego w Kal Anar - brył złota tak wielkich, że ledwie mógł je unieść, usypanych w prawdziwe góry, wśród nich przelewały się wodospady szmaragdów, a w wielkich jeziorach drogocennych kamieni igrały złote rybki. Rammar uszczęśliwiony kroczył wśród błyszczącego przepychu i nie mógł uwierzyć, że to wszystko należy do niego. Wtedy dobiegł go okropny dźwięk!

Było to ciche, groźne syczenie, a po nim straszliwy krzyk, który nawet przez sen przeniknął go do szpiku kości. Prerażony Rammar zerwał się i zobaczył, że ze szmaragdowego jeziora wypelzają węże. Nie były nawet duże, ale kierowały się wprost na niego całą chmarą. Wszystko wokół wiło się i pełzało, i było tego coraz więcej.

Poszukał dłonią *saparaka*, lecz tylko po to, by sobie przypomnieć, że stracił go w rwącej rzece. Węże pełzły ku niemu, a on całkiem bezbronny czuł, jak znów ogarnia go ten strach, który czuł w obliczu bazyliuszka.

Niezdolny rzucić się do ucieczki ani w ogóle się poruszyć, Rammar po prostu stał. Nie mógł nic zrobić, a węże sunęły po nim w górę. Spiralnymi ruchami wiły się wokół jego nóg, wślizgiwały pod ubranie.

Potem wreszcie wróciła mu zdolność ruchu i jak oszalały zaczął bić sam siebie, by pozabijać gady, ale już w następnej chwili poczuł, że coś sunie mu po plecach, owija szyję i bezlitośnie zaciąga supeł. Łapiąc powietrze, Rammar chwycił węża i stwierdził, że zwierzę nie jest miękkie, jak się spodziewał, ale twarde niczym kamień.

Więcej, ono nawet zdawało się nie być żywe!

- Rammar! Rammar!...

Usłyszał Balboka wołającego jego imię i uświadomił sobie, że przecież to tylko sen. Z nieopisaną ulgą otworzył oczy, chciał głęboko odetchnąć...

Ale nie mógł!

Nadal coś wilo się wokół jego szyi i zaciskało krtań - a to coś z pewnością nie było snem. Rammar przerażony spojrzął po sobie i zobaczył, że obrastają go liany opasujące całe ciało z zatrważającą wewnętrzną siłą. O węzłach może i tylko śnił, pnącza jednak były absolutnie prawdziwe!

Daremnie walcząc o oddech, grubas rozejrzał się. Był środek nocy, ale w skąpym świetle księżyca przenikającym przez gęsty dach liści zdołał dojrzeć Balboka i Ankluasa w nie mniejszych tarapatkach niż on. Brata prawie nie było widać spod krępujących go łodyg, Ankluas huśtał się głową w dół pod koroną drzewa - jedna liana ciągnęła go za prawą nogę, a inne już wysuwały się chciwie ku orkowi. Jednouchy dobył miecza i ciął nim zabójcze pnącze, ale w miejsce jednego obciętego pędu z miejsca wyrastał następny...

Rammar chciał zakląć siarczyście, lecz ze ściśniętego gardła wydobyło się tylko głuche stęknienie. Więcej niż wyraźnie czuł bicie własnego serca i słyszał szmer krwi w żyłach, wzrok już mu mętniał. Liany cisnęły coraz mocniej, jakby chciały go rozgnieść.

Czy to już koniec?

Jeśli tak, Rammar mógł mieć tylko nadzieję, że Ortmara z Rumowiska spotkał podobny los. Może, pocieszał się ork, pnącza udusiły go jeszcze okrutniej, a jego śmiertelne szczątki gniją gdzieś w zaroślach.

Posłał Balbokowi ostatnie spojrzenie, chciał jeszcze do niego zawołać, że cała ta bieda to jego wina, ale nie starczyło mu powietrza. Szeroka pierś grubasa wprawdzie unosiła się i opadała gwałtownymi szarpnięciami, ale nie mógł oddychać. Daremnie szarpał się w łykowatych pętach.

Zamknął oczy i miał uczucie, że leci w dół. Był pewien, że to, w co wpada, to mroczna otchłań Kurula.

3. TULL UR'BUNAIS

To, że nie wpadł w mroczną otchłań Kurula, gruby ork poznał, gdy oprzytomniał. Nigdy wszak nie słyszał, żeby po upadku do jamy Kurula miało się siniaki.

Rammara, choć dysponował dobrą wyściółką, bolały wszystkie członki, a jego tłuste cielsko usiane było niezliczonymi otarciami. Zdziwienie, że nadal żyje, ustąpiło miejsca żalowi nad samym sobą, że tak źle mu się wiedzie. Lewy bok cały był jednym bólem, a kiedy Rammar choćby odrobinę unosił głowę, dudniło mu w niej jak w kuźni.

Ku swemu zaskoczeniu znajdował się w czymś w rodzaju chaty, której ściany uplecione były z lian, a dach zrobiono z wielkich liści, przez które przenikało zabarwione na zielono światło słońca. Było gorąco i duszno, powietrze wypełniało bzyczenie komarów. Rammar leżał na ziemi, na pół martwy i - co irytowało go jeszcze bardziej - ze związanymi rękami i nogami. Z bólem zdołał odwrócić głowę i zobaczył, że nie jest w tym osobliwym siedlisku sam.

Obok niego leżał Ankluas, spętany jak on i również z poranioną twarzą, za nim przykucnęli Gurn i Nestor, też związani i z dość głupimi minami, co u ludzi raczej nie dziwi, i...

Chwileczkę!

Gurn?

Nestor?!

Gdzieś w zmaltretowanym mózgu Rammara odezwał się głos, który mówił, że tych dwóch nie powinno tu być. Ten sam głos wyrwał grubasa z letargu i całkowicie otrzeźwił. Nabierając głęboko powietrza, podniósł głowę, nie zważając na walenie młotem, które natychmiast rozdundniło mu się pod czaszką.

- C...co się stało? - spytał mało wyrefinowanie, na co Gurn i Nestor popatrzyli na niego zbici z tropu. Uświadomił sobie, że mówi po orczemu, i powtórzył pytanie w języku ludzi.

- Wpadliśmy w pułapkę, to się stało - wyjaśnił, wzruszając ramionami, człowiek. - Gnom nie żyje, a nas uwięziono tak samo jak was. A więc uciekliście łowcom głów?

- Łowcom głów? Jakim łowcom głów?!

- No tym, co na nas napadli, kiedy wyszliśmy z tunelu - odpowiedział Nestor. - Ci, co was złapali. My mieliśmy szczęście, udało nam się uciec i chcieliśmy was uwolnić, ale Ortmar z Rumowiska zabronił.

- Z Rumowiska... - powtórzył jak echo ork, parszając. - Gdzie on jest? Gdzie ten tchórzliwy strzępobrody?

- Patrzcie tylko, tłuścioch! - Za plecami Rammara rozległ się aż nazbyt dobrze mu znany głos. - Kto by pomyślał, że zatęsknisz za moim widokiem!

Rammar odwrócił się i aż zmrużył oczy z bólu, tak mu łupało we łbie. Zobaczył znieawidzonego wroga przykucniętego w najdalszym kącie chaty i ku swej radości, spętanego jak on sam. W tym momencie Rammarowi było dość obojętne, czy łeb go boli, czy nie i czy znajduje się w niewoli.

Poczucie tryumfu, że już prawie ma zdrajcę w swych łapach, przerosło wszystko inne.

- *Achgosh douk*, krasnoludzie - warknął ork. - Więc znów się spotykamy.

- Możesz darować sobie głupie miny, maszkaro - odpowiedział bezczelnie Ortmar. - W tym miejscu wiedzie ci się równie kiepsko jak i mnie.

- Poczekamy - rzekł Rammar, wyobrażając już sobie, jak będzie ćwiartował krasnoluda kawałek po kawałku, gdy dostanie go w swoje łapy. Może, myślał w duchu, zatrzymam sobie brodę. Tak na pamiątkę...

Ankluas, który również oprzytomniał, spytał, rozglądając się nieufnie:

- Gdzie jesteśmy?

- Ujmijmy to tak - zaczął Ortmar z pozbawionym radości uśmiechem - jeśli w Łądzie jest jakieś jasne, przytulne miejsce, w którym nikomu nie grozi niebezpieczeństwo, to jesteśmy w punkcie najbardziej od niego oddalonym.

Na zewnątrz chaty dało się słyszeć głucho walenie w bęben, które Rammarowi przypomniało gnomy ze Stęchłej Marchii i nie zapowiadało nic dobrego.

- Jak to? - spytał zatroskanym głosem. - W czyjej władzy się znajdujemy? Kto się waży wiązać Rammara Gniewnego?

Krasnolud prychnął pogardliwie.

- Dowiesz się wkrótce, maszkaro - obiecał. - Zdradz mi lepiej, jak tu dotarliście. Prawdę mówiąc, miałem nadzieję już nigdy nie oglądać waszych pysków.

Rammar, parskając, skinął głową.

- Spodziewam się. Po wszystkim, co zrobiłeś, żeby się nas pozbyć... Ale popełniłeś istotny błąd, krasnoludzie. Ork nie wybacza zdrady. Nigdy!

- Zdrady? - Nestor wymienił z Gurnem zagubione spojżenia. - Co to ma znaczyć?

- To znaczy, że ten śmierzdel sprzedał mojego brata i mnie do cyrku w Sundaril - wyjaśnił grubas. - Chciał się nas pozbyć, żeby samemu przejąć dowodzenie drużyną.

- Co mi się udało - wyszczerzył zęby Ortmar. - Kiedy wy zabawialiście się w Sundaril, ja wprowadziłem drużynę do kraju wroga, wprowadzicie bezdrożami, ale bezpiecznie.

- Gadać bzdura! - wrzasnął do tej pory milczący Gurn. - Ty nieostrożny krasnolud! Ty mieć krasnoludek rozumek! My wszystkie paść w zasadzka!

- To niestety prawda - potwierdził przybity Nestor. - Zaczaili się na nas w lesie i zasypali strzałami, których groty nasączone były środkiem usypiającym. Ja dostałem tylko w ramię, a Gurn chyba ze sto strzał. Obudziliśmy się dopiero w tej chacie.

- Wy co? - zapytał barbarzyńca. - Wy też zaskoczeni?

- W żadnym wypadku - odpowiedział szybko Rammar. - Wdzieliśmy zbliżające się niebezpieczeństwo i wróg drogo zapłacił krwią. Prawda, Ankluasie?

- *Douk* - pokręcił głową tamten. - Mięsożerne rośliny prawie połknęły nas z kośćmi i skórą. W czyjejkolwiek niewoli jesteśmy, zapewne uratował nam on życie.

- Ha! - krzyknął Ortmar z Rumowiska i uśmiechnął się szyderczo. - To nie brzmi nic a nic bohatersko, orku!

- I co z tego?! - wybuchnął w odpowiedzi grubas. - W każdym razie twój plan się nie powiódł, ty obrzydliwy rzezimieszku! Balbok i ja jesteśmy wolni i nawet dostaliśmy wsparcie...

- Widzę - mruknął krasnolud i zmierzył Ankluasę taksującym spojrzeniem - ale wolny nie jesteś, orku. A co się tyczy twojego głupkowatego brata, na twoim miejscu nie robiłbym sobie już zbyt wielu nadziei.

- Jak to? Co masz na myśli? - Rammar rozejrzał się po chacie i stwierdził, że faktycznie Balboka nigdzie nie widać. - Gdzie jest?

Mówcie szybko! Mam wam wyrywać z gardła słowo po słowie?!

- Balboka zabrali - poinformował Nestor. - Dziś rano.

- Kto? - Tłuscioch niemalże podskoczył. - Kto go zabrał? W czyjej niewoli jesteśmy? Mów, do kroćset, albo ja cię nauczę, jak...

Ork przerwał, gdyż przed chatą dały się słyszeć czyjeś kroki. W następnej chwili grubo ciosane drzwi odryglowano i do środka weszło kilka postaci. Ich wygląd odebrał Rammarowi mowę.

To były *boub'hai* - ludzkie kobiety, wszystkie w opaskach biodrowych i w zamszowych butach za kolana. Wokół szyj i na ramionach miały złote obroże, a na zwisających długimi strąkami włosach ozdoby z barwnych ptasich piór. Poza tym były nagie i bez skrepowania pokazywały więźniom nieosłonięte piersi.

To był pierwszy raz, kiedy Rammar widział biusty ludzkie. Spontanicznie uznał, że nie da się ich porównać z piersiami orczy. To, co orcze niewiasty nosiły przed sobą, było czasem tak obfite, że nierzadko jak się taką brało, niejeden ork boleśnie dostał cyckiem po łbie, a od czasu do czasu nawet któryś zginął...

Cóż, piękne nie były, jednak gdy grubas zobaczył, że są więźniami nieszkodliwych kobiet, przez jego twarz przemknął uśmiech wyższości... który zniknął już chwilę później.

- Ty tam! - krzyknęła postawna wojowniczką, pewnie przywódczyni. Jej oczy zaiskrzyły gniewnie. - Co się tak gapisz? Nigdy wcześniej nie widziałeś amazonek?

- Hm... nie - przyznał Rammar trochę onieśmielony. Nawykły do rozkazywania głos kobiety ostrzegł go, że nie ma co z nią żartować.

- Szmaragdowe Jezioro jest święte - kontynuowała. - To tu nasza pramatka Amaz połączyła się kiedyś z Bunaisem, żeby zapoczątkować ród, z którym nie równa się żaden w Łądzie. Zbezczeszciliście świętą wodę, a za taką zbrodnię nasze prawo zna tylko jedną karę. Śmierć!

- A...ach tak? - Zamrugał Rammar. - Ale my nie wiedzieliśmy...

- Niewiedza nie chroni przed karą - postawiła sprawę jasno przywódczyni wojowniczek. - Tylko ten, kto jest czystego serca i kobiecej płci, może kąpać się w Szmaragdowym Jeziorze. Czy spełniasz choć jeden z tych warunków?

- Raczej nie - musiał przyznać ork, co Ortmar z Rumowiska skwitował gdaczącym śmiechem.

- I co teraz, tłuściochu?! - krzyknął z kąta. - Wygląda na to, że z twojej zemsty nici, co?

Wojowniczkini nie zaszczyliły krasnoluda ani żadnego innego więźnia nawet jednym spojrzeniem, chwyciły tylko Rammara, rozcięły mu więzy i wyгнаły orka z chaty, dźgając dzidami. Dienne światło oślepiło go, gdy wytoczył się na zewnątrz. Mrugając załzawionymi oczami, rozejrzał się i pierwszy raz zobaczył, gdzie właściwie jest.

Patrzył w dół na rozległą polaną otoczoną porośniętymi mchem drzewami. Wokół stały liczne kryte liśćmi chaty - wszystkie zbudowane na drewnianych platformach wysokich na sześciu Rammarów lub czterech Balboków, czyli pięciu zwykłych orków. Na jednej z takich platform stał teraz grubas i patrzył na drabiny prowadzące w dół oraz wiszące mosty. To przypominało mu trochę rodzinne *bolboug*, ale miał poważniejsze zmartwienia niż nostalgia.

- Skacz! - zażądała przywódczyni amazonek.

- Co? - Rammar udawał nierozgarniętego.

- Masz skoczyć! - nalegała. - Wiele trudu kosztowało nas wciągnięcie ciebie do góry, nie będziemy cię jeszcze spuszczać.

Ork ostrożnie podszedł do krawędzi platformy, na której stała chata więźniów, i zaryzykował spojrzenie w dół. Zdecydował, że woli już zginąć od dzidy.

- Nie - sprzeciwił się. - Nie skocz... - Nie dokończył, gdyż mocne pchnięcie w plecy przerzuciło go przez krawędź platformy.

Daremnie próbując się czegoś przytrzymać, z wrzaskiem fiknął w dół, przekreślił się w powietrzu i mgnieniu oka spadł na ziemię.

Łądowanie nie było aż tak twarde, jak się obawiał, bo jak to w lesie ziemię wyścielała warstwa liści - tu gruba po kolana. Mimo to Rammar pomstował na grubiańskie traktowanie, podczas gdy wojowniczkki zwinnie zsunęły się po drabinkach linowych i lianach. Otoczyły orka, nim zdążył choćby pomyśleć o ucieczce.

- Naprzód! - rozkazano mu bezlitośnie.
- D...dokąd?
- Zobaczysz. Wstawaj, ale już!

Widząc wokół ostrza dzid, Rammar wykonał polecenie, nie byłby jednak sobą, gdyby przy tym trochę nie postękał. To, że przy upadku nie połamał sobie wszystkich kości, graniczyło w jego oczach z cudem i pierwszy raz w życiu przyłapał się na tym, że odczuwał współczucie wobec ludzi - mianowicie wobec mężów tych bezlitosnych kobiet.

Pogoniły go przez wioskę na oczach gapiów gromadzących się zarówno na ziemi, jak i u góry na platformach – jak okiem sięgnąć stały kobiety, wojowniczkki z obnażonym biustem, splątanymi strąkami włosów i błyszczącymi groźnie oczami. Niektóre posiadały osobliwych wierzchowców - wielkich, szaro upierzonych ptaków z długimi giętkimi szyjami, kołyszących się na suchych nogach. Aż w końcu Rammarowi zaświtało, na czym polega tajemnica tego dziwnego osiedla pośród gęstej dżungli.

Tu wcale nie ma mężczyzn! Najwyraźniej amazonki były plemieniem wojowniczek i tylko wojowniczek - jak udawało im się rozmnażać (czy w ogóle przetrwać bez męskiej pomocy) pozostawało dla grubego orka zagadką.

Nie wiadomo, skąd nadleciała pacyna błota, która trafiła Rammara prosto w twarz. W następnej chwili ze wszystkich stron zadudniły pociski, wśród nich sporej wielkości surowe jaja i przejrzałe owoce, towarzyszyły temu głośne, obelżywe krzyki. Z początku ork kwitował każdy celny rzut gniewnym przekleństwem, ale gdy zakrztusił się zgniłym owocem, który wpadł mu do pyska, wolał dać spokój. Wciągając głowę w ramiona, miał tylko nadzieję, że ta ścieżka zdrowia wkrótce się skończy, musiał jednak cierpieć szyderstwa, póki jego eskorta nie przegnała go przez całą tę przeklętą wioskę.

Rammara wyprowadzono z polany do zagajnika ogromnych paproci. Krzyki i piski amazonek zostały w tyle, zamiast nich słyszał teraz szum wodospadu, co musiało oznaczać, że wioska leży nieopodal jeziora. Gaj kończył się skalną ścianą porośniętą mchem i porostami. Przed wejściem do jaskini wartę trzymało kilka wojowniczek.

- Właź! - rozkazała orkowi przywódczyni. - Dalej!

Grubas, który dawno poniechał wszelkiego oporu, posłuchał i wszedł w rozjaśniany pochodniami półmrok. Czując wilgoć i powiew chłodnego powietrza, zastanawiał się, co zamierzają z nim zrobić wojowniczki. Czy naprawdę chcą go zabić? Ale po co w takim razie przywlokły go do tej jaskini?

Ściany tunelu wiodącego w głąb góry pokryte były rysunkami - ilustracjami historii amazonek, jak sądził Rammar. Widział również osobliwie splątane znaki, które nic mu nie mówiły. Kultura orków nie znała pisma. Umiejętność czytania i pisania uchodziła wśród nich za objaw zniewieściałości. Grubas uznał, że to, co widzi, potwierdza ten pogląd.

Korytarz, na którego ścianach w równomiernych odstępach umieszczono pochodnie, po kilku zakrętach doprowadził ich do obszernej jaskini, również oświetlonej pochodniami. Rammar zrozumiał, że znalazł się w czymś w rodzaju sanktuarium albo świątyni, gdyż frontową ścianę zajmował wielki kamienny posąg. Nie, dwa posągi, poznał Rammar po uważniejszym spojrzeniu. Choć były dość grubo ciosane i ząb czasu najwyraźniej gryzł je już od stuleci, dało się wyraźnie rozpoznać, że jeden z nich przedstawia mężczyznę, a drugi kobietę zajętych czynnością, o której Balbok przed rokiem jeszcze nic nie wiedział. Rammar musiał go w końcu uświadomić, skąd się biorą małe orki, nie był jednak pewny, czy został dobrze zrozumiany.

Na widok posągów grubas nie mógł powstrzymać błazeńskiego chichotu.

- Ja nie mogę! - krzyknął głośno, aż odbiło się echem od sklepienia jaskini. - A ja zawsze myślałem, że tylko orki się tak dziarsko zabawiają!

- Zamknij swój wrzaskliwy pysk! - poleciła mu przywódczyni amazonek. - Nie wiesz, co mówisz. Posągi przedstawiają połączenie Amaz i Bunaisa i godzinę powstania naszego ludu.

- Aha - odpowiedział tylko Rammar, choć nie rozumiał ani słowa.

Za dwoma pogrążonymi w dzikiej namiętności posągami znajdował się otwór, przez który można było wejść do następnej jaskini. Tam zaprowadzono Rammara.

Przyległa komnata była podłużnym pomieszczeniem przedzielonym kotarą ze świeżych liści paproci. Za nią na czymś w rodzaju tronu zasiadała ogromna postać z wielkim wieńcem na głowie. Strażniczki kopnęły orka brutalnie w kolana, tak że ugięły się pod nim nogi i wylądował na pysku.

- Klęknij przed wielkim Bunaisem, nędzny robaku! - syknęła przywódczyni amazonek, potem ukloniła się poddańczo. Tak samo

postąpiły jej towarzyszki. - Oto więzień, którego chciałeś widzieć, wielki Bunaisie. Czy mamy poddać go sprawiedliwej karze?

Rammar uniósł się lekko na łapach i zaryzykował ostrożne zerknięcie. Zobaczył, że straszliwa postać w więncu powoli skinęła głową.

- To pomyłka! - pośpiesznie zapewnił. - Wcale nie chcieliśmy się kąpać w jeziorze i wyjątkowo tym razem nie chcieliśmy niczego bezcześcić! Jesteśmy w tajnej misji i zdążamy pilnie do Kal Asar...

- Anar - poprawił ktoś.

- Wszystko jedno. Nie chcieliśmy wchodzić na wasz teren ani, wbrew pozorom, niczego bezcześcić, hańbić ani rabować. Jesteśmy tylko nieszkodliwymi orkami przejazdem w tych stroinach... - Świńskie oczka grubasa strzelały wokół, szukając pomocy, gdy nagle we wnęce dojrzał topór Balboka!

Więc Ortmar miał rację. Jego brata już zabiły. Teraz kolej na nieszczęsnego Rammara...

- Nie! - krzyknął z całej siły. - Darujcie mi życie! Przysięgam, że nie zrobiłem nic złego!

Ale amazonki nie znały łaski. Poczul na karku ostrza ich dzid.

- Czekamy na rozkaz, wielki Bunaisie! - zawołała przywódczyni. - Starczy jeden twój znak, a zgładzimy go ku chwale twojej i chwale Amaz, twej ukochanej i naszej pramatki, której wszystkie zawdzięczamy istnienie.

Ork poczul, że ostrza zadrasnęły mu skórę i ciepła krew miesza się z zalewającym go potem. Przekonany, że teraz naprawdę wybiła jego ostatnia godzina, zamknął oczy i czekał, aż nastąpi przedwczesny koniec jego równie bohaterckiego, co chwalebego życia...

Minęła wlokąca się w nieskończoność chwila, potem Rammar znów zaryzykował zerknięcie.

Najwyraźniej Bunais - czy jak się tam ten typ nazywał - nie wydał wyroku śmierci. Zamiast tego podniósł się z tronu i wyprostował, przez co jego cień na zasłonie z liści był jeszcze bardziej imponujący i zatrważający.

- Odejdźcie! - rozkazał głosem, który zabrzmiał głucho i straszliwie. - Zostawcie mnie z więźniem samego!

- Jak rozkażesz, wielki Bunaisie - odpowiedziała pokornie przywódczyni amazonek i ponownie się ukloniła. Natychmiast wraz z wojowniczkami opuściła salę.

Choć jego karku nie dotykały już dzidy, Rammar nie ważył się podnieść. Drżąc, leżał na podłodze i zastanawiał się, czego chce od niego olbrzym z wiankiem. Może okrutnemu Bunaisowi byłoby mało kazać go zabić, chciał to zrobić osobiście, boleśnie i bardzo powoli...

- W...wielki Bunaisie - Rammar podjął więc ostatnią rozpaczliwą próbę ocalenia swego grubego łba - u...uwierz mi, mówię prawdę, o potężny! Moi towarzysze i ja nie chcieliśmy nikomu przeszkadzać ani niczego bezcześcić...

- Cóż - powiedział tylko Bunais i ork, który przerażony wbijał oczy w podłogę, odważył się na chwilę podnieść na niego wzrok. Czy olbrzym nie był przed chwilą o wiele większy?

- T...to prawda - jękał się dalej grubas. - Przysięgam, jak tu przed tobą leżę. Jestem tylko niegodnym orkiem, hołotą ze Stęchłej Marchii, pyłkiem marnym, niczym więcej... Zły los tu mnie przywiódł, musisz mi uwierzyć!

- A twój brat? - spytał Bunais.

- Co ma być z moim bratem?

- Był winny czy niewinny?

- Niewinny tak samo jak ja - zapewnił Rammar - ale skoro go już zabiłeś, mógłbyś przynajmniej mnie pozostawić przy życiu. Mojego brata szkoda, ale nie śmiem mieć żalu do wielkiego Bunaisa.

- Hm - mruknął ten. - Nie jesteś bardzo odważny...

- Odwaga jest dla głupców - rzekł Rammar nadzwyczaj szczerze, nie przejmując się, że jego prywatna filozofia w kilku istotnych punktach odbiega od światopoglądu większości orków.
- Mądry jest ten, kto przeżyje, a to właśnie zamierzam zrobić.

- Jesteś zatem gnidą.

- Tak, wielki Bunaisie, jestem żalospną gnidą - przyznał płaczliwie Rammar.

- I robakiem.

- Naturalnie, jestem najbardziej robaczywym robakiem, o potężny!

- I do tego *umbalem* - usłyszał grubas.

To ostatnie zbudziło czujność Rammara.

Skąd, do kroćset, Bunais zna mowę orków?

Rammar jeszcze raz ostrożnie zerknął w kierunku zasłony z liści i zdziwiony stwierdził, że olbrzym wprawdzie nadal wygląda na ogromnego, ale już nie tak jak poprzednio, kiedy stał dalej. Powód tego leżał jak na łapie - im bardziej Bunais oddalał się od pochodni, tym mniejszy był jego cień na kotarze.

Nagle uszu orka dobiegł też głupawy, aż nazbyt znajomy chichot.

- Co, do...? - warknął Rammar i podniósł wyżej głowę, a kotara przed nim się rozsunała.

Ku niezmiernej konsternacji grubasa stał przed nim nie kto inny jak...

Balbok!

Chudy ork ubrany był w płaszcz z kolorowych piór, pod pachą ścisnął zardzewiały hełm ozdobiony wieńcem i pokładał się ze śmiechu.

- Balbok! Ty żyjesz! - Rammar podskoczył ucieszony, ale już w następnej chwili ulga zmieniła się we wściekłość, że brat tak brzydko się z nim zabawiał.

- Ty nędzny, nikczemny... - Tłuścioch łapał powietrze, gdyż nie przychodziło mu do głowy stosowne przekleństwo ani w jego własnej mowie, ani nawet w wyjątkowo paskudnym języku ludzi. Na opisanie tego, co zrobił Balbok, nie było odpowiedniego słowa.

- Co ci przyszło do głowy, żeby mnie straszyc? Śmiertelnie się przeraziłem!

- Zauważyłem - prychnął ze śmiechu, wykrztusił Balbok. Wycelował pazur w Rammara i trząsł się z radości. - Jesteś gnidą! Tak, wielki Bunaisie - rechotał. - I robakiem! I do tego *umbalem!* Cha, cha, cha...

Rammar nic nie odpowiedział. Stał tylko z gębą lepłą od brudu, a jego nabrzmiałe rysy ciemniały coraz bardziej -trochę z gniewu, a jeszcze bardziej ze wstydu. Było dla niego jasne, że zdemaskował się przed bratem, i z całego serca pragnął zemsty. Wstyd i gniew były uczuciami, które każdego orka wpędzały natychmiast w *saobh*...

- Czekaj! - warknął grubas, a na jego czole wystąpiły nabrzmiałe żyły i zrobiło mu się czarno przed oczami. - Odpokutujesz mi za to, ty zdradliwy, podstępny, obrzydliwy bękarcie!

Z tymi ponurymi słowami Rammar ruszył ku Balbokowi, ale ledwie uczynił krok, do komnaty znów wpadły amazonki z dzidami uniesionymi do rzutu.

- Stój! - rozkazała twardym głosem przywódczyni. - Jeszcze krok, a padniesz martwy, przysięgam!

Groźba osiągnęła swój cel: *saobh* Rammara minął. Stał jak skamieniały z niezbyt błyskotliwym wyrazem twarzy.

- Ale kto...? Dlaczego...? To znaczy, skąd przyszło wam do głowy, żeby właśnie jego obwołać Bunaisem...? - zwrócił się do wojowniczek, podczas gdy Balbok wciąż krztusił się ze śmiechu. - On nie nazywa się Bunais i jest moim bratem.

- Milcz! - skarciła go przywódczyni. - Nie masz prawa obrażać małżonka Amaz!

- Słyszałeś? - Wyszczrzył zęby Balbok. - Nie masz prawa mnie obrażać!

- Ale, do kroćset - złościł się Rammar - czyście postradały oczy?! Mówię wam przecież, że to Balbok, ork. O tym waszym Bunaisie ani on, ani ja nigdy nie słyszeliśmy ani go nie wi...

Zamilkł. I pewnie każdy by to zrobił, gdyby poczuł ostrze dzidy w pysku.

- Masz giętki język! - stwierdziła przywódczyni. - Może powinniśmy ci go wyciąć, to miałybyśmy spokój.

- Tak - powiedział, zaśmiewając się, Balbok - może naprawdę powinniśmy tak zrobić.

- Świetnie! - Rammar ustąpił. - Macie rację, w porządku. To w żadnym wypadku nie jest Balbok, mój brat, jak mogło mi przyjść coś takiego do głowy?! To wielki Bunais...

- ...uosobienie piękna, szlachetności i gracji - dokończyła amazonka, ponaglając go skinieniem głowy.

- Uosobienie piękna... i szlachetności... - powtórzył z ociąganiem grubas, na co jego brat wyszczrzył zęby z uciechy.

- I gracji - przypomniała wojowniczką.

- I gracji, co widać jak na łapie - burknął markotnie Rammar.

- Zapamiętaj sobie: nie przystoi ci krytykować postaci, jaką przybrał Bunais, wracając do Łądu.

- Jakiej postaci? - zdumiał się grubas.

- Orka.

- Ale, do kroćset, ja przecież przedtem właśnie powiedziałem, że on jest orkiem, może nie?

- Mimo to jest Bunaisem, protoplastą nas wszystkich i małżonkiem Amaz.

Rammar pokręcił głową.

- Kto potrafi, niech zrozumie.

- Przed wieloma pokoleniami Amaz, pramatka naszego plemienia, dała początek rodowi wojowniczek nazwanemu od jej imienia - wyjaśniła dumnym głosem amazonka. - Do spłodzenia nowego, lepszego gatunku ludzi wybrała Bunaisa, mężczyznę, jakiego nie było nigdy wcześniej i nie będzie nigdy potem. Był zarazem bohaterem i kochankiem, wojownikiem i poetą. Był mocny, ale delikatny, dzielny, a przecież ostrożny, wymagający, a mimo to pełen poświęcenia.

- Ale był chłopem, co? - wtrącił niechętnie ork.

- W wodzie Jeziora Szmaragdowego - nie dała sobie przebrać wojowniczką - połączyli się i Amaz otrzymała dar życia, z którego narodziło się siedem córek.

- Patrzcie tylko - znowu mruknął markotnie Rammar. - Czegoż to ten zdolniacha nie dokonał!

- Na tym koniec - lakonicznie zakończyła amazonka. - Po zaślubinach w wodzie jeziora Amaz uśmierciła Bunaisa.

Grubas wytrzeszczył oczy.

- Ona... go... uśmierciła?

- Oczywiście, i taka jest od tamtej pory tradycja mego ludu. Co siedem lat opuszczamy bezpieczną leśną ostoję i mieszamy się z ludźmi, by otrzymać dar życia. Tylko ci mężczyźni, których uznamy za godnych, mają prawo począć następczynię naszego plemienia, po czym są zabijani, aby ich dar pozostał niepowtarzalny.

- Jestem pewien, że to dla nich wielka pociecha - zauważył sucho ork.

- Nie żegnają się ze światem na zawsze - pocieszyła go wojowniczką - gdyż wszyscy wrócą w nowym ciele, jak zrobił to Bunais.

Rammar skinął głową. Powoli zaczynał rozumieć, co się tu dzieje. Te rozhisteryzowane baby uważały, że ich praojciec Bunais wrócił, i to akurat w postaci Balboka. Grubas nie mógł się powstrzymać od wybuchu gromkiego śmiechu.

- Powiedz no, naprawdę w to wierzycie? Naprawdę myślicie, że w osobie mego głupkowatego brata wrócił do was Bunais?
- To reinkarnacja wielkiego dawcy - rzekła z przekonaniem amazonka. - Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości.
- Jak na to wpadłyście?
- Gdy go prowadziłyśmy, by ukarać za zbezczeszczenie jeziora, wypowiedział magiczne słowa.
- Jakie magiczne słowa?
- Te same, które Amaz przekazała nam w swoich pismach. Słowa, które Bunais wypowiedział, nim odszedł z tego świata.
- Ach tak? - Rammar nieźle się zdziwił. - A dokładnie?
- Wojowniczką przybrała uroczystą minę.
- Słowa, jakie wypowiedział Bunais, brzmiały: „Wredne babsko, odpokutujesz za to. Mój brat mnie pomści”.
- Bunais tak powiedział? - z niedowierzaniem spytał grubas.
- Zaiste, i miał rację. Rok później Amaz złożył wizytę Runais, brat jej ukochanego. Wyzwał ją na pojedynek i zabił. W swych córkach jednak żyje dalej, aż po dziś dzień.
- Gratuluję - zirytował się Rammar - ale to przecież czysty nonsens. To, co powiedział Bunais, powiedziałby każdy facet na jego miejscu, zakładając oczywiście, że miałby brata. A Balbok ma brata, mianowicie mnie!
- Chcesz przez to powiedzieć, że się mylimy?
- Całkowicie - parsknął grubas. - Poza tym może zauważyłyście, że Balbok jest orkiem, nie człowiekiem?
- Kształt wcielenia nie gra roli - pouczyła go wojowniczka. - Bunais może przybrać dowolną postać.
- Dokładnie to mam na myśli. - Rammar skrzywił się i wskazał na brata. - Wybrałybyście sobie taką postać, gdybyście miały wolny wybór?

- Raczej nie - przyznała po namyśle amazonka - ale skoro Bunais tak zdecydował... Poza tym mamy jeszcze jeden nieomylny dowód.

- A jaki?

- Nim Bunais zdjął odzienie, by uszczęśliwić Amaz, wbił swój miecz w kamień. Z tego kamienia wyciągnął go twój brat, dowodząc, że jest prawdziwym, szlachetnym Bunaisem.

Wypowiedziawszy to, cofnęła się i wskazała komnatę za kotarą, gdzie przed tronem, na którym siedział Balbok, rzeczywiście leżał skalny głaz. Sterczało z niego złamane ostrze.

- No, z kamienia to Balbok tego miecza nie wyciągnął - stwierdził ork. - Zepsuł go, co zresztą do niego podobne.

- Mimo to dokonał tego, czego nikt inny nie zdołał - upierała się wojowniczką. - Dzierżył rękojeść miecza w dłoni.

- Bajdy! - parsknął Rammar. - Każdy ork, ponieważ jest silny, złamałby ten przeklęty miecz na pół. To nie dowodzi absolutnie niczego!

Po raz pierwszy, ku radości Rammara, na twarzy amazonki zarysował się cień wątpliwości.

- Twierdzisz zatem, że Balbok nie jest powracającym Bunaisem? - spytała.

- Mogę się założyć!

- Że jest tylko zwyczajnym orkiem i niczym ponadto?

- Do tego dość ograniczonym - zapewnił Rammar, zerkając na brata, z którego twarzy zniknął uśmiech.

- Hm... - zastanowiła się wojowniczką. - Przyznaję, że dałeś mi do myślenia. Chodzi tu wszak o doniosłą decyzję...

Grubas gniewnie skinął głową.

- A jakże.

- ...rozstrzygającą o życiu i śmierci więźniów - kontynuowała amazonka. - Jeśli ten ork nie jest Bunaisem i jeśli nas zwiódł, to

wszyscy zostaniecie pozbawieni męskości i zginiecie w potwornych mękach!

Twarz Rammara znów pokrył niezdrowy rumieniec. Okropne rwanie w okolicy łądźwi ostrzegało, że nim trafi na krawędź ciemnej otchłani Kurula, będzie... orczycą.

- T...to nie takie proste, wielka wojowniczo - powiedział szybko. - Rzeczywiście, przypomniałem sobie, że Balbok już od wczesnej młodości był dość osobliwym orkiem, trzeba wam wiedzieć.

- Jak to?

- Cóż - odparł Rammar, czując, jak na czoło występują mu krople potu - zawsze był silniejszy od innych, a przy tym ostrożny, no i jest dzielny...

- Tak tradycja powiada o Bunaisie.

- To nie może być przypadek! - krzyknął Rammar z takim przekonaniem, jakie tylko zdołał z siebie wykrzesać. - Patrzcie tylko na niego: te mięśnie, ten wzrost, to szlachetne oblicze... Czyż nie wygląda jak urodzony bohater?

- No cóż, Amaz opisuje Bunaisa jako wielkie dziecko...

- Proroctwo się nie myli! - zawołał grubas natchnionym tonem. - To na pewno Balbok! On jest uosobieniem nieświadomości! Jeszcze nie tak dawno nawet nie wiedział, skąd się biorą małe orki.

- Naprawdę? - Amazonka spojrzała na Balboka, a ten zarumienił się słodko. - Amaz opisuje, że i Bunais wtedy nie wiedział, tak szczęśliwe i niewinne były wówczas czasy.

- Nie do wiary! - Rammar śmiał się w duchu. - To jest dowód, którego szukaliśmy.

- W istocie. A więc nasze przeczucie nas nie zwiodło: Balbok Ork jest reinkarnacją Bunaisa Dawcy. Po długiej podróży wraca do swych córek. Musimy to uczcić!

- A co z więźniami? - zapytał Balbok, wskazując na brata.

- Według naszego prawa stracili życie. Ty sam musisz zdecydować, co ma się z nimi stać.

- Zatem decyduję - oznajmił chudy ork, wskazując pazurem Rammara - żeby on...

Przerwał, mierząc brata osobiwym spojrzeniem.

- Co, wielki Bunaisie? - spytała przywódczyni amazonek.

- ...żeby on... - ponownie zaczął Balbok, by znów zamilknąć i spojrzeć grubasowi w oczy. Temu znów wystąpił pot na czoło i przez głowę przemknęła myśl, że może czasem był trochę za ostry dla brata.

- ...żeby darować mu życie i puścić wolno - dokończył wreszcie Balbok.

- Naprawdę tego chcesz? - Amazonka przesunęła po Rammarze pogardliwym spojrzeniem. - Nie jestem pewna, czy na to rzeczywiście zasługuje.

- Ja też nie... - zgodził się Balbok.

- Co?! - wybuchnął jego brat.

- ...ale wiem, że nie wskoczył do jeziora dobrowolnie ani w złych zamiarach. Dlatego wybaczam mu jego haniebny występki - dokończył chudzielec.

- Jakie to wspaniałomyślne z twojej strony - burknął Rammar. - Jakie to wspaniałomyślne z twojej strony.

- Nie ma o czym mówić - naiwnie odpowiedział Balbok i znów zwrócił się do przywódczyni amazonek: - Pozostali więźniowie również niech będą uwolnieni, tylko jednemu nie zamierzam okazać miłosierdzia.

- Któremu? - Wojowniczką potrząsnęła dzidą.

- Krasnoludowi - brzmiała odpowiedź. - Zwiódł mnie podstępnie i zdradził. Zasługuje na najwyższą karę.

- Będzie tak, jak każesz - odparła amazonka, kłaniając się, a towarzyszki poszły za jej przykładem. - Dzisiejszej nocy będziemy świętować, ale już przy następnej pełni księżyca wykonamy wyrok na krasnoludzie.

- Niech tak się stanie - stwierdził z satysfakcją Rammar. - Ten *shnorsh* aż nadto sobie zasłużył.

- Uwolnijcie więźniów! - rozkazała wojowniczka. - Wielki Bunais darował im życie. Nie może im spaść włos z głowy i dzisiejszej nocy będą naszymi gośćmi.

- Czy to konieczne? - spytał grubas, który wolałby natychmiast opuścić wioskę, gdyż obawiał się, że nawet te nawiedzane baby w końcu odkryją, że jego brat ma z wielkim Bunaisem tyle wspólnego, co karaluch z grzmiącym Kurulem.

- Oczywiście możecie odejść - zgodziła się przywódczyni amazonek - ale przegapicie wielką ucztę, którą wydamy dziś wieczorem na cześć Bunaisa. Stół będzie się ugiął pod ciężarem smakołyków, jakie przygotowujemy.

- Ucztę? - Oczy Rammara błysnęły pożądliwie. - Właściwie jeden wieczór w tę czy w tamtą...

- Posileni i wypoczęci możecie wyruszyć rankiem - mówiła dalej wojowniczka. - Jeśli chcecie, przydzielimy wam przewodniczkę, która przeprowadzi was przez Szmaragdowe Lasy.

- To dobrze - Rammar skinął głową - bo musimy jak najszybciej dotrzeć do Kal Anar.

- Do Kal Anar? - Zdziwiona amazonka gwałtownie pokręciła głową. - Nie, to ani trochę dobrze.

- Dlaczego? - zapytał Balbok.

- Kraj po drugiej stronie Szmaragdowych Lasów to teren zakazany - wyjaśniła ponuro wojowniczka. - Jest czarny, skażony trującymi oparami i rządzi w nim zło.

- Z...zło? - Grubas przełknął ślinę.

- Już raz Kal-Anar znajdowało się pod panowaniem ciemnych mocy, dawno temu, nim ludzie nie przyszli z Południowego Królestwa i nie wzięli miasta w posiadanie. Potem zapanował spokój, ale nie na długo. Zło wróciło do miasta, a jego bestie są wszędzie. Na ciemnych skrzydłach krążą w przestworzach. Tylko

do Szmaragdowych Lasów nie mają odwagi wejść.

- Na szczęście. - Rammar uśmiechnął się smutno. - Zatem tu jesteśmy bezpieczni, czy tak?

- Wiecie o skrzydlatych węzach? - zdziwiła się wojowniczka.

- Też pytanie! - Balbok, wzięwszy z wnętrza swój topór, uniósł go tryumfująco. - Tym zmasakrowałem jednego z nich.

Przywódczyni amazoнок była zupełnie wytrącona z równowagi.

- Ty?... Ty zabiłeś bazyliżkę?

- Własnoręcznie - przytaknął ork.

- W takim razie nie ma już najmniejszych wątpliwości - stwierdziła z przekonaniem wojowniczka. - Jesteś Bunaisem! Nikt inny nie odważyłby się zmierzyć z takim potworem. Nikt inny nie miałby siły ani mocy go zwyciężyć!

- Ach, to nie takiego... - Balbok uśmiechnął się zawstydzony.

- Zatem chcecie iść do Kal Anar stawić czoła Złemu? - spytała amazonka. - Strącić z tronu okrutnego władcę?

- No cóż, my... - zaczął Rammar i chciał dać wymijającą odpowiedź, ale jego brat wykazał znacznie mniej powściągliwości.

- *Korr!* - oznajmił zdecydowanie.

- Wiemy więc teraz, dlaczego do nas wróciłeś, wielki Balboku - powiedziała wojowniczka. - Z kraju za Szmaragdowymi Lasami i nam zagraża niebezpieczeństwo.

- Jak to? - zainteresował się Rammar

- Nowy władca zbroi się do wojny. Jak kiedyś, z Kal Anar znów promieniuje śmiertelny mrok i może rozprzestrzenić się na cały kraj - dodała smutno.

Na Balboku nie zrobiło to wrażenia. Znacznie bardziej interesowało go coś innego.

- A co będzie na waszej uczcie do żarcia? - raptownie zmienił temat.
- Cóż, owoce lasu: grzyby, jagody i korzenie.
- To wszystko? - stęknął ork. - Żadnego mięsa?
- Oczywiście córki Bunaisa znają również trudną sztukę polowania. Zadbają o to, żeby podano dość dziczyzny.
- A *bru-mill*?
- A co to jest?
- Tam, skąd pochodzę, to słynny przysmak. Amazonka zrobiła bezradną minę.
- Obawiam się, że u nas jest nieznan. Balbok uśmiechnął się.
- Cóż, więc wam pokażę, jak się go przyrządza...

Amazonka, której imię brzmiało Zara i która, jak się okazało, była jedną z siedmiu przywódczyń plemienia, nie przesadziła. Na uczcie wydanej ku czci Balboka-Bunaisa stoły uginały się od potraw.

Przyglądanie się tańczącym wojowniczkom było -przynajmniej dla ludzkich gości płci męskiej - prawdziwą rozkoszą dla oka. Podczas gdy Gurn i Nestor zamglonym wzrokiem wodzili za skąpo odzianymi szczupłymi ciałami, Rammar wołał skupić się na potrawach, nie narzucając sobie przy tym żadnej powściągliwości. Od wielu dni nie miał w gębie nic porządnego i jego apetyt był stosownie wielki. A trzeba też przyznać, że amazonki zdołały przygotować niezły *bru-mill*, który porządnie palił gardło. Ork uznał, że rybie oczy i węże godnie zastępowały ślepie ghuli i faszerowane jelita gnomów. [Oryginalny przepis na *bru-mill* znajdziecie państwo w *Powrocie orków*.]

Balbok rezydował na tronie, który specjalnie przydźwigano ze świątynnej jaskini. Rammar i pozostali musieli siedzieć u jego stóp,

ale skoro nie byli już więźniami i ze strony wojowniczek nie groziło im żadne niebezpieczeństwo, pogodzili się z tym bez marudzenia. Nakryto długie, wysokie mniej więcej do kolan stoły ustawione szerokim kręgiem na placu wioski. Pośrodku płonęło wielkie ognisko, wokół którego przy dźwiękach muzyki tańczyły najpiękniejsze wojowniczeki plemienia.

Inne ze wszystkich stron cisnęły się do Balboka, by usłużyć praojcu swego ludu.

- Nie do wiary. - Rammar mlasnął w stronę Anklusa. - Możesz mi podać jeden powód, czemu te baby tak się rzuciły na mojego brata?

- No cóż... - Jednouchy obrzucił przeciągłym spojrzeniem Balboka. - Poza tym, że uważają go za swego szlachetnego dawcę, on jest po prostu słodki.

- On jest... jaki? - Spojrzenie Rammara było jednym wielkim zdziwieniem. Anklus użył słowa *sutis* zarezerwowanego dla orczy. Większość męskich orków umierała, nie pozwoliwszy, by choćby raz przeszło im przez usta.

Ale zdarzały się wyjątki...

- Jesteś *ochgurash*? - spytał Rammar bez owijania w bawełnę, na co Anklus, który wypił trochę ponad miarę, posłał mu zabójczy uśmiech.

A więc Balbok miał rację, gdy twierdził, że z jednouchym coś jest nie w porządku! Wytrzeszczając z przerażenia oczy, Rammar wstał i z wielkim udźcem w łapie, potykając się, pośpiesznie opuścił miejsce przy stole. Z silnym postanowieniem, żeby w przyszłości być ostrożniejszym w stosunku do Anklusa, przysiadł się do Nestora i Gurna. Nawet towarzystwo ludzi było w oczach Rammara lepsze od *ochgurasha*, a w pewnym sensie również daleko bezpieczniejsze...

Nestor i Gurn prezentowali sobą barwny widok - podczas gdy twarz lodowego barbarzyńcy była czerwona od nadmiaru

fermentowanego soku z jagód, oblicze zamachowca pokrywała żółć zazdrości. Wszystko oddałby za to, żeby zamienić się z Balbokiem, któremu właśnie usiadła na kolanach długogrzywa czar-nowłosa amazonka i zaczęła delikatnie drapać go po brodzie.

- To niesprawiedliwe - zrzędził Nestor - po prostu niesprawiedliwe! Balbok ma wszystkie dziewczyny i nie umie tego nawet docenić. Najwyższy czas, żebym coś z tym zrobił, przecież nie mogę stracić mojej sławy!

- Jakiej sławy? - spytał Gurn.

- Trzeba ci wiedzieć, przyjacielu, że w młodych latach zwano mnie Uwodziciel z Taik...

Po tych słowach Nestor skierował uwagę na swoją sąsiadkę przy stole, rudowłosą piękność wyposażoną w podniecające krągłości. W ludzkich oczach jej wygląd wprost zapierał dech, a w każdym razie Rammar wywnioskował to z zachowania Nestora, który nagle zrobił minę jak największy *umbal*.

- No, moje dziecko? - zagadał do amazonki, przy czym musiał się niesamowicie pilnować, żeby patrzeć jej w oczy, a nie na biust. - Sama w tak piękny wieczór jak dziś?

Przerwała posiłek i z wielkim kawałem mięsa w jednej dłoni, a z kubkiem soku w drugiej spojrzała na niego zdziwiona.

- Jaka dziś miła noc! - tokował Nestor z uśmiechem. - Czy to nie całkiem normalne, że obcy się zaprzyjaźniają?

Jakby przypadkiem jego prawica wylądowała na jej nagim udzie, co ona skwitowała kolejnym zmieszonym spojrzeniem.

- Jak się nazywasz, moje dziecko?

- Quia. A ty?

- Nestor - odpowiedział. - W moim języku to imię znaczy Ten Któremu Nie Można Się Oprzeć.

- Czego chcesz ode mnie? - spytała piękność, patrząc wyzywająco.

- Cóż, ja... - Przełknął i oblizal spieczone usta. Wystarczyło, że zerknął na jej piersi, a zaraz zaczynała trawić go gorączka. - Zastanawiałem się, czy to możliwe, żeby dwoje obcych w taką cudowną noc jak ta spotkało się, żeby wspólnie w chwili słodkiej namiętności...

Nie wiedział, co mówić dalej.

- Chcesz mnie pokryć? - spytała bez ogródek, aż Nestor na chwilę oniemiał.

- Hm, skoro pytasz tak wprost... - wydukał zirytowany. - Dałoby się to jakoś urządzić?

Spojrzenie, jakim go zmierzyła, było najpierw taksujące, potem pogardliwe.

- Nie - oznajmiła tak zwyczajnie i definitywnie, że Uwodziciel z Taik stracił cały rezon.

- Ale gdybyś przedstawił mnie swojemu przyjacielowi... - dodała, zerkając pożądliwie na Gurna.

Lodowy barbarzyńca wydał zadowolone chrząknięcie. Jeśli ta dzika piękność koniecznie chce go mieć...

- Bądź ostrożny - szepnął mu Rammar, udając jednak, że nie interesuje go nic poza pieczonym udźcem.

- Dlaczego?

- To amazonki, nie zapominaj.

- Dlaczego?

Ork znów odgryzł kęs mięsiwa, przeżuując, skinął głową.

- Dzikie baby. - Młasnął.

- Dlaczego?

- Mają zwyczaj zabijać każdego mężczyznę, kiedy już z nim...

Grubas spróbował wykonać odpowiedni gest, co jednak z udźcem w dłoni nie bardzo mu się udało.

- Co?
- Wiesz przecież.
- Ach? - Gurn skrzywił się i zrobił rozczarowaną minę.
- Możesz mi wierzyć. - Rammar kiwał głową. - Ten Bunais był pierwszy, którego to spotkało. Od tamtej pory wielu poszło za nim do ciemnej otchłani Kurula.

- Nie?!
- Tak. A co myślisz, dlaczego w tej dziurze nie ma facetów, he?

Barbarzyńca przełknął ślinę. Tego się nie spodziewał.

- I co? - spytała go figlarnie rudowłosa. - Będzie coś z nas dwojga?

Gurn przez moment usilnie zastanawiał się nad odpowiedzią. Z jednej strony oferta była nader kusząca, z drugiej jednak niepokoiło go ostrzeżenie orka, że słodka chwilka z amazonką może być jego ostatnią.

- Nie - odparł ponuro, na co Rammar, który jeszcze rano sam skompromitował się straszliwie, wybuchnął wesołym śmiechem.

Gruby ork znów był sobą.

Wyruszyli już następnego ranka.

Balbok, który u amazoнок płaWił się w luksusie, chętnie zostałby jeszcze troszkę, Ankluas jednak nalegał na szybki wymarsz, gdyż chciał jak najszybciej dotrzeć do Kal Anar -z powodu łupu, jak twierdził.

Po wszystkim, czego poprzedniego dnia dowiedzieli się o Kal Anar i jego nowym władcy, Rammarowi już nie było tak spieszo. Kusila go wprawdzie perspektywa położenia łapy nie na jednym, ale na obu skarbach, ale śmierć ani trochę. Coraz częściej się zastanawiał, po jakie лихо opuszczali przytulne *bolboug*. Czy im tam czegoś brakowało? Czy cierpieli głód albo pragnienie? Czy zdradzały ich podstępne krasnoludy? A może jaszczury-olbrzymy

próbowały ich połknąć? Albo rozhisteryzowane baby zamierzały ich zabić?!

Na wszystkie te pytania była jedna odpowiedź: głośne i wyraźne *douk*.

Wściekłość Rammara powiększał fakt, że za wszystkie ich cierpienia winę ponosił ten *umbal* Balbok. To on stale paplał o nudzie i zrzędził o wielkich czynach!

Tylko dwie rzeczy powstrzymywały grubasa przed tym, by po prostu wszystko rzucić i wrócić do Stęchłej Marchii: Po pierwsze, *faihok'hai* szybko nadziałiby ich na *saparaki*, a drugą przyczyną była jego wrodzona zazdrość. Jeśli on i Balbok się wycofają, wtedy nagrodę skasują Ankluas, Gurn i Nestor. Ta perspektywa wydawała się Rammarowi jeszcze gorsza niż niebezpieczeństwa, które na nich czyhały.

Krótko po wschodzie słońca zebrali się na placu wioski amazonek. Twarze Nestora i Gurna były blade, gdyż przesadzili z fermentowanym sokiem z jagód, za to orkowie wyglądali na świeżych i wypoczętych. Wojowniczkі nie miały posokowego piwa, a fermentowany sok mogli pić litrami.

Zara i jej wojowniczkі okazały się nadzwyczaj uprzejme. Wyposażyły wędrowców nie tylko w wodę i prowiant, ale jak obiecały, wyznaczyły dobrze zorientowaną w okolicy przewodniczkę, która miała wskazać im drogę do Kal Anar. Wybór padł na Quię, ową amazonkę, którą Nestor poprzedniego dnia daremnie próbował omotać. Kobiety chciały dać swoim gościom również wierzchowce, ale okazało się, że ich ptaki nie były dostatecznie silne, by unieść orków, a Rammara w szczególności. Zatem kompanom nie pozostało nic innego, jak pokonać resztę drogi piechotą.

Wszystkie mieszkankі wioski zebrały się, by pożegnać wielkiego Bunaisa, który wyruszał bohatercko bronić ich przed strasliwym zagrożeniem. Obecny był nawet Ortmar z Rumowiska - związany w

poręczny węzełek i strzeżony przez uzbrojone wojowniczkę.

- Cóż, krasnoludzie - warknął z satysfakcją Rammar. - Teraz dostaniesz, na coś zasłużył.

- Nie ciesz się za wcześnie, tłuszciochu! - burknął Ortmar. - Następnym razem, kiedy się spotkamy...

- Nie będzie następnego razu - powiedziała z przekonaniem Zara. - Wielki Bunais wydał na ciebie wyrok i przy następnej pełni księżyca zostanie on wykonany!

- Słyszałeś? - Gruby ork zachichotał. - Wielki Bunais zdecydował, kto odważy mu się sprzeciwić?

- Przekłęta maskara! - wybuchnął wściekły krasnolud. - Zostawiasz Ortmara z Rumowiska w rękach wroga, ale to cię będzie drogo kosztować, przysięgam ci na moją brodę!

- *Umbalu*, wszystko ci się pomieszało! - ryknął Balbok. - My tu mamy tylko jednego wroga, a jesteś nim ty! Zdradziłeś nas i sprzedałeś.

- Zrobiłem, co musiałem! - zakrzyknął Ortmar. - Nie oczekuję, że to do was dotrze, ale człowiek powinien zrozumieć! - Spojrzał z nadzieją na Gurna i Nestora, którzy już zarzucili na ramiona worki z prowiantem i bułki.

- Myślisz, że staniemy po twojej stronie? - wzruszył ramionami płatny morderca. - Po tym, jak nas okłamałeś i zwiodłeś?

- On racja - poparł swego towarzysza lodowy barbarzyńca, który zwykle odzywał się tylko wtedy, gdy naprawdę miał coś do powiedzenia. - Ty nędzny szczur, ty zasłużyć śmierć. U nas na północ my posadzić na lodowa kra i wypchnąć na morze. Ty szczęśliwy móc tu umrzeć.

- Ha - burknął krasnolud - ależ ze mnie szczęściarz!

- To nie ma nic wspólnego ze szczęściem albo pechem, sam sobie taki los zgotowałeś! - odpowiedział Anklus, po czym zwrócił się do swoich kompanów: - Chodźmy, nie mogę już znieść widoku tego nędznego tchórza.

- Ja tak samo - przyznał, krzywiąc się, Balbok.

Rammar gniewnie skinął głową.

- Dobrze, ruszajmy. - Jeszcze raz spojrzął na Ortmara. - Miłego dnia, krasnoludzie. Pomyśl o nas, kiedy baby będą obdzierać cię ze skóry.

Na te słowa obaj bracia wybuchnęli złośliwym śmiechem i odwrócili się do Ortmara plecami.

- Odpokutujecie za to! - wrzasnął ten piskliwie, ale grubas zbył pogroźkę tylko lekceważącym ruchem łapy.

Amazonki jeszcze raz padły przed Balbokiem na kolana, a on patrzył na to z głupkowskim uśmiechem na pociągłej gębie. Rammar tylko nerwowo wywracał oczami.

- Żegnaj, szlachetny Bunaisie - powiedziała przywódczyni wojowniczek - i nie zapomnij o nas. Bądź dumny ze swoich córek, jak my jesteśmy dumne z ciebie. A gdybyś w dalekim Kal Anar znalazł się w potrzebie, nie wahaj się nas wezwać!

- W porządku. - Skinął głową ork.

- Jest jeszcze coś, co chciałbyś powiedzieć swoim córom? - spytała Zara podniesionym głosem. - Może znów nie zobaczymy się przez wiele pokoleń.

- Ja, hm... - Widząc, że spojrzenia zebranych wojowniczek są skierowane na niego wyczekująco, zmieszany Balbok wbił wzrok w ziemię.

- Co jest? - szepnął do niego brat.

- Nie mogę nic wymyślić - odpowiedział cicho chudzielec.

- *Umbalu*, chcesz, żeby się wszystko wydało?! - syknął Rammar. - Musisz coś powiedzieć, słyszysz?

- A co?

- Skąd mam wiedzieć? Coś miłego, coś budującego, co da im nadzieję na przyszłość.

- Hm... *bru-mill* był niezły - oznajmił Balbok. Bardziej przyjaźnie i budująco przemawiać nie potrafił.

- Zatem rzekleś! Przechowamy przepis i przekażemy go naszym córkom - zapewniła przywódczyni amazonek - a one swoim córkom i tak dalej z pokolenia na pokolenie.

- Zróbcie to - zapalił się ork. - Następnym razem nauczę was, jak się warzy posokowe piwo i porządny...

- Teraz musimy iść! - wszedł mu w słowo Rammar.

- Zatem żegnajcie, obcy. I uważaj na siebie, Bunaisie!

- Pa, dziewczyny! - krzyknął Balbok i pomachał łapą.

Niejedna z twardych wojowniczek miała wówczas łzy w oczach.

Mała drużyna orków i ludzi opuściła wioskę amazonek i wkrótce zniknęła za gęstą ścianą drzew, paproci i lian. Quia objęła przewodnictwo, za nią szli ludzie i Anklusas, potem Balbok i na końcu Rammar, który starał się trzymać jak najdalej od jednego.

- Rammar? - zaczepił go nagle brat.

- Tak, Balbok?

Zatroskany chudzielec spojrział przez ramię.

- Czy ty jeszcze chcesz się na mnie mścić?

- No cóż - grubas zacisnął wydatne usta - po tym, jak nam wszystkim uratowałeś *asar*, będę wielkoduszny. Ale nie chcę nigdy słyszeć ani słowa o tej historii, rozumiesz? Mój brat Balbok, wielki Bunais?! Pęknię ze śmiechu!

- Rammar?

- No, co jest?

- Naprawdę uważasz, że jestem urodzonym bohaterem?

- Możesz być pewien. A teraz łaskawie zamknij pysk, nim nie zapomnę o moich dobrych postanowieniach i cię jednak nie zabiję!

4. AN MUNTIR, AN GURK

Corwyn nienawidził sam siebie.

Brzydziła go przeszłość i teraźniejszość.

Gardził tym, co stało się z nim i ze światem.

Korona na skroni, której zresztą nigdy nie pragnął, przez ostatnie dni stała się ciężarem nie do udźwignięcia. Wyzaczyła go na króla Tirgas Lan, na tego, kto zjednoczy Ląd, nie pytając go o zdanie. Długo trwało, nim przywykł do myśli, że jest władcą. On, niedawno jeszcze awanturnik zarabiający łapaniem orków i najemnik sprzedający swój miecz temu, kto płacił najlepiej. Gdyby nie doradcy i wasale wiernie trwający u jego boku, powoli uczący go radzić sobie z nową odpowiedzialnością...

I gdyby nie Alannah!... Teraz, nie mając u swego boku kobiety, którą kochał i której wszystko zawdzięczał, czuł się z koroną na głowie jak na maskaradzie. Gdy siedząc na tronie, patrzył na opustoszałe miejsce obok, prawie czekał na moment, kiedy ktoś przyjdzie i nazwie go samozwańcem. Corwyn nawet by mu się nie

sprzeciwił, tylko cicho i spokojnie abdykował.

Ale nie przyszedł nikt, kto by go przepędził i zdjął z niego odpowiedzialność. Więcej nawet, posłańcy rozesłani na wszystkie strony świata, by prosić o wsparcie w walce z nowym, nieznanym wrogiem, zdziałali więcej niż wszystkie rokowania, jakie Corwyn prowadził w ostatnich miesiącach. Duch jedności, którego dawno nie czuło się już w Łądzie, nagle zaczął spajać ludy i rasy nowego królestwa.

To, czego nie zdziałały dobre słowa i wzniosłe ideały, dokonał strach przed wspólnym przeciwnikiem, i to właśnie Corwyn do tego doprowadził.

Jego pierwsza decyzja podjęta bez pomocy Alannah... Był zły i rozczarowany, gdy elfy odwróciły się od świata i odeszły szukać szczęścia na dalekich wybrzeżach. Ogłosił, że poprowadzi ludy zachodu do wspólnej wyprawy wojennej przeciw Kal Anar, siedlisku owej złej mocy, która uprowadziła królową. Ale czy postąpił mądrze, w sposób godny władcy?

Nie chodzi o to, że Corwyn wątpił w samą decyzję. Gdyby chodziło o niego samego, momentalnie chwyciłby miecz i pomaszrowałby na wschód. Ale Alannah uczyła go, że sprawy nie są takie proste. Jego błyskawiczna decyzja o wojnie wielu kosztowałaby życie i skończyłaby się może nawet upadkiem Tirgas Lan.

Nieznany wróg zdawał się potężniejszy niż każdy inny przeciwnik, z jakim kiedykolwiek walczył Corwyn. Potężniejszy nawet niż Ciemny Elf Margok, który wrócił przed rokiem, by zagarnąć władzę nad Łądem. Jeśli władca z Kal Anar był w stanie poderwać z grobów poległych, to jakimi jeszcze możliwościami i jaką bronią dysponuje? Jakich straszliwych sprzymierzeńców ma po swojej stronie? Czy śmiertelnicy mogą w ogóle stawić mu czoła?

Corwyn nie znał odpowiedzi na te pytania, podobnie jak nie wiedział, co się dzieje z Alannah. A za to jeszcze bardziej się nienawidził.

Gdyby był dobrym królem, znającym swoje obowiązki i nigdy ich niezaniedbującym, wtedy potrafiłby odpowiedzieć przynajmniej na jedno pytanie. On jednak był niegodnym korony nieukiem. Nie wiedział, co czeka jego armię za wschodnimi granicami państwa, ani nie miał pojęcia, jaki los spotkał Alannah. Czy jeszcze żyje? Czy porywacze dobrze ją traktują? Czy też stała się pierwszą ofiarą wojny?

Zaczął się przegląd wojsk.

Sądząc po godłach na płaszczach wspaniale odzianych wojowników, należeli oni do dawnych miast granicznych. Stanąwszy przed tronem, ukłonili się głęboko i jeden z nich, barczysty olbrzym w jaskrawoczerwonej pelerynie, przemówił:

- Ojcowie miast Sundaril i Andaril pozdrawiają cię, królu Corwynie. Jako wsparcie w walce z mrocznym wrogiem przysyłają wam dwustu lansjerów i setkę kuszników. Poza tym każde z miast wystawi tysiąc piechurów.

Gdy wymieniono liczby, przez szeregi dworzan przebiegł szmer. Graniczne miasta długo uchodziły za uosobienie ludzkiego egoizmu - wielu było zaskoczonych, że właśnie one chcą wystawić tak liczne kontyngenty.

Ale nie Corwyn. Choć stracił jedno oko, widział wiele rzeczy wcześniej przed nim ukrytych. Wiedział, że tak będzie...

- Dziękuję ojcom miasta Sundaril i Andaril za ich wspaniałomyślny wkład, który z wdzięcznością przyjmuję - odpowiedział.
- Zapewniam, że będę dowodził powierzonymi mi wojownikami podług wiedzy i sumienia.

Ostatnie zdanie nie było zgodne z protokołem, co wywołało nerwowe poruszenie wśród królewskich doradców.

Ale on czuł, że jest to winien swoim podwładnym - skoro już muszą iść na wojnę, powinni przynajmniej wiedzieć, że on jest świadom swojej odpowiedzialności.

Przedstawiciele miast granicznych uklonili się i odeszli na bok. Następne poselstwo, które weszło do sali tronowej, przybywało z królestwa krasnoludów: krępi, długobrodzi wojownicy we wspinających, wysadzanych szlachetnymi kamieniami zbrojach podeszli do tronu, przed którym zgięli kolano.

- Jam jest Nagelflu, panie - niskim głosem przedstawił się ten na przedzie - jeden z książąt, którzy poddali się waszej władzy dla wiary w ideały, jakie niegdyś przyświecały Tirgas Lan, i dla nadziei, że owe ideały wkrótce powrócą. Od dawien dawna krasnoludy nie uciekały przed odpowiedzialnością. Stanęliśmy do dwóch długich i krwawych wojen i tym razem też nie zostaniemy z tyłu, gdy idzie o ratowanie naszego świata. Liczcie przeto na osiemdziesięciu pancernych rycerzy z królestwa krasnoludów, którzy oddadzą w waszą służbę tak serca, jak topory, a ponadto na czterystu łuczników, którzy w ogniu walki nie chybią celu.

Corwyn podziękował za ten udział i kontynuował przegląd wojsk. Z każdą podchodzącą grupą rosła armia, którą miał dowodzić i poprowadzić na Kal Anar ku nieznanemu losowi.

Portowe miasta Urquat i Suquat wystawiły dziesięć bojowych galer, każda obsadzona osiemdziesięcioma wojownikami; wyspiarze z Filar, przez długi czas postrach nabrzeżnych osad, przyłączyli się do sojuszu, przysyłając dziesięć drakkarów i kolejnych stu pięćdziesięciu lekkobrojných. Ci książęta wschodnich wyżynnych krain, którzy uznali zwierzchność Tirgas Lan, przyłączyli się z setką ciężkobrojných jeźdźców i pięcioma sotniami piechoty, a na koniec ze strony przywódców północnych klanów zamieszkujących przedgórze Gór Ostrych armię Corwyna miała wesprzeć

horda nie mniej niż czterystu wojowników uzbrojonych w dwuręczne miecze i katapulty.

Wraz z pięciuset wojownikami powołanymi pod broń w Tirgas Lan powstała w ten sposób armia, która wkrótce zyskała nazwę Armii Sześciu Tysięcy, bo niemal tylu zbrojnych miało ruszyć na wschód. I choć Corwyn nie dążył już jak dawniej do konfrontacji, wręcz nienawidził się za rozlew krwi, jaki będzie skutkiem wojny, wiedział, że innego wyjścia nie ma. Gdyby pozwolił uprzedzić się przeciwnikowi, który bez wątpienia zalałby kraj pożogą i obrócił w gruzy przygraniczne miasta, wtedy ofiar byłoby nieporównanie więcej. Miał tylko jedną drogę - drogę miecza...

- Wracajcie do waszych ojczyzn - rzekł król do wysłanników swoich wasali i sprzymierzeńców, którzy szerokim kręgiem stali w sali tronowej. - Za pięć dni od dziś zjednoczona armia Tirgas Lan zbierze się na północnym wschodzie Równiny Scarii przy wielkim brodzie.

- Za pięć dni, panie?! - krzyknął zdziwiony poseł z Girnag. - To za mało, by zebrać naszych wojowników i wyruszyć.

Pomruk aprobaty przeszedł szeregi zebranych, gdzieniegdzie kiwano głowami.

- Obawiam się, że nie mamy więcej czasu, przyjaciele. Ostatnie wydarzenia pokazały, że wróg już przeniknął do naszego kraju. W każdej chwili może ponownie uderzyć. Nie będę nikogo zmuszał, by przyłączył się do naszego sojuszu, ale kto chce wziąć udział w wyprawie przeciw Kal Anar i walczyć za wolność naszego świata, ten niech znajdzie się za pięć dni przy brodzie. Całą armią wejdziemy od zachodu do kraju wroga, zaś flota uderzy od morza.

- Łatwo mówić! - znów ktoś zaoponował. - Każdy wie, że port w Kal Anar jest praktycznie nie do zdobycia. Wejścia do niego bronią rafy i kto nie zna dokładnie trasy, naraża się na pewną śmierć.

- Nie obiecywałem, że będzie łatwo - odparł Corwyn. - Jednak czas nagli i nie mamy innego planu. Tylko jeśli zaskoczymy wroga i zaatakujemy z dwóch stron równocześnie, możemy szybko i zwycięsko zakończyć wojnę.

- Bez uprzedzenia? Bez wypowiedzenia wojny?

- Zapominacie, że Kal Anar już nas zaatakowało - padła riposta króla. - Moim zdaniem, to starczy za wypowiedzenie wojny. Napadnięto nas podstępnie, a my odpowiemy, nim to się powtórzy.

- Czy to jedyny powód? - zapytał ktoś tak donośnym głosem, że odbił się echem od wysokiego sklepienia sali tronowej. Głos wydał się Corwynowi znajomy, jednak nie potrafił go od razu rozpoznać.

- Kto to powiedział? - rzucił więc pytanie w krąg wysłanników i dworzan.

Ich szeregi rozstały się i wystąpił rudowłosy, przysadzisty mężczyzna - baron Yelnigg z wyspy Olfar, owej wyspy, która uznała zwierzchność Tirgas Lan dopiero po tym, jak przed kilkoma miesiącami jej flota wojenna doznała miażdżącej porażki w bitwie w Zatoce Mew.

- To ja rzekłem te słowa - oznajmił mocnym głosem - i powtarzam je głośno i wyraźnie, ponieważ myślę, że każdy, kto gotów jest przelać krew za Tirgas Lan, ma prawo do szczerej odpowiedzi. Czy zagrożenie od nieznanego wroga jest jedynym powodem, dla którego tak szybko atakujemy Kal Anar?

Corwyn dobrze wiedział, do czego nawiązuje baron.

Najwyraźniej Yelniggowi zależało na sianiu niepokoju wśród sprzymierzeńców. Mimo to król udał, że nie rozumie.

- Jaki inny powód mógłby zaistnieć, przyjacielu Yelnigg?

Baron skrzywił się.

- Mój królu, nie igrzajcie ze mną. Jak każdy tutaj, uznałem zwierzchność Tirgas Lan i podporządkowałem się tobie. I ja jestem

gotów rzucić na szalę życie moje i moich wojowników, by bronić królestwa przed grożącym niebezpieczeństwem. Gdyby jednak miało iść tylko o uwolnienie małżonki króla, którą, jak wszyscy wiemy, uprowadzono, to...

Corwyn nie mógł dłużej wytrzymać.

- Naprawdę w to wierzycie? - spytał i zerwał się tak niespodziewanie, że gwardziści trzymający straż po obu stronach tronu podskoczyli. - Naprawdę sądzicie, że wystawiałbym na szwank wasze życie w moich własnych sprawach?

- Otwarcie mówiąc, nie wiem, co mam o tym sądzić, mój królu - odparł Yelnigg, udając pokorę, choć w jego zimnych błękitnych oczach płonęły harde iskierki.

Tu i ówdzie znów kiwano głowami, rozległy się również szeptu popierające barona. Najwyraźniej jedność królestwa była wciąż krucha jak pierwszy zimowy lód. Ale w Corwynie obudził się wojownik.

- Powiem wam więc, baronie, co macie myśleć - odparł, schodząc po stopniach schodów i stając przy Yelniggu. - To prawda i nie robię z tego tajemnicy: królowa Alannah zniknęła i obawiam się, że jest w rękach wroga, ale my zebraliśmy się tu dziś nie dlatego, że moim zamiarem jest ją uwolnić. I tak nie wiem nic o jej losie, może już dawno... - przerwał, zagryzł zęby - ...nie żyje - dokończył cicho, niemal szeptem - i żadna armia świata nie zdoła mi jej wrócić. Myślicie może, że łatwo mi stać przed wami i żądać, byście wysłali swoich synów i wnuków na wojnę? Gdyby szło tylko o Alannah, dawno już sam bym wyruszył własnoręcznie ją uwolnić, bowiem ten miecz - dotknął rękojeści broni u swego boku - jest żądny krwi tych, co mi ją zabrali. Ale tu chodzi o znacznie więcej, baronie Yelnigg. Tam na wschodzie czai się wróg potężniejszy i groźniejszy niż wszystko, co znamy. Boją się go nawet elfy, zresztą one nie pójdą z nami. W obronie naszego królestwa

jesteśmy zdani tylko na siebie, a występujemy przeciw mocy, której nawet nie znamy. Wszystko, co mamy, to nasza odwaga i jedność. Dlatego tu dziś jesteśmy, baronie Yelnigg. Tylko dlatego.

Gdy Corwyn zamilkł, w sali panowała całkowita cisza. Jego słowa dały wysłannikom do myślenia, również tym, którzy wcześniej przyznawali rację Yelniggowi. Tylko on sam nie wyglądał na przekonanego.

- Wiem, że niedawno jeszcze byliśmy przeciwnikami, baronie - ciągnął król - ale właśnie o to chodzi: o porzucenie naszych dawnych zatargów i wzajemne wsparcie w obronie idei leżącej u podstaw Tirgas Lan. Nie idzie przy tym o mnie ani o was, ale tylko i wyłącznie o jedność królestwa, która wszystkim mieszkańcom Łądu przyniesie pokój i dobrobyt.

- Wzniosłe słowa - rzekł baron, a w tych słowach zabrzmiała cicha kpina.

- Wszystkie co do jednego prawdziwe - zapewnił Corwyn. Dobył miecza i chwycił go, wystawiając rękę ku baronowi. - W walce z bezlitosnym i pozbawionym skrupułów przeciwnikiem straciłem oko i niech stracę teraz drugie, jeśli idzie mi o cokolwiek innego jak dobro Tirgas Lan. Weźcie miecz, Yelniggu, i pchnijcie. Nikt was za to nie ukarze, a niewidzący król nie będzie już dla nikogo zagrożeniem. Tirgas Lan znów popadnie w zapomnienie, a wy będziecie wolni i skłóceni i będziecie mogli robić, co zechcecie... W każdym razie dopóty, aż Zły z Kal Anar nie przekroczy naszych granic.

Twarz barona zarumieniała się tak, że kolorem przypominała czuprynę. Nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Z taką reakcją się nie liczył.

- Dźgaj! - jeszcze raz zażądał Corwyn. - Nie myśl, że wyrządzisz mi ból, bo dla mnie świat bez królowej Alannah i tak tonie w wiecznej ciemności. Dalej, na co czekasz?!

- Wybaczcie mi nieprzemyślane słowa, mój królu - szepnęła Yelnigg, odsuwając się jak najdalej od miecza. Zdawał się równie

zawstydzony, co bezradny. - Nie wiem, co mnie naszło.

- Ale ja wiem. - Król uśmiechnął się wyrozumiale. - To, co każdego z nas nachodzi od czasu do czasu, bo wszyscy jesteśmy tylko śmiertelnikami.

Baron spojrzął mu prosto w oczy i po dłuższej chwili odwzajemnił uśmiech.

- Oto moja dłoń - powiedział Corwyn i zamiast rękojeści podał mu prawicę. - Przyjmij ją, przyjacielu, i pociągnijmy razem do tej bitwy. Nie dlatego, że chcemy, ale dlatego, że nie mamy innego wyboru.

Yelnigg zdawał się toczyć wewnętrzną walkę. Pragnienie zemsty i zraniona miłość własna walczyły z poczuciem obowiązku i przekonaniem, że król Tirgas Lan nie należy do tych, co nadużywają władzy. Koronę na skroniach traktował raczej jak brzemię niż przywilej, a w wojnie, która ich czekała, był gotów ponieść tę samą ofiarę, co każdy inny mężczyzna w Lądzie.

Czego więcej można oczekiwać od króla?

Pochylając z uśmiechem głowę, baron chwycił dłoń Corwyna. Wśród posłów i dworzan, pojmujących, że ten uścisk dłoni oznacza więcej niż koniec kłótni dwóch dawnych rywali, wybuchł aplauz, do którego przyłączyli się członkowie przybocznej straży.

- Tirgas Lan! Tirgas Lan! Tirgas Lan! - wołano wszędzie i król zrozumiał, że wszystko, co zrobił przez ostatnie miesiące, że wszystkie ofiary, jakie poniósł, nie były daremne.

Tirgas Lan nie było już tylko nazwą miasta. Stało się uosobieniem nadziei, płonącym znakiem, ku któremu mogą kierować wzrok ludzie i krasnoludy w czasach, kiedy nad Ląd nadciągają ciemne chmury.

Choć serce Corwyna było ciężkie i smutne, poczuł nagle odrobinę ufności - gdyż to nie on posiał to wschodzące właśnie ziarno.

Posiała je Alannah. To ona wierzyła, że rozproszone ludy Łądu kiedyś zjednoczą się pod koroną Tirgas Lan, dokładnie tak jak prorokował wieszcz Farawyn.

Pierwszy raz od wieków miasta, klany i księstwa znów mówiły jednym głosem, zjednoczone na przekór wrogowi być może daleko silniejszemu od nich.

Wspólnie odniosą zwycięstwo.

Albo klęskę.

5. DURKASH UR'ARTUM'HAI SHUB

Po sześciu dniach przedzierania się przez dżungłę orkowie i towarzyszący im ludzie dotarli do wschodnich krańców Lasów Szmaragdowych. Rammar raz po raz narzekał, że się zgubili, ale Quia знаła drogę i pewnie prowadziła grupę, a Nestor z Taik wciąż nie mógł oderwać od niej oczu.

Kiedy gęsta zasłona ogromnych paproci i lian nareszcie się przerzedziła, nawet Gurn pozwolił sobie na oddech ulgi. Koniec z drapieżnym zielskiem, koniec z żarłocznymi pancernymi jaszczurami i koniec z komarami! Jeśli jednak towarzysze myśleli, że ich podróż będzie teraz łatwiejsza lub chociaż mniej niebezpieczna, w jakimż tkwili błędzie...

Posuwali się jednak do przodu szybciej, gdyż Balbok i Gurn nie musieli już toporem i dwuręcznym mieczem wyrąbywać drogi przez zarośla. Zamiast tego krajobraz robił się coraz bardziej surowy i wkrótce ostatnie ślady zieleni znikły w morzu potrzaskanych czarnych skał, nad którymi zawisło ponure, szare niebo pełne poskręcanych chmur.

- *Shnorsh!* - warknął Balbok. - Wygląda, że będzie padać.
- *Umbal!* - zdenerwował się Rammar. - Zapomniałeś, jak wyglądają deszczowe chmury? Jakbyśmy w domu w Stęchłej Marchii nie mieli ich pod dostatkiem!
- Twój brat ma rację, Balboku - zgodził się Ankluas, co normalnie wprawiloby grubasa w jeszcze większą pewność siebie, ale od owego wieczora w wiosce amazonek nie przywiązywał większej wagi do opinii jednouchego. - Te chmury nie niosą wody, przywiązał je tu wieczny ogień.
- Jak to? - zainteresował się chudy ork, którego zdaniem jedna z chmur wykazywała uderzające podobieństwo do ogromnego pająka. A inna wyglądała jak morda okrutnego Kurula...
- Chmury nadciągają od południowego wschodu - wyjaśniła Quia, która zerkąła na niebo z nie mniejszą troską niż jej towarzysze. - Tam spoczywa Anar.
- Kto to jest? - zapytał Balbok.
- Góra, której wnętrze składa się z ognia - odpowiedziała z drżeniem amazonka.
- Wulkan - powiedział Ankluas - na którego zboczach leży miasto Kal Anar.
- Czy to nie jest dość niebezpieczne? - zdziwił się Nestor.
- Z pozoru tak - odparł jednouchy - jednak Kal Anar nigdy nie było zniszczone ani ręką wroga, ani siłami natury. Ilekroć ogień i żar kipiały z krateru, omijały łukiem miasto, jakby ciemna moc strzegła je przed zniszczeniem. To, co widzicie przed sobą - ork zatoczył ręką, wskazując roztaczający się przed nimi krajobraz - to wynik ostatniego wybuchu Anar.

Widok był przygnębiający. Nigdzie ani źdźbła trawy, ani badyła, tylko czarne, potrzaskane skały, których powierzchnia zdawała się połykać mdłe światło dnia. Szerokie rozpadliny przecinały niedostępną krainę, kamienie układały się w dziwaczne formacje. Gdzie indziej skały były pokruszone i ziemię pokrywały czarne głązy usypane w strome kopce niczym kolce na pancerzu jakiegoś ogromnego gada. Powietrze nad pustkowiem drgało - nie dlatego, że słońce tak rozgrzało skały, ale ponieważ z niezliczonych szczelin z sykiem wydobywała się gorąca para.

- To gorąco pochodzi z wnętrza Łądu - wyjaśnił Ankluas. - To dzięki niemu w Szmaragdowych Lasach żyją te wszystkie gatunki roślin i zwierząt nieznane na zachodzie.

- Wspaniale! - skrzywił się Rammar. - Ja tam mógłbym spokojnie obyc się bez tej różnorodności.

- Powiadają, że całe Góry Wschodnie pochodzą z wnętrza Anar - kontynuował jednouchy ork, najwyraźniej dobrze poinformowany. - Od prawieków wulkan wypluwał je w postaci rozżarzonej lawy.

- Wyszły mu z tego faktycznie niezłe kupy - burknął grubas.

- Można by tak powiedzieć.

Na twarzy Rammara pojawił się podstępny uśmieszek.

- W takim razie przez cały czas miałem rację - wywnioskował kpiąco - i to naprawdę powinno się nazywać Kal Asar...

Nie roześmiał się nikt poza Balbokiem, który umiał jak mało kto docenić orczy humor. Nie jak Ankluas, Nestor, Gurn albo Quia patrząca na swego praojca z niesmakiem. Zresztą i tak twarz młodej amazonki chmurzyła się coraz bardziej, im dalej szli na wschód. Powód był oczywisty, nadeszła chwila pożegnania...

- Wypełniłam moje zadanie - oznajmiła wreszcie wojowniczką. - Polecono mi doprowadzić was na wschodnią granicę lasu. Od tego miejsca nie będę już dla was pomocą, gdyż żadna córka Amaz nigdy nie postawiła nogi w krainie za lasami.

- Jesteśmy ci bardzo wdzięczni, Quia - zapewnił Nestor, nim ktokolwiek inny zdążył coś odpowiedzieć. - Bez ciebie nigdy nie dotarlibyśmy tutaj tak szybko.

- Zrobiłam tylko to, co było moim obowiązkiem wobec Bunaisa, naszego praojca. - Zmusiła się do uśmiechu. - Czy mogę cię objąć, wielki Bunaisie? - spytała na koniec Balboka.

- Hm, *korr* - odpowiedział zmieszany, bo wciąż jeszcze nie przywykł do delikatności swoich córek. Wśród orków, kiedy dochodzi do cielesnych intymności, nader często kończą się one potłamanymi żebrami.

Quia podeszła do niego, a ponieważ był za duży, by mogła dosięgnąć szyi, bez namysłu objęła jego piersi, co naprawdę wyglądało, jakby dziecko obejmowało ojca. Balbok nieporadnie pogłaskał dziewczynę po głowie, starając się jej nie rozgnieść.

- Żegnaj, Bunaisie - cichutko szepnęła i kiedy wreszcie go puściła, zobaczyli, jak po policzkach amazonki spływają łzy. - Uważaj na siebie w tym ciemnym kraju, do którego idziesz.

- Tak... hm... oczywiście - zapewnił i zawstydzony podrapał się po łbie.

Rammar stał tylko obok i nerwowo kręcił głową.

- Jeśli chcesz, mnie też możesz objąć - zachęcił wojowniczkę Nestor. Otarła łzy, uśmiechnęła się i delikatnie pocałowała go w policzek.

- Żegnaj, przyjacielu - powiedziała.

- Żegnaj...

Uwodziciel z Taik patrzył za nią tęsknie, gdy odchodziła na zachód. Towarzysze machali za nią, aż zniknęła za drzewami.

- Ach... - mruknął Balbok.
 - Tak - zgodził się Nestor.
 - Skończyliście już, mięczaki? - mruknął zrzędliwie Rammar.
- To niepojęte! Ork jako czuły tatuś i do tego chory z miłości morderca!
- Nie jestem chory z miłości - pośpiesznie zapewnił Nestor.
 - Gadaj sobie zdrów, mlecznogęby. A teraz ruszajcie się, bo czas nagli!

Przez resztę dnia pięciu towarzyszy maszerowało na południowy wschód. Przemierzali posępną krainę, czarną i gorącą. Niebo wisiało nisko, zaciągnięte dymem i trującymi oparami.

Rammar nigdy dotąd nie myślał, jak może wyglądać otchłań Kurula, ale teraz zdawało mu się, że właśnie w nią wstąpił. Pocił się podobnie jak kompani i nierzadko mieli wrażenie, że stoją w miejscu albo chodzą w kółko. Wielokrotnie musieli obchodzić szerokie szczeliny albo kopce nagle wyrastające przed nimi. Nie raz z pozoru twardy gład nagle rozpadał się pod stopą albo noga wpadała w ukrytą szczelinę, musieli więc bardzo uważać.

Jedynie Ankluas orientował się w tych pułapkach i pewnie prowadził towarzyszy coraz dalej na południowy wschód ku Kal Anar. Musieli często przystawać i sięgać po coraz chudsze bukłaki. Zwłaszcza Rammar czuł, że język spuchł mu w nieforemną kłuchę, i gruby ork niecierpliwie wyczekiwał zmroku.

Lecz gdy zapadła ciemność, ku strapieniu tłusciocha wcale nie zrobiło się chłodniej. Słońce wprawdzie znikło za horyzontem,

jednak pochodzący z głębi ziemi skwar pozostał.

Wyczerpani wędrowcy schronili się pod nawisem czarnej skały przypominającym gwałtownie zastygłą falę płynnego kamienia. Próbowali zasnąć, co jednak nie było takie łatwe. Dobiegające z ziemi nieustanne bulgotanie i syczenie nie ucichło i Rammar, mimo zmęczenia, nawet nie zmrużył oka. Gdy jego brat już po chwili chrapał z Gurnem w zawody, on przewracał się na swoim twardym legowisku. Wreszcie wykończony stęknął i przeciągnął się, aż kości zatrzeszczały mu głośno.

Na tle pomarańczowej poświaty, która wraz z parą wydobywała się z głębin ziemi i rozświetlała blado nocny krajobraz, zobaczył postać siedzącą na jednej ze skał. Spoglądała na południowy wschód, gdzie na dalekim horyzoncie zaznaczał się ognisty żar - Anar, którego za dnia wędrowcy nie mogli dojrzeć, gdyż miasto kryło się za parą i chmurami, a nocą było widoczne nawet z oddali.

Zatem zmierzali we właściwym kierunku...

Postać bez wątpienia była orkiem, a ponieważ brakowało jej jednego ucha, musiał to być Anklus. Rammar, nie mając ochoty na zadawanie się z *ochgurashem*, chciał zaraz znów się położyć, gdy nagle zobaczył, że jednouchy trzyma coś w łapach, i to coś wzbudziło uwagę grubasa, gdyż odbijało blade światło...

Lustro?

Oczywiście, a cóżby innego? Każdy ork wiedział, jak chętnie *ochgurash'hai* przeglądają się w lustrze zupełnie jak baby... Prawdziwemu orkowi, takiemu ze śmierci i rogu, coś takiego nigdy by nie przyszło do głowy!

I nagle nad pustkowiec rozległ się przerażający dźwięk - było to owe przenikliwe skrzeczenie zdolne pozbawić rozumu każdego śmiertelnika... Rammar zerwał się. Serce mu waliło i ogarnęła go

przytłaczająca panika. Pozostali również ocknęli się gwałtownie. Balbok już po chwili stał z toporem w łapach, Gurn i Nestor też sięgnęli po broń.

Ale Ankluas biegł do nich, zapewniając, że pod skalnym nawisem są niewidoczni z powietrza.

- Nie ruszajcie się! - wołał cicho. - Bazyliszek, tam!

Spojrzeni w kierunku wskazanym przez łapę orka i zobaczyli na nocnym niebie zatrzważającą sylwetkę wężoptaka na tle ognistej poświaty Kal Anar. Silnymi uderzeniami ogromnych skrzydeł leciał w kierunku wulkanu.

- Bestie tu też - warknął Gurn.

- Oczywiście, to ich ojczyzna - wyjaśnił jednouchy. - Ten tam leci pewnie zdać raport swemu panu.

- Raport? O czym? - spytał Rammar.

- Kto wie? Może o najnowszych wydarzeniach na wyżynie albo w królestwie krasnoludów.

- Albo o nas - dodał ponuro Nestor.

- Do kroćset - napadł na niego grubas, choć w głębi duszy krył te same obawy - czy ci mlecznogębi zawsze muszą być takimi czarnowidzami?!

- Gdyby bazyliszek nas widział, toby zaatakował - przekonywał Ankluas. - Przynajmniej teraz wiem, że nasze podejrzenia były słuszne: bazyliszki naprawdę pochodzą z Kal Anar i są na usługach tamtejszego władcy.

- Co to za typ?! - warknął Balbok. - Co za *umbal* najmuje takie bydlaki?

- Nie *umbal*, to przemyślny wróg - powiedział jednouchy. - Jeśli chcemy go pokonać, musimy być bardzo ostrożni.

- Pokonać?! - parsknął Rammar. - Kto z nas mówił o pokonywaniu?

- Ty - odparł natychmiast Balbok. - Czy może te dwa skarby już cię nie interesują?

- Dwa skarby? - Nestor i Gurn wytrzeszczyli oczy. - To są dwa?

- No wspaniale! - warknął tłuscioch. - Wielkie dzięki, żeś wszystko wypaplał.

Chudy ork uśmiechnął się naiwnie.

- Jakie dwa skarby? - zażądał wyjaśnień płatny zabójca.

- Nic wam do tego! - ryknął Rammar. - Wy dwaj jesteście tu po to, żeby zasłużyć sobie na wolność i tyle. Koniec kropka. Zmiana drużyny w tunelu, jak mawiają strzepobrodzi.

- W życiu nigdy! - sprzeciwił się grzmiąco Gurn. - Za wolność dość zrobić. Ja iść na północ i przejść góry, wrócić do moja ojczyzna.

- Daleś słowo Corwynowi, nie zapominaj - przypomniał grubas, na co jednak lodowy barbarzyńca odpowiedział tylko pogardliwym parsknięciem.

- Gurn ma rację. - Nestor poparł swego ludzkiego towarzysza. - Naszym zadaniem było tylko wyszpiegować wroga. Jeśli mamy zrobić coś więcej, to będzie odpowiednio drożej kosztowało.

- Ty gnido! - warknął Rammar, mrużąc jedno oko, podczas gdy drugim groźnie mierzył zamachowca. - Zamierzasz stawiać żądania? Możesz mówić o szczęściu, jeśli cię po prostu nie rozgniotę.

- Spróbuj tylko! - natarł na niego Nestor. - Ale to byłoby dość niemądre z twojej strony, gdyż na tym pustkowiu powinienes cię z każdego sprzymierzeńca.

Temu gruby ork nie mógł zaprzeczyć. Zagryzł wargi, łamiąc sobie głowę nad obliczeniami, chociaż rachunki nigdy nie były jego mocną stroną.

Dwa skarby to więcej niż jeden, pewnie. Ale ile zostanie dla każdego, jeśli trzeba będzie te dwa skarby podzielić i to na jeden, dwa, trzy...

- Zgoda - powiedział nagle Ankluas i wyciągnął łapę do Nestora. - Przybij, człowieku.

- Co?! - fuknął Rammar. - Chyba nie mówisz poważnie, jednouchy!

- Czemu nie? Mają zrobić więcej, niż było umówione, i mogą przy tym zginąć. Należy im się część z naszego łupu.

- Naszego łupu?! - powtórzył jak echo grubas. Już chciał dodać, że udział jednouchego w skarbie wcale nie jest przesądzony, ale rozsądek zwyciężył. Sam z Balbokiem nie zwycięży Złego...

Typowe dla *ochgurasha*, że Ankluas tak szybko ustąpił. Nie był z niego prawdziwy ork ze śmierci i rogu. A gdyby się tak głębiej zastanowić, to Rammar sam poradziłby sobie z wrogiem - gdyby nie bazyliuszki!

Postanowił zatem dobić targu. A potem wykiwać swoich kompanów...

- *Korr* - warknął - co mi tam! Załatwimy to razem i podzielimy się łupem.

- Po równo - podkreślił Nestor.

- Niech będzie - skinął głową grubas.

W milczeniu patrzył, jak Nestor i Ankluas ściskają sobie łapy, potem odwrócił się i spojrzął na południowy wschód. Tam w odłali żarzyła się nadal ta pomarańczowoczerwona poświata wskazująca cel ich podróży.

Kal Anar...

6. OINSOCHG UDOUK-KROK'HAI

- Masz jakieś ostatnie życzenie?

Dawniej, kiedy Ortmar z Rumowiska był jeszcze przemytnikiem, często się zastanawiał, jakby to było, gdyby usłyszał to pytanie. Sądził zawsze, że czułby się marnie. Tymczasem wcale nie, wezbrała w nim wściekłość i zdecydowanie.

- Nie - warknął wrogo, mimo że stał ze związanymi rękami i nogami pośrodku placu.

Amazonki otoczyły go szerokim kręgiem, mierząc w krasnoluda dzidami. Była noc, na niebie wisiał nastrojowy księżyc w pełni, lecz na twarzach amazonek nie dostrzegł ani śladu litości.

- Przekłete baby, zróbcie to wreszcie! - rozłościł się Ortmar.

- Przecież i tak nie możecie się już doczekać, kiedy mnie naspikujecie!

- Boisz się - orzekła Zara, jedna z siedmiu przywódczyń plemienia.

- Ależ skądże! - Krasnolud wywrócił oczami. – Czego miałbym się bać, he? Kilku półnagich bab przebranych za wojowniczeki?

Jedna z amazonek drgnęła na te obraźliwe słowa. Już chciała wystąpić, żeby zatkać krasnoludowi bezczelne usta, ale Zara powstrzymała ją ruchem dłoni.

- Nie! - krzyknęła zdecydowanym tonem. - Nie widzicie, że dokładnie o to mu chodzi? Chce nas sprowokować, żebyśmy podarowały mu szybki koniec, ale nic z tego. Odważył się zdradzić podstępnie wielkiego Bunaisa i za karę poniesie najstraszliwszą i najpowolniejszą śmierć, jaką można wymyślić. O świcie - spojrzała na Ortmara – będziesz żałował, że się w ogóle urodziłeś!

Ten zuchwale wyszczerzył zęby, choć niewiele brakowało, by miał pełno w spodniach.

- Ostrza naszych dzid zranią cię, ale nie zabiją - zapowiedziała Zara. - Potem zaprowadzimy cię do jeziora, gdzie nocną porą posokowe ryby wypływają na łowy. Będą powoli obgryzać ci ciało z kości, aż z bólu pomiesza ci się rozum. Ale to dopiero początek, bo gdy posokowe ryby już skończą, zawiesimy cię na drzewie, gdzie zajmą się tobą mrówki. A potem...

Nagle przerwała i przekrzywiła głowę, jakby usilnie nasłuchiwała.

- Co się stało, córo Amaz? - spytała zaniepokojona jedna z wojowniczek. - Wszystko w porządku?

Zara chwilę zwlekała z odpowiedzią.

- Tak mi się zdaje - rzekła wreszcie - ale przez chwilę miałam wrażenie, że coś czuję. Coś, czego nigdy przedtem... - Ponownie zamilkła i przerwała, nim ponownie zwróciła się do więźnia: - Twój koniec będzie straszliwy, krasnoludzie, ale taki koniec czeka wszystkich, którzy źle życzą Bunaisowi...

- Co za bzdura! - rozzłościł się Ortmar z Rumowiska, a w jego złości mniej było odwagi, a więcej czystej rozpacz. - To nie żaden Bunais, tylko postrzelony ork! Maszkara, rozumiecie? Śmierdzący darmozjad ze Stęchłej Marchii, który w całym swoim marnym życiu nigdy nie zrobił nic dobrego!

- W przeciwieństwie do ciebie, chcesz pewnie powiedzieć? - zapytała szyderczo Zara.

- Dokładnie tak! Ja jestem ozdobą mojej rasy i jeszcze nigdy nikogo nie skrzywdziłem. To wszystko to wielkie nieporozumienie, ale wy to pewnie zrozumiecie, dopiero gdy już będzie za późno.

- W każdym razie za późno dla ciebie - chłodno odparła przywódczyni amazonek, po czym skinęła na wojowniczkę, które na ten znak podeszły z uniesionymi dzidami i otoczyły Ortmara ciasniejszym kręgiem. - Zaczynajcie, siostry, za Bunaisa i Amaz!

- Za Bunaisa i Amaz! - odpowiedziały jak echo i krasnolud zrozumiał, że nie ma co liczyć na łaskę.

Po tak wielu przygodach, podczas których zawsze jakoś udawało się w ostatnim momencie ująć cało, tym razem nie było ratunku.

A może jednak?

Nagle krasnoludowi wydało się, że coś czuje. Mroczną obecność, wprost przytłaczającą.

W następnej chwili księżycową noc rozdarł wrzask - tak głośny, że nawet dzikie leśne stworzenia zamilkły z przerażenia.

Amazonki stały sztywno, potem spojrzały po sobie zbite z tropu.

- Tam! - krzyknęła jedna, wskazując niebo, i z czerni nocy wypadł straszny cień. Był to ogromny ptak, nie ptak. Poniżej wielkich nietoperzych skrzydeł widać było tułów węża, a oczy straszliwej istoty świeciły czerwono.

Bazyliszek!

Pierwszy raz w życiu Zara widziała jedno z tych stworzeń, do tej pory znanych jej tylko z opowieści. Kiedy potwór spadał pionowo wprost na wojowniczkę, spojrzała prosto w straszne oczy - i zeszytniała. Nie była w stanie rzucić się do ucieczki ani unieść dzidy - wszystko, co mogła zrobić, to krzyżeć.

Wiele wojowniczek spotkało to samo. Na wioskowym placu wybuchła panika, gdy potwór z szeroko rozdziawionym dziobem pikował w dół, jakby chciał rzucić się na swoje bezbronne ofiary. Jednak tego nie zrobił.

W ostatniej chwili uderzył skórzastymi skrzydłami, przeleciał tuż nad głowami śmiertelnie przerażonych amazoнок i równie nagle, jak się pojawił, zniknął. Jeśli jednak wojowniczkę sądziły, że już po wszystkim, myliły się. Nagle wokół nich otwarła się ziemia.

Wciąż niezdolna ruszyć ręką ani nogą, Zara patrzyła, jak wilgotna ziemia lasu w niektórych miejscach unosi się i pęka, jakby coś z potężną siłą próbowało wyjść na powierzchnię. W następnej chwili w szczelinach pojawiły się kościste dłonie dzierzące wyszczerbione miecze i szable.

- Na Amaz i Bunaisa! - krzyknęła któraś amazonka. - Co to jest?

Za dłońmi poszły ramiona, z których również pozostało niewiele więcej niż białe kości - czasem tylko kleiło się do nich wyschłe mięso lub strzęp ubrania. Z oczodołów trupich czaszek spoglądała na wojowniczkę czysta zgroza, a szczęki układały się w dziwny grymas. Potem z jam wyszły już całe szkielety w zardzewiałych kolczugach i ruszyły do ataku. Tylko te amazonki, które nie spojrzały w oczy bazyliszka, stawiały im słaby opór. Reszta była bezbronna.

Swymi zardzewiałymi mieczami upiory dźgały, przewiercały póżnacie ciała, które zalane krwią padały na ziemię. Wojowniczkę wprawdzie przebijały dzidami kolczugi napastników, ostrza

wnikały głęboko, ale nie wyrządzały szkieletom żadnej szkody. Upiory niepowstrzymanie maszerowały dalej i masakrowały dzielne córki Amaz.

Przerazone piski i śmiertelne krzyki zalały polanę, a ponad wszystko wybijał się straszliwy, dźwięczny śmiech Ortmara z Rumowiska.

Zarę opanował bezsilny gniew. Ponad wszystko pragnęła rzucić się na krasnoluda i położyć kres jego zdradliwemu życiu, jednak paraliż nie ustępował. Nagle tuż przed wojowniczką otwarła się ziemia, spod której wyszedł kolejny szkielet. Klekocząc sfatygowaną zbroją, wyprostował się, zamachnął mieczem i uderzył. Zara poczuła piekący ból, kiedy zardzewiałe żelazo wniknęło głęboko w jej lewe ramię.

Ból wszakże miał też dobrą stronę - wyrwał amazonkę z paraliżu. Choć ranna w lewe ramię, w prawej dłoni wciąż trzymała dzidę, którą sparowała następnym ciosem. Miecz kościotrupa wprawdzie rozłupał drzewce, ale wojowniczka podniosła wysoko nogę i kopnęła upiorka w pierś. Kościej, klekocząc, zatoczył się i upadł na plecy. Zara ze złamaną dzidą w dłoni szukała już wzrokiem następnego przeciwnika. To, co zobaczyła na polanie, nappełniło ją rozpaczą.

W wiosce roило się od upiornych wojowników, kilka chat płonąło, a na placu trwał straszliwy mord. Zara patrzyła bezradnie, jak wiele jej najlepszych wojowniczek pada pod ciosami szkieletów. Do oczu napłynęły jej łzy, ale nie mogła sobie teraz pozwolić na opłakiwanie wspaniałych córek Amaz, bo wojownik, którego pchnęła na ziemię, próbował się podnieść. Nadal trzymał w dłoni miecz.

Amazonka zareagowała zdecydowanie. Skoro przeciwnik był już martwy, nie mogła go zabić, ale zadbała o to, żeby go wyeliminować z dalszej walki. Wyrwała upiorkowi miecz, odrąbała mu nim ręce i nogi i odrzuciła je kopnięciem. Potem przeszła mu ostrzem pierś i przygwoździła kościotrupa do ziemi. Daremnie próbował

wstać, mógł tylko kręcić głową. Z jego gardła wydobyło się wściekłe warczenie.

- Szczeźnij! - krzyknęła na niego Zara.

Nie było to jednak zwycięstwo, gdyż jeden niezdolny do walki wojownik nic nie znaczył w porównaniu z hordą, jaka rzuciła się na wioskę amazonek. Na tle płonących chat Zara widziała ich dziwne postaci. Byli wszędzie, gdziekolwiek spojrzała. Niewiele już mogła zrobić dla ratowania swego plemienia. Mogła jednak zadbać o to, by jej siostry zostały pomszczone!

Tylko wojownik z wyjątkowym sprytem i siłą mógł mierzyć się nawet z wojownikami królestwa cieni.

Bunais...

Nie zważając na bolące ramię, Zara zaczęła biec. Dalej od straszliwych upiorów i od masakry, jaką zgotowały córom Amaz. Przywódczyni amazonek nie chodziło o ratowanie życia, ono i tak było stracone - straciła już mnóstwo krwi, a wciąż wypływała ona ze zranionego ramienia. Z każdą chwilą wojowniczką słabła. Miała tylko nadzieję, że starczy jej jeszcze siły na odszukanie Bunaisa, by mógł dokonać pomsty na tym, który ponosił odpowiedzialność za tę masakrę...

Drogę zastąpił jej szkielet, ale Zara odepchnęła go całą siłą rozpacz. Potem przebiegła w poprzek oświetlonego płonącymi chatami placu. Właśnie słup jednego domostwa złamał się z okropnym trzaskiem. Płonąca platforma przechyliła się, by w końcu z trzaskiem, sypiąc wokół iskrami, uderzyć o ziemię.

Łzy spływały po policzkach Żary, łzy gniewu, smutku i łzy od gryzącego dymu zasnuwającego polanę. Wreszcie była przy wybiegu.

Krzyki walczących i szalejąca pożoga sprawiły, że ptaki wpadły w panikę. Biegały bezładnie na cienkich nogach, uderzały krótkimi skrzydłami i trwożnie gęgając, wyciągały długie szyje. Zara nie

miała czasu na szukanie własnego wierzchowca. Bez namysłu wspięła się na płot wybiegu i wskoczyła na najbliższego ptaka.

Nie był osiodłany ani nie miał uprzęży, mimo to amazonka zdołała zdrową ręką chwycić się pierza i szepnęła wierzchowcowi rozkaz.

Z przenikliwym piskiem ptak odwrócił się. Siedząc na jego grzbiecie, Zara otworzyła bramę wybiegu i zaraz całe stado wyrwało się, tratując kościotrupy i torując drogę amazonce. Ledwie minęła ogrodzenie, energicznie ściskając łydkami boki ptaka, skierowała go na skraj lasu i za moment zniknęła w gęstwinie.

Krzyki i zgroza zostały za nią. Musi tylko, nim straci resztkę sił, dogonić Bunaisa - to prawdopodobnie ostatnie zadanie jej życia...

7. KAL ANAR

Dwa dni później towarzysze pierwszy raz za dnia zobaczyli cel swej podróży.

Dotąd Anar było widoczne tylko nocami jako coraz mocniejsza, choć wciąż odległa poświata. Teraz jednak, gdy w południe trzeciego dnia wędrowcy wspięli się na pagórek, pierwszy raz ujrzeli wulkan w jego prawdziwej ponurej okazałości.

Niby samotny wartownik górował nad posepnym krajobrazem, a ze spłaszczonego wierzchołka wydobywał się ciemny, prawie czarny dym. Gorące powietrze przesiąknięte było gryzącym odorem, jakby we wnętrzu mieszkał potwór dmuchający z nozdrzy oparami siarki.

Widok był równie imponujący, co przytłaczający - ani Balbok i Rammar, ani ich ludzcy towarzysze nie wyobrażali sobie, że góra będzie tak ogromna. Żaden tego nie powiedział, ale na widok Anar zdrętwieli ze strachu i mimo skwaru sierść zjeżyła się orkom na karkach.

- Do kroćset - Nestor powiedział to, co wszyscy myśleli - ależ to przekłete paskudztwo jest wielkie.

- Faktycznie - zgodził się Ankluas. - Krasnoludy chciały kiedyś ujarzmić wulkan i użyć go do swoich celów. Palenisko, którego nigdy nie trzeba rozniecać i w którego żarze stopi się każdy metal. Lecz o ile wiem, również ta ekspedycja nigdy nie wróciła i zupełnie nie wiadomo, co spotkało jej uczestników.

- *Shnorsh!* - powiedział Balbok. - Zdaje mi się, że wiem...

- Co wiesz? - spytał zdziwiony Rammar.

- Co przytrafiło się krasnoludom.

- Ach tak? - Grubas uniósł brwi. - A skąd, na pierdzącego Ludara, mógłbyś to wiedzieć?

- Popatrz tam. - Chudzielec wskazał kotlinę na północnym wschodzie.

Czaszki! Sterczały na spiczastych kamiennych słupach ciągnących się wzdłuż wąwozu. Było ich tak wiele, że nie policzyłyby ich żaden ork.

- Masz rację - powiedział przybity Ankluas. - Krasnoludów najwyraźniej spotkał okrutny los.

Wędrowcy zeszli ze wznesienia. Rzeczywiście większość tych czerepów tkwiła kiedyś na krasnoludzkich ramionach. Były zmumifikowane; pokrywała je wysuszona skóra, długie włosy i brody trzepotały na wietrze.

- Cóż - mruknął Rammar i skrzywił się - wygląda na to, że chłopaki kompletnie straciły głowę.

Nikt, nawet Balbok nie zaśmiał się z tego żartu, którym Rammar tylko próbował pokryć swoje przerażenie. Każdy z nich wiedział, co go czeka, gdyby ich odkryto...

- Te czaszki ustawiono tu tylko z jednego jedyne go powodu - głoś jednouchego zadrżał - by odstraszyć nieproszonych gości.

- I co? - spytał Nestor. - Damy się odstraszyć?

- Nie ma mowy! - warknął Balbok.
- To jest granica Kal Anar - rzekł Ankluas. - Za szpalerem tych słupów zaczyna się mroczna kraina. Kiedy do niej wejdziemy, nie będzie odwrotu.
- I dobrze - skwitował Balbok, unosząc topór. - Ktokolwiek za tym wszystkim stoi, najwyższy czas, żeby dla odmiany jemu odrąbać łeb.
- *Korr* - zgodził się ktoś mrukiwie, o dziwo żaden z orków, tylko Gurn Lodowy Barbarzyńca.

Wędrowcy ruszyli w dalszą drogę. Przeszli przez makabryczny las kamiennych pali, gdzie - Rammar był tego pewien - obrąbane głowy posyłały mu ostrzegawcze spojrzenia. Poczul ulgę, kiedy kotlina została za ich plecami. Potem skierowali się na północ, gdzie stroma ścieżka znów wiodła w górę.

W miarę możliwości trzymali się pod osłoną skalnych nawisów i wąwozów, by ich nie odkryto. Nikt nie odzywał się ani słowem, ale nie tylko z powodu zmęczenia - każdy z nich odczuwał też przygnębienie, jakim emanowała ta jałowa kraina. Kładło się ono cieniem na ich umysłach i zaczęli już rozumieć, co Ankluas miał na myśli, mówiąc o „mrocznej krainie”.

Z rzadka pozwalali sobie na krótki odpoczynek, gdyż nigdzie nie czuli się naprawdę bezpiecznie. Woleli pozostawać w ruchu, jednak z powodu skwaru i uciążliwości terenu co jakiś czas musieli przystawać na krótkie przerwy. Również zapasy żywności szybko się skończyły. Tylko ci, którzy oszczędnie dozowali sobie zawartość bukłaków, mieli jeszcze coś do picia. Rammar oczywiście do nich nie należał i teraz z wysuszonym gardłem i palącą krtanią zazdrośnie patrzył na mniej łapczywych kompanów.

Nie dość, że w czarnej krainie na zachód od Kal Anar nie było wody ani roślin, jak okiem sięgnąć na tym smutnym, migocącym od upału pustkowiu nie było też śladów cywilizacji. Tym większe

wrażenie robiły na nich kontury miasta rysujące się w oddali. Miasta, które zdawało się wyrastać ze stromych zboczy wulkanu.

- Kal Anar - powiedział Ankluas tonem, który nie spodobał się Rammarowi.

Nie tylko braciom orkom zaparło dech ze zdziwienia, również Nestor i Gurn nigdy w życiu nie widzieli nic podobnego. Każde inne miasto, w jakim kiedykolwiek powstała ich noga, było zbudowane na płaskiej ziemi, natomiast Kal Anar wznosiło się niemal pionowo w górę.

Dziwaczne, wysokie i wąskie budowle podparte drewnianymi palami stały przyklejone do zboczy. Ulic w zwykłym sensie tego słowa tu nie było, zamiast nich między stojącymi ciasno jeden przy drugim domami biegły strome ścieżki. Tylko tu i ówdzie widzieli sztucznie stworzoną platformę albo naturalną półkę mogąca służyć za miejsce zebrania albo plac targowy.

Za spiczastymi, krzywymi i krętymi dachami widać było rozległą przestrzeń oświetloną mdłym światłem dnia - Morze Wschodnie, z którym od południa graniczyła ta jałowa kraina. Wzdłuż wybrzeża niczym ostre noże sterczały niebezpieczne przybrzeżne rafy - Słupy Śmierci strzegące portu Kal Anar skuteczniej niż jakakolwiek twierdza.

Od lądu miasta - rozciągającego się od południowego do zachodniego zbocza Anar - bronił szeroki mur kreślący zygzakowatą linię na skale. W najwyższym punkcie stała biała wieża spiralnie wkręcająca się w niebo. Nad nią górował tylko groźny szczyt zasnawający wszystko ciemnym dymem.

- Wężowa Wieża - oznajmił Ankluas. - Starsza niż jakakolwiek inna budowla Lądu.

- Zatem najwyższy czas - mruknął przekornie Balbok - zburzyć to paskudztwo.

- *Korr* - jednogłośnie przytaknęli Rammar i Gurn.

- Przemawiacie pochopnie, przyjaciele - zauważył jednouchy.
- Tę wieżę okrywa mroczna tajemnica. Nikt nie wie, kto ją zbudował, gdyż kiedy przed wiekami do Łądu przybyły pierwsze elfy, ona już stała. Powinniśmy...

Ankluas przerwał. Rammar chciał go zapytać, co się stało, kiedy i on zobaczył - wąwozem jechała grupa konnych. Cały patrol! Żołnierze z Kal Anar...

- Kryć się! - syknął Nestor, ale to nie było potrzebne, gdyż w mgnieniu oka wszyscy padli na ziemię. Przykucnięci za skałami odczekali chwilę, by się upewnić, czy nie zostali odkryci. Wokół panował spokój, więc Balbok zaryzykował ostrożne zerknięcie.

- I co? - zapytał z dołu Rammar.

- Jeszcze tu są - odpowiedział szeptem brat - ale nas nie zauważyli. Jadą na zachód.

- Daj popatrzeć!

Grubas niezgrabnie usiadł, by też rzucić okiem przez krawędź skały. Chudy ork miał rację: jeźdźcy - dziesięciu krępych wojowników w czarnych zbrojach i hełmach zakrywających całą twarz - jechali w kierunku zachodzącego słońca. Ich konie były małe i przysadziste i zdawały się stworzone do tej niegościnnej okolicy. Zbrojni dzierżyli lance, na których powiewały proporce, czarne z czerwonym znakiem. Rammar drgnął - ów znak przedstawiał bazyliżka.

- Nie będzie łatwo dostać się do miasta - rzekł Nestor. - Musimy coś wymyślić.

- Świetnie, spryciarzu! - Rammar sapnął głośno. - A niby co?

- Moglibyśmy się podzielić - zaproponował płatny zabójca. - Gurn i ja poszlibyśmy przodem i rozejrzeli się w sytuacji. Ludzie na pewno mniej rzucają się w oczy niż orkowie.

- Bzdura! - ofuknął go Balbok. - Obejrzelście sobie tych jeźdźców? Sięgają Gumowi najwyżej do pasa.

- Zgadza się - potwierdził jednouchy ork. - Mieszkańcy Kal Anar są inni niż ludzie z północnego zachodu. Ich przodkowie pochodzą z dalekiego Arun...

- I co z tego? - sprzeciwił się Rammar. - Na kogo zareagują bardziej wrogo, na obcego z północy czy na orka? Ja jestem za tym, żeby przyjąć propozycję Nestora. Niech on i barbarzyńca ruszą przodem, a my zostaniemy tutaj i ułożymy plan.

- Jaki plan? - spytał Balbok.

- Dureń! - uniósł się tłuścioch. - Skąd mam wiedzieć, skoro jeszcze nie mamy tego planu?

- Ale jeśli puścimy ludzi przodem i zostaną odkryci, wtedy zostaniemy sami z całym kramem. - Chudzielec pokręcił głową sceptycznie.

- Tak, zostać będzie najciężej, ale jako orki z kości i rogu weźmiemy na siebie to ryzyko - rzekł obłudnie Rammar.

- To ja idę z nimi! - Balbok przekornie wyduł dolną wargę.

- Nie, zostaniesz! - warknął Rammar. Nie żeby bał się o życie brata, ale w żadnym razie nie chciał zostać sam na sam z Ankluasem. W końcu nigdy nie wiadomo, jak taki *ochgurash* wykorzysta sytuację. - Zostaniesz ze mną... tchórz!

Nestor i Gurn zaczęli, aż nad czarną kamienną pustynią zapadnie ciemność i niebo nad Anar znów zabarwi się ognistą czerwienią. Potem wyruszyli.

Ankluas surowo przykazał im jak najmniej rzucać się w oczy i unikać walki. Rammar dodał, żeby - gdyby zostali ujęci - w żadnym wypadku nie zdradzili miejsca pobytu swoich towarzyszy, bo - argumentował ork - odebraliby sobie wszelką szansę uwolnienia. Umówiono się, że jeśli za cztery dni Nestor i Gurn nie wrócą,

orkowie wyruszą do Kal Anar ich szukać. W rzeczywistości Rammar ani o tym myślał. Ewentualne ujęcie mlecznogębnych przez wroga zamierzał potraktować jak sygnał do odwrotu...

Pod osłoną ciemności zamachowiec i lodowy barbarzyńca ruszyli ku dalekim murom miasta - równie czarnym jak otaczający je krajobraz. Rozżarzona poświata wulkanu zalewała blanki ognistym blaskiem, podobnie jak spiczaste dachy. Najjaśniej jednak świeciła Wężowa Wieża przewyższająca wszystkie inne budowle w mieście. Z niej - choć w przeciwieństwie do reszty miasta zbudowanej z białego kamienia - brała początek owa mroczna moc zagrożająca Lądowi.

Kryjąc się za każdą skałą i każdym uskokiem terenu, Gurn i Nestor podeszli pod mury i z niemalym zdziwieniem stwierdzili, że nie ma w nim nie tylko żadnej wieży, ale i bram. Zamiast nich pod fortyfikacjami, otaczającymi miasto niby śpiący wąż, do środka prowadziły wykute w czarnej skale tunele.

Wejścia do nich - od zachodu dwa - były dobrze strzeżone. Mało, że zamknięte podwójną kratą, dodatkowo każdego pilnowało pięciu żołnierzy. Nestor i Gurn znów zobaczyli tych dziwnych wojowników z szerokimi, wygiętymi mieczami u pasa. Płatny zabójca nie wątpił, że jeden ich cios wystarczyłby, by strącić mu głowę.

Postanowili więc poszukać szczęścia nieco dalej w górę zbocza. Teren stawał się tam bardziej niedostępny i mury były słabiej strzeżone. Tam mogło im się udać!

Wspinaczka była jednak prawdziwą torturą - nie tylko z powodu gorąca i siarkowych oparów. Przede wszystkim musieli się bardzo pilnować, by nie dostrzeżono ich z murów. Światło księżyca nie przenikało wprawdzie gęstego dymu, ale poświata z gardzieli Anar zmieniała ciemność ha zboczach w zdradliwy półmrok.

Wielokrotnie, gdy straż nawoływały się ze swych posterunków, wędrowcy w pośpiechu szukali kryjówki. Z bijącymi sercami czekali potem, czy okrzyki się powtórzą. Gdy milkły lub oddalały się, ruszali ostrożnie. Gdyby choć rozumieli mowę wartowników...! A tak każde słowo brzmiało w ich uszach jak śmiertelne zagrożenie.

Przygarbieni skradali się dalej. Kolejne schronienie znaleźli za skalnym blokiem oddalonym zaledwie dwadzieścia kroków od muru. Pod trójkątnymi blankami dostrzegli wielkie, wygięte w dół żelazne kolce mające odstraszyć ewentualnych intruzów. Mur zbudowano bowiem z wielkich, grubo ciosanych kamiennych bloków, których spojenia mogły służyć za oparcie doświadczonemu wspinaczowi.

- Poczekaj tutaj - szepnął do barbarzyńcy Nestor i wyskoczył z kryjówki. Dopadł do fortyfikacji i przywarł do rozgrzanego kamienia. Spojrzał na Guma, który dał mu znak, że przy blankach nic nie zauważono. Zamachowiec począł się wspinać.

Bezgłówna wspinaczka po ścianach nie była dla niego niczym nowym. Nader często w ten sposób dostawał się do komnat swoich ofiar, by wbić im nóż między zębra. Nie odczuwał wtedy nigdy skrupułów ani żalu. W ostatnich dniach jednak coraz częściej łapał się na tym, że wspomnienie tego, co wcześniej robił i kim kiedyś był, napelnia go niesmakiem. Dawniej Nestor był samotnikiem, który nigdy się nie przejmował, co myślą o nim inni. Przejścia ostatnich dni zmieniły to jednak.

Na własnej skórze przekonał się, jak to jest, gdy ktoś ma właśnie obłupić cię ze skóry, a tu nagle na pomoc przybywają dwa orki. Dziwne, ale akurat te dwie maskary uświadomiły mu, że dobrze jest nie być samemu. I że o wiele więcej można uzyskać, działając ramię w ramię...

Dłonie Nestora bez trudu znajdowały oparcie na porowatym kamieniu. Podciągał się i przesuwiał w górę muru wysokiego może

na czterech mężczyzn. Wolał nie patrzeć w dół - jeden zły chwyt, a spadnie i połamie wszystkie kości.

Żelazne kolce, mające służyć obronie przed intruzami - i zapewne skuteczne, gdyby ci użyli drabin obłęzniczych - jemu tylko pomogły we wspinaczce. Po krótkiej chwili był już na ganku straży. Przykucnął w cieniu i ostrożnie się rozejrzał. W pobliżu nie widział żadnego wartownika. Dopiero kawałek dalej dojrzał dwóch pogrążonych w rozmowie.

Nestor wcisnął się między blanki i dał Gumowi znak, na co barbarzyńca przemknął do muru. Dorastając na mroźnej północy, już jako dziecko wspinał się po ostrych lodowych rafach - to należało do prób odwagi barbarzyńskiej młodzieży. Gdy podciągnął się na żelaznych kolcach, płatny zabójca wyciągnął do niego dłoń i Gurn również bezpiecznie wylądował na ganku.

- I? - spytał szeptem.

- Wieża. - Nestor wskazał połyskującą pomarańczowo-czerwono budowlę górującą nad miastem. - Tam musimy iść.

- I? - powtórzył Gurn.

- Poszukamy sobie kącika, z którego będziemy mogli rozeznaczyć się w położeniu.

- *Korr* - zgodził się lodowy barbarzyńca, któremu najwyraźniej spodobało się to słowo z języka orków.

Obaj pobiegli gankiem. Unikali czerwonej poświaty promieniującej ze szczytu góry i trzymali się w cieniu. Nie niepokoje ni dotarli w ten sposób do kamiennych schodów prowadzących w dół. Znów Nestor poszedł przodem, a Gurn zaczekał. Zamachowicie bezgłośnie zbiegł ze schodów i skrył się w cieniu domów nieopodal muru. Dopiero gdy był prawie pewien, że nikt go nie obserwuje, pośpiesznym gestem dał znak barbarzyńcy.

Z bliska budynki miasta wyglądały jeszcze dziwniej niż z daleka. Były obite ciemnym drewnem pochodzącym z pewnością jeszcze z dawnych czasów, nim płynny żar z wnętrza Anar zalał zbocza wulkanu, oszczędzając jednak miasto. Słupy podpierające budynki ozdobiono rzeźbami obcych bóstw i powykrzywianych twarzy, podobnie jak narożne belki i ściany szczytowe. Z narożników dachów zwisały świeące przedmioty, które dwaj intruzi wzięli początkowo za lampiony. Dopiero po bliższym przyjrzeniu stwierdzili, że to czaszki, w których płoną świece z loju. Puste oczodoły przerażająco patrzyły w parną noc.

Nie tylko Nestor, również lodowy barbarzyńca wzdrygnął się przerażony. Kal Anar wręcz emanowało poczuciem zagrożenia, a na uliczkach zalegał wszechobecny zapach siarki. Mimo to Nestor i Gurn ruszyli w dalszą drogę. Wąskimi uliczkami i po stromych schodach wbiegli do wyżej położonej części miasta, nie spotykając po drodze żywej duszy.

- Do krośset, gdzie oni wszyscy są? - Zamachowiec mówił bardziej do siebie niż do swego towarzysza. - Czy tu nie ma żadnej tawerny? Żadnych pijaków, włóczących się nocą wśród domów?

Okna i drzwi domów były zamknięte, nikąd nie przenikał promień światła. Można by niemal pomyśleć, że idą przez wymarłe miasto.

- To miejsce mi się nie podoba - stwierdził Nestor, a Gurn chrząknął potakująco.

Po długiej wspinaczce wąskimi schodami, których stopnie były tak nierówne, że obaj wiele razy się potykali, dotarli wreszcie na plac. Pośrodku wolnej przestrzeni wzniesiono wiele szubienic, każda zajęta...

- Do krośset, co to...? - wyjąkał tylko Nestor, czując, jak przyspiesza mu puls.

- Niedobrze - warknęła półgłosem Gurn, patrząc na wisielców.
- Gdyby Gurn tak chciał, to zostać w Tirgasa Lan.

Barbarzyńca niewątpliwie miał rację - by skończyć na szubienicy, nie musieli odbywać tej dalekiej, niebezpiecznej podróży na wschód. W głowie Nestora odezwał się ów wewnętrzny głos, który już nieraz uratował mu życie.

- Znikajmy stąd - szepnął zamachowiec do swego towarzysza i chciał chwycić go za ramię, by pociągnąć go w cień. W tym momencie dostrzegł ruch pod drewnianym podestem, na którym ustawiono szubienice.

Wewnętrzny głos Nestora już nie szeptał, darł się wniebogłosem i wrzeszczał na alarm. Płatny zabójca płynnym ruchem odrzucił pelerynę, wyszarpnął zza pasa nóż i cisnął nim w półmrok. Rozległ się chrzęst, gdy ostrze przebiło drewno podestu, a zaraz po nim przerażony krzyk.

- Dalej! - syknął Nestor do barbarzyńcy i razem rzucili się pędem do szafotu pochwycić wroga. Obcy stał przerażony i patrzył na nóż, który ledwie o włos minął jego prawe ucho. W następnej chwili Gurn już go chwycił i wyciągnął z ukrycia, wprost pod światło makabrycznych lampionów rozmieszczonych na dachach również wokół placu.

Był to mężczyzna w średnim wieku. Po jego przygarbionej sylwetce, żółtawej cerze i wąskich oczach towarzysze natychmiast poznali, że mają przed sobą mieszkańca Kal Anar. Nie był to jednak strażnik, jak w pierwszej chwili myśleli - mężczyzna nie miał broni ani zbroi, jedynie szerokie nogawkę i równie szeroko skrojoną kurtkę związaną sznurkiem. Jego wąskie oczy zerkały z przerażeniem to na Nestora, to na Gurna. Oczywiście ten człowiek próbował coś wyjąkać, ale żaden z nich nie rozumiał, o co mu chodzi. Nestor jednak domyślał się trochę - doświadczenie mu podpowiadało, że tak właśnie ludzie błagają o darowanie życia...

- Bez obaw - próbował wyjaśnić mamroczącemu w panice tubylcowi. - Nic ci nie zrobimy, rozumiesz? Ale musisz nam powiedzieć, co tu się dzieje. Kim są ci ludzie, których tu stracono?

Żadnej odpowiedzi. Mężczyzna rozumiał intruzów równie mało, co oni jego.

- Kim byli ci ludzie? - powtórzył Nestor, wskazując na wisielców.

Błysk w wąskich oczach świadczył, że obcy zrozumiał. Wielokrotnie powtarzanym gestem wskazał najpierw zwłoki, a potem Nestora i Gurna.

- Rozum stracić - warknął barbarzyńca i zamachnął się pięścią. - Lepiej zrobić martwy.

- Nie, czekaj! - Zamachowiec powstrzymał go. - On chyba próbuje nam coś powiedzieć!

Nestora ogarnęło nagle podejrzenie, które natychmiast sprawdził, przyglądając się bliżej wisielcom. Rzeczywiście, nie byli to mieszkańcy Kal Anar, ale obcy, ludzie z zachodu!

- A więc już wiadomo, co stało się ze szpiegami, których wysłał król Corwyn - szepnął.

Gurn odpowiedział przeciągłym *shnorsh*.

Tubylec zaskamlał kilka słów i próbował się wyrwać, lecz barbarzyńca trzymał jego ramię w żelaznych kleszczach.

- Co on chce? - spytał.

- Nie wiem. - Nestor wzruszył ramionami.

- Czemu nie mówić jak człowiek? - burknął Gurn. - Lepiej mu w łeb, wtedy koniec niebezpieczeństwo.

- Jeszcze chwilę - poprosił zabójca, który dostrzegł zmianę w oczach jeńca. Teraz całą uwagę skupił on na nocnym niebie i Nestor zrozumiał, że mężczyzna obawia się nie tyle Gurna, co czegoś przyczajonego w powietrzu.

Czując okropny ucisk w żołądku, podniósł wzrok - akurat w tym momencie, kiedy nocną ciszę przerwał straszny pisk!

Z krateru wulkanu wzbil się bazyliżek. Na tle płonącego wnętrza góry wyraźnie widać było jego sylwetkę, gdy na skórzastych

skrzydłach szybował w powietrzu. Dwukrotnie okrążył Wężową Wieżę, potem wzniósł się wysoko nad dachy miasta.

- Do krośset, szybko, znikajmy stąd! - rzucił Nestor.

Na placu bystre oczy bazyliuszka łatwo mogły ich dostrzec.

Gurn puścił tubylca, na co ten wcisnął głowę w ramiona i pomknął chyżo prosto w jedną z przylegających do placu uliczek.

- Za nim! - syknął Nestor i pobiegli, starając się nie stracić jeńca z oczu w wąskich zaułkach, słabo oświetlonych i biegnących to w górę, to w dół. Znów usłyszeli skrzeczenie bazyliuszka, a kiedy płatny morderca zaryzykował spojrzenie w górę, zobaczył potwora przelatującego nisko nad dachami miasta. Cicho zaklął i pobiegł dalej za skośnookim, ale ten zniknął. Ścieżka kończyła się szerokimi schodami z obu stron otoczonych bramami domów - a tubylca ani śladu.

- On uciec! - warknął Gurn. - Lepiej rozbić łeb, mówiłem.

- Tak - zgodził się Nestor - może masz...

Nie dokończył zdania, bo jedne drzwi uchyliły się nieco. W panującej w środku ciemności zamajaczyła znajoma twarz. Ich jeńiec trwożliwie spojrział na niebo, po czym skinął na Nestora i Gurna.

- Patrzcie tylko! - szepnęła zamachowiec. - Wygląda na to, że zyskaliśmy przyjaciela.

Lodowy barbarzyńca chrząknął niezadowolony.

- Lepiej go w łeb - przypomniał, ale wszedł do wnętrza domu za swym towarzyszem.

Przechodząc pod niską framugą, nawet Nestor musiał schylić głowę. W domu nie było całkiem ciemno, ale potrzebowali chwili, nim jego oczy przywykły do skąpego światła rzucanego przez żar na palenisku. Potem zobaczyli, że mężczyzna nie jest w domu sam. Stała przy nim kobieta i gromadka dzieci, wszyscy mizerni i w łachmanach.

Trwożnie wpatrywali się w gości - przede wszystkim w lodowego barbarzyńcę, który dwukrotnie przewyższał ich wzrostem i stał skulony w ich izbie, nie mogąc wyprostować karku, by nie uderzyć głową w powałę.

- Patrzcie, patrzcie - mruknął Nestor. - Wygląda na to, że właśnie znaleźliśmy tu krewnych.

- *Korr* - burknął Gurn i nie było nic do dodania.

Quia cieszyła się, że znów jest pod gęstym dachem liści Lasów Szmaragdowych. Pożegnanie z Bunaisem i jego towarzyszami przyszło jej z trudem, lecz czuła ulgę, że opuszcza jałowe pustkowie. Tamtejsze powietrze było gorące i przeniknięte trującymi oparami - to dlatego właśnie amazonki uznały te tereny za kraj zakazany. Zło, jak mówiono, bierze początek w Kal Anar.

To, że Bunais właśnie tam zmierzał, z jednej strony martwiło amazonki, z drugiej żywiły gorącą nadzieję, że ich praojciec położy kres mocy zła, która stamtąd pochodzi. Ta nadzieja uskrzydlała Quię w drodze powrotnej do wioski.

Dlatego zamiast iść piechotą, jak robiła to wcześniej z uwagi na Bunaisa i jego towarzyszy, teraz poruszała się w sposób właściwy amazonkom - wysoko nad powierzchnią ziemi skakała z drzewa na drzewo, czasem skacząc na lianach. W ten sposób podróż, która w tamtą stronę trwała prawie sześć dni, skróciła się o ponad połowę. Nocą Quia spała w koronach drzew, zwracając uwagę, by unikać tych z duszącym pnączem.

Tylko czasem wracała na ziemię, by znaleźć coś do jedzenia. Zwinnie zeskakiwała z wysokiej gałęzi na miękką ściółkę z dzidą w na pół uniesionych dłoniach - nigdy nie wiadomo, czy w pobliżu nie czai się jakiś drapieжник, również szukający pożywienia. To właśnie podczas jednej z takich przerw usłyszała nagle podejrzane dźwięki: trzaski i szelesty w zaroślach.

Amazonka natychmiast zorientowała się, że to wierzchowy ptak. Zwierzę musiało być dość zmęczone, może nawet ranne. Quia wyprostowała się zaniepokojona. A widok, który ujrzała, wstrząsnął nią do głębi.

Błękitno-szare upierzenie ptaka było w wielu miejscach nadpalone i poczerniałe, jego postawa i kiwająca się na boki, nisko opuszczona głowa zdradzały skrajne wyczerpanie. Jeszcze gorszej wyglądała wojowniczką zwisająca z nieosiodłanego grzbietu swego wierzchowca i ledwie przytomna. Jedno ramię zarzuciła na cienką szyję ptaka, drugie było zalane krwią...

- Zara! - krzyknęła przerażona Quia, rozpoznawszy w rannej wojowniczkę przywódczynię swego plemienia.

Wierzchowy ptak ochryple zaskrzeczał i niespokojnie zatupał chudymi nogami.

Mimo własnego wzburzenia Quia zdołała uspokoić zwierzę. Potem ostrożnie wzięła Zarę za zdrową rękę i zsunęła ją z grzbietu ptaka, by ułożyć raną na miękkim listowiu. Starsza amazonka ocknęła się.

- Quia - wydyszała, rozpoznając towarzyszkę. - Co z Bunaisem?...

- Nie obawiaj się - odpowiedziała szybko dziewczyna. - Bunais i jego towarzysze mają się dobrze. Doprowadziłam ich na skraj lasu i zawróciłam.

- T...to dobrze... - Fala bólu wstrząsnęła umęczonym ciałem Żary. Głęboka, nieopatrzona rana ziała na jej lewym ramieniu. Z twarzy spłynęła resztką koloru, oczy się zeszkliły.

- Co się stało? - spytała zrozpaczona Quia, czując, jak do oczu napływają jej łzy.

- N...napad - szepnęła ranna. Jej głos nie miał już nic z dawnej wyniosłości przywódczyni amazonek. Był ledwie jego ochrypłym echem.

- Kto? - zapytała dziewczyna.

- Wojownicy ciemności - zabrzmiała cicha odpowiedź. - Rycerze z kości, dawno polegli i zgnili, a mimo to żywi...

Młoda amazonka niepewnie spojrzała w bladą twarz przywódczyni. Czy może dać wiarę jej słowom? A może śmierć już zagląda jej w oczy i sama nie wie, co mówi?

Zara wyczuła myśli Quii.

- To prawda - zapewniła zaklinającym głosem. - Słyszysz? To prawda... Naszego plemienia już nie ma... wszystkie oprócz mnie zabite...

- Nie - zaszlochała przerażona dziewczyna.

- To... prawda... musisz działać... znajdź Bunaisa i... powiedz mu... nas pomścić...

- R... rozumiem - wyjąkała młoda wojowniczką, ale tak naprawdę nic nie zrozumiała. Dopiero co była jeszcze w drodze do domu, a teraz nagle miałoby tego domu wcale nie być?

- ...wioska stoi w ogniu - mówiła dalej Zara, a jej ciałem wstrząsały bóle. Krew wystąpiła jej na usta i pociekła z kącików. - Krasnolud tylko się śmiał... sztychł z nas... uszedł naszej zemsty...

- Ciii - łagodnie uspokajała ją Quia. - Nie mów. Jesteś za słaba i musisz...

Mimo bólów ranna zdobyła się na uśmiech.

- Moja... podróż... skończona... musisz... znaleźć Bunaisa...

- Znajdę - obiecała dziewczyna, trzymając w swoich dłoniach lepkie od krwi dłonie swej przywódczyni, swej siostry i przyjaciółki. - Zrobię wszystko, czego żądasz, ale proszę, nie odchodź. Nie zostawiaj mnie samej, słyszysz?

- Ty... mnie... nie potrzebujesz... - powiedziała Zara ledwo dosłyszalnym głosem. Jej oczy patrzyły już w pustkę. - Zawsze byłaś... najdzielniejsza z nas wszystkich... teraz ostatnia... zadbaj, aby... nasz lud... został pomszczony...

- Tak zrobię - cicho zapewniła Quia.

Ta odpowiedź sprowadziła pełen ulgi uśmiech na twarz rannej, potem jej zmaltretowane ciało ostatni raz wyprężyło się z bólu. Zwiotczała, jej głowa opadła, było po wszystkim.

Dziewczyna długo patrzyła na martwą postać w swoich ramionach. Pozwoliła płynąć łzom. Słyszała szelesty w koronach drzew i miała nadzieję, że to ich przodkinie przysły po duszę Zary. Na chwilę, która dla niej trwała wieczność, przykucnęła tak z martwym ciałem swej przywódczyni w ramionach i oddawała się żałobie.

Pląkała nie tylko nad Zarą, ale też nad wszystkimi siostrami. Chciała wrócić do wioski i spojrzeć na nie ostatni raz, ale przypomniała sobie obietnicę daną Żarze. Zagłada córek Amaz nie powinna pozostać bez pomsty. Musi powiadomić Bunaisa, co się stało.

Im szybciej, tym lepiej...

Ciężko przyszło Quii pozostawić Zarę tak po prostu na ziemi, gdzie mogły ją dopaść drapieżniki lub padlinożercy. Ale zgodnie z przekonaniem amazonek, ciało przestaje mieć jakąkolwiek wartość, gdy opuści je dusza. Te, które na to zasłużyły, bo dobrze żyły albo dzielnie walczyły, wrócą pewnego dnia w innym ciele. Dziewczyna pocieszała się więc, że może kiedyś znów ujrzy swoją towarzyszkę. Klęcząc, skłoniła się głęboko i energicznym gestem otarła z oczu łzy.

Oстрым gwizdem przywołała wierzchowego ptaka, który nieco z boku położył się na ziemi i odpoczywał. Zwierzę posłusznie zareagowało, a kiedy wstało, nie wyglądało już nawet na tak zmęczone.

Quia przemówiła uspokajająco, pogłaskała długą szyję, na co ptak ufnie opuścił głowę i przytulił się do niej. Amazonka poczekała jeszcze chwilę, aż przywyknie do jej zapachu, potem wskoczyła na grzbiet wierzchowca.

Ptak nie bronił się, przeciwnie, zdawał się uspokojony, gdy znów poczuł jeźdźca. Z braku cugli i upręży amazonka po prostu

ścisnęła go udami. Posłusznie ruszył w kierunku, z którego dopiero co przybyła Quia - z powrotem do zakazanego kraju.

Nie ujechali jednak daleko, gdy coś zaszeleściło w podszyciu lasu. Nie był to drapieżnik, jak obawiała się w pierwszym momencie dziewczyna, lecz rycerze na koniach - wojownicy w czarnych zbrojach i hełmach całkowicie zakrywających twarze. W dłoniach trzymali lance, na których czubkach trzepotały straszne proporce z godłem Kal Anar...

Bazyliszek...

Głuchy rozkaz padł spod jednego z hełmów i rycerze natychmiast rzucili się na wojowniczkę. Spłoszony ptak uskoczył przed jeźdźcami, zaś amazonka uniosła dzidę i rzuciła ją w pierwszego napastnika - lecz utwardzone w ogniu drewno odbiło się od napierśnika rycerza. W następnej chwili oprawcy byli przy niej.

Quia biła pięściami, ale nie była w stanie wyrządzić żadnej szkody zbrojom przeciwników. Nagle w skroń trafiła ją rękojeść lancy. Dziewczyna poczuła piekący ból i straciła przytomność.

Ogarnęła ją ciemność. Amazonka spadła z grzbietu wierzchowego ptaka, wylądowała na miękkich liściach i leżała bez ruchu. Ostatnim, co słyszała, był szydarczy śmiech...

8. ANN KOMHARRASH UR'SNAGOR

Wieczorem następnego dnia patrol powrócił. Było to owych dziesięciu jeźdźców, których orkowie widzieli poprzedniego dnia. Rammar, Balbok i Ankluas znów z ukrycia obserwowali przejeżdżających żołnierzy.

I wtedy zaparło im dech!

Zbrojni ciągnęli na łańcuchu wielkiego wierzchowego ptaka. Obok niego jechało dwóch jeźdźców, najwyraźniej znajdujących rozrywkę w drażnieniu go dzidami. Potem trzej towarzysze dostrzegli w środku orszaku półnągą młodą kobietę o rudych włosach, która siedziała związana na koniu.

- Quia! - wyrwało się ochryple Balbokowi.

Orkom zjeżyła się sierść na karku. Widocznie dziewczyna w drodze powrotnej została napadnięta przez patrol i ujęta. Ale dlaczego? I skąd nagle wziął się ptak?

- W wiosce amazonek coś musiało się stać - powiedział Ankluas. - Coś strasznego.

- Czemu tak myślisz? - zapytał Rammar. Jednouchy zmierzył go nieprzeniknionym wzrokiem.
- Nazwij to przecuciem.
- Jasne. - Grubas skrzywił się, gdyż tymi słowami Ankluas rozwiął ostatnią wątpliwość: powszechnie wiadomo, że *ochgurash'hai* mają więcej uczuć niż każdy inny ork!
- Musimy uwolnić Quię! - stwierdził Balbok.
- Co? - Rammar myślał, że się przesłyszał.
- Musimy uwolnić Quię! - powtórzył jego brat.
- *Umbalu*, zdaje ci się pewnie, że jesteś dowcipny?
- Jak to? - Balbok nie zrozumiał.
- Orkowie nie ryzykują swojej *asar* dla jakiejś ludzini! - pouczył go grubas.
- Ale ona nie jest jakąś ludzinią! - niemal wykrzyknął chudzielec. - To moja córka!
- Co? - Rammarowi zabrakło tchu. - To najgorsze *shnorsh*, jakie ci w życiu wyszło. Ludzini nie jest twoją córką!
- Ależ jest, bo jestem Bunaisem!
- Nie jest! A ty nie jesteś Bunaisem!
- Kto to powiedział?
- Ja, do kroćset!
- A skąd to wiesz?
- Bo jesteś orkiem i basta!
- Skąd to możesz wiedzieć?
- Hę? - Rammar patrzył na niego z niedowierzaniem.
- Skąd możesz wiedzieć? - powtórzył swoje pytanie Balbok. - Może dziewczyny mają rację i naprawdę jestem ich pragrzmotkiem.
- Mówi się praprzodkiem - poprawił gniewnie grubas. - Popatrz na mnie. Kim jestem?
- Orkiem - bez zwłoki odpowiedział chudzielec.
- *Korr*. A Ankluas, kim jest?
- Też orkiem - odparł Balbok.

- W każdym razie mniej więcej - burknął Rammar.
- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał jednouchy niespokojnie, jakby czuł się zdemaskowany.

- Nic. - Grubas wymigał się od odpowiedzi. - Tylko to, że mój brat kompletnie zbzikował. Najwyraźniej bycie orkiem już nie wystarcza szanownemu panu. Wolałoby się być człowiekiem i...

- Tego nie powiedziałem! - bronił się Balbok. - Chodzi mi tylko o to, że nie ma różnicy, czy jestem Bunaisem, czy nie. Amazonki myślą, że jestem, i polegają na mnie.

- I co z tego?

- I dlatego uwolnię Quię - oznajmił chudzielec i nim jego brat zdążył się sprzeciwić, wyskoczył zza skały w toporem w łapach. Długimi susami popędził w dół zbocza, które mijali jeźdźcy.

- Nie! - krzyknął zrozpaczony Rammar, rwąc sobie z głowy i tak rzadkie włosy. - Co ten *umbal* wyrabia? Na grzmiącego Kurula, czym zasłużyłem sobie na takiego brata?

- Musimy mu pomóc! - zdecydował Ankluas, patrząc w dół. Balbok już prawie dopadł zbrojnych. - Inaczej rozniosą go na kawałki!

- A niech rozniosą! - wrzasnął grubas. - Nie ruszę pazurem. Kim niby jestem, żebym miał dla tego *umbala* narażać się na śmiertelne niebezpieczeństwo? Niech zobaczy, że beze mnie nie da sobie rady ten niewydarzony, podły, głupkowaty...

Lament Rammara nagle ucichł, bo oto również jednouchy chwycił broń i puścił się biegiem za Balbokiem.

Oczywiście wojownicy dawno ich odkryli i wstrzymali konie. Chudy ork dotarł do pierwszego jeźdźca, zamachnął się toporem i głowa w helmie poleciała w górę, na co pozostali rycerze opuścili włócznie i ruszyli do ataku.

- *Shnorsh!* - krzyknął Rammar. - Czemu właśnie mnie to się musi przydarzać? Czemu właśnie ja mam kretyna za brata?

Czemu, do kroćset? Jak ja go nienawidzę! Tak, nienawidzę go...!

Z tym okrutnym wyznaniem gruby ork chwycił swój *saparak*, przegramolił się przez skały i również ruszył biegiem w dół zbocza.

Wtedy to się stało - potknął się i upadł, a reszty już dokonała grawitacja. Wrzeszcząc i piszcząc bojowo, groźna kula orczego tłuszczu poturlała się w dół i wpadła w sam środek walczących!

Stukot kopyta kazał mu odwrócić głowę - akurat by ujrzieć Rammara i zbliżające się do niego zabójcze ostrze włóczni! Chudzielec w ostatniej chwili zdołał się uchylić, a mgnienie oka później *saparak* Rammara strącił jeźdźca z siodła.

Ankluas i Balbok zaciekle walczyli, chudy ork tym łacniej, że dzięki swemu wzrostowi prawie mógł patrzeć w oczy siedzącym na koniach jeźdźcom. Ściął łeb już drugiemu jeźdźcowi, a przerażony wierzchowiec poniósł jego bezgłowe ciało.

W tym czasie Ankluas miał do czynienia z dwoma przeciwnikami naraz. Jedno, pomyślał Rammar, sapiąc, trzeba było jednouchemu przyznać: Jak na *ochgurasha* walczył wcale dzielnie... Grubas pośpieszył mu z pomocą, dźgnął *saparakiem* i wojownik z przebitym gardłem zsunął się z konia. Jego kompan stracił na chwilę rezon, a wtedy klinga Ankluasa przebiła mu pierś.

- Dobra robota! - krzyknął jednouchy i skinął głową Rammarowi.

- Ba! - odpowiedział pogardliwie ork. - Tylko nie wyciągaj z tego przedwczesnych wniosków, rozumiesz?

Ochryply krzyk Balboka kazał im się odwrócić. Poza dwoma, pilnującymi Quii, wszyscy wojownicy zwrócili się przeciw chudemu orkowi, napierając na niego ze wszystkich stron, a ten wściekle wywijał ogromnym toporem.

Balbok strzaskał trzy włócznie, czwarta jednak przebiła mu lewy bark i wyszła na wylot. Chudzielec krzyknął, choć bardziej z zaskoczenia niż bólu, wyszczerzył zęby i warknął głośno, a w jego żółtych oczach pojawiły się ciemne żyły - nieomylny znak, że ogarnia go *saobh*...

Jeździec najwyraźniej nigdy wcześniej nie miał do czynienia z orkiem, inaczej w te pędy rzuciłby się do ucieczki. I ta niewiedza go zgubiła. Zabójczy topór Balboka szerokim łukiem przeciął powietrze i spadł z ogromną siłą, by rozplatać na pół nie tylko rycerza, ale i jego konia.

Pozostali napastnicy krzyknęli przerażeni. Ich konie zarżały niespokojnie i cofnęły się, przez chwilę wojownikom musiała przemknąć przez głowę myśl o ucieczce. Potem jednak zebrali się znów na odwagę i ponownie zaatakowali wysokiego orka. Zapomnieli jednak o Rammarze i Anklusie, którzy skoczyli na pomoc swemu towarzyszowi.

Pierwszego rycerza trafił ciężki kamień rzucony przez jedno-uchego. Zabrzęczała blacha, gdy pocisk odbił się od hełmu, strącając jeźdźca z konia. Lewa stopa utknęła mu w strzemieniu i uciekający koń powlókł za sobą wojownika.

Pozostali dwaj, odrzuciwszy złamane włócznie i dobywszy swych dziwnych mieczy z szerokimi, wygiętymi w łuk klingami, pognali wierzchowce na orków. Jeden z rycerzy skoczył z siodła na Anklusasa jak drapieżnik, drugi zaatakował Rammara z konia.

Miecz napastnika krążył tak szybko, że grubas z trudem unikał ciosów.

Nagle ostrze spadło!

Rammar podniósł *saparak* i w ostatniej chwili zdołał zablokować zabójczy cios zaledwie kilka szerokości pazura od swej twarzy. Człowiek i ork patrzyli na siebie ponad skrzyżowaną bronią - aż grubas postanowił zakończyć walkę inaczej.

Z przenikliwym rykiem rzucił się całym ciałem na konia przeciwnika. Rżąc przeraźliwie, szkapa odskoczyła i zrzuciła jeźdźca, który potoczył się po skale. Grubas nie lubił biegać, więc zamiast rzucić się w pościg, cisnął *saparakiem*. Ostrze przewierciło ciało wojownika, kiedy ten akurat się podnosił. Rammar chrząknął pełen satysfakcji, kiedy zaświtało mu, że teraz i tak będzie musiał pobiec po broń.

Ankluas nie mniej zacięcie toczył walkę z wojownikiem, który na niego skoczył. Splątani tarzali się po ziemi - co Rammarowi skojarzyło się więcej niż jednoznacznie - wreszcie człowiek chwycił kamień i uderzył nim jednouchego w łeb. Na chwilę ork stracił przytomność, kiedy jednak rycerz dobył miecza, Ankluas nagle zadarł pooraną bliznami głowę i zaatakował bykiem. Hełm przeciwnika zadźwięczał, oszołomiony wojownik wypuścił broń, zaś jednouchy jednym potężnym ciosem pięści pozbawił go czucia.

Ciężko dysząc, obaj orkowie ruszyli na pomoc Balbokowi, ale niepotrzebnie, bo ten, nie tracąc czasu, zatroszczył się o strażników Quii. Teraz u jego pasa wisiały dwa świeże skalpy. Chudzielec zdjął amazonkę z grzbietu konia i uwolnił ją z więzów.

- Bunais - szepnęła. Ledwie zdjął jej sznury, objęła go z wdzięcznością, a grubas odwzajemnił uścisk najdelikatniej, jak potrafił.

Amazonka szlochała. Łzy strumieniami spływały po jej trupio bladej twarzy. Ankluas słusznie podejrzewał: musiało się stać coś strasznego...

- Quia, co się stało? - zapytał jednouchy. - Kim byli ci ludzie?

- Żołnierze z Kal Anar - zabrzmiała cicha odpowiedź. - Napadli mnie, gdy... gdy... - Znów zaniosła się łkaniem. Balbok próbował ją pocieszyć, przemawiając łagodnym tonem.

To, że z braku właściwych słów recytował przepis na *bru-mill*,

nie było takie ważne. Samo słuchanie Bunaisa zdawało się uspokajać amazonkę.

- T...to Zara - wyjąkała w końcu drżącym głosem, z ociąganiem puszczając Balboka. - Spotkałam ją w Szmaragdowym Lesie śmiertelnie ranną...

- Zara jest ranna?! - wykrzyknął zdziwiony Ankluas.

- Nie - zaprzeczyła, kręcąc głową, Quia. - Ona jest... martwa. Umarła mi na rękach.

- Kto? - zapytał wściekle Balbok.

- Nie... nie wiem. Zara mówiła coś o rycerzach ciemności. O wojownikach, którzy mieli same kości i właściwie dawno powinni być martwi...

- Ale nie są - powiedział przygnębiony Ankluas. - To upiory, wojownicy z grobów przywróceni do świata żyjących przez czarną magiczną siłę.

- Upiory? - powtórzył Rammar. - Co to za bajdy? Albo ktoś jest martwy, albo nie jest. Nie można być bardziej albo mniej martwym.

- Nie mam powodu wątpić w słowa Zary - stwierdziła smutno Quia. - Ciężko ranna uciekła z wioski i poleciła mi szukać Bunaisa. - Znów do oczu napłynęły jej łzy, ale szybko je otarła. - Wielki Bunaisie - zaczęła, starając się nadać swemu głosowi twarde brzmienie - plemię twych córek zostało wybite prócz mnie jednej. Proszę cię, pomścij moje siostry.

- Tak zrobię! - zapewnił Balbok. - Znajdę tego, kto odpowiada za śmierć moich córek, i je pomszczę. Obiecuję ci!

- Długo nie trzeba będzie szukać - skomentował Ankluas.

- Jak to rozumiesz? - nie rozumiał Rammar.

- To proste, winnego znajdziemy w Kal Anar!

- W takim razie mamy jeszcze jeden powód, żeby odwiedzić to przeklęte miasto - powiedział chudy ork i zawarczał groźnie.

- Albo żeby porzucić tę misję - wtrącił grubas i wszyscy spojrzeli na niego z wyrzutem.
- Mówisz poważnie? - spytał jednouchy.
- Oczywiście. Bazyliuszki są okropne, ale jeśli ten nędzny bękart, który siedzi na tronie w Kal Asar...
- Anar - poprawił Balbok.
- ...ma jeszcze do dyspozycji upiory, to wydaje mi się trochę za dużo jak na trzech orków, prawda?
- Trzech orków i dwóch ludzi - poprawił Ankluas.
- Trzech ludzi - poprawiła Quia drżącym głosem. - Nie spocznę, póki mój lud nie zostanie pomszczony.
- No, to słyszałeś. - Chudzielec gniewnie kiwnął głową. - Zjednoczonymi siłami damy radę.
- Zjednoczonymi siłami... - bąknął szyderczo Rammar. - W ostatniej wojnie orkowie i mlecznogębi już raz zjednoczyli siły i co z tego wyszło? *Shnorsh!* Co cię napadło?! A może to od gadaniny Alannah o pokoju i zgodzie rozmiękły ci resztki mózgu?
- J...jak to rozumiesz? - wyjąkał jednouchy.
- Kiedy gada takie bzdury, to jakbym słyszał to przeklęte elfie babsko - burknął tłuścioch.
- Ale on ma rację - Ankluas poparł chudego orka.
- Nie, nie ma - sprzeciwił się Rammar. - Ta cała sprawa jest kłopotem mlecznogębych, nie naszym. Nie mam zamiaru odwalać brudnej roboty za Corwyna ani za kogoś się mścić. Chodzi mi tylko o skarb, nic więcej, ale i skarb na nic mi się nie przyda, jeśli będę martwy. Wracam do domu.
- Nie mamy już domu - przypomniał mu Balbok.
- To znajdziemy sobie nowy. Każdy dom jest lepszy niż ciemna jama Kurula.
- A co z Ortmarem? - spytał podstępnie Ankluas.
- A co ma być? - warknął grubas. - Amazonki go powiesiły, strzępობrody to już historia.

- To... to niestety niedokładnie tak - z ociąganiem oznajmiła Quia.

- Co?!!! - krzyknął Rammar

- Najwyraźniej napad na wioskę miał miejsce, zanim można było wykonać na nim wyrok - opowiadała dziewczyna. - Może nawet miał z tym coś wspólnego, bo Zara opowiadała mi, że się śmiał, kiedy rycerze ciemności atakowali.

Gruby ork patrzył na amazonkę przerażony.

- Czy to ma znaczyć, że ten brodaty mały gówniarz wciąż żyje i może nawet jedzie z wrogiem na jednym wózku?

- To możliwe. - Skinęła głową Quia.

- A niech to! - Rammar zamachnął się i wbił *saparak* w ziemię. - To nie może być prawda!

- I co teraz? - spytał jednouchy. - Dalej chcesz zawrócić?

- Pozwolić uciec Ortmarowi? - Tłuscioch pokręcił wielkim łbem. - Nigdy!

- *Korr*. - Balbok skinął głową zadowolony.

Dopiero to ustalwszy, usiadł i zajął się swoim ramieniem. Już wcześniej złamał na dwie części tkwiącą tam włócznię, a teraz zatroszczył się o ranę, z której nieprzerwanie płynęła czarna orcza krew. Splunął na nią i rozprowadził ślinę i krwawienie zaraz ustało.

Podnosił się właśnie, gdy z dalekiego miasta dobiegł ich głuchy sygnał, tak niski i przenikliwy, jakby chciał doprowadzić gorące powietrze do drzenia.

- Co to było? - spytała przestraszona Quia.

- Dowiemy się - odpowiedział gniewnie Balbok.

- Co to było, na założycieli Taik?

Nestor i Gurn spojrzeli po sobie. Dla kamuflażu nosili obszerne oponcze i kaptury, które osłaniały ich twarze.

Niski dźwięk brzmiący tak ponuro i niesamowicie, jakby wydobywał się wprost z głębi góry, trwał przez wlokącą się w nieskończoność chwilę, potem zamilkł.

- Nie wiedzieć - odpowiedział Gurn. - Ale jedno pewne, ludzie boją.

Lodowy barbarzyńca niewątpliwie miał rację, gdyż gdziekolwiek by Nestor nie spojrział, wszędzie na schodach i wąskich uliczkach widział przestraszone twarze.

Co się tu dzieje?

Pozostałe im dni wykorzystali na rozpoznanie sytuacji w Kal Anar. Tubylec, którego spotkali zaraz po przybyciu do miasta, miał na imię Lao i z wdzięczności za darowanie życia nie tylko zapewnił im schronienie, ale nawet próbował odpowiadać na ich pytania. Oczywiście było z tym trochę problemów, gdyż on nie znał mowy ludzi zachodu, zaś Nestor i Gurn nie rozumieli dialektu arunijskiego, którym mówiono w Kal Anar. Obficie gestykulując i od czasu do czasu pomagając sobie małymi rysunkami, zdołali jednak dowiedzieć się kilku zasadniczych rzeczy.

Ludzie w mieście żyli w ciągłym strachu. Dobrze osiem miesięcy temu najwyraźniej stało się coś, co zmieniło losy jego mieszkańców. Coś powróciło. Coś ciemnego, złego z mroków przeszłości odnalazło drogę na świat i nappełniło wszystkie serca trwogą.

To coś rezydowało w Wężowej Wieży i sprawiało, że w Kal Anar zapanował strach i na porządku dziennym stały się okrutne egzekucje. Szkaradne wężowe stwory, grasujące w powietrzu, były na usługach tej złowieszczej mocy.

Nestor i Gurn wiedzieli, że mowa o bazyliškach, ale nie rozumieli, jaki jest ich związek z wieżą, a nie chcieli wracać do orków, zanim wszystkiego nie wyjaśnią. Postanowili iść do twierdzy wroga, by się tego dowiedzieć, ale Lao energicznie ich powstrzymał. Na ile potrafił, wyjaśnił im, że to samobójstwo, i poprosił o cierpliwość. Wszystko wskazywało na to, że w najbliższych dniach stanie się coś, co da odpowiedź na ich pytania. Więc czekali.

Pierwszy dzień spędzili w domu Lao i dopiero nocą odważyli się wyjść na ulice. Potem jednak zrobili się odważniejsi i w opończach, które dostali od gospodarza, również za dnia rozglądali się po mieście. Dokładniej - Nestor się rozglądał, a Gurn patrzył głównie pod nogi, bo musiał się garbić, by nie odstawać bardzo wzrostem od innych.

W dzień na uliczkach Kal Anar panował ożywiony ruch. Ludzie zajęci byli pracą jak w każdym innym mieście: rzemieślnicy w warsztatach otwartych na ulice wytwarzali nowe przedmioty, kupcy handlowali na targowiskach i bazarach. Jednak Kal Anar było miastem jak każde inne tylko na pierwszy rzut oka. Kto patrzył dokładniej, ten widział różnice. A im dłużej Nestor i Gurn przebywali wewnątrz murów, tym więcej tych różnic dostrzegali.

Pierwszą byli prawie wszechobecni żołnierze. W czarnych zbrojach i z przyłbicami spuszczonej na twarz wyglądali ponuro i groźnie i gdziekolwiek nie pójdź, spotykało się liczne uzbrojone po zęby patrole. Na tarczach widniało godło Kal Anar, czerwony bazyliśzek. Mieszkańcy bali się ich i mieli ku temu powody. Wielokrotnie Nestor i Gurn widzieli, jak żołnierze wyłapują z tłumu przypadkowych mężczyzn i kobiety i biją ich prawie na śmierć.

Egzekucja groziła nawet za niewielkie wykroczenia. Rzadko zdarzał się dzień, żeby jakiś nieszczęśnik nie skończył na szubienicy. Co by było, gdyby wyszło na jaw, że Nestor i Gurn są poszukiwanymi w swej ojczyźnie przestępcami, o tym człowiek z Taik wolał nie myśleć.

Trwoga była w Kal Anar wszechobecna. Nawet najbledsze uśmiechy gasły natychmiast, gdy tylko zbliżyli się żołnierze. Jednak strach budzili nie tylko mężczyźni w czarnych zbrojach...

Mieszkańcy często podejrzliwie spoglądali ku wieży górującej nad ich miastem. Początkowo Nestor i Gurn tego nie zauważyli, ale im dłużej przebywali w mieście, tym większy wpływ i na nich

wywierała ta ponura budowla. Jakby kładł się mroźny cień, jakby ogarniały ich dziwna ociężałość i smutek w parze z nieokreślonym poczuciem zagrożenia. Mimo to zostali w mieście i kiedy usłyszeli ów zagadkowy sygnał, zaświtało im, że właśnie na to przez cały czas czekali.

Wraz z tajemniczym dźwiękiem jakby zabrzmiał bezdźwięczny rozkaz, bo w ludziach Kal Anar dokonana się odmiana. Cokolwiek akurat robili, zostawiali to, jak stało - rzemieślnicy porzucali narzędzia, przechodnie kupione przed chwilą towary, kupcy pieniądze. Raptem wszyscy odwracali wzrok ku groźnej budowli wysoko nad miastem, z której tajemniczy sygnał dobiegał.

Ludzie ruszyli, tłoczyli się tuzinami w wąskich uliczkach i przeciskali na schodach, wstępując na stopnie Wężowej Wieży.

- Do krośset, co ich najść?! - warknął Gurn, któremu to wszystko wydało się podejrzane. Zresztą jako barbarzyńca z północy nie ufał niczemu, co było bardziej złożone niż cios mieczem albo co gorsza, podśmierdywało magią - kolejna cecha wspólna z orkami. On i Nestor z trudem przeciskali się przez zdążające w górę tłumy ludzi.

- Nie mam pojęcia co - zamachowiec wrzucił ramionami - ale wydaje mi się, że to właśnie jest okazja, o której mówił Lao.

Lodowy barbarzyńca warknął gniewnie.

- Gdzie mały człowiek?

To rzeczywiście było dobre pytanie. Lao towarzyszył im w drodze na rynek, jednak zniknął, gdy zabrzmiał sygnał, i od tamtej chwili nie wrócił. Nie było też już nadziei na odnalezienie go w falującym tłumie.

- Nie potrzebować go - zdecydował krótko Gurn. - Sami iść do wieża.

Nestor pokręcił głową. Lao orientował się w mieście i znał język tubylców. Już wiele razy im pomógł, gdy przechodnie wyrażali

zdziwienie wielkością Gurna. Mieć Lao u boku oznaczało dodatkową ochronę przed zdemaskowaniem, a teraz? Jedno było pewne - nie mogli przegapić tej okazji na przyjrzenie się Wężowej Wieży.

Wmieszali się więc w strumień ludzi płynący w górę po wąskich, wykutych w kamieniu stopniach. Gurn wcisnął głowę w ramiona, a Nestor unikał patrzenia otaczającym im ludziom w oczy. Jednak nikt, ale to nikt nie interesował się dwoma obcymi. Odkąd rozbrzmiał sygnał, wszystkie twarze w Kal Anar przybrały dziwny, nieobecny wyraz. Co, na kamiennych bożków z Taik, dzieje się teraz w tym mieście?

Mieszkańcy parli ku wieży z takim pośpiechem, jakby stu pierwszych miało dostać wypchane sakiewki. Już się nie bali, byli niczym ćmy zlatujące się do światła pochodni, by w nim marnie spłonąć.

Pierwszy raz, odkąd Nestor i Gurn przybyli do Kal Anar, znaleźli się w wyżej położonej części miasta. Po stromych, szerokich schodach dotarli wreszcie na plac przed ogromną budowlą górującą wysoko nad miastem i zdającą się nad nim panować. Z bliska Wężowa Wieża robiła jeszcze większe wrażenie. Sposób, w jaki wzbijała się ku szaremu, zasnutemu chmurami dymu niebu, miał w sobie rzeczywiście coś wężowego, jakby olbrzymi gad wznosił się nad strome zbocze i skamieniał. Inaczej niż domy miasta, czarne i szare od wszechobecnej sadzy, migotała matową bielą, co wyjaśniało również, dlaczego nocą, gdy żar wulkanu kładł się na miasto, była widoczna z daleka.

W górnej części, gdzie wieża stopniowo się zwężała, miała kilka okrągłych okien, ale jedynym wejściem była wysoka brama na platformie, do której prowadziły szerokie schody. Stali tam mężczyźni w czarnych togach z symbolem bazyliczka na piersi. Ich skrytych pod kapturami twarzy nie było widać. W milczeniu spoglądali na tłum.

Każdy mężczyzna, każda kobieta i każde dziecko w Kal Anar zdawało się podążać za tajemniczym wezwaniem. Ledwie jednak docierali na plac, przymus, który nimi kierował, zdawał się słabnąć i z cichą obawą spoglądali ku mężczyznom w togach. W końcu jeden z nich wystąpił.

Władczym gestem uniósł ramiona, na co zapanowała absolutna cisza. Nestor i Gurn wymienili wiele mówiące spojrzenia - kimkolwiek były te zakutane typy, wyraźnie to one tu rządziły.

Zakapturzony powiedział tylko jedno słowo:

- Xargul.

Przez tłum przebiegł szept jak podmuch wiatru krótko przed burzą. A potem ludzie z Kal Anar zaczęli powtarzać:

- Xargul. Xargul. Xargul...

Monotonny śpiew tysięcy krtani...

Nestor i Gurn znów spojrzeli po sobie. Nie znali języka Kal Anar i nie mieli pojęcia, co znaczy to słowo. Miało jednak złowieszczy, niepokojący dźwięk, zwłaszcza gdy dobywało się równocześnie z tak wielu gardeł. Zamachowiec znów zadał sobie pytanie, czego oto są świadkami...

Zakapturzony przez chwilę przysłuchiwał się złowieszczemu, monotonnemu nuceniu tłumy, potem ponownie uniósł ręce i fanatyczny chór ucichł równie nagle, jak rozbrzmiał. Spod kaptura budzącej zgrozę postaci rozległ się głuchy głos, który powiedział kilka słów niezrozumiałych dla Nestora i Gurna. Wiele daliby za to, by mieć przy sobie Lao, ale nie było go nigdzie widać.

Reakcja ludzi była jednoznaczna. Przez tłum przelatywały szepty i płatny zabójca widział, jak na twarze wokół wraca dawny strach. Wtedy wrota wieży otwarły się i wymaszerował z nich oddział żołnierzy, opancerzonych i uzbrojonych. Stanęli po dwóch przy każdym zakapturzonym, potem zeszli po schodach do ludu.

Co zdarzyło się potem, tego stojący z tyłu Nestor i Gurn nie widzieli, ale zorientowali się, że wybuchł tumult. Usłyszeli krzyki i zamachowiec spostrzegł, że żołnierze dobywają mieczy i siekają nimi wokół.

Barbarzyńca warknął pogardliwie, gdyż dla niego atakowanie bezbronnych kobiet i dzieci było oznaką tchórzostwa. Również Nestor poczuł gniew, który zaskoczył nawet jego samego. Nie tak dawno przecież sam sprzedawał swoją uzbrojoną w nóż dłoń i bez skrpułów wbijał ostrze między zębra niewinnym i bezbronnym, jeśli tylko mu dobrze płacono. Co, do krośset, się z nim dzieje? Ta podróż chyba mu nie służy. A może to przez towarzystwo orków?

W końcu zakapturzeni i żołnierze wrócili na platformę - wlokąc młodych mężczyzn daremnie próbujących wyrwać się oprawcom. Podczas gdy większość tłumu nadal stała w milczeniu i bezruchu, więźniowie wyrwali się z letargu. Szarpali się dziko i krzyczeli ze wszystkich sił, lecz ani żaden ze zbrojnych nie okazał im współczucia, ani nikt z tłumu nie przyszedł im z pomocą. Ci, którzy mieli coś przeciw temu, leżeli martwi w kałuży własnej krwi. Reszta chciała przeżyć.

Jeńców ustawiono w szeregu i zmuszono, by ukłękli. Potem rozległ się ostry rozkaz i również tłum na placu padł na kolana. Nestor zrozumiał - Wężowa Wieża nie jest siedzibą zwykłego władcy, ale bóstwa, a te typy w togach są kimś w rodzaju kapłanów...

Nie chcąc rzucać się w oczy, dwaj szpiedzy również ukłękli ku wielkiemu niezadowoleniu Gurna – barbarzyńca czuł wewnętrzny opór przed kłękaniem przed kimkolwiek. Widzieli, że dwóch zakapturzonych przyniosło zamknięte gliniane naczynie, na co ten chyba najważniejszy z nich wziął w dłoń przedmiot wyglądający jak wielkie szczypce. Pomocnicy unieśli wieko, a on sięgnął szczypcami do naczynia i wydobył coś grubego na palec, długiego na łokieć i wijącego się wściekle.

- Wąż - wyrwało się Nestorowi, jednak tak cicho, że do słyszał go tylko Gurn. - Co, do krośset...?

Zakapturzony podszedł do pierwszego jeńca, który jęcząc z bólu, klęczał przed nim. Dał znak żołnierzom, a ci chwycili więźnia, podnieśli go nieco i brutalnie otwarli mu usta. Wtedy arcykapłan wepchnął mu żywego węża do gardła!

Dało się słyszeć gulgotanie, gdy nieszczęśnik się dławił, jednak już kilka chwil później gad znalazł drogę przez gardło. Człowiek upadł i leżał nieruchomo na ziemi.

- Do krośset, co to ma znaczyć? - szepnęła Nestor do towarzysza. - Co oni z nimi robią?

Rzecz jasna, Gurn Lodowy Barbarzyńca nie znał odpowiedzi.

Również pozostali jeńcy zostali zmuszeni do połknięcia węzów. Jeden z nich krzyczał panicznie, ale potem zamilkł i znieruchomiał jak wszyscy.

- Xargul! Xargul! Xargul! - zaśpiewał znów tłum i zamachowiec zrozumiał: to nie jest słowo z języka Kal Anar, to imię. Imię owego bóstwa, które rezydowało w Wężowej Wieży i któremu kapłani złożyli właśnie ofiary z ludzi. I nagle człowiek z Taik zrozumiał, dlaczego na uliczkach miasta panował strach: każdy mógł być następną ofiarą!

Przyciągnięto kolejnego więźnia. Nestor i Gurn wstrzymali oddech, gdy poznali, kto to.

Lao...

Niski człowieczek rozpaczliwie wił się w uchwycie oprawców, ale opancerzeni czarno żołnierze wlekli go bezlitośnie do arcykapłana, który znów sięgnął po szczypce.

- Niedobrze - burknął niespokojnie barbarzyńca i pociągnął towarzysza za rękaw. - My szybko zniknąć.

- Masz rację... - Nestor już chciał się odwrócić, gdy Lao wybuchnął przerażonym wrzaskiem. Było go słyhać na całym placu. Strażnicy chwycili go i otwarli mu usta, by kapłan mógł dokonać swego okrutnego dzieła.

- My iść! - nalegał Gurn.

Ale Nestor ociągał się. Przeżony patrzył, jak arcykapłan podchodzi do Lao ze szczypcami i wijącym się gadem. Oczy Lao niemal wypadły z orbit, a głos mu się załamał, gdy - tak podejrzewał morderca z Taik - głośno błagał o łaskę.

Również po przeciwnej stronie placu nagle rozległy się głośne krzyki. To żona Lao i jego dzieci, które bezradnie musiały się przyglądać egzekucji ich ojca.

- Iść! - jeszcze raz powtórzył Gurn. Chwycił Nestora za ramię i chciał pociągnąć go w najbliższą uliczkę, ale dawny płatny zabójca niespodziewanie mu się wyrwał.

Do kroćset, co z nim?!

Dawniej zamachowiec nie miał żadnego problemu z przyglądaniem się konaniu niewinnych. Lamenty wdów i sierot były mu obojętne, a teraz mięknie z powodu odrobiny krzyku?

Nie!

Nestor chciał razem z Gurnem opuścić to makabryczne miejsce - gdy zdławione krzyki Lao przeszły w gulgotanie. Arcykapłan wtykał mu żywego węża do gardła, a jedyni, którzy mogli mu pomóc, uciekali.

To nie było w porządku. Gdy tego potrzebowali, Lao pomógł im, nie zważając na niebezpieczeństwo, na które narażał siebie i swoją rodzinę...

- Gurn... - zaczął tylko Nestor.

Barbarzyńca zatrzymał się i wymienili spojrzenia, które mówiły więcej niż tysiąc słów.

- *Shnorsh!* - warknął Gurn.

Ponieważ dwuręczny miecz został w domu Lao (broń była za duża i zbyt rzucała się w oczy, by nosić ją pod opończą), noże Nestora pozostały ich jedyną bronią - ale to musiało wystarczyć.

Lodowy barbarzyńca ruszył przodem, robiąc przejście w tłumie, i obaj znaleźli się bliżej platformy. Nestor rozchylił opończę,

chwycił dwa noże i wyszarpnął je zza pasa. Nie mieli czasu - Lao wprawdzie bronił się jeszcze przed połknięciem węża, ale już za kilka chwil będzie za późno... Z zimną krwią i wieloletnią rutyną Nestor wziął zamach, namierzył cel - i rzucił!

Nóż, koziołkując, pokonał odległość trzydziestu, czterdziestu kroków - i wbił się w ciemność pod kapturem arcykapłana. Ten zatoczył się i cofnął rękę ze szcypcami i węzem. Pozostali kapłani nie rozumieli, co się stało, i spoglądali po sobie pytająco, zaś żołnierze struchleli. Arcykapłan upuścił szcypce, które wraz z węzem wyładowały na podłogę, i chwycił kaptur. Niezgrabnym ruchem odrzucił go, a wtedy wszyscy ujrzeli twarz starca i rękojeść noża tkwiącego w lewym oku.

Przez tłum przeszedł krzyk przerażenia, również kapłani wybuchnęli panicznym piskiem. W następnej chwili starzec upadł i legł bez ruchu, a jeszcze nim kapłani i żołnierze pojęli, co się dzieje, Nestor puścił w ruch dwa następne noże.

- Biegnij, Lao! - krzyknął z wszystkich sił, kiedy ostrza dosięgły dwóch trzymających go oprawców.

Panika wybuchła zarówno na schodach, jak i na całym placu - panika, którą jeniec rzeczywiście wykorzystał, by poderwać się na nogi i uciec. Jeden z żołnierzy pobiegł za nim, ale padł ugodzony nożem w szyję. Kapłani z głośnym krzykiem rzucili się do wieży, niektórym z nich spadły kaptury, ukazując stare, wyschłe twarze. Żołnierze uformowali wokół nich ochronny kordon.

Nestor miał ochotę posłać jeszcze kilku na tamten świat, ale Gurn go odciągnął. Wykorzystali osłonę tłumy, jednak na wąskich uliczkach strumień ludzi spiętrzył się i nie posuwał do przodu.

Zerkając przez ramię, zamachowiec stwierdził, że świątynne straże otrzymały wzmocnienie. Z wieży wyszedł cały oddział

ciężkozbrojnych, zbiegł po schodach i żołnierze już szukali mordercy.

- Do krośset, musimy zniknąć! - syknął Nestor, a Gurn znów wkroczył do akcji. Jak pływak pracował wielkimi ramionami, odsuwając na boki tych, którzy stanęli mu na drodze.

W ten sposób posuwali się wprawdzie szybciej, ale też ściągali na siebie niepożądaną uwagę. Nestor słyszał, jak strażnicy wykrzykują do siebie pośpieszne rozkazy. Nagle ktoś chwycił jego opończę i pociągnął. Tkanina rozdarła się z trzaskiem i spadła - teraz każdy mógł zobaczyć, że Nestor jest obcy. Więcej, szeroki skórzany pas, w którym brakowało kilku noży, był jednoznaczny z przyznaniem się do winy.

- *Umbal!* - szepnął do niego Gurn, chwycił towarzysza i pociągnął za sobą.

Strażnicy za nimi krzyczeli, pewnie „stać!”, „poddajcie się!” lub coś w tym rodzaju, lecz oni nie zamierzali tego robić. Jednak w ciasnocie nie mogli posuwać się dalej, a barbarzyńca stracił rozeznanie, w którą stronę powinni uciekać. Obrął więc inną drogę - po dachach.

Nie pytał Nestora, czy zgadza się na taki plan. Bez ogródek rzucił go na jeden z niższych daszków, po czym sam zwinnie wspiął się po słupie. A dalej wiadomo - oby jak najdalej od wieży!

Musieli uważać, by nie ześliznąć się po pokrytych pyłem i sadzą dachówkach. Biegli najszybciej jak mogli, nieraz mając wrażenie, że konstrukcja ugina się pod nimi. Dotarli już do końca dachu i byli zmuszeni skoczyć ponad uliczką na następny.

Nie zwlekali, żaden nie miał ochoty skończyć ze stryczkiem na szyi albo z węzłem w gardle. Karkołomnym skokiem pokonali zapchaną ludźmi uliczkę i wylądowali na następnym dachu. Nestor pośliznął się przy tym, ale wiosłując rękami, odzyskał równowagę.

W swoim fachu miał trochę doświadczenia z niezwykłymi drogami ucieczki, zaś Gurn już jako dziecko wspinał się po stromych, śliskich lodowcach.

Zamachowiec już zamierzał pogratulować barbarzyńskiemu przyjacielowi takiego pomysłu na ucieczkę, gdy ledwie o długość ręki od niego powietrze przecięła strzała.

- Do kroćset...!

Pobieżne zerknięcie przez ramię zdradziło Nestorowi, że nie są już na dachach sami - ścigali ich łucznicy.

Po pierwszej strzale pofrunęły ku nim kolejne, chybiając ledwie o włos. Nestor i Gurn gwałtownie zmienili kierunek i przeskoczyli na inny dach, położony nieco niżej. W oddali były już widoczne mury miasta, choć jeszcze nieosiągalne...

- To twój wina! - warknął w biegu Gurn.

- Nie - sprzeciwił się Nestor - to wina tych przeklętych orków. Jeszcze niedawno byłem człowiekiem pozbawionym litości, a teraz...

- Ty *bog-uchg* - dokończył myśl lodowy barbarzyńca po orczemu.

Zabójca chciał coś odpowiedzieć, ale przenikliwe skrzeczenie, które niespodziewanie rozległo się powietrzu, sprawiło, że słowa zamarzy mu na wargach.

- Bazyliszek, biegnij! - krzyknął, jeszcze nim zobaczył potwora.

Najszybciej, jak potrafił, pędził po stromym dachu, podczas gdy wokół na uliczkach ludzie podnieśli paniczny wrzask. W następnej chwili padł na nich cień i powietrze wypełniło się złowieszczym szelestem.

Nestor i Gurn nie ważyli się odwrócić z obawy, że spojrzą w oczy bazyliszka i skamienieją. Instynktownie odczekali, by w ostatniej chwili rzucić się brzuchami na dach - ani o moment za wcześnie!

Skrzydlaty wąż przeleciał zaledwie kilka szerokości dłoni nad nimi. Natychmiast poderwali się i pobiegli dalej. Skoczyli na następny, znów położony nieco niżej dach, i kontynuowali ucieczkę.

Bazyliszek jednak nie widział powodu, by pozwolić swoim ofiarom uciec. Bijąc skórzastymi skrzydłami, wzbił się pionowo w górę, zatrzymał na szarym niebie i skrzeknął przed ponownym atakiem.

- Nie patrz mu w oczy, słyszysz? - przypomniał Nestor barbarzyńcy. - Nie wolno ci spojrzeć mu w oczy!

Gurn odkrzyknął mu coś, czego nie zrozumiał. W następnej chwili wydawało się, że zagrożenie minęło, bo potwór nagle zniknął.

- Gdzie on jest? - Rozejrzał się Nestor zdziwiony.

- Ty się cieszyć, jak go nie być! - stwierdził Gurn i ruszył dalej.

Biegli. To, że nie strzelano już do nich i że żołnierze przestali ich gonić, przypisywali wyłącznie własnej zwinności i szybkości - mylnie, jak się miało okazać.

Kiedy dotarli do krawędzi dachu, zobaczyli jedną z głównych ulic - stanowiącą na pierwszy rzut oka nieprzebyty wąwóz. Po drugiej stronie było jeszcze sześć albo siedem budynków, za nimi już mur i za murem wolność...

- Skakać! - warknął zdecydowanym głosem Gurn i wziął rozbieg.

W tym momencie usłyszał bicie potężnych skrzydeł i zza krawędzi dachu ukazała się głowa ogromnego ptaka.

- Nie! - krzyknął przerażony Nestor, ale było za późno. Obaj spojrzeli na bazyliszka, spojrzeli mu prosto w oczy!

Strach i panika sprawiły, że znieruchomieli, mając równocześnie uczucie, że ich wnętrze lodowacieje i zmienia się w twarde kamień.

Nestor z całej siły chciał zmusić się do chwycenia jednego z noży, ale na próżno, nie mógł. Z gardzieli bazyliszka dobył się

dźwięk, który mniej przypominał krzyk, a bardziej szyderczy śmiech. W następnej chwili uciekinierzy mieli już towarzystwo - żołnierze tylko czekali, aż ci dwaj wpadną w zasadzkę bazyliuszka. Teraz bezwolnych skrępowali bez trudu, zaś potwór wzbił się w niebo, chwilę pokrzyżył nad Wężową Wieżą, by zaraz zniknąć w kraterze Anar.

9. SNAGOR-TUR

Gdzie oni się podziewają? - Rammar znów błędził wzrokiem po dalekim mieście i mamrotał do siebie. - Na tych mlecznogębnych po prostu nie można polegać! Wszystko trzeba robić samemu!

- Może coś im się stało - mruknął niepewnie Ankluas. - Może ich złapano albo...

- W takim razie nie możemy zwlekać - zdecydował Balbok.

Dwójce pozostałych z trudem udało się powstrzymać chudego orka. Argumenty, jakich użyli Rammar i Ankluas - że to byłoby szaleństwem bez zasięgnięcia języka, że to jak pakować się do jaskini trolla i że dlatego muszą poczekać, aż Nestor i Gurn wrócą - nie przekonały go ani trochę. Na szczęście Quia wyjaśniła mu, że to nic nie pomoże martwym siostram, jeśli wielki Bunais też zginie. Odwet, tak powiedziała, powinien być dobrze przemyślany i z tym w końcu Balbok się zgodził. Teraz jednak termin, który

wyznaczyli Nestor i Gurn, minął, a tych dwóch wciąż nie było...

- Balbok ma rację - poparł go Ankluas. - Jeśli nasi przyjaciele naprawdę wpadli w ręce wroga, on każe ich okrutnie torturować, by się dowiedzieć, kim są i co sprowadziło ich do Kal Anar. Jeśli chcemy zaskoczyć przeciwnika, musimy działać szybko.

- Działać szybko, łatwo powiedzieć! - mruknął Rammar. - A jak? Nic nie wiemy o przeciwniku. Może ślepo pakujemy się w zasadzkę.

- Może - przytaknął jednouchy - ale musimy podjąć ryzyko. Nie mamy innego wyjścia.

Grubas był innego zdania. Jak to nie mają innego wyjścia?! Dwaj ludzie w tę czy w tamtą, tyle ich się pęta po świecie... A życie orka jest zbyt cenne, aby je głupio narażać. Nie powiedział tego jednak głośno, bo przyznać się, że ma mniej odwagi niż jakiś *ochgurash*...? Na to nie mógł sobie pozwolić i w tej kwestii naprawdę nie było innego wyjścia.

- Skoro o to chodzi - burknął poirytowany - to już chodźmy.

- *Korr* - mruknął tylko Balbok.

- Ja też będę wam towarzyszyć - oznajmiła chłodnym głosem Quia. - Morderca mojego ludu jest w Kal Anar. Chcę być przy tym, kiedy dostanie za swoje.

- Dostanie - zapewnił gniewnie Balbok, a jego wąsko osadzone oczy zmętniały. - Odrąbię mu ręce i nogi i powiem mu, jakim jest nędznym, zawszonym tchórzem. Potem wyrwę mu z piersi serce i je pożrę, gdy będzie jeszcze żyło. Potem wyrwę mu z ciała wnętrzności i przygotuję z nich *bru-mill*, jakiego jeszcze na wschód od Stęchłej Marchii nigdy nie jedzono. A potem rozbiję mu czaszkę, poleję jego mózg posokowym piwem i małymi lyczkami...

- Balbok! - przerwano mu energicznie.

- Tak, Rammar?

- Idziemy...

Kal Anar było oddalone bardziej, niż się zdawało, a droga nie należała do łatwych. Nie tylko przez zabójczy skwar, ale również z powodu szczelin i wąwozów, z których wydobywały się trujące opary. Na dodatek ponurą krainę penetrowały patrole - tacy sami jeźdźcy jak ci, z którymi orkowie już mieli do czynienia. Najpewniej szukali zaginionego oddziału...

...którego broń bardzo przydała się małej drużynie złożonej z trzech orków i jednej amazonki.

Kiedy zbliżyli się do Kal Anar, na chwilę przystanęli zdumieni. Orkowie nigdy nie widzieli miasta takiego jak to, zdającego się wyrastać wprost ze zbocza góry. Im niżej zachodziło słońce, tym mocniejszy był żar dobywający się z dymiącego krateru wulkanu i tym bardziej przerażająco błyszczał górujący nad Kal Anar budynek.

- Wężowa Wieża - powiedział Ankluas, ku irytacji Rammara znów odgrywający przewodnika. - Nie wiadomo, kto ją zbudował ani jak długo już stoi.

- Ale ja wiem - warknął Balbok - kto ją zburzy, i to już wkrótce.

- Nie bądź taki pewny, przyjacielu. Jeśli nasze podejrzenia są słuszne, w tej wieży natkniemy się na siły daleko przewyższające siłę orka. Władca Kal Anar kazał wrócić bazyliszkom i jest w stanie poderwać z grobów poległych. Nie wolno nam zapominać...

- Na pewno nie zapomnimy, bo nie ma przekłetej chwili, żebyś nam o tym nie przypominał! - wybuchnął Rammar. Był wściekły, i to nie tylko dlatego, że bolały go stopy, a nieorcza paplanina jednouchego działała mu na nerwy. I tak skóra mu cierpła, nie potrzebował jeszcze ustawicznego przypominania, z jak straszliwym przeciwnikiem mają do czynienia. Ponury krajobraz, obcość tego miejsca, przeniknięte trującymi wyziewami powietrze, ciągle wypatrywanie bazyliszków - wszystko to sprawiało, że

grubas nie czuł się pewnie w swojej pryszczatej skórze. Mimo to nie miał zamiaru się zdemaskować. Nie przed tym *ochgurash...*

- Ten widok mnie zatrzaża - przyznała Quia mająca mniej niż Rammar problemów z wyrażaniem emocji. - W tym mieście nie tylko mieszka zło, ono samo zdaje się złe i...

- Nonsens! - przerwał jej gruby ork. - To tylko kilka chat i rozpadająca się stara wieża. Nic, czego musiałabyś się bać.

- To nie twój lud został wybity przez wroga - odpowiedziała cicho amazonka, a na to Rammar nie znalazł żadnej odpowiedzi.

- Jak wejdziemy do środka? - zastanowił się Balbok.

Ankluas ostrożnie wyjrzał przez szczyt pagórka, za którym znaleźli schronienie.

- Wejścia do tuneli są zbyt mocno strzeżone - stwierdził. - Musimy spróbować inaczej.

- Phi! - pogardliwie prychnął Balbok. - To tylko dziesięciu, dwunastu ludzi! Poradzimy sobie z nimi.

- W to nie wątpię, ale to zaalarmowałyby cały garnizon, a tego chyba nie chcemy, prawda? - zauważył jednouchy.

Balbok zakłopotany pokręcił głową.

- *Douk.*

- Musimy spróbować niepostrzeżenie dostać się pod mur i przejść przez niego.

- Przejść? - Rammarowi zaparło dech. - Widziałeś, jaki wysoki jest ten przeklęty mur? A jeszcze te kolce...

- Nie powiedziałem, że to będzie łatwe - odparł Ankluas. - Czego się spodziewaliście? Że nas tu przywitają fanfarami?

- Nie, dziękuję - warknął kwaśno chudzielec. - To już było.

- Skoro już mamy się zakradać, to przynajmniej poczekajmy, aż zrobi się całkiem ciemno - zaproponował jego gruby brat. - Teraz można nas zobaczyć z daleka.

- Zgadza się - przyznał jednouchy - ale wiele ciemniej już nie będzie. Światło pochodzi nie od słońca, ale z krateru wulkanu. Anar zbudził się do nowego życia.

- Co ty nie powiesz! - syknął Rammar. - Możesz mi zdradzić, jak mamy niepostrzeżenie podejść do tego przekłętego muru, skoro nawet...

Przerwał, gdy Quia, przyczajona cicho obok niego, nagle się podniosła. Posłała trzem orkom zdecydowane spojrzenie, a dla Balboka dodała jeszcze uśmiech. Potem błyskawicznie przemknęła przez półmrok.

- Do kroćset, co robi to babsko?! - wybuchnął tłuscioch. - Jeszcze nam zepsuje całe zaskoczenie.

- Nie byłbym taki pewny - sprzeciwił się chudy. - Patrz...

Rammar zerknął ponuro przez szczyt pagórka. Najpierw nie mógł nigdzie dostrzec Quii, dopiero po dłuższej chwili zobaczył ją w cieniu skał. Z kocią zwinnością zbliżała się do muru. Grubas rzucił zatroskane spojrzenie ku blankom, ale żaden z trzymających tam wartę żołnierzy nie zauważył amazonki.

Nawet Rammar musiał przyznać, że wojowniczką bardzo sprawnie zabrała się do rzeczy. Wykorzystując jako kryjówkę każdą cień i każdą skałę, rzeczywiście podkrađła się na odległość kilku kroków do muru opasującego miasto niczym kamienny wąż - porównanie, które natrętnie się nasuwało i pewnie było zamierzone przez budowniczych. Wyglądało na to, że w Kal Anar mają jakiegoś hyzja na punkcie węży...

Wreszcie Quia dotarła do muru. Przyciśnięta do porowatego czarnego kamienia dała orkom znak, by szli za nią, i choć Rammara to nie zachwyciło, nie było innej rady. Po kolei orkowie wysliznęli się z kryjówki - najpierw Ankluas, który ponownie objął

przewodnictwo, potem grubas, a na końcu Balbok. Oczywiście tłusty ork miał opory, by patrzeć na poprzedzającego go *ochgurasha*. Z drugiej strony, gdyby ich odkryto, jednouchego łucznicy pierwsi naszpikują strzałami, a w takich okolicznościach Rammar Gniewny był gotów zrezygnować ze swoich przywilejów...

Orkowie mieli szczęście i również dotarli do muru niezauważeni. Anklusowi i Balbokowi ten finisz nie sprawił trudności, ale Rammar ciężko dyszał.

- Przekłeta mordęga - pomstował. - Tak sobie myślę, czy dwa żaloszne skarby są warte tego całego wysiłku...

- Szszszsz! - uciszył go Anklus i z zatroskaną miną zerknął niespokojnie w górę. Najwyraźniej swoim jedynym uchem, które starczało mu za dwa i pół, dosłyszał coś, co umknęło uwadze jego towarzyszy. Rzeczywiście nad blankami ukazał się długi cień strażnika.

Orkowie i amazonka przypadli ciasno plecami do muru, aby nie można ich było zobaczyć z góry. W przypadku Rammara wiele to zresztą nie dało, gdyż jego kulisty brzuch nie dał się wciągnąć.

Quia nagle chwyciła sztylet, który zabrała jednemu z zabitych jeźdźców, wetknęła go między zęby i wspięła się po murze z niesamowitą zwinnością. Jako podpory użyła przy tym właśnie brzucha Rammara, na co ten oburzony chciał zaprotestować, ale łapa Balboka szybko zatkała mu pysk.

Amazonka z kocią sprawnością wykorzystywała nierówności i szerokie szpary między grubo ciosanymi kamiennymi blokami, chwyciła je palcami i używała jako podpory dla stóp. Balbok popatrywał na nią z podziwem. W końcu dotarła do wieńca żelaznych kolców okalającego mur, chwyciła je dłońmi, po czym, naprzężając swoje gibkie ciało, zamachnęła się nogami do góry. Po chwili stała stopami na kolcach, a czubkami palców dosięgła krawędzi muru. Nim towarzysze zdążyli mrugnąć, znikła między blankami.

- Mam nadzieję, że ta baba wie, co robi! - szepnął ponuro Rammar.

Nagle zza korony muru coś wyrzucono. Balbok wstrzymał oddech z obawy o amazonkę, ale u jego stóp upadł żołnierz w kolczudze, na którego piersi pyszniło się godło Kal Anar. Trudno powiedzieć, co zabolalo go bardziej - fachowo poderżnięte gardło, skręcony kark czy połamane przy uderzeniu kości. On w każdym razie nikomu już nie mógł o tym powiedzieć.

- Dobra robota - z uznaniem stwierdził chudy ork.

- *Korr*, całkiem niezłe jak na ludzicę - musiał przyznać nawet Rammar - ale żaden z was przemądrzalców nie zastanowił się, jak ja wleżę na ten m...

W tym momencie spadło jeszcze coś - i wylądowało na głowie tłuściocha. Była to gruba konopna lina.

- Do kroćset, ta dziewczucha naprawdę potrafi być przydatna - mruknął Rammar.

Quia owinęła drugi koniec liny wokół blanki i zasupłała. Balbok i Ankluas, przytrzymując się sznura, z łatwością do niej dołączyli. Tylko Rammar nie był w stanie. Chudy ork znał już ten problem, więc rozwiązał go w sprawdzony sposób - dolnym końcem liny grubas obwiązał się wokół brzucha, a jego towarzysze musieli zadać sobie nieco trudu i wciągnąć go na górę.

Kawałek po kawałku Rammar podjeżdżał. Przy żelaznych kolcach służących powstrzymaniu intruzów musiał wciągnąć brzuch, by się nie nadziać. Pokonał jednak i tę przeszkodę i w końcu spojrział w oczy dwóch wykończonych orków, którym pot wystąpił na poznaczone bliznami czoła.

- Co tam? - zakpił, ociążale gramoląc się między blankami. - Chyba nie jesteście zmęczeni?

Byli w mieście wroga.

Za gankiem dla straży ujrzeli morze dachów zdających się niczym fala wlewać na strome zbocze, a wśród nich prawdziwy

labirynt wąskich uliczek i wykutych w skale schodów oświetlonych lampionami z czaszek, które wisiały na dachach i okapach.

- Ładne - stwierdził Balbok.

- *Korr*, trzeba tutejszym ludziom przyznać - zgodził się Rammar - mają gust.

- Ale gdzie szukać waszych towarzyszy? - spytała bezradnie Quia. - To miasto jest takie ogromne!

W tym momencie z głębi góry dobiegł ich głuchy grzmot. Ognista poświata nad Anar wzmożła się na chwilę i oświetliła ponurym pomarańczowym blaskiem Wężową Wieżę.

- Tam - odgadł Anklus.

Zeszywnienie nie trwało długo.

Jeszcze gdy niesiono Nestora i Guma do ciemnych lochów pod wieżą, zauważyli, że wraca im zdolność ruchu. Jak wtedy, gdy bazyliżek zaskoczył ich na wolnej przestrzeni...

Zamachowiec wymyślał sobie od głupców. Jak mógł być takim durniem? Co go naszło, żeby z powodu jednego człowieka narazić na niepowodzenie całą misję? Gorzej, zaryzykował własne życie i życie swego kompana, żeby ratować obcego. Gdyby kilka miesięcy temu ktoś mu powiedział, że będzie wyczyniał takie głupoty, człowiek z Taik by go wyśmiał. Jednak do tego doszło, a ochota do śmiechu minęła mu dawno. Gurn nie czuł się wiele lepiej - lodowy barbarzyńca tępo patrzył przed siebie i tylko raz po raz warczał wrogo.

Im dalej ich wleczono przez oświetlony pochodniami korytarz, tym robiło się goręcej. Nestor wątpił, czy są jeszcze we wnętrzu Wężowej Wieży. Korytarz i sale ponurej budowli zdawały się ciągnąć daleko w głąb góry. To tłumaczyło coraz bardziej przytłaczający skwar. W końcu Anar nie był zwykłą górą, ale wulkanem, w

którego wnętrzu płonęły wieczne płomienie zniszczenia.

Wreszcie korytarz się rozszerzył i wciągnięto ich pod wsparte na kolumnach sklepienie. Każda z kolumn była wykuta tak, jakby wokół niej wił się kamienny wąż, zaś na tarczach stojących wokół komnaty pysznił się symbol bazyliuszka.

- Wężę, wszędzie tylko wężę! - markotnie szepnął do barbarzyńcy Nestor. - Powoli robi mi się niedobrze od tych gadów, można powiedzieć...

W tej samej chwili pożałował, że w ogóle otworzył gębę. Strażnicy, którzy dotychczas nieśli go jako nieprzytomnego, teraz puścili, aż uderzył całym ciałem o ziemię, i na dokładkę dostał kopniaka w nos.

Nieco zamrozonego jeńca znów chwyciły szorstkie ręce i powlokły dalej, aż na krawędź obszernej, szerokiej na jakieś czterdzieści kroków jamy zajmującej tylną część komnaty. Więźniowie nie zobaczyli, co jest w środku, bo zbrojni gestami kazali im uklęknąć i opuścić głowy.

Wtedy uderzono w wielki gong wiszący między dwiema kolumnami, którego przenikliwy dźwięk sprawił, że sklepienie zadziało.

- Xargul! Xargul! - krzyknął jeden z kapłanów towarzyszących oddziałowi.

Nestor usłyszał ciche szuranie, jakby coś niesamowicie wielkiego wlokło się po piaszczystym podłożu. Usłyszeli syczenie i z jamy uderzył więźniów straszny smród.

Stęchlizna, zgnilizna, pleśń.

Odór śmierci...

Znów syczenie i szuranie. Zamachowiec kątem oka zauważył, że również kapłani i żołnierze przypadli do podłogi i z czcią opuścili głowy. Co, u licha, mieszkało w tej jamie?!

Tylko na moment Nestor podniósł wzrok i na przeciwległej ścianie jamy dostrzegł budzący trwogę cień. Wąskie ciało na pół

podniesione, do tego łeb z hakowatym dziobem, z którego wysuwał się rozdwojony język.

Bazyliszek?

Możliwe. Ale jeśli tak, to większy od wszystkich, które towarzysze widzieli do tej pory...

Jeszcze raz człowiek z Taik poczuł, że ogarnia go ów strach, który wcześniej tak często widział w oczach swoich ofiar. Wzięła go w posiadanie śmiertelna trwoga i mimo panującego w komnacie skwaru zaczął drzeć na całym ciele.

- Głupi, nierozumni ludzie - odezwał się ktoś i Nestor zaskoczony stwierdził, że rozumie każde słowo. Nie było bowiem wypowiedziane w mowie Kal Anar, lecz w języku zachodu.

Zaskoczenie płatnego zabójcy zmieniło się jednak w bezmierne przerażenie, gdy zrozumiał, że głos dobiega z jamy!

- Nie mieliście pojęcia, z kim wdajecie się w wojnę, a mimo to wyruszyliście. Głupi i nierozumni...

Chciał coś odpowiedzieć, zapytać, kto do nich mówi - ale trwoga zaciskała mu gardło tak, że nie był w stanie wydobyć ani słowa.

- Obserwuję was już od dłuższego czasu. Nie mogliście zrobić nic, o czym nie byłoby mi wiadomo, gdyż moi skrzydlaci szpiedzy informowali mnie cały czas o waszych poczynaniach...

Skrzydłaci szpiedzy? Nestor drgnął. Mogło chodzić tylko o bazyliszki...

Czy to możliwe, że ptakoweże nie kierowały się tylko swoim instynktem? Że były na usługach jeszcze potężniejszej, jeszcze okrutniejszej istoty?

Znów rzucił pobieżne spojrzenie na ścianę jamy - straszny cień nadal tam był.

- Gdzie są orkowie? - zagrzmiało zniecka pod sklepieniem.

Zamachowiec stracił oddech, krew zamarła mu w żyłach. Tajemniczy obcy wiedział o Balboku, Rammarze i Anklusie. Musiał więc być naprawdę dobrze poinformowany, ale czy wiedział również o celu ich misji?

- Wiem wszystko - zapewnił głos, który zdawał się czytać w jego myślach. - Wiem o zadaniu, które dał wam Corwyn, ten zdrajca, który bezprawnie przywłaszczył sobie tron Targas Lan. Ale długo już na nim nie posiedzi, przysięgam...

Nestor i Gurn wymienili pośpieszne spojrzenia. Głos brzmiał tak zdecydowanie, że ani przez moment nie wątpili w jego słowa. Wyglądało na to, że ich misja od pierwszej chwili skazana była na niepowodzenie, gdyż tajemniczy wróg od początku o wszystkim wiedział...

- Przez długi czas obserwowałem was i byłem informowany o każdym waszym kroku, ale potem wydarzyły się rzeczy, których nie mogłem przewidzieć. Lud amazonek... Tak mały i pozbawiony znaczenia, że prawie o nich zapomniałem. Zaledwie ziarnko piasku, a przecież to ziarnko zepsuło moje plany...

Przez twarz zamachowca przemknął złośliwy uśmiech i w myślach podziękował Żarze i jej wojowniczkom.

- Jednak naprawiłem ten błąd - dobiegło z jamy. - Córy Amaza już nie istnieją!

- Co?! - wybuchnął pełen przerażenia Nestor, nie zważając na śmiertelny strach.

- Lud, który waży się mi sprzeciwić, traci prawo do istnienia - oznajmił lodowato głos. - Lud amazonek jest zniszczony, wytrzebiony do ostatniej wojowniczki.

- A...ale t...to niemożliwe! - krzyczał, jękając się, płatny zabójca. Quia! Że też pozwolił jej wrócić do wioski!...

- To prawda - usłyszeli bezlitosne słowa. - Kto mi się sprzeciwi, nie może liczyć na łaskę.

- Ale amazonki nic nie wiedziały o was ani o waszych planach - zapewnił zrozpaczony Nestor.

- Nieświadomość nie chroni przed karą - odparł głos. - Wojowniczkę potraktowano według ich własnej miary.

- A...ale... - Zamachowiec chciał się znów sprzeciwić, ale jego przerażony umysł nie znajdował słów.

- Gdzie są orkowie? - Znów padło to samo pytanie. - Przez amazonki, których nie przewidziałem, straciłem z oczu braci orków. Ale wy mi zdradzicie, gdzie mogę ich znaleźć!

- *Douk* - odpalił głosowi Gurn, nim Nestor zdołał coś odpowiedzieć. - Nie zdradzimy!

Głos zaśmiał się głośno - był to podstępny, gardłowy śmiech pełen przepastnej złośliwości.

- Zatem nie chcecie być posłuszni?

Pytanie nie pozostawiało wątpliwości co do tego, że następstwa będą straszne, lecz choć płatny zabójca nie był w stanie wykrzesać nawet jednej logicznej myśli, to był przekonany, że decyzja jego barbarzyńskiego towarzysza była jedyną słuszną.

Ich wróg, pytając o orków, przyznał się, że stracił kontrolę, i ten fakt Nestor i Gurn musieli wykorzystać. Żyją jeszcze tylko z jednego jedynego powodu - wróg potrzebuje od nich informacji. Gdy tylko je otrzyma, wówczas najpierw oni, a potem orkowie zginą okrutną śmiercią. Dopóki jednak milczą, będą żyć, a Balbok i Rammar może jakimś cudem doprowadzą misję do końca i nawet ich uwolnią...

- Nie chcemy - odpowiedział Nestor, wkładając tyle siły, ile tylko zdołał, w swój drżący głos.

- Głupi ludzie! - zagrzmiąło z jamy. - To bezcelowe sprzeciwiać mi się. Czego zapragnie Xargul Okrutny, to dostanie. Tak było kiedyś i tak znów będzie.

- Xargul? - spytał Gurn. - Kto to?

- To ja, barbarzyńco! - usłyszeli. - A przydomek Okrutny noszę nie przez przypadek, wkrótce się przekonacie. To, że nie chcecie mi ulec, to nie tylko bardzo głupi błąd. To wasz ostatni błąd...

10. SLICHGE'HAI ORDASHOULASH

Rammar, wisząc na linie i huśtając się między życiem a śmiercią, był pewien, że już raz to przeżył - tylko że wtedy czuł na pysku nie rozżarzony skwar, ale szczypiący chłód. Cóż, wówczas jego brat Balbok wciągał go na mury Lodowej Świątyni Shakary, a nie na Wężową Wieżę w Kal Anar. Poza tym obecna sytuacja Rammara była nadzwyczaj podobna do ówczesnej i znów bał się śmiertelnie.

- Co za okropne ludziństwo - mamrotał pod nosem. - Żaden skarb świata nie jest wart tego wszystkiego...

Nocą po uliczkach opustoszałego miasta trzej orkowie i ich towarzysza przekradli się do wielkiej wieży, ponuro i imponująco górującej nad Kal Anar. Jasne kamienie połyskiwały pomarańczowoczerwono i nadawały budowli, rzeczywiście przypominającej ogromnego gada, jeszcze bardziej nierzeczywisty wygląd. Z wnętrza dobiegały głuche, upiorne dźwięki nie zapowiadające nic dobrego.

Główna brama była zamknięta i dobrze strzeżona, intruzi postanowili więc spróbować szczęścia z tyłu wieży, gdzie dojrzeli okno.

Wieżę wzniesiono z innego budulca niż miejskie mury; kamienie przylegały do siebie bez spoin i nie dawały żadnej podpory przy wspinaczce. Zatem Balbok poradził sobie inaczej - przywiązał zdobyczną linę do *saparaka* Rammara, by potem mistrzowskim rzutem - co przyznać musiał nawet jego brat - wrzucić broń przez okno, gdzie się zaklinowała. To również Rammar już znał...

Quia wspięła się pierwsza. Po mocniejszym zamocowaniu liny poszli za nią Ankluas i Balbok. Grubas też próbował, ale skończyło się jak zwykle - ciągnęli go, sapiąc, jak upolowanego trolla.

Konopny powróż trzeszczał i Rammar obawiał się, że za chwilę któryś z pośpiesznie związanych supłów puści. Poza tym wytrzeszczonymi za strachu oczami ork rozglądał się, wypatrując posterunków. Na tle jasnego kamienia wyraźnie widać było jego krągłą postać. To, że kompani wciągali go po stronie odwróconej od miasta, jakoś go nie pocieszało.

Wreszcie, miotając wściekle przekleństwa, Rammar dotarł do okna. Łapy jego współplemieńców chwyciły go i wciągnęły do wnętrza, z trudem przepychając przez otwór okienny. Jak korek wyskakujący z cienkiej szyjki amfory grubas zrobił w końcu „puk” i wylądował na własnej *asar*. Oczywiście miał zamiar poinformować na cały głos o swoim niezadowoleniu, ale łapa Balboka błyskawicznie zatkała mu usta.

- Pst! - syknął chudzielec. - Nie możemy się zdradzić.
- Przemądrzalec - wymamrotał półgłosem brat i pojękując, dźwignął się na nogi. - Myślisz, że nie wiem, jak... Hej, co to jest? Przerwał, słysząc dźwięki dobiegające z wnętrza wieży. Były

wśród nich głuche krzyki, ale również charakterystyczne brzęczenie metalu umieszczonego między młotem i kowadłem.

- Jesteśmy tu po to, żeby się tego dowiedzieć - szepnął Ankluas i dobył miecza. Ostrożnie ruszył oświetlonym pochodniami korytarzem, między rzędem zamkniętych drzwi z żelaznymi okuciami w kształcie węży.

- Znowu! - jęknął Rammar. - Jak zobaczę jeszcze trochę tych gadów, to się porzygam.

- Ja też - kiwnęła głową Quia, która porzuciła swoją dzidę i pozostawiła sobie tylko dwa zdobyczne miecze, bardziej przydatne w ciasnych korytarzach. Balbok zdjął z pleców wielki topór, a grubas chwycił swój *saparak*.

Cicho - w każdym razie na tyle cicho, na ile pozwalały wielkie stopy orków - skradali się korytarzem, za każdym zakretem gotowi na spotkanie z wrogiem. Jednak wokół panował spokój, nie widać było żadnego z czarnych rycerzy.

Choć jednouchy wyraźnie go przed tym ostrzegł, Rammar nie mógł się powstrzymać od podsłuchiwania za zamkniętymi drzwiami albo rzucenia okiem przez dziurkę od klucza. Przeważnie nie był w stanie nic dostrzec, ponieważ w komnatach panowały głębokie ciemności. Potem jednak coś zobaczył i nie wierzył własnym oczom.

Za drzwiami grubymi może na szerokość dłoni rozciągał się skarbiec - tak wielki, że ten w Tirgas Lan mógłby się przy nim wydawać ledwie obskurną jaskinią trolla.

Do tego obficie napełniony.

Złoto, srebro i szlachetne kamienie migotały, sprawiając, że wzburzyła się orcza krew tłuszczocha. Może, powiedział sobie, ten wypad do Kal Anar jednak się opłaci - koniecznie chciał dostać ten skarb!

- Znalazłeś coś? - spytała Quia, zdaniem Rammara o wiele za głośno.

- Nie, nic - skłamał bez wahania.

Jeszcze czego?! Orczyce czy ludzice - jedno nasienie! Nikogo nie wolno wtajemniczać w to odkrycie, a baby to już na pewno. Tylko Balbokowi będzie musiał powiedzieć wcześniej czy później, w końcu sam wszystkiego nie udźwignie.

Amazonka zadowolona się jego odpowiedzią i poszła dalej. Za to Ankluas chyba zauważył podstępne iskierki w oczach Rammara.

- Bądź ostrożny, przyjacielu - powiedział. - Wężowa Wieża jest starsza niż jakakolwiek inna budowla w *sochgal*. Wiele z tego, co na pozór widzisz, tylko zwodzi wzrok, i nie każde drzwi prowadzą tam, gdzie się na pozór wydaje.

- *Korr* - mruknął Rammar z przygnębioną miną. - Zapamiętam to sobie.

W rzeczywistości starał się zapamiętać drogę do skarbcza. Całą tę gadaninę *ochgurasha* miał głęboko w *asar*.

Choć faktycznie, jednouchy miał trochę racji. Coś było nie tak z tą Wężową Wieżą, gruby ork rozumiał to coraz wyraźniej, im dłużej przebywali w budowli. Wewnątrz wydawała się o wiele większa i obszerniejsza niż od zewnątrz - czarna magia?! Ale magia czy śmaga - skarby widział na własne oczy, a jak wiadomo, kto pierwszy zobaczy, ten zgodnie z orczym prawem...

Po długim marszu wzdłuż nieskończonych korytarzy wędrowcy dotarli w końcu do schodów biegnących w poprzek wieży. Ostrożnie ruszyli w dół, skąd dobiegało walenie młotem i gdzie Ankluas spodziewał się zobaczyć lochy więźniów. Jeśli Gurn i Nestor rzeczywiście są w niewoli, to tam ich znajdą.

Im głębiej schodzili, tym głośniejszy stawał się metaliczny dźwięk.

- Jakby tuzin świrniętych krasnoludów walił tuzinem młotów w tuzin kowadeł - skomentował kwaśno Rammar.

Gdyby wiedział, jak jest bliski prawdy...

Nie napotykJąc strażników ani innych przeszkód, podążali coraz głębiej do wnętrza Wężowej Wieży, aż wreszcie znaleźli się w szerokim korytarzu. Z jego końca dobiegały krzyki i gruby ork podejrzewał, że dotarli do najniższego piętra wieży i że to jest korytarz do głównego wejścia. Dziwnym trafem jednak nie był to kierunek, z którego słyszeli metaliczne stuki - one bowiem dobiegały z przeciwnej strony, co musiało znaczyć, że korytarz ciągnie się daleko w głąb góry.

- Tędy - syknął Ankluas i chciał już biec, ciągnąc za sobą Balboka i Quię, ale Rammar się nie ruszył.

- Ja nie chcę - szepnął.

- Jak to nie? - warknął Balbok.

- Bo jeden albo dwóch z nas powinno tu zostać i trzymać straż - odpowiedział tłuścioch, któremu oczywiście w głowie było tylko jedno: wrócić, złożyć wizytę w skarbcu i napchać sobie do pełna kieszenie. - Co zrobimy, jeśli pojawią się żołnierze wroga i zajmą schody? Możecie mi zdradzić?

- Wtedy znajdziemy inne wyjście - stwierdził z przekonaniem jednouchy. - Potrzebujemy każdego, jeśli mamy doprowadzić misję do końca. Tym bardziej tak doświadczonego jak...

- W porządku, zrozumiałem - odpowiedział Rammar i chwycił *saparak* obiema łapami. - Ale przestań łaskawie smarować mi pysk lojem wargą, tego nie zniosę, a już na pewno nie od ciebie. Zrozumiałeś?

- Całkowicie - odpowiedział zaskoczony Ankluas.

Ruszyli dalej w niewiadome przy dźwiękach młotów i stukach, od których wkrótce grubasowi dudniło w głowie. Wreszcie czwórka towarzyszy znalazła źródło denerwujących dźwięków.

Korytarz otwierał się po jednej stronie i niczym galeria opasywał ogromną jaskinię - mieli więc świetny widok na wszystko, co działo się w grocie. Ów metaliczny dźwięk, słyszany w całej wieży,

pochodził rzeczywiście z kowadeł, na których potężnymi uderzeniami młotów kuto rozżarzone żelazo, i to rzeczywiście krasnoludy wykonywały tę pracę. Tyle że nie były one już żywe w ścisłym znaczeniu tego słowa.

Były martwe.

Wszystkie co do jednego.

Krepe postacie stojące przy paleniskach i kowadłach składały się ni mniej, ni więcej, tylko z białych szkieletów. Mimo to walili młotami z niesamowitą siłą, również wiedza, jak z rozżarzonej stali wykuć broń, nie zgniła wraz z mózgiem. Z każdego wyjmowanego z ognia kawałka stali silnymi uderzeniami kształtowali eleganckie miecze, potężne topory, groty włócznie i strzał. Ognisty blask i iskry sypiące się przy każdym uderzeniu oświetlały salę, silny zapach metalu wypełniał gorące powietrze, jednak nawet on nie był w stanie stłumić trupiego odoru.

Broń uformowaną na kowadle hartowano w zimnej wodzie, potem następowały kolejne czynności, również wykonywane przez upiorne krasnoludy: czyszczenie, szlifowanie i ostrzenie mieczy oraz mocowanie rękojeści lub drzewca. Arsenal gotowych bojowych narzędzi wszelkiego rodzaju leżał zmagazynowany w beczkach i skrzyniach po przeciwnej stronie jaskini.

- To podobne do tych przeklętych strzępobrodych - burknął Rammar. - Nie wiedzą, kiedy przestać. Taki to nawet po śmierci haruje.

- Te krasnoludy to kowale z pradawnych czasów - stwierdził Ankluas. - Ich kowalska sztuka pochodzi jeszcze z ery przed Pierwszą Wojną. Mówiono, że ktoś, kto nazwał taki miecz własnym, był niezwyknięty.

- W takim razie teraz przynajmniej wiemy, na czym stoimy - orzekł gniewnie grubas. - Podejrzenie Corwyna było słuszne: tu rzeczywiście ktoś szykuje wojnę.

- Skąd wiesz?

- Bo nie przychodzi mi do głowy nic innego, co można by poznać z taką ilością broni - odpowiedział kwaśno Rammar. - Ktokolwiek wyrwał tych strzępobrodych z ich grobów, miał pewnie po temu wściekle dobry powód.

- Można założyć - zgodził się jednouchy - ale jeszcze nie znamy tego powodu i nadal nie wiemy, kto kryje się za tym wszystkim.

- Władca Kal Anar, a któżby? - syknął tłuścioch, który najchętniej z miejsca by zawrócił.

- A kto jest tym władcą? - spytał Ankluas. - Waszym zadaniem było dowiedzieć się o nim więcej i ocenić siły jego oddziałów, a jeszcze nawet nie wiemy, dla kogo jest przeznaczona ta broń. W całym Kal Anar nie ma tylu żołnierzy.

- Świetnie! - warknął Rammar. - To chodźmy jeszcze kawałek. Ale jak tylko dowiemy się tego, co jeszcze chcemy wiedzieć, spadamy stąd, rozumiano?

- Czemu nagle ci się tak spieszy? - spytał Balbok.

- Nic ci do tego, *umbalu!*

- Mieliliśmy przecież usunąć wroga Corwyna i skasować za to zapłatę - przypomniał cierpliwie chudzielec.

- Wiem, ale plany mogą się zmienić.

- Czyś ty może dostał *achgal?*

Też coś! Spytać orka, czy się boi, to zniewaga wymagająca krwi! Ale uwzględniając sytuację, Rammar postanowił być wielkoduszny. Tylko jak tak dalej będą krążyć to w lewo, to w prawo, w końcu zapomni drogi do skarbu!

- Nie dostałem - zapewnił więc tylko - więc chodźmy. A może chcecie tu zapuścić korzenie?

Nikt nie miał takiego zamiaru, więc czwórka intruzów pobiegła dalej. Wykorzystując cień rzucany na galerię przez poblask paleńsk, przez nikogo niezauważeni, okrążyli jaskinię i podążyli wzdłuż korytarza prowadzącego coraz dalej w głąb góry. Metaliczny dźwięk kowadeł został za nimi i znów znaleźli się w oświetlonym pochodniami tunelu.

Niežnośny skwar narastał między gładko ciosanymi skalnymi ścianami, a z oddali dobiegały głuche syki, bulgotanie i łomot, od którego drżała cała góra.

- Wulkan - oznajmił Ankluas. - Budzi się ze stuletniego snu.

- Nic dziwnego - stwierdził Balbok. - Przy tym hałasie, jaki robią strzępobrodzi, też bym nie mógł spać.

- Zachodzą zmiany - powiedział zagadkowo jednouchy i rozejrzał się. - Zmiany, dotyczące całego naszego świata. - Przyspieszył kroku i wyprzedził ich nieco, znikając za łukiem tunelu.

- Co on przez to rozumie? - chudzielec zwrócił się z pytaniem do brata.

- A skąd mam wiedzieć? - zabrzmiała markotna odpowiedź. - Kto by się przejmował tym, co wygaduje jakiś *ochgurash*?

- Uwaga! - syknęła nagle Quia. - Ktoś idzie!

Obaj orkowie gwałtownie stanęli. Jeden uniósł gotowy do walki topór, drugi *saparak*, ale tym, kto szedł im naprzeciw, był tylko Ankluas. Rammar już chciał odetchnąć, lecz nagle zobaczył, że za jednouchym w migotliwym półmroku tunelu jeszcze coś się porusza. Sierść na jego karku stanęła dęba, gdy spostrzegł białe kości, wykazujące jednak nienaturalną żywotność...

- Do broni! - krzyknął do towarzyszy Ankluas, w następnej chwili upiorni wojownicy już byli przy nim.

Jednouchy płynnym ruchem zwałił pierwszemu kościotrupowi głowę z karku. Nie spadła jeszcze na ziemię, a szkielet już rozsywał się z klekotem.

- Głowy! - krzyknął jednouchy. - Musicie strącać im głowy, tylko tak można ich zwyciężyć!

Upiorni rycerze - a było ich dwunastu - już ruszyli na intruzów. Po różnych szkieletach i zardzewiałych zbrojach można było

poznać, że nie są to wyłącznie ludzie, również krasnoludy i kilka elfów, a nawet, ku swemu wielkiemu przerażeniu, Rammar dostrzegł kilku orków...

- *Douk!* - krzyknął, gdy jeden z nich rzucił się na niego, wywijając ciężką maczugą. - Nie poznajesz mnie? Orka bijesz? Współplemieńca?!

Na tym ożywieńcu słowa tłuszczocha najwyraźniej nie zrobiły wielkiego wrażenia. Rammar odskoczył i uniknął ciosu, lecz nim napastnik zdążył zamachnąć się po raz drugi, *saparak* przeciął powietrze i uderzył tak gwałtownie, że czaszka przeciwnika odłamała się od szyi.

- No i widzisz - skomentował sucho grubas. - Tylko nie mów, że nie uprzedzałem!

Rozgorzała zawzięta walka. Pod wprawnymi ciosami mieczy Quii padł kolejny kościany wojownik. Balbok, stojący pośrodku korytarza, ze straszliwym rykiem zamachnął się toporem i od razu kilku napastników nie miało już głów na karku. Nacierający zaczęli potykać się o kości powalonych towarzyszy, ale któryś zdołał sięgnąć Rammara i ugodzić w ramię. Rana nie była jednak głęboka, ork zareagował tylko gniewnym chrząkaniem i zrewanżował się, uderzając bez namysłu łapą i odrywając upiornemu elfowi głowę. Ostatni z wrogów upadł z klekotem pozbawiony głowy przez miecz Anklusa.

- Czy to takie typki napadły na waszą wioskę? - spytał amazonkę Balbok, patrząc na białe kości.

- Tak sędzę.

- To nie tylko mlecznogębi - warknął grubas. - Są też wąskooocy i strzępobrodzi, a nawet orkowie. Skąd, na gniew Kurula, oni się wszyscy wzięli?

- Chyba wiem - odpowiedział ponuro jednouchy. - Podczas pierwszych dwóch wojen tu na wschodzie toczyły się wielkie bitwy, w których padały tysiące wojowników. Władca Kal Anar najwyraźniej przy pomocy zbrodniczego zaklęcia zdołał przywołać

ich z grobów i podporządkować sobie, niezależnie od tego, po której stronie niegdyś walczyli. Zostało z nich niewiele więcej niż zardzewiałe żelazo i białe kości, ale są w mocy Zła i przy życiu trzyma ich nienawiść.

- A jeśli nawet! - warknął Balbok. - Poradziliśmy sobie z nimi, może nie?

- Było ich niewielu, a ich broń stara i zardzewiała - stwierdził Ankluas - ale spróbuj sobie wyobrazić, że są ich tysiące tysięcy, a wszyscy mają broń z kuźni krasnoludów.

- Okropna wizja - stęknęła przerażona Quia. - Żadna armia tego świata nie zdoła przeciwstawić się takiemu wojsku.

- *Korr* - przyznał Balbok nie bez dumy. - Martwych wojowników w *sochgal* nie brakuje, o to już zatroszczyliśmy się my, orkowie.

- Każdy zabity w wielkich wojnach powróci - przepowiedział ponuro jednouchy. - Władca Kal Anar zebrał martwych ostatnich wojen, by z ich pomocą podporządkować sobie Ląd i stracić go w ciemność...

- Czemu nie? - burknął Rammar. - Miła odmiana po całej tej gadaninie o jedności i pokoju. Żaden ork nie może już tego słuchać.

- ...a armia zła nie zatrzyma się również przed Stęchłą Marchią - nie dał sobie przerwać Ankluas.

- Nie byłbym taki pewny - sprzeciwił się grubas. - Nasz lud zawsze potrafił dogadać się z niegrzecznymi chłopcami i zawsze nieźle na tym wychodził. Może powinniśmy się zastanowić, czy nie przejść na drugą stronę.

- Może - w zamyśleniu kiwnął głową Balbok. - Tylko że o czymś zapomniałeś.

- Tak? A o czym?

- Że pies ze złamaną nogą nam nie uwierzy, że należymy do tych niegrzecznych chłopców. W końcu własnymi łapami wyrwałem łeb Graishakowi, no i byliśmy przy tym, jak zniszczono

Margoka. Takie wieści szybko się rozchodzą, sam wiesz.

Rammar głośno parsknął. Chętnie wyzwałby znów swego brata od *umbali*, ale tym razem chudzielec - czy to przypadkiem, czy jakimś przedziwnym przebłyskiem geniuszu - miał całkowitą rację. Tłuszcioch z obrzydzeniem przypomniał sobie powrót do Tirgas Lan. Przyjęto ich jak bohaterów, jak wybawców i oswobodzicieli. Ich zła sława przepadła, a skoro wiedzieli o tym ludzie, to żywe trupy też mogą...

- Na przyszczaty zadek Ludara, to prawda - syknął gruby ork.
- Winne temu jest to wstrętne elfie babsko! Gdyby była tu teraz, wyrwałbym jej łeb i wetknąłbym w zakłamaną pysk. Tak nas zhańbić!

- Niech ją Kurul porwie! - warknął Balbok.

- O właśnie - zgodził się Rammar.

- Więc co teraz zrobimy? - zapytał chudzielec.

- Musimy szybko iść dalej - powiedział Anklus. - Sprzyja nam zaskoczenie, ale to wkrótce się zmieni, kiedy ktoś znajdzie szczątki tych rycerzy.

- Wręcz przeciwnie - nie zgodził się grubas. - Widzieliśmy już dość, żeby opowiedzieć Corwynowi, co się tutaj dzieje. Znikajmy więc stąd jak najszybciej, żeby zdać mu raport.

- Mówisz poważnie? - spytał jednouchy.

- Oczywiście, jakże inaczej?

- A co z Nestorem i Gurnem? - przypomniała Quia.

- Co ma z nimi być? - zdziwił się Rammar. - Zostaną tam, gdzie są. Myślisz, że gdyby byli na naszym miejscu, ruszyliby palcem w naszej sprawie?

- A co ze skarbem? - zapytał zdumiony Balbok.

- Odbierzemy sobie, nim stąd znikniemy.

- Choć tak naprawdę na niego nie zasłużyliśmy?

- Co znaczy zasłużyć? Zasługujesz na to, na czym położysz łapę. Tak to jest u nas, orków.

- Nie wiem... - Chudzielec pokręcił głową. - Ja zostaję.

- Po co? Żeby wykitować?
- Może - Balbok skrzywił twarz w szyderyczym uśmiechu - ale przedtem jeszcze nieźle się zabawię, możesz być pewien.
- Nic z tych rzeczy, idziesz ze mną! - ofuknął go brat. - Wypełniliśmy misję, koniec, kropka. Nikt się nie spodziewał, że będziemy tu mieli do czynienia z upiorami.
- A nasze ślubowanie? Uroczyście ślubowaliśmy odwet naszym wrogom.
- Aż tak uroczyście to nie. Nawet nie przypieczętowaliśmy przysięgi krwią - zauważył Rammar niczym adwokat.
- Mimo to obowiązuje - stwierdził Ankluas. - Ja też zostanę. Trzeba unieszkodliwić władcę Kal Anar, inaczej pograży Ląd w straszliwej wojnie.
- I co z tego? - Grubas wzruszył szerokimi ramionami.
- Ja też zostaję - zdecydowanie oznajmiła Quia. - Przez władcę Kal Anar zginął mój lud, on musi za to odpokutować!
- Proszę bardzo, wojowniczo. Jeśli chcesz koniecznie dać się zabić, to nie będę cię powstrzymywał. To samo dotyczy was dwóch - Rammar burknął do dwóch pozostałych orków - ale ja wracam. To nie nasza wojna.
- Przeciwnie - rzekł jednouchy. - To, co się tu dzieje, obchodzi po trochu wszystkie ludy Łądu. Tu stanęli nie orkowie przeciw elfom albo ludziom czy krasnoludom. W tej wojnie życie walczy ze śmiercią, Rammar. Jeśli chcesz odejść, to idź. Wracaj do Stęchłej Marchii, ale się nie dziw, jeśli rycerze mroku staną kiedyś przed twoim *bolbougiem*. Przed tym wrogiem się nie ukryjesz. Będzie się rozprzestrzeniał i po każdej wygranej bitwie jego armia będzie liczniejsza, gdyż polegli obu stron powstaną z pól walki i przyłączą się do jego wojska. Chyba że to zdławimy tu i teraz!
- *Korr* - potwierdził zdecydowanie Balbok. - Tu!
- I teraz! - dodała Quia.

Zmieszany tłuszczoch patrzył po towarzyszach zaskoczony takim zdecydowaniem i odwagą. I głupotą.

- Róbcie, co chcecie - zirytował się. - Nie będzie kilku *um-bal'hai* mi mówiło, co mam robić. Jestem orkiem z prawdziwej śmierci i rogu, rozumiecie? I dlatego odchodzę!

Parskając ze złości, odwrócił się i zrobił kilka kroków... Potem jeszcze kilka... I kolejny już naprawdę maleńki... Tymczasem pozostała trójka nie ruszyła z miejsca, więc Rammar był zmuszony jeszcze raz się odwrócić.

- Balbok! - powiedział surowo. - Dość zabawy. Teraz chodź ze mną!

- *Douk*, Rammar. - Chudzielec pokręcił głową.

- Wolisz towarzystwo tych dwojga od mojego?

- Zrobię, co należy.

- Jak chcesz, ale rób to sobie sam - wymamrotał grubas. - Od tej chwili nie mam już brata.

- *Korr* - stwierdził tylko Balbok.

- *Korr*. - Rammar odwrócił się, poczłapał korytarzem i zniknął za zakrętem.

Przez chwilę chudy ork stał bez ruchu, patrzył szklanym wzrokiem na łuk korytarza, za którym zniknął jego brat. I gdyby nie było niezaprzeczalnym faktem, że orkowie nie mają kanalików łzowych, można by przysiąc, że oczy przesłoniła mu wilgotna mgielka.

- Wszystko w porządku, przyjacielu? - spytał łagodnie Anklus.

Balbok sztywno skinął głową.

- *Korr*...

11. ANN HUAM'HAI UR'NAMHAL

Rammar był wściekły i sam mimo najszerszych chęci nie potrafiłby powiedzieć czemu. Sobie wyrzucał, że zostawił towarzyszy, im - Balbokowi zwłaszcza - że zostawili jego. Co naszło tego *umbala*? Czy Rammar zostawił go kiedyś w potrzebie? Czy kiedyś odwrócił się plecami, gdy brat go potrzebował?

No dobrze, przyznał w duchu gruby ork, może raz czy dwa - ale wtedy to było zupełnie co innego.

- Ten przerośnięty nedorajda, ten bezmózgowiec - pomstował Rammar - jeszcze będzie żałował, że nie poszedł ze mną. Ja zabiorę sobie skarb i zniknę, a on skończy w żołądku żarłocznego bazyliuszka. Będę jeszcze długo siedział sobie w Stęchłej Marchii i pił za własne zdrowie, kiedy jego kości dawno rozsypią się na proch. Głupi gówniarz, zdrażliwy *umbal*. Podzieliłbym się z tobą skarbem, ale skoro nie chcesz i wolisz zadawać się z ludźmi niż z własnym bratem, to sam się martw, co z ciebie wyrośnie...

Może, pomyślał w gniewie i goryczy grubas, Ankluas zawrócił w głowie jego młodszemu bratu. Taki naiwniak jak Balbok łatwo mógł paść ofiarą *ochgurasha*, a przecież wiadomo, do jakich sztuczek uciekają się te typy. Tak czy inaczej - to jego decyzja, a Rammar podjął swoją. Nieodwołalną! Niech ten długi niedojda sam się o siebie martwi.

Idąc za metalicznym głosem młotów i kowadeł, Rammar dotarł z powrotem do kuźni upiornych krasnoludów. Ponownie kuląc się w cieniu, okrążył galerę i pobiegł do głównego wejścia.

Nie miał czasu do stracenia.

Tam w górze czekał na niego skarb...

Rozdzieliły się drogi nie tylko dwóch braci, również pozostali towarzysze się rozstali.

Jako że po walce z upiorami trudno było oczekiwać, że ich obecność pozostanie niezauważona, musieli działać szybko. Uznali, że najlepiej będzie, jeśli pójdą osobno, by uderzyć równocześnie w kilku miejscach.

Ankluas nalegał, że to on odszuka władcę Kal Anar. Quia i Balbok mieli tymczasem przeszukać lochy i uwolnić Gurna i Nestora, gdyby ich tam znaleźli.

Ani ork, ani amazonka nie zastanawiali się nad motywami jednouchego. Balbok, bo myślał zbyt prostolinijnie, a Quia, bo jej myśli nazbyt przenikał żal i gniew. Zresztą nawet gdyby było inaczej, nie przyszłoby im pewnie do głowy, co ukrywa ich towarzysz. Ufając, że wypełni swoją część planu, schodzili tunelami coraz głębiej do Anar. Dotarli do jaskini, przez którą przepływał strumień lawy. Nad nią rozpiął się dziwnie uformowany kamienny most - trudno było poznać, czy wzniosła go ludzka ręka, czy też uformował kaprys natury.

W jaskini panował skwar nie do wytrzymania. Trujące opary paliły oczy i płuca, a góra wyraźnie ostrzegła, że to nie koniec -

lekkie wstrząsy docierające z głębi dawały im do zrozumienia, że w głębi czają się niszczycielskie, pierwotne siły.

Był jeszcze inny, nie mniej niesamowity dźwięk wzmacniany echem w tunelach i pieczarach - paniczny krzyk, tym głośniejszy, im dalej szli Balbok i Quia.

- *Korr* - szepnął ork do swej towarzyszki. - Coś mi się zdaje, że idziemy w dobrym kierunku...

Długim korytarzem przedzielonym wzdłuż szczeliną, z której wydobywały się gorąca para i pomarańczowoczerwony blask, dotarli do kolejnej wielkiej jaskini podobnej do tej, w której upiorne krasnoludy kuły broń. Znów wokół skalnej komnaty biegła galeria, a dwójce wędrowców znów zagotowała się krew w żyłach.

Na kamiennych stołach zlanych krwią leżeli ludzie, niewysocy mieszkańcy Kal Anar spętani łańcuchami i krzyczeli na całe gardło. Miotali się przy tym jak opętani, szarpali żelazne kajdany, te jednak nie chciały ustąpić. W dzikiej panice ludzie tłukli głowami, szaleli i wrzeszczeli, choć na pierwszy rzut oka byli jeszcze zdrowi i w jednym kawałku.

- Ci biedacy zaraz stracą rozum - powiedziała Quia z przejęciem. - Co im zrobili?

- Pytanie, co im jeszcze zrobią - odparł szeptem Balbok i wskazał na przeciwległą stronę jaskini. - Patrz!

Amazonka zobaczyła kamienną nieckę, w której wrzała, brązowawa ciecz. Nad nią wisiał zakończony hakiem łańcuch, poprowadzony po długim wysięgniku do kołowrotu. Wokół niecki zebrały się liczne postacie w czarnych pelerynach i kapturach skrywających twarze. Na piersiach zakapturzonych pyszniło się godło bazyliuszka.

Gdy Balbok i Quia jeszcze zastanawiali się, jakiemu celowi może służyć niecka i zagadkowe urządzenie, zakapturzeni obrócili

wysięgnik. Spuszczono łańcuch i do haka zaczepiono skrępowanego więźnia. Po chwili zawisł na łańcuchu, krzyżąc i miotając się jak ryba, gdy długi wysięgnik niósł go nad nieckę. Nie zważając na rozpaczliwe wrzaski, zakapturzeni spuścili mężczyznę wprost do wrzącego, pokrytego pękającymi pęcherzami błota.

Więzień krzyknął przeraźliwie, gdy jego ciało opłynęła gorąca ciecz, potem zniknął pod powierzchnią. Ale to jeszcze nie był koniec.

Jeden z zakapturzonych - jak sądził Balbok, przywódca - dał znak swojemu towarzyszywi przy kołowrocie i łańcuch znów podniesiono. Quia przerażona ukryła twarz, przytulając się do Balboka. Była pewna, że na haku wiszą już tylko ugotowane szczątki więźnia. Nie miała racji.

Gdy skrępowanego mężczyznę wyciągnięto, lepka brązowa ciecz otaczała go jak worek. W jego wnętrzu zrozpaczony człowiek nadal się szarpał.

Zakapturzeni chwilę trzymali go jeszcze nad niecką, jakby czekali, aż skapną ostatnie krople gorącego błota, potem wysięgnik dźwigu znów obrócono i osobliwy „worek” z więźniem opuszczono. Zniknął w otworze kamiennej podłogi, a gdy po chwili ponownie wciągnięto hak, był pusty.

- C...co to jest? - spytała Quia. - Co oni z nim zrobili?
- Nie wiem - mruknął Balbok - ale mam złe przeczucia...

Nagle przyszło mu do głowy, że Rammar może miał rację. Może rzeczywiście nie dadzą rady pokonać władcy Kal Anar. Może to naprawdę jest przygoda, z której nie ma powrotu.

Myśl o bracie zasmuciła orka i równocześnie rozżłościła go. No bo czemu Rammar zawsze uważał, że z nich dwóch to on jest tym mądrzejszym i że to on musi podejmować wszystkie decyzje? Tym razem Balbok zdecydował sam za siebie. I już tego żałował.

- Tam! Tam są!

Przyciszone wołanie Quii wyrwało chudzielca z zamyślenia. Nad skałą, za którą przykucnęli, amazonka wskazywała wejście do jaskini dokładnie naprzeciw. Rzeczywiście, ork zobaczył dwie znajome twarze. Jedna należała do niepozornego, chudego człowieka spoglądającego dość ponuro, druga do lodowego barbarzyńcy, który sprawiał wrażenie, jakby chciał kogoś pożreć.

Byli to Nestor i Gurn wleczeni do jaskini - każdy przez dwóch żołnierzy w czarnych zbrojach. Obaj z całych sił próbowali wyrwać się z rąk strażników, którzy jednak trzymali ich bezlitośnie i prowadzili do kamiennych ław.

- Jeszcze żyją - szepnęła z nadzieją Quia.

- *Korr* - odpowiedział ponuro Balbok. - Pytanie tylko, jak długo...

- Do kroćset, co to ma znaczyć? Zostawcie nas w spokoju, przekleści śmierdziele!

Gurn milczał, natomiast głos Nestora ochrypl od obelg, którymi obrzucał żołnierzy, ale ci nie reagowali. Spod ich czarnych hełmów nie wydobywał się żaden dźwięk. Więźniów przywleczono do jaskini i przykuto łańcuchami do dwóch kamiennych stołów.

- Co z nami robicie, nędzne gnojki, do kroćset?! - Nestor rozejrzał się zaszczutym spojrzeniem. Ponure groźby Xargula nie dawały im wielkiej nadziei.

Podeszli do nich dwaj zakapturzeni kapłani - jeden trzymał w dłoni szczypcę, a drugi gliniane naczynie. W tym momencie więźniowie zrozumieli, co się z nimi stanie. Teraz i Gurn wrzasnął i zaczął się szarpać na łańcuchach. Żaden z nich nie pragnął poczuć w gardle żyjącego węża.

Kapłani jednak byli innego zdania.

Już jeden otwarł naczynie, a drugi sięgnął do środka szczypcami. Z oczyma wytrzeszczonymi z przerażenia Nestor patrzył na

gada wijącego się w uchwycie. Podeszło dwóch żołnierzy, chwycili go za głowę, rozwarli mu usta.

Kapłan z węzem już był nad nim. Nestor patrzył w ciemność kaptura. Nie mógł dostrzec pod nim twarzy, ale spodziewał się, że jest mściwie uśmiechnięta.

Schwytany zamachowiec chciał odwrócić głowę, wyrwać się, ale nie był w stanie. Tymczasem wąż wił się tuż przed jego oczami. Na myśl, że za moment wetkną mu go do gardła, żołądek wyrzucił się Nestorowi z obrzydzenia. Żołnierze zarechotali rozbawieni, a spod kaptura kapłana również dobiegł donośny chichot. Wkładał już szczypce wprost w rozdziawione usta więźnia...

A jednak do tego nie doszło!

Zakapturzony nagle wygiął się konwulsyjnie i odsunął szczypce. Na chwilę zastygł bez ruchu, potem spojrzął po sobie i zobaczył dwa ostrza mieczy wystające mu z brzucha. Kapłan głucho zagulgotał. Ostrza mieczy znikły równie nagle, jak się pojawiły. Nestor dostrzegł metaliczny błysk w świetle pochodni i ostrza jeszcze raz uderzyły, przecinając zakapturzonemu krtań. Spod kaptura trysnął strumień krwi i kapłan upadł.

Za nim stała młoda kobieta w wysokich butach i przepasce na biodrach. Uzbrojona była w dwa miecze, a twarz o zdecydowanych rysach otaczała dzika grzywa czerwonych włosów.

- Quia! - stęknął z niedowierzaniem zamachowiec.

Żołnierze puścili go i odwrócili się, dopiero teraz pojmując, co zaszło. Dla jednego z nich owo zrozumienie przyszło za późno. Amazonka ponownie uderzyła jednym z mieczy i ostrze przecięło prawą rękę żołnierza tuż nad przegubem dłoni. Spod hełmu dobiegło głucho jęczenie i ranny upadł na kolana.

Drugi wojownik zdążył dobyć broni. Dwa, może trzy razy jego ostrze skrzyżowało się z mieczem amazonki. Potem z tyłu świsnęła topór i utkwił między łopatkami zbrojnego. Jeszcze chwila i potężna łapa wyszarpnęła broń, wzbijając fontannę krwi. Żołnierz upadł jak mokry worek i już nie wstał. A Nestor spojrział w uśmiechniętą twarz orka, która nagle pojawiła się nad nim.

- Balbok! T...to niemożliwe! Czy to prawda?

- Długi karciane i honorowe - odparł ork i kolejnym ciosem swojej ciężkiej broni przeciął łańcuchy. Poleciały iskry i Nestor był wolny. Oszołomiony podniósł się, nie mogąc uwierzyć we własne szczęście. Zeskoczył z kamiennego stołu i chwycił jeden z leżących na podłodze mieczy.

Tymczasem Balbok był już przy Gurnie. Rycząc wściekle, zamachnął się toporem i pozbawił głów żołnierzy przy lodowym barbarzyńcy. Tymczasem Nestor i Quia stawili czoła napastnikom z wściekłym krzykiem nadbiegającym od strony niecki. W większości byli to kapłani dobywający spod peleryn sztyletów, ale też kilku zbrojnych.

Pierwszego z zakapturzonych Nestor przywitał mieczem tak celnie, że bazyliszek na szacie mężczyzny zwymiotował krwią. Quia zajęła się od razu dwoma przeciwnikami uzbrojonymi w długie włócznie. Zaatakowali wspólnie, lecz amazonka błyskawicznie odskoczyła i wylądowała na jednym z kamiennych stołów. Żołnierze znów ruszyli w jej kierunku, lecz jedną włócznię strzasnęła mieczem w prawej dłoni, a cios drugiej sparowała lewą. Potem zeskoczyła ze stołu, robiąc w powietrzu salto, i już w następnej chwili przeszła do kontrataku.

Wojownika, którego dzidę złamała, trafiła między napierśnikiem a hełmem. Ostrze weszło mu w szyję tak głęboko, że wyszło plecami i amazonka nie mogła wyszarpnąć broni. Gdy żołnierz

upadł, Quia wdała się w zacieklą wymianę ciosów z drugim - zakończoną przez Nestora, a właściwie rzucony przez niego miecz.

Dawny skrytobójca z morderczą precyzją cisnął klingę, która wbiła się w nieosłonięte plecy żołnierza i zwała go na posadzkę. Balbok tymczasem uwolnił lodowego barbarzyńcę i wraz z nim rzucił się w wir walki. Gurn jednym ciosem powalił od razu dwóch wojowników.

Krzycząc z przerażenia, pozostali kapłani i żołnierze upuścili broń i rzucili się do ucieczki.

Balbok szczechnął za nimi wściekle, Quia chciała ich gonić, by wybić do reszty. Nestor jednak ją powstrzymał.

- Niech biegną - powiedział. - My lepiej też uciekajmy.

Amazonka stała, ciężko dysząc, jej spryskane krwią piersi gwałtownie unosiły się i opadały, a zielone oczy błyszczały bitewną gorączką.

- Quia, słyszysz mnie?! Musimy zniknąć!

W jej oczach coś zamigotało, jakby budziła się z transu.

- Masz rację - odparła. - Z wami wszystko w porządku?

Nestor i Gurn wymienili spojrzenia.

- Tak mi się zdaje - westchnął z ulgą człowiek z Taik. - Zawdzięczamy to tylko wam.

- To była dla mnie przyjemność - uśmiechnął się Balbok i można mu było wierzyć.

- Gdzie Rammar? - zapytał zamachowiec. - I czemu ty tu jesteś, Quia? Czy to ma związek z twoim ludem? Słyszeliśmy, że...

Zamilkł, napotkawszy jej spojrzenie.

- Cieszę się, że żyjesz - powiedziała wreszcie, a po jej ustach przemknął uśmiech.

- Ja też. - Pokiwał głową i też się uśmiechnął.

- Teraz my zniknąć - nalegał Gurn. - Jeśli wróg wrócić, przynieść posiłki...

Mimo problemów językowych barbarzyńcy wszyscy zrozumieli, że bynajmniej nie ma na myśli tac i półmisków wypełnionych

smakołykami, zatem rzucili się do ucieczki. Nie poszli korytarzem, ale wspięli się z powrotem na galerię, którą dotarli tu ork i dziewczyna. Przodem pobiegła Quia, która dobrze zapamiętała drogę, potem Nestor i Gurn, a na końcu jako tylna straż Balbok z oczami błyszczącymi żądzą krwi i z toporem w dłoni.

Przez szereg korytarzy i schodów dobiegli z powrotem do łukowatego mostu nad rzeką lawy. Chcieli minąć go biegiem, ale nie dotarli daleko.

Na szczycie mostu stał ktoś, kto najwyraźniej czekał właśnie na nich, a jego przysadzista sylwetka odcinała się na tle pomarańczowoczerwonego blasku lawy.

- Witajcie, przyjaciele - dobiegł z półmroku głos.

Głos Ortmara z Rumowiska.

12. NAMHAL NOKD

Ankluas mknął przez podziemne korytarze, obierając to ten, to inny kierunek. Nie, ork nie znalazł drogi przez ponury, opływany rzekami lawy labirynt głęboko pod górą Anar. Kierowała nim intuicja.

Poczuł ulgę, gdy pozbył się towarzyszy. Przez długi czas byli przydatni i pomocni, ale reszta drogi była jego. Tylko jego.

Stawi czoła władcy podziemnego świata...

Sam!

W którą stronę idzie, nie było ważne - jeśli on nie znajdzie wroga, to wcześniej czy później wróg znajdzie jego, był o tym przekonany. Oby tylko nie tracić z oczu celu misji, myśleć cały czas o tym, dlaczego wziął to wszystko na siebie.

Zło, które już raz wyszło z Kal Anar i od którego dostał swoją moc Ciemny Elf Margok, powróciło, i w całym Łądzie niewielu było zdolnych stawić mu czoła. Czy należy do nich Ankluas, okaże

się dopiero wtedy, gdy stanie naprzeciw bestii oko w oko i kiedy spadną ostatnie maski...

Czujnie, z mieczem w dłoni ork biegł w górę wąskimi, wykutymi w skale schodami, aż dotarł do szerokiego korytarza. Ten znów prowadził do ogromnej jaskini, u której sufitu coś wisiało. Ankluas najpierw uznał to za dziwnie uformowane stalaktyty, potem jednak rozpoznał ludzkie kształty otulone ciągliwą, brązową warstwą. Większość powleczonych tym śliskim błotem kształtów wisiała nieruchomo, w kilku nielicznych jednak coś się poruszało...

To byli więźniowie rozpaczliwie próbujący się wydostać!

Ankluas z trudem zwalczył odruch, by ich uwolnić - dla nich tak czy owak za późno na ratunek, a ork nie miał czasu do stracenia. Bardziej niż gniew napęlał go smutek. Bezdenny, straszliwy smutek.

- Coś ty narobił? - szepnął. - Jak mogłem się tak pomylić?!

- Strzępobrody! - warknął Balbok, a zabrzmiało to jak przekleństwo.

- Miło, że mnie pamiętasz - zadrwił Ortmar z Rumowiska. - U takiego głupka jak ty to nie jest oczywiste.

- Głupkiem będziesz ty, kiedy wycisnę ci ze łba twój śmierdzący mózg - obiecał ponuro ork.

Krasnolud skwitował to drwiącym śmiechem.

- Zawsze ten sam, co? A przecież powinno do was powoli dotrzeć, że mnie nie tak łatwo zabić. Ktokolwiek tego próbował, nie wyszło mu to na dobre - dodał, zerkając na Quię.

- Morderca! - krzyknęła amazonka i chciała się na niego rzucić, ale ręka Nestora pośpiesznie chwyciła ją za ramię i powstrzymała.

- Szkoda - skomentował kpiąco Ortmar z Rumowiska. - Moi wojownicy z przyjemnością posiekaliby ją na kawałki, jak zrobili to z resztą tych przekłętých amazonek!

Dał znak i z drugiego, skrytego w ciemności końca mostu dołączył do niego oddział uzbrojonych po zęby żołnierzy.

Nie byli to wojownicy z krwi i kości jak ostatnio w jaskini. Stały przed nimi upiory poległych z dawnych bitew, poprzedzał ich obrzydliwy smród, a białe oblicza czaszek emanowały okrucieństwem.

- Ty... ty jesteś z nimi w zмовie! - zawołał Nestor.

- Słuszna uwaga - powiedział krasnolud z drwiącym podziwem. - Mało tego, ja im rozkazuję, jak mogliście zobaczyć!

- Rozkazujesz? Ale jak...?

- Jak to możliwe? A jak to możliwe, że wyprzedzam was o krok? Że wy stoicie po stronie pokonanych, a ja należę do zwycięzców? - Ortmar z Rumowiska skrzywił się. - Powiem wam, przyjaciele. To dlatego, że w porę stanąłem po stronie tego, do kogo należy przyszłość Łądu.

- Kim on jest? - spytał Nestor.

- Kogo to obchodzi? - Wzruszył ramionami krasnolud. - Mój władca jest tak stary, że miał już wiele imion. W Kal Anar zwał go Snagor, ale cóż to za imię w obliczu jego niesamowitej mocy? To on kazał wrócić bazyliżkom i przywołał z grobów wojowników minionych dni. Z ich pomocą podporządkuje sobie Łąd, a ja będę u jego boku. U boku zwycięzcy!

- Służyłeś mu - stwierdził trzeźwo skrytobójca. - Od początku!

- Dziwi cię to? - spytał Ortmar. - Naprawdę uwierzyliście, że podporządkuję się człowiekowi? Że będę bił pokłony Corwynowi i słuchał paplaniny jego elfiej wywłoki? Tylko z jednego powodu byłem w Targas Lan: jako szpieg na służbie Snagora.

- Zdrajca! - warknął Balbok.

- Po tym możecie poznać, jak zmienił się świat - zauważył z zimnym uśmiechem krasnolud. - Dawniej to maskary nazywano

zdrajcami, a my, krasnoludy, walczyliśmy za tak zwaną słuszną sprawę. Teraz jest odwrotnie...

- Mam gdzieś słuszną sprawę! - postawił sprawę jasno Balbok. - Jestem tu, bo chcę zobaczyć krew, i to twoją. Nie tylko nas zdradziłeś i sprzedałeś, ale zabiłeś moje córki. Odpokutujesz za to!

- Twoje córki?! - Ortmar roześmiał się grzmiąco. - Naprawdę uwierzyłeś w tę bzdurę?

- To nie jest bzdura - sprzeciwiła się Quia i uniosła swoje dwa miecze. - Zobaczysz, dopadnie cię gniew Bunaisa!

- Co ty nie powiesz, kobieto! Zamiast wpadać w wysokie tony, lepiej się poddajcie. W przeciwnym razie wydam rozkaz moim wiernym żołnierzom, a tego żaden z was nie przeży...

Więcej nie zdołał powiedzieć, bo Balbok przyskoczył z ochrypłym bojowym okrzykiem na ustach. Zamachnął się, topór spadł jak piorun i jego szczerbate żeleźce wbiło się głęboko w pierś krasnoluda.

- Zamilkniesz wreszcie?! - krzyknął Balbok i wyszarpnął broń. Tylko z powodu imponującej brody opadającej Ortmarowi na pierś i brzuch krew zdrajcy nie trysnęła orkowi w twarz.

Jeszcze krótką chwilę krasnolud trzymał się na nogach i patrzył na Balboka, nie pojmując, co się stało. Potem sztywno upadł, a jego upiorni podwładni uznali to za sygnał do ataku. Ochryple dysząc, przeskoczyli zwłoki przywódcy, unieśli miecze, topory i dzidy i z wszystkim tym ruszyli na rosnącego orka.

Ten nieruchomo jak skała stał pośrodku mostu i prowadził topór szerokim półkolem - pierwsza fala napastników została dosłownie zmieciona i runęła we wrzącą lawę. Jednak upiory wciąż nacierały, a było ich tak wiele, że Balbok musiał się wycofać. Jeszcze raz machnął toporem, strącając cały szereg wrogów w

niszczyielski żar, potem stanął ramię w ramię z towarzyszami.

Ork, amazonka, skrytobójca i lodowy barbarzyńca - nikt chyba nie widział podobnej kompanii, zwłaszcza w walce na śmierć i życie ze szkieletami.

- Zwalajcie im łby z głowy! - Balbok powtórzył, czego nauczył go Ankluas. - Kiedy nie mają łbów, to po nich!

Sam dał dobry przykład i pozbawił czerepu kościotrupa, który podszedł o krok za blisko. Quia swymi mieczami odesłała kolejnego napastnika z powrotem do krainy umarłych, nie spali również Nestor i Gurn. Jednak za każdego upiora, który padał pozbawiony głowy, zdawało się przybywać dwóch następnych. Napierali całą szerokością mostu i towarzysze musieli piekielnie uważać, by nie dosięgnęło ich któreś z ostrzy.

Nagle rozległ się zduszony krzyk Gurna - zardzewiały topór upiornego wojownika wyrąbał mu w lewej nodze wielką ranę. Złość lodowego barbarzyńcy dosięgła upiora, nim zdążył poprawić. Łapa Gurna chwyciła czaszkę szkieletu i wyrwała ją, aż trzasnęły miażdżone kości. Nestor położył kolejnego upiora, ale nie zmieniało to faktu, że napastników przybywało. Quia znalazła się w wielkiej opresji i było tylko kwestią czasu, kiedy upiorni wojownicy ich pokonają...

- W tył! - krzyknął z całej siły skrytobójca. - Musimy się wycofać!

- Nie! - wrzasnęła Quia i kopniakiem strąciła z mostu kolejnego przeciwnika, jednocześnie parując cios miecza następnego.

Amazonka też nie miała wątpliwości, że nie mogą wygrać tej potyczki, ale cofać się nie miało sensu. Ktoś musiał zostać i powstrzymać upiory, by dać czas na ucieczkę komuś innemu.

Jej siostry poszły już przed nią tą drogą, na którą nigdyś weszła Amaz, a dziewczyna była gotowa iść za nimi. Jako ostatnia ze swego ludu nie miała po co żyć. Miała jednak po co umierać...

Chciała właśnie powiedzieć towarzyszom, co postanowiła, gdy nagle w Gumie zaszła niespodziewana przemiana. Skąpany we krwi, z długimi, sterczącymi na wszystkie strony włosami lodowy barbarzyńca i tak przedstawiał mroźący krew w żyłach widok - nagle jednak jego rysy stwardniały. Kanciasta broda wysunęła się jeszcze bardziej do przodu, czoło stało się jakby szersze, w oczach błyszczały już tylko białka. Zaryczał przeraźliwie niczym nacierający warg.

- Berserk! - krzyknął zdumiony Nestor. - On jest berserkiem...!

Nawet upiory zatrzymały się na moment i nie wiedziały, jak zareagować na tę nową sytuację. Ubranie Gurna naprężyło się na jego mięśniach, aż pękło, i lodowy barbarzyńca wyszczerzył zęby jak wilk.

Swoją broń odrzucił z pogardą, za to wyrwał z rąk Balboka jego ciężki topór, by w następnej chwili zamachnąć się nie mniej zamasyście niż wielki ork. Fakt, że strącił do niebytu pięć szkieletów naraz, wyraźnie go nie zadowolił. Przeciwnie, z każdym przeciwnikiem, którego skracał o czaszkę, gniew Gurna rósł, a rana w nodze i ból dodatkowo zagrzewały do walki.

- Uciekać! - ryknął do towarzyszy, którzy tylko stali i nie wiedzieli, co robić. - Uciekać, kroćset! Gurn starczyć sam!

Jego słowa przeszły w zwierzęcy zew walki, gdy znów rzucił się na upiory, a te odpowiedziały kontratakiem. Z potężną, prymitywną siłą szkielety zderzyły się z berserkiem. Zardzewiałe żelazo cięło żywe ciało, orcza stal miażdżyła prastare kości.

Jeszcze krótką chwilę towarzysze stali niezdecydowani - Quia, gdyż to ona chciała się poświęcić, Nestor, gdyż nie potrafił zostawić

małomównego barbarzyńcy, który w ostatnie dni stał się jego wiernym przyjacielem, i Balbok, gdyż żał mu było, że kto inny będzie miał całą zabawę, a on odejdzie z niczym.

Jednak już w następnej chwili wszystkim wrócił rozsądek.

- Uciekać! - dało się zrozumieć jeszcze raz z dzikiego ryku Gurna.

Zaczęli więc biec w tę samą stronę, z której przyszli. Nagle Quia potknęła się o kamień i upadła. Nestor natychmiast zawrócił, żeby jej pomóc. Jako że stracili w ten sposób cenny czas, Balbok nie widział innego wyjścia, jak chwycić oboje pod pachy. Tak obładowany wybiegł z jaskini do tunelu najszybciej, jak tylko potrafiły jego długie nogi.

Jeszcze raz rzucili ostatnie spojrzenie na Gurna. Stał pośród fali żywych trupów, która groziła mu w każdej chwili zalaniem. Okropny krzyk zmienionego w berserka barbarzyńcy odbijał się echem od sklepienia i gonił towarzyszy daleko w głąb tunelu, potem nagle urwał się i zamilkł.

Gurn przegrał swoją ostatnią walkę.

Pochodnie migotliwym blaskiem oświetlały ogromne kolumny z rzeźbieniami o gadzich kształtach. To musiało być serce podziemnego labiryntu wijącego się głęboko w skale Anar.

Świątynia węży...

Ankluas był pewien, że znalazł to, czego szukał. Ale nie był sam!

Wokół stali strażnicy w hełmach i czarnych zbrojach, na ich tarczach widniał emblemat bazyliuszka. Zagrodzili orkowi drogę swymi włóczniami. Nie wydawali się zaskoczeni jego przybyciem.

- No, jesteś, maszkaro! - krzyknął kapitan w mowie zachodu.
- Kapłani powiedzieli nam, że przyjdiesz!

Ankluas odsłonił żółte zęby w uśmiechu równocześnie drwiącym i przyjaznym.

- To dobrze - odpowiedział.

- Gdzie zostawiłeś współplemieńców? Nie było was więcej?

- Reszta nie żyje - rzekł bez namysłu. - Zatkalem im gęby. Ich paplanina działała mi na nerwy.

Spod przyłbicy kapitana dobiegł głuchy śmiech.

- Xargul w swojej nieskończonej mądrości przewidział, że tak się stanie.

- Xargul? Kto to? - zdziwił się ork.

- Już twoje pytanie dowodzi, że jesteś bezrozumnym stworzeniem. Xargul to pan nas wszystkich i najwyższe bóstwo Kal Anar. Wrócił po tysiącach lat, by podporządkować sobie cały Ląd. Wielki Wąż zmiażdży i pokona wrogów!

- Może - przyznał Ankluas, a potem dodał z bardzo poważną miną: - Ale nim to się stanie, popłyną rzeki krwi, bezsensowna walka wtrąci Ląd w chaos i będzie kosztowała życie niezliczonych istot.

- Głupie gadanie! - burknął tylko kapitan.

- Gdzie jest Xargul? - zapytał ork. - Jest tutaj?

- W istocie. Oczekuje cię. Mamy rozkazy, by zaprowadzić cię do niego, skoro tylko przybędziesz.

- Zatem róbcie, co wam polecono! Nie mogę się już doczekać, by go spotkać.

Świątynni strażnicy zdawali się trochę zaskoczeni taką arogancją, ale szybko odzyskali panowanie nad sobą.

- Najpierw cię rozbroimy - oznajmił mu wrogo kapitan.

- Xargul życzy sobie zobaczyć mnie bezbronnego? Cóż z niego za bóstwo, skoro boi się orczego miecza? - Ankluas zaśmiał się drwiąco, potem jednak rzucił miecz do stóp kapitana. - Niech ma, czego chce.

- Xargul zawsze dostaje to, czego zapragnie! - odrzekł zbrojny i dał swoim ludziom znak, na co kilku żołnierzy obszukało

Ankluasa, bez efektu. - Pójdiesz z nami dobrowolnie czy musimy cię spętać?

- Pójdę - kiwnął głową ork, na co spod hełmu kapitana dobiegło rozczarowane prychnięcie. Na jego kolejny znak oddział z Ankluasem ruszył w głąb świątyni. Dopiero teraz ork zauważył okrągłą, głęboką na dziesięć kroków jamę. Żołnierze zatrzymali się na jej krawędzi.

- Tam musisz zejść. - Kapitan wskazał w dół. - Xargul cię oczekuje!

- Jak uprzejmie z jego strony. - Na dnie jamy ork zobaczył niezliczone ogryzione kości. Ludzkie kości... - Jak widzę, wasz Xargul ma apetyt.

- Przejdą ci kpiny, gdy staniesz przed nim - zapowiedział kapitan, a Ankluas był pewien, że twarz pod przyłbicą uśmiechnęła się szyderczo. - A teraz do środka!

W tej samej chwili ork dostał potężne uderzenie w plecy i spadł do jamy, zdołał jednak przetoczyć się po śmierdzących odchodach i ogryzionych kościach, nie łamiąc sobie niczego, po czym stanąć na nogach.

- Idź! - dobiegło z góry. - Xargul cię oczekuje!

Ankluas wyprostował się i rozejrzał. Była tylko jedna droga - szeroki tunel w ścianie jamy oświetlony pomarańczowoczerwonym światłem.

Ork ruszył. Mijając szczątki ludzi, którzy znaleźli tu okrutny koniec, ostrożnie wszedł do korytarza. Smród napływający z naprzeciwka był nieopisany - mieszanina zgnilizny i siarki, a do tego czuł gorąco, które z każdym krokiem zdawało się wzrastać. Wkrótce zrozumiał dlaczego - szedł wprost do jądra góry, do płynnego żaru wrzącego we wnętrzu Anar. Rozgrzanym powietrzem co chwilę targał głuchy łomot, a skały oświetlała ognista poświata rozżarzonej lawy.

Pot wystąpił Ankluasowi na pokryte bliznami czoło. Jeśli miał być szczery, musiał przyznać, że się boi - choć mniej o siebie samego niż o świat i żyjące w nim istoty...

Gdy tunel się skończył, blask żaru dosłownie oślepił orka, a dławiący skwar odebrał mu oddech. Mimo to, osłoniwszy twarz, szedł dalej.

Znalazł się na wąskiej, spiczasto zakończonej platformie w połowie wysokości wielkiej jaskini. Z ogromnego skalnego sklepienia ziały ciemne otwory, a poniżej rozciągało się morze wrzącej lawy, nad którym zawisała owa kamienna platforma. Dymiło, bulgotało i pryskało, tu i ówdzie na płynnym ogniu unosiła się plama topniejącej skały albo jaśniały białe wiry.

Widok piekła przypominającego świat u jego zarania wstrząsnął Ankluasem. Prawdziwe przerażenie ogarnęło go jednak, dopiero gdy poczuł obecność istoty równocześnie obcej i dobrze znajomej.

Słyszał, jak za nim coś wielkiego spełza po skalnej ścianie, ale ork nie odwrócił głowy. Nie mógł. Stał sztywno, wbijając wzrok w morze żaru.

- Tak całkiem sam? - zabrzmiał niski, wstrętnie syczący głos.
Ankluas zamknął oczy.
Nadeszła pora...

13. SUL UR'SNAGOR

Nie chcesz się odwrócić? - spytał głos.

Jego niskie, gardłowe brzmienie było Ankluasowi obce, za to zblazowany, arogancki ton bardzo znajomy.

- Po co? By skamienieć? Dobrze wiem, czym jesteś i do czego jesteś zdolny. Spojrzenia twego niewydarzonego potomstwa potrafią tylko paraliżować ofiary, kto jednak spojrzy w oczy prawdziwego bazyliuszka, ten nieodwracalnie zmieni się w kamień i nawet elfie czary nie zdołają go przywrócić do życia.

- Tak napisano w starych pismach -potwierdził głos i Ankluas znów usłyszał, jak to ogromne cielsko pełźnie ku niemu. Kątem oka dostrzegł ruch, ale nie uległ pokusie i jego głowa nawet nie drgnęła. - Jak na orka jesteś zadziwiająco dobrze poinformowany.

Jednouchy skinął gniewnie głową.

- Nie zawsze jest tak, jak wydaje się na pierwszy rzut oka.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chcę przez to powiedzieć, że cię przejrzałem.
- Jak to?
- Jak już powiedziałem, wiem, czym jesteś. I wiem też, kim jesteś.

- Ach tak? - Potwór, ociężałe sunąc po skale, zaśmiał się cicho. - A kim, twoim zdaniem, jestem, nierozumna maskarado?

- Kimś, kogo wygnano - odpowiedział Ankluas. - Kto chciał osiągnąć wszystko i poniósł klęskę. Komu zabrano wszystko, o czym marzył, i kto teraz chce się zemścić. Czyż nie tak?

Głos nic nie odpowiedział. Do uszu orka dobiegało tylko ochryple syczenie.

- Czyż nie tak? - spytał dlatego jeszcze raz. - Czy chcesz zaprzeczyć prawdzie... Loreto?

Syczenie z gardzieli bazyliuszka wzmogło się i mimo zabójczego skwaru ork miał wrażenie, że nad platformą powiał lodowaty wiatr.

- To imię... - zabrzmiało cicho.

- Poznajesz je? - rzucił Ankluas.

- To, czy je poznaję czy nie, nie gra żadnej roli. To imię nie ma już żadnego znaczenia.

- Mimo to jest częścią ciebie - powiedział ork. - Loreto jest tym, co cię odżywia, prawda? Tym, co uratowało ci życie, gdy byłeś już bliski śmierci, i co podtrzymuje twoje istnienie. Mam rację?

Istota zbliżyła się do Ankluasa na kilka kroków. Jej zdyszany, cuchnący oddech prawie pozbawiał przytomności.

- Długo czekałeś - ciągnął ork. - Całe wieki czyhałeś w ciemności na to, że ktoś przyjdzie i ożywi cię na nowo. Czy nie tak było?

- To, co było, nie ma znaczenia - syknęło monstrum. - Nie jest ważne, kim byłem, ale kim jestem.

- A kim jesteś?
- Ja - prychnął stwór, prostując się nagle - jestem Xargul Po-
teżny! Istnieję od początku czasów i przetrwałem eony. Teraz od-
zyskałem swą dawną moc!
- Nie - sprzeciwił się Ankluas, nadal patrząc w morze lawy. -
Jesteś Loreto, księżę elfów, który sięgnął po koronę Tirgas Lan,
choć nie tobie była ona dana. Zostałeś wypędzony przez twój lud,
wtedy uciekłeś i włóczyłeś się po ponurych, odrażających bezdro-
żach, aż w końcu znalazła cię ta istota. Tylko dzięki tobie nabrała
sił. To tkwiącym w tobie złem się żywi.
- Loreto już nie istnieje - rzekło uparcie monstrum. -
Jesteśmy Xargul, wszystko inne jest bez znaczenia. A teraz,
maszkaro, nim cię zniszczymy, powiedz nam, skąd to wszystko
wiesz!
- Powiem - spokojnie obiecał Ankluas i sięgnął ostrożnie po
przedmiot, który nosił na skórzanym rzemieniu na piersi...

Wyciągniętym krokiem biegli przez oświetlony pochodniami korytarz - przodem Nestor, tuż za nim Quia, a na końcu Balbok.

Deptał im po piętach cały oddział świątynnych straży, a sądząc po kłopotaniu i stękaniu dobiegającym z głębi korytarza, również upiorni wojownicy. Między uciekinierami a pościgiem była jeszcze spora odległość, ale upał i duszne, gorące powietrze w korytarzach utrudniały bieg. Poza tym nie tylko mieczy musieli się obawiać...

- Głowy w dół! - wrzasnął Balbok, kiedy znów dosłyszał okropny świst strzał. Pociski wystrzelono w biegu, zatem niezbyt dokładnie, ale niebezpiecznie blisko uciekających.

Ork machnął łapą i strącił kilka z nich w powietrzu niby do-
kuczliwe owady, aby nie trafiły dwójki ludzi przed nim, lecz było

tylko kwestią czasu, kiedy pierwsza strzała dosięgnie celu. Do tego z bocznego korytarza wybiegło więcej rycerzy w czarnych zbrojach.

- Ktoś musi zostać i ich powstrzymać! – krzyknęła w biegu Quia.

Amazonka już zwalniała kroku, jednak Nestor po prostu porwał ją za sobą.

- Co to ma znaczyć?! - prychnęła. - Puść mnie, ty błaznie! Nie chcesz przeżyć?

- Chcę i przeżyję - odpowiedział - ale nie dzięki twojej ofierze!

- Nie mam już nic do stracenia, nie rozumiesz? Wszystkie moje siostry nie żyją! Nikomu nie będzie mnie brakowało!

- Mnie będzie cię brakowało! - krzyknął skrytobójca, wciskając głowę między ramiona, gdy znów zaświstały strzały. - Straciłem już przyjaciela, nie chcę stracić jeszcze ciebie!

- Czemu nie?

- Bo... bo ja...

Nie dokończył odpowiedzi, ale wciąż ciągnął Quię za sobą. Biegiem pokonali kolejny zakręt korytarza i niespodziewanie znaleźli się w jaskini z wąskim strumieniem lawy. Po obu stronach niczym skamieniałe świerki sterczały spiczaste skalne igły, a wśród nich wiła się tylko wąska ścieżka przy korycie płynnej magmy.

- Tędy! - krzyknął Nestor i pobiegli wzdłuż strumienia. Na połyskującej żółto powierzchni unosiły się wyspy czarnej stygnącej i znów roztapianej skały. Pościg deptał im po piętach, świstały strzały - niektóre złamały się na skalnych iglicach, inne splonęły w lawie.

Jeden z pocisków dosięgnął jednak celu. Balbok poczuł nagle ostre ukłucie w lewym ramieniu.

Ork wydał wściekły ryk i odruchowo sięgnął lewą ręką w tył, próbując wyciągnąć strzałę. Trafił przy tym jeden ze skalnych

nacieków, łamiąc go jednym ciosem. Smukły kamienny blok przechylił się - zupełnie jak ścięte drzewo, dwa razy wyższe od orka - i upadł w poprzek ścieżki, zanurzając się czubkiem w strumieniu lawy, aż płynna skała trysnęła na wszystkie strony. Balbok zawył jak pies, gdy kilka kropli spadło mu na kark, jednak zapach palonego rogu, który wypełnił mu nozdrza, jakoś mu się spodobał, i nagle ork zrozumiał, jak może powstrzymać pościg przynajmniej na chwilę.

Rzucając spojrzenie przez ramię, zobaczył, że rzeka lawy spiętrza się w miejscu, gdzie wpadła skalna iglica, zatem jeśli zwali ich jeszcze więcej...

Jak to miał w zwyczaju, nie zastanawiał się długo. Pędząc dalej za swoimi ludzkimi towarzyszami, dziko walił pięściami wokół siebie. Żałował, że nie ma topora, ale cóż, Gurn - choć człowiek, to twardy wojownik z kości i rogu - również zrobił z niego dobry użytek. Niczym młoty kułaki orka waliły w stalagmity i łamały jeden po drugim rzędami, zwalając je za uciekającymi w rzekę lawy.

Rozżarzony nurt spiętrzył się, a jego kolor ze świetlistej żółci przeszedł w ciemny pomarańcz. Gorąca lawa natychmiast zaczęła topić kamień, ale przeszkody sprawiły, że poziom strumienia podniósł się, magma wystąpiła z koryta i zalała ścieżkę.

Balbok, słysząc wrzaski ścigających, pozwolił sobie na szeroki uśmiech. Jeśli żołnierze nie chcą się poparzyć, będą musieli poszukać innej drogi albo poczekać, aż lawa rozpuści przeszkody i wróci do koryta. Jedno i drugie opóźni pościg.

- Dobra robota! - krzyknął z uznaniem Nestor, nie zwalniając biegu. Widzieli już wyjście z jaskini. - Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się tego po orku.

- On nie jest orkiem - poprawiła Quia tonem najgłębszego przekonania. - To Bunais, nie zapominaj!

Zadyszani dotarli do wyjścia i chcieli wbiec do korytarza, gdy znów ktoś stanął im na drodze!

Tym razem był to tylko jeden przeciwnik, ale towarzysze stanęli jak wryci, bo nie wierzyli własnym oczom.

Przed nimi stał Ortmar z Rumowiska.

Mniej więcej on.

Zdradliwy krasnolud, którego Balbok już raz zabił, znów stał przed nimi z zakrwawioną brodą, która przysłaniała głęboką ranę na piersi. Oto kolejny upiór powrócił z pola bitwy, by się mścić i mordować...

Quia krzyknęła przeraźliwie, Balbok zaklął po orczemu. Trójka towarzyszy uniosła broń gotowa stawić czoła wrogowi z dwoma ciężkimi toporami w rękach.

Krasnolud już chciał zrobić z nich użytek, a jednak nie zdążył. Nagle za jego plecami przemknął cień i zakrwawione ciało Ortmara przebił *saparak!*

Ortmar zatrzymał się zdziwiony, Balbok zaś nie zmarnował okazji, by wyrwać mu jeden z toporów i uderzyć nim z całej siły - ścinając łeb krasnoluda.

Tułów trzymał się jeszcze chwilę na nogach, potem bezgłowe ciało upadło do przodu i zastygło bez ruchu.

A stojący za nim ork szczerzył zęby, uśmiechając się całą swą tłustą gębą i potrząsając zakrwawionym *saparakiem*.

- Wiedziałem, że sobie beze mnie nie poradzicie - stwierdził z satysfakcją. - Macie szczęście, że jak zwykle przybyłem w samą porę.

- Rammar! - krzyknął uradowany Balbok. - Więc jednak nie odszedłeś?

- Nie mogę przecież zostawić samego takiego *umbala* jak ty - wzruszył ramionami jego brat. - Bez mojej pomocy nie ujdiesz nawet dziesięć *knum'hai*.

- To prawda - przyznał bez ogródek chudzielec i rzucił się objąć brata, jak miały to w zwyczaju amazonki.

- Czyś ty stracił rozum?! - ofuknął go Rammar. – Nie przy ludziach! A teraz znikajmy, nim przyjdzie jeszcze więcej upiorów, albo krasnoludów, albo upiorów krasnoludów!

Ani Balbok, ani Quia czy Nestor nie sprzeciwili się, wybiegli więc z jaskini za Rammarem. Jakby to było oczywiste, gruby ork, który tak niespodziewanie wybawił ich z opresji, znów stanął na czele drużyny.

Rzeczywiście zdawał się znać drogę na zewnątrz - pewnie prowadził towarzyszy przez kolejne korytarze, w których raz po raz napotykali przebite *saparakiem* martwe ciała świątynnych strażników.

- Mieli czelność pytać, co tu robię - rzucił mimochodem Rammar.

- Pośpieszmy się - powiedział Nestor i wstrząsnął nim dreszcz - zanim się znowu podniosą.

Dotarli do schodów stromymi zwojami stopni prowadzących w górę i szerokich akurat na tyle, żeby pomieścić grubego orka.

- Dla ciebie się tu pchałem! - krzyknął ten zgryźliwie do Balboka. - Te schody - wystękał - odkryłem przypadkiem. Prowadzą prosto na wolność...

Towarzysze wspinali się po wąskich, wydeptanych stopniach, słysząc za plecami straszliwe krzyki. Co chwila oglądali się, pewni, że ujrzą ścigające ich kościotrupy, za nimi nie było jednak nikogo. Zadyszani ledwie łapali oddech, zaś wulkanem znów wstrząsały głuche rumory nieobiecujące nic dobrego.

Wtem skwar zelżał. Nie, nawet całkiem ustąpił, a na twarzach poczuli świeży powiew.

- Wyjście! - krzyknęła Quia biegnąca na czele. - Już je widzę!

Chwilę później również pozostali ujrzeni okrągły otwór, za którym wabiło ich ciemnoszare niebo. Zamykająca wyjście krata była

czczą formalnością - Balbok chwycił żelazne pręty, szarpnął je i wyrwał drzwi z zawiasów. Uciekinierzy niecierpliwie wypadli na zewnątrz.

Zaczęło już zmierzchać, ale miasto oświetlał ognisty blask. Poświata na szczycie Anar przybrała na sile. Coś działo się we wnętrzu góry, a towarzysze wiele by dali, aby się dowiedzieć, czy ma to jakiś związek z Ankluasem...

14. TORMA UR'OLK

Teraz go widział.

Ankluas miał w łapie kryształ wiszący dotychczas na rzemieniu na jego piersi. Trzymał go przy prawym oku tak, że jedna z oszlifowanych gładko powierzchni odbijała wszystko, co działo się za nim. W ten sposób ork mógł patrzeć na bazyliuszka bez obawy, że ten przemieni go w kamień.

To, co zobaczył, nappełniło go przerażeniem.

W starych pismach czytał o okropnościach pradziejów, wiedział, czym były bazyliuszki, i walczył już z ich potomstwem. Lecz nic nie mogło przygotować go na ten widok.

Stworzenie było ogromne. Łeb drapieżnego ptaka z zabójczym, hakowatym dziobem miał rozmiary wozu, częściowo upierzone wężowe ciało było grube na dwa sążnie i wiło się tak, że trudno było ocenić długość. Skórzaste skrzydła stwór miał jednak niewiele większe niż bazyliuszki, które Ankluas dotąd spotkał, i wąpił,

czy uniosłyby takiego kolosa w powietrze, zwłaszcza że były dziurawe i w wielu miejscach naddarte. W ogóle węzowe cielsko zdawało się marnieć - błonę na skrzydłach miał szarą, pozbawioną blasku, a łuskę pokrytą ciemnymi pęcherzami, z których sączyła się cuchnąca ropa.

Tysiąclecia, które monstrum przeczekało w bezruchu, odcisnęły na nim swoje piętno. Tylko oczy płonęły niszczycielskim blaskiem, gdyż zło trzymające bazyliuszka przy życiu otrzymało niedawno pożywienie.

- Zdarzało ci się wyglądać lepiej, Loreto - stwierdził Ankluas, starając się ukryć lęk.

- Kogo by interesował mój wygląd? - syknął stwór. Jednouchy ork najmniej powinien łamać sobie nad tym głowę.

- Rzeczy nie zawsze są takie, jak na pozór wyglądają, Loreto - odpowiedział Ankluas. - Nie jesteś tym, za kogo się podajesz, i ja też nie.

Głowa drapieżnego ptaka przekrzywiła się.

- Kim więc jesteś? Zdradź mi, nim cię połknę.

Ankluas opuścił kryształ i odwrócił się. Miał przy tym mocno zaciśnięte powieki, ale dokonywała się w nim osobliwa przemiana.

Na zaskoczonych oczach bazyliuszka zielona skóra orka napięła się i znikły blizny i nagnioty. Więcej, skóra była coraz jaśniejsza, aż na koniec prawie pobieliała. Pysk zmałał, zmieniając się w wąski nos, a rzadkie włosy zwisające z tyłu głowy urosły w jasną grzywę.

Postura orka również się przeobraziła, był teraz mniejszy i szczuplejszy. Nawet jego strój się zmienił - miał teraz obcisłe zielone spodnie i kurtkę z szerokim pasem.

Bazyliuszek wydał zjadliwe prychnięcie, widząc, że nie stoi już przed nim wstrętna maskara, ale młoda kobieta wprost oślepiająca pięknosci, dumna córka elfiego rodu.

Część bazyliuszka dobrze pamiętała jej szlachetne rysy, gdyż był czas, gdy ta część ją kochała...

- Alannah... - Głos potwora był jak powiew lodowatego powietrza. - Jak... jak to możliwe?

- I to ty mnie pytasz? - odpowiedziała królowa, wciąż nie otwierając oczu. - Czy to nie ty jesteś tym, który się przemienił? Dla mnie to był tylko kamuflaż, elfie zakłęcie zmieniające skórę, nic więcej. Ty za to zmieniłeś nie tylko swój wygląd, Loreto, tyś cały się odmienił. Sprzedałeś się mocy zła.

- Milcz! - krzyknęła na nią potwór i znów poczuła jego odór. - Wiesz, jaki ból wycierpiałem, kiedy mnie zdradziłaś i porzuciłaś? Nie, ty nie wiesz! Ty nic nie wiesz!

- Ja cię zostawiłam? - Alannah współczująco pokręciła głową. - Ty zawsze przeinaczałeś prawdę, Loreto. To nie ty, ale ja byłam tą, którą zdradzono i porzucono. Dobrze pamiętam ten list, który wysłałeś do Shakary, pisząc mi, że zamierzasz pożeglować do Dalekiego Brzegu i tam szukać szczęścia, a mnie chciałeś zostawić w świątyni. Ale potem wyszło inaczej, prawda?

- Zostałem zdradzony - upierało się monstrum. - Najpierw przez ciebie, potem nawet przez Farawyna.

- Posłuchaj sam, co mówisz! Nazywasz wielkiego proroka zdrajcą tylko dlatego, że w jego proroctwie nie było miejsca dla ciebie. Chciałeś sięgnąć po koronę Tirgas Lan, lecz wybrańcem okazał się kto inny. Ktoś, kogo prorocтво uznało za godnego zająć miejsce, na którym dawniej zasiadali elfi królowie.

- Człowiek! - syknął pogardliwie bazyliuszek.

- Tak, człowiek - przyznała Alannah. - Do ludzi należy przyszłość, Loreto. Elfy odchodzą, bo dość już napatrzyły się na ten świat. Ludzie za to mają jeszcze wszystko przed sobą. Im teraz przysługuje prawo panowania nad Lądem.

- Nie! - syknęło monstrum, gwałtownie podrywając ogromną głowę. - To nie tym niegodnym istotom przysługuje prawo wziąć

w ręce władze nad Lądem, ale mnie! Tylko mnie jednemu!

- Och, Loreto - w głosie Alannah zabrzmiało głębokie współczucie - nie masz już nawet rąk, w które mógłbyś coś wziąć. To, czym byłeś, porzuciłeś, nawet swoje dawne ciało, a wszystko tylko z żądz zemsty. Gdy usłyszałam o nowej mocy rodzącej się na wschodzie, zaczęłam coś podejrzewać. Najpierw nie chciałam w to uwierzyć, ale potem miałam te sny...

- Jakie sny?

- Śniłam o tobie, Loreto. O tym, że bez spoczynku wędrujesz w poszukiwaniu zemsty i wreszcie spotykasz bazyliuszka. On cię połyka, bo dostrzega w tobie pokrewną duszę, i delektuje się twoją żądzą zemsty i twoim złem. Dzięki tobie nabiera nowych sił i wraca do Kal Anar, by strącić Ląd w śmierć i zagładę.

- O tym wszystkim śniłaś?

- O tym i jeszcze więcej.

- Świetnie! - zaskrzeczało monstrum. - Wygląda na to, że jeszcze coś nas łączy.

- Nie, Loreto, nic już nas nie łączy, odkąd stałeś się częścią Innego, Złego. Wybrałam tę niezwykłą drogę dotarcia do ciebie tylko z jednego, jedyne go powodu.

- Bo chcesz mnie uratować - domyślił się stwór.

- Błąd, Loreto. Dlatego, że trzeba z tym skończyć. Stałeś się zagrożeniem dla całego świata. Uczyniłeś się sługą Zła i zaprzysięgłeś zagładę nam wszystkim.

- Ja sługą? - krzyknął węzowy ptak. - Nie jestem sługą, głupia babo! Ja mam władzę! Jestem władcą Kal Anar!

- I to jakim władcą! - zadrwiła Alannah. - W mieście rządzą trwoga i strach. Jesteś zdolny tylko niszczyć, nie więcej.

- Nieprawda! Nie widziałaś moich dzieci?

- Masz na myśli bazyliżki? - Królowa znów pokręciła głową.
- To tylko kopie, karykatury potwora, jakim się stałeś.
- To moja moc kazała im powrócić.
- Nie twoja moc, Loreto, ale moc czegoś, co jest o wiele, wiele starsze od ciebie. Zło istniało zawsze, a ty jesteś tylko na jego usługach, nie odwrotnie.
- Ale ja je kontroluję.
- Margok też kiedyś tak myślał. Ale oszukiwał sam siebie. Moc zła nie da się kontrolować, Loreto, tobie też nie.
- Margok był błaznem! - Z hakowatego dzioba rozległ się jęgot. - Chciał podporządkować sobie Łąd z pomocą śmiertelników. Jego klęskę można było przewidzieć, gdyż orkowie są naiwni, a ludzie chwiejni w swych postanowieniach. Ja za to stworzyłem sobie armię, jakiej jeszcze w Łądzie nie było.
- Nic nie stworzyłeś - postawiła sprawę jasno Alannah. - Użyłeś tylko tego, co zostało po Margoku. Jak padlinożerca rzuciłeś się na poległych podczas jego wojen i wyrwałeś ich z grobów. Naruszyłeś wszystkie prawa życia, Loreto.
- Mówisz o moich wojownikach. W istocie są przydatnymi sługami, a ich lojalność wykracza daleko poza śmierć - dobiegło z gardła bazyliżka. - Ale oni nie są armią, o której mówię. Jeśli Kal Anar pociągnie na zachód, atak nie nastąpi z ziemi, lecz z powietrza!
- Z powietrza? - Przez chwilę elfini sądziła, że Loreto, wchodząc w ciało bazyliżki, stracił rozum, ale potem zrozumiała. - Ta jaskinia, w której byłem... ci biedni ludzie wiszący w tych dziwnych workach... to była... wylegarnia, prawda?
- Twoja inteligencja jest wciąż tak bystra jak dawniej - odpowiedział szyderczo potwór. - Każdego dnia wybiera się kilku

z mojego ludu i przenosi w wyższy byt, wprowadzając w nich zarodek węża. Siedem miesięcy służą za pożywienie rosnącym bazyliżkom, oddając im również swego ducha i rozum. To, co na koniec wyskakuje ze skorupy, nie jest bezduszną kreaturą, ale oddanym sługą, żołnierzem! To, moja droga, jest prawdziwa armia Kal Anar. Wkrótce będzie gotowa!

Ucieczka orków i ich ludzkich towarzyszy nie pozostała długo niezauważona.

Rammar, Balbok i kompania nie uszli daleko, gdy horda wojowników, żywych i upiorów, wysypała się z wylotu tunelu położonego na zewnątrz murów Kal Anar powyżej Wężowej Wieży.

- Biegnijcie! - krzyknął Rammar do towarzyszy, sam pędząc tak szybko, na ile pozwalały mu krótkie nogi. - Biegnijcie o życie!...

Tego nie trzeba im było mówić. Strzały świszczące w gorącym powietrzu uskrzydlały ich kroki. Mając mur miejski po lewej ręce, cała czwórka rzuciła się w dół stromego zbocza, przeskakiwała skały i rozpadliny, z których buchał gryzący dym. Wiele razy potykali się i upadali albo krwawo ranili o skalne nawisy, lecz natychmiast podnosili się i biegli dalej, wiedząc, że jeśli wróg ich dogoni, będzie to oznaczało dla nich śmierć. Biegli najszybciej jak potrafili - mimo to dystans od prześladowców stale malał.

Tylko szczęściu zawdzięczali, że żadna ze strzał nie trafiła do celu. Balbok, niosący topory Ortmara z Rumowiska, kręcił nimi, odrzucając pociski. Jednak nawet ork musiał w końcu stracić siły...

- Dopadną nas! - przepowiedział Nestor, rzucając przez ramię pośpieszne spojrzenie. - Jeśli zaraz coś się nie stanie, złapią nas...

Ale rzeczywiście coś się stało, choć coś zupełnie innego, niż zapewne wyobrażał sobie człowiek z Taik. Jego towarzysze i on wpadli na szutrowe osypisko, a ledwie Rammar postawił swą ciężką stopę na czarnym żwirze, lawina ruszyła w dół, a wraz z nią spadali uciekinierzy.

Nestor i Quia od razu stracili równowagę i upadli, orkowie jakoś zdołali utrzymać się w pionie. Balbok uznał nawet, że to wielka rzecz tak mknąć w dół zbocza i zręcznie balansować rozłożonymi ramionami. Rammar, z powodu swej wagi najszybszy, miał mniej szczęścia - trafił na skałę samotnie wznoszącą się wśród zwirowiska, odbił się od niej jak piłka i szalonymi koziołkami pomknął w dół zbocza.

Osypisko kończyło się gwałtownie u stóp góry, gdzie żwir ginał na czarnej wulkanicznej skale.

Balbok, który jedyny uniknął otarć i siniaków, podbiegł do Rammara i wyciągnął do niego łapę, by pomóc bratu podnieść się na nogi.

- Wszystko w porządku? - spytał z uśmiechem.

- Nie, do kroćset, nic nie jest w porządku! - wybuchnął grubas. Zamierzał właśnie przejść do lamentu i na cały głos poskarżyć się, że los wyposażył go w tak krótkie nogi, dając jego bratu tak długie.

Zamilkł jednak gwałtownie na widok tego, co zobaczył przy murze. Przy tunelach prowadzących do miasta nie pałętało się po tuzinie żołnierzy, ale o wiele więcej.

Setki.

Tysiące...

15. BLAR TOSASH'DOK

Na chwilę Alannah po prostu zabrakło słów. Podejrzewała, że jej dawny ukochany oddał się Złu, ale pierwszy raz zadała sobie pytanie, czy to w ogóle możliwe, by zdołała przeciwstawić się takiemu ogromowi Zła...

- Pierwsze bazyliuszki już się wykluły - oznajmił z tryumfem. - Są moimi niezawodnymi szpiegami, oczami i uszami i to one doniosły mi o waszej głupiej misji. Na razie jest ich tylko kilka tuzinów, ale wkrótce będą tysiące, a wtedy wyruszę na czele mojej armii do Targas Lan, ukarzę tego samozwańca Corwyna i każdego, kto mnie zdradził.

- Do tego nie dojdzie - odparła Alannah, ale w jej głosie nie było takiego niezłomnego przekonania jak wcześniej. - My też nie jesteśmy bezbronni. Trzeba ci wiedzieć, że ta „głupia misja”, jak ją nazywasz, była tylko podstępem odwracającym uwagę. Naprawdę sądzisz, że bylibyśmy tak głupi, aby ochronę naszego królestwa powierzać garstce maszkar i rzezimieszków?

- Jeśli stare proroctwo tego wymaga, jesteście tacy głupi. Tak, znam cię, Alannah...

- Masz rację - odpowiedziała drżącym głosem elfini. - Proroctwo Farawyna rzeczywiście głosi, że nowo powstałe królestwo Tirgas Lan od upadku uratuje maskara, ale mówi także, że w żyłach tego orka ma płynąć krew elfów. Masz jeszcze dość rozumu, żeby pojąć, co to znaczy, Loreto? Ja jestem maskarą z proroctwa! Ja przybyłam, by cię zabić!

- Doprawdy? - zakpił.

- Właśnie tak. A w czasie kiedy tu rozmawiamy, Corwyn, przekonany, że zostałam uprowadzona, wyruszy na czele wielkiej armii na wojnę z Kal Anar, by uprzeczyć twój atak. Widzisz więc, że jesteśmy przygotowani.

- Armia? - Bazyliszek syknął szyderczo. - Jaka armia? Kilka tysięcy ludzi, nic więcej. Wojsko upiorów powstrzyma ich, aż wyklują się moje bazyliszki. Tysiącami rzuca się na Corwyna i jego ludzi i nikogo nie pozostawia przy życiu. Potem wrócę do Tirgas Lan i wstąpię na tron. Skoryguję błędne proroctwo Farawyna i obwołam się władcą całego Łądu, ogromnego królestwa.

- Królestwa cieni - powiedziała smutno Alannah. - Królestwa zła, nic ponadto. Co się z tobą stało, Loreto? Zapomniałeś wszystkiego, czego nauczył cię nasz lud? Zaprzedałeś się tej samej mocy, która kiedyś zepsuła Margoka. Ale ja nie będę czekać, aż staniesz się tak potężny jak on. Zniszczę cię, Loreto, tu i teraz. To trzeba zrobić!

- Jestem wzruszony - zabrzmiała szydercza odpowiedź. - Gdybym nie wiedział, że to nieprawda, myślałbym, że mi współczujesz.

- Naprawdę ci współczuję - rzekła elfini. - Nie tyle tobie i temu, co z ciebie powstało, ale bardziej temu, kim niegdyś byłeś.

- To już dawno...

- Nie tak dawno, by nie móc sobie przypomnieć. Pamiętasz jeszcze szczęśliwe dni, jakie spędziliśmy w Świątyni Shakary? Wtedy twoje serce było jasne i czyste jak lód i wolne od...

- Dość! - przerwał jej gniewnym krzykiem. - Nie chcę już o tym słuchać!

- Dlaczego? Bo nie chcesz słyszeć prawdy? Bo to każe ci wątpić w twoje czyny?

- Nie, bo nie znoszę słuchać, jakim nędznym obłudnikiem wtedy byłem. Teraz jestem wolny i mogę robić i myśleć, co mi się podoba. Kto stanie mi na drodze, zostanie zniszczony, a ty nie jesteś wyjątkiem, Alannah. Przygotuj się na śmierć!

- Jestem gotowa - zapewniła spokojnie.

Szeroko rozdziawiony dziób bazyliuszka był coraz bliżej...

- *Shnorsh!* - wymknęło się Rammarowi. - Znikajmy, ale szybko!

Z bojowym wrzaskiem na ustach hordy wybiegały z bram tunelu - konni rycerze w czarnych zbrojach i klekoczące kośćmi upiory. Do tego na blankach pojawili się łucznicy i wystrzelili ogniste strzały, które buchając płomieniami, wznosiły się w niebo i rozświetlały noc.

Nestor i Quia zrozumieli już, że wybiła godzina próby, i biegli na łeb na szyję - prawie nie czuli już ran powstałych przy upadku. Również Rammar i Balbok wzięli nogi za pas - biegli ku czarnej wyżynie w nadziei, że znajdą tam skalną szczelinę albo grotę, do której będą mogli wpełznąć.

Choć zbyt wielka ta nadzieja nie była.

Ziemia pod ich stopami zadrżała, kiedy rycerze opuścili włócznie do ataku. Strumień jeźdźców wypływający z południowego tunelu zdawał się nie mieć końca. Również horda upiorów wysypująca się z drugiej strony była coraz większa - niezliczeni

wojownicy, ludzie, elfy, krasnoludy i orkowie, nawet kilka trolli, których szkielety przewyższały pozostałe.

- Tak szczerze - rzucił w biegu Balbok - czy oni trochę nie przesadzają jak na nas?

- Kto wie - odpowiedział nieskromnie tłuścioch - może się rozniosło, że w mieście jest Rammar Gniewny. To by tłumaczyło tę armię...

W tym momencie krzyki pogoni i dudnienie końskich kopyt zagłuszyło przenikliwe skrzeczenie. Ogarnięty nagłą trwogą gruby ork obejrzał się przez ramię i zobaczył kilka bazyliiszków unoszących się znad krateru Kal Anar - jeden, dwa, trzy... dużo, bo na tym skończyła się jego umiejętność rachowania. Pewne było tylko, że jest ich *iomash*.

Mnóstwo...

- Masz rację, Balbok - przyznał ochoczo tłuścioch, starając się biec jeszcze szybciej ku płaskiej grani, ciągnącej się nieco przed nimi. - To naprawdę za wiele zachodu, nawet dla Rammara Gniewnego!

Bazyliiszki, skrzecząc donośnie, wzniosły się wysoko nad wulkan, by nagle zmienić kierunek lotu. Niczym drapieżne ptaki, które dojrzały łup, spadały pionowo w dół i choć wystrzegali się odwracania i patrzenia im w oczy, uciekinierzy wyczuwali, że bestie są coraz bliżej. Poznawali to po tym, że strach ogarniający ich serca i miażdżący je żelazną klamrą gwałtownie się wzmógł. A monstra już minęły armię upiorów i wyprzedziły konnicę...

- Właściwie Rammar Gniewny nie ma nic przeciw Kal Anar! - krzyknął w rozpacz grubas. - Balbok Brutal zabił o wiele więcej waszych rycerzy niż ja, powinniście o tym wiedzieć...

Wężowe ptaki były już przy nich.

- Padnij! - krzyknął Nestor. Ledwie parę kroków dzieliło ich od grani.

Wszyscy czworo rzucili się na twarde skalne podłoże i czekali, aż węzowe cielska niczym ogromne macki owiną się wokół nich i poderwą w górę albo ostre jak nóż zakrzywione dzioby od razu ich rozszarpia. Słyszeli klaszczące bicie skrzydeł, czuli gryzący odór zgnilizny, którym cuchnęły bazyliuszki, i żegnali się z życiem...

Mgnienie oka później zdziwieni stwierdzili, że latające węże wcale nie są ich ciekawe. Bazyliuszki przeleciały ledwie kilka *kn-un'hai* nad ziemią, ponownie wydając swoje okropne wrzaski i muskając uciekinierów tchnieniem śmierci, ale już w następnej chwili przeleciały nad granią i za nią znikły.

- Do kroćset! - warknął Rammar z mieszaniną rozczarowania i ulgi, podnosząc się nieco. - Co, na spróchniały klozet Ludara...?

W tym momencie również po drugiej stronie dały się słyszeć głośne krzyki i w mrok nocnego nieba wleciały niezliczone ogniście strzały.

- Co, do...?

Rammar na kolanach podczołgał się do grani, by rzucić okiem. To, co zobaczył, nappełniło go ogromną radością, choć nigdy w życiu by się do tego nie przyznał.

To byli ludzie! I to nie kilku, ale nieprzebrane tłumy, cała armia ciągnąca skalistym wzgórzem, a jej koniec ginął w ciemnej dali. Ork widział konnych z włóczniami i jazdę pancerną, lekkozbrojnych i łuczników, oszczepników i mieczników, krasnoludy niosące topory i pikinierów. Na czele tej ogromnej zbieraniny dzierżącej proporce, które trzepotały na nocnym wietrze, a których broje połyskiwały ognistym odbłaskiem Anar, Rammar ujrzał nie kogo innego jak Corwyną!

W tym momencie był przeszcześliwy, że widzi króla Tirgas Lan, dawnego łowcę głów. A więc to jego i jego armię atakowały bazyliuszki...

- Corwyn! - krzyknął Balbok. - Co za szczęście! Przychodzi dokładnie we właściwym momencie!

- *Korr* - zgodził się gniewnie Rammar, zrećnie ukrywając ulgę - ten mlecznogęby musi najwyraźniej wszędzie przylazić i dokładać swojego *shnorsh*...

Rozszalała się gwałtowna walka. Bazyliuszki atakowały armię, lecz ta przywitała je gradem strzał. Dwie bestie spadły z nieba jak kamienie, następny zbliżył się zbyt blisko do pikinierów - ku swej zgubie, choć nim padł, zdołał zabić kilku zbrojnych swoim mocnym i giętym jak bat ogonem.

Kolejny potwór zaatakował krasnoludy. Niektórzy spojrzeli mu w oczy i dostali chwilowego paraliżu. Bazyliuszek wpadł pośród nich i zbierał krzywym dziobem krwawe żniwo.

Pewna liczba wężoptaków rzuciła się na konnicę na skrzydłach armii. Kilka koni przeszło, inne zeszytniały wraz z jeźdźcami. Corwyn jednak nie dał się zastraszyć. Osłaniany przez dwóch swoich przybocznych gwardzistów, wydał rozkaz dalszego marszu naprzód.

Rammar nie mógł się dłużej powstrzymać. Z ulgą podskoczył i zaczął jak opętany wymachiwać krótkimi rękami, w następstwie czego wystrzelona za jego plecami strzała przewierciła mu prawe ucho. Kwicząc, odwrócił się i przerażony wytrzeszczył oczy - z radości ze spotkania z Corwynem zupełnie zapomniał o jeźdźcach z Kal Anar i o armii upiorów!

Byli już zatrwająco blisko, zdążali ku grani od wschodu, zaś Corwyn ze swoją armią nacierał zachodnim zboczem. Gruby ork biegał spojrzeniem od jednej wrogiej armii do drugiej, dzieliła je już tylko odległość lotu strzały, widać było, że spotkają się dokładnie na szczycie. A więc w miejscu, gdzie stali uciekinierzy, za kilka chwil wybuchnie zaciekle bitwa...

- To by było na tyle, ja znikam - oznajmił Nestor i chciał ruszyć biegiem. Jednak amazonka, którą usiłował pociągnąć za sobą, powstrzymała go.

- Nie - sprzeciwiła się zdecydowanie. - Zostaniesz i ja też zostanę.

- Ale Quia!... - krzyknął Nestor, przekrzykując bitewny ryk obu armii. - Tu za moment rozpęta się piekło, a my znajdziemy się w samym środku! Zginiemy!

- Jeśli takie jest nasze przeznaczenie... - odpowiedziała tylko. Zakręciła mieczami w powietrzu i przyjęła pozycję, spokojnie wyczekując wroga.

- Ale ja... ja cię kocham! - wrzasnął w rozpacz płatny zabójca. - Nie chcę, żebyś zginęła... i mnie się też nie śpieszy do umierania. Moglibyśmy uciec i pożyć sobie spokojnie...

- Ja też cię kocham - odparła - i bardzo chciałabym z tobą uciec. Ale przed tym wrogiem nie ma ucieczki. Musimy stoczyć bitwę tu i teraz... albo to, co spotkało amazonki, stanie się losem wszystkich ludów!

Dawny zamachowiec westchnął. Jeszcze niedawno po prostu wyśmiałyby naiwne słowa dziewczyny, ale teraz wszystko się zmieniło. On się zmienił. Wiedział już, co znaczą wierność, przyjaźń i gotowość do poświęceń. Człowiek, którym był kiedyś, nie istniał. W ostatnich dniach narodził się nowy Nestor z Taik - który niestety zapewne długo nie pożyje...

- Więc dobrze - zgodził się mimo to i zajął pozycję obok amazonki. - Za Łąd! I za Gurna!

- Za Gurna! - potwierdził Balbok i z wyszczerzonymi zębami stanął przy nich, unosząc groźnie krasnoludzkie topory.

- Czy to ma znaczyć, że ty też chcesz zostać? - spytał przerażony Rammar.

- *Korr* - odpowiedział gniewnie brat. Poczul krew i palil sie do walki. - Poza tym i tak juz stad nie uciekniemy...

Mial racje. Jazda na skrzydlach armii Corwyna dotarla do grani i przemknela przez nia naprzeciw wroziej konnicy - orkowie i ich towarzysze byli okrazeni.

- Przeklęty *shnorsharz!* - burknal grubas. - Co zamierza król lowca glów?

- Planuje atak kleszczowy i próbuje na obu skrzydlach wbić sie klinem w armię Kal Anar - wyjaśnił ktoś nad nimi. - W ten sposób chce zapobiec napływowi nowych wojowników na pole bitwy!

Rammar odwrócił się i spojrzal w górę. Zobaczył Corwyna, który wraz z gwardzistami dotarł na grań. Dosiadal roslego rumaka, a jego zbroję zdobilo godło Tirgas Lan.

- Masz coś do zarzucenia mojemu planowi? - spytal grubego orka.

- Oczywiście - odpowiedzial zdecydowanym tonem Rammar. - Jeśli wypad piechoty w centrum nie nastapi dostatecznie szybko, twoja dumna jazda skonczy jako karma dla bazyliszków, to pewne.

- Co proponujesz?

- A cóżby? Potrzebujesz kilku orków w swoich szeregach!

- Myślałeś o kimś konkretnym? - spytal z uśmiechem król.

- Oszczędź sobie głupiej paplaniny! - mruknal Rammar, stajac obok towarzyszy. *Saparak* wbil przed soba w ziemie i wzial jeden z krasnoludzkich toporów od Balboka. W walce z upiorami ta broń byla daleko skuteczniejsza. - Nie wiem, czemu mój brat i ja wiecznie nadstawiamy nasze *asar'hai* za ciebie, królu lowco glów.

- Moze dlatego, ze jesteśmy przyjaciółmi? - Corwyn zamknal pokrywe helmu i dobył miecza w oczekiwaniu upiorów gromadnie wlażacych na wzgórze.

- Nie wyciągaj pochopnych wniosków! - warknął w odpowiedzi tłuszcioch. - Orkowie nie mają przyjaciół!

W tym momencie dotarły do nich pierwsze kościotrupy.

Całą swoją frustrację spowodowaną faktem, że zawrócił ratować brata, zamiast zgarnąć skarb i zwiać, Rammar zawarł w jednym potężnym ciosie toporem, który pozbawił głów od razu dwa kościotrupy. Ich czerepy odleciały szerokim łukiem, co wyglądało jak sygnał do ataku - gdyż już w następnej chwili zaczęło się walenie i klucie obu wrogich armii.

Krasnoludy Corwyna, jego miecznicy i reszta piechoty nacierała, zaś upiory rzucały się na nich całymi chmarami. Łucznicy i oszczepnicy czekali, podobnie jak pikinierzy. Z tym przeciwnikiem nie było co walczyć strzałami ani bronią kłutą, to zdawali się wiedzieć również wojownicy Corwyna.

Balbok wymachiwał toporem, rycząc wściekle i śmiejąc się przy tym gromko - to było dokładnie to, za czym tak się stęsknił w monotonnym smrodzie *bolbougu*!

Quia i Nestor bili się nie mniej odważnie i zaciekle, nawet Corwyn walczył w pierwszym szeregu. Wraz ze swymi dwoma przybocznymi gwardzistami rzucił się w wir bitwy. Z grzbietu konia, którego pierś opancerzona była metalowymi płytami, rozdzielał mieczem potężne ciosy, od których padło niemało kościotrupów.

Cóż, Rammar musiał przyznać, że inny król nie pofatygowalby na pole bitwy również swojej własnej *asar*. Ledwie udało mu się przełamać przednie szeregi przeciwników, już poganiał swego konia naprzód. Zwierzę stanęło dęba i uderzyło przednimi kopytami, wdeptało w ziemię licznych wrogów, którzy jednak, choć ze zgruchotanymi kośćmi, podnieśli się walczyć dalej. Tylko jeśli kopnięcie kopyta miażdżyło bladą czaszkę albo zwała ją z karku, przeciwnik pozostawał bez ruchu na ziemi.

Tym, że wśród napastników znajdują się również upiory orków, nie przejmował się ani Rammar, ani Balbok, który wpadł w *saobh* - dokładnie jak powiedział Anklus: nie była to bitwa między rasami, ale między tym, co żywe, a tym, co martwe. Nie szło o władzę ani bogactwa. Celem było po prostu przetrwanie.

- Pozdrowienia od Kurula! - rzucił Rammar przez wyszczerzone zęby, blokując topór ożywionego czarną mocą współplemieńca swoim toporem. Upiorna maskara zaśmiała się głucho, ale nie na długo. W przyptywie orczej siły grubas odepchnął go od siebie, kościotrup zatoczył się i już nie miał głowy. Wielka czaszka potoczyła się i wpadła pod kopyta konia Corwyna, które wkrótce ją zmiażdżyły.

Król zatrzymał się na moment. Uniósł przyłbicę i obejrzał się przez ramię, uniósł dłoń z mieczem w umówionym znaku.

Wtedy z szeregów łuczników strzeliły w górę trzy ogniste strzały płonące zielonym ogniem...

Yelnigg zobaczył sygnał, który wzniósł się i na moment zatrzymał na niebie.

Trzy zielone strzały.

Sygnał do ataku.

W gardle barona powstała wielka klucha. Stał na pokładzie rufowym królewskiego okrętu flagowego, bojowej galery z opancerzonym kadłubem i wyposażonej w katapultę. Była na nim również nadbudówka w kształcie wieży, na której tłoczyli się łucznicy. Do tej chwili Yelnigg prowadził wewnętrzną walkę: czy ma zareagować na sygnał, gdy go zobaczy? Czy naprawdę ma ryzykować wszystkim za człowieka, który go pokonał i pozbawił władzy?

Odruchowa odpowiedź brzmiała „nie”, ale Yelnigg dobrze wiedział, że dyktują ją zazdrość i urażona duma. Corwyn pokonał go i pozbawił władzy na wyspę Olfar. To graniczyło z szaleństwem

- iść do bitwy z takim człowiekiem, wrogiem, i może nawet oddać za niego życie. Ale mimo wszystkich powodów, by nienawidzić Corwyna - nie potrafił.

Król Tirgas Lan miał w sobie coś, co podobało się Yelniggowi. Przy ich ostatnim spotkaniu wykazał wielką odwagę i obdarzył go zaufaniem, powierzając baronowi dowództwo wojennej floty. Czegoś takiego nie robi się, żeby kogoś odepchnąć albo upokorzyć, ale po to, by zyskać sprzymierzeńca i przyjaciela.

Wewnętrzny głos mówił Yelniggowi, że Corwynowi nie chodzi o pomnożenie swego majątku ani władzy poprzez jednoczenie królestw Łądu pod swoim berłem. On miał wizję, wierzył w ideały i w to, że może zacząć się nowa era pokoju między wszystkimi ludami, jak niegdyś pod rządami elfów.

Obojętne, jak nieosiągalne mogłoby się to wydawać, baron podzielał marzenia króla i był gotów oddać wszystko, by pewnego dnia zmieniły się w rzeczywistość. Zdecydowanym ruchem uniósł dłoń i dał sygnał do ataku.

Smocze łodzie i bojowe galery obrały kurs prosto na śmiertelne rafy otaczające port w Kal Anar.

- Teraz! - krzyknął Yelnigg.

Katapulty na przednich pokładach wystrzeliły w noc swój płonący ładunek - napełnione smołą gliniane dzbany, które padając, rozбивały się i rozpryskiwały swą zawartość. Chwilę później płomienna zagłada zalała port i flotę wroga...

16. SABAL GOU BAS

Odór zgnilizny wionął z szeroko rozdziawionego dzioba bazyliuszka.

Alannah raptem spojrzała na bestię, nie zapomniała jednak przesłonić oczu kryształem...

Głowa drapieżnego ptaka odskoczyła, zatrzymała się tuż nad nią. Ciemnoczerwone oczy patrzyły złym wzrokiem i elfini poczuła, że zaczyna ją ogarniać panika.

- Głupia! - zaskrzeczał potwór. - Naprawdę myślisz, że możesz się przede mną obronić taką błyskotką? Spójrz w oczy bazyliuszka i porzuć nadzieję, zdrajczyń! Jak mogłem się tak pomylić?

- Oboje się pomyliliśmy, Loreto - odpowiedziała spokojnie, walcząc z ogarniającą ją zgrozą. - Teraz doprowadźmy to do końca...

- Flota, panie! Atakują!

Bryon, jeden z przybocznych gwardzistów Corwyna, wskazał na południowe zbocze góry, gdzie znajdował się port Kal Anar. Widok na morze zasłaniały wznoszące się pionowo przybrzeżne

skały, ale na niebie wyraźnie było widać płonące pociski. Mknęły od morza i z niszczącym impetem wpadały do portowego basenu. Wysokie płomienie strzelały w górę i pozwalały mniemać, że już wiele statków wroga zajęło się ogniem.

- Bardzo dobrze! - krzyknął Corwyn. - To ich powstrzyma...
Uważaj, Bryon!

Królowi wyrwał się okrzyk przerażenia na widok piki upiora wbijającej się w ciało gwardzisty, gdy ten na moment stracił czujność. Wytrzeszczając oczy, młody wojownik wpatrywał się w zardzewiałe ostrze wystające mu z piersi - potem upadł. Corwyn wyskoczył z siodła, rzucił się na mordercę swego wiernego żołnierza i dosłownie posiekał go na kawałki.

Kawaleria wroga tymczasem została rozbita. Sprawivszy to, konnica króla wbiła dwa głębokie kliny w armię szturmujących upiorów. Jazda Corwyna, w większości wojownicy z Sundaril i Andaril oraz konni paladyni z miast na północy, musieli więc udźwignąć podwójny ciężar - stawić czoła napływowi kościotrupów i nie dać się zgnieść od skrzydeł. Ich szeregi zostały przez to mocno przerzedzone i wielu nie walczyło już z grzbietu konia, ale pieszo. Rammar miał rację, gdy mówił, że idąca w drugiej linii ataku piechota będzie musiała uderzyć błyskawicznie, inaczej nie będzie komu spieszyć z odsieczą - ale wyglądało na to, że sprytny plan Corwyna się powiedzie. Od zdążającej im na pomoc piechoty konnych dzielił już tylko cienki kordon kościotrupów.

- Naprzód! - krzyknął król, lecz gdy jego żołnierze z bojowym zawołaniem Tirgas Lan rzucili się biegiem, nastąpił ponowny atak z powietrza.

Bazyliuszki, tym razem cała chmara, spadły z nocnego nieba, a ich wrzask posiał strach w sercach wojowników. Ci, którzy walczyli w pierwszych szeregach ginęli pierwszy.

Wojownicy Corwyna jeden po drugim padali pod szponami bazyliżków, podczas gdy te, przeraźliwie skrzecząc, krążyły w powietrzu i raz po raz pikującym lotem spadały na ofiary. Jednemu ogromnemu wojownikowi z wyzycznych klanów, który widoczny z daleka wystawał z masy walczących, monstrum oderwało głowę i z makabrycznym trofeum w dziobie wzniosło się w niebo, siejąc tym jeszcze większą trwogę wśród żołnierzy Targas Lan.

- Panie, nasz atak kuleje! - zameldował jeden z gwardzistów.
- Jeśli nie zdołamy przebić się do konnicy, za chwilę nic z niej nie zostanie!

To była prawda - oprócz wsparcia bazyliżków od miasta nadbiegało coraz więcej upiorów.

- Łucznicy! - zabrzmiał rozkaz Corwyna natychmiast przekazany na boczne skrzydła. - Oczyszćcie niebo z tych przeklętych bestii, ale natychmiast!

Momentalnie pomknęły pierwsze strzały. Wiele pocisków trafiło w cel, jednak bazyliżki nadal powtarzały ataki z powietrza, a napór armii kościołupów był coraz mocniejszy.

- Do kroćset - warknął wściekle Rammar - jeśli zaraz coś się nie wydarzy, to się źle dla nas skończy.

W tym momencie z krateru wulkanu dobiegło głucho dudnienie, ale w ogniu walki nikt nie zwrócił na to uwagi...

Bazyliżek patrzył na Alannah płonącymi czerwono oczami. Elfini czuła moc złego czaru, ale kryształ w dłoniach chronił ją przed jego wzrokiem!

A nawet więcej... I o to szło!

Gładkie jak lustro powierzchnie kryształu odbiły spojrzenie i niszczyielski czar potwora.

- C...co się dzieje?...

Paniczny krzyk wyrwał się z jego krtani, gdy poczuł, że zaczyna sztywnieć - jakby wbito mu w brzuch lodowaty sztylet, wnętrzości zalewał chłód.

- To niemożliwe! - wyrwało się z zakrzywionego dzioba. - T...to niemożliwe!...

- Ależ tak - zapewniła elfini. - Zgładziłeś sam siebie.

- A...ale żadne wykonane ręką śmiertelnika lustro nie jest w stanie odbić wzroku bazyliuszka!

- Ten kryształ nie został zrobiony ludzką ręką - odparła Alannah. - Powstał z Wiecznego Lodu Shakary, a stworzył go elfi czar. Czar twojego ludu, Loreto. To kara za twą haniebną zdradę!

- Nie! Nieee! - protestował panicznie, a równocześnie świtało mu w głowie, że zadał się z niewłaściwymi mocami. Jego wnętrze chłodziło, wijące się ciało węża nieruchomiało i krzepło. Bezradnie uderzał skórzastymi skrzydłami, lecz wkrótce i tego już nie potrafił.

- O...odpokutujesz z...za t...to! - rzucił ostatnią ponurą pogroźkę. Jego głowa, choć w połowie zmieniona już w kamień, na którym pojawiły się drobniutkie rysy, drgnęła, by ostatkiem sił dosięgnąć Alannah.

Elfini spodziewała się tego, uskoczyła i dziób wężoptaka uderzył z impetem w skałę. Jego kamienne okruchy rozprysły się na wszystkie strony, przeleciały za krawędź platformy i wpadły do płynnego żaru. Loreto wydał gniewny krzyk, tak pełen udręki i przerażenia, że Alannah napłynęły do oczu łzy. Łzy smutku i współczucia, ale również zadośćuczynienia.

Członki bazyliuszka skamieniały i skończył śmiercią, jaką przez eony sam zadawał tak wielu istotom. Jeszcze raz odrzucił głowę do tyłu, chcąc wydać ostatni pełen nienawiści krzyk, ale jego krtań nie zdołała już wydobyć żadnego dźwięku.

Bazyliuszek znieruchomiał w ogromny posąg...

Elfini okrążyła kamienne monstrum i zatrzymała się przy wyjściu z grotu. Stamtąd patrzyła na nieruchome cielsko, nadal budzące trwogę samym swoim wyglądem.

Alannah drżała na całym ciele i szalały w niej sprzeczne uczucia. Wiedziała, że musi doprowadzić rzecz do samego końca - zniszczyć nie tylko ciało bazyliuszka, ale również Zło, które w nim mieszka.

Czego nie zdołała dokonać moc lodu, to sprawi ognisty żar...

Nie namyślając się długo, elfini ujęła kryształ jak sztylet. Wypowiadając prastare zaklęcie, pochodzące jeszcze z czasów Farażyna, przyklekła i wbiła go w skalną platformę.

Skutek by natychmiastowy. Podczas gdy kryształ nie odniósł najmniejszej szkody, w skale ukazały się rysy. Wydając głucho trzaski, zaczęły poszerzać się i rozgałęziać na całą platformę.

Alannah z kryształem dłoni na łeb na szyję pobiegła w stronę wyjścia. W ostatniej chwili - ledwie opuściła ogromną grootę, pamiętająca wiele tysięcy skała poddała się i pochyliła ku morzu rozżarzonej lawy. Kamienne monstrum ze zgrzytem zjechało niżej, skrzydła odpadły, a węzowe ciało pokryły niezliczone pęknięcia. Potem platforma zupełnie się odłamała i potwór wraz z nią poleciał do głębi, koziołkując w gorącym powietrzu, by chwilę później utonąć w lawie.

Górą wstrząsnęło potężne drgnienie i poziom lawy zaczął się gwałtownie podnosić. Coraz więcej płynnej kamiennej masy spływało z wnętrza Łądu do niecki, tworząc fale odbijające się od skalnych ścian i wpływające do korytarza.

Złe zaklęcie zostało złamane i po latach ucisku, kiedy góra Anar musiała zadowalać się głuchymi grzmotami i wypluwaniem chmur ciemnego dymu, wulkan nabierał życia...

W jaskini, w której u sufitu wisiało potomstwo bazyliuszka, gorąco było nie do wytrzymania. Lecz węzowe stwory w kokonach potrzebowały tego skwaru, by rosnać. Długo dojrzewały, a ciała gospodarzy służyły im za pożywienie, aż zostały z nich tylko kości.

Wtedy nadchodził czas. Tak jak teraz.

Ostre pazury i dzioby rozerwały worki i ukazały się lby drapieżnych ptaków. Skwarna, przeniknięta odorem siarki cisza panująca w jaskini została gwałtownie przerwana, gdy dzioby wydały pierwszy skrzek - niby niewprawny, a już siejący strach i trwożę.

Instynktownie unikając patrzenia na siebie, bazyliuszki pazurami uwalniały się z chroniących je skorup. To, który jest zdolny do przeżycia, okazywało się właśnie w tej chwili - te, które nadały się do armii Xargula, rozkładały skrzydła i krążyły, reszta spadała, łamiąc sobie karki i służąc za pożywienie tym mocniejszym.

Pierwszy węzoptak wydostał się ze skorupy i z pełnym strachu skrzeczeniem spojrział w ziejącą pod nim otchłań. Potem spadł. Wijące się ciało węża leciało pionowo w dół, stwór próbował bić skrzydłami, lecz mijały chwile, a on nie mógł wzbić się do lotu. Jego współplemieńcy już mieli nadzieję na ucztę, gdy nagle skórzaste skrzydła rozwinęły się i potwór poszybował ku wylotowi tunelu. Z gardła bazyliuszka wydobyło się skrzeczenie, a pozostałe, słysząc ten zew, zaczęły z jeszcze większym pośpiechem kruszyć swoje kokony.

Jednak tryumf bazyliuszka nie trwał długo. Oślepiający blask ognia i straszliwy skwar, jakie czekały go w tunelu, zaniepokoiły potwora. Zwierzęcy instynkt i tkwiący w nim ludzki rozum zasygnalizowały niebezpieczeństwo. Chciał zawrócić, gdy zza zakrętu korytarza chlusnęło na niego rozżarzone zniszczenie, płynny kamień mknący wartkim strumieniem, a po chwili ognistą kaskadą wlewający się do wylęgarni.

Po chwili płonęło tam wszystko - i to, co żywe, i to, co martwe. To był koniec armii Xargula.

17. BUUNN UR'LIOSG

- Masz, nędzny klekocie, i spadaj z powrotem w ciemną jamę Kurula!

Balbok toporem pozbawił głowy upiora elfiego wojownika. Bezgłowy szkielet przewrócił się z grzechotem kości i brzękiem zbroi, lecz zardzewiałego miecza nie wypuścił, jakby miał na coś nadzieję. Być może na to, że jego miejsce natychmiast zajmą kolejni ożywieńcy - i tak rzeczywiście się stało. Ork, miotając przekleństwa, skoczył w tył, wpadając na brata.

- Niezdarny *umbal!* - wrzasnął Rammar, równocześnie unieszkodliwiając potężnym ciosem topora szkielet jakiegoś krasnoluda. - Nie możesz patrzeć, gdzie leziesz?

- *Douk* - zabrzmiała lakoniczna odpowiedź, gdy pół tuzina uzbrojonych w zادیory pik wysunęło się w kierunku Balboka.

- Jeśli to się jeszcze powtórzy, to ja cię... *shnorsh!* - wrzasnął, i to już wyraźnie nie na brata.

Chudzielec odwrócił się i zobaczył ogromny szkielet jaskiniowego trolla człapiący ku pierwszemu szeregowi atakujących. Fakt, że jak to troll rozdeptał przez nieuwagę kilku mniejszych towarzyszy, nie był zbytnim pocieszeniem. Potężny kościotrup z ciężką, wystającą do przodu czaszką zamachnął się maczugą, zabijając na miejscu kilku rycerzy Corwyna. Równocześnie nad głowami wojowników z Tirgas Lan, głośno skrzecząc, przeleciał bazyliszek.

- Zewrzeć szeregi! - upomniał swoich ludzi król. Niewielu gwardzistów pozostało przy życiu, sam Corwyn był ranny w ramię, ale kapitulować ani myślał.

Upiór jaskiniowego trolla rzucił się na nich z niesamowitym rykiem. Nestor z Taik krzyknął przerażony, oczy Quii rozszerzyły się ze strachu, Rammar wybuchnął gniewnym lamentem - dla każdego było jasne, z jakim przeciwnikiem mają do czynienia. Kolos miał już opuścić swoją maczugę, gdy... nagle zeszytniał.

- Co, do...? - wyrwało się Rammarowi.

Za to Balbok natychmiast przystąpił do działania.

Toporem zmiażdżył piszczele trolla. Nieruchomy tułów przewrócił się prosto na własne szeregi, ork chciał natychmiast potworzyć cios, by oddzielić głowę trolla od jego tułowia, ale olbrzym i tak już się nie ruszał.

Nie on jedyny.

Wszystkie kościotrupy, przed chwilą jeszcze nacierające z impetem, nagle znieruchomiały w pół kroku. W następnej chwili ich kości rozpadły się - czaszki, żebra, piszczele jeszcze przed chwilą poruszane niewidzialnymi mięśniami, teraz spadały na ziemię. Nagle tam, gdzie jeszcze przed chwilą stała wroga armia, teraz leżały stosy białych kości.

Mroczna siła utrzymująca upiory przy życiu nagle wygasła...

- J...jak to możliwe? - spytał Rammar nie mniej zdziwiony niż żołnierze z wojska Corwyna. Nieliczni ludzie w szeregach armii

Kal Anar zostali błyskawicznie ujęci, a ostatnie bazyliuszki strącone z nieba przez kuszników z Andaril.

Krótko potem czarna, skalista ziemia zdrząła od mocnego wstrząsu i z krateru Anar trysnął ogień. Kaskada pomarańczowo-czerwonego płynnego żaru strzeliła pionowo ku niebu, by za chwilę spaść ulewą, zbierając się na ziemi w zygzakowate strumienie. Po zboczach wulkanu płynęły potoki lawy, jakby zbudzona góra oczyszczała się ze Zła, któremu tak długo dawała schronienie. Tym razem jednak nie zamierzała oszczędzić miasta na stoku. Potoki lawy niepowstrzymanie zbliżały się do Kal Anar, za chwilę miały dosięgnąć murów.

- Alannah! - krzyknął przerażony Corwyn.

Zwycięstwo nad wrogiem zdawało się w tej chwili nie mieć dla niego żadnego znaczenia. Odrzucił miecz i chciał ruszyć biegiem ku skazanemu na zagładę miastu. Dwóch gwardzistów rzuciło się i zatrzymało króla.

- Nie, panie! Nie wolno wam iść!

- Ale ja muszę do niej! Ona jest w mieście! Umrze...

Rammar i Balbok wymienili pytające spojrzenia. Alannah w Kal Anar? Jak to? I czemu oni tego nie zauważyli?

- Proszę, panie! Musicie być rozsądni!

- Gwiżdżę na rozsądek! - krzyknął zrozpaczony Corwyn. - Alannah, muszę do niej...

- Już nie możecie jej pomóc, panie!

- Puśćcie mnie, do kroćset! Nie słyszycie? To rozkaz! Macie mnie puścić!...

W tym momencie strumień lawy sięgnął miasta i z chlupotem przelał się przez mur. Żar zniszczenia wpłynął między domostwa Kal Anar, wybuchnął ogień.

- Alannah jest w mieście! Muszę ją ratować! – powtórzył król, ale nie brzmiało to już tak zdecydowanie jak przed chwilą. W jego głosie brzmiała rezygnacja i bezsilność. - Alannah?...

Kal Anar stało w płomieniach.

Niegdyś dumne miasto na zboczach wulkanu zostało wydane na pastwę ognistego żaru. Coraz więcej budynków stawało w płomieniach i waliło się, tonęło, a lawa połykała je łapczywie. Płonęła już połowa Kal Anar, z każdą mijającą chwilą zagłada zbierała więcej ofiar.

Corwyn zachwiał się jak od ciosu. Patrząc w oszołomieniu na szalejący pożar, opadł na kolana i ku osłupieniu żołnierzy zaniósł się płaczem.

- Alannah! Nie rób mi tego...

Armia nieprzyjaciela została pokonana, jego moc w dziwny sposób wygasła. Wojsk z Tirgas Lan nie zdołali zniszczyć wrogo wie z krainy umarłych ani potwory z praczasów, on jednak nie czuł tryumfu. Wstrząśnięci żołnierze patrzyli na swego króla pokonanego przez smutek i żal. Zło pokonane, ale za jaką cenę...

- Ejże! - krzyknął nagle Balbok i wbił bratu łokieć pod żebro.
- A to co?

- Co? - burknął Rammar, ale tak naprawdę tylko nie chciał dać po sobie poznać, że podziela smutek Corwyna.

- No tam! - Chudzielec wskazał toporem płonące miasto.

Grubas nie dostrzegł nic szczególnego, ale gdy przymknął oczy, zobaczył sylwetkę pojedynczego jeźdźca mknącego po polu kości i kierującego się wprost do nich. Bardzo osobliwą sylwetkę, musiał przyznać. Jeździec nie siedział na koniu, ale na...

- Wierchowoy ptak! - krzyknęła w tym momencie Quia.

Wojownicy podnieśli wzrok. Rzeczywiście, wyciągając długie nogi, cudaczne zwierzę pędziło po zboczach i wzniesieniach, niosąc na grzbiecie postać, której jasne włosy powiewały na gorącym wietrze.

- Ale to... - wyrwało się zdziwionemu Rammarowi - to jest...

- Alannah! - krzyknął Balbok.

- Co? - Corwyn podniósł głowę, a postać jego ukochanej wyłoniła się z chmur pary i dymu niby senne marzenie. - Alannah!

Król poderwał się i gdy niezwykle wierzchowiec dotarł do pierwszego szeregu wojska, elfini zeskoczyła z grzbietu ptaka wprost w ramiona dawnego łowcy głów. W tej samej chwili wokół wybuchły szalone wiwaty, do których przyłączyli się nie tylko Nestor i Quia, ale nawet Balbok i Rammar - ten ostatni wszakże tylko na krótko, by nikt go nie posądził o nieorcze uczucia, po czym zaczął coś burczeć o szalonych elfich babach.

A król i królowa padli sobie w ramiona, zapominając o świecie dookoła. Ich usta połączył długi, namiętny pocałunek i dopiero po dłuższym czasie odsunęli się od siebie.

- Alannah - szepnął Corwyn - myślałem, że straciłem cię na zawsze...

- Wybacz, ukochany, że musiałam ci to zrobić - odparła cicho.

- Co masz na myśli? - Król spojrzał na nią pytająco.

- Opowiem ci później - uśmiechnęła się. - Teraz jestem tylko szczęśliwa, że nic ci się nie stało.

- Tak jak ja jestem wdzięczny za to, że wróciłaś do mnie żywa - odpowiedział i padli sobie w objęcia.

- Typowe - burknął ktoś obok nich.

Był to nie kto inny, jak Rammar ze swoim skrzywionym pyskiem. - Ukochany!... Jaka ja szczęśliwa!... - mamrotał. - Nie macie nic lepszego do roboty? A gdzie jadło?! Gdzie łupy?! No chyba wygraliśmy wojnę, nie?

Gruby ork zamilkł, gdy Alannah spojrzała na niego i zobaczył kryształ wiszący na jej piersi.

- S...skąd go masz? - spytał zaskoczony.

- Ze Świątyni Shakary - odpowiedziała. - To kryształ z Wiecznego Lodu.

- Bzdura! - wrzasnął rozzłoszczony Rammar. - Widziałem to już, ale wtedy wisiało na szyi pewnego jednouchego orka, którego Balbok i ja...

- ...spotkaliście w Sundaril - dokończyła elfini. - Wiem.

- T...ty go znasz?

- Ma na imię Ankluas i towarzyszył wam z Sundaril aż do miasta wroga, gdzie wasze drogi rozeszły się, a on poszedł rozprawić się z władcą Kal Anar.

- To prawda - mruknął zmieszany grubas. - Skąd to wiesz? Spotkałaś go?

- W pewnym sensie.

- Co znaczy w pewnym sensie? - Tłusćoch był wyraźnie zbity z tropu. - Spotkałaś go czy nie? I co z nim, do kroćset?!

- Myślę, że wiem - cicho odezwał się Balbok.

- Co wiesz? - ofuknął go brat.

- Co się stało z Ankluasem.

- Ach tak? Proszę, jakiś ty mądry i przenikliwy. No to powiedz!

- Cóż - bąknął chudzielec - mogło przecież być tak, że... hm, że elfini... hm, że to była sama elfini. Że się tylko zmieniła w orka i...

- Co?! - Rammar spojrzał na niego, jakby postradał rozum. - Twierdzisz, że jakaś elfini byłaby w stanie zmienić się w orka, w syna Stęchłej Marchii?

- Tak mogło być, prawda?

- No nie! - Tłusćoch nie wiedział, co ma powiedzieć na taką głupotę, a wyraz jego twarzy balansował od rozbawienia do wściekłości. - To największa głupota, na jaką kiedykolwiek się zdobyłeś! - wybuchnął wreszcie. - Jak jakaś elfini byłaby w stanie zmienić się w orka, na dodatek w takiego, który...

- Twój brat ma rację, Rammar - powiedziała nagle Alannah, nie tylko używając przy tym orczego, lecz dodatkowo zmieniła głos tak, że brzmiał jak głos pewnej maskary. Maskary z jednym uchem...

Grubas spojrział na nią z powątpiewaniem.

- A...Ankluas? - spytał niezbyt inteligentnie.

- Do usług - odparła z uśmiechem. - Dla przyjaciół Alannah.

- Ja... hm...

- Co to ma znaczyć? - zdziwił się Corwyn. - Czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć?

- Jeszcze jak, łowco głów - stęknął Rammar. - Twoja kobieta jest najbardziej wyrafinowanym, podstępным i cwany babkiem, jakie kiedykolwiek wlało mi w drogę!

- Mam nadzieję, że to komplement? - spytała elfini.

- Możesz to sobie rozumieć, jak chcesz - odpowiedział grubas, pocierając pomarszczone czoło. - W takim razie wcale nie jesteś *ochgurash*...

- Twoja znajomość orków jest zadziwiająca - zakpiła Alannah. - I to miłe, że nie masz uprzedzeń.

- Jakich uprzedzeń? - Rammar poczuł się dość głupio. - Wszystko, co wpadło mi w uszy na temat *ochgurash'hai*, odpowiada dokładnie i co do słowa... Au! - Przerwał w pół zdania, gdy topór Balboka wylądował płaską stroną na jego głowie. - Do kroćset, a co to ma znaczyć?! Durny *umbalu*, dlaczego mnie bijesz?

- Sam mi rozkazałeś - odpowiedział krótko Balbok.

- Niby kiedy?

- Nie pamiętasz? - Chudy ork uśmiechnął się szeroko. - Powiedziałeś, że mogę cię zdzielić toporem, jeśli okaże się, że Ankluas nas oszukał, a to właśnie zrobił, prawda?

- Tak - przyznał tłusćioch, macając rosnącego guza -oszukał.

- Mam nadzieję, że wybaczyście mi mój mały kamuflaż - powiedziała pojednawczym tonem Alannah. - Był konieczny, żeby dotrzeć do wroga.

- T...ty to planowałaś od początku? - spytał Rammar.

- Obawiam się, że tak.

- Więc wcale nie było takiego planu, że Balbok i ja zabijemy władcę Kal Anar?

- Tak naprawdę to nie. Wy dwaj byliście próbą odwrócenia uwagi. I to dość udaną, muszę przyznać.

- Słyszałeś, Balbok?! To elfie babsko właśnie nas obraziło. A może to była pochwała? Straciłem orientację...

- I co z tego? - Chudzielec obojętnie wzruszył ramionami. - A co do orientacji, to ja jej nie mam już dawno...

Alannah odwróciła się do Corwyna.

- Ty też mi wybac, ukochany. Wiem, przysporzyłam ci wiele troski, ale tylko tak mogłam być pewna, że nie będziesz miał o niczym pojęcia. Wiedziałam, że w naszych szeregach jest szpieg i jak się potem okazało, wróg obserwował nas przez cały czas. To była jedyna możliwość, by w tajemnicy wydostać się z Tirgas Lan, dotrzeć tutaj, a równocześnie sprawić, żebyś zaatakował Kal Anar.

- Alannah - w jedynym oku Corwyna na zmianę odbijała się ulga i konsternacja - nie wiem, co powiedzieć...

- Wybaczasz mi?

- Oczywiście. - Znów wziął ją w ramiona. - Jestem taki szczęśliwy, że odzyskałem cię żywą i zdrową. Ale jeśli naszemu królestwu kiedykolwiek znów zagrozi niebezpieczeństwo, stawmy mu czoła razem. Nie idź znów sama.

- Nie byłam sama - zapewniła elfini, posyłając uśmiech w kierunku Rammara i Balboka. - Przez cały czas u mego boku byli wierni towarzysze.

Nie wiadomo, co odpowiedzieli na to orkowie, bo wszystkie słowa utonęły w donośnym grzmocie dobywającym się z Anar i

kolejna fontanna żaru strzeliła w szare nocne niebo, by spaść na zbocza góry miriadami iskier. Strumienie uciekinierów wylały się z tuneli pod murami miasta i biegły w dół. Corwyn wydał swoim żołnierzom rozkaz, by porzucili broń i połowe plecaki i pośpieszyli ludziom z pomocą.

Lawa i pożary połykały jeden budynek po drugim, podziemne korytarze dawno zalały płynne skały - gdy kamień wystygnie, nie będzie po nich śladu. Tak miasto, z którego wzięło początek tak wiele zła, padło pastwą płomieni. Po tysiącletniach, w których Zło raz po raz powracało, pogrążając Ląd w chaosie i krwawych wojnach, teraz nieodwołalnie położono kres panowaniu bazyliuszka.

Kal Anar było jednym morzem ognia. A daleko na wschodzie za ciemnymi chmurami dymu świecił nowy dzień.

18. RABHASH UR'ALANNAH

Widok był osobliwy.

Na stromych, usianych parującym czarnym żużlem zboczach Anar wznosiła się samotna budowla - wieża zdająca wwiercać się w błękitne niebo i połyskująca w świetle słońca białym kamieniem.

Po trwających dwa dni bez przerwy gniewnych wybuchach wulkan uspokoił się. Ze zboczy nie spływał już płynny żar, w niebo przestał wzbijać się dym i góra powstrzymała wypływanie trujących oparów.

Uchodźcy wrócili, ale tylko by zastać swoje domy pogrzebane pod grubą warstwą żużla. Jednak ludzie z Kal Anar, wśród nich również Lao z rodziną, byli przeświadczeni, że wzniosą na zboczach góry nowe, o wiele większe miasto. Corwyn obiecał im wszelką możliwą pomoc, a mieszkańcy podjęli swoich oswobodzicieli ucztą z tych skromnych zapasów, jakie im pozostały. Corwyn i Alannah przeszli szpalerem roześmianych i wiwatujących ludzi

na plac przed wieżą, mającą w przyszłości stać się siedzibą królewskiego zarządcy. Towarzyszyli im Quia i Nestor, któremu król zgodnie z obietnicą darował wolność, jak również dwaj orkowie.

Rammar i Balbok różnie reagowali na zgiełkliwe zamieszanie. Podczas gdy chudzielcowi najwyraźniej to wszystko sprawiało przyjemność, grubasowi wrzask tłumu działał na nerwy. Jego zdaniem, był najwyższy czas nareszcie opuścić mlecznogębych.

Przedtem jednak musieli załatwić coś ważnego...

Król i jego orszak podjechali do stóp schodów wyrastających z wystygłej lawy. Tam zsiadli z koni i wśród wiwatów wspięli się po stopniach.

- Corwyn! Corwyn! - krzyczał zachwycony tłum, a Rammar zupełnie nie rozumiał, co te *umbale'hai* widzą w dawnym łowcy głów z zaledwie jednym okiem.

- Ludu Kal Anar - król zwrócił się do zebranych, a biegły w tutejszej mowie doradca tłumaczył każde jego słowo - wasze miasto zniszczyła siła góry, ale już wkrótce powstanie tu nowe miasto, w którym wszyscy znajdziecie schronienie i które stanie się waszą ojczyzną. Nie będzie już nosiło nazwy nadanej mu przez mroczne moce. W przyszłości zwać się będzie Tirgas Anar i stanie się częścią nowego królestwa, które rozciąga się od wschodu słońca do jego zachodu i gwarantuje całemu Ładowi pokój.

Ponownie wybuchły owacje.

- Minęły czasy, gdy w mieście rządziły strach i trwoga. Niech nastaną szczęście i dostatek jak za owych złotych czasów, gdy rządzili elfi królowie. Może w przyszłości nie będzie już w Łądzie elfów, ale zostawiły nam coś, na czym możemy budować i czego nie chcemy zapomnieć: głęboki szacunek dla życia i zrozumienie, że tylko wspólnie możemy utrzymać świat w pokoju. A jeśli mówię „wspólnie”, to mam na myśli wszystkie ludy Łądu.

Odwrócił głowę i spojrzął na obu orków.

- Na królewskiego zarządcę Tirgas Anar mianuję Lao - mówił dalej Corwyn - jednego spośród was, który w czarnej godzinie dowiódł odwagi i dzielności i prawie zapłacił za to życiem. Jako doradca stanie u jego boku Nestor z Taik, człowiek wielce doświadczony, o burzliwej przeszłości, z której się jednak oczyścił. Póki nie osiągniemy naszego celu i pokój nie zapanuje w całym Łądzie, musimy liczyć się z atakami, dlatego Quia Amazonka zostanie dowódcą waszej obrony!

Ponownie zabrzmiał głośny aplauz, którym tłum witał każdą nominację. Nestor, niegdyś zaprzysięgły samotnik, poczuł się tym wielce połączony, a na twarzy Quii pierwszy raz od strasznych wydarzeń w dżungli pojawił się uśmiech. Człowiek z Taik i amazonka objęli się, co jeszcze bardziej wzmoгло wiwaty.

- No świetnie - burknął Rammar. - Pokój, przyjaźń, naleśniki... Ech, ludzie...

- Masz coś przeciw temu? - spytał go cicho Corwyn, machając do zachwyconego tłumu.

- Cóż - mruknął tłuszcioch - trochę chaosu dobrze zrobiłoby wam, mlecznogębym. Jesteście tacy... przewidywalni.

- Naprawdę? - spytała z uśmiechem Alannah. - W takim razie zdradz mi, czemu nie przejrzałeś mojej maskarady, jeśli jesteście tacy przewidywalni.

- Ty jesteś wyjątkiem - odparł gruby ork. - Poza tym nie jesteś prawdziwą mlecznogębą, ale elfinią, no i znasz o wiele za dużo sztuczek.

- Wyjątkiem? - Spojrzała na niego pytająco. - Czyżby to był komplement?

- *Douk.* - Rammar pokręcił wielką głową.

- W takim razie w porządku. Już się bałam, że będę musiała ci dziękować.

- Fuj, co to, to nie!

- A wiesz, twoje sztuczki nie są znowu takie świetne - Balbok zwrócił się do Alannah przemądrzałym tonem. - Właściwie powinniśmy byli zauważyć, że z tobą jest coś nie tak, bo przytrafiło ci się kilka wpadek.

Elfini zaciekawiona uniosła brwi.

- Na przykład?

- Twierdziłaś, że masz problemy z równowagą, odkąd troll na arenie zdzielił cię przez łeb. Ale kiedy jaszczur kłapnął wprost na tratwę, ty utrzymałaś się najdłużej.

- To prawda. - Alannah uśmiechnęła się kwaśno.

- Poza tym teraz rozumiem, czemu nie chciałaś pić stęchłej wody i czemu nie smakowało ci końskie mięso. I wiem już, czemu nie chciałaś ślubować krwią. Mógł cię zdradzić jej kolor.

- To też prawda. - Elfini znów się uśmiechnęła, tym razem bardziej szczerze. - Muszę przyznać, przyjacielu, że jesteś mądrzejszy, niż można by sądzić po twojej naiwności.

- Bezczelność! - wrzasnął na nią Rammar. - Co ci przychodzi do głowy, żeby przezywać mojego brata przyjacielem?

- Cóż, myślałam, że po tym, ile razem przeszliśmy...

- To nie powód, żebyśmy mieli być przyjaciółmi, elfini! Ale jedno mnie jeszcze ciekawi...

- Mianowicie?

- Jak przeprowadziłaś nas w Sundaril obok posterunku przy bramie? - spytał grubas. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy pytać o *sochgor* orka, ale skoro Alannah nie jest córą Stęchłej Marchii...

- Wolalbyś nie wiedzieć - stwierdziła z przekonaniem.

- A jeśli jednak?

- Więc dobrze. - Alannah zacisnęła usta. - Ale musisz mi obiecać, że nie wpadniesz w *saobh*, kiedy ci powiem.

- Ha! - Tłusty ork zaśmiał się wyniośle. - Czemu miałbym to zrobić? Nasze śluby odwetu spełnione, wrogowie pokonani, nie

- ma już żadnego powodu, by wpadać w *saobh*.
- Jesteś pewien?
 - Całkiem pewien. - Rammar uśmiechną się szeroko.
 - Dobrze, w takim razie ci powiem... W tajemnicy przed wami rzuciłam na was zaklęcie odmieniające.
 - Rzuciłaś co?
 - Rzuciłam na was zaklęcie odmieniające - powtórzyła cierpliwie.
 - Cz...czy to ma znaczyć, że strażnicy przy bramie nie widzieli nas jako tych, kim naprawdę jesteśmy?
- Elfini niewinnie wzruszyła ramionami.
- Można by tak powiedzieć.
- Grubas, choć w duchu już w nim wrzało, starał się opanować.
- A jaką, na grzmiącego Kurula, nadałaś nam postać, jeśli wolno spytać?
 - Krasnoludzie - usłyszał.
 - Krasnoludzie!... - powtórzył jak echo Rammar.
 - Przecież mówiłam. To musiało być coś, co nie wzbudzi uwagi strażników i będzie wyglądało tak nieszkodliwie, jak tylko możliwe. Sprawiałam więc, że widzieli was jako krasnoludzie. Powiedziałam, że jesteście sławnymi tancerkami brzucha w drodze do Andaril. Tylko się śmiali i pozwolili nam przejść.
- Opasły ork najpierw skurczył się jak od smagnięcia pejczem, potem łapczywie nabrał powietrza.
- Chwileczkę - poprosił - tak tylko, dla pewności, że dobrze zrozumiałem... Żeby przemyścić nas przez posterunek mlecznogębnych, zmieniłaś nasz wygląd na krasnoludzkie baby? Na dodatek takie, które wywijają nóżką i chwieją biodrami?
 - I to jak zalotnie - przytaknęła Alannah, uśmiechając się rozbrajająco. - Pasuje, co?

- Hm... - W oczach Rammara wystąpiły już ciemne żyły.

Za to jego brat wybuchnął dźwięcznym śmiechem.

- Tancerki brzucha! - parsknął. - Babska strzępobrodych! To dobre...

Grubas jak na orka przystało walnął go w pysk, na co brat momentalnie zamilkł.

- Co ci przychodzi do głowy?! - wrzasnął Rammar. - Jak możesz się z tego śmiać? To nie jest śmieszne, rozumiesz?! To w ogóle nie jest śmieszne!

- Nie bierz wszystkiego tak do siebie, bo się kiedyś rozpukniesz - poradził Corwyn. - Bądź co bądź podstęp Alannah uchronił was przed masakrą na arenie Sundaril. Bez jej pomocy pewnie jeszcze byście tam byli.

Po tym argumentie skłonność Rammara do *saobh* nieco zelżała, choć nadal całkiem nie wygasła.

- Poza tym zostaniecie przecież po królewsku wynagrodzeni - dodał władca. - Skarb Tirgas Lan należy do was.

- Naprawdę? - Balbok wytrzeszczył oczy. - Ale my przecież nie wypełniliśmy wcale naszej misji! Było ustalone, że unieszkodliwimy władcę Kal Anar, żeby dostać cały sk...

Zamilkł, gdy brat ponownie zdzielił go w pysk.

- O, dobry królu, choć mlecznogęby, tylko *umbal* słuchałby takiego *umbala*, nie ty - wyrzucił z siebie Rammar na jednym wydechu. - Oczywiście przyjmujemy zapłatę.

- I powinniście, bo zasłużyliście na nią uczciwie - zapewniła Alannah.

- Co prawda, to prawda - powiedział grubas i nagle znów się zezłościł. - Tak jak wy zasłużyliście na skarb z Kal Anar, co?!

- Jaki skarb? - zdziwił się Corwyn.

- Spytaj elfini - odparł Rammar. - To ona wymyśliła to wszystko i dobrze wie, że w Wężowej Wieży jest skarb, przy którym ten z Tirgas Lan to tylko jałmużna.

Zdziwiony król odwrócił się do Alannah.

- T...to prawda?

- Cóż, tak mi się zdaje.

- Czemu nic mi o tym nie mówiłaś?

- Bo wtedy myślałbyś, że oszukujesz orków, a zbyt dobrze cię znam, by nie wiedzieć, że nie byłbyś w stanie tego zrobić. Przemyslałam to więc i podjęłam decyzję sprawiedliwą dla wszystkich.

- A jakże! - warknął grubas. - Bardzo sprawiedliwie nas wykiwałaś.

- Nie bądź taki chciwy, Rammarze. - Elfini znów uśmiechnęła się do niego. - Wiem, że zamierzałeś przywłaszczyć sobie oba skarby, ale nic z tego. Skarb z Tirgas Lan należy do was. Możecie z nim zrobić, co zechcecie, ale nie ważcie się wyciągać łap po skarb z wieży.

- Dlaczego? - spytał naiwnie Balbok.

- Ponieważ ciąży na nim klątwa, którą najpierw trzeba zdjąć.

I ponieważ nie wszystkie drzwi w Wężowej Wieży są tym, na co wyglądają.

- Nie rozumiem. - Chudy ork podrapał się po tyle głowy.

- Nie musisz. Trzymajcie się tylko moich wskazówek, to nic wam się nie stanie. W przeciwnym razie skutki są nieprzewidywalne. Zrozumieliście?

Bracia spojrzeli sobie w oczy i mrugnęli w cichym porozumieniu.

- Jasne, że zrozumieliśmy - zapewnił, krzywiąc się, Balbok, a Rammar zdobył się na gardłowe:

- *Korr.*

Dotrzymywanie słowa to orcza specjalność...

EPILOG

Jesteś pewny, że to było tutaj?

- Całkiem pewny...

Choć Rammar mówił szeptem, w jego głosie było tyle pewności, że Balbok nie ważył się pytać ponownie. Szedł za bratem przez długi, oświetlony pochodniami korytarz, do którego z obu stron przylegały drzwi: drewniane drzwi obite żelaznymi ozdobami w kształcie węży.

- Nigdy bym nie pomyślał, że jeszcze tu wrócimy - powiedział cicho chudzielec. - W końcu elfini nam zabroniła.

- Odkąd to przejmujemy się gadaniem elfiego babska? - warknął Rammar. - Chciała nas wykiwać, ale się przeliczyła. Nie na trolla trafiła.

- *Korr* - przyznał mu rację Balbok. - Są z nas dwaj orkowie z prawdziwej śmierci i rogu.

- Dokładnie. Gdyby nie to, walka skończyłaby się całkiem inaczej. Mlecznogębi mieli ogromne szczęście, że tu byliśmy, a te raz

mamy zadowolić się jałmużną, podczas gdy oni będą się pławić w bogactwach?

- I te bogactwa są tu u góry?

- Dokładnie tak - kiwnął głową tłścioch. - Kiedy pierwszy raz tędy przechodziliśmy, rzuciłem okiem przez dziurkę od klucza i prawie oślepiłem od blasku złota. Klejnoty, biżuteria, szlachetne kamienie... To wszystko i jeszcze więcej spoczywa w tej komorze. Tak dużo, że można by wskoczyć i tarzać się jak jaskiniowe odmieńce w sęczliźnie. I ten skarb, Balbok, teraz sobie weźmiemy.

- Naprawdę chcesz położyć na nim łapę? - Chudzielec zatrzymał się. - Ale przecież Alannah mówiła...

- Wiem, co mówiła elfini. Ale po pierwsze, ork nie wierzy elfom, bo elfy zawsze kłamią. A po drugie, mamy z nią do wyrównania jeszcze jeden rachunek: ta bezczelność z krasnoludźcami będzie ją drogo kosztować.

- *Korr* - przytaknął gniewnie Balbok i poszli dalej, aż Rammar zatrzymał się wreszcie, wskazując łapą drzwi z wyglądu takie same jak pozostałe.

- To tu - stwierdził z przekonaniem. - Poznałbym te drzwi wśród tysięcy innych. Za nimi jest nasz skarb.

- *Korr* - powtórzył chudzielec i zatarł łapy w radosnym oczekiwaniu.

- Na co czekasz, bracie? Dalej, bierzmy, co nam się należy.

Tego nie trzeba było Balbokowi dwa razy powtarzać. Nawet nie spróbował, czy drzwi są zamknięte czy nie, tylko kopnął w nie z takim impetem, że z trzaskiem wpadły do środka.

Uniosła się chmura kurzu, przyprawiając braci o kaszel. Potem Rammar sięgnął po jedną z pochodni oświetlających korytarz, wyciągnął ją z uchwytu i oświetlił stojącą otworem komorę.

Na widok wnętrza orkowie oniemieli.

Gdzie nie spojrzeć srebro i złoto, zdobione naczynia i kunsztownie inkrustowana broń stercząca z morza błyszczących monet. Wśród nich wspaniałe naszyjniki z pereł i szlachetne kamienie migocące w świetle pochodni: diamenty, rubiny, szmaragdy i jeszcze więcej... Orkowie przypomnieli sobie skarbiec z Tirgas Lan, lecz ten był o wiele większy. W migotliwym świetle pochodni nie mogli nawet dojrzeć przeciwległej ściany - morze skarbów nie miało końca.

I blask złota zbudził w orkach chciwość!

Tak wielką, że Rammarowi wcale nie przyszło do głowy pytanie, jak mógł w ogóle cokolwiek zobaczyć przez dziurkę od klucza, skoro w komorze nie było ani lampy, ani nawet pochodni. Nie zastanowił się również, jak to możliwe, że skarbcza nikt nie strzeże, ani co komora tej wielkości robi na najwyższym piętrze wieży.

- Gotowy, Balbok? - spytał z uśmiechem na tłustej twarzy.
- *Korr*, Rammar.
- W takim razie naprzód!

Obaj równocześnie przekroczyli próg, spodziewając się utonąć wśród niezmiernych bogactw. Nie myśleli wcale o ostrzeżeniu Alannah i to właśnie się na nich zemściło...

Bo ledwie Balbok i Rammar przekroczyli próg, trafił ich szlag.

No może nie zaraz szlag, ale piorun.

Skąd pochodziło jaskrawe wyładowanie, trudno było stwierdzić, ale dosięgło orków i otoczyło ich dziwną poświatą. Równocześnie poczuli, że sztywnieją i coś porywa ich z zapierającą dech szybkością.

Lasy, jeziora, rzeki, góry - wszystko przemykało pod nimi, zaś błyskawica migotała obok nich, by po pewnym czasie znów nagle zgasnąć. Wtedy Rammar i Balbok spadli.

Co, na płomienie Kurula, się stało? Obaj potrzebowali chwili, by przyjść do siebie i pozbierać myśli.

Balbok rozejrzał się i robiąc niezbyt mądrą minę, stwierdził, że złoto i szlachetne kamienie znikły. Nie było również drzwi, przez które właśnie weszli. Zamiast tego bracia zobaczyli, że są w jaskini ze ścianami pokrytymi pleśnią i zgniłymi strzępami mchu wiszącymi u sufitu. Było tu może niebogato, ale przytulnie i znajomo.

Czyżby... z powrotem w Stęchłej Marchii?

Czy to wszystko tylko im się przyśniło?!

Czy wyprawa do Kal Anar i wszystkie walki, jakie stoczyli, odkąd wyruszyli z *bolbougu*, były tylko następstwami nieumiarkowania w spożyciu posokowego piwa i *bru-millu*?

Nieco niepewnie Balbok rozglądał się za jakąś wskazówką, która zaprzeczałaby temu straszному podejrzeniu. Znalazł ją w postaci wrogich oczu wpatrujących się w orka z ciemności.

- Rammar? - spytał cicho, ciągnąc brata za rękaw.

- No, jestem, bo co?

- Nie wiem, gdzie wylądowaliśmy - odparł cicho chudzielec. -

Ale obawiam się, że to nie Stęchła Marchia...

ZAŁĄCZNIK A

MOWA ORKÓW

Język orków jest niezwykle prosty, a jego gramatyka może być przyswojona bez trudu. Problemy stwarza natomiast wymowa. Z tej przyczyny ludzie, nawet zamaskowani bądź w przebraniu, są z reguły rozpoznawani przez orków po akcencie i muszą liczyć się z nieprzyjemnymi konsekwencjami - to jedyna rasa, która za niedokładne artykułowanie sylab karze uśmierceniem i spożyciem, i może szkoda, że jedyna...

Wojownicza kultura orków nie zna zawodu pisarza ani filologa, skutkiem czego nie zaowocowała żadnymi dokumentami historycznymi ani dziełami literackimi. Nawet uczeni orkowie, jakże nieliczni, nigdy swojej wiedzy nie spisali. Z tej przyczyny mowa orków, wywodząca się z języka elfickiego, lecz przekazywana wyłącznie ustnie, z biegiem stuleci uległa istotnym uproszczeniom. Gramatyka orków nie zna deklinacji ani koniugacji, zaś różne przypadki i czasy rozpoznać można jedynie po kontekście lub po właściwej orkom *tougasg* (patrz niżej).

Jedynym wyjątkiem jest dopełniacz tworzony przez poprzedzenie rzeczownika sylabą *uf*. Słowa często uzupełniane są o przyrostki istotnie zmieniające ich znaczenie, i tak na przykład przyrostek *'hai* tworzy liczbę mnogą (*umbal* -idiota; *umbal'hai* - idioci).

Jako że orkowie przywiązują dużą wagę do dokładnego określenia swojego stanu posiadania, tego rodzaju relacje również wyraża się przyrostkami, np.:

'mo - mój

'nur - twój.

Rozróżnienia między przymiotnikiem a przysłówkiem, pojawiającego się w wyżej rozwiniętych językach ludzi, mowa orków nie zna zupełnie (ku ucieście orczej dziatwy).

Zdanie składa się z prostej sekwencji odpowiednich słów, przy czym zwyczajowo przyjmuje się kolejność podmiot--orzeczenie--dopełnienie, jednak nie musi ona być koniecznie zachowana; różnice występują nawet między plemionami. Czasowniki - poza nielicznymi wyjątkami - tworzy się przez połączenie rzeczownika z końcówką *'dok* (robić, czynić). Np. *koumdok* znaczy „pozbawić kogoś głowy”. Znaczenie utworzonych tak czasowników czasem jest jasne na pierwszy rzut oka, jak w przypadku *gore dok* (śmiać się), innym razem wymaga pewnej interpretacji, jak w przypadku *lusdok*, co literalnie znaczy „zachowywać się jak warzywo”, jednak w kontekście występującej u orków całkowitej negacji wegetarianizmu należy rozumieć jako „być tchórzem”.

Liczby powstają przez utworzenie ciągu liczebników od zera do dziewięć:

0 - *oulla*

1 - *an*

2 - *da*

- 3 - *ri*
- 4 - *kur*
- 5 - *kichg*
- 6 - *sai*
- 7 - *souk*
- 8 - *okd*
- 9 - *nou*.

Przy tym należy pamiętać, że *okd-an* może równie dobrze oznaczać 81 jak 18. Ponieważ jednak liczyć potrafią jedynie nie-liczni orkowie, nie mówiąc już o umiejętności wykonywania działań matematycznych, czynnik ten odegrał w historii orków mniejsze znaczenie niż można by się spodziewać. W mowie orków ilości podaje się najczęściej tylko przy użyciu słów *iomash* (dużo) albo *bougum* (mało).

Etymologię poszczególnych słów i pojęć należy w przypadku orków bardziej niż u innych ras postrzegać w kontekście (występującego tylko śladowo) rozwoju kulturalnego. Nie jest więc przypadkiem, że modalny czasownik *dok*, słowo oznaczające picie *deok*, oraz stanowcze zaprzeczenie *douk* wyrastają z tego samego rdzenia. Niektóre słowa mowy orków - choć sami orkowie nigdy by tego nie przyznali - zapożyczono z języków ludzi, np. *mochg-stir* (mistrz), *smok* (dym), *birr* (piwo) lub *tounga* (język). Przyczyn tego zjawiska należy doszukiwać się przede wszystkim w sojuszu orków z ludźmi podczas Drugiej Wojny. Powinno nam dać do myślenia, że orcze słowo oznaczające „mord” również zostało przejęte od ludzi: *murt*.

Ostatnia uwaga dotyczy występującego jedynie u orków rytuału *tougasg*, co oznacza „nauczanie”. Podczas rozmowy orkowie mają zwyczaj częstego podkreślania swojej wypowiedzi barwną gestykulacją, a nierzadko i ciosami pięści, co znacznie ułatwia zrozumienie. Ludziom, którzy poświęcili się studiowaniu mowy orków, odradza się jednak używania *tougasg* w konwersacji z

orkami, a to ze względu na odmienną konstrukcję fizyczną obu ras. Następstwem mogą być znaczące uszkodzenia ciała, a nawet konieczność zaprzestania dalszej nauki języków obcych z powodu zgonu. W przypadku nieprzestrzegania tej zasady zarówno autor, jak i wydawca nie ponoszą żadnej odpowiedzialności.

PODRĘCZNY SŁOWNIK ORCZO-POLSKI

A

<i>abhaim</i>	rzeka
<i>achgal</i>	strach
<i>achgor</i>	twierdzić
<i>achgosh</i>	twarz, oblicze
<i>Achgosh douk!</i>	cześć! (dosł. „Nie podoba mi się twoja gęba“.)
<i>achgosh'bai-bonn</i>	ludzie (dosł. „mlecznogęby“);
<i>od achgosh-bonn -</i>	człowiek
<i>airun</i>	żelazo
<i>akras</i>	głód
<i>akrasdok</i>	odczuwać głód
<i>alhark</i>	róg
<i>anmosh</i>	późno
<i>ann</i>	w, przy, obok
<i>anois</i>	w górę
<i>aochg</i>	gość, towarzysz podróży
<i>aog</i>	śmierć (starcze osłabienie)
<i>artum</i>	kamień
<i>asar</i>	tyłek, d**a

B

<i>baish</i>	prowiant
<i>balbok</i>	głupek

<i>barkos</i>	czoło
<i>barrantas</i>	władza
<i>barrashd</i>	więcej
<i>bas</i>	śmierć (w walce)
<i>bhull</i>	piłka
<i>birr</i>	piwo
<i>blar</i>	pole bitwy
<i>blark</i>	ciepły, ciepło
<i>bios</i>	akcent
<i>bloshmu</i>	rok
<i>bochga</i>	łuk
<i>bodash</i>	starzec
<i>bog</i>	miękki, miękko
<i>bogash</i>	bagno
<i>bogash-chgul</i>	duch bagienny
<i>bog-uchg</i>	mięczak
<i>bokum</i>	duch
<i>boi</i>	miasto
<i>bolboug</i>	wioska (ojczyzna orka)
<i>bonn</i>	mleko
<i>borb</i>	surowy, okrutny
<i>boub</i>	kobieta (ludzka)
<i>bougutn</i>	mało
<i>bourtas</i>	pieniądze, skarb, bogactwo
<i>bourtas-koum</i>	pogłówny, premia
<i>boutash</i>	bestia
<i>brarkor</i>	brat
<i>bratash</i>	flaga
<i>bru</i>	zołądek
<i>bru-mill</i>	brzuchowstrząs (orcza potrawa narodowa)
<i>brunirk</i>	gnom
<i>bruurk</i>	wyrok, sąd
<i>buchgc</i>	ios, kuksaniec

<i>bunta</i>	kartofel
<i>buol</i>	uderzenie
<i>buon</i>	źniwa
<i>buunn</i>	góra

C

<i>carrog</i>	skała, szczelina
<i>chgul</i>	ghul
<i>cour'dok</i>	handlować
<i>courd</i>	handel
<i>cudach</i>	pająk

D

<i>daorash</i>	otrucie
<i>darash</i>	dąb
<i>darnachg!</i>	do kroćset!
<i>darr</i>	ślepy
<i>deok</i>	napój
<i>dhruurz</i>	mag
<i>diaomoun</i>	diament
<i>diloub</i>	spadek, testament
<i>diloub'dok</i>	zapisać coś w spadku
<i>dirk</i>	klęska
<i>dlurk</i>	blisko
<i>dok</i>	robić, czynić
<i>doli</i>	łąka
<i>dorash</i>	ciemno
<i>douk</i>	nie lubię... (ogólne zaprzeczenie)
<i>dourg</i>	czerwony
<i>duliash</i>	część
<i>dunn</i>	mężczyzna
<i>durkash</i>	kraj, ład
<i>duuchg</i>	lód

E

<i>eh</i>	on, to
<i>eugash</i>	bez
<i>eukior</i>	krzywda, niesprawiedliwość

F

<i>fachg</i>	arkusz
<i>faibok</i>	dziki, dziko
<i>faklor</i>	słownictwo
<i>jambor</i>	olbrzym
<i>faramb</i>	pusty, pusto
<i>fasash</i>	pustynia
<i>feusachg</i>	broda
<i>feusachg'bai-shrouk</i>	krasnoludy (dosł. „strzępobrodzi”); od <i>feusachg-shrouk</i> - krasnolud
<i>fhada</i>	długi, długo
<i>fhuun</i>	sam
<i>foisrashash</i>	informacja
<i>fouk</i>	widzieć
<i>fouksinnash</i>	widoczny, widzialny
<i>fouksinnash-douk</i>	niewidoczny, niewidzialny
<i>ful</i>	krew
<i>ful-birr</i>	piwo posokowe

G

<i>gaork</i>	wiatr
<i>garg</i>	gorzki
<i>gargoun</i>	czosnek
<i>gloikas</i>	mądrość
<i>gobcha</i>	kowal
<i>gore</i>	śmiech
<i>gore'dok</i>	śmiać się
<i>gosgosh</i>	bohater

<i>goshda</i>	pułapka
<i>goshda'dok</i>	śmiać się
<i>gou</i>	do
<i>goulash</i>	księżyc
<i>goull</i>	obietnica
<i>granda</i>	brzydki, okropny
<i>gron</i>	nienawiść
<i>gruagash</i>	dziewica
<i>gubbirk</i>	prawie
<i>gurk</i>	głos
<i>gurk'dok</i>	krzyczeć

H

<i>huam</i>	jaskinia
-------------	----------

I

<i>ih</i>	ona
<i>iodashu</i>	noc
<i>iomash</i>	dużo
<i>irk</i>	żarcie
<i>gurk'dok</i>	jeść, zrec
<i>isoun</i>	kura

K

<i>kagar</i>	szept
<i>kalash</i>	port
<i>kambanochg</i>	zmerch, świt
<i>kaol</i>	wąski, wąsko
<i>karsok?</i>	dlaczego?
<i>kas</i>	noga
<i>kaslar</i>	mapa
<i>keol</i>	muzyka
<i>khumne</i>	pamięć
<i>khumne dok</i>	rozmyślać

<i>kichg</i>	pięć
<i>kiod</i>	kradzież, rabunek
<i>kiodok</i>	kraść, rabować
<i>kionnoul</i>	świeca
<i>kionoum</i>	spotkanie
<i>kluas</i>	ucho (orka)
<i>knam</i>	zucie, trawienie
<i>knutn</i>	robak
<i>ko, k'</i>	kto
<i>kointash</i>	winny
<i>kointash douk</i>	niewinny
<i>koli</i>	las
<i>komanash</i>	myśliwy, polowanie
<i>korr!</i>	zgoda! (ogólne potwierdzenie)
<i>korrachg</i>	palec
<i>korzoul</i>	zamek
<i>koum</i>	głowa
<i>kourt</i>	sprawiedliwie, słusznie
<i>kourtas</i>	sprawiedliwość
<i>kriok</i>	koniec
<i>kriok!</i>	dość tego!
<i>kro</i>	śmierć (zadana przemocą)
<i>kro-buchg</i>	śmiertelny cios
<i>kroiash</i>	granica
<i>kroum</i>	cebula
<i>kudashd</i>	też
<i>kum</i>	zawierać
<i>kungash</i>	medycyna, lekarstwo
<i>kunnart</i>	niebezpieczeństwo
<i>kuroush</i>	zaproszenie
<i>kuun</i>	obcy

L

<i>laochg</i>	wojownik
---------------	----------

<i>larka</i>	dzień
<i>lashar</i>	płomień
<i>liosg</i>	ogień
<i>lish</i>	źle
<i>lish-knam!</i>	smacznego! (dosł. „złego trawienia”)
<i>lorchg</i>	śląd, trop
<i>lorg</i>	znalezisko
<i>luark</i>	szybko
<i>luchga</i>	mały
<i>lum</i>	skok
<i>lus</i>	warzywo
<i>lus'dok</i>	być tchórzliwym, bać się (wrogów)
<i>lus-irk</i>	wegetarianin (dosł. pożeracz warzyw)
<i>lut</i>	rana
<i>luusg</i>	lenistwo

M

<i>madach-ar ralsh</i>	wilk
<i>madon</i>	poranek
<i>mainn</i>	zamiar
<i>malash</i>	pies
<i>mathum</i>	niedźwiedź
<i>mili</i>	psuć
<i>miot</i>	duma
<i>mochgstir</i>	mistrz
<i>moi</i>	ja
<i>moror</i>	władca
<i>mu</i>	jeśli
<i>mu..., ra...</i>	jeśli..., nie...
<i>muk</i>	świnia

<i>muk'dok</i>	plamić, zapaćkać (się)
<i>mur</i>	morze
<i>murt</i>	morderstwo, morderca

N

<i>nabosh</i>	sąsiad
<i>namhal</i>	wróg
<i>nokd</i>	zjawienie się
<i>noud</i>	gniazdo
<i>nuarranash</i>	lament, wycie
<i>'nur</i>	twój

O

<i>ochdral</i>	historia
<i>ochgan</i>	gałąź
<i>oinsochg</i>	atak
<i>oir</i>	złoto
<i>oirkir</i>	wybrzeże
<i>oisal</i>	niski
<i>ol</i>	powietrze
<i>ol'dok</i>	zniknąć
<i>olk</i>	zły
<i>omhruut</i>	niezgoda
<i>orchgoid</i>	srebro
<i>ord</i>	młot
<i>order-sochgash</i>	młot bojowy
<i>orgoid</i>	pieniądz, zapłata
<i>ouash</i>	koń
<i>oulla</i>	nic (zero)
<i>ounchon</i>	mózg

P

<i>pol</i>	błoto
------------	-------

R

<i>rabhash</i>	ostrzeżenie
<i>rammash</i>	gruby
<i>rark</i>	twierdza
<i>rochgon</i>	wybór
<i>roub</i>	podróż
<i>ruchg dolina,</i>	wąwóz
<i>rushoum</i>	wiara

S

's	i
<i>sabal</i>	walka
<i>sai</i>	sześć
<i>saobh</i>	wściekłość, rozwścieczony
<i>saparak</i>	dzida (broń orków)
<i>sgark</i>	tarcza
<i>sgarkan</i>	lustro
<i>sgimilour</i>	natręt, intruz
<i>sgorn</i>	gardło
<i>sgudafhai</i>	wnętrzości
<i>shnorsh</i>	gówno
<i>shron</i>	nos
<i>shrondok</i>	oddychać
<i>shrouk" dok</i>	kurczyć się
<i>shrouk-koum</i>	zasuszona głowa
<i>sioll</i>	piorun
<i>slaish</i>	miecz
<i>slichge</i>	droga
<i>slok</i>	jama
<i>slug</i>	łyk
<i>smok</i>	dym
<i>snagor</i>	wąż, gad
<i>snoushda</i>	śnieg
<i>sochgal</i>	świat

<i>sochgash</i>	wojna
<i>sochgoud</i>	strzała
<i>sochgoud's bochga</i>	strzała i łuk
<i>soubhag</i>	sokół
<i>soukod</i>	kurtka, płaszcz
<i>soulbh</i>	szczęście
<i>spoikash</i>	podły
<i>sturk</i>	tkanina, materiał
<i>sul</i>	oko
<i>sul'hai-coul</i>	elfy (dosł. „wąskie oczy”); od <i>sul-coul</i> - elf
<i>sul'hai-coul-boun</i>	elfia kobieta (pejoratywnie)
<i>sutis</i>	słodki (uwaga, tak mówią tylko orczyce!)

T

<i>tog</i>	rów, fosa
<i>togol</i>	budynek, dom
<i>tornoumuchi</i>	grzmot
<i>tougasg</i>	nauczyciel, nauka
<i>toumpol</i>	świątynia
<i>tounga</i>	język
<i>trurkor</i>	zdrajca
<i>tuachg</i>	topór
<i>tul</i>	dziura
<i>tuli</i>	powrót
<i>tur</i>	wieża
<i>tur dok</i>	uciekać, zwiać
<i>turus</i>	podróż
<i>tutoum</i>	upadek

U

<i>uchg</i>	jajo
<i>uchl-bhuurz</i>	potwór

<i>umbal</i>	idiota
<i>unnog</i>	okno
<i>unur</i>	honor, godność
<i>ur'kurul lashar</i>	płomień Kurula
<i>urkurulslok</i>	otchłań Kurula
<i>urku</i>	tutaj
<i>usganash</i>	wodospad
<i>ush</i>	zainteresowanie
<i>uule</i>	inaczej, inne

ZAŁĄCZNIK B

POSOKOWE PIWO

Jako że w obydwu przedstawionych przygodach orków wielokrotnie jest mowa *J* o posokowym piwie, tradycyjnym napoju, którym orkowie mają zwyczaj odurzać się po walce, prezentujemy tutaj przepis na ów słynny i popularny trunek, oczywiście odwołując się do odpowiednich paragrafów Konwencji Praw Dziecka regulujących zakup i konsumpcję przez młodocianych napojów zawierających alkohol.

Podobnie jak „piwo” w obszarze językowym ludzi służy za pojęcie zbiorcze oznaczające napoje jęczmienne o różnych smakach, również orcze pojęcie *ful-birr* ma zastosowanie do wielu rozmaitych przepisów używanych w Stęchłej Marchii i nieco różniących się z *bolbogu* na *bolboug*. Barwa i zawartość alkoholu zależą przy tym w znacznej mierze od rodzaju użytego piwa, również nierzadko mieszana jest krew różnych ras oprócz orczej, bo ta do wytwarzania posokowego piwa nie nadaje się zupełnie. Czy odpowiada to prawdzie, czy też mamy tu do czynienia jedynie z

twierdzeniem asekuracyjnym, nigdy nie zdołano ostatecznie wyjaśnić.

Wspólny dla wszystkich przepisów na posokowe piwo jest jednak stosunek, w jakim do mieszanki dodaje się krew i piwo, zwykle z najstarszych beczek. Żelazna zasada głosi: im starsze piwo i im świeższa krew, tym wyborniej sze otrzymujemy *ful-birr*. Określenia „piwo” nie należy przy tym rozumieć dosłownie, gdyż oznacza ono tutaj specjalny wywar uzyskiwany z jadu węża i ekstraktu z występujących w Stęchłej Marchii korzeni.

KLASYCZNE SKŁADNIKI POSOKOWEGO PIWA

4 części wywaru (starego)

5 części krwi (świeżej)

1 część gurk

Gurk, w dosłownym tłumaczeniu „głos”, jest tym, co nadaje posokowemu piwu jego kolor i charakterystyczny smak. W dawnych dniach była to zwykle chochla cennej smoczej krwi, często stosuje się również życiowe soki szczególnie potężnego i silnego przeciwnika, któremu zadano *kro-buchg*. Świeżo wylączana krew gnomia uważana jest za klasyczny napój do gaszenia pragnienia, ekstrakt z ghuli za szczególnie smakowity *gurk*. Orkowie najchętniej popijają *ful-birr* do ostro przyprawionego *bru-mill* (przepis w *Powrocie orków*) zgodnie ze starą regułą: „Jeśli pragnienie pali cię bardziej niż *bru-mill*, to wypieś za mało *ful-birr*”.

WSKAZÓWKA

Wypróbowywanie oryginalnej receptury nie zaleca się nawet skorym do eksperymentów *achgosh'hai-bonn*. Wielu, którzy to zrobili, nie obudziło się już z rauszu. Dlatego spróbowaliśmy zastąpić składniki posokowego piwa w taki sposób, by jak najtrafniej

oddać doznania smakowe odczuwane przez orka, gdy wlewa w siebie *ful-birr*. Należy wymieszać:

4 części ciemnego piwa

5 części soku z czerwonych pomarańcz

1 część likieru wiśniowego jako gurk

Młodocianym fanom orków i tym, którzy następnego ranka nie chcą obudzić się z poposokowym dudnieniem w głowie, polecamy wariant następujący:

4 części piwa słodowego

5 części soku z czerwonych pomarańcz 1 część soku wiśniowego jako gurk